

IAN McDONALD

LUNA: NÓW



UCZTA WYOBRAŹNI

Ian McDonald

LUNA: NÓW

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2016

Spis treści

SPIS POSTACI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

SŁOWNICZEK

KALENDARZ HAWAJSKI

Tytuł oryginału: *Luna: New Moon*

Copyright © 2015 by Ian McDonald

Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii i opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce: Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-644-2

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 213 000

www.olesiejuk.pl



Dla Enid

SPIS POSTACI

Określenia dotyczące księżycowych obyczajów małżeńskich oraz tytuły korporacyjne – patrz: słowniczek na końcu książki.

CORTA HÉLIO

Adriana Corta – założycielka i *choego* Corta Hélio

Carlos de Madeiras Castro – *oko* Adriany (†)

Rafael (Rafa) Corta – najstarszy syn Adriany; *hwaejang* Corta Hélio

Rachel Mackenzie – *oko* Rify Corty

Lousika Asamoah – *keji-oko* Rify Corty

Robson Corta – syn Rify Corty i Rachel Mackenzie

Luna Corta – córka Rify Corty i Lousiki Asamoah

Lucas Corta – drugi syn Adriany; *jonmu* Corta Hélio

Amanda Sun – *oko* Lucasa Corty

Lucasinho Corta – syn Lucasa Corty i Amandy Sun

Ariel Corta – córka Adriany Corty. Renomowana prawniczka przy Sądzie Claviusa

Carlinhos Corta – trzeci syn Adriany Corty. Menedżer ds. operacji powierzchniowych i zaszczytnik Corta Hélio

Wagner „Lobinho” Corta – czwarty (wydziedziczony) syn Adriany Corty. Analityk i wilk księżycowy

Marina Calzaghe – pracownica powierzchniowa Corta Hélio, później asystentka Ariel Corty

Helen De Braga – szefowa finansów Corta Hélio

Heitor Pereira – szef ochrony Corta Hélio

Dr Carolina Macaraeg – lekarka osobista Adriany Corty

Nilson Nunes – steward w Boa Vista

MADRINHAS

Ivete – matka zastępcza Rify Corty

Monica – matka zastępcza Lucasa Corty

Amalia – matka zastępcza Ariel Corty

Flavia – matka zastępcza Carlinhosa, Wagnera i Lucasinho Cortów

Elis – matka zastępcza Robsona i Luny Corty

MACKENZIE METALS

Robert Mackenzie – założyciel Mackenzie Metals; prezes w stanie spoczynku

Alyssa Mackenzie – *oko* Roberta Mackenziego (†)

Duncan Mackenzie – najstarszy syn Roberta i Alyssy Mackenzie, prezes Mackenzie Metals

Anastazja Woroncowa – *oko* Duncana Mackenziego

Rachel Mackenzie – najmłodsza córka Duncana i Anastazji, *oko* Rify Corty i matka Robsona Corty

Apollonaire Woroncowa – *keji-oko* Duncana Mackenziego

Adrian Mackenzie – najstarszy syn Duncana i Apollonaire; *oko* Jonathona Kayode, Księżycowego Orła

Denny Mackenzie – najmłodszy syn Duncana i Apollonaire; szef Tygla Mackenzie i wydziału Mackenzie Metals zajmującego się helem-3

Bryce Mackenzie – młodszy syn Roberta Mackenziego, dyrektor finansowy Mackenzie Metals, ojciec licznych „adoptowanych”

Hoang Lam Hung – adoptowany syn Bryce’a Mackenziego i przez chwilę *oko* Robsona Corty

Jade Sun-Mackenzie – druga *oko* Roberta Mackenziego

Hadley Mackenzie – syn Jade Sun i Roberta Mackenziego; zaszczytnik Mackenzie Metals; przyrodni brat Duncana i Bryce’a

Analiese Mackenzie – ciemna *amor* Wagnera w jego ciemnym aspekcie

Eoin Keefe – szef ochrony Mackenzie Metals; zastąpił go Hadley Mackenzie

Kyra Mackenzie – uczestniczka Księżycowego Biegu

AKA

Lousika Asamoah – *oko* Ruffy Corty, późniejsza członkini Kotoko

Abena Asamoah – uczestniczka Księżycowego Biegu

Kojo Asamoah – kolega z grupy studenckiej Lucasinho Corty i uczestnik Księżycowego Biegu.

Ya Afuom Asamoah – imprezowiczka z Twé

Adofo Mensa Asamoah – Omahene Złotego Stolca i szefowa Kotoko

TAIYANG

Jade Sun – *oko* Duncana Mackenziego

Amanda Sun – *oko* Lucasa Corty

Jaden Wen Sun – właściciel drużyny piłki ręcznej Tygrysy Słońca

Jake Tenglong Sun – prezes efemerycznej firmy konstrukcyjnej Najmniejsze Ptaki

Fu Xi, Shennong, Żółty Cesarz – Trzech Dostojnych – skonstruowane przez Taiyang trzy sztuczne inteligencje wysokiego poziomu

VTO

Walery Woroncow – założyciel VTO, ostatnie 50 lat spędził w nieważkości na pokładzie cyklera św. św. Piotra i Pawła

Nikołaj „Nik” Woroncow – dowódca floty księżycowej VTO

Grigorij Woroncow – (chwilowy) *amor* i pomocnik w ukrywaniu się Lucasinho Corty

LUNAR DEVELOPMENT CORPORATION

Jonathon Kayode – Księżycowy Orzeł – prezes LDC

Sędzia Kuffuor – starszy sędzia w Sądzie Claviusa i nauczyciel prawa Ariel Corty

Nagai Rieko – starsza sędzia w Sądzie Claviusa i członkini Pawilonu Białego Zająca

Vidhya Rao – ekonomista, matematyk, członek Towarzystwa Księżycowego i Białego Zająca, orędownik niepodległości. Wspólnie z Taiyang opracował Trzech Dostojnych dla korporacji Whitacre Goddard

ZAKON PANÓW CHWILI

Irmã Loa – spowiedniczka Adriany Corty

Madrinha Flavia – dołączyła do Zakonu po wygnaniu z Boa Vista

Mãe-de-Santo Odunlade Abosedede Adekola – siostra przełożona sióstr Panów Chwili

POŁUDNIK/KRÓLOWA POŁUDNIA

Jorge Nardes – muzyk od bossa novy i *amor* Lucasa Corty

Sohni Sharma – naukowiec z Uniwersytetu Farside

Mariano Gabriel Demaria – dyrektor Szkoły Siedmiu Dzwonów, kolegium dla asasynów.

An Xiuying – wysłannik handlowy China Power Investment Corporation

Elisa Stracchi – wolny strzelec, projektantka nanosoftu współpracująca z Najmniejszymi Ptakami

WILKI

Amal – przywódca Sinych Wilków Południka

Sasza „Wółczonok” Ermin – przywódca stada Magdalena z Królowej Południa

Irina – sporadyczna stadna *amor* Wagnera Corty

NEAR SIDE OF THE MOON



JEDEN

W białym pomieszczeniu na skraju *Sinus Medii* siedzi sześcioro nagich nastolatków. Trzy dziewczyny i trzech chłopaków. Skórę mają czarną, żółtą, brązową, białą. Drapią się po niej nieustannie i zawzięcie. Spadek ciśnienia wysusza i powoduje swędzenie.

Pomieszczenie jest ciasne, jak beczka, w której ledwie da się stanąć. Młodziaki tłoczą się na ławeczkach, przyciskają do siebie udami, kolanami napierają na siedzących naprzeciwko. Nie ma gdzie podziać wzroku, nie ma na co patrzeć poza sobą nawzajem, oni jednak unikają kontaktu wzrokowego. Są zbyt blisko i zbyt obnażeni. Każde oddycha przez przezroczystą maskę. Tlen posykuje, gdy komuś nie trzyma uszczelka. Na drzwiczkach śluzy tuż pod oknem jest barometr. Pokazuje piętnaście kilopaskali. Obniżenie ciśnienia do tego poziomu trwało godzinę.

Jednakże na zewnątrz jest próżnia.

Lucasinho pochyla się i raz jeszcze patrzy przez małe okienko. Drugą śluzę widać bez problemu, droga do niej jest prosta i bez przeszkód. Słońce stoi nisko, cienie są długie i intensywne, zwrócone ku niemu. Czarniejsze na czarnym regolicie mogą skrywać wiele zdradzieckich niespodzianek. *Temperatura powierzchni wynosi 120 stopni, ostrzegaj go chowaniec. Jak bieg po ogniu.*

Bieg po ogniu, bieg po lodzie.

Siedem kilopaskali. Lucasinho czuje się opuchnięty, skórę ma napiętą i jakby brudną. Gdy ciśnienie spadnie do pięciu, otworzy się śluza. Lucasinho żałuje, że nie ma nad sobą chowańca. Jinji spowolniłby rozkołatane serce, uspokoił

drgający mięsień w prawym udzie. Zerka w oczy dziewczynie naprzeciwko. Jest z rodziny Asamoah; obok siedzi jej starszy brat. Palce kręcą amuletem *adinkra* na szyi. Chowaniec musiał ją ostrzegać. Na zewnątrz taki metal może się przyspawać do skóry. Możliwe, że ona już zawsze będzie nosić bliznę w kształcie znaku Gye Nyame. Rzuca mu zdawkowy półuśmiech. Mimo obecności sześciorga nagich atrakcyjnych nastolatków przyciśniętych do siebie udami w komorze panuje całkowita seksualna próżnia. Wszystkie myśli zwrócone są ku temu, co czeka za drzwiami śluzy. Dwoje Asamoah, dziewczyna Sun, dziewczyna Mackenzie, przestraszony chłopak Woroncow z hiperwentylacją oraz Lucasinho Alves Mão de Ferro Arena de Corta. Bzykał się z nimi wszystkimi oprócz dziewczyny Mackenzie. Cortowie i Mackenzie się ze sobą nie zadają. I oprócz Abeny Maanu Asamoah, bo jej doskonałość go onieśmiela. Za to jej brat... brat obciąża najlepiej na świecie.

Dwadzieścia metrów. Piętnaście sekund. Jinji wypalił mu te liczby w mózgu. Odległość do drugiej śluzy. Czas, przez który nagie ciało człowieka może przetrwać w wysokiej próżni. Po piętnastu sekundach – utrata przytomności. Po trzydziestu – nieodwracalne obrażenia. Dwadzieścia metrów. Dziesięć kroków.

Lucasinho uśmiecha się do pięknej Abeny Asamoah. Wtem błyska czerwone światło. Zrywa się na nogi, zanim śluza się do końca otworzy. Ostatnie sapnięcie ciśnienia wyrzuca go na *Sinus Medii*.

Raz. Prawa stopa dotyka regolitu i z głowy znikają wszystkie myśli. Oczy pieką. Płuca palą. Rozrywa go.

Dwa. Wydech. *Wypuść powietrze. Zero ciśnienia w płucach*, pouczał Jinji. Nie, nie można, to śmierć. Wydech, inaczej płuca ci eksplodują. Stopa opada.

Trzy. Wypuszcza powietrze, które zamarza mu na twarzy. Woda na języku, łzy w kącikach oczu się wygotowują.

Cztery. Abena Asamoah wyrywa się przed niego. Skórę ma szarą od szronu.

Pięć. Oczy zamarzają. Nie odważa się mrugać, żeby powieki nie przymarzły. Mrugniesz, jesteś ślepy, jesteś ślepy, to już nie żyjesz. Wbijają wzrok w śluzę obramowaną niebieskimi światełkami. Mija go chudzielec Woroncow, pędzi jak opętany.

Sześć. Serce panikuje, walczy, płonie. Abena Asamoah rzuca się do śluzy,

ogłąda za siebie, jednocześnie sięgając po maskę. Nagle wytrzeszcza oczy, widząc coś za plecami Lucasinho. Otwiera usta w niemym krzyku.

Siedem. Ogląda się. Kojo Asamoah przewrócił się, toczy się, koziółkuje. Kojo Asamoah topi się w księżycowym oceanie.

Osiem. Lucasinho wyciąga ręce i powstrzymuje jego pęd.

Dziewięć. Kojo Asamoah usiłuje wstać na nogi, ale jest ślepy, pył przymarzył mu do powiek. Wymachuje rękami, rzuca się naprzód, potyka. Lucasinho łapie go za rękę. Podnoś się! Podnoś!

Dziesięć. Czerwień pulsuje w oczach: tunel światła i świadomości wycelowany w krąg śluzy wejściowej. Tunel zamykający się z każdym pulsem czerwieni w rozpadającym się mózgu. Wdech! – wrzeszczą płuca. Wdech! Podnoś się. Podnoś. W śluzie pełno ramion i twarzy. Lucasinho rzuca się ku nim. Krew mu kipi. W żyłach wrze gaz, każdy bąbelek jak rozżarzona do białości kulka z łożyska. Traci siły. Mózg mu umiera, ale ramienia Kojo nie puszcza, ciągnie je, holuje chłopaka, udręczony, rozpalony. Czuje wstrząs, słyszy pisk błyskawicznie rosnącego ciśnienia.

W skurczonym polu widzenia ma płataninę kończyn, skóry, tyłków, brzuchów, ociekających skroploną parą i potem. Słyszy, jak sapnięcia zamieniają się w śmiechy, szlochy w obłąkańcze chichoty. Ciała dygocą ze śmiechu. Zrobiliśmy Księżycowy Bieg. Pokonaliśmy Panią Lunę.

Kolejny przebłysk: czerwony kleks na środkowej linii drzwi śluzy, dziwny odcień czerwieni na białym tle. Wbija w to wzrok, w czerwoną tarczę, co skupia całą jego świadomość na linii pomiędzy nią a nim. A gdy świadomość osuwa się w ciemność, dociera do niego, co to takiego. Krew. Zewnętrzne drzwi śluzy przytrzasnęły Kojo duży palec lewej nogi, zmieniając go w krwawą miazgę.

Robi się ciemno.

Skrzydłata kobieta szybuje wysoko w prądzie termicznym. Poranne światło barwi ją na złoto. Ociera się o sam dach świata, po czym wygina plecy, podkurcza ramiona, macha stopami i spada lotem nurkowym niczym jaskółka.

Sto, dwieście metrów w dół, czarna kropka, która wypadła ze sztucznego świtu, mija fabryki i mieszkania, okna i balkony, kolejki linowe i windy, kładki i mostki. W ostatniej chwili napina palce, rozpościera lotki z nanowłókien i wyrównuje lot. I znów w górę, wysoko, błyskając skrzydłami w coraz jaśniejszym blasku. Trzy machnięcia skrzydłami i jest kilometr w górze, jak złoty pyłek na tle monumentalnego kanionu Kwadry Oriona.

– Pizda jedna – mruczy Marina Calzaghe.

Nienawidzi wolności latającej kobiety, jej wysportowania, idealnej skóry i napiętego ciała gimnastyczki. A najbardziej tego, że tamtą stać na marnowanie oddechów na rozrywki, podczas gdy Marina musi walczyć o każdy wdech. Musiała sobie przykręcić odruch oddychania. Czib na gałce ocznej pokazuje narastający dług tlenowy. Każde napełnienie płuc kosztuje. Ma debet w banku powietrza. Pamięta to uczucie paniki, gdy po raz pierwszy próbowała usunąć czib z oka. Nie dawało się. Dźgnęła go palcem. Trzymał się gałki ocznej jak przyklejony.

– Wszyscy to noszą – powiedział pracownik Działu Aklimatyzacji i Przeszkolenia LDC. – Od zieluniaka, co świeżo wysiadł z cyklera, aż po samego Orła.

Paski stanu Czterech Żywiółów się obudziły: woda, przestrzeń, dane, powietrze – stany czterech kont. Od tego momentu mierzyły i kasowały za każdy łyk, każdy krok, każdy sen, każdą myśl i każdy wdech.

Kiedy dociera do szczytu schodów, już kręci jej się w głowie. Opiera się o niską poręcz i z trudem łapie oddech. Przed nią przerażająca zatłoczona pustka rozświetlona tysiącami świateł. Kwadry Południka sięgają na kilometr w głąb i obowiązuje w nich odwrócony porządek społeczny: bogaci na dole, biedni na górze. Gołą powierzchnię Księżyca bombarduje ultrafiolet, promienie kosmiczne, naładowane cząstki z rozbłysków słonecznych. Parę metrów księżycowego regolitu z łatwością pochłania to promieniowanie, ale wysokoenergetyczne promieniowanie wzbudza kaskadę fajerwerków cząstek wtórnych, które mogą uszkadzać ludzkie DNA. Dlatego habitaty wkopują się głęboko, a obywatele mieszkają pod powierzchnią najdalej, jak się da. Powyżej Mariny Calzaghe znajdują się tylko poziomy przemysłowe, a one są prawie

całkowicie zautomatyzowane.

O sztuczne niebo obija się uwieczony srebrny dziecięcy balon.

Marina Calzaghe zamierza sprzedać zawartość swojego pęcherza. Si – kupiec kiwnięciem głowy zaprasza do kabiny. Mocz jest skąpy, ochrowy, z osadem. Co to, krew? Sikupiec wycenia minerały i substancje organiczne, i płaci. Marina przerzuca środki na konto sieci. Oddech można przykręcić, spiracić wodę, jedzenie wykombinować, ale transferu sieciowego się nie wyżebrze. Hetty, jej chowanka, kondensuje się z obłoczka pikseli nad lewym ramieniem. Prosta darmowa skórka, lecz dzięki niej Marina Calzaghe jest z powrotem w sieci.

„Następnym razem”, szepcze, wchodząc z powrotem na górę, do łapacza wilgoci. „Następnym razem, Blake, przyniosę leki”.

Ostatnie kilka kroków pokonuje na czworakach. Siatka była drogocenną zdobyczą, zgarnęła ją i ukryła, zanim zrecyklowały ją boty sprzątające Zabbalinów. Zasada jest starożytna i niezawodna. Plastikowa siateczka rozpięta między belkami. Ciepłe wilgotne powietrze unosi się i w chłodzie sztucznej nocy tworzy nietrwałe chmury pierzaste. Para skrapla się na drobnej siatce i ścieka po włóknach do pojemnika. Łyk dla niej, łyczek dla Blake’a.

Ktoś jest przy siatce. Wysoki, po księżycowemu chudy facet pije z jej pojemnika.

– Oddawaj!

Zerka na nią i osusza pojemnik.

– To nie twoje!

Marina ciągle ma ziemskie mięśnie. Załatwi go nawet bez powietrza w płucach, tego chudego, bladego, księżycowego chudzielca.

– Won stąd. To moje.

– Już nie. – Ma nóż w ręce. Na nóż nic nie poradzi. – Jeszcze raz cię tu zobaczę albo zobaczę, że coś ubyło, to cię potnę i sprzedam.

Nic się nie da zrobić. Nic nie zmienia czyny, słowa, groźby ani genialne pomysły. Facet z nożem ją zmiażdżył. Może tylko wycofać się chyłkiem. Każdy krok i każdy szczebel brzmi hańbą. Na galeryjce, z której patrzyła na fruwającą kobietę, pada na kolana i rzyga z wściekłości. Bezskutecznie, sucho, bezowocnie. Nie zostało w niej ani krzty wilgoci, ani krzty pokarmu.

Na dnie na Księżycu. Na dnie, czyli na górze.

Lucasinho się budzi. Nad twarzą ma przejrzystą osłonę, tak blisko, że zachodzi parą od oddechu. Panikuje, unosi ręce, żeby zedrzeć z siebie tę klaustrofobiczną rzecz. Po czaszce rozlewa się mroczne ciepło, po potylicy, spływa ramionami, tułowiem. Koniec paniki. Sen. Ostatnią rzeczą, jaką widzi, jest jakaś postać w nogach łóżka. Wie, że to nie duch, bo na Księżycu nie ma duchów. Jego skały je odpychają, a promieniowanie i próżnia rozprasza. Duchy to kruche istoty, utkane z pary, cieni i westchnień. Jednakże postać wygląda właśnie jak duch, szara, ze splecionymi rękoma.

– *Madrinha* Flavia?

Duch unosi wzrok i się uśmiecha.

Pan Bóg nie skarże kobiety, która dopuszcza się kradzieży z desperacji. Marina codziennie w drodze od sikupeca mija uliczną świątynkę: ikonę Matki Boskiej Kazańskiej ozdobioną gwiazdozbiorem pulsujących biolampek. W każdej z tych galaretowatych bryłek kryje się łyk wody. Szybko, z poczuciem winy, wtyka je do plecaka. Cztery da Blake'owi. Jemu ciągle chce się pić.

Zna go ledwo od dwóch tygodni, ale ma wrażenie, że to całe życie. Nędza wydłuża czas. I jest jak lawina. Jedno małe potknięcie porusza kamień, ten wykrusza kolejny i nagle wszystko leci, usuwa się spod nóg. Jedna zerwana umowa. Jeden dzień, kiedy agencja nie dzwoni. A maleńkie cyferki na skraju pola widzenia cały czas cykają. Uciekają, umykają. I już – wspinała się po drabinach, po schodkach, w górę ścian Kwadry Oriona. Przez płataninę mostków i kładek, ponad mieszkalne uliczki, jeszcze wyżej, pomiędzy jeszcze bardziej strome schodki i drabinki (bo windy kosztują – dlatego na te najwyższe poziomy nie jeżdżą w ogóle), ku nadwieszonym nad Kwadrą kostkom i labiryntom Bairro Alto. Rzadkie powietrze pachniało tu fajerwerkami: surowym

kamieniem spieczonym na szkło przez budowlane roboty. Kładki przeskakiwały niebezpiecznie pomiędzy kotarami służącymi jako drzwi kamiennych komórek, w których było tylko tyle światła, ile wpadło przez drzwi i okna bez szyb. Jeden mylny krok – i lecisz z wrzaskiem prosto w dół, pomiędzy neony Prospektu Gagarina.

Bairro Alto zmieniało się z każdą mijającą luną, a Marina zaszła daleko, zanim znalazła pokój Blake'a. „Mieszkanie do podnajęcia, za udział w czynszu”, brzmiało ogłoszenie na południkowej tablicy.

– Nie zostanę długo – powiedziała, patrząc na jeden pokój z dwoma materacami z pianki pamięciowej, pustymi plastikowymi butelkami po wodzie i tackami po posiłkach.

– Nikt nie zostaje – odparł Blake.

Potem oczy wyszły mu z orbit i zgiął się w ataku chrypliwego jałowego kaszlu trzęsącego każdym zębem i każdą kością jego wątłego szkieletu. Przez ten uporczywy kaszel Marina nie przespała nocy: trzy suche, jakby złośliwe kaszlnięcia. Potem trzy następne. I następne. I następne. Przez wiele kolejnych nocy nie dawało jej to spać. To była melodia Bairro Alto. Kaszel. Krzemica. Pył księżycowy zamienia płuca w kamień. Oprócz paraliżu – gruźlica. Fagi spokojnie sobie z nią radzą. Ale ludzie, którzy mieszkają w Bairro Alto, wydają całe pieniądze na wodę, powietrze i nocleg. Nawet najtańsze fagi to marzenie ściętej głowy.

Marina. Chowanka od tak dawna się do niej nie odzywała, że z zaskoczenia spada z drabiny. *Masz ofertę pracy.* Upadek z paru metrów w tutejszym zwariowanym ciężeniu to nic. Wciąż ma sny o lataniu – jest w nich nakręcanym ptakiem krążącym po orbicie w mechanicznym modelu Układu Słonecznego, który wiruje w kamiennej klatce.

– Biorę.

W cateringu.

– Może być w cateringu.

Wszystko może być. Przegląda umowę. Nisko się wyceniła, a i tak oferta ledwo spełnia warunki. Będzie z tego powietrze-woda-węgiel-sieć i niewiele poza tym. Płatność jest z góry. Będzie jej potrzebny nowy strój, prosto z drukarni. I kąpiel

w bani. Sama czuje, jak śmierzdzą jej włosy. Aha, jeszcze bilet na pociąg.

Za godzinę musi być na Dworcu Centralnym. Wymrukuje podpis. Soczewka kontaktowa skanuje i przekazuje agencji wzorzec jej siatkówki. Chowańce nawiązują kontakt, na koncie lądują pieniądze. Radość taka, że aż boli. Magia i moc pieniędzy nie polegają na tym, co możesz sobie kupić, lecz na tym, kim pozwalają ci się stać. Pieniądz to wolność.

– Bierz to – rozkazuje. – Przywróć normalne parametry.

Dusznosc w płucach ustępuje od razu. Wydech jest przyjemnością. Wdech – rozkoszą. Marina rozkoszuje się aromatem Południka – elektryczności, prochu, ścieków i pleśni. A gdy dociera do punktu, w którym wdech powinien się kończyć, zostaje jeszcze miejsce. Zaciąga się głęboko.

Tylko czasu mało. Żeby zdążyć na pociąg, trzeba będzie pojechać zachodnią windą 83, to jest jednak w przeciwnym kierunku niż Blake. Winda czy Blake? Decyzja nie wymaga namysłu.

Lucasinho znów się budzi. Próbuje usiąść, ból przewraca go z powrotem na łóżko. Boli, jakby wszystkie mięśnie w ciele oderwano od kości czy stawów i nasypano w to miejsce tłuczonego szkła. Leży na łóżku opatulony w ciśnieniową skórę, taką samą, jaką włożyłby na normalny, bezpieczny, zwykły spacer po powierzchni. Może poruszać ramionami, dłońmi. Palce wędrują po ciele, inwentaryzując. Mięśnie brzucha jak pancerz, uda napięte i wyrzeźbione, tyłek fantastyczny w dotyku. Ubolewa, że nie może dotknąć własnej skóry. Trzeba się dowiedzieć, czy jest w porządku. Jest znany z tego, że ma piękną skórę.

– Gówniano się czuję. Nawet oczy mnie bolą. Dostaję jakieś dragi?

Bezpośrednia stymulacja receptorów opioidowych w twojej istocie szarej okołowodociągowej, odzywa się głos w głowie. Mogę to regulować.

– O, Jinji, wróciłeś!

Kamerdynerski, wyrafinowany sposób wyrażania się jego chowańca jest nie do pomylenia. Chowańce unikają wieloznaczności. Dostrzega chib w dolnym prawym rogu pola widzenia. Cortowie nie muszą patrzeć na te cyferki, ale cieszy

się, że je widzi. Czib mówi, że żyje, jest przytomny, konsumuje.

– Gdzie ja jestem?

Jesteś w ośrodku medycznym Sanafil w Południku, mówi Jinji. Przeniesiono cię z komory hiperbarycznej do skafandra uciskowego. Przeszedłeś serię farmakologicznych śpiączek.

– Ile czasu? – Próbuje usiąść prosto. Ból rozdziera każdą kość i każdy staw. – Bo impreza?!

Jest przesunięta. Zaraz masz zaplanowaną kolejną śpiączkę farmakologiczną. Wcześniej odwiedzi cię ojciec.

Ze ścian wysuwają się białe przegubowe medyczne ramiona.

– Zaraz, czekaj. Widziałem Flavię.

Tak. Przyszła cię odwiedzić.

– Nic mu nie mów.

Nigdy nie rozumiał, czemu ojciec dokładnie w dzień jego szesnastych urodzin wygnał jego *madrinhę*, surogatkę, z Boa Vista. Za to wie, że jeśli Lucas Corta dowie się, że *madrinha* Flavia tu była, uderzy w nią z siłą stu złośliwości.

Nie powiem, mówi Jinji.

Trzeci raz budzi się Lucasinho. W nogach łóżka stoi ojciec. Jest tak niski, drobny, ciemny i udręczony, jak jego starszy brat potężny i radosny. Upozowany i wyglansowany ołówkowy wąsik i broda idealnie przystrzyżone, nic więcej; idealny, ale ciągle kontrolujący, czy zachowuje tę doskonałość; ubrania, paznokcie, włosy, wszystko nieskazitelne. Zimny, taksujący człowiek. Nad jego lewym barkiem chowaniec Toquinho, zawity kłębek nut i skomplikowanych akordów, od czasu do czasu rozwijających się w na wpół słyszalną gitarę szepczącą bossa novę.

Lucas Corta klaszcze. Pięć dobitnych klaśnieć.

– Gratuluję. Jesteś teraz Biegaczem.

W rodzinie i poza nią wszyscy wiedzą, że Lucas Corta sam nigdy Biegu nie odbył. Ale powód jest tajemnicą, a Lucasinho słyszał, że ludzie, którzy w tym

grzebią, ponoszą karę, i to dotkliwą.

– Zespół intensywnej opieki medycznej, okulistyka, laryngologia, komora hiperbaryczna, wypożyczenie powłoki uciskowej, tlen... – wylicza ojciec.

Lucasinho zeskakuje z łóżka. Medyczne boty zdjęły mu powłokę ciśnieniową. Wokół otwierają się białe ściany, automatyczne ramiona rozpościerają przed nim propozycje ubrań prosto z drukarki.

– Przejazd z Południka do João de Deus...

– To ja jestem w João de Deus?

– Zaraz masz być na przyjęciu. Powitanie bohatera. Postaraj się. I spróbuj chociaż przez pięć minut nikomu fiuta nie wsadzać. Są wszyscy. Nawet Ariel udało się na trochę odkleić od Sądu Claviusa.

Najpierw rzeczy najważniejsze. Metalowe ćwieki lądują w otworach w przemysłanych miejscach ciała – a każdy to symbol miłostnego zawodu. Jinji wyświetla mu własny obraz, żeby mógł uczesać loki do góry – morską falę lśniących grubych włosów w całej niskograwitacyjnej okazałości. Zabójcze kości policzkowe, a o brzuch można by tłuc kamienie. Jest wyższy od ojca. Cała jego generacja jest wyższa od swoich rodziców, drugiego pokolenia księżycowego. Przystojny jest, że szlag.

– On przeżyje – mówi Lucas.

– Kto? – Lucasinho waha się nad wyborem koszuli, decydując się w końcu na delikatny brązowy marglowy wzorek.

– Kojo Asamoah. Ma oparzenia drugiego stopnia dwudziestu procent powierzchni ciała, popękane pęcherzyki płucne i naczynia krwionośne, zmiany w mózgu. No i palec u nogi. Nic mu nie będzie. W Boa Vista czeka cała delegacja Asamoah z podziękowaniami dla ciebie.

Może będzie z nimi Abena Asamoah. Może będzie tak wdzięczna, że da mu się zerznąć. Jasnobrązowe spodnie z dwucentymetrowymi mankietami i sześcioma zaszewkami. Zatrzaskuje klamrę paska. Skarpetki z pajęczego jedwabiu, dwukolorowe mokasyny. To impreza, więc wystarczy sportowa marynarka. Wybiera tweedową, maca kciukiem i palcem wskazującym kłujące włókna. Ze zwierząt, niedrukowane. Obłądnie drogi materiał.

– Mogłeś zginać.

Wkładając marynarkę, Lucasinho zauważa znaczek w klapie: Dona Luna, patronka Księżycowych Biegów. I całego Księżyca: Pani Życia i Śmierci, Światła i Ciemności – jedna strona twarzy jak czarny anioł, druga to naga biała czaszka. Pani o dwóch twarzach. Pani Luna.

– I co by rodzina wtedy zrobiła?

Skąd ojciec wiedział, że wybierze marynarkę z tym znaczkiem w klapie? Ale wieszaki już chowają resztę ubrań w ścianach i dostrzega, że na każdej marynarce jest znaczek z Doną Luną.

– Na twoim miejscu bym go zostawił.

– Ale nie byłeś na moim miejscu – mówi Lucasinho.

Jinji wyświetla mu końcowy efekt jego decyzji. Elegancko, ale nieoficjalnie, nonszalancko, lecz z klasą i zgodnie z aktualnymi trendami, a obowiązują teraz europejskie lata pięćdziesiąte XX wieku. Lucasinho Corta uwielbia stroje i elegancję.

– Jestem gotowy na przyjęcie.

– Zatem pojedynek.

Słowa Ariel Corty niosą się dobitnie po sali. Publiczność eksploduje. Pozwany krzyczy: tak nie można! Jego pełnomocnik grzmi o naruszeniu procedur. Aplikanci Ariel – teraz, odkąd zapadła decyzja o pojedynku, są także sekundantami – błagają, proszą, krzyczą, że to szaleństwo, że zaszczytnik Alayouma ją potnie. Publiczność w ławkach szaleje. Sądowi dziennikarze zapychają całe pasmo materiałami na żywo.

Rutynowa porozwodowa ugoda w sprawie opieki nad dziećmi zamienia się w dramatyczny teatr. Ariel Corta jest czołową prawniczką od małżeństw, wiązania i rozwiązywania, w Południku, a więc i na całym Księżycu. Jej umowy *nikah* mają w szufladach członkowie każdego z Pięciu Smoków, wielkich księżycowych dynastii. Aranżuje małżeństwa, ustala rozwody, znajduje luki w opancerzonych tytanem *nikah*, negocjuje wykupy i ustala drakońskie alimenty. Sąd, publiczność, kibice, prasa i komentatorzy w sieciach społecznościowych,

wszyscy mają niebotyczne oczekiwania co do sprawy Alyaoum kontra Filmus.

I Ariel Corta nie rozczarowuje. Zsuwa rękawiczki. Strząsa buty. Zrzuca sukienkę od Diora. Staje przed Sądem Claviusa w półprzejrzystych legginsach do pół łydki i sportowym topie. Poklepuje po plecach swojego zaszczytnika Isholę. Barczysty, okrągłogłowy Joruba, uprzejmy człowiek i brutalny wojownik. Najlepsi do pojedynków sądowych są właśnie zieluniacy, nowi imigranci, wciąż dysponujący ziemską masą mięśniową.

– Ishola, ja to załatwię.

– *Senhora*, nie.

– Nawet mnie nie tknie.

Ariel podchodzi do trójki sędziów.

– Czy Wysoki Sąd wyraża sprzeciw wobec mojego wyzwania?

Sędzia Kuffuor i Ariel Corta mają długą wspólną historię, mentora i uczennicy. Pierwszego dnia na wydziale prawa powiedział jej, że prawo księżycowe opiera się na trzech filarach. Pierwszy: nie ma prawa karnego, jedynie cywilne – wszystko jest negocjowalne. Drugi: im mniej prawa, tym lepiej. Trzeci: sprytny ruch, zręczny postęp, niebotyczne ryzyko są równie pełnoprawnym narzędziem, jak logiczna argumentacja i umiejętność zadawania krzyżowych pytań.

– Pani mecenas, dobrze pani wie, że to jest Sąd Claviusa. Wszystko można tu poddać próbie, łącznie z samym sądem.

Ariel zaciska palce prawej dłoni i pochyła głowę przed sędziami. Odwraca się twarzą do zaszczytnika strony przeciwnej. Same mięśnie i blizny, weteran spraw rozstrzyganych w pojedynku sądowym, już ją zaprasza, żeby podeszła, żeby zeszła na arenę.

– Zatem walka.

Publiczność ryczy z radości.

– Do pierwszej krwi! – woła Heraldo Muñoz, adwokat Alyaouma.

– Nie ma mowy! – krzyczy Ariel Corta. – Na śmierć i życie albo wcale.

Jej zespół, jej zaszczytnik zrywają się na nogi. Sędzia Nagai Rieko próbuje przekrzyczeć wrzawę.

– Pani mecenas, ostrzegam panią, że...

Ariel Corta stoi w pozie do walki, potężna i spokojna jak oko cyklonu głosów.

Reprezentanci strony pozwanej naradzają się, głowy pochylone, co rusz strzelają ku niej oczyma i wracają do szybkiej, prowadzonej półgłosem dyskusji.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu. – Muñoz wstaje. – Pozwany wycofuje wniosek.

Cała sala rozpraw nr 3 wstrzymuje oddech.

– Zatem sąd orzeka na korzyść powoda – mówi sędzia Zhang. – Pozwanego obciążyć kosztami.

Sąd eksploduje trzeci raz, tym razem jeszcze głośniej. Ariel syci się podziwem. Ustawia się tak, żeby kamery widziały ją ze wszystkich stron. Wyciąga z torebki długi smukły tytanowy waporyzator, rozciąga go na pełną długość, odpala, zaciąga się i wypuszcza cienką smużkę białej mgiełki. Narzuca żakiet na jedno ramię, wiesza buty na palcu i wychodzi z sądu w rynsztunku bojowym. Oklaski, twarze, unoszące się nad nimi chmury chowańców: chłonie to wszystko. Każdy proces to spektakl.

Widok na zewnątrz kosztuje, ale dostęp do rozrywki kosztuje jeszcze drożej. Marina siada więc na najniższym poziomie, w środkowym rzędzie, i robi miny do dzieciaka, który zerka na nią pomiędzy oparciami. Z Południka do João de Deus jest tylko godzina szybkim pociągiem. Zabawianie dzieciaka wystarczy za rozrywkę. Marina pierwszy raz wyjeżdża z Południka. Jest na Księżycu. Jest na powierzchni Księżyca, pędzi po niej na magnetycznych szynach z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę, nic nie widząc, zamknięta w metalowej rurze. Równiny, wzniesienia kraterów, doliny, skarpy. Wielkie góry i kratery. Wszystko to poza tym ciepłym, perfumowanym jaśminowo i malowanym pastelowo, pełnym ludzkich głosów wnętrzem. Wszystko to szare i zapyłone. Wszystko pozbawione piękna. Nic nie traci.

Hetty ma cały czas dostęp do sieci, więc kiedy dziecku każą przestać przeszkadzać pani z tyłu, Marina zabija czas muzyką i zdjęciami. Siostra wrzuciła nowe zdjęcia rodzinne. Nowa siostrzenica i stary siostrzeniec. Szwagier Arun. Matka, na wózku, z wpiętymi w dłonie rurkami. Uśmiecha się.

Marina jest zadowolona, że nie widzi pozbawionych powietrza gór i surowych pustych mórz. W porównaniu z bogactwem liści, łagodnym gołębiem niebem, morzem tak intensywnie zielonym, że aż czuje się tę otchłań, Księżyc wygląda jak biała czaszka. A tak Marina może sobie w pociągu udawać, że jest na Ziemi i zaraz wysiądzie pomiędzy drzewa i wulkany amerykańskiego Północnego Zachodu.

We wtorek mama zaczyna nowy cykl. Kessie w życiu otwarcie nie poprosi o pieniądze, ale czuje się tę prośbę. To rachunki za leczenie mamy wyгнаły Marinę na Księżyc. Wielki boom na Księżycu! Wszyscy wyciągają ręce. Wszyscy w każdej sekundzie każdego dnia. Marina przelyka złość. To nie po księżycowemu. Gdyby każdy tu się zachowywał tak, jak się czuje, wieczorem w mieście byłyby same trupy.

Pociąg zwalnia, wjeżdżając do João de Deus. Pasażerowie zbierają rzeczy. Hetty każe zgłosić się do ochrony na peronie 6, skąd prywatny tramwaj zabierze ją na miejsce. Czuje drgnienie ekscytacji – po raz pierwszy pomyślała o tym, co się kryje na końcu tej prywatnej linii – Boa Vista, legendarny pałac-ogród rodu Corta.

Przed salą nr 3 zebrał się cały orszak. Ariel Corcie nigdy nie brakuje wielbicieli, natrętów, potencjalnych klientów i absztyfikantów wszelkiej płci. „Atrakcyjna” to pierwsze słowo, jakim ją ludzie określają. Cortowie nigdy nie byli szczególnie piękni, ale w Brazylii nie ma brzydkich ludzi i każde dziecko Adriany na swój sposób przykuwa oko wdziękiem. U Ariel liczy się postawa, nosi się dumnie i swobodnie, z zimną pewnością siebie. Przykuwa uwagę. Jej współpracownik Idris Irmak przepycha się wśród całusów i gratulacji.

– Mogłaś tam zginąć.

Nad głową Ariel roi się od kamerek wielkości owadów.

– Nie mogłam.

– Pociąłby cię.

– Tak myślisz?

Dłonie Ariel poruszają się i łapią Idrisa za przedramię. Zakłada mu dźwignię na łokieć. Drobnym ruchem staw strzeli jak korek z butelki. Orszak traci dech. Kamery nurkują niżej, żeby mieć lepsze ujęcie. Sensacja. Sieci plotkarskie będą wzdychać przez parę dni. Puszczą. Idris potrząsa obolałą ręką. Wszystkie dzieci Cortów uczą się brazylijskiego jiu-jitsu. Adriana Corta uważa, że każde dziecko powinno znać jakąś sztukę walki, umieć grać na jakimś instrumencie, mówić w trzech językach, przeczytać roczne sprawozdanie i tańczyć tango.

– Pewnie, pociąłby mnie na plasterki. Myślisz, że bym ryzykowała, gdybym nie wiedziała, że Muñoz skapitułuje?

Idris rozkłada dłonie. Wyjaśnij.

– Alyaoumowie byli klientami roku Mackenziech, póki Betake Alyaoum nie obraził Duncana Mackenziego, odmawiając ślubu z Tansy Mackenzie – mówi Ariel. Asysta spija jej słowa z ust. – Mackenzie wycofali poparcie. A bez niego? Gdyby Alyaoum mnie choć zadrapał, biorą na siebie vendettę Cortów, a nie mają za sobą domu Mackenzie. Nie mogli tego ryzykować. Cały czas parłam do tego sądowego pojedynku, wiedząc, że muszą ustąpić.

Zatrzymuje się w drzwiach pokoju adwokackiego i zwraca do swojej asysty:

– Wybaczcie. Mój siostrzeniec zaraz ma imprezę z okazji Księżycowego Biegu, a przecież nie mogę pójść tak ubrana.

W pokoju adwokackim czeka na nią sędzia Nagai z butelką dżinu z dziesięcioma ziołami.

– Jeszcze raz zrobisz taki numer w moim sądzie, a powiem zaszczytnikom, żeby ci wypruli flaki – mówi sędzia. Przysiadła na brzegu umywalki. Pokoje adwokackie są ciasne i duszne.

– Ale to byłoby ewidentne przekroczenie uprawnień – odpowiada Ariel.

Wrzuca swój służbowy kostium do recyklera. Podajnik polyka materiał i rozkłada go na surowce organiczne. Beijaflor, chowaniec Ariel, już wybrał dla niej suknię na przyjęcie – Balenciaga, sezon 1958, na ramiączkach, asymetryczna, drukowana w czarne kwiaty na ciemnoszarym tle.

– Sąd nie ochronił interesów strony umowy?
– Nie mogłabyś po prostu zająć się wydobyciem helu, jak twoi bracia?
– Nudni są, i ta ich robota, jak nie wiem. – Ariel całuje ją w oba policzki. – A Lucas to już w ogóle ma ujemne poczucie humoru. – Przypatruje się dżinowi. Podarunek od klienta. – Drukowany na zamówienie. Miły gest, bardzo.
Podsuwa butelkę sędzi Nagai. Ta kręci głową. Ariel robi sobie martini. Wytrawne, że aż warczy.

Rieko dotyka się palcem wskazującym między oczyma – umówiony gest oznaczający rozmowę bez chowańców. Ariel mrugnięciem wyłącza Beijaflora, ledwie widocznego kolibra, opalizujący obłoczek nieustannie zmieniający kolor, dopasowujący się do jej strojów. Znika i chowaniec Rieko, czysta kartka papieru nieustannie składająca się w nowe modele origami.

– Nie będę cię długo trzymać – mówi sędzia Nagai. – W dwóch zdaniach: być może nie wiesz, że należę do Pawilonu Białego Zająca.

– Jak to się mówi? Każdy, kto twierdzi, że jest członkiem Białego Zająca...

– ...ten nie jest – kończy sędzia. – Ale nie ma reguły bez wyjątków.

Ariel Corta wypija spory haust martini, wszystkie zmysły ma jednak wyczulone i pulsujące. Pawilon Białego Zająca, komitet doradców Księżycowych Orłów zamieszkuje przestrzeń między mitem a prawdą. Istnieje – to niemożliwe, żeby istniał. Ukrywa się na widoku. Jego członkowie to potwierdzają, to dementują pogłoski, że do niego należą. Ariel nie potrzebuje Beijaflora, żeby jej powiedział, że ma przyspieszone tętno i oddech. Musi się bardzo skupić, żeby podniecenie nie rozfalowało jej martini w kieliszku.

– Ja jestem członkinią Białego Zająca – mówi sędzia. – Od pięciu lat. Co roku Białego Zająca opuszcza dwóch członków. I teraz właśnie ja kończę kadencję. Chciałabym nominować ciebie na swoje miejsce.

Ariel napina mięśnie brzucha. Fotel przy okrągłym stole, a ona tu stoi w białym bieliźnie.

– To dla mnie wielki zaszczyt. Ale muszę zapytać...

– Dlatego że jesteś niespotykane uzdolnioną młodą kobietą. Oraz dlatego że Biały Zając jest świadomy, że pewne składowe Pięciu Smoków mają coraz większy wpływ na LDC, i chciałby ten wpływ zrównoważyć.

– Mackenzie.

Żadna rodzina tak otwarcie jak oni nie dąży do politycznej władzy. Adrian Mackenzie, najmłodszy syn Duncana, prezesa, jest *oko* Jonathona Kayode, Orła i szefa Lunar Development Corporation. Robert Mackenzie, patriarcha klanu, od dawna prowadzi kampanię na rzecz likwidacji LDC i pełnej księżycowej niepodległości, bez ojcowskiego nadzoru Ziemi. *Księżyc jest nasz*. Ariel zna polityczne argumenty, wie, kto jest graczem, ale nigdy się tym nie interesowała. Już sama praktyka w księżycowym prawie małżeńskim, jak w żadnym innym, jest chaotycznym labiryntem dozgonnych lojalności, syczących przez zęby uraz i odwiecznych konfliktów. Do spółki z polityką LDC to prawdziwa mieszanka wybuchowa. Ale stanowisko przybocznej Orła... Może nigdy nie zaznała na skórze dotyku księżycowego pyłu, ale jest Cortą, a Cortowie żywią się władzą, mocą i siłą.

– W kręgach władzy są osoby, które sądzą, że najwyższy czas, żeby Cortowie dali sobie spokój z izolacją i stali się pełnoprawnymi uczestnikami księżycowej polityki.

Z całej rodziny Ariel jest najbliższej politycznych wpływów. Rafa, *bu-hwaejang* Corta Hélio, ma władzę ekonomiczną; Corta Hélio oświetla ziemską noc; Adriana, założycielka i matrona Corta Hélio, ma władzę moralną. Cortowie nie są jednak powszechnie szanowani przez starsze rody. Jako Piątego Smoka uważa się ich za dorobkiewiczów, przestępców, którzy przeszli na uczciwą stronę, uśmiechniętych morderców, kowbojów karioków. Cortowie wbijają ci nóż z uśmiechem. Z tym koniec – koniec kowbojów karioków i helowych helotów. Oto jest zaproszenie do stołu władzy. Oto zgoda, by Cortowie weszli w poczet wysokich rodów. *Mamãe* będzie prychać – komu potrzebna jest aprobata tych degeneratów, tych zgnuśnialych pasożytów? – ale ucieszy się w imieniu Ariel. Ariel zawsze miała świadomość, że nie jest ukochanym, wyróżnionym dzieckiem, lecz Adriana była dla niej ostra właśnie dlatego, że od córki oczekiwała więcej niż od synów.

– To jak, przyjmujesz? – pyta sędzia Nagai. – Już bym zlazła z tej umywalki.

– Oczywiście, że przyjmuję. Myślałaś, że co powiem?

– Mogłabyś najpierw to przemyśleć, przeanalizować – podsuwa sędzia.

– Ale po co? – Ariel autentycznie i otwarcie się dziwi, wytrzeszczając oczy. – Byłabym idiotką, gdybym tego nie przyjęła.

– Twoja rodzina też może mieć zdanie...

– Moja rodzina to ma takie zdanie, że powinnam tkwić w João de Deus i pocić się w skafandrze i w pyłe. Dziękuję. – Unosi kieliszek z martini. – Moje zdrowie. Ariel Corta, Biały Zając.

Sędzia Nagai muska brew palcem wskazującym. „Można wrócić do świata monitoringu”. Ariel wymrukuje z powrotem Beijaflora. Pojawia się chowaniec sędzi, Oko. Drukarka gra melodyjkę. Sukienka Balenciagi jest gotowa. Beijaflor już dopasowuje się do niej kolorystycznie.

Mała Luna Corta jest ubrana w sukienkę-bombkę drukowaną w piwonie. Jest biała, zebrana u dołu, w jaskrawokarmazynowe kwiaty. Pierre Cardin. Luna ma jednak osiem lat i męczą ją eleganckie stroje. Zrzuca z nóg buty i pędzi boso pomiędzy bambusami. Jej chowaniec to także Luna – limonkowozielona ćma *Actias luna* z wielkimi niebieskimi „oczami” na skrzydłach. „Ćmy luna są z Ameryki Północnej, nie Południowej, powtarzała jej babcia Adriana. „A w ogóle nie powinnaś nazywać chowańca tak samo jak siebie. Ludzie mogą nie wiedzieć, z kim rozmawiają”.

Motyle wyrrywają się spod pokrywki i wirują Lunie nad głową, niebieskie, błękitne jak sztuczne niebo i wielkie jak jej dłoń. Dzieciaki Asamoah przyniosły je w pudełku na przyjęcie i wypuściły. Luna klaszcze z zachwytem w dłonie. W Boa Vista nigdy nie widziała żadnych zwierząt, bo babcia się ich brzydzi. Nie wpuści do Boa Vista niczego włochatego, łuskowatego ani skrzydlatego. Luna goni za wstęgą powoli trzepoczących skrzydłami motyli, biegnie nie po to, by je złapać; chce po prostu być swobodna i unosić się w powietrzu jak one. Powietrze faluje, bambus zaczyna szeleścić, niesie się dźwięk głosów, muzyka i zapach jedzenia. Mięso! Luna nie posiada się z radości. Rozkojarzona przez zapach grillowanego mięsa przeciska się między falującymi wysokimi łodygami bambusa. Za nią, pomiędzy olbrzymimi kamiennymi twarzami *orixas*, sływa

powolny wodospad.

Trzy i pół miliarda lat temu magma wyrwała się z żywego serca Księżyca i zalała *Mare Fecunditatis*; powoli spłynęła w doliny, potworzyła wały i magmowe tunele. Potem serce Księżyca umarło, magma ostygła, a puste tunele po lawie zostały, zimne i ciemne niczym tajemne, skostniałe tętnice. W roku 2050 Adriana Corta zeszła takim szybem po linie, opuściwszy się z tunelu wywierconego przez jej geologów pod Morzem Obfitości. Jej latarka wydobyła z mroku cały ukryty świat – nienaruszony tunel magmowy mający sto metrów wysokości, sto szerokości i dwa kilometry długości. Pusty dziewiczy wszechświat, drogocenny jak geoda. „To jest to”, obwieściła Adriana Corta. „Właśnie tu powstanie moja dynastia”. W pięć lat jej maszyny zaaranżowały w środku ogród, wyrzeźbiły wielkie jak kwartały ulic twarze bogów *umbandy*, zorganizowały obieg wody oraz wypełniły pustą przestrzeń balkonami i mieszkaniami, altanami i galeryjkami. To właśnie jest Boa Vista, rezydencja rodziny Corta. Nawet teraz, w czasie imprezy, grunt drży – głęboko pod ścianami pracują wrębiarki, koparki i spiekarki, budujące pomieszczenia i robiące miejsce dla pokolenia Luny i kolejnych.

Dziś jest przyjęcie z okazji Księżycowego Biegu Lucasinho, zatem Boa Vista otworzyło swoje zielone serce dla księżycowego towarzystwa. Luca Corta lawiruje między *amorami* i *madrinhas*, rodziną i świtą, Asamoah i Sunami, Woroncowami, nawet Mackenzie oraz ludźmi nienależącymi do żadnego z wielkich rodów. Wysokie trzecie pokolenie i niskie, przysadziste pierwsze. Suknie, garnitury, mankiety i halki, wieczorowe rękawiczki, kolorowe buty. Tuzin kolorów skóry i oczu. Bogactwo i uroda. Przyjaciele i wrogowie. Luca Corta zna to od urodzenia, ten dźwięk spadającej wody, ten szmer sztucznego wiatru w bambusach i gałęziach. Nie zna innego świata. A w taki szczególny dzień jak dziś podaje się mięso.

Kucharze rozstawili elektryczne grille pod przewieszką dolnej wargi Oxuma. Nadziewają mięso na szpady i obracają je. Tłusty dym niesie się ku sztucznemu niebu, nastawionemu dzisiaj na pogodne błękitne popołudnie z przelotnymi chmurami. Słoneczne ziemskie popołudnie. Kelnerzy noszą między gośćmi wielkie tace mięsa na szpadach. Luna staje na drodze jednej z kelnerek.

– O, jaka piękna sukienka – mówi kelnerka bardzo kiepskim portugalskim. Jest niska, niewiele wyższa od Luny i kwadratowa. Za dużo się rusza jak na tutejsze ciążenie. Zieluniaczka, dopiero co wysiadła z cyklera. Jej chowaniec to tania skórka z przenikających się czworościanów.

– Dziękuję – mówi Luna, przechodząc na globo, uproszczony angielski służący za wspólny język. – Mnie też się podoba.

Kelnerka podsuwa Lunie tacę.

– Kurczak czy wołowina?

Luna bierze tłusty soczysty szaszłyk z wołowiny.

– Nie pobrudź sobie sukienki, jest taka piękna. – Ma akcent *norte*.

– Mnie się to nie zdarza – odpowiada Luna z ogromną powagą i oddala się, skacząc po kamiennej ścieżce obok strumienia i jednocześnie odgryzając drobnymi białymi zębami kęsy krwistej wołowiny.

Jest Lucasinho, elegancko wystrojony, w klapie ma Panią Lunę, a w ręku kieliszek z blue moon martini. Otaczają go towarzysze z Księżycowego Biegu. Luna poznaje jedną dziewczynę, Asamoah, i drugą, Sun. Sunowie i Asamoah zawsze byli jak członkowie rodziny. Łatwo też poznać dziwnego bladego chłopaka, Woroncowa. Jak wampir, myśli Luna. A ta dziewczyna to pewnie Mackenzie. Cała w złocie.

– Śliczne masz piegi – obwieszcza Luna, wciskając się w środek grupki wokół Lucasinha. Patrzy dziewczynie Mackenzie prosto w twarz.

Śmieją się z jej beczelności, a Mackenzie najgłośniej.

– Luna – mówi Lucasinho. – Idź z tym mięsem gdzie indziej.

Wypowiada to jak żart, lecz Luna wie, o co chodzi. Jest na nią zły. Przeszkadza mu gadać z Abeną Asamoah. Pewnie chce ją namówić na seks. Co za nałogowiec! A pod nogami ma cały rząd odwróconych kieliszków. Nałogowiec i pijak.

– Po prostu mówię. – Cortowie mówią, co myślą. Luna wyciera usta wierzchem dłoni. Mięso, a teraz słyszy muzykę. – Ja też mam piegi!

Dotyka palcem swoich kortańsko-asamozańskich policzków i znów puszcza się biegiem. W poszukiwaniu muzyki przeskakuje po ułożonych w poprzek rzeki kamieniach. Rozchlapuje wodę, wzbijając opadającą powoli pianę. Goście

gruchają, popiskują, usuwając się spod bryzgów, ale uśmiechają się. Luna wie, że jej urok wszystkich obezwładnia.

– *Tio* Lucas!

Podbiega i obejmuje go za nogi. Kto ma być tak blisko muzyki, jak on? Rozmawia z tą imigrantką, która podawała jej mięso. Teraz ma tacę z niebieskimi koktajlami. Luna przerwała mu. Mierzwi jej ciemne kręcone włosy.

– Luna, *coração*, teraz leć. Dobrze? – Obraca ją delikatnym dotknięciem ramienia.

A odchodząc, słyszy jeszcze, jak mówi do kelnerki:

– Macie już nie podawać mojemu synowi alkoholu. Czy to jasne? Nie ma mowy, żeby się upił i zblaźnił na oczach wszystkich. Prywatnie może sobie robić, co chce, ale nie może narażać dobrego imienia rodziny. Jeśli do końca dnia ktoś mu da choćby kropelkę, wszyscy, co do jednego, lądujecie w Bairro Alto. Będziecie zebrać o używany tlen i pić szczyny. Nic osobistego. Proszę to przekazać waszemu menedżerowi.

Luna uwielbia wujka Lucasa, to, jak umie zniżyć się do jej wzrostu, jego drobne gierki, sztuczki i żarty, które mają tylko dla siebie, choć czasami zdarza się, że jest wysoki i odległy, w innym świecie, twardym, zimnym i wrednym. Luna widzi blady strach w oczach imigrantki i strasznie jej szkoda tej kobiety.

Ręce łapią ją, unoszą wysoko, wyrzucają w powietrze.

– Hej, hej, *anzinho!*

I łapią ją, gdy opada, lekka jak piórko, z sukienką w piwonie zadartą aż na twarz. Rafa. Luna przywiera do ojca.

– No, skarbie, zgadnij, kto teraz przyjechał. *Tia* Ariel. Idziemy jej poszukać?

Rafa ściska Lunę za rękę, a ta z entuzjazmem kiwa głową.

Ariel Corta w zabójczej sukni wychodzi ze stacji, wkraczając do wielkiego ogrodu Boa Vista. Warstwy sukienki od Balenciagi z roku 1958 polatują w księżycowym ciężeniu jak kwiatowe płatki. Przez tłum gości przechodzi szmer. Ariel Corta. Każdy słyszał o sprawie Alayoum kontra Filmus.

Luna rzuca się ku cici. Ariel łapie ją w pół skoku i okręca, dziewczynka piszczy z radości. Teraz przychodzi jej *madrinha*, Mônica. Czułe uściski, całusy. Amanda Sun, żona Lucasa. Lousika Asamoah, matka Luny. Teraz Rafa: unosi siostrę wysoko, aż ta błaga, żeby uważał na suknię. Jego druga *oko*, Rachel Mackenzie, jest w Królowej Południa z synem Robsonem. Jej stopa nigdy nie postąpiła w Boa Vista. Ariel cieszy się, że Rachel tu nie ma. Mają prawne porachunki, a Mackenzie są mściwi.

Potem sam księżycowy biegacz we własnej osobie. Przy ciotce jest niezręczny i skrępowany, nie to, co przy kumplach. Ariel kładzie na moment palec na jego plakietce z Doną Luną, prowadząc jego wzrok do identycznej na jej sukni: wyobraź sobie, jak biegnę po Księżycu, cała naga i oszroniona.

Teraz świta rodziny: Helen de Braga, dyrektor finansowy – postarzała się, odkąd Ariel ostatni raz odwiedziła Boa Vista – oraz stary, prosty jak trzcina Heitor Pereira, szef ochrony. Na sam koniec pojawia się Lucas. Całuje siostrę ciepło. Tylko ją jedną z rodzeństwa traktuje jak równą sobie. Szept: chce słówko na osobności. Ariel dłonią w rękawiczce zręcznie chwyta martini z mijającej ją tacy.

– I jak tam klimat w Południku? – pyta Lucas. – Jakoś ciągle nie mam czasu, żeby się tam wybrać.

Ariel wie, że brat uważa to za nielojalność, że wybrała prawo, a nie Corta Hélio.

– Wygląda na to, że jestem sławna. Chwilowo.

– Coś tam słyszałem. Plotki i pogłoski.

– Bardziej konkretne niż woda i tlen.

– Słyszałem jeszcze, że *Piotrem i Pawłem* przyjeżdża delegacja China Power Investment Corporation. Plotki mówią, że chcą się dogadać i kupić całą pięcioletnią produkcję Mackenzie Metals.

– Ja też coś podobnego słyszałam.

– I jeszcze, że Orzeł wyprawia dla nich fetę powitalną.

– Wyprawia. I tak, mam zaproszenie. – Ariel wie, że sieć informacyjna brata jest na tyle skuteczna, by donieść mu o kuluarowej rozmowie z sędzią Nagai.

– Zawsze miałaś talent do polityki towarzyskiej. Tego ci strasznie zazdroścę.

– Nie wiem, Lucas, co masz na myśli, ale nie.

Lucas unosi dłonie w przeproszającym geście.

– Powtórzyłem ci tylko parę plotek.

Ariel śmieje się perliście, lecz Lucas to drapieżnik, Lucas to stal, Lucas ma ją w potrzasku. Wtem, w obłoku drobnego księżycowego pyłu, pojawia się wybawca.

Może trochę mięsa? Może soku? Lucas osaczył *tię* Ariel. Wujek Lucas jest nudny, kiedy tak z kimś gada, prawie przytykając do niego twarz. Wtem Luna wytrzeszcza oczy, rozdziawia usta. Wydaje z siebie podekscytowany pisk.

Wąwozem kroczy postać w elastyku. Pod prawą pachą ma hełm, w lewej dłoni plecak podtrzymywania życia. Stopy w buciorach, a obcisły skafander to jedna pstrokaczna – logo, paski odblaskowe, światełka nawigacyjne, odznaki z rajdów. Jego chowaniec wyostrza się, piksel za pikselem, nawiązując połączenie z siecią Boa Vista. Sypie się z niego pył, zostawia za sobą osiadający powoli srebrzystoczarny ślad.

– Carlinhos!

Carlinhos Corta widzi, że bratanica pędzi ku niemu, więc się cofa, ona jednak zderza się z nim, chwytą za nogi, wzniesając ogromną chmurę pyłu, który osiada na pięknej kwiecistej sukience jak sadza.

Dwa kroki za Luną nadchodzi Rafa. Wymienia z młodszym bratem parę markowanych ciosów, kończy żółwikiem.

– Przyjechałeś po wierzchu?

Carlinhos pokazuje na dowód hełm. W pstrokatym elastyku, roztaczając ostry prochowy zapach księżycowego pyłu, robi na przyjęciu za pirata. Stawia na ziemi plecak z systemem podtrzymywania życia i łapie blue moon, wychyla go jednym haustem.

– To jest coś. Po dwóch godzinach jazdy lunicyklem i picia własnych szczyń...

Rafa kręci głową z podziwem dla szaleństwa.

– Któregoś dnia zginiesz przez te durne motory. Może nie dzisiaj, może nie jutro, ale któregoś dnia przydarzy się rozbłysk, a ty będziesz na motorze, na

zadupiu, pięć godzin od wszystkiego. I będzie. Smażona. Dupa. Karioki. – Każde słowo akcentuje szturchańcem w ramię.

– A ty kiedy ostatni raz byłeś na powierzchni? – Carlinhos na niby wali go pięścią w brzuch. – Co to ja czuję? Brzuszek? Masz zero kondycji, *irmão*. Trzeba by cię doprowadzić do księżycowej sprawności. Za dużo siedzisz na spotkaniach. My robimy w wydobywaniu helu, a nie w księżycowości.

Najmłodszy i najstarszy z Cortów pasjonują się sportem. Pasją Carlinhosa są powierzchniowe rajdy na motocyklach. Jest pionierem tego ekstremalnego sportu. Od zera zaprojektował lunicykle i specjalne skafandry. Przerzył trasami całe *Montes Apenninus*, opracował rajd na wytrzymałość przez *Mare Serenitatis*. Natomiast sport Ruffy jest bezpieczniejszy i bardziej halowy. Jest właścicielem drużyny z Księżycowej Ligi Piłki Ręcznej. Zajmują w I lidze wysokie miejsce. To wspólna mania Ruffy i jego szwagra, Jadena Wen Suna, właściciela Tygrysów Słońca. Konkuruje ze sobą z humorem i zacięciem.

– Zostaniesz na trochę po imprezie? – pyta Rafa.

– Przyznałem sobie urlop w nagrodę. – Carlinhos przez trzy luny siedział na *Mare Tranquillitatis* i zdobywał hel.

– To przyjdź na mecz. Zobaczysz, co robimy.

– Przegrywacie, z tego, co słyszałem? A gdzie nasz księżycowy biegacz? Mówili mi o tym chłopaku Asamoah. Dobra robota. Jakby kiedyś chciał popracować na zewnątrz, to ja go biorę.

– Lucas nie ma tego w jego życiowym planie.

Dwa kroki za Carlinhosem idzie drugi młody człowiek w skafandrze, równie śniady, jak Carlinhos jasny, o pięknych kościach policzkowych i wąskich drapieżnych oczach.

– Wagner, *irmão* – mówi Rafa.

Druga runda żółwików. Wagner, najmłodszy z braci, uśmiecha się nieśmiało.

Luna trzyma się nogi wujka Carlinhosa, cała umorusana księżycowym pyłem.

– Niech no was zobaczę! – woła Ariel, przybywając z całą świtą. – Wspaniałe chłopaki!

Pochyliła się, żeby ich ucałować, ale nie dotyka. Nie ma mowy, żeby ubrudzić sobie taką suknię.

Zjawia się Lucas, taktycznie spóźniony. Wita się z Carlinhosem uprzejmie, ale zdawkowo. Potem skupia uwagę na Wagnerze.

– Uwielbiam przyjęcia. Ci dalecy krewni, których się nigdy nie widuje...

– Wagner jest tu na moje zaproszenie – mówi Carlinhos.

– Oczywiście – mówi Lucas. – Czuj się jak u siebie.

Pomiędzy Wagnerem a Lucasem przeskakuje łuk czystej nienawiści, potem Carlinhos bierze Wagnera za łokieć i uprowadza w wir przyjęcia.

– Luna, leć do *madrinhi* Elis – mówi Rafa.

– Trzeba cię trochę otrzepać – mówi *madrinha* Elis.

Jest paulistaną, o grubych rysach i mocnej budowie, o całą głowę niższą od pokolenia urodzonego na Księżycu. Ziemskie ciała są najlepsze na surogatki. Cortowie tylko Brazylijkom dają rodzić swoje dzieci. Bierze za rękę usmoloną Lunę i odchodzi od rozmowy dorosłych, żeby popatrzeć na muzyków.

– Lucas, nie tutaj – mówi łagodnie Rafa.

– On nie jest Cortą – stwierdza po prostu Lucas.

Czyjaś dłoń dotyka wierzchu jego dłoni. Podeszła do niego Amanda Sun.

– To było wredne, nawet jak na ciebie – drwi.

Amanda Sun jest z trzeciego pokolenia, po księżycowemu wysoka, wyższa nawet od swojego męża. Jej chowaniec to ideogram *chen*, Grom, ciemnoczerwony. U Sunów tradycyjnie ubiera się chowańce w skórki z *Księgi przemian*.

– Dlaczego? To prawda – burzy się Lucas.

Elity zdumiały się, gdy Amanda Sun przeprowadziła się z Pałacu Wiecznego Światła do niedokończonego Boa Vista. *Nikah* niczego takiego nie przewidywała, a małżeństwo było istotne i dynamiczne – zawierała więc sporo warunków, postanowień, klauzul unieważniających. Mimo to Amanda Sun przeniosła się do Boa Vista i mieszka tu od siedemnastu lat. Wydaje się tu równie na miejscu, jak błogo spokojne *orixas* czy płynąca woda. Elity, bo ich część wciąż się sprawą interesuje, sądzą, że ma jakiś długoterminowy plan. Sunowie należeli do pierwszych osadników i razem z Mackenziemi uważają się za stare rody, prawdziwą księżycową arystokrację. Przez pół wieku walczyli z hegemonią Chińskiej Republiki Ludowej, która traktowała ród Sunów jako swój

księżycowy przyczółek. Wszyscy się zgadzają, że żaden Sun nigdy nie weźmie ślubu bez porządnego namysłu.

Jednakże Lucas ostatnie pięć lat przemieszkał w swoim apartamencie w João de Deus.

Muzyka – dyskretny bossa jazz – cichnie. Kieliszki zatrzymują się w pół drogi do ust. Milkną rozmowy, słowa wyparowują, nie udają się pocałunki. Wzrok wszystkich przykuwa drobna kobieta, która wyłoniła się z drzwi pomiędzy ogromnymi łagodnymi twarzami *orixas*.

Wchodzi Adriana Corta.

– A nie będą cię szukać?

Lucasinho wziął Abenę Maanu Asamoah za rękę i wyprowadził daleko od uczęszczanych miejsc, w korytarze oświetlone odblaskami światła z innych pomieszczeń – bo roboty budowlane potrzebują światła – przeprowadził świeżo wrytymi komorami i salami, które wciąż wibrowały od wgryzających się w skałę maszyn.

– Przez sto lat będą tam się całować po rękach i wygłaszać przemówienia. Mamy masę czasu. – Przyciąga Abenę do siebie.

Dzięki lampom grzejnym jest tu cieplej niż standardowe podpowierzchniowe minus dwadzieścia, lecz oddech i tak skrapla się w parę, a Abena dygocze w sukience koktajlowej. Księżyc ma zimne serce.

– Co takiego szczególnego chcesz mi dać?

Przesuwa rękę w dół, po jej boku, na biodro. Ona odpycha go ze śmiechem.

– Kojo dobrze mówił. Zły chłopak z ciebie.

– Zły jest dobry. Ale daj spokój. Chodź no tu, przecież biegliśmy razem przez Księżyc. – Druga dłoń dotyka jej plakietki z Panią Luną, przekrada się jak pająk na odkrytą górną część piersi. – I żyjemy. Żyjemy bardziej niż wszystko inne na tej skale. Tu i teraz.

– Lucasinho, nie.

– Uratowałem twojego brata. Mogłem umrzeć. Zresztą prawie umarłem.

Byłem w komorze hiperbarycznej. A potem wprowadzili mnie w śpiączkę. Zawróciłem i uratowałem Kojo. A nie musiałem. Wszyscy dobrze wiemy, jakie jest ryzyko.

– Lucasinho, przestań, bo wszystko zmarnujesz.

Unosi dłonie: „poddaję się”.

– Co ty tam masz?

Abena rozwiera prawą dłoń. Coś srebrnego, połyskujący metalowy ząb. Nagle przytyka rękę do lewego ucha Lucasinho. Ten krzyczy, unosi dłoń do ucha, czując niespodziewany ból. Na palcach ma krew.

– Co ty mi zrobiłaś? Jinji, co ona zrobiła?

Jesteśmy poza zasięgiem kamer, mówi Jinji. Nic nie widzę.

– Dałam ci coś, żebyś pamiętał o Kojo.

Może to od czerwonego blasku lamp grzejnych, ale Lucasinho dostrzega w jej oczach iskrę, której nigdy dotąd nie widział. Patrzy teraz na Abenę zupełnie inaczej. Kim ona jest?

– Wiesz, co się o tobie mówi? Że robisz sobie kolczyk za każde złamane serce. No widzisz, a ode mnie dostajesz coś innego. Ten kolczyk to całe serce, nie jest złamane. To obietnica. Jeśli będziesz potrzebował od Asamoah pomocy – naprawdę będziesz potrzebował, kiedy będziesz samotny, nagi i bezbronny jak mój brat, prześlij ten kolczyk. Ja nie zapomnę.

– To bolało! – kwęka Lucasinho.

– To dobrze. Nie zapomnisz – mówi Abena.

Na palcu wskazującym ma smużkę jego krwi. Zlizuje ją, bardzo powoli i bardzo zmysłowo.

Adriana Corta stoi drobna i elegancka pośród swoich wysokich dzieci i jeszcze wyższych wnuków. Księżycowe ciążenie łagodnie traktuje wiek – skórę ma gładką, bez zmarszczek, mimo siedemdziesięciu dziewięciu lat trzyma się prosto, a porusza się z gracją debutantki. Wciąż stoi na czele Corta Hélio, choć od miesięcy nie wychyliła nosa z Boa Vista. Nawet dla jego mieszkańców

stanowi teraz rzadki widok.

Jednakże dla rodziny wciąż potrafi urządzić spektakl. Wita się ze swoimi dziećmi. Trzy buziaki dla Rafaela i Ariel. Dwa dla Lucasa i Carlinhosa, jeden dla Wagnera. Luna wyrywa się *madrinhi* Elis i biegnie do vovo Adriany. Ta wzdycha, widząc czarne smugi na sukni w stylu Ceil Chapman.

Adriana nie nosi znaczka z panią Luną. W młodych, szalonych latach opła się próżni więcej niż wszyscy księżycowi biegacze z Boa Vista.

Lucas postępuje za ramieniem matki, gdy ta idzie wzdłuż szeregu wnuków, *madrinhas*, oko i gości. Z każdym potrafi zamienić słówko. Dłuższą rozmową wyróżnia Amandę Sun i Lousikę Asamoah, *keji-oko* Rafy.

– No dobrze, a gdzie ten Lucasinho? – pyta Adriana Corta. – Dawać tu bohatera.

Lucas uświadamia sobie, że syna nigdzie nie ma. Zagryza złość.

– Zaraz go znajdę, mamó. – Toquinho próbuje dzwonić, ale chłopak jest poza zasięgiem.

Adriana Corta cmoka z dezaprobatą. Etykieta nie zostanie dopełniona, póki mu nie pogratuluje – to przyjęcie na jego cześć. Lucas podchodzi do muzyków, nieduży ansambl: gitara, fortepian, kontrabas i delikatnie szemrzące miotełkami bębny.

– Znacie *Aguas de Marco*?

– Oczywiście. – To standard, klasyka.

– Zagrajcie to pięknie. To ulubiony utwór mojej mamy.

Gitarzysta i pianistka kiwają do siebie, odliczają, ruszają w subtelny off-beat. *Marcowe deszcze*, stara i przepiękna piosenka, którą Adriana Corta śpiewała swoim dzieciom, gdy *madrinhas* je przynosiły i kładły jej na kolanach, śpiewała im nad łóżeczkami. To impresjonistyczny jesienny utwór o deszczu, patykach, drobnych żyjątkach, o wszechświecie skrytym w tym, co małe, jednocześnie radosna i przesycona *saudade*. Męski i żeński głos zmieniają się wersami; reagują nawzajem na swoje sygnały, żywo i radośnie. Lucas słucha uważnie, z pasją. Oddech ma płytki, ciało całe spięte. W kącikach oczu pojawiają się łzy. Muzyka zawsze bardzo go poruszała, a zwłaszcza stara, brazylijska. Bossa nova, MPB^[1]. Muzyka do wind; muzyka środka, nudziarstwo, bezjajeczny smooth

jazz. Ci, co tak mówią, nie mają uszu, nie umieją słuchać. Nie słyszą *saudade*, błógiego smutku płynącego z przemijania, który zaostrza wszystkie radości. Nie słyszą milczącej rozpacz, nie czują, że pod powierzchnią piękna i leniwej błogości dzieje się strasznie, strasznie źle.

Zerka na matkę. Kiwa głową do wijącego się rytmu, oczy ma zamknięte. Sprawił, że zapomniała o marnotrawnym Lucasinho. Lucas zajmie się nim później.

Punktem kulminacyjnym piosenki są dwie linie melodyczne grające ze sobą w capoeirę, pojedynczymi słowami wcinające się w siebie nawzajem, robiące uniki i przewroty. I gitarzysta, i pianistka są bardzo dobrzy. Lucas nigdy nie słyszał o tym zespole, ale słucha ich z ogromną przyjemnością. Piosenka się kończy. Lucas przełyka emocje. Klaszcze głośno i dobitnie.

– Bravo! – woła.

Dołącza doń Adriana, potem Rafa, Ariel. Carlinhos, Wagner. Owacja rozchodzi się falą wśród gości.

– Bravo!

Znów ruszają w obieg trunki, chwila zażenowania zapomniana, przyjęcie toczy się dalej. Lucas podchodzi do gitarzysty na słówko.

– Dziękuję. Czujesz bossę. *Mamãe* się bardzo podobało. Byłbym zobowiązany, gdybyś mógł przyjść i wystąpić tylko dla mnie, w moim domu w João de Deus.

– Będziemy zaszczyceni, proszę pana.

– Nie wszyscy. Tylko ty. Niedługo. Jak się nazywasz?

– Jorge. Jorge Nardes.

Chowańce wymieniają się kontaktami. Nagle kelnerka, zieluniaczka z Północy, z tacą w ręku, rzuca się na Rafaela Cortę.

Podoba jej się twardy strup na uchu Lucasinho. Przyjemnie jest go zrywać, niweczyć gojenie, wypuszczać odrobinę krwi. Abenie robi się od tego mokro pod balową suknią od Heleny Barber. Wrócili do sieci Boa Vista i Jinji już mógł pokazać Lucasinho prezent od niej – chromowy kieł biegnący łukowato wzdłuż

górnego brzegu małżowiny prawego ucha. Super wygląda. Uwodzicielsko. Jednakże ona ciągle nie daje mu się nawet objąć w talii.

Zanim dotrą do okna, już wiedzą, że coś jest nie tak. Nie słychać muzyki, głosów, nikt nie pluszcze się w basenie pod wodospadem. Krzyki, rozkazy wydawane po portugalsku i w globo. Żrenica kamiennego oka Xangô patrzy z góry na ogrody Boa Vista. Lucasinho widzi, że *escoltas* Cortów pilnują grupkę gości. Zespół muzyczny i kelnerzy stoją z rękoma za głową. Drony ochrony przepatrują rzeźbione ściany, ich lasery przez moment przeskakują po Lucasinho i Abenie.

– Co się dzieje? – pyta Lucasinho.

Jinji odpowiada w tej samej sekundzie, w której Abena robi zszokowaną minę.
Była próba zamachu na życie Rafaela Corty.

Ostrze noża dotyka krtani Mariny Calzaghe. Jeśli się ruszy, jeśli się odezwie, rozetnie jej ciało. Jest tak obłędnie ostre, że zadziałałoby bezboleśnie – nawet by nie poczuła, że ma przeciętą tchawicę. Ale musi się ruszyć, musi się odezwać, żeby przeżyć.

Stuka palcami w nóżkę kieliszka stojącego do góry nogami na tacy.

– Mucha – syczy przez zęby.

Muchy tak nie latają. Marina Calzaghe zna się na muchach. Pracowała przy łapaniu much. Na Księżycu owady – zapyłające, albo ozdobne motyle, jak te, które dzieciaki Asamoah wypuściły w powietrze Boa Vista – są koncesjonowane. Muchy, osy, dzikie chrząszcze zagrażają skomplikowanym ekosystemom księżycowych miast i tępi się je. Marina Calzaghe zabiła milion much i doskonale wie, że one tak nie latają – po linii prostej celującej w odsłoniętą skórę z boku podbródka Rafaela Corty. Rzuciła się z kieliszkiem, złapała muchę o milimetry od celu i uwięziła, stawiając kieliszek do góry nogami na tacy. W tym samym ułamku sekundy jej szyi dotknął nóż, wydobyty ze szmerem z ukrytej magnetycznej pochwy. Na końcu noża – *escolta* Cortów w szytym na miarę garniturze, z idealnie złożoną poszetką w kieszeni na piersi. A i tak wygląda jak

bandzior. I tak wygląda jak śmierć.

Heitor Pereira kuca sztywno, żeby przyjrzeć się przedmiotowi w kieliszku. Jak przystało na pierwszą generację, jest wielki i kwadratowy. Ogromny weteran marynarki wojennej gapiący się w odwrócony kieliszek – nawet śmieszne by to było, gdyby nie te noże.

– Owad-asasyn – mówi. – Z AKA.

Ostrza natychmiast okrążają Lousikę Asamoah. Ich czubki o milimetry od jej skóry. Luna krzyczy i płacze, wczepiając się w matkę. Rafael rzuca się na ochroniarzy. Faceci w garniturach otaczają go, unieruchamiają.

– *Senhor*, to dla pana bezpieczeństwa – mówi Heitor Pereira. – Ona może ukrywać broń biologiczną.

– To jest dron – szepcze Marina Calzaghe. – Widać ścieżki.

Heitor Pereira przypatruje się uważniej. Mucha obija się o szkło, lecz gdy momentami siada nieruchomo, na skrzydłach i pancerzu wyraźnie widać złote wzorki.

– Puścić ją. – Głos Adriany Corty jest cichy, za to ton tak rozkazujący, że każdy ochroniarz się kuli.

Heitor Pereira kiwa głową. Noże chowają się. Lousika bierze na ręce zapłakaną Lunę.

– I ją też – rozkazuje Adriana Corta.

Marina sapie, gdy nóż znika spod jej gardła i uświadamia sobie, że odkąd ochroniarz ją chwycił, nie oddychała. Zaczyna się trząść.

Lucas krzyczy.

– Lucasinho?! Gdzie Lucasinho?

– Ja się tym zajmę. – Heitor Pereira kładzie dłoń na stopce kieliszka. Wyjmuje z małej kabury pistolet impulsowy. Urządzenie jest wielkości kciuka, komicznie i niemęsko wygląda w jego ogromnej łapie. – Proszę wyłączyć chowańce.

W całym Boa Vista chowańce z mrugnięciem znikają. Marina wyłącza mrugnięciem swoją Hetty. Ten pedalski pistolecik ma dość mocy, żeby wyłączyć sieć w całym Boa Vista. Nic nie słyhać, nic nie widać, ale mała elektroniczna muszka przestaje się ruszać.

Lucas Corta nachyla się blisko do swojego szefa ochrony i szepcze do niego:

– Próbowali zabić mojego brata. Dostali się do Boa Vista, do naszego domu, i próbowali zabić mojego brata.

– *Senhor* Corta, sytuacja jest pod kontrolą.

– Sytuacja jest taka, że zamachowiec dotarł tak daleko, że od Rify dzieliło go tylko szkło z kieliszka. Na oczach gości ze wszystkich Pięciu Smoków. Na oczach naszej matki. Trochę słabo jak na sytuację pod kontrolą, co?

– Zbadamy tę broń. Dowiemy się, kto za nią stoi.

– To za mało, rozumiesz? W każdej chwili może nastąpić kolejny atak. To miejsce ma być zabezpieczone. Koniec imprezy.

– *Senhors, senhoras*, doszło do naruszenia bezpieczeństwa – obwieszcza Heitor Pereira. – Musimy zabezpieczyć Boa Vista. Muszę państwa poprosić o opuszczenie Boa Vista. Proszę się udać w kierunku stacji tramwaju. Można już bezpiecznie włączyć chowańce.

– Znajdź mojego syna! – rozkazuje mu Lucas.

Koledzy Lucasinho kręcą się zagubieni i zapomniani. Zdarzenia przyćmiły ich Księżycowy Bieg i uratowanie Kojo przez Lucasinho. Ochrona Boa Vista zagania gości z ogrodów w stronę stacji. Inni eskortują grandów rodu Corta do środka. Lucas mierzy Marinę Calzaghe lodowatym i żelaznym spojrzeniem. Ona cała dygocze w szoku.

– Nazwisko?

– Marina Calzaghe.

– Pracujesz w firmie cateringowej?

– Pracuję, gdzie tylko się da. A jestem... byłam... inżynierem produkcji.

– Od teraz pracujesz dla Corta Hélio.

Wyciąga dłoń. Marina ją ujmuje.

– Porozmawiaj z moim bratem Carlinhosem. Cortowie są ci zobowiązani.

I znika. Marina, wciąż otępiała z szoku, próbuje dojść, co się stało. Cortowie chcieli poderżnąć jej gardło, teraz ma dla nich pracować. Ale – Cortowie. Blake, wszystko będzie dobrze. Dostaniesz swoje leki. Nigdy już nie będziemy spragnieni. Będziemy swobodnie oddychać.

DWA

Luna Corta – dziewczynka-szpieg. Boa Vista ma pełno kryjówek, idealnych dla znudzonej dziewczynki. Któregoś dłużącego się poranka Luna śledziła robota sprzątającego i odkryła ten tunel serwisowy. Ciągnie ją do tuneli i kanałów, jak wszystkie księżycowe dzieci. Dorosły by tu nie wszedł, i dobrze, bo kryjówki i tajne przejścia mają być tajne. Tunel zrobił się przyciasny, odkąd pierwszy raz się do niego wczołgała i odkryła, że może z niego zajrzeć do prywatnego pokoju matki, a także, jeśli wstrzyma oddech, coś usłyszeć. Wierci się ukryta za oczami Oxossiego, jak nieżył w zatokach łowcy i obrońcy.

– Przyłożyli mi nóż do gardła.

Ojciec coś mówi, lecz ona nie słyszy. Przyciska się bliżej do kratki wentylacyjnej. Na twarz padają pyliste świetlne prążki.

– Rafa, oni przyłożyli mi nóż do gardła!

Luna widzi, że matka przesuwając palcami po szyi, wzdłuż zapamiętanego ostrza noża.

– Tylko dla bezpieczeństwa.

– A zabiliby mnie?

Luna znów się wierci, żeby mieć w wąskim polu widzenia oboje rodziców.

Ojciec siedzi na łóżku. Wydaje się mały, skurczony, jakby uszło zeń powietrze i światło.

– Bronili nas. Podejrzany był każdy, kto nie jest Cortą.

– Amanda Sun nie jest Cortą. Jakoś nie widziałam noża przy jej gardle.

– Bo to była mucha. Wszyscy wiedzą, że to wy używacie broni biologicznej.

– „My”?

– W sensie: Asamoah.

– Na imprezie byli jeszcze inni Asamoah. Abena Maanu na przykład. Nie widziałam, żeby ktoś rzucał się na nią z nożem. „My” czy może tylko „niektórzy z nas”, co?

– Po co to mówisz?

– Bo wy, Rafa, przyłożyliście mi nóż do gardła. I nie słyszę od ciebie ani słowa zapewnienia, że byście mi go nie poderżnęli.

– Nigdy bym do tego nie dopuścił.

– A gdyby twoja matka dała rozkaz, to powstrzymałbyś ją?

– Jestem *bu-hwaejangiem* Corta Hélio.

– Rafa, nie obrażaj mnie.

– Jestem zły, że nasza ochrona przyłożyła ci nóż do gardła. Jestem zły, że byłaś podejrzana. Jestem wściekły, ale dobrze wiesz, że tak wygląda życie tutaj.

– Wiem. Więc może ja wcale nie chcę żyć tutaj.

Luna widzi, że Rafa unosi wzrok.

– Wiem, jak wygląda życie w Twé. W Twé jest dobrze. I bezpiecznie. Wśród moich ludzi, Rafa. I chcę tam zabrać Lunę.

Luna aż się zachłystuje. Kanał jest tak ciasny, że nie może zatkać ust ręką, żeby zagłuszyć ten hałas. Mogli ją usłyszeć. Potem myśli jednak, że w Boa Vista ciągle coś szura i szeleści.

Rafa zrywa się na równe nogi. Kiedy jest wściekły, podchodzi blisko, tak blisko, że czuć jego oddech. Tak blisko, że pluje ci w twarz. Lousika ani drgnie.

– Luny nie zabierasz.

– Nie jest tu bezpieczna.

– Moje dzieci zostają ze mną.

– Twoje dzieci?

– Co, *nikah* nie czytałaś? Może za bardzo się śpieszyłaś, żeby wleźć do łóżka dziedzica Corta Hélio?

– Rafa. Nie mów tak. To niegodne ciebie. To niepodobne do ciebie.

Jego gniew już buzuje. Gniew to jego grzech główny. To ciemna strona jego sympatycznej osobowości. Łatwo się pobudza do wszystkiego: do śmiechu, do

zabawy, do miłości. I do wściekłości.

– A bo ja wiem? Może twoi planowali, że...

– Rafa. Przestań. – Lousika przyciska palce do jego ust. Wie, że jego gniew uspokaja się tak szybko, jak wybucha. – Nigdy, przenigdy nie spiskowałabym przeciwko tobie, ani ja, ani moja rodzina, żeby przejąć Lunę.

– Luna zostaje przy mnie.

– Tak. Ale ja nie.

– Nie chcę, żebyś odchodziła. To jest twój dom. Przy mnie. I przy Lunie.

– Nie jestem tu bezpieczna. I Luna też. Tylko że *nikah* nie pozwala mi jej zabrać. Gdybyś choć raz powiedział, że przepraszasz, że wasi *escoltas* rzucili się na mnie z nożami, może wyglądałoby to inaczej. Ale ty nie przepraszasz. Ty jesteś zły.

Teraz ojciec coś mówi, lecz Luna go nie słyszy. Nie słyszy niczego oprócz narastającego w głowie szumu, zapowiadającego najgorsze rzeczy na świecie.

Mamãe sobie pójdzie. Czuje ucisk w piersi. W głowie aż dzwoni od tego paskudnego syku, jakby uciekało powietrze i życie. Wyczołguje się pośpiesznie z tunelu, w którym usłyszała zbyt dużo. Porysowała sobie buty i rozdarła sukienkę Pierre'a Cardina o szorstki kamień.

Zdechłe motyle unoszą się na wodzie, deszcz zrobił z nich coś przypominającego krę. Lazurowa piana skrzydełek klei się do brzegów. Luna Corta siada wśród trupów.

– Hej, hej, co się stało? – Lousika Asamoah kuca obok córki.

– Motylki umarły.

– One nie żyją długo. Tylko jeden dzień.

– Podobały mi się. Ładne były. To nie fair.

– Tak są zrobione.

Lousika zrzuca buty i siada na kamieniu obok Luny. Macha stopami w wodzie. Błękitne skrzydełka oblepiają jej ciemne nogi.

– Ale mogliście zrobić, żeby żyły dłużej niż dzień – mówi Luna.

– Mogliśmy, ale co by jadły? Dokąd by poszły? Te motyle to ozdoba, jak flagi na Święto Yama.

– Nie. One są żywe.

– Luna, co się stało z butami? – pyta Lousika. – I z sukienką?

Luna patrzy na motyle kry powoli dryfujące z prądem.

– Ty wyjeżdżasz.

– Czemu tak myślisz?

– Słyszałam, jak mówiłaś.

Żadne z pytań, które mogłaby zadać Lousika, nie ma tutaj sensu.

– Tak. Wracam do Twé, do mojej rodziny. Ale tylko na trochę. Nie na zawsze.

– Na ile?

– Nie wiem, skarbie. Nie dłużej, niż będzie trzeba.

– Ale ja z tobą nie jadę.

– Nie. Bardzo bym chciała, strasznie bym chciała, bardziej nawet niż sama wyjechać, ale nie można.

– Mamo, a ja jestem bezpieczna?

Lousika tuli Lunę do siebie, całuje w czubek głowy.

– Jesteś. Tato cię obroni. Urwie głowę każdemu, kto spróbuje ci zrobić coś złego. Ja jednak muszę wyjechać, póki pewne sprawy się nie wyjaśnią. Wcale nie chcę. Bardzo będę tęsknić za tobą. Tato się tobą zaopiekuje, i *madrinha* Elis. Elis nie pozwoli ci zrobić krzywdy.

Te słowa palą ją w gardle. *Madrinhas*, matki zastępcze. Wynajęte macice, które stają się niańkami, potem nieoficjalnymi ciotkami, rodziną. Lousika jest w stanie to zrozumieć w przypadku małych rodzinnych firemek, takich jak Cortowie, kiedy trzeba budować biznes i nie ma czasu na ciążę, poród, niemowlęstwo. Ale w kolejnym pokoleniu? Robić tradycję z wszechobecnej gromady poważnych, powściągliwych *madrinhas*? Ona nie cierpiała tego, że to wysoka *madrinha* Elis z brazylijskimi kośćmi policzkowymi nosiła jej dziecko i rodziła je. Była wstrząśnięta, gdy Rafa powiedział jej o surogatce, jakby to było oczywiste i ustalone. I to jest „po Cortowemu”. Włóż to we mnie, niech we mnie rośnie, ja to donoszę i wycisnę na świat. Nie potrzebuję Madonny Poczęcia, żeby połączyć twój plemnik z moim jajeczkiem i powiedzieć „niech się stanie życie”.

Nie potrzebuję patrzeć, jak wasze boty ginekologiczne wkładają zygotę smukłej uśmiechniętej Elis, ani jak z każdym dniem robi się szersza i okrąglejsza. Nie potrzebuję wyników, obrazów USG, codziennych informacji, jak rozwija się jej ciąża. I nie było mi potrzebne zamykanie się w pokoju, płacz i ciskanie rzeczami, kiedy Elis poszła pod nóż. Luno, to powinnam być ja. To moją uśmiechniętą i wyczerpaną, zapłakaną twarz powinnaś zobaczyć jako pierwszą. Asamoah. Życie płynie, życie się przelewa, życie wytryskuje wszystkimi naszymi płynami i sokami. Jestem zdrowa, płodna, wszystko zadziałałoby naturalnie, wspaniale, gładko. Ale to nie po Cortowemu.

Kocham cię, Luno, ale po Cortowemu cię nie pokocham.

Lousika obejmuje Lunę, kołysze nią, uspokajając zarówno ją, jak i siebie. Jedna mucha-asasyn zburzyła jej cały świat. To nie jest ogród bogów i wodny pałac. To wyryty w skale tunel. A wszystkie wypełnione światłem agraria jej rodziny, wszystkie miasta, osiedla i fabryki, to kruche skorupki, marne obozowiska, broniące się przed próżniowym niebem i morderczym słońcem. Wszyscy są w niebezpieczeństwie. Cały czas. Nigdzie nie uciekniesz, nigdzie się nawet nie schowasz.

– Twój ojciec, nasz kontrakt i wszyscy mogą mówić, że jesteś Cortą, ale ty jesteś Asamoah. Jesteś Asamoah, bo ja jestem Asamoah, i moja matka przede mną też. Tak jest po naszymu.

Lucas Corta w sali posiedzeń zarządu zmiata ręką ze stołu wirtualne dokumenty.

– Nie mam na to czasu. Skąd się wzięła? Kto ją zrobił?

Heitor Pereira pochyła głowę. Jest o głowę niższy i o dziesięć lat bardziej siwy od wszystkich przy tym stole, z wyjątkiem Adrianie Corty i jej dyrektora finansowego, Helen de Bragi, mrocznego aspektu Corta Hélio.

– Cały czas analizujemy...

– Mamy najlepszy ośrodek R&D na całym Księżycu i nie da się stwierdzić, kto to zrobił?

– Podjęli nadzwyczajne środki, żeby usunąć wszystko, co mogłoby zidentyfikować drona. Układy scalone są generyczne, odcisk palca drukarki też niewidoczny.

– Czyli nie wiesz.

– Jeszcze nie wiemy. – Wszyscy przy stole słyszą, że Heitorowi drży głos.

– Nie wiesz, kto ją zrobił, nie wiesz, kto ją wysłał, nie wiesz, jak przeszła przez ochronę. Nie wiesz, czy w tej chwili kolejna mucha nie zaatakuje mojego brata, mnie albo naszej matki, Boże broń. Jesteś szefem ochrony i nie wiesz nic z tych rzeczy?

Lucas wbija weń wzrok. Twarz Heitora zaczyna drgać.

– Jesteśmy w trybie całkowitego bezpieczeństwa. Monitorujemy wszystkie obiekty większe od płatka skóry.

– A co, jeśli ona już tu jest? Ktoś mógł ją podrzucić wiele miesięcy temu. Przyszło ci to do głowy? Może właśnie budzi się dziesięć takich? Albo sto? Wystarczy, że raz im się poszczęści. Wiem, jak działają nowoczesne trucizny. Zmuszają cię do czekania. Czekania godzinami, w bólu; wiesz, że każdy kolejny oddech jest płytszy niż poprzedni, wiesz, że nie ma odtrutki, wiesz, że umrzesz. Bardzo długo patrzysz na śmierć. Dopiero wtedy pozwalają ci umrzeć. I wiem, że ktoś próbował taką trucizną zatruć mojego brata. Tyle wiem. A teraz mów, co ty wiesz.

– Lucas, dosyć. – Adriana Corta zajmuje miejsce u szczytu stołu.

Od miesięcy stało puste, zastępował ją tylko wielki i niestaranny portret na ścianie, w skafandrze, jako Matki Boskiej od Helu, patrzący wzdłuż stołu. Bezpośrednie i śmiertelne zagrożenie dla jej dzieci sprowadziło ją do sali spotkań, w pełnym majestacie władzy. Rafa siedzi po jej prawicy, Ariel po lewicy. Lucas na prawo od brata.

– *Mamãe*, jeśli twój szef ochrony nie zapewnia nam bezpieczeństwa, to kto jest w stanie?

– Heitor wiernie służy naszej rodzinie, dłużej niż ty chodzisz po świecie. – Żądło autorytetu jest nie do pomylenia z niczym innym.

– Tak jest, *mãe*. – Lucas pochyla głowę.

– To chyba oczywiste, kto to zrobił? – wypełnia bolesną ciszę Rafa.

– Oczywiście? – pyta Ariel.

– A kłóżyby? – Rafa pochyla się nisko nad stołem. Jego złość aż dymi. – Bob Mackenzie nigdy *mamãe* nie wybaczył. A on działa jak taka powolna trucizna. Nie dzisiaj, nie jutro; nie w tym roku, ani nawet w tym dziesięcioleciu, ale kiedyś, pewnego dnia. Mackenzie odpłacają po trzykroć. Uderzają w sukcesję. Chcą, mamó, żebyś zobaczyła, jak wszystko, co zbudowałaś, wali się w gruzy.

– Rafa... – zaczyna Ariel.

– Kyra Mackenzie – przerywa Rafa. – Była na przyjęciu. Ktoś ją przeszukał czy tylko machnęli ręką i ją wpuścili, bo jest kumpelą Lucasinho?

– Rafa, ty naprawdę myślisz, że Mackenzie chcą ryzykować otwartą wojnę? – pyta Ariel. Pociąga długiego macha z waporyzatora. – Naprawdę?

– Gdyby sądzili, że mogą złamać nasz monopol, to tak – odzywa się Lucas.

– To się znowu zaczyna, nie widzicie tego? – mówi Rafa.

Osiem lat wcześniej Corta Hélio i Mackenzie Metals stoczyły krótką wojnę terytorialną. Powysadzane ekstrakторы jak kłębowiska złomu, porwane pociągi i dostawy, boty i AI porażone bombardowaniem czarnym kodem. Luniarze walczyli wręcz lub na noże w tunelach Maskelyne, Jansena i na kamiennych morzach Jasności i Spokoju. Sto dwadzieścia ofiar, szkody na miliony bitsów. Na koniec obie strony zgodziły się na arbitraż. Sąd Claviusa przyznał rację Corta Hélio. Dwa miesiące później Adrian Mackenzie poślubił Jonathona Kayode, Księżycowego Orła, prezesa Lunar Development Corporation, właścicieli Księżyca.

– Rafa, dosyć – mówi Adriana Corta. Głos ma słaby, ale autorytet niepodważalny. – Walczymy z Mackenziami w biznesie i pokonamy ich przez biznes. My robimy pieniądze. – Wstaje od stołu, sztywna, zmęczona na twarzy i w ruchach.

Dzieci i pracownicy kłaniają się i wychodzą za nią z sali.

Carlinhos wstaje, zaciska palce prawej dłoni i kłania się matce. Przez całe spotkanie zarządu nie odezwał się słowem. Nigdy się nie odzywa. Jego miejsce jest w terenie, między ekstraktorami, rafinatorami, wśród luniarzy. Sam jest luniarzem i wojownikiem. Rafa przyćmiewa go wdziękiem, Lucas miażdży argumentami, Ariel obezwładnia elokwencją, ale żadne z nich nie potrafi

chodzić po pyle tak jak on.

Lucas zatrzymuje na chwilę Heitora Pereirę.

– Popeliłeś błąd – szepcze. – Jesteś już za stary. Już straciłeś to coś i już cię nie ma.

W foyer przed salą spotkań czeka Wagner Corta. Adriana i jej orszak mijają go, nie spojrzawszy, potem Lucas i Ariel. Ariel kiwa głową, wąski uśmiech. Carlinhos poklepuje brata po plecach.

– Cześć, bracie.

Wagner był w jaskrawy sposób nieobecny przy stole.

– Mam z Rafą do pogadania.

– Jasne. Do João będziesz chciał się zabrać motorem?

– Mam co innego w planie.

– To do zobaczenia, Lobinho.

– Do pogadania o czym? – pyta Rafa. Przysiada na krawędzi prawego oka Oxali. Za nim powoli spada woda.

– Ta mucha. Chciałbym na nią spojrzeć.

Rafa dopilnował, żeby Wagner dostał schematy od Heitora Pereiry. Rafa w ogóle pilnuje, żeby Wagner dostawał wszystkie materiały ze wszystkich spotkań zarządu.

– Wszystko masz.

– Z całym szacunkiem dla Heitora i waszego R&D, ale są rzeczy, które ja zobaczę, a oni nie.

Rafa wie, że życie Wagnera jest skomplikowane i upływa mu w cieniach na pograniczu rodziny, że jego wkład w Corta Hélio jest wielki, choć trudny do oceny. Wie, że Wagner jest znakomitym inżynierem od rzeczy małych i misternych. Czasami Rafa zazdrości mu tych dwóch natur – ciemnej precyzji i jasnej kreatywności.

– Na przykład?

– Jak zobaczę, to będę wiedział. Ale muszę zobaczyć.

– Przekażę Heitorowi. – Sokrates, chowaniec Ruffy, już wysłał powiadomienie. – Powiedziałem mu, żeby nic nie mówił Adrianie.

– Dziękuję.

Wagner jest w cieniu rodziny od tak dawna, że jego rodzeństwo wyewoluowało sobie cały alternatywny protokół, żeby go informować, włączać we wszystko, mimo że jest niewidzialny jak czarna dziura.

– To kiedy się pojawisz, *miudo*? – pyta Rafa.

Adriana ogląda się, czeka na niego.

– Jak będę miał coś do powiedzenia – odpowiada Wagner. – Znasz mnie. Oddychaj, Rafa.

– Oddychaj, Wilku.

– Ariel. – Lucas zwraca się do siostry na schodach Oxali; Ariel odwraca się. – Już wracasz?

– Mam sprawy w Południku.

– Tak, przyjęcie dla chińskiej delegacji handlowej. Nie mógłbym cię prosić, żebyś sobie to darowała.

– Powiedziałam ci wyraźnie na przyjęciu.

– Ale chodzi o rodzinę.

– Lucas, daj spokój.

Lucas marszczy brwi ze zdziwieniem. Ariel widzi, że on nie rozumie, co ona mówi. On w stu procentach wierzy, że każdy jego uczynek jest dla rodziny, wszystko dla rodziny, tylko dla rodziny.

– Ja na twoim miejscu bym zrezygnował. Bez namysłu.

– Lucas, ty masz łatwiej. Ludzie zainteresowali się moją karierą. Moja skóra musi być nieskazitelna. Muszę być czysta.

– Na Księżycu nikt nie jest czysty. Próbowali zabić Rafę.

– Nie. Nie rób tego. Nigdy.

– Może nie Mackenzie. Ale ktoś próbował. Jesteśmy Corta Hélio: dobrzy jesteśmy, ale tylko w jednej rzeczy. Wydobywamy hel. Dzięki nam na dole palą

się światła. To nasza siła, ale i nasza słabość. A AKA, Taiyang, oni robią wszystko. Mają dokąd pójść, jakby co. Nawet Mackenzie Metals się dywersyfikuje i wchodzi w nasz główny biznes. Jeśli go stracimy, nie mamy dokąd pójść. Przegrywamy wszystko. A Księżyc nie toleruje przegranych. I jeszcze *mamãe*. To już nie to, co kiedyś.

Ariel do tej pory odwracała od niego głowę, nie wchodziła w kontakt wzrokowy, w którym Lucas jest mistrzem. Już jako dziecko wygrywał ze wszystkimi, wszyscy odwracali wzrok, kiedy patrzył. Teraz mówi sześć słów i ona nie jest w stanie odwrócić wzroku.

– Chyba nawet ty musiałaś zauważyć – dodaje Lucas.

Ariel przyjmuje kąśliwość. Od miesiący nie była na zebraniu zarządu.

– Wiem, że jej publicznymi wystąpieniami zarządza Rafa.

– Rafa Corta. Złoty Chłopak. On tę firmę zarżnie. Ariel, pomóż mi. Pomóż mnie. I *mamãe*.

– Skurwysyn z ciebie, Lucas.

– Nie. W całym Boa Vista jestem jedynym prawowiernym synem. Ariel, potrzebuję coś mieć na tych Chińczyków. Niedużo. Jakiś maleńki haczyk, coś, za co można pociągnąć.

– Zostaw to mnie.

Lucas kłania się. Gdy odwraca się od siostry, na jego twarz wyływa uśmiech.

Jedno światelko – drzwi zamknięte, dwa – rozłączanie. Trzy – odjazd. Łagodne drżenie skały, kiedy silniki indukcyjne unoszą wagonik. I tramwaj odjeżdża. Z Boa Vista do João de Deus jest tylko pięć kilometrów. Sądząc jednak po uściskach, pożegnaniach i, tak, łzach Ruffy, równie dobrze mogłyby to być inne światy.

Lucas z niesmakiem patrzy na obnażone emocje brata. Drga mu kącik ust. U Ruffy wszystko jest wielkie. Zawsze tak było. Największy prześladowca, najgłośniejszy śmieje, urodzony z charyzmą, w złotym blasku; równie rozrzutny w złości, jak w radości. Lucas dorastał w jego cieniu; powściągliwy i dokładny,

wycelowany i schowany w kaburę jak paralizator. Ale uczucia ma równie intensywne i głębokie, jak starszy brat. Emocje to nie emocjonalność. Jedno to scenariusz, drugie to wykonanie. Lucas Corta ma miejsce dla emocji. Dyskretny pokój, bez okien, biały i przestronny. Biały i pozbawiony cienia.

Rafa przytula brata. Żenujące to i pozbawione godności. Lucas stęka udręczony.

– Wróci do ciebie. – Banał, ale tego się właśnie oczekuje w takich sytuacjach.

– Nie ufa mi.

Lucas nie rozumie emocjonalnej sraczki brata. Po to wymyślono kontrakty małżeńskie. Zaufanie i miłość to żaden budulec dla dynastii.

– Póki Luna tu będzie, ona będzie do ciebie wracać – mówi Lucas. – I ona to rozumie. Lucasinha zatrzymuję tutaj, póki sytuacja z bezpieczeństwem się nie poprawi. Wścieknie się. I dobrze, to mu posłuży. Niech ma coś, z czym może powalczyć. Bo jak dotąd miał za łatwo w życiu.

Poklepuje Rafę po plecach.

Uspokój się. Weź się w garść. I puść mnie.

– Odzyskam Robsona.

Lucas powstrzymuje westchnienie irytacji. Nie no, znowu to. Rafa, kiedy jest sfrustrowany, w biznesie, w sporcie, w towarzystwie czy w seksie, zawsze wraca do nieustającej niesprawiedliwości – rozłąki z pierworodnym synem. Minęły trzy lata, odkąd Rachel Mackenzie zabrała Robsona do rodziny. Złamano umowy, demonstracyjnie i z rozmysłem. Prawnicy cały czas debatują, czy to w istocie było wzięcie zakładnika. Ariel wynegocjowała pancerną ugodę dotyczącą kontaktów, lecz za każdym razem, gdy Robson jedzie tramwajem z powrotem do Królowej Południa albo do Tygła, Rafie otwierają się stare rany i krwawią. W takich chwilach nawet Lucas nie jest w stanie go osadzić.

– Rób, co musisz.

Lucas szanuje matkę we wszystkim z jednym wyjątkiem: ślepego podziwu dla Ruffy. Cudowny Rafa, następca tronu. Jest zbyt emocjonalny, zbyt otwarty, zbyt miękki, żeby stać na czele firmy. Serca nie mogą decydować o losie dynastii, dzięki której pali się światło na Ziemi. Lucas jeszcze raz obejmuje Rafę. Już widzi jasno, jaką ma misję. Będzie musiał przejąć kontrolę nad Corta Hélio.

Z Królowej Południa do João de Deus są dwa przeskoki. Rafa ze swoimi *escoltas* czekają w prywatnej poczekalni stacji BALTRAN-u. Dotąd zadowalał się elektroniczną ochroną. Dziś ma przy sobie biologiczną: dwóch mężczyzn, jedną kobietę, uzbrojonych i czujnych.

Kapsuła jest w szybie windy, informuje go Sokrates.

Zielone światła. Otwierają się drzwi. Wybiega chłopiec, śniady, z szopą dredów; składa się jakby tylko z rąk i nóg. Zderza się z Rafa, ten podnosi go do góry, okręca ze śmiechem.

– Och synu, synu, synu!

Za chłopcem wysiada kobieta: wysoka, rudowłosa, białoskóra. Zielonooka jak jej dziecko. Z nieskończoną gracją podchodzi do Rafa i z całej siły go policzkuje. Dłonie ochroniarzy przeskakują na rękojeści noży ukrytych w dobrze skrojonych garniturach.

– Są pociągi, jakbyś nie wiedział.

Rafa wybucha tubalnym radosnym śmiechem.

– Pięknie wyglądasz – mówi do żony.

Rzeczywiście wygląda fantastycznie jak na kobietę, która dopiero co leciała nad Księżycem w kubelku, jak ładunek rudy. Makijaż nieskazitelny; każdy włos, każda plisa i fałdka – nieskazitelna. Ona ma zresztą rację. Odkąd powstały linie szybkiej kolei, BALTRAN stał się przestarzały; jest prymitywny, ale za to bardzo szybki. BALTRAN to transport balistyczny. Na pozbawionym powietrza Księżycu balistyczne trajektorie dają się wyliczać co do milimetra. Działo elektromagnetyczne przyspiesza kapsułę. Wystrzeliwuje ją. A ciężenie ściąga na dół. Drugie działo elektromagnetyczne na stacji docelowej łapie kapsułę i wyhamowuje. W trakcie – dwadzieścia minut nieważkości. Całość powtarzać, aż znajdziesz się u celu. W kapsule może być ładunek albo ludzie. Niezbyt wygodnie, ale do wytrzymania; za to szybko i nie boisz się, chyba że zaczniesz za dużo o tym myśleć. Rafa kiedyś to lubił ze względu na seks w nieważkości.

– Chciałem, żeby mecz obejrzał. Pociągłem by się spóźnił. – I do chłopca: – Chcesz zobaczyć mecz? Moços – Tygrysy. Jaden Sun mówi, że nas załatwi, a ja mówię, że skopiemy Tygrysom dupę. A ty co myślisz?

Robson Corta ma jedenaście lat i sam jego widok, jego obecność, jego piękne włosy, jego twarz, wielkie zielone oczy, to, jak rozchyła usta w ekscytacji, wypełniają serce Rafe radością tak wielką, że aż bolesną, i jednocześnie poczuciem straty tak dojmującej, że aż mdli. Kuca, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Mecz. To jak?

– Oj, Raf, daj spokój.

Rachel Mackenzie wie, Rafa wie; oba komplety ochroniarzy wiedzą, nawet Robson wie: tu nie chodzi o mecz piłki ręcznej. Warunki kontraktu gwarantują Rafe dostęp do syna, kiedy tylko zechce. Nawet jeśli to oznacza, że rzuca się nim nad Księżycem jak piłką do szczypiorniaka. Rzucamy, łapiemy. Rzucamy, łapiemy.

– Jak chcesz, to możemy przy nim – mówi Rafa.

– Robbo, skarbie, idź może na chwilę do kapsuły? Parę minut.

Kiwnięciem głowy Rachel posyła z chłopcem jednego ze swoich ochroniarzy. Robson ogląda się na ojca. Zabójcze zielone oczy. Będzie łamać serca. Już teraz jedno łamie.

– Robbo – powtarza pogardliwie Rafa.

– Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało na przyjęciu.

– „Co się stało na przyjęciu”. Na przyjęciu stało się to, że ktoś napuścił na mnie muchę z neurotoksyną. Zanimbym umarł, przez wiele godzin miałbym konwulsje. Srałbym pod siebie i lał.

– Stylowo. Ale to nie jest nasz styl. Mackenzie lubią, jak wróg przed śmiercią widzi naszą twarz. Powinieneś się rozejrzeć po waszych przyjaciółach Asamoah; trucizny, owady-asasyny, to bardziej do nich podobne.

– Chcę go z powrotem.

– Warunki ugody...

– Chuj z warunkami ugody.

– Raf, zostaw to prawnikom. Nie znasz się na tym nic a nic.

– On nie jest u ciebie bezpieczny. Powołuję się na klauzulę o bezpieczeństwie.

Oddaj mi Robsona.

– Nie jest bezpieczny u mnie? – Śmiech Rachel jest jak zgrzyt maszyn górniczych o kamień. – Zwariowałeś? Raf, jak ciebie zabiją, i czy w ogóle, to mnie kompletnie nie obchodzi, ale wiem, jak to jest na Księżycu, wiem, że na tobie nie poprzestaną. Z korzeniami i z gałęziami, Rafa. Mam ci dać Robsona? Nie ma, kurwa, mowy. Zostaje ze mną. Mackenzie troszczą się o swoich. – Odwraca się do swojego ochroniarza. – Wstukaj nowy przeskok. Jedziemy do Tygła.

Rafa ryczy w nieartykułowanej furii. Noże wyskakują z magnetycznych pochew – i *escoltas*, i ochroniarze.

– Wiesz co, twój brat ma rację – mówi Rachel Mackenzie. – Durny jesteś jak but. Chcesz wszcząć z nami wojnę? Cofnijcie się, chłopcy.

Ochroniarze Mackenziech otwierają kapsułę. Gdy śluza się zamyka, Rachel dodaje:

– Wiesz, coś ci powiem. Twojej siostry boję się bardziej od ciebie. Bo w odróżnieniu od ciebie ona ma jaja.

Kapsuła jest w szybie windy, mówi Sokrates. Działo elektromagnetyczne się ładuje.

Rafa wali pięścią w beton, mocno. Z knykczi tryska krew.

– Ja wiem, że to ty! – wrzeszczy. – Wiem, że to ty! Chcesz jego posadzić na tronie Corta Hélio!

W drodze powrotnej do Południka Marina Calzaghe bierze miejsce przy oknie, na górnym pokładzie. Góry, kratery, wielkie i zapyłone, ale wcale nie imponują. Tak jak myślała. Ogląda sobie telenowelę na kanale rozrywkowym. Nie trzyma się kupy. Albo trzyma się idealnie. Miłość, zdrada i rywalizacja wśród elity. Elitą są kopacze metali ziem rzadkich. Głupie to jest, źle zagrane i się powtarza. Ogląda to, bo ją stać. Wysyła wiadomość do domu. *Mama, Kessie, są nowiny, i to jakie. MAM PRACĘ! Prawdziwą. W Corta Hélio. U tych gości od fuzji. Jeden z Pięciu Smoków. Załatwię wam tę kasę.* Hetty wysyła, wtedy Marina wchodzi do menu

zakupowego pociągu, żeby znaleźć nową skórę dla swojej chowanki. Słodkie małpy-roboty są słodkie, ale banalne. Bóg z mieczami. Parowa czarownica. Orka-cyborg. Tak. Mrugnięciem kupuje i domyślny kształt Hetty przeobraża się w opływową sylwetkę z płynnego metalu i czerni. Marina wydaje z siebie cichy ekstatyczny pisk. Masz pieniądze – jesteś wolna. Wygląda znów przez okno, patrzy na łagodne szare góry i doliny poznaczone śladami butów i opon, próbuje sobie wyobrazić własne stopy tam, z Carlinhosem Cortą i jego luniarzami. Cortowie nabierają wielkie kubły pyłu, przesiewają go, sortują, wydobywają hel-3, a resztę wyrzucają. Jak przy łopacie.

„Pogadaj z Carlinhosem”, powiedział Lucas Corta. Marina pobiegła. Pokryzysowe obietnice łatwo się zapomina, jeśli się człowiek o nie od razu nie upomni. Carlinhos przyniósł jej herbatę i usadził ją pod kopułą jednej z licznych altanek, żeby wyjaśniła jemu i Wagnerowi, o co chodzi.

– To czym się zajmujesz?

– Studia podyplomowe robiłam z symulowanej informatycznie biologii ewolucyjnej w architekturze sterowania procesami.

Carlinhos Corta, kiedy niczego nie rozumiał, miał taki odruch, że opadała mu dolna warga, dosłownie o milimetr, a między brwiami powstawała ledwie dostrzegalna pionowa zmarszczka. Uznała, że to słodkie. Tyle że, kiedy Wagner zrobił identyczną minę, u niego to oznaczało, że wgryzł się głęboko w jej słowa.

– Czyli produkcja, która bardziej przypomina biologię – powiedział.

– W dużym uproszczeniu. Badałam, na ile środowisko bogate w energię słoneczną, jak Księżyc, jest podobne do suchego, fotosyntetycznego ziemskiego ekosystemu, na przykład trawiastej prerii, i czy można z tego wypracować nowe podejścia produkcyjne zwiększające wydajność. Technologia zawsze jest zbieżna z biologią.

– To ciekawe – odparł Wagner, przekrzywiając głowę, jakby ciężar gatunkowy tych pomysłów wytrącił go z równowagi.

A to jest twój słodki gest, pomyślała Marina.

– A doświadczenie na powierzchni jakieś masz?

– Jestem tu od ośmiu tygodni. Nie widziałam nic poza Południkiem od środka.

Obaj bracia cały czas byli w elastykach. Linie odbłaskowych koralików szły

wzdłuż zarysu mięśni. Marina wdychała ich zapach, strzelniczy zapach księżycowego pyłu i recyklowanych płynów ustrojowych. Księżycowy pot. Obaj byli luźni i zrelaksowani w tych brudnych skafandrach. Budzili w niej tęsknotę i ból, serce ścisnęło się jej tak samo, jak na widok sprzętów do snowboardu. Jej wszyscy kumple jeździli w Snoqualmie i na Mission Ridge. Śnieg był ich żywiołem. Raz zaproponowali, że ją zabiorą i nauczą, ale miała pracę do napisania. Nie jakąś straszną, ale dość pracochłonną. Wymagała czasu. Została więc w mieszkaniu, gdy pakowali auto, i popłakała się w samotności, gdy pojechali. Pracę napisała, ale odtąd już zawsze była Dziewczyną, Którą Ominęła Deska. Propozycja już nigdy się nie powtórzyła. Zawsze gdy widziała w sklepach gogle, rękawice i deski, gdy prognoza mówiła o pierwszych opadach śniegu w górach, czuła bolesny brak i tęsknotę. Gdzieś w równoległym wszechświecie istniała Marina-snowboarderka; świeża i radosna. Te oklejone nalepkami elastyki, te hełmy przyzywały ją jak zapowiedź śniegu. Okazja pojawia się drugi raz. Nie zostań Dziewczyną, Którą Ominął Księżyc.

– Chcę pracować na powierzchni. Chcę tam być. Wszystkiego się nauczę.

– Będziesz musiała się nauczyć całkiem nowych fizycznych umiejętności – powiedział Wagner.

– Ja cię nauczę – odparł Carlinhos. – Zgłoś się tylko do Ośrodka Wydobywczego Corta Hélio w João de Deus.

– Dobrze. – Bezgłośnym szeptem już kazała Hetty zająć się szukaniem noclegu.

– I naucz się portugalskiego! – zawołał jeszcze na pożegnanie. Ochrona zaganiała gromadki gości i obsługi na stację tramwaju. – I dziękuję ci.

Marina rozpięta się w fotelu przy oknie. Posada, mieszkanie, całkowita odmiana życia – wszystko to znajduje odbicie w jednym niedostrzegalnym ruchu: wymrukuje czib w dolnym prawym rogu pola widzenia i widzi, że wskaźnik tlenu pali się na złoto. Oddycha na konto Cortów. Kiedy pociąg wjeżdża do Południka, a służby spinają się z drzwiami, dopija drugą mojitkę. Wjeżdża schodami ruchomymi do hałaśliwej chaotycznej katedry Stacji Orion. Każdy stragan z herbatą czy wodą, każdy sklep, każdy butik, każdy kramik z jedzeniem i kiosk z usługami aż błyszczą od rzeczy, które może kupić. Wtem

przypomina sobie Blake'a, wysoko na dachu miasta, wypływającego płuca po kawałku. Orka Hetty rozsyła oferty po aptekach, umawia się na cenę terapii fagowej. Wielolekooporna gruźlica to świeży przybysz z Ziemi, przemknął się mimo ścisłej kwarantanny i szybko znalazł schronienie, kryjąc się jak biała pleśń wśród wilgotnych zatechłych dźwigarów na wysokich piętrach kwadr, wśród biedaków. Automat drukuje dwadzieścia białych tabletek. Małych białych tabletek.

Trzy bitsy za ekspresową windę; jeden bits za schody ruchome; jedzie w górę, ponad płaskie dachy, schody i uliczki poziomów 80 i 90 Zachodniej Kwadry. Powyżej 110 nie jeździ nic mechanicznego. Wbiega do Bairro Alto wielkimi, energicznymi ziemskimi skokami; całe biegi schodów za jednym zamachem. Tu sikupiec, tam Matka Boska z Kazania, wciąż spragniona świeczek i miłości. Tu balkon, na którym zazdrościła fruwej kobiecie.

Pokoik jest pusty. Wszystko zniknęło – materac, butelki z wodą, Blake'owe śmieci i szpargały. Plastikowe łyżki i talerze. Wyczyszczone do ostatniej kropli flegmy, do ostatniego pyłka kurzu. Złuszczona skóra to cenna substancja organiczna.

Na pewno trafiła nie do tego domu.

Na pewno Blake się gdzieś przeprowadził.

Na pewno to się nie mogło stać.

Marina opiera się o framugę. Nie może oddychać. Nie wolno jej oddychać. Hetty reguluje jej działanie płuc. *Oddychaj*. Nie powinna oddychać, nie wolno jej oddychać. Oddychać niezasłużonym powietrzem, kiedy Blake odszedł.

– Co się stało?! – woła do pozakrywanych kotarami drzwi i pustych okien stłoczonych kubików mieszkalnych. Bairro Alto, na drabinach, w korytarzach, odwraca się do niej plecami. – Gdzie byliście wtedy?

Mam nagranie, mówi Hetty. W soczewce Mariny na pusty pokój nakładają się ludzie. Zabbalini ze swoimi robotami. Padlinożercy. Dostrzega stopę, wygiętą kostkę, na końcu materaca. Zabbalini podchodzą do niej, zasłaniają widok. Wideo jest zgarnięte z kamery na ulicy, więc kąt jest niedogodny, a obraz w powiększeniu ziarnisty. Zabbalini wychodzą z ciężkimi metalowymi zbiornikami w obu rękach.

– Zabierz to, zabierz! – wrzeszczy.

Hetty ucina wideo w momencie, gdy Marina widzi, jak boty zaklejają drzwi i okna próżniową folią. Do ostatniego płatka skóry. Do ostatniej kropli krwi. I nic się nie da zrobić. Nie ma się gdzie odwołać. Blake nie żyje, ale na Księżycu śmierć nie zwalnia z długów. Zabbalini rozliczają jego długi, zawzięcie odzyskując z jego ciała wszystko, co organiczne.

Zakaszła się na śmierć, słuchając skrobania botów Zabbalinów pod drzwiami, czekających, aż kaszel zamilknie.

– Czemu nic nie zrobiliście?! – krzyczy Marina do drzwi i okien. – Mogliście coś zrobić. Nie było trzeba dużo. Parę decym od każdego. Co, umarlibyście, jakbyście dali po parę decym? Co z was za ludzie?

W odpowiedzi: puste drzwi, odwrócone plecy, pośpiesznie umykające ramiona. Księżycowi ludzie.

Tramwaj nie wpuszcza go. Odmawia mu. Sprzeciwia mu się.

Jak dotąd nic się nigdy Lucasinho Corcie nie sprzeciwiało. Na moment paraliżuje go sam ten afront. Każe Jinjiemu jeszcze raz otworzyć służę.

Nie masz prawa wstępu, mówi Jinji.

– Jak to nie mam prawa?

Dostęp do pociągu jest zabroniony dla następujących osób: Luna Corta, Lucasinho Corta.

Myślał, że ojciec żartuje, kiedy mówił, że Boa Vista jest zamknięte. Ze względu na bezpieczeństwo dzieci.

– Zmień to.

Nie mogę tego zrobić. Mogę zawiadomić ochronę. Czy mam zawiadomić ochronę?

– Zostaw.

Lucasinho cieszył się, że trochę pobędzie w Boa Vista i João de Deus. Pożyje sobie tak, jak się powinno żyć. Na zajęcia nie ma się co śpieszyć, kumple z grupy powiedzą mu, co przegapił. Po to są. Ale teraz, gdy ojciec zamknął go tutaj, musi się wydostać. To klaustrofobia. Boa Vista jest jak kamienna kiszka. Zamknęli go

w bebeczach bestii, która go powoli trawi. Unosi pięść, żeby walnąć w zbuntowany metal drzwi. Stop. Nagle ma inny, o wiele lepszy pomysł.

Carlinhos i Wagner przyszli służyć z powierzchni. To on może nią wyjść. A jak już wyjdzie, będzie mógł pójść, dokąd zechce. Gdziekolwiek. Wszędzie. Aby dalej. Chuj z blokadą. Chuj z bezpieczeństwem rodziny. Chuj z rodziną. No, może nie z babcią. Jest stara, to już nie to, co kiedyś, ale wciąż potrafi zionąć ogniem, a Lucasinho podziwia, jak wymusza na wszystkich szacunek i przychodzi jej to równie naturalnie, jak oddychanie. I może nie z Carlinhosem, choć Lucasinho nigdy nie wie, co mu powiedzieć, jak mu powiedzieć, że naprawdę jest w porządku. Lucasinho od lat boi się, że Carlinhos uważa go za fiuta. O dzieciach – nawet nie ma co myśleć. A reszta – chuj z resztą.

A zwłaszcza z ojcem.

Ocieplacze do awaryjnych skafandrów nie są przewidziane na wzrost trzeciego pokolenia. Lucasinho zмага się ze skafandrem przez pięć minut. W hermetycznej kieszeni skafandra nie ma miejsca na jego ubranie. Żadna strata. W João de Deus wydrukuje sobie nowe. Odpina tylko Panią Lunę i wkłada do środka. Awaryjny skafander jest jak pękaty ludzik Michelina z migającymi lampkami. W środku ma dość miejsca, żeby Lucasinho mógł się poruszać. Jinji kopiuje się do systemu skafandra i odpala go. Na powierzchni nie będzie mieć zasięgu sieci. Szczękają zatrzaski, ściskają się uszczelki. Syk powietrza wzmaga się i cichnie.

– No to idziemy na spacer – sapie Lucasinho.

Jinji maszeruje nim do śluzy. Lucasinho przypomina sobie ostatnie wyjście ze śluzy. Nagie ciała stykające się kolanami. Naprzeciwko naga Abena Asamoah. Pot odparowuje z jej idealnie krągłych piersi, gdy spada ciśnienie. Będą jeszcze jego te piersi. Znajdzie je. Gdzieś w świecie. Należą mu się. Abena przelała jego krew.

O wejściu do śluzy nie myśli. Splątane ciała, pulsowanie na skraju przytomności. Ból, czerń, czerwien i znów ból. Wizg awaryjnej hermetyzacji.

Z hukiem odskakują zewnętrzne drzwi.

Jinji steruje serwomechanizmami sztywnego skafandra – zmusza go do szybkiego biegu wielkimi susami. Ochrona będzie wiedzieć, że śluza była

otwierana, a skafander zabrano. Nie będą wiedzieć natomiast, kto go wziął, dokąd poszedł i jak szybko. Do tego też dojdą, lecz wtedy Lucasinho będzie już w środku, w atmosferze, porzuci skafander i rozplynie się w tłumie ludzi w João de Deus.

– *Pai*, nie jesteś aż taki cwany.

Wychodzi ze służby João de Deus i zjeżdża windą. Skafander przepompuje się z powrotem i samoczynnie wróci do Boa Vista. Skafandry awaryjne są zbyt cenne, żeby się nimi rozrzucać po Morzu Żyzności. Któregoś dnia może od nich zależeć czyjeś życie. Przebicie ciśnieniowej skorupy szpikulcem odznaki jest prawie tak trudne, jak naciągnięcie na siebie obcisłego ocieplacza. Zniszczył skafander. Miejmy nadzieję, że któregoś dnia nie będzie od niego zależeć czyjeś życie. Miejmy nadzieję, że to nie będzie jego życie. Nie. To był ostatni raz, Lucasinho nie zamierza więcej wychodzić na powierzchnię.

João de Deus to niedorobione miasto; goła skała, niskie stropy, a kwadry i prospekty wąskie i surowe. Awaryjne drzwi rozsuwają się ze spazmatycznym dygotem, sztuczne słońce migocze. Śmierdzi gównem, potem i pracującymi na granicy możliwości systemami oczyszczania środowiska. Woda ma posmak akumulatorów. Za dużo ludzi, krzątających się ludzi. Cały czas ktoś wchodzi ci w drogę. Łokcie, oddechy, chmury widmowych chowańców. Napisy, nazwiska, ulotki, graffiti – wszystko jest po portugalsku. João de Deus to Miasto Helu, osada na pograniczu. Korporacyjne miasto – dlatego właśnie Lucasinho nie może tu zostać.

– Co byś zrobił na miejscu mojego ojca? – pyta Jinjiego.

Zablokowałbym ci konta.

Lucasinho idzie więc na stację, nie do butik z drukarką.

W João de Deus ocieplacze do skafandrów były pospolitym widokiem, powszechnym nawet. Na Dworcu Głównym Południka – zanim doszedł do schodów ruchomych i wyjechał na Prospekt Gagarina, obejrzało się dwadzieścia osób. Co, pozbyć się tego ocieplacza, choć tak dobrze mu pasuje? Da się przekonać wszystkich, że to taki nowy mikrotrend? Lata pięćdziesiąte XX wieku to zdecydowanie poprzednia luna. Teraz obowiązuje szyk luniarza z powierzchni, moda na robola. Uczciwa i świeża. Rusza bardziej zamaszystym

krokiem, rytmem od dołu, od jaj, od brzucha. Gangsterski szyk. Czuje się dobrze. Coś mu się udało. Nie zatrzymało go Boa Vista, nie zatrzymała go rodzina. Uciekł jej własnym sprytem i wdziękiem. Jest wolny. Wrócił. To nie jest tylko „coś”. To wiele rzeczy. Lucasinho Corta czuje się bardziej niż dobrze. Czuje się świetnie.

Kelner mimo woli gapi się, gdy Lucasinho zamawia waporyzator i herbatkę miętową, po czym wyciąga się w kawiarnianym fotelu. Chodzi o ocieplacz czy mięśnie pod spodem? Wygina grzbiet, żeby napiąć mięśnie brzucha, rozstawia nogi, żeby pokazać mocne uda. Lubi, jak na niego patrzą. Jestem bogatym gówniarzem w ocieplaczu do skafandra. Dzięki mnie nawet on wygląda dobrze, ale was na mnie nie stać.

Pstryka końcówką waporyzatora, zaciąga się. Kłęby THC chłodzą mu gardło. Czuje, że się w środku luzuje, zaczyna się wewnętrznie uśmiechać. Pociąga łyk herbaty i każe Jinjiemu wyświetlić na soczewce katalog sklepu Boy de la Boy. Skompletowawszy garderobę, już jest na niezłej fazie. Jinji przesyła zamówienie do drukarni. Zamówienie się odbija.

Transakcja odrzucona.

Schodzi mu haj. Spada z wysoka, a uderzenie o dno jest bolesne.

Zablokowali ci konta, mówi Jinji.

W brzuchu Lucasinho otwiera się mdląca przepaść, pełna obracających się zębatach trybów. Rozgląda się, czy ktoś zauważył, jak podskakuje i wzdycha. Śmigają *moto*, tłumy prą Prospektem Gagarina pod drzewami. Nikt, nikt nie ma pojęcia, że w jednej chwili ze Smoka stał się żebrakiem. Nie ma kasy. Nie ma pieniędzy. Nigdy dotąd nie był bez pieniędzy. Nie wie, co się robi bez pieniędzy.

Palce wymacują kolczyk, który Abena Asamoah wbiła mu w ucho. „Jeśli będziesz potrzebował od Asamoah pomocy, kiedy będziesz samotny, nagi i bezbronny, jak Kojo...”. Kręci nim, napawając się nieznacznym bólem zrywanego strupka. Nie. Aż tak zdesperowany jeszcze nie jest. Jest Lucasinho Corta; ma wdzięk, urodę i urok. Coś tym ugra.

Cztery cyferki na czubie są wielkie i jasne. To jego cały świat – powietrze, woda, węgiel, dane. Czterech Żywiołów nie mogą mu odciąć. Płacenie za powietrze i dane jest dla ludzi, którzy muszą pracować. Cortowie mają to ogarnięte. Może

oddychać, może pić, ma podłączenie do sieci, ma kwotę węglową. Kolejny ruch można planować przy takim założeniu. Do mieszkania pójść nie może. *Escoltas* ojca już pewnie tam są. Ma jednak przyjaciół, ma *amores*, ma gdzie pójść. Potrzebne mu ubranie i jakieś miejsce do spania.

Trzeba zejść w ciemność. Tak. Dokładnie. Ojciec jest w stanie wysledzić go przez sieć. Więc Jinji musi zniknąć. Na samą myśl brzuch i jądra kurczą mu się ze strachu. Poza siecią, odłączony. Waha się przed wypowiedzeniem słów, które go wyłączają. To społeczna śmierć. Nie. To przetrwanie. Ojciec już mógł go namierzyć po tej odrzuconej płatności. Ochrona może już jest w drodze.

Musi zapłacić za waporyzator i herbatkę.

Nie, wcale nie musi. Tak jak nie musiał w Boa Vista i João de Deus. Może po prostu sobie pójść. Co zrobi ten kelner? Będzie go gonił z nożem? Zrobi zbiegowisko? Nadal jest Cortą. Tknij Cortę palcem, wszyscy Cortowie wyciągną noże. Na Księżycu nie ma przestępstw, nie ma kradzieży, nie ma zabójstw. Są tylko umowy i negocjacje.

Płynnie zsuwa się z fotela i odchodzi Prospektem Gagarina. Nawet w neonowo różowym ocieplaczu wtapia się w tłum ludzi, pojazdów i botów. Jeszcze parę kroków, a znajdzie się pod drzewami. Nie oglądaj się. Nigdy się nie oglądaj. Idąc, wyłącza kolejne podprogramy i usługi Jinjiego, zrywa połączenia i blokuje moduły, aż nad lewym ramieniem pozostaje mu tylko pusta skórka. Ludzie robią się podejrzliwi, kiedy nie widzą we wzbogaczonej rzeczywistości twojego chowańca.

Po obu stronach pną się w górę ściany Kwadry Oriona, piętro za piętrem, poziom za poziomem, ściany i neony; łacina, cyrylica, chińszczyzna. Odłączając Jinjiego, zlikwidował warstwę reklamową wzbogaczonej rzeczywistości, pozostały jednak fizyczne ekrany i patrzące nań z góry ślicznusie, *kawaii*, postacie. Sam w Południku, bez bitsa przy duszy. Jak biedak. Ale ma tu przyjaciół, na górze, między tymi światłami. Zatem tak naprawdę nie jest biedakiem. Pieprzyć biedaków. Trzeba się stąd ruszyć.

Gdy Ariel przybywa na przyjęcie dla chińskiej delegacji handlowej, zachwyca się nią już cały Księżyc. LDC wynajęła taras widokowy na osiemdziesiątym piętrze rotundy, centralnej osi, przy której spotyka się pięć prospektów Kwadry Wodnika. Widok rozciąga się na całe kilometry. Pionowe ogrody spuszczają po łukach pomiędzy filarami girlandy pnączy. Za nimi, w pustce dryfują światelka.

Ariel ma na sobie sukienkę koktajlową od Ceil Chapman. Wszyscy na nią patrzą. Każdy chce wokół niej orbitować. Słyszy te szepty, widzi kiwanie głowami. Dla niej być w centrum uwagi to jak tlen. Pociąga z długiego tytanowego wapera i wbija się na przyjęcie.

Goście z Pięciu Smoków: Yao Asamoah ze Złotego Stolca; nieśmiały, wycofany Aleksiej Woroncow; Verity Mackenzie tuląca do siebie przepiękną fretkę angorską, żywą, biologiczną. Budzi nabożny podziw. Wei-Lun Sun orbituje po aphelium Chińczyków.

Chińczycy, sami mężczyźni, wciąż o niezgrabnych i przesadnych ruchach. Nie chce im się dostosowywać ciał do wymagań księżycowego ciężenia. Nie zamierzają tu być aż tak długo. Kłaniają się, uśmiechają, ściskają dłoń Ariel, choć nie mają pojęcia, kim jest, nie licząc faktu, że cieszy się ogromną estymą wśród miejscowych. Ariel czuje miłe łechtanie ekscytacji w dole brzucha. Jest szpiegiem w sukni od Ceil Chapman.

Grandowie z LDC. Menedżerowie, dyrektorzy finansowi. Prawnicy, sędziowie.

Sędzia Nagai Rieko kiwa jej głową z drugiej strony sali. Wskazuje brodą Księżycowego Orła. *Wspominałam mu o tobie*, mówi przez chowańca. *Się zgadza*. Ariel unosi w odpowiedzi kieliszek. Witamy w Pawilonie Białego Zająca.

A oto i Księżycowy Orzeł. Jonathon Kayode, prezes Lunar Development Corporation, król, papież i cesarz, a tak naprawdę figurant, jaskrawo upierzony ptak ozdobny. Jego chowańcem jest sam księżycowy orzeł. Tylko jemu wolno mieć taką skórkę. U jego boku *oko* Adrian Mackenzie, zawsze pilnujący, by mieć strój o oczko bardziej stonowany. Jego Chowaniec przybrał postać kruka.

– Słynna Ariel Corta – mówi Księżycowy Orzeł. Jak na urodzonego na Ziemi, jest wielki: olbrzymi Igbo z Lagos. Jest równy wzrostem nawet drugiemu pokoleniu luniaków. – Czy mogę na tobie polegać, że nie urządzisz tu żadnej walki?

– W takiej sukni? – rzuca kokieteryjnie Ariel, mimo to odwracając kieliszek do góry nogami; to znak, że walczyć będzie przez całe przyjęcie.

Orzeł tego gestu nie kojarzy, ale jego mąż, Australijczyk, dostrzega żart. Uśmiecha się niewyraźnie.

– Postawiłem na ciebie na celebryckiej giełdzie i wygrałem – rzuca szeptem Jonathon. Puszczą oko do swojego *oko*. – Tak sobie między sobą gramy, kto lepszy. Dla higieny psychicznej. A on strasznie nie lubi przegrywać.

– Nawet na Księżycu dziewczyna musi się rozebrać, żeby ktoś ją zauważył.

Księżycowy Orzeł rechocze. Tubalnie. Cała sala zamiera, potem rozchodzą się po niej drobne falki śmieszek; ludzie śmieją się, bo śmieją się ważniejsi od nich.

– To prawda, o tak. Prawda, nie? – Żartobliwie szturcha Adriana Mackenziego pod żebro.

Adrian krzywi się, przetyka urazę. Plotki mówią, że manipuluje Orłem, chcąc uczynić jego urząd bardziej politycznym, potężniejszym, bardziej prezydenckim, jednocześnie coraz głębiej sadowiąc go w kieszeniach Mackenzie Metals.

– Wasza rodzina ma ten talent, wie, czym przykuć wzrok. Ty robisz spektakularny *coup du tribunal* w samej bieliźnie. Twój bratanek ratuje małego Asamoah na Księżycowym Biegu. I jeszcze twój brat – bulwersujące. Naprawdę bulwersujące.

– Wygląda na to, że popełniamy jedno naruszenie bezpieczeństwa po drugim.

– Ariel wydmuchuje pomiędzy światła spiralną smużkę pary.

Jonathon Kayode pociąga w dół powiekę.

– Oko Orła – żartuje.

Prowadzi Ariel pomiędzy girlandami hibiskusa na zewnętrzny balkon. Jednym spojrzeniem każe Adrianowi pozostać w środku. Balkon jest wysoko, owiewają go prądy idącego z dołu ciepłego powietrza. Światło imituje zachód słońca. Niskie złote światło, malwowe cienie, indygo roztaczające się od dołu; całe dzielnice ozywają skrzącymi się wśród pyłu światełkami. Jonathon Kayode odzywa się niskim intymnym szeptem:

– Niezmiernie się cieszę, mając cię w gronie moich doradców.

– To dla mnie zaszczyt.

– Mówię teraz od siebie: uważam, że to najwyższy czas, żeby Cortowie zdjęli robocze buciory i zajęli należne miejsce w polityce. Polityka to nie jest brzydkie słowo. Niemniej zbulwersowała nas ta próba zamachu. To było jak upiorny powrót do lat sześćdziesiątych. Pojedynki, vendetta, morderstwa, dawno mamy to za sobą. Orzeł oczywiście nie ma żadnego prawa się wtrącać, możemy jedynie doradzać i ostrzegać. Byłaby to wielka szkoda, gdyby perspektywy otwierające się przed rodem Corta naraziło na szwank kilka posunięć dwóch wojowniczych braci.

Orzeł przechyla głowę, Ariel Corta splata palce. Audiencja skończona. Jonathon Kayode przeciska się z powrotem przez hibiskusową kotarę. Ramiona jego *agbady* obsypują suche płatki. Adrian Mackenzie bierze go pod rękę.

Ariel zostaje, opiera się o kamienną balustradę. Światelka dronów i pedikopterów, iskierki latających ludzi, wysadzone klejnotami liczydła wind i kolejek linowych; jest cała zanurzona w świetle, oddycha nim jak ryba wodą, wydychając bąbelki światła.

Pociąga ze swojego długiego waporyzatora i analizuje krótką rozmowę. Dwie rzeczy. LDC wie zarówno o próbie zamachu, jak i o przekonaniu Rify, że to kolejna faza w odwiecznej waśni Mackenzie-Corta. Do tego Księżycowy Orzeł odbył tę rozmowę na wizji, słuchany przez chowańce. Chciał, żeby przekazała ją do Boa Vista, w całości, ze wszystkimi obietnicami i groźbami. Możemy zostać królami Księżyca, tak jak jesteśmy królami helu, ale mamy się zachowywać jak królowie, nie jak *bandeirantes*. Księżycowy Orzeł powierzył jej zadanie powstrzymania zapalczego brata.

Przyjęcie kusi, tak, będzie dziś skandalicznie flirtować, ale pozostało jeszcze jedno zadanie do wykonania – zadanie dla rodziny Corta; zadanie dla *bandeirante*. Kiwa głową na mężczyznę, który przez cały wieczór oscyluje na skraju jej pola widzenia. Ten wychodzi na balkon i staje na moment obok niej, patrzy na wieczną krzątanicę.

– An Xiuying – mówi, nie spoglądając na nią, nie podkreślając tego żadnym gestem.

I znika. Jest w Lunar Development Corporation urzędnikiem średniego

szczebla w garniturze za drogim na swoją pensję, który wynajął adwokata od kontraktów *nikah*, zbyt drogiego na swoją pensję, by móc poślubić chłopaka z rodziny Sunów, którego kocha całym swoim hojnym i słabym sercem.

– Lucas – szepcze Ariel do Beijaflora.

Brat odbiera natychmiast. Cały wieczór czekał na ten telefon.

– An Xiuying – mówi Ariel.

– Dziękuję.

– I nie prosz mnie więcej o przysługi – dodaje Ariel i przerywa połączenie.

Prostuje plecy, rozciąga nagromadzone przez cały dzień napięcia i sztywności. Pewność siebie to najbardziej powabny naszyjnik. Ariel pasuje do erotycznych klejnotów siły. Pasuje do nich idealnie.

Ruch, hałas przy drzwiach. Postać w różowym ubraniu, za botami i nieustępliwą żywą ochroną. Coś chce, na coś się skarży, czegoś oczekuje. Petycja jakaś? Chińczycy się oglądają.

– *Senhora* Corta? – Ariel nie zauważyła podchodzącej asystentki. Nagły głos przy uchu. Po to są asystenci, żeby pojawiać się niepostrzeżenie. Znaczek z orłem na dekolcie jej sukni od Suzy Perette informuje, czyją jest poddana. – Czy zna pani Lucasa Cortę juniora?

– Mój bratanek.

– Chce się z panią widzieć. Gdyby pani mogła na zewnątrz. Jego strój nie jest odpowiedni.

Różowa postać rozpoznaje ją. Co to on ma na sobie, ocieplacz do skafandra? Ale tego przystojnego draba nie da się z nikim pomylić. Nie do pomylenia są te kości policzkowe jak u boga miłości, ten szeroki, rozmiękczający serce uśmiech.

– *Tia* – mówi po portugalsku. – Uciekłem z Boa Vista. Mogę u ciebie przenocować?

W małym, nieużywanym aneksie kuchennym czekają na Ariel ciasto i herbata miętowa.

– Upiekłem ci ciasto – mówi Lucasinho. – Żeby podziękować. Za hamak.

Mieszkanko Ariel jest bardzo małe. Dla jednej osoby. Wysłała do niego Lucasinho prosto spod drzwi przyjęcia z Chińczykami. W podajniku drukarki czekał na niego hamak. Kiedy wróciła, już się w nim bujał, głęboko we śnie, z rozdziawionymi ustami, rozciągnięty luźno pod zajmującym całą ścianę portretem Dovimy autorstwa Richarda Avedona. To jedyna ozdoba w tym pokoju: rozbielona twarz, łagodnie zarysowane zamknięte ciemne oczy, usta, wielkie dziury w nosie.

– Nie powiesz *Papai?* – pyta Lucasinho.

– Lucas i tak się dowie – mówi Ariel. Częstuje się ciastem. Cytrynowe, lekkie jak piórko. – Albo już wie. Zapyta mnie.

– I co mu powiesz?

– Jest mi winny przysługę.

Lucas na pewno nie spał całą noc, przypominał o długach, mobilizował sojuszników, zarządzał biologicznymi i informatycznymi agentami na Ziemi. Wszystkie te zasoby rzucił na Ana Xiuyinha, a oprócz nich swoją bezlitosną, niespożytą inteligencję, która nie spocznie, póki Lucas Corta nie dostanie tego, czego chce. Ariel jest prawie żal tego nieszczęśnika. Lucas rozegra wymuszenie gwałtownie, ostro, bez możliwości ucieczki.

– Więc mogę mu powiedzieć, co zechcę. – Tym razem. Ale nie jest już czysta. Ledwo dostała fotel w Pawilonie Białego Zająca, a już zdradziła komuś tajną informację, na oczach samego Księżycowego Orła. Lucas nigdy nie pochwalał, że układa sobie życie i karierę poza rodziną. Teraz, popełniając dla niego, dla rodziny, tę drobną zdradę, dała mu przewagę. Nie wykorzysta jej teraz. Ani zaraz. Ale któregoś dnia, gdy będzie jej potrzebować najbardziej. Dla rodziny. Zawsze dla rodziny. – Pyszne to ciasto. – Ariel bierze kolejny kawałek. – Skąd ty się nauczyłeś takie robić?

– A skąd się uczysz rzeczy? Z sieci. – Lucasinho podtyka ciasto Ariel pod nos. – W ciastach jestem świetny.

– To prawda.

– Ale łatwo nie było. Prawie nic nie masz w tej kuchni. Właściwie tylko wodę i dżin.

– Więc co, zamówiłeś je?

– No, nie. Składniki zamówiłem. To, czego nie dało się wydrukować. Jajka na przykład.

– To bardzo czysty też jesteś.

Szczerzy zęby; jego radość jest czysta i autentyczna.

– Ariel... a nie mógłbym jeszcze zostać?

Ariel wyobraża go sobie jako mebel w mieszkaniu. Coś radosnego, zabawnego i nieprzewidywalnego wśród surowej bieli i gładkich powierzchni, między robionym na zamówienie dżinem i czystą wodą w chłodziarce a ogromną twarzą dawno zmarłej modelki z lat pięćdziesiątych, oczy zamknięte, zęby przygryzające dolną wargę. Coś ślicznego, coś miłego.

– Aż takiej przysługi to on mi nie jest winny.

Wzrusza ramionami.

– Nie ma sprawy. Rozumiem.

– To dokąd pójdziesz?

– Do kumpli. Dziewczyn. Chłopaków. Z grupy.

– Zaczekaj. – Ariel wślizguje się do swojego pokoju i wyjmuję z torebki coś papierowego. – Weź. Przyda ci się.

Lucasinho marszczy czoło, widząc w jej dłoniach bukiet szarych karteczek.

– Czy to...?

– Pieniądze.

– Wow.

– Gotówka. Ojciec zamroził ci konto.

– Nigdy... Wow. Dziwnie pachną. Jakby ostro. Jak pieprz. Z czego to jest?

– Z papieru.

– Czyli...

– Włókna ze szmat, jeśli to ci coś mówi. I... tak, LDC tego nie aprobeje, ale załatwisz sobie wszystko, co potrzeba, a nawet wszystko, co zechcesz.

– A skąd ty je masz?

– Klienci czasem są bardzo pomysłowi, jeśli chodzi o rozliczenia. Nie wydaj wszystkiego od razu.

– Jak się tego używa?

– Umiesz liczyć, co?

– Upiekłem ci ciasto. Pewnie, że umiem liczyć. I dodawać. I odejmować.

– No ja myślę. To jest setka, to pięćdziesiątka, dziesiątka, piątka. Tak się tego używa.

– Dzięki, Ariel.

Ten promienny uśmiech, od którego mięknie serce. Ariel znów ma siedemnaście lat, wyrwała się spod skrzydeł matki i mruga oślepią światłami wielkiego świata. Uniwersytet Farside dopiero co zrobił nabór na pierwszy rok filii w Południku, a Ariel Corta była pierwsza na liście. Farside było norą dla walniętych naukowców i kujonów, João de Deus brudną osadą górniczą, Boa Vista zaledwie jaskinią. A Południk już wówczas emanował kolorem, splendorem, entuzjazmem i był pełen najlepszych prawniczych mózgów na Księżycu. Poleciała BALTRAN-em. Aby szybciej i dalej od Corta Hélio. Uciekła i trzyma się z dala. Lucas nie dopuści, żeby jego syn zrobił to samo. Jego przyszłość jest już ułożona jak plansza do gry: fotel w sali zarządu w Boa Vista, praca w rodzinnej korporacji dostosowana do jego umiejętności i ograniczeń. Gdzie ma się znaleźć pieczone z miłością ciasto? Na tym samym miejscu, co u jego ojca miłość do muzyki. Na drugim – za potrzebami Corta Hélio.

Ciesz się, dzieciaku, swoją krótką ucieczką.

– Aha, jeszcze jedno: masę węgla wydałam na te ubrania. Może byś je chociaż włożył.

Lucasinho uśmiecha się szeroko. Wspaniały jest, myśli Ariel. Mięśnie, metal, postawa tancerza. A ciasto jest takie dobre!

Piłka ręczna! Dziś mecz! Piłka! João de Deus Moços kontra Tygrysy Słońca.

Estádio da Luz jest jak Koloseum – stromo schodzące trybuny i loże wyrzeźbione z gołej skały, piętrowo. Wyżej niż najtańsze miejsca są tylko lampy i roboty-sterowce w kształcie ślicznusich postaci z komiksów *manhua* o brzuchach wytapetowanych reklamami. Kibice siedzą blisko – gdyby piłkarz mógł na moment odwrócić uwagę od gry, zobaczyłby ścianę piętrowo ułożonych twarzy. Poczulby się jak gladiator na arenie. Piłkarze jeszcze nie weszli na

boisko. Kamery przeskakują po rzędach kibiców, rzucają wszystkim na soczewki ich twarze. Na boisku popisują się niesamowitymi umiejętnościami żonglerzy, cheerleaderki i cheerleaderzy maszerują i wyskakują w powietrze – wspaniali, wysportowani chłopcy i dziewczyny. Kibice oglądają ich na każdym meczu, ale to element rytuału. Muzyka i światła. Sterowce, tłuste jak bożki, ustawiają się w coraz to nowy szyk. Gwizdy, okrzyki: LDC oczywiście na czas meczu podniosła cenę tlenu. Za to zakłady dalej idą w piorunującym tempie.

Ludzie z João de Deus może mieszkają w tunelach i norach, ale stadion do piłki ręcznej mają najlepszy na Księżycu.

Rafa Corta rozsuwa szklaną ścianę dyrektorskiej loży i wyprowadza Ana Xiuyinga na balkon. Prawą dłoń ma oklejoną medyczną rękawiczką. Głupi był. Głupi i pochopny. Głupi, zapalczywy i emocjonalny. Robson powinien tu z nim być, w loży, wysoko nad rzędami kibiców. To twoja drużyna, synu. Twoi gracze. Ale źle to rozegrał. Źle od chwili, gdy zobaczył, jak z kapsuły BALTRAN-u wysiada nieskazitelna i przepiękna Rachel Mackenzie. Przypomniało mu się wszystko, co w niej podziwiał. Tę pewność siebie, tę dumę, tę inteligencję i żar. Małżeństwo dynastyczne. Rozejm między Cortami i Mackenziami przypieczętowany synem. Robson był głównym punktem kontraktu małżeńskiego, i to on ich rozdzielił, niczym lód rozsadzający skałę. Na chrzcie – pierwszym dla Kościoła, drugim dla *orixas* – patrzył na Mackenziech gruchających nad niemowlęciem jak stado śmietnikowych gołębi. Wampirów. Pasożytów. Za każdym razem, gdy Rachel zabierała go do swojej rodziny – a każda wizyta trwała dłużej od poprzedniej – nieufność i strach drążyły go do szpiku kości. Zraniona ręka pulsuje w rękawicze.

Ale dziś jest mecz. Dziś mecz! I ma na nim gościa z Ziemi. Jest mecz, a potem jest inny mecz. Dziś wieczorem tylko ten drugi się liczy.

Rafa, wyłącz serce.

Dźwięki, obrazy, emocje sprawiają, że An Xiuying, wychodząc na balkon, nieznacznie się zatacza. Rafa unosi dłoń na powitanie widzów. Kibice odpowiadają rykiem. Przyszedł *patrão*. Rafa widzi w sąsiedniej loży Jadena Wen Suna i wychyla się, żeby przywitać swojego przyjaciela i rywala oraz szturchnąć go pod żebro, zostawiając gościa, by chłonął atmosferę meczu. Ziemianin ściska

poręcz oburącz; kręci mu się w głowie od hałasu i słabego ciężenia.

Spiker podaje teraz skład drużyn. Każdy kibic może poprosić chowańca, żeby mu to wyświetlił, ale to nie budowałoby wspólnoty, klimatu, emocji. Po każdym nazwisku – ściana krzyku. Najgłośniejszy ryk wita Muhammada Basrę, lewego skrzydłowego niedawno przetransferowanego z CSK Sankt Jekatierina.

– Co za emocje, *senhor* Corta – mówi An Xiuying.

– Wyjdą zawodnicy, to dopiero będzie.

Fanfara! Na boisko wybiegają goście. Ich kibice szaleją w swoich sektorach, wymachują flagami i trąbią. Jaden Sun włoży obok dżga powietrze pięścią i krzyczy do zachrypnięcia. Jego Tygrysy przerzucają się parę razy piłką, ćwiczą wyskoki, podania i blokady barkiem. Bramkarz zawiesza na maleńkiej siatce miniaturową ikonę. Dlatego właśnie piłka ręczna jest najważniejszym sportem drużynowym na Księżycu: ciężenie może jest słabe, ale siatka zawsze napięta.

Muzyka! *The Kids are Back*. Motyw muzyczny Moços. Idą chłopcy, chłopcy, chłopcy! Kibice zrywają się z miejsc. Ich głosy wzmagają się, to już coś więcej niż tylko krzyk. Zamknięte koloseum Estádio da Luz aż dygocze. Rafa Corta napawa się tym. To sflukuje z niego złość i ból. Tę chwilę lubi najbardziej, bardziej nawet niż zwycięstwo; chwilę, kiedy otwiera dłoń i tryska z niej czar. Widzicie, co wam daję? Ale jestem samolubny, sam też mam z tego przyjemność. Sam też jestem kibicem, tak jak wy.

Drużyna na boisku zaczyna rozgrzewkę. An Xiuying wychyla się za poręcz. Rafa widzi po ruchach na jego soczewce kontaktowej, że Chowaniec powiększa mu obraz. Plecy Muhammada Basry. Nazwisko, numer, logo sponsora.

– Pierwszy raz występują w tych strojach – mówi Rafa. – Nowa umowa, nowy sponsor. Golden Phoenix Holdings.

Ta sama nazwa widnieje na plecach każdego João de Dios Moço.

An Xiuying odsuwa się od poręczy. Ręce mu się trzęsą. Twarz ma bladą i lśniącą od potu.

– Nie czuję się dobrze, panie Corta. Chyba nie wytrzymam do końca meczu.

Lucas już jest za nim. Koszula nieskazitelna, kanty ostre jak brzytwa, poszetka idealnie równa.

– Przykro mi to słyszeć, panie An. Widowisko będzie wspaniałe. A może to logo

na naszych koszulkach pana zdenerwowało? Całkiem interesująca firma ten Złoty Feniks. Okazało się, że zadziwiająco trudno ustalić, co właściwie robi. Materiały, które zebraliśmy, sugerują, że istnieje tylko po to, żeby przepuszczać finansowanie na budowę infrastruktury przez ciąg firm-wydmuszek zarejestrowanych w rajach podatkowych – w tym księżycowych. Nawet mnie trudno było dokładnie rozplątać ten węzeł. Jeśli nie chce pan oglądać meczu – Tygrysy wygrają, chłopcy Ruffy od początku tego sezonu są w kiepskiej formie – to ewentualnie możemy porozmawiać o pana powiązaniach z Golden Phoenix. Rozumie pan, ja mogę to ujawnić. Wasz rząd akurat ma kolejny okres wzmożonej walki z korupcją. Kary są bardzo ostre. Albo mogę nie ujawniać. Rafa może wymienić te koszulki. To zależy od pana. Możemy także porozmawiać o tym, ile Helu-3 planuje w przyszłości zamawiać China Power Investment. Corta Hélio jest w stanie bez trudu zaspokoić wasze potrzeby. Mecz trwa godzinę. Na pewno wystarczy czasu, by się dogadać.

Dłoń na ramieniu prowadzi Ana Xiuyinga z powrotem do łóży. Przed zamknięciem drzwi Lucas kiwa głową starszemu bratu.

Rachel miała rację, myśli Rafa. Jesteś bystrzejszy ode mnie. Nagle rozlega się gwizdek, piłka leci w powietrze. Czas start!

Godzina plus doliczony czas. Tygrysy wygrywają 31:15. Pogrom. Jaden Sun się cieszy, Rafa Corta jest przybity. Lucas, gdy przewiduje wynik meczu, nigdy się nie myli.

W tramwaju będzie jedna pasażerka. Ochrona Boa Vista jest już powiadomiona. Obserwacja ma być dyskretna. Pod żadnym pozorem nie wolno jej przeszukiwać. Przyjeżdża na osobiste zaproszenie Adrian Corty.

Wagon wjeżdża na stację Boa Vista. Kobieta, która wysiada z niego na gładki kamień, jest wysoka nawet jak na księżycowe standardy; ciemna twarz, ciemne oczy, chuda jak trzcina. Nosi obfity biały strój – suknię z wieloma spódnicami, luźny turban. Kolory: tkana złoto-zielona i niebieska stuła; wiele zwojów ciężkich koralików na szyi, złote koła w uszach i na każdym palcu. Luźne ubranie

podkreśla jeszcze jej wzrost i chudość. Nie ma chowańca; to tak, jakby brakowało jej któreś kończyny. Ochroniarze prostują plecy. Bije od niej charyzma. Nawet im przez myśl nie przejdzie, żeby ją przeszukać.

– Irmã – wita ją Nilson Nunes, steward.

Kobieta potwierdza nieznacznym skinieniem głowy. W ogrodach Cortów zatrzymuje się. Unosi wzrok do paneli nieba, mruga oślepią sztucznym słońcem. Przypatruje się wielkim kamiennym twarzom *orixas*, wypowiada bezgłośnie imię każdej z nich.

– Irmã?

Kiwnięcie głową. Dalej.

Adriana Corta czeka w pawilonie São Sebastião, płataninie filarów i kopulek w najwyższym punkcie pochyłej rury po lawie. Pomiędzy filarami spływa woda. Dwa krzesła, stolik. Samowar z miętową herbatą. Wstaje, ubrana w szarawary i bluzkę z delikatnego jedwabiu.

– Irmã Loa.

– *Senhora* Corta. Przekazuję serdeczne pozdrowienia od zakonu oraz błogosławieństwo od świętych i *orixas*.

– Dziękuję, siostrzo. Herbaty? – Adriana Corta nalewa szklankę miętowej herbaty. – Taka szkoda, że kawy nie daje się tu uprawiać. Chyba z pięćdziesiąt lat minęło, odkąd ostatni raz piłam arabikę.

Kobieta siada, ale szklanki nie dotyka.

– Przykro mi, że ostatnio pani rodzina miała takie problemy – mówi.

– Przeżyliśmy – mówi Adriana. Upija łyk miętowej herbaty i krzywi się. – Paskudztwo. Ja się ciągle o nich denerwuję. Bez przerwy. Rafa nie odpuści sobie Robsona. Carlinhos nie może się doczekać, żeby wrócić w teren. Ariel pojechała do Południka. Lucasinho uciekł. Lucas zablokował mu konta, ale to chłopaka nie powstrzyma. Ojciec nie ma pojęcia, jak on jest do niego podobny.

Irmã Loa wyciąga krzyż spomiędzy kaskad koralii, unosi go do ust i całuje ukrzyżowanego.

– Święci i *orixas* cię bronią. A Wagner?

Adriana Corta wymyka się kolejnym pytaniem.

– A wy? Jesteście już bezpieczne?

– Podatek oddechowy płaci święty i grzesznik zarówno – mówi Irmã Loa. – Katolicyzm ciągle jest nam przeciwny. Z drugiej strony święto Wniebowzięcia udało się jak nigdy. Pani mecenat to dla nas wielkie błogosławieństwo. Tak rzadko znajduje się kogoś, kto myśli tak samo jak my, w perspektywie stuleci.

– Wy inwestujecie w ludzi, ja w technologię. Nasze długoterminowe cele niechybnie się spotkają. Ale najlepiej by było, gdyby zapoznały się teraz, żeby się rozpoznały, kiedy spotkają się znowu, za setki... tysiące lat. Tak mało ludzi myśli długoterminowo. Naprawdę długoterminowo. I my, i wy jesteśmy dynastią.

Zwabiona głosami, biegnie z chlupotem przez strumyczki. Luna, bosonoga w czerwonej krótkiej sukience.

– A ty kim jesteś? – pyta kobiety w bieli.

– To jest Irmã Loa z Sióstr Panów Chwili – mówi Adriana. – Pije ze mną herbatę.

– Ona nie pije herbaty – informuje Luna.

– A to, co masz nad ramieniem, to ćma? – pyta Irmã Loa.

Luna kiwa głową, wciąż trochę boi się tej chudej damy w bieli, mimo jej uśmiechu.

– Ciągnie ją do światła – kontynuuje Irmã. – Ma tylko jeden cel, więc łatwo ją od niego odciągnąć. Ćma jest taka delikatna, ale jest prawdziwą córką Yemanji. Ćma jest pełna intuicji. Ciągnie ją do miłości i inni ją kochają.

– Ty nie masz chowańca – zauważa Luna.

– Nie używamy ich. Zaśmiecają umysł. Przeszkadzają w naszej komunikacji.

– Ale mojego widzisz.

– *Anzinho*, soczewki nosimy wszystkie. – Irmã Loa sięga w fałdy turbanu i wciska Lunie w dłoń jakiś drobny przedmiot: maleńkie plastikowe wotum, syrenka z gwiazdą na czole. – Matka Boska od Wód. Będzie twoją przyjaciółką i poprowadzi cię do światła.

Luna zaciska boginię w pięści i odbiega, skacząc przez wezbrane strumyczki.

– Miło z twojej strony – mówi Adriana. – Ja myślę o wszystkich wnukach. Lunę kocham najbardziej. Boję się o moje wnuki. Obawiam się o nie. Od łapci do łapci w trzy pokolenia. Zna siostra takie powiedzenie? Pierwsze pokolenie wyrывa się z butów biedaka. Drugie buduje bogactwo. Trzecie to bogactwo trwoni. I znów

łąduje w butach biedaka. Długoterminowe projekty, siostró.

– A dlaczego pani mnie tu zaprosiła, *senhora* Corta?

– Chcę się wyspowiadać.

Zdziwienie na nieruchomej twarzy siostry Loi.

– Z całym szacunkiem, *senhora*, ale nie widzę w pani kobiety, która miałaby wykształcone poczucie grzechu.

– A wy, siostry, też nie jesteście religią, która miałaby wykształcone poczucie grzechu. Siostró, ja jestem już stara. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Biologicznie to nie jest bardzo dużo, ale jestem starsza niż większość rzeczy na tym świecie. Pierwsza może nie byłam, ale byłam wśród nielicznych. Zaczynałam od zera, dziewczyna znikąd, i zbudowałam to wszystko tu, w niebie. Chcę tę historię komuś opowiedzieć. Wszystko. Rzeczy dobre i złe. Naprawdę myślałyście, że to moje wsparcie to zwykła ofiara?

– *Senhora* Corta, prostota ducha to nie to samo co naiwność.

– Będziesz przychodzić do mnie raz na tydzień, a ja będę ci się spowiadać. Rodzina będzie cię wypytywać – Lucas ma potrzebę mnie chronić – ale nie może się o niczym dowiedzieć. Dopóki nie... – Adriana nie kończy.

– Pani umiera, prawda?

– Tak. Trzymam to oczywiście w tajemnicy. Wie tylko Helen de Braga. Ona przeszła ze mną wszystko.

– Stan jest zaawansowany?

– Bardzo. Ale ból jest pod kontrolą. Wiem, że obarczam cię wielkim ciężarem. Od ciebie zależy, co powiesz Rafie, Ariel, ale przede wszystkim Lucasowi. Zwłaszcza Lucasowi, bo on będzie wiercił, wiercił i wiercił. Twoje kłamstwa muszą być hermetyczne. Jeśli moje dzieci dowiedzą się, że umieram, skoczą na siebie z pazurami. I Corta Hélió upadnie.

– Powinam się za panią modlić, *senhora* Corta.

– Jak sobie chcesz. No to zaczynam.

TRZY

Nazwisko. Zaczniemy od mojego nazwiska. Corta. Nie jest portugalskie. Samo słowo jest hiszpańskie i oznacza „tnie”. I w hiszpańskim też właściwie nie ma takiego nazwiska. Taki dźwięk, co turlał się po świecie, z kraju do kraju, z języka do języka, aż stał się słowem, potem nazwiskiem, aż w końcu wyrzuciło go na brzeg Brazylii.

Kiedy się zgłaszasz do wyjazdu na Księżyc, LDC robi ci obowiązkowe badanie DNA. Gdybyś miała zostać, albo rodzić dzieci, LDC chce się ustrzec przed jakimiś chronicznymi genetycznymi chorobami, które wyjdą później. Albo dopiero w następnych pokoleniach. I okazało się, że moje DNA jest pozbierane z całej Ziemi. Ze Starego Świata, Nowego, z Afryki, zachodniego Morza Śródziemnego, wschodniego, od Tupi, z Japonii, z Norwegii. Jestem jak planeta w jednej osobie.

Adriana Corta. Adriana – po babce ciotecznej, Adrianie. Najwyraźniejsze wspomnienie babki – jak gra na organach elektrycznych. Miała maleńkie mieszkanko, a na środku pokoju stały te wielkie organy. Jedyne cenna rzecz, jaką miała. Grała, a myśmy tańczyli dookoła. Było nas siedmioro. Byron, Emerson, Elis, Adriana, Luiz, Eden, Caio. Ja byłam średnia. Najgorzej być średnią. Ale za to dużo ci uchodzi, bo bracia i siostry robią ci za kamuflaż. W domu zawsze była muzyka. Matka nie umiała na niczym grać, za to lubiła śpiewać, ciągle gdzieś grało radio. Wychowałam się na klasyce. I tutaj ją ze sobą zabrałam. Kiedy pracowałam na powierzchni, puszczałam ją sobie w hełmie. Tylko Lucas ma po mnie zacięcie do muzyki. Co za szkoda, że nie ma głosu.

Adriana Arena de Corta. Matka nazywała się Maria Cecilia Arena. Pracowała w opiece zdrowotnej, w katolickiej misji dobroczynnej. Ochronka dla dzieci, zero antykoncepcji. niesprawiedliwa jestem dla niej. Miała pod opieką Vila Canoas; kiedy odchodziła z pracy, cała favela przyszła ją pożegnać. A ojciec – kiedyś oparzył sobie rękę przy spawaniu samochodu. Poszedł do niej, żeby mu ją opatrzyła, i przyspawało go do niej na całe życie. Była tęga, ruszała się powoli, sztywna w biodrach, a po urodzeniu Eden zrezygnowała z pracy i w ogóle rzadko ruszała się z mieszkania. Nie mogła nas wszystkich dogonić, więc tylko krzyczała. Miała potężny dudniący głos, który zawsze znajdował to dziecko, które akurat miało ją usłyszeć. I była taka dobra. Tato ją bardzo kochał. Miała problemy z krążeniem i chore serce. Czemu ci z opieki zdrowotnej zawsze są najmniej zdrowi?

Ciągle mi jej brakuje. Z nich wszystkich o niej najwięcej myślę.

Adriana Mão de Ferro Arena de Corta. Mão de Ferro. Żelazna ręka. Co za nazwisko, nie? Wszyscy byliśmy Żelazne Ręce, tak jak mój ojciec i wujowie. Bo to było przezwisko dziadka, Diogo. Pochodził z Belo Horizonte. Umarł przed moim urodzeniem, a wcześniej od czternastego roku życia pracował w kopalniach rudy żelaza, póki go nie zwolnili, bo był zagrożeniem dla siebie i innych. Przeszuflował dziesięć milionów ton. A ja jeszcze więcej. Tysiąc razy więcej. Dziesięć tysięcy razy. Jeśli ktoś ma być Żelazną Ręką, to właśnie ja. Kopalnie i metal. Mój ojciec był dealerem samochodowym. Potrafił wymontować i wyremontować silnik, zanim jeszcze nauczył się jeździć. Przyjechał do Rio, kiedy w Minas Gerais nastąpiła recesja, znalazł pracę w warsztacie robiącym składaki – bierze się dwa złomy po kasacji, z jednego przód, z drugiego tył, spawa się i proszę, nowe auto! Ta robota mu nie leżała, bo ojciec zawsze był bardzo uczciwy. Kiedy oglądał telewizję, wystarczała jedna informacja o korupcji czy przekręcie i zaczynał krzyczeć na ekran. W Brazylii w latach dziesiątych i dwudziestych krzyczał przez cały czas. Afery przy budowie stadionów olimpijskich! Ludzi pracujących nie stać na bilet autobusowy! Zajął się handlem autami – czy to jest uczciwsze od robienia składaków? Tego moralnego włosa nie mam ochoty dzielić na czworo. Ale szybko dorobił się salonu samochodowego, potem zaryzykował i wykupił przedstawicielstwo Mercedesa. I to była druga

najlepsza decyzja w jego życiu, zaraz po wyjściu za *mãe*. Okazało się, że ma smykałkę do interesów. Przeprowadziliśmy się do Barra de Tijuca! Och! W życiu czegoś takiego nie widziałam! Całe piętro w bloku wyłącznie dla nas. Byłam w pokoju tylko z jedną siostrą! A kiedy wychyliłaś się z okna i wyciągnęłaś szyję, tam, daleko między innymi blokami, było widać morze!

Adriana Maria do Céu Mão de Ferro Arena de Corta. Maryja z Niebios. Matka Boska od Gwiazdzistego Nieba. Matka pracowała w Abrigo Cristo Redentor, wszystkich nas posyłała na religię i na mszę, ale daleko jej było do dobrej katoliczki. Kiedy chorowaliśmy, zapalała świeczkę, wtykała pod poduszkę szkaplerz, ale także kupowała zioła, modlitwy i ikony od *mãe-do-santo*. Na dwa fronty, jak to mówiła. Im więcej bóstw się sprawą zajmie, tym lepiej. Dorastaliśmy pomiędzy dwoma niewidzialnymi światami, światem świętych i *orixas*. Imię dostałam więc po katolickiej świętej, która była także Yemanją. Pamiętam, jak matka zabierała nas na plażę w Barra na sylwestra. Tylko ten jeden raz w roku pokazywała się na plaży. Normalnie bała się oceanu. Przez cały tydzień po Bożym Narodzeniu robiliśmy kostiumy, biało-niebieskie, w świętych kolorach. *Mãe* robiła super nakrycia głowy z drutów obciążonych rajstopami, *Pai* je potem lakierował u siebie w warsztacie. To jest dla mnie zapach Nowego Roku – lakier samochodowy. *Mãe* była cała na biało, i kiedy szliśmy na plażę, wszyscy z ogromnym szacunkiem się z nią witali. Byłam taka dumna, mama była jak wielki statek. W Rio na sylwestra szły miliony, za to u nas było znacznie bardziej elegancko. To było nasze święto. Wszyscy obwieszali balkony palmowymi liśćmi. Po Avenida Sernambetida jeździły tam i z powrotem samochody, w których grała muzyka. Na ulicy był taki tłum, że jechały bardzo wolno, dlatego nawet małe dzieci były tam bezpieczne. Byli *didzeje*, masa jedzenia. Wszystko, co lubi Yemanja. Marycha. Kwiaty. Białe kwiaty, papierowe stateczki, świeczki. Szliśmy nad samą wodę, wchodziliśmy w nią czubkami palców. Nawet *mãe* wchodziła po kostki w załamujące się fale, które wymywały jej piasek spod stóp. Kwiaty we włosach, świece w dłoniach. Czekano się, aż zza morza wyjdzie rąbek Księżyca. Wydawało się, że się przelewa przez horyzont. Wielki. Taki wielki. Wtedy coś mi przeskoczyło w świadomości i zobaczyłam, że on nie wylania się zza brzegu świata, on powstaje z wody. Morze kipi, wrze, a

Księżyc ściąga z fal tę biel i z niej powstaje. Zaniemówiłam. Jak i wszyscy. Staliśmy nieruchomo, tysiące ludzi. Biało-niebieska linia wzdłuż brzegu Brazylii. Potem wzeszedł Księżyc, wielki i jasny. Prowadziła do niego srebrzysta droga. Droga Yemanji. Droga, którą Pani Luna zeszła na nasz świat. Pamiętam, jak pomyślałam, że drogi przecież prowadzą w obie strony. Mogę i ja przejść tą drogą, na Księżyc. Potem rzucaliśmy w wodę kwiaty, a fale je zabierały. Wstawialiśmy do papierowych stateczków świeczki-podgrzewacze i puszczałyśmy na fale. Większość tonęła, ale niektóre płynęły księżycową drogą do Yemanji. Nigdy nie zapomniałam, jak podskakują w tej srebrzystej smudze.

Mãe nie wierzyła, że ludzie byli na Księżycu. To było niewyobrażalne. Księżyc to osoba, nie kamienny satelita. Ludzie nie chodzą jak pchły po skórze innych ludzi. Wiele lat później, tuż przed moim wylotem, dalej nie wierzyła, kiedy zabrałam ją na plażę. Wtedy już ledwo chodziła. Wypożyczyłam samochód, przejechałyśmy te kilkaset metrów do plaży. Salon ojca dawno zbankrutował. Już nie byliśmy ludźmi od aut. Ale mieszkanie zostało, bo *Pai* spłacił hipotekę przed terminem. I znowu było nas tam pełno: Byron, Emerson, Elis, Luis, Eden, Caio, Adriana. Wszystkie ptaki z powrotem w gnieździe.

Mãe była już wielka jak Księżyc, ale ludzie, którzy przybyli na sylwestra, i tak oddawali jej szacunek, a auta trąbiły klaksonami. Była wielka i święta. Prowadziłam ją za rękę nad wodę, patrzyłyśmy, jak z morza robi się Księżyc, i wtedy powiedziałam: „Niedługo tam będę”. Śmiała się i nie wierzyła, potem jednak dodała: „No dobrze, to będzie mi łatwo wyjść na balkon i do ciebie pomachać”.

Adriana Maria do Céu Mão de Ferro Arena de Corta. A *Outra. Outrinha*. Inna. Inniutka. Przeciętniara. To najważniejsze z moich imion. To ono mnie uształtowało. Średnia. Przeciętniara. Ani najładniejsza, ani najbystrzejsza, ani najbardziej elokwentna. Nie ta, której *vovo* pierwszej daje kasę na Wielkanoc. Adriana Średnia. Nogi miałam zgrabne, ale ogólnie byłam za niska, a nos i uszy miałam za wielkie. Wąskie oczy jak szparki i zbyt ciemną skórę. Rodzice sądzili, że w ten sposób mi pomagają. Nie chcieli, żebym miała jakiegokolwiek złudzenia. Mówili: piękna nigdy nie będziesz, nie będziesz wybranką i szczęściarą, więc nie oczekuj, że świat sam wejdzie ci w dłoń jak owoc. Będziesz musiała na to

zapracować. Wykorzystać wszystkie siły i wszystkie talenty, żeby dostać to, co inni dostają za darmo, za urodę, za uśmiech. Inna. Od pięćdziesięciu lat nikt mnie tak nie nazwał. Tylko ty na tym świecie znasz to imię. Czuję, że zaciskają mi się zęby. I wszystko przez to przezwisko. Pięćdziesiąt lat tu żyję i dalej to imię! To imię!

A więc: nie urodziłam się w czepku i nie byłam pupilką. A więc miałam za wielki nos i za ciemną skórę. Sama musiałam zapracować na swoją wyjątkowość. To ja byłam zdolna do wszystkiego i na wszystko mogłam się odważyć. Wiedziałam, że nikt mnie nigdy nie złapie. W szkole zawsze pierwsza podnosiłam rękę. Nigdy się nie zamykałam, kiedy chłopcy mówili. To ja włamałam się do szkolnej sieci i zmieniałam wyniki egzaminów. A posadzili o to chłopaka, maniaka komputerów. To ja poprosiłam Małego Nortona, gwiazdę halówki uwielbianą przez wszystkie laski, żeby wsunął mi rękę pod spódnicę. A on to zrobił i wszyscy byli w szoku. Cały czas chodziłam w kamuflażu, niewidzialna, bo otoczona ładnymi. Do żeńskiej drużyny halówki już nigdy mnie po tym nie wzięły. I co z tego? Odkryłam już własny sport, brazylijskie jiu-jitsu. Matka nie pochwałała. Za to ojciec lubił oglądać MMA w kablówce, i to on znalazł mi *dojo*. Byłam mała, podstępna, wredna, i potrafiłam rzucać dwa razy większymi chłopakami. A zepsuta byłam jak nie wiem. Wcześniej niż wszystkie ładne miałam każdego chłopaka, bo wiedzieli, że wszystko zrobię. I robiłam, ale nie tyle, ile sobie te ładne wyobrażały. Wystarczała sama legenda. Ładne odcięły mnie od swojego towarzystwa i wszystkich imprez. Wielka mi strata. Knuły i kombinowały, jak mnie upokorzyć, ale żadna za cholere nie umiała wymyślić porządnej towarzyskiej intrygi. Wieszaly na Facebooku różne rzeczy o mnie, a ja w rewanżu po dziesięć razy hackowałam ich konta, bo programować umiałam lepiej niż one wszystkie do kupy. A fizycznie mnie zaatakować albo oblać kwasem z akumulatora się bały; byłam szybka, twarda i rzucałabym nimi jak lalkami Barbie. Szkoła średnia to pole bitwy. Chyba zawsze tak jest, i wszędzie, nie?

Nawiasem mówiąc, faceci przeważnie byli w porządku. Gadali o analu, ale faceci zawsze gadają o analu. A wystarczy lodzik i są zadowoleni. Bali się mnie tak samo jak dziewczyny.

Bulwersujące, nie? Dama w moim wieku gada o oralu i analu.

Papai był zachwycony, kiedy się dowiedział, że idę na inżynierię wydobywczą. Prawdziwa córka Minas Gerais. Prawdziwa Żelazna Ręka. A mama była przerażona na dziesięć sposobów. Inżynieria jest dla mężczyzn. W życiu nie znajdę sobie męża. Nie będę mieć dzieci. Będę jeść paluchami, mieć brud za paznokciami i żaden facet na mnie nie spojrzy. I to jeszcze w São Paulo, tym okropnym, okropnym mieście.

A ja uwielbiałam São Paulo. Uwielbiałam jego wredną brzydotę. Anonimowość. Banalność. Niekończące się szeregi wieżowców. Podobało mi się w nim to, że nie idzie na kompromis. A w porównaniu z Księżycem to i tak jest piękne jak anioł. Na Księżycu piękna nie ma za grosz. Sao Paulo było jak ja; nie ma na co popatrzeć, za to pluje energią, pomysłami, złością i śliną.

Znalazłam sobie dobrych kumpli. Głównie facetów oczywiście – na inżynierii wydobywczej dalej rzadko się spotykało kobiety, a poza tym lepiej rozumiałam, jak działają faceci. Bo faceci są prości. Odkryłam, że jestem w stanie przyjaźnić się z dziewczynami. Że przyjaźń kobiet to co innego niż przyjaźń mężczyzn. Dowiedziałam się, że dziewczyny potrafią mi się podobać. Że mogę się w nich kochać. Byłam oportunistką, to prawda. Obnosiłam się z tym. Znałam różne sztuczki. Myślę teraz o tamtej młodej kobiecie, o jej odwadze i bezczelności – i podziwiam ją. Dopiero co wprowadziłam się na kampus, a już wymalowałam się od stóp do głów w barwy narodowe i wzięłam udział w nagiej przejażdżce rowerowej ulicami Sao Paulo. Wszyscy na mnie patrzyli, a nikt nie widział. Byłam naga i niewidzialna. Ależ mi się to podobało. Boże, jakie ciało miałam wtedy. Tyle rzeczy mogłam z nim jeszcze zrobić!

Teraz opowiem ci o Lyoto. Imię... wytrałowane z samego dna. Wiesz, co to takiego trałowanie? Czasami zapominam, że są takie słowa ze starego świata.

Nowe pokolenia w ogóle nie wiedzą, do czego je przyczepić. Nawiązania do zwierząt – moje wnuki tylko czoło marszczą. Luna nigdy nie widziała na oczy krowy, świni czy choćby kury, żywej i gdaczącej.

Lyoto. Już niezbyt dobrze go widzę, ale głos pamiętam. Miał południowy akcent – był z Kurytyby. Moja pierwsza miłość, jak się zdaje. O, uśmiechasz się. Nie flirtowałam z nim, nie podrywałam go, nie uwodziłam, nie grałam w seksowne gierki, więc to musiała być miłość. Poznałam go w sekcji jiu-jitsu. Drużyny sportowe to tylko seks, seks, seks, wszyscy to robią przez cały czas. Byliśmy na turnieju, ja w żeńskiej drużynie, waga lekka, fioletowy pas. On był w wadze ciężkiej, czarny pas, pięć pagonów. Widzisz, kategorię i pas pamiętam, a twarzy nic a nic.

Papai brał ze swojej ekspozycji najbardziej odbajerowanego mercedesa i przyjeżdżał na wszystkie krajowe turnieje. Daleko było, ale on to lubił. Potem obwoził mnie po Jardins i zabierał na obiad do jakiejś drogiej knajpy. Wysiadałam z tego wielkiego auta i czułam się jak milionerka.

Aż nagle któregoś razu przyjechał, a ja nie wsiadłam i nie pojechałam z nim. Chciałam iść na piwo z Lyoto, a potem na imprezę. Pamiętam smutną minę taty, kiedy zdał sobie sprawę, że nie będziemy jechać Rua Barão de Capanema i przeglądać menu restauracji na ekranie w samochodzie. Zdaje się, że on dzięki temu też czuł się jak milioner. I ciągle przyjeżdżał na te turnieje, póki nie pojechałam do Ouro Preto na podyplomówkę. To już było dla niego za daleko, zresztą i mnie powoli sztuki walki przestawały interesować. Rok za rokiem te same fikołki na macie, tu w górę o jeden dan, tam o jeden pas.

Lyoto już wtedy od dwóch lat nie żył. Byliśmy ze sobą przez ponad rok. Nie było mnie przy tym, gdy go zastrzelili na Praça da Sé. Kiedy się dowiedziałam, siedziałam i pisałam pracę semestralną. Polityka nigdy mnie nie ciągnęła. Ja byłam inżynierem, on humanistą. Działaczem. Ja byłam po prostu naturalną kapitalistką, która nie ma poglądów, bo nigdy się nad polityką nie zastanawiała, tak mi mówił. Pragmatyczką. A on miał teorie. Nie dawało się z nim dyskutować, bo wszystko miał przemyślane; argument za argumentem jak armia kolonialna. Padnie jeden szereg, to drugi idzie naprzód i strzela. Cały porządek świata był zgniły, przeżarty niesprawiedliwością społeczną, rasizmem, seksizmem,

nierównością i złą polityką w sprawie płci. Ja myślałam, że Brazylia po prostu tak ma. Ale nawet ja widziałam, że nad kampusem uczelni lata coraz więcej helikopterów, tych limuzyn ultrabogatyh, ludzi, którzy mieszkają na szczytach wieżowców i nigdy nie dotykają ziemi. Zmiany bombardowały nas jak mikrometeority, jak setki drobnych ciosów. Znowu drożały bilety na autobus i metro. Kumple oznaczali rowery, bo wzmogły się kradzieże, bo zdrożały bilety. Sklepy kupowały pancerne rolety, bo bezdomni śpią w przedsionkach. Więcej kamer na ulicach, bo wszędzie śpią bezdomni. Drony z kamerami. W São Paulo! Rozumiem, w jakimś europejskim kraju, albo w Zatoce, ale w Brazylii? To nie po brazylijsku. A tam, gdzie drony, tam zawsze jest i policja. A gdzie policja, tam przemoc. I codziennie cena chleba szła w górę. W górę i w górę. Nic tak nie wyprowadza ludzi na ulice, jak cena chleba.

Lyoto był oddany sprawie. Poszedł na Praça da Sé, malował transparenty, okupował różne miejsca. Uważał, że mnie nic nie obchodzi. A mnie dużo obchodziło, ale nie los ludzi, których nie znam. Nie to, że chińskie korporacje wykupują całe prowincje i wypędzają ludzi z ich ziemi. Nie uchodźcy ze wsi, którymi pogardzali nawet *favelados*. Mnie obchodziło tylko to, co mam blisko. Rodzina, przyjaciele, rodzina, którą kiedyś założę. Zawsze i przede wszystkim: rodzina.

O niego, tak, się bałam. Oglądałam YouTube. Widziałam, jak eskalują protesty. Krzyki, potem kamienie, potem koktajle Mołotowa. I reakcja policji tak samo: tarcze, potem gaz łzawiący, potem kule. Powiedziałam mu, że nie podoba mi się, że tam chodzi. Powiedziałam, że pewnie go aresztują, albo w ogóle wsadzą do więzienia, zabiorą numer podatnika i nigdy nie dostanie kredytu ani porządnej pracy. Powiedziałam, że bardziej obchodzą go nieznajomi niż bliscy. Ja. Rozstaliśmy się na trochę. Ale seks został. Nikt się nigdy tak naprawdę nie rozstaje.

Z początku nie wiedziałam, co się dzieje. W sekundę przyszło z dziesięć wiadomości. Matko Boska. Lyoto ranny, Lyoto cały, Lyoto zastrzelony. Wiadomości piętrzyły się jedna na drugiej. Roztrzęsione nagranie z kamery: ciało wciągane do drzwi sklepu. Potem syreny, nadjeżdżające karetki. Wszystko roztrzęsione, rozedrgane. Wszystko nieostre. Gdzieś w oddali strzały. Słyszałaś

kiedyś strzały? Pewnie nie. Na Księżycu nie ma broni. Są niegłośnie i wredne. Cała ta informacja mnie bombardowała, ale prawdy dojść nie byłam w stanie. Próbowalam do niego zadzwonić. Brak sygnału. Potem plotki zaczęły się konkretyzować. Lyoto został postrzelony. Zabrali go do szpitala. Do którego? Wyobrazasz sobie, jak bezradna się poczułam? Obdzwoiłam wszystkich, którzy znali Lyoto, albo jego kolegów działaczy. Szpital Sirio-Libanes. Ukradłam rower. Złamanie chipa śledzącego zajęło mi parę sekund. Jechałam przez miasto jak szalona. Nie wpuścili mnie do niego. Czekałam w izbie przyjęć, wszędzie była policja i kamery telewizji. Nic im nie powiedziałam, siadłam sobie z tyłu i czekałam. Policja chciałaby mnie wypytywać, a potem dziennikarze. Nasłuchiwałam i nasłuchiwałam, ale niczego się o nim nie dowiedziałam. Potem przyszła rodzina. Nigdy ich nie poznałam, nie wiedziałam nawet, że ma rodzinę, lecz od razu ich poznałam. Czekałam i czekałam i nadstawiałam uszu. Potem przyszła wiadomość, że zmarł na sali operacyjnej. Rodzina była załamana. Lekarze nie wpuścili do niego policji. Wszystkie dobre zdjęcia dostały się ekipom telewizyjnym. Nic już się nie dało zrobić. Nic się nie dało odzyskać. Śmierć zabiera wszystko. Powoli pojechałam z powrotem na kradzionym rowerze.

Zginął Lyoto i pięć innych osób. Nie był pierwszą ofiarą, więc jego nazwiska nikt nie zapamiętał. Nikt nie pisał sprayem na murach i autobusach: „Lyoto Matsushita. Pamiętamy”. Drugiego człowieka na Księżycu też nikt nie pamięta. Ale pamiętam, że byłam wstrząśnięta; odrętwiała; przerażona, ale przede wszystkim byłam wściekła. Wściekła byłam, że tak mało mu na mnie zależało, że się narażał na śmierć. Wściekła byłam, że tak głupio zginął. Pamiętam gniew, ale już nie czuję tych mdłości, tego spięcia wszystkich mięśni, ciśnienia za oczami, uczucia, że cała w środku umieram. Stara jestem. Daleko odeszłam od tej studentki górnictwa na USP. Wściekłość ma jakiś okres połowicznego rozpadu?

Zastanawiam się, co by Lyoto o mnie myślał, gdyby przeżył. Jestem bogata i potężna. Jedno moje słowo i na Ziemi gasną wszystkie światła, zapada mrok i zima. Ja nie jestem w „górnym jednym procencie”. Jestem w jednym procencie jednego procentu; tych, którzy wyjechali z Ziemi.

Już po tygodniu zapomnieliśmy o Lyoto Matsushicie, drugim męczenniku. Były nowe zamieszki i nowe ofiary. Rząd obiecywał i łamał wszystkie obietnice. Potem przyszedł pierwszy z szeregu kryzysów, a po każdym kraj i gospodarka upadały coraz niżej, aż walnęły w dno i rozwały się tak, że były już nie do naprawienia.

Nie wiedziałam wtedy, że Lyoto był jedną z pierwszych ofiar wojny klasowej. Wielkiej, światowej i ostatecznej wojny klasowej; eksterminacji klasy średniej. Napędzana kapitałem gospodarka nie potrzebowała już pracowników, a mechanizacja wpędziła klasę średnią w wyścig do dna. Robot robi coś taniej od ciebie i w miarę dobrze? Robot pracuje zamiast ciebie. Maszyny zmuszały nas do walki cenowej z nimi. Maszyny dostarczały nawet aplikacje, których używałaś do licytowania się z nimi i ze sobą nawzajem. Jeśli byłaś tańsza niż maszyna, miałaś co jeść. Po prostu. Zawsze myśleliśmy, że maszynowa apokalipsa to będą roje morderczych dronów, armie mechów wielkości kamienic i terminatory z czerwonym okiem. A nie rzędek bezobsługowych kas w supermarkecie Extra na rogu i na stacji alkopaliwa; obsługa banku przez sieć; automatyczne taksówki; automatyczny system selekcji chorych w szpitalu. Roboty wchodziły wszędzie po kolei i nas zastępowały.

I proszę, mamy najbardziej uzależnione od maszyn społeczeństwo, jakie zrodziła ludzkość. A na tych samych robotach, które doprowadziły Ziemię do nędzy, ja się dorobiłam, ja zbudowałam dynastię.

Ojciec nie pamiętał lądowania Północnych Amerykanów na Księżycu, ale mówił, że stary Mão de Ferro to oglądał. Pił w barze w Belo Horizonte. W telewizorze leciał mecz piłki nożnej i Mão de Ferro o mało co nie wywołał bójki, kiedy się uparł, że knajpiarz ma przełączyć na lądowanie na Księżycu. „To jest historia”, powiedział. „W życiu nic większego nie zobaczymy”. „Ściema”, wrzasnęli inni w barze. „Nakręcone w studiu w Hollywood”. On jednak dalej stał przed telewizorem i gapił się na czarno-biały obraz, czekając tylko, aż ktoś się odważy przełączyć z powrotem na mecz. Ja natomiast pamiętam, jak Mackenzie

postawili na Księżycu roboty. Wtedy z kolei ja byłam w barze, z kumplami z grupy ze studiów. Wróciłam na ojczystą Ziemię, do Minas Gerais, do DEMIN, górniczego instytutu, na studia podyplomowe. W Ouro Preto byłam jeszcze większą osobliwością. Nie: unikatem. Jediną kobietą. Faceci byli srająco uprzejmi i wciąż ciągnęli mnie do knajp. Nie chciałam, żeby mnie pomijali. Więc wtedy właśnie byłam z nimi na piwie. Barman skakał po sportowych kanałach i przez przypadek trafił na informacje. Zobaczyłam Księżyc, zobaczyłam te maszyny, zobaczyłam ślady kół. Wydarłam się na barmana: „Ej, ej, zostaw to”. Tylko ja jedna w całym barze gapiłam się w telewizor, patrzyłam, jak dzieje się historia. Australijska firma Mackenzie Mining Corporation wysłała na Księżyc roboty, żeby szukały metali ziem rzadkich dla przemysłu elektronicznego. Czemu tego nie oglądacie? Patrzyłam w ekran, a w głowie coś mi się rozjaśniało. Coraz większym blaskiem. Jakby zacinął mi się oddech, a serce przeskakiwało co trzecie, co czwarte uderzenie. To było poczucie, że coś niemożliwego staje się nie dość, że możliwe, to jeszcze osiągalne. Przeze mnie. Potem informacje zmieniły temat, to było zresztą pod sam koniec, kogo interesuje nauka i kosmos. Ważniejsze jest, co zrobiły gwiazdy telenowel i modelki. Wyszłam z baru do ogródka, usiadłam na murku pod zapyłonymi drzewami i gapiłam się w noc. Zobaczyłam Księżyc. Powiedziałam do siebie: tam są już maszyny i zarabiają kasę.

Ojciec przyjechał mnie odwiedzić. Autobusem przyjechał. Od razu wiedziałam, że ma złe wieści. Do Ouro Preto był kawał drogi, ale dla niego taka jazda autem to byłaby przygoda. Jego salon samochodowy upadł. Już nikt nie kupował luksusowych mercedesów, nawet w Barra. Zabezpieczył się: mieszkanie spłacił, mojej edukacji też nic nie groziło. O ile przez najbliższe dwa lata będę się przykładać i postaram się nie zapełniać lodówki piwem co weekend. Ale biznes się skończył, a w jego wieku nie było już szans na przekwalifikowanie się na maszynową gospodarke, a co dopiero na znalezienie innej pracy. Był smutny, ale i dumny – zrobił wszystko, co mógł, najlepiej, jak mógł. To wolny rynek go załatwił.

I wtedy przyszła Matka Boska Gruzlicza i zmiotła ze stołu wszystkie jego plany. Caio, chłopaczek, najmłodszy brat. Caizinho, najsłabszy w miocie, tak o nim

mówiliśmy. Nigdy się z domu nie wyprowadził, wydawało się, że nieustannie ma trzynaście lat. W miarę jak znikąca praca, rozłaziły się małżeństwa i rozpadały rodziny, do domu po kolei wracały wszystkie pozostałe z siedmiorga dzieci *mamãe* Corta. Wszystkie oprócz mnie. Tej, co się uczy, tej, co daje radę. Nagle Caio gdzieś wciągnął prętka gruźlicy TDR – w autobusie, w szkole, na mszy. Wtedy były trzy rodzaje gruźlicy: MDR, XDR, TDR. Wielolekooporna, ekstremalnie lekooporna, całkowicie lekooporna. MDR jest odporna na antybiotyki pierwszego rzutu; XDR – nawet na leki drugiego rzutu, czyli w praktyce toksyczną chemoterapię; TDR – wiadomo. My nazwaliśmy ją Białą Damą. Weszła Caio do płuc i tam zapuściła korzenie.

Mamãe urządziła mu w pokoju sanatorium; zakleiła go folią. Tata zmajstrował klimatyzator. Nie stać ich było na szpital, nie stać ich było na leki. Kupowali eksperymentalne środki na czarnym rynku, eksperymentalne ruskie fagi, podejrzane generyczne chemioterapie. Przyjechałam do domu. Widziałam się z nim przez folię. Niebezpiecznie było wchodzić do środka. *Mãe* wsuwała mu jedzenie na tacach, które bracia kradli z McDonalda, przez gruby, podwójny plastik. Caio pakował odpady w dwie foliowe torby. Widziałam go, widziałam ojca, śmiertelnie zmęczonego, widziałam, jak *mãe* gada do swoich świętych i *orixas*. Widziałam, jak bracia, siostry i ich dzieci ściubią każdego reala, gdzie tylko się da: tu zahandlują złomem, coś kupią, coś sprzedadzą, tam zorganizują loterię. Caio i tak miał umrzeć, ale nie mogłam winić rodziny, że wydaje ostatnie grosze na cień nadziei. Parę tygodni od lądowania Mackenziech na Księżycu w branżowych pismach i na branżowych stronach pojawiły się pierwsze ogłoszenia pracy.

Od razu zaaplikowałam.

Mój promotor ze studiów pomógł napisać wniosek o kredyt. Dzięki mojej pracy, która mówiła o solarnej ekstrakcji metali ziem rzadkich z księżycowego regolitu, uznano mnie za cenny zasób dla Księżyca. Mackenzie Metals zaproponowało umowę. Wniosek przeszedł, dostałam kredyt.

Poleciałam wtedy do domu. Stać mnie było na samolot. Pojechałam do Barra, zobaczyłam poprzerastane trawą chodniki projektu Niemeyera, krzaki na dachach domów, powybijane okna. Avenida Sernambetida była cała obstawiona

straganami i namiotami, a każda kamienica opleciona rurami z wodą i kablami, jakby dławiły ją pnącza. Na każdym stały baterie słoneczne i zbiorniki z wodą. Stadion piłkarski, park olimpijski – powyrywane krzeselka, brak połowy dachu po ostatniej burzy. Miasto upadało. Upadała cała planeta.

W mieszkaniu gnieździła się masa ludzi, ale ja i tak dostałam oddzielny pokój. Caio wciąż mieszkał w swoim foliowym namiocie. Był teraz pod tlenem. Caio i ja, każde w swojej komnacie, umierający księżę i księżniczka, która wróciła do domu. Cały dzień telewizja, cały dzień i całą noc ktoś przychodził albo wychodził, mężowie, żony, partnerki, partnerzy i ich rodziny, członkowie rodziny, którzy w ogóle nie byli żadną rodziną. A *mamãe*, gruba, że ledwo się telepała, rządziła wszystkimi swoim krzykiem. Tamtej nocy wyszłam na balkon i zobaczyłam Księżyc. Yemanjê, moją boginię – tylko że teraz ona nie powstawała z morza, lecz była daleko poza światem, a świat się do niej zwracał z błaganiem. Świat się obracał i mnie podtykał jej pod nos. Przyciągała do siebie całą wodę oceanów. I mnie razem z nią. Och tak, mnie razem z nią.

Uwielbiałam ćwiczenia i przygotowania. Biegałam, pływałam, ćwiczyłam crossfit, machałam sztangą. Byłam szczupłą, wysportowaną jak nie wiem, miałam cel w życiu. Sama podziwiałam własne mięśnie. Chyba musiałam być w sobie zakochana. Byłam już nie tylko Żelazną Ręką. Byłam Żelazną Kobieta.

Południowoamerykański ośrodek szkoleniowy był w Gujanie, koło kosmodromu Europejskiej Agencji Kosmicznej. Kiedy biegałam, słyszałam ryk odpalanych silników Statków Transferu Orbitalnego. Trzęsło mną, aż traciłam słuch. Trzęsło całą Ziemią i Niebem. Potem widziałam zakrzywiającą się ku górze smugę kondensacyjną, zakończoną maleńką ciemną igielką startującego statku. Lecącego w górę, poza Ziemię. Łzy mi ciekły za każdym razem.

Bo z księżycowym treningiem jest tak: trenuje się do startu, nie do pobytu na Księżycu. Księżyc w ogóle mojego fantastycznego ciała nie potrzebował. Księżyc i tak zamierzał je powoli zjeść. Powoli obrócić mnie na swoje podobieństwo.

Nie byłam jedyną kobietą, ale prawie. Ośrodek w Korou był jak DEMIN na

sterydach. Księżyc miał wyglądać jak gigantyczna uczelniana drużyna piłkarska w kosmosie. Uświadomili mi, że tam nie jest bezpiecznie. Księżyc ma tysiące sposobów, żeby cię zabić, jeśli jesteś głupia, jeśli nie uważasz albo jesteś leniwa, ale prawdziwym zagrożeniem są ludzie naokoło. Księżyc nie jest jak świat. Raczej jak okręt podwodny. Na zewnątrz czai się śmierć. Będę zamknięta z tymi ludźmi. Żadnego prawa, żadnej sprawiedliwości, tylko przełożeni. Księżyc jest pograniczem; ale to jest pogranicze niczego. Nie ma dokąd stamtąd uciec.

Przygotowania zajęły mi trzy miesiące. Ćwiczenia w wirówkach, w nieważkości – w starożytnym A319 nad południowym Atlantykiem. Rzygałam za każdym razem, gdy wchodził w lot nurkowy. Treningi w skafandrach, a skafandry były wtedy ciężkie i niezgrabne w porównaniu z naszymi dzisiejszymi elastykami; spróbowałabyś zakręcać śruby w takich rękawicach! Dobra w tym byłam. Dobra mała motoryka. Treningi w niskim ciśnieniu, treningi w próżni. Inżynieria produkcji niskociśnieniowej, inżynieria produkcji próżniowej, robotyka, programowanie drukarek 3D. Trzy miesiące! Na to i trzy lata byłoby za mało. Trzy życia.

A potem przyszedł dzień na trzy tygodnie przed startem. Pojechałam do domu. Tato urządził imprezę na dachu. Korzystał z każdej okazji, żeby zrobić *churrascarię*. Wszyscy mi mówili, że super wyglądam. Impreza była świetna, radosna, choć przesiąknięta na wylot *saudade*. Bo to była jednocześnie stypa. Wszyscy wiedzieli, że już nie wrócę.

Caio zmarł trzy dni przed startem. Nie czułam ani straty, ani bólu. Pomyślałam: czemu nie mogłeś poczekać? Tydzień, pięć dni przynajmniej? Czemu musiałeś we mnie obudzić jakieś uczucia, kiedy mnie zaprzęta wyłącznie wielki księżyc na niebie i ta gwiazda na porannym niebie, która z każdym dniem robi się jaśniejsza – zbliżający się do Ziemi cykler – a przede wszystkim ten czarny ptak, czekający na wytoczenie na pas w Hangarze nr 6.

Złość zatem, po niej poczucie winy. Poprosiłam o urlop okolicznościowy. Nie dali. Nie mogłam przed samym startem narażać się na infekcję. Każdy zarazek w okamgnieniu skolonizowałby zamknięte przestrzenie cyklera i bazy księżycowej. Księżyc był jak ogromna hala czystej produkcji. Codziennie nas badali na wirusy, pasożyty, owady. Na Księżycu nic takiego nie ma prawa się

znaleźć.

Spalili więc Caio, żeby zabić Białą Panią, kiedy ja jechałam hermetycznym autobusem do wahadłowca. Wsiadanie na pokład ćwiczyliśmy dziesiątki razy w hangarze, ale i tak przykleiliśmy nosy do przyciemnianych szyb i patrzyliśmy na Transfer, czarny i lśniący w promieniach słońca. Tak silne poczucie ludzkiej mocy, potęgi, sprawczości. Niektórzy mężczyźni płakali. Faceci tak łatwo się wzruszają.

Pozapinaliśmy się, w hełmach, w skafandrach, żadnych okien, ekrany wyłączone. Robiliśmy to już dwanaście razy, lecz i tak męczyłam się z tymi klamerkami, z odfajkowywaniem listy kontrolnej. Nie byłam gotowa. Nikt nie był w stanie przygotować się na coś takiego. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie myśleć o zbiornikach wodoru z tyłu i z przodu, zbiorniku z tlenem pod nogami. Byłam sztywna ze strachu. Później odkryłam, że za tym strachem jest coś jeszcze – nie spokój, nie zachwyty, nie rezygnacja i nie bezradność. Raczej stanowczość i zdecydowanie.

Potem Transfer potoczył się, psztynk, psztynk, psztynk po pasie startowym, na oponach rozplaszczonych w jednym miejscu od długiego stania. Poczułam, że skręcamy, że samolot się zatrzymuje, a potem odpalają silniki. O rany! Co za moc! W życiu czegoś takiego nie czułaś, nawet jeśli latałaś BALTRAN-em. Jakby rozkrzyczały ci się wszystkie części ciała. Wtedy pojęłam, co się kryje za tą stanowczością, która jest za strachem. Ekscytacja. Czyste podniecenie. To była najbardziej seksowna rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

Silniki zamilkły. Lekki wstrząs, to odzepiła się kapsuła ładunkowa. Znaleźliśmy się w nieważkości. Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła, w gardle zapiekła kwaśna żółć. Rzyganie w hełmie jest nie tylko obrzydliwe; można przez to zginąć. Utopić się. Potem poczułam, jak podstawę żołądka przesuwają siła odśrodkowa i wiedziałam: chwycił nas hol i już nas ciągnie na orbitę przesiadkową cyklera. Szczyt przyśpieszenia, krew spłynęła mi do palców stóp. I znów nieważkość. Wiedziałam, że kolejny raz odrobinę ciężenia poczuję w przypominających wirówkę ramionach cyklera.

Dygot. Szarpnięcie, głośne szczęknięcia, brzęk metalu, wycie silników. Zadokowaliśmy do cyklera. Odpięły się pasy. Odepchnęłam się i poszybowałam

do otwartej śluzy. Wydawała się zbyt ciasna, nawet dla takiej drobnej osoby jak ja. Przecisnęłam się jednak, wszyscy się przecisnęli, cała dwudziestka czwórka.

W śluzie chwilę zostałam. Trzymałam się podpory, zwalczałam mdłości, patrzyłam przez maleńkie okienko na wahadłowiec wiszący na tle wielkiej, błękitnej Ziemi. Zbyt wielkiej i zbyt bliskiej, żeby dało się zobaczyć, że cykler się od niej oddala. Za to ja to czułam. Byłam w drodze na Księżyc. Ja, Adriana Maria do Céu Mão de Ferro Arena de Corta.

CZTERY

Dwa całusy dla Adriany Corty, po jednym w każdy policzek. Drobny upominek zapakowany w japoński zadrukowany papier, miękki jak płótno.

– Co to?

Lucas uwielbia przynosić matce prezenty, kiedy ją odwiedza. A w tym jest pilny: co najmniej raz na tydzień wsiada do tramwaju do Boa Vista i spotyka się z nią w pawilonie Świętej Barbary.

– Otwórz.

Widzi, jak twarz matki powoli rozjaśnia zachwyty, gdy ostrożnie rozwija papier i czuje charakterystyczny aromat prezentu. Lucas uwielbia zarządzać emocjami.

– Oj, Lucas. Nie trzeba było. To takie drogie.

Adriana Corta otwiera małe słoiczki i wdycha intensywny aromat kawy. Lucas widzi, jak po jej twarzy przelatują dziesiątki lat i setki tysięcy kilometrów.

– Niestety nie jest brazylijska.

Kawa jest cenniejsza niż złoto. Złoto na Księżycu jest tanie, ceni się je tylko za piękno. A kawa jest bardziej drogocenna niż alkaloidy i dimorfiny. Drukarki potrafią syntetyzować narkotyki, ale żadna nigdy nie stworzyła kawy, która nie byłaby główniana w smaku. Lucasowi kawa nie smakuje. Zbyt gorzka, a poza tym oszukuje. Smakiem nigdy nie dorównuje zapachowi.

– Zatrzymam ją – mówi Adriana, zamykając słoiczek i przyciskając go na moment do serca. – Na specjalną okazję. Będę wiedzieć kiedy. Dziękuję, Lucas. A do Amandy dzwoniłeś?

– Pomyślałem, że tym razem sobie daruję.

Adriana nie komentuje, nawet spojrzeniem. Małżeństwo Lucasa i Amandy Sun od lat jest na liście tematów tabu.

– A Lucasinho?

– Odciałem mu kasę. Myślę, że Ariel mu trochę dała. W brudnej gotówce. Jak to świadczy o rodzinie?

– Niech radzi sobie sam.

– Kiedyś będzie musiał wreszcie wziąć odpowiedzialność.

– Ma siedemnaście lat. Ja w tym wieku puszczałam się z każdym chłopakiem i z każdą dziewczyną, jaka tylko podeszła. Musi się trochę wyszaleć. Ale bardzo dobrze, że zablokowałaś konto, to mu posłuży, niech trochę sam ruszy głową. Inicjatywę już wykazał – ten numer ze skafandrem ewakuacyjnym?

– Głową? Głowę to on ma taką sobie. Po matce.

– Lucas!

Lucas krzywi się na to upomnienie.

– Amanda to ciągle rodzina. A o rodzinie się źle nie mówi.. Zresztą z Ariel też nie masz powodu być niezadowolony. Jej fotel w Białym Zającu jeszcze się nawet nie zagrzał, a ty już narażasz jej pozycję na szwank.

– Mamy umowę z Chińczykami. Pobiliśmy Mackenziech.

– To mi się bardzo podobało, prawda. I niezły ruch z tymi koszulkami dla drużyny. Jesteśmy ci wdzięczni. Ale czasem są ważniejsze sprawy niż rodzina.

– Nie dla mnie, *mamãe*. Dla mnie nigdy.

– Wykapany ojciec. Prawdziwy syn twojego ojca.

Lucas przyjmuje pochwałę, choć smakuje mu gorzko, jak kawa. Nigdy nie znał ojca. Zawsze chciał być tylko synem swojej matki.

– *Mamãe*, mogę ci coś powiedzieć w zaufaniu?

– Oczywiście.

– Rafa mnie niepokoi.

– Niedobrze, że Rachel zabrała Robsona do Tygła. I to od razu po próbie zamachu. Można by wziąć to za spisek.

– Tak właśnie myśli Rafa.

Adriana sznuruje usta, sfrustrowana kręci głową.

– Oj, Lucas, daj spokój.

– We wszystkim widzi paluchy Mackenziech. Sam mi to powiedział. Wiesz, jaki jest Rafa, poczciwy Rafa, dowcipny Rafa, imprezowy Rafa. Komu jeszcze coś powie w chwili słabości? Nie widzisz, że to zagrożenie dla firmy?

– Robert Mackenzie będzie chciał rewanżu za to, że stracił deal z Chińczykami.

– Pewnie, że tak. My byśmy tak samo chcieli. Ale Rafa to potraktuje jako kolejny element osobistej vendetty Mackenziech.

– Lucas, czego ty chcesz?

– Zimnej krwi za sterami.

– Zimnej krwi Lucasa Corty, tak?

– Rafa jest *bu-hwaejangiem*. Tego nie kwestionuję. Nie chciałbym w żaden sposób umniejszać jego prestiżu. Ale może niektóre zadania mógłby delegować?

– Mów dalej.

– On jest twarzą Corta Hélio. I niech sobie będzie tą twarzą. Niech będzie symbolem. Niech chodzi na spotkania, wygłasza gadkę handlową. Niech siedzi w fotelu u szczytu stołu. Ale chcę, żebyś go, bardzo subtelnie, wyłączyła z podejmowania kluczowych decyzji.

– Czego ty chcesz, Lucas?

– Dobra firmy, *mamãe*. Wszystko dla dobra rodziny.

Lucas Corta żegna się z matką dwoma całusami: dwa razy, dla rodziny. Po jednym w oba policzki.

Dwadzieścia kilometrów od Tygła chowaniec Robsona Corty-Mackenziego budzi go graną do ucha melodyjką. Chłopak biegnie do bąbla obserwacyjnego na przedzie wagonu i przyciska dłoń do szkła. W wieku jedenastu lat moment, w którym dostrzega się stolicę rodu Mackenzie nigdy się nie nudzi. Wagon jest prywatnym pojazdem Mackenzie Metals i jedzie przez Ocean Burz wolniejszym, wschodnim torem Równikowej Jedyńki; czysty i lśniący odbitym ziemskim światłem, objeżdża ramię świata, okrąża go całego. Szybki ekspres z Jinzhong wyskakuje jakby znikąd i znika, jak rozmazana smuga światła. Rachel

widok z przodu pociągu wydaje się denerwujący. Ale mały go uwielbia.

– Zobacz, towarowy klasy Ghan – mówi Robson, gdy wagon przepływa obok długiego powolnego pociągu towarowego na wolniejszym z torów w przeciwną stronę.

Szybko o nim zapomina, gdyż na wschodnim horyzoncie wstaje drugie słońce – świetlny punkcik, tak jaskrawy i oślepiający, że szyba przyciemnia się, by chronić ich wzrok. Kropeczka rozrasta się w kulkę unoszącą się niczym fatamorgana na skraju świata; przez chwilę wydaje się, że już nie rośnie i się nie zbliża.

Przyjazd do Tygla za pięć minut, informują chowańce.

Rachel Corta osłania oczy. Widziała tę sztuczkę tyle razy: kropeczka będzie tańczyć i oślepić, aż w ostatniej chwili rozrośnie się i nabierze szczegółów. Zdumiewa ją to za każdym razem. Jej blask wypełnia całą kopułę obserwacyjną, potem wagon wjeżdża w cień Tygla.

Tygiel stoi okrakiem ponad czterema wewnętrznymi torami Jedyńki Równikowej. Jego wózki jadą po dwóch oddzielnych, zewnętrznych torach – staromodna stal, nie poduszka magnetyczna. Moduły mieszkalne wiszą dwadzieścia metrów nad szynami, usiane okienkami i światełkami, rzucając stały cień na tory pod spodem. Nad nim są separatory, sortowniki, wytapiacze; jeszcze wyżej, wyżej niż wszystko inne, znajdują się paraboliczne lustra skupiające blask słońca na konwertorach. Tygiel to pociąg mający dziesięć kilometrów długości, stojący okrakiem nad Równikową Jedyńką. Ekspresy pasażerskie, pociągi towarowe, wagony techniczne przelatują pod nim jak przez kratownicę gigantycznego mostu. Porusza się stale, nieustrudzenie, z prędkością 10 kilometrów na godzinę, robiąc jedno okrążenie dokładnie w jeden księżycowy dzień. Słońce stale stoi w zenicie nad jego lustrami i wytapiaczami. Sunowie nazywają swoją szklaną iglicę na szczycie Góry Malaperta Wieżą Wiecznego Światła. Mackenzie gardzą takim zadęciem. To oni mieszkają w wiecznym świetle. Światło ich spowija, przesyca, wzbogaca. Przepływa przez nich, wybiela ich. Urodzeni w miejscu nieznanym cienia, musieli skryć mrok we własnym wnętrzu.

Wagon wjeżdża pod krawędź Tygla, pomiędzy cienie i światła reflektorów. Na

wpół widoczne refleksy stają się pociągiem towarowym, wypluwającym z siebie regolit baterią śrub Archimedes. Wagon zwalnia: jego AI i AI Tygła porozumiewają się. Ten moment Robson lubi najbardziej. Chwyta łąpią wagon i unoszą go z torów, ustawiają we wnęce do dokowania pomiędzy innymi wagonami Mackenzie Metals. Spotykają się włady, wyrównuje się ciśnienie.

Robsonie Mackenzie, witamy w domu.

Przez szczeliny w dachu przebijają świetlne ostrza, tak jaskrawe, że wydają się litą materią. Wejścia do serca Tygła strzeże świetlna palisada – odbłyśki od luster skupiających słońce na wytapiaczach. Rachel tysiąc razy szła tędy, a i tak zawsze czuje ciężar i żar tysięcy ton roztopionego metalu nad głową. To niebezpieczeństwo, to bogactwo, to bezpieczeństwo. Roztopiony metal stanowi jedyną osłonę Tygła przed morderczym promieniowaniem. Mieszkańcy Tygła nieustannie czują nad głowami przelewające się roztopione metale; coś jakby posiadanie w rozbitej czaszce metalowej płytki. Czegoś delikatnego, niestabilnego. Któregoś dnia system zawiedzie i metal spadnie, ale nie dzisiaj, nie za jej czasów, za jej życia.

Robson biegnie przed nią. Zobaczył przed następną śluzą Hadleya Mackenziego, swojego ulubionego wujka, choć jest między nimi tylko osiem lat różnicy. Hadley to syn patriarchy Roberta z zimowego małżeństwa z Jade Sun. Czyli wujek, ale bardziej jak starszy brat. Robertowi rodzą się wyłącznie synowie. „Księżyc ma męską gębę”, żartuje stary potwór. Żart stał się prawdą dzięki selektywnej aborcji, mapowaniu embrionów, inżynierii chromosomalnej. Hadley podrywa Robsona w powietrze. Chłopiec leci wysoko, ze śmiechem, łąpią go silne ramiona Hadleya Mackenziego.

– Czyli wygrałaś z Brazylijczykiem – mówi Hadley. Całuje przyrodnią bratanicę w oba policzki.

– Czasami naprawdę myślę, że to on jest dzieckiem – mówi Rachel Mackenzie.

– Nie mogę znieść myśli, że Robbo będzie tutaj dorastał – mówi Hadley.

Jest niski, sama stal i drut, węzły wyrzeźbionych mięśni i ścięgien. Nóż

Mackenziech; mocno piegowaty od siedzenia pod lampami. Piegi w piegach, istny lampart, nie człowiek. Cały czas drapie się po ciele. Za długo siedział pod kwarcówkami i pracował nad witaminą D.

– To nie jest dobre miejsce, żeby się dzieciak uczył, jak żyć.

Wiadomość od Roberta Mackenziego, informuje Cameny, chowaniec Rachel. Miny Hadleya i Robsona mówią jej, że dostali to samo.

– Rachel, skarbie. Cieszę się, że bezpiecznie przywiozłaś Robsona do domu. Bardzo się cieszę. Przyjdźcie do mnie.

Głos jest cichy, wciąż ze śladami zachodnioaustralijskiego akcentu – i nieprawdziwy. Robert Mackenzie ostatni raz wydawał takie dźwięki wiele lat temu, kiedy obecnych w holu osób nie było jeszcze na świecie. Postać na soczewkach to nie Robert Mackenzie, lecz jego chowaniec, Rudy Pies, symbol miasta, które zrodziło jego ambicję.

– Zaprowadzę was do niego – mówi Hadley.

Kapsuła wiezie Rachel, Robsona i Hadleya do głowy Tygła – dziesięć kilometrów naprzód. Rachel ma wrażenie, że magnetyczna poduszka kapsuły wzmacnia delikatną, choć wszechobecną wibrację. Powolne toczenie się Tygła po torach jest jak puls tego domu. Rachel Mackenzie jako dziecko była mołem książkowym i na tych ekranach, wśród tych światów utkanych ze słów, żeglowała po wodnych oceanach z groźnymi piratami i awanturnikami. W jej świecie, w którym morza są kamienne, to jest najbliższy odpowiednik żaglowca, jaki była w stanie sobie wyobrazić.

Kapsuła gwałtownie wytraca prędkość i dokuje. Otwiera się śluza. Rachel wdycha zapach zieleni i zgnilizny, wilgoci i chlorofilu. Ten wagon to ogromna szklana cieplarnia. W nieustannym blasku słońca i słabym księżycowym ciężeniu paprocie osiągnęły niesamowitą wysokość – zielona kopuła liści wyginających się pod zakrzywionymi żebrami dachu. Pasiaste światło, tygrysie światło – słońce stoi nieruchomo, o włos od zenitu. Wszystkie paprocie kierują się ku niemu. Pomiędzy liśćmi rozlegają się ptasie krzyki, migają wielobarwne pióra. Coś gdzieś pohukuje. To wszystko jest jak rajski ogród, mimo to Robson łapie matkę za rękę. Gdzieś tu czai się Bob Mackenzie.

Ścieżka wiję się między stawikami i powoli gulgoczącymi strumykami.

– Rachel. Kochana!

Jade Sun-Mackenzie wita swoją-nieswoją wnuczkę dwoma całusami. Robsonowi przysługuje to samo. Jest wysoka, ma długie palce, jest równie elegancka i delikatna jak rośliny wokół niej. Wygląda, jakby od dnia zaślubin z Robertem Mackenzie, 19 lat temu, nie postarzała się nawet o dzień. Stał, ciernie i napięta, żylasta wola.

– On już nie może się was doczekać.

Robson ściska dłoń matki.

– Był w paskudnym humorze, odkąd Cortowie ukradli ten kontrakt z Chinami – rzuca Jade przez ramię. Widzi, jak Robson zerka w górę na matkę. – Ale ty mu go poprawisz.

Robert Mackenzie czeka w altanie utworzonej ze splecionych paproci. Papużki faliste i długoogonowe ćwierkają i pogwizdują w obłądnym zgiełku. Roboty-motyle leniwie polatują na szerokich opalizujących skrzydłach z polimeru.

Legenda mówi, że ten fotel utrzymuje Roberta Mackenziego przy życiu, ale wystarczy raz spojrzeć, by poznać prawdę – to nie fotel. To żelazna wola, która płonie za tymi oczyma. Wola władzy, wola posiadania, wola pilnowania, by nikomu nie pozwolić niczego sobie odebrać, choćby i tego cielesnego wraku. Robert Mackenzie siłą woli powstrzymuje śmierć. System podtrzymywania życia góruje nad jego głową niczym korona. Pulsują rurki, syczą i wirują pompki, buczą silniczki. Na wierzchu obu dłoni ma słabo gojące się wybroczyny w miejscach, gdzie skórę przebijają wenflony i kaniule. Nikt nie jest w stanie dłużej niż chwilę znieść widoku rurki w jego gardle. Smrodu nie maskuje nawet aromat paproci i płynącej wody. Rachel Mackenzie wywraca się żołądek. Ta woń kolostomii.

– Kochana.

Rachel pochyla się, żeby ucałować zapadnięte policzki. Robert Mackenzie zauważyłby każde wahanie, każdy cień obrzydzenia.

– Robson. – Rozkłada ramiona, by go objąć.

Robson robi krok naprzód i pozwala ramionom się otoczyć. Całusy od obrzydliwej starej mumii, w oba policzki. Robert Mackenzie miał czterdzieści osiem lat, gdy przedłożył *Mare Insularum* nad Australię Zachodnią, na zawsze

związując swoją przyszłość i swoją rodzinę z Księżycem. Zbyt stary, żeby polecieć na Księżyc. Nie przeżyje wynoszenia na orbitę, a co dopiero powolnego zżerania kości, naczyń krwionośnych i płuc przez słabe ciążenie, a co dopiero nieustannej radioaktywnej mżawki. Zostaw to miejsce dzieciakom i robotom. Jednak Robert Mackenzie przyleciał i położył fundamenty pod księżycowe społeczeństwo, dobijające już do miliona. Ten stwór w fotelu z systemem podtrzymywania życia ma prawo się mienić Księżycową Twarzą. Ma sto trzy lata, a jego ciało monitoruje i konserwuje kilkanaście medycznych AI, lecz w bladoniebieskich oczach wciąż płonie ta sama siła.

– Dobry z ciebie dzieciak, Robson – dyszy mu w ucho starzec. – Dobre dziecko. Dobrze, że jesteś tu z powrotem, u siebie, z dala od tych złodziei Cortów. – Blade jak papier szpony tarmoszą chłopca. – Witamy w domu. – Robson uwalnia się ze słabego uścisku. – Stąd cię nie wykradną.

– Mój mąż tak się zastanawiał – mówi Jade Sun. Stoi za nim z jedną ręką na ramieniu starca. Dłoń jest smukła, wyrafinowana, paznokcie pomalowane, jednak Robert jakby obwisał pod jej ciężarem. – Jest jakiś powód, żeby Robson nie był już po ślubie?

Cześć, mamó. Cześć, Kessie. Dzieci, jeśli to widzicie, też cześć. Trochę się nie odzywałam, ale mam powód. Tak jak pisałam w tym skleconym w pośpiechu mailu, pracuję u Smoków. W Corta Hélio. Wydobyć helu-3.

Pracuję w Corta Hélio. Tak pomyślałam, że to powtórzę, żebyście zrozumieli, jakie to ważne. Bo to od razu oznacza koniec obaw o tlen, wodę, węgiel, sieć, dlatego właśnie mogę wam to wysłać. Myślę, że i tak nie możecie sobie wyobrazić, jak to jest nie musieć już nigdy martwić się o Cztery Żywioty. To jak wygrana na loterii, tylko w nagrodę nie dostajesz dziesięciu milionów dolarów, a po prostu możesz dalej oddychać.

Jak tę robotę dostałam, tego nie mogę wam powiedzieć, bo to kwestia bezpieczeństwa – Pięć Smoków jest jak mafia, cały czas skaczą sobie do gardeł. Mogę za to powiedzieć, że podlegam bezpośrednio Carlinhosowi Corcie. Kessie.

Siostra, naprawdę powinnaś emigrować. Po Księżycu chodzą takie ciacha.

Jestem w grupie szkoleniowej do pracy na powierzchni. Księżycowe kroki. Masę trzeba się nauczyć. Księżyc zna tysiąc sposobów, żeby cię zabić. To jest reguła numer jeden i ona rządzi wszystkim. Wszystko trzeba umieć: jak się poruszać, jak odczytywać znaki i sygnały, kiedy włączać i wyłączać łączność, jak analizować dane ze skafandra, wszystko to trzeba mieć w małym palcu, bo inaczej jedna duperela, którą przeoczysz, sprawi, że się ugotujesz, zamarzniesz, udusisz się albo napromieniujesz. Trzy całe dni zajmowaliśmy się tylko pyłem. Jest piętnaście rodzajów pyłu i trzeba znać fizyczne właściwości każdego z nich, od ścierności, przez własności elektrostatyczne, po adhezję. Coś jak te pięćdziesiąt rodzajów popiołu z cygar, które znał Sherlock Holmes, nie? Czas ładowania akumulatorów, nawigacja – zieluniaki patrzą na tutejszy horyzont i myślą, że wszystko jest dużo dalej, niż naprawdę jest. A na powierzchni nawet jeszcze nie byliśmy. I jeszcze elastyki. Wiem, że mają być obcisłe, ale czy na pewno dali mi dobry rozmiar? Dziesięć minut się w niego wbijałam. Wolałabym tego nie robić, jak będzie dehermetyzacja. A źle włożysz, to masz siniaki tam, gdzie uciskają cię szwy. Chociaż jak ucieka powietrze, to kto się przejmuje jakimiś tam siniakami.

Pewnie wystraszyłam cię już na amen. Ale da się do tego przywyknąć. Nikt nie byłby w stanie żyć w takim strachu przez cały czas. Jednak jeśli raz coś zrobisz byle jak, Księżyc się nie zlituje. Carlinhos mówi, że w każdej grupie szkoleniowej ginie przynajmniej jedna osoba. Uważam, jak tylko mogę, żebym to nie była ja.

Grupa: Oleg, José, Saadia, Thandeka, Patience i ja. Jestem jedyną *Norte*. Gapią się na mnie. Obgadywaliby mnie, ale jedyny wspólny język to globo, a ja mówię po angielsku od urodzenia. Nie lubią mnie. Carlinhos pracuje głównie ze mną, i to mnie wyróżnia. Jestem kimś specjalnym. Dlatego instruktorzy myślą, że jestem szpiegiem Cortów, a kursanci – że pupilkiem instruktorów. Najmniej mnie nie lubi Patience. Pochodzi z Botswany, ale podobnie jak reszta tej ekipy objechała uczelnie i firmy na całym świecie. Światach. Zieluniacy to chyba najbardziej wykształceni imigranci w historii. Patience gada ze mną, pijemy razem herbatę. José wolałby, żebym zdechła. Jakby mógł to zaaranżować tak,

żeby go nie złapali, pewnie by to zrobił. Przerywa mi za każdym razem. Nie mogę dojść, czy dlatego, że jestem kobietą, czy dlatego, że z Ameryki Północnej. Pewnie jedno i drugie. Syfiarz. W ekipie jest jak w uczelnianej drużynie piłkarskiej. Wszystko na wysokim c. Testosteron w każdym oddechu. I to nie tylko dlatego, że to górnictwo; po prostu wszyscy są młodzi, inteligentni, ambitni i zmotywowani. A jednocześnie to jest najbardziej wyzwolone seksualnie społeczeństwo w historii. W księżycowym globo nie ma nawet słów na homo i hetero. Każdy jest gdzieś na spektrum pomiędzy tymi dwoma.

Wiecie co, powiem wam, co jest trudne. Trudny to jest portugalski. Co to w ogóle za język? Trzeba brzmieć, jakby się miało nieustannie zawałony nos i zatoki. I nic się nie wymawia tak, jak się pisze. Sam zapis jest jeszcze w miarę logiczny, ale ta wymowa... Jest portugalski, potem brazylijski portugalski, potem brazylijski portugalski z Rio. I na koniec – księżycowa odmiana brazylijskiego portugalskiego z Rio. Czymś takim mówi się w Corta Hélio. Zasugerowałam, że Hetty będzie mi wszystko tłumaczyć – Jezus, jak na mnie popatrzyli! Więc czas się uczyć portugalskiego. Czyli, *adeus, eu te amo, e eu vou falar com você de novo em breve!* [2]

Lucas Corta śmiga lekki i delikatny jak sen pomiędzy kolumnami liści. Woda ścieka, woda kapie, ciurka i faluje w strumyczkach i rurkach zasilających kolejne piętra zbiorników hodowlanych. Kręci się spiralą wokół centralnego słupa luster odbijającego światło między poziomy farmy. Patrzy w górę: zieleń ciągnie się bez końca, aż zleje się z oślepiającą słoneczną monetą wierzchołka walcowatej farmy. Szyb ma kilometr głębokości. Agrarium Obuasi ma takich pięć, a Twé leży pośrodku pentagramu zawierającego ich siedemdziesiąt pięć. Sałaty i inne warzywa do sałatek upakowane tak ciasno, że owad się nie wciśnie. Gdyby na Księżycu były owady, ale przecież nie ma, ani mszyc, ani gąsienic – żadnych szkodników. Krzaki ziemniaczane wielkości drzew; fasola pnie się po siatkach na sto metrów. Liście roślin korzeniowych, soczyście zielone zagony szarłatu i bligii. Jamy i pataty; tykwy i inne dyniowate: dynie wielkości motorków z

Południka. Wszystko karmione płynącą, ciurkającą, bogatą w substancje odżywcze wodą, naukowo poprzესadzane i rosnące symbiotycznie w stabilnych mikroekosystemach. W Obuasi zbiory się zawsze udają, a są tu cztery razy w roku. Teraz Lucas patrzy w dół. Daleko w dole, na galeryjkach ponad zbiornikami z rybami, stoją dwie owadzie figurki. Kwaczą kaczki, bekają żaby. Jedna z tych maleńkich postaci to on sam.

– Jakość dźwięku jest niesamowita – mówi, wymrując obraz z soczewki.

– Dziękuję – mówi Kobby Asamoah. Potężny, wysoki i szeroki facet. Lucas Corta to przy nim blady cień. Unosi rękę, mucha ląduje na niej.

– Mogę?

Jedna myśl – i mucha przefruwa z dłoni Kobby'ego na dłoń Lucasa. Przysuwa ją do oczu.

– Mógłbyś nas wszystkich zabić we śnie. Podoba mi się to. – Lucas Corta ciska muchę w powietrze i patrzy, jak wznosi się w snopie światła, zieleni i wilgotnego chlorofilu, aż zniknie im z pola widzenia. – Kupuję.

– Czas życia urządzenia: trzy dni – mówi Kobby Asamoah.

– Chcę trzydzieści sztuk.

– Dziesięć możemy dać od ręki, resztę dodrukujemy.

– Zgoda.

Toquinho otrzymuje cenę od chowańca Kobby'ego Asamoah i wyświetla ją na soczewce Lucasa. Jest aż nieprzyzwoita.

– Zatwierdzam płatność – zarządza Lucas.

– Będą czekać na ciebie na stacji – mówi Kobby Asamoah. Jego wielka, szczerą twarz porusza się znów. – Z całym szacunkiem, Lucas, ale czy to nie przesada, żeby tak pilnować syna?

Lucas Corta śmieje się w głos. Śmiech Lucasa jest basowy, rezonujący niczym muzyka na dzwony. Kobby Asamoah aż się płoszy. Milkną kaczki i żaby w farmie rurowej numer 5 agrarium Obuasi.

– A ktoś mówił, że to do pilnowania syna?

Heitor Pereira puszcza muchę po swojej dłoni, małeńkie haczykowate nóżki łaskoczą go w ciemną, pomarszczoną skórę. Obojętne jak obróci dłoń, mucha Asamoah zawsze wchodzi na samą górę.

Lucas mówi:

– Chcę, żebyście obserwowali go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Oczywiście, *senhor*. A kogo?

– Mojego brata.

– Carlinhosa?

– Rafaela.

– Oczywiście, *senhor*.

– Chcę wiedzieć, kiedy się zajmuje pieprzeniem, pierdzeniem, pieniędzmi. Wszystko. Matka ma nie wiedzieć. Nikt nie ma wiedzieć, poza tobą i mną.

– Dobrze, *senhor*.

– Toquinho wyśle ci protokoły. Masz się tym zająć osobiście. Nikt inny. Codziennie wysyłasz raport, zaszyfrowany, do Toquinho.

Lucas odczytuje niesmak na twarzy Heitora Pereiry. Jest byłym oficerem brazylijskiej marynarki wojennej, który odszedł, kiedy Brazylia sprywatyzowała obronę. Wypadł z łask na morzu i zostawił je dla Księżycy, gdzie podobnie jak wielu byłych wojskowych otworzył prywatną firmę ochrony. Kiedy Adriana wydierała Corta Hélio z klatki piersiowej Mackenzie Metals, czasy były krwawe, były bitwy o tereny, pojedynki o honor, walki między stronnictwami, a prawne spory najszybciej i najoszczędniej kończył nóż w ciemnym zaułku. Tyłu ludzi chodziło sobie po głowie, oddychało nawzajem swoim powietrzem. Heitor obronił Adrianę przed wieloma takimi nożami. Jego lojalność, odwaga i honor są niekwestionowane. Po prostu już przestało się to liczyć. Corta Hélio wokół niego poszło do przodu. Jednak pogarda, którą widzi Lucas, nie z tego wynika, jej obiektem nie jest też szpiegowska mucha: Heitor wścieka się, że przez własne niedopatrzenie na imprezie sam na siebie ukręcił bat. Lucas może teraz żądać od niego wszystkiego, do końca życia.

– A... Heitor?

– Tak, *senhor*?

– Nie zawieźdź mnie tym razem.

Archipelag zaschniętego nasienia leży w idealnym dołeczku lewego pośladka Lucasinho Corty. Delikatnie unosi ramię Grigorija Woroncowa i wysuwa się z jego objęć. Mały Woroncow jest ciężki. I wymagający. Pięć razy już prawie zasypiał, czując nagle ukłucie brody w policzek, szept w ucho, hej, hej tam, i pulsowanie twardniejącego penisa napierającego na wewnętrzną stronę uda.

Lucasinho zawsze wiedział, że Grigorij go pociąga – obłudnie przystojny, jak powiedziała Afua z grupy, w jednej z tych dziewczęcych gierek, w których nigdy nie znasz reguł, ale za każde ich złamanie jest dotkliwa kara – nie wiedział za to, że taki z niego wytrawny jebaka. Potrafił się pieprzyć godzinami. Miarowo, głęboko, intensywnie. Niespożyty. A i w pieszczotach hojny. Nie był już w stanie nawet jęczeć. Kto by pomyślał, że taka namiętność może się kryć w kumplu z zajęć, z którym spotykali się co tydzień na seminariach? Wspaniałe to było, świetne, najlepszy seks z chłopakiem, jaki kiedykolwiek przeżył, ale już wystarczy, dobra? Dosyć.

A czym Lucasinho Corta odwdzieczy się za to, co dostał? Ciastem. Odkąd ojciec zablokował mu kasę, niewiele poza tym może dać. Gdy Grigorij chrapie, Lucasinho przeszukuje lodówkę. Prawie tak pusta jak u Ariel, ale ciasteczka czekoladowe bez mąki się skleci. Lucasinho zastanawia się nad kolejnym noclegiem. Tu nie może drugi raz zostać. Nie wytrzymałby. Wkrapla do ciasta trochę Grigorijowego ekstraktu THC. Ciągnęli go wczoraj z waperą, leżąc obok siebie na kanapie, dzieląc się dymem i pocałunkami. Ogląda się na Grigorija rozciągniętego na łóżku jak rozgwiadza. Jaki włochaty. Tak mówią o Woroncowach. Zarośnięci i dziwni. Odmienieni przez kosmos. Lucasinho zna te legendy. Ród Woroncowów pochodzi od Walerego, patriarchy, oligarchy, który zainwestował w prywatny kosmodrom w Azji Środkowej. Gdziekolwiek to jest. To oni zbudowali hol orbitalny – dwa cyklery kręcące się nieustannie w ósemkę pomiędzy Księżycem a Ziemią; BALTRAN, komunikację kolejową. Kosmos ich odmienił. Zaczęli się rodzić dziwni – wydłużone, cudaczne stwory, przystosowane do nieważkości. Od lat nikt nie widział żadnego członka załogi

cyklera. Oni nigdy nie wysiadają. Grawitacja zgmiotłaby ich jak motyle ozdobne. Ale i tak żaden nie jest aż tak dziwny jak sam Walery, potwór, który rozrósł się i rozdał do tego stopnia, że wypełnia cały kadłub cyklera – choć legendy nigdy nie mogą się zgodzić, czy *Świętego Piotra*, czy *Pawła*, czy *Aleksandra Newskiego*. Stąd właśnie wiadomo, że to prawda. W wymyślonych historiach zawsze wszystko się zbyt idealnie zgadza.

Lucasinho macha dłonią nad panelem kuchenki, żeby ją oczyścić, zagląda do ciastek. Ogląda się niespokojnie na Grigorija. To nie pora budzić bestię. Jeszcze parę minut. Wyciągnąć, niech stygną. Lucasinho najpierw czuje na skórze cień, dopiero potem dotyk włosów i mięśni Grigorija.

– Hej.

– Hej.

– Co ty tu robisz?

– Piekę.

– Że co?

– Ciasteczka czekoladowe. Dobrze. Z haszem.

– Zawsze tak pieczesz?

– Jak, znaczy?

– No, bez ubrania.

– Lepszy kontakt z tym, co się robi.

– I seksownie.

Serce Lucasinho zamiera. Grigorij napiera na niego mocno, już twardnieje. Czy on ma w środku tylko spermę? Lucasinho odłamuje okruszek stygnącego *brownie*, odwraca się i wsuwa go między wargi Grigorija.

I znów wracają do łóżka.

Marina ma balkon. Mały, ale i tak uzależnia. Pod koniec każdego dnia wraca z treningów zmęczona do szpiku kości, obolała od nowych umiejętności, których jej ciało musi się nauczyć dla Corta Hélio – i idzie na balkon.

Mieszkanie, które przydzieliło jej Corta Hélio, jest na Zachodniej 23. w

Kwadrze Świętej Barbary. Bairro Alto było wyżej nad Prospektem Gagarina, tu za to jest przewieszka. Właśnie ten zawrót głowy ją tak przyciąga. No i dźwięki. Mówiące po portugalsku ulice João de Deus brzmią inaczej niż Południk. Okrzyki, powitania, krzyki nastolatków chcących zwrócić na siebie uwagę, głosy dzieciaków śmigających tam i z powrotem Prospektem Kondakowej na motorkach o wielkich oponach. Głosy są inne. Bzyczenie silniczków *motos*, wind, ruchomych schodów i chodników, stacji oczyszczania powietrza; odgłosy też są inne. Światło sztucznego nieba też jest jaśniejsze, a widmo bardziej żółte niż w Południku. W neonach dominuje niebieski, zielony i złoty, barwy Starej Brazylii. Nazwiska i słowa – wyłącznie portugalskie. Inne i ekscytujące. João de Deus to kieszonkowe miasto – osiemdziesiąt tysięcy ludzi w trzech kwadrach, każda o osiem godzin przesunięta w czasie względem sąsiadów – *mañana, tarde, noche*. Pod wieloma względami to miasto jest staroświeckie, wyrzeźbione z rur magmowych, którymi poprzecinana jest skóra *Mare Fecunditatis*. Kwadra Świętej Barbary ma trzysta metrów średnicy i Marinie wydaje się ciasna. Stropy ciężkie, niskie. Czuje odrobinę klaustrofobii. Ale przynajmniej jest za mało miejsca dla fruwaczy, i za to jest wdzięczna. Nienawidzi tych wysportowanych aroganckich aeronautów.

– *O bloqueio de ar não é competamente despressurizado* – mówi. Stara się mówić w mieszkaniu po portugalsku. Zaprogramowała Hetty, żeby nie reagowała na globo.

Daqui a pouco sair para a superfície da lua, odpowiada Hetty. *Seu sotaque é péssimo*. Chowanka nie dość, że mówi po portugalsku lepiej od niej, to jeszcze z idealnym akcentem Corta Hélio.

Hetty przerywa lekcję w połowie.

Carlinhos Corta está na porta, mówi.

Włosy w porządku, twarz w porządku, poprawić ubranie, sprawdzić zęby, schować w ścianie niepościelone łóżko. W dwadzieścia sekund Marina jest gotowa na przyjęcie szefa.

– O.

Carlinhos Corta ma na sobie szorty, buty-rękawiczki i kolorowe koraliki wokół łokci, nadgarstków, kolan i kostek. Nic więcej. Wita się z nią po portugalsku.

Marina ledwo go słyszy. Wspaniale wygląda. Pachnie miodem i olejem kokosowym. Piękny i groźny.

– Ubieraj się – mówi w globo. – Idziesz ze mną.

– Jestem ubrana.

– Nie, nie jesteś.

Senhor Corta está acessando a sua impressora^[3], mówi Hetty. Drukarka wypływa szorty (krótkie) i top (skąpy) oraz pięciopalczaste buty-rękawiczki. Polecenie jest jasne. Marina wkłada to w łazience. Próbuje obciągnąć top jak najniżej, a szorty podciągnąć jak najwyżej. Czuje się bardziej niż naga. W pokoju stoi szef, a ona nie ma pojęcia, co on kombinuje, po co przyszedł, kim tak naprawdę jest.

– To dla ciebie. – Wygarnia z drukarki garść zielonych koralików. – Daję ci barwę mojego *orixy*, Oguna. – Pokazuje, jak obwiązać nimi stawy, ile zostawić, żeby dyndało. Pięciopalczaste buty jakby przysysały się do palców u stóp. – Biegać umiesz, co?

Marina schodzi z nim w dół *ladeiros*. Klatki schodowe są wąskie i płytkie, trudno się tu zbiega. Przechodnie przyciskają się do ścian, witają go kiwnięciem głowy. Biegnie tuż za Carlinhosem wzdłuż Trzeciej, równoległej do centralnego Prospektu, ale położonej trzy piętra wyżej. Śmigają rowery i motorki. Marina czuje grillowaną kukurydzę, gorący olej, smażące się falafele. W maleńkich barach na pięć miejsc, wrytych w surowej skale, dudni muzyka. Niebo ściemnia się ku fioletowi i czerwieni. Carlinhos skręca w lewo. Teraz są w sztucznym świetle. Gdy tunel dochodzi do innego, większego, słyszy jakby rozśpiewane głosy. Potem widzi grupę biegnących tunelem osób ciągnących nad sobą chórek chowańców. Naga skóra lśni od oliwy, potu, farby. Koraliki i frędzle na łokciach, na kolanach, nadgarstkach, na szyjach i czołach. Śpiewają. Wszyscy śpiewają. Marina niemal staje jak wryta ze zdumienia.

– No chodź, wchodzimy – mówi Carlinhos i wydłuża krok o pół metra.

Marina rzuca się za nim. Za dobra w bieganiu nie jest, za to wciąż ma ziemskie mięśnie, więc dogania go z łatwością. Carlinhos skręca w poprzeczny tunel, szeroki techniczny chodnik biegnący lekko w prawo. Tej części João de Deus Marina nie zna. Przed sobą ma ciasno zbity peleton biegaczy. W księżycowym ciężeniu unoszą się i opadają jak biegnące gazy, jak rozfalowane

ludzkie morze. Marina słyszy bębny, gwizdki, brzęk sagatów na palcach, śpiew. Carlinhos dogania ostatnich. Marina jest dwa kroki za nim. Biegący rozstępują się, żeby ich przyjąć, Marina z łatwością dostosowuje tempo.

– Jeszcze raz, dawaj! – woła Carlinhos i przyśpiesza.

Marina odbija się i wchodzi za nim w sam środek grupy. Pochłaniają ją rytmy, ich rytm rytm serca rytm stóp. Śpiew woła do niej. Słów nie rozumie, ale chce się przyłączyć. Czuje się rozszerzona. Zmysły, przestrzeń osobista nakłada się z przestrzenią biegaczy wokół, choć jednocześnie ma wzmocnioną świadomość własnego ciała. Płuca, nerwy, kości, mózg – jednoczą się. Porusza się idealnie, bez wysiłku. Każdy zmysł nastrojony na swoją najwyższą nutę. Bębny słyszy kolanami, piętami. Czuje pot na skórze Carlinhosa. Kołysanie koralików na skórze jest aż erotyczne. Widzi każdy unoszący się w powietrzu pyłek kurzu. Rozpoznaje tatuaż na ramieniu dziewczyny na czele; Saadia z ekipy odwraca się i wita ją, całkiem jakby to spojrzenie było dotknięciem. Przez całe ciało Mariny przechodzi fala skoncentrowanej radości.

Słowa. Już je rozumie. Są po portugalsku, w języku, który wciąż nie do końca rozumie, w dialekcie, którego nie rozumie całkiem, lecz ich sens jest jasny. *Święty Jerzy, władco żelaza, mężu mój. Święty, który uderzasz śmiało. Święty Jerzy, który masz wodę, lecz kąpiesz się we krwi. Święty Jerzy, który masz dwa miecze. Jeden do cięcia trawy, drugi do czynienia znaków. Święty Jerzy, który nosisz ognistą szatę, który nosisz koszulę z krwi. Który masz trzy domy. Dom skarbów. Dom bogactwa. Dom wojny.* Słowa lęgną się w gardle, wychodzą na usta. Marina nie ma pojęcia, skąd się tam wzięły.

– Marina, dawaj – mówi po raz trzeci Carlinhos i razem suną przez ciżbę na samo czoło peletonu.

Przed Mariną nie ma już nic, tylko tunel, który cały czas skręca. Powietrze owiewa skórę chłodem. Mogłaby tak bez końca. Ciało i umysł, dusza i zmysły są jednością, większą i bardziej chłonną niż którykolwiek z elementów z osobna.

– Marina. – Głos woła ją od dłuższego czasu. – Zwalniaj. – Odpadają z czołowej pozycji, przesuwają się na tył stada. – Tutaj w prawo.

Aż boli, fizycznie boli, zostawić biegaczy w tunelu, ale ból emocjonalny jest jeszcze gorszy. Marina staje, opiera dłonie na udach, pochyla głowę i zawodzi w

smutku. Słyszy, jak głosy, bębny, dzwoneczki biegaczy znikają w oddali – czuje się jak wygnana z magicznej krainy elfów. Puls za pulsem przypomina sobie, kim jest. I kim on jest.

– Przepraszam. O rany.

– Lepiej się ruszaj, bo wszystko ci się zablokuje.

Zmusza ciało do bolesnego truchtu. Poprzeczny tunel prowadzi do Kwadry Świętej Barbary. Niebo jest już ciemne, w kwadrze jarzą się niskie kręgi ulicznych świateł i tysiące okien. Marinie jest zimno.

– Ile to czasu...

– Dwa pełne okrążenia. Szesnaście kilometrów.

– Nie zauważyłam...

– Się nie zauważa. Na tym to właśnie polega.

– A dawno...

– Dokładnie nikt nie wie, ale na pewno przed moim urodzeniem. Idea jest taka, że to się nigdy nie kończy. Jedni biegacze odchodzą, przychodzą inni. Po kolei przez wszystkich świętych. To mój kościół. To miejsce, gdzie dochodzę do siebie, gdzie mogę na trochę zniknąć. Gdzie przestaję być Carlinhosem Cortą.

Dopiero teraz czuje w udach i łydkach ciężar tych szesnastu kilometrów. Tylko podczas treningu przed wylotem trochę biegała, a i to niechętnie. Ale tutaj to co innego. Jakąś częścią siebie już zawsze tam będzie, zawsze będzie biec niekończącym się kołem litanii do świętych. Już nie może się doczekać, kiedy tam wróci.

– Dziękuję ci – mówi. Każde zbędne słowo zepsułoby tę chwilę. – To co teraz robimy?

– Teraz – mówi Carlinhos Corta – idziemy wziąć prysznic.

Analiесе Mackenzie schodzi spiralnymi schodkami z sypialni prosto we wnętrzości muchy – rozstrzelone, powiększone, skontrastowane, opisane notatkami. Skrzydła rozpadają się na brzechwy, oczy na poszczególne soczewki, nogi, odwłok, trąbka, nanochipy i procesory białkowe wirują jej wokół głowy.

Pośrodku tego siedzi Wagner, odwrócony plecami, nagi, jak to ma w zwyczaju, kiedy się skupia, przywołuje i zamyka obrazy, powiększa je i nakłada na siebie w ich współdzielonym wirtualnym polu widzenia. Coś niesamowitego, coś, od czego kręci się w głowie – o wpół do piątej rano.

– Ana.

Mysłała, że nie wydała żadnego dźwięku, Wagner jednak wyłowił ją z tła dźwiękowego mieszkania, tych syków, pomruków i skrzypnięć. Zawsze się tak zaczyna, od wyostrenia zmysłów, niepokoju, niespożytej energii. Ale bezsenność to coś nowego.

– Wagner, jest...

– Popatrz na to.

Odchyła się z fotelem, obejmuje ramieniem jej tyłek. Drugą ręką kręci rozczłonkowaną muchą.

– Co to? – pyta Analiese.

– Mucha, która chciała zabić mojego brata.

– Zanim wyciągniesz za szybkie wnioski, od razu powiem: to nie ja i nikt z nas.

– Tego akurat jestem pewien. – Wagner sięga, wyciąga z rozstrzelonej muchy węzeł białkowego obwodu, a wszystko inne zamyka. – Widzisz? – Wygina dłoń, powiększa go, aż wypełnia mały pokój; mózdzek ze sfałdowanych białek.

– Wiesz, że ja tu nic nie widzę. – Analiese zajmuje się metaprogramowaniem na zamówienie i gra na sitarze w klasycznoperskim zespole.

– Heitor Pereira by wiedział, czego szukać. A goście od R&D w życiu. Mnie też trochę zajęło, ale jak zobaczyłem, od razu pomyślałem, że to musi być to. Powiększyłem i proszę: to jest tak, jakby na każdej cząsteczce był podpis, jakby na wszystkim namazała sprayem swój tag, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać, i wiedzieć, jak patrzeć.

– Wagner.

– Co, już mówię naprawdę szybko?

– Tak. Chyba ci się zaczyna.

– Niemożliwe. Za wcześnie.

– Za każdym razem jest coraz wcześniej.

– Niemożliwe! – warczy Wagner. – To jest jak zegar. Zachód słońca, wschód

słońca. Tego się nie da zmienić. To jak astronomia.

– Wagner...

– Przepraszam. Przepraszam. – Całuje ją w dołeczek w brzuchu, czuje, jak pod miodową skórą tężeją mięśnie; jakże to kocha, bo to nie technika, nie kod, nie matematyka, to coś fizycznego i chemicznego. Da się jednak wyczuć odmianę, jak słońce, które jest jeszcze pod horyzontem. Myślał, że jego nastrojami steruje właśnie fascynacja, poświęcenie pracy, teraz uświadamia sobie, że to zmiana napędza fascynację. Gdy Ziemia jest w pełni, potrafi pracować całymi dobami, płonąc jak pochodnia. – Muszę pojechać do Południka.

Czuje, że Analiese odsuwa się od niego.

– Wiesz, że nie cierpię, kiedy tam jeździsz.

– Ale tam jest kobieta, która zrobiła ten procesor.

– Nigdy dotąd mi się nie tłumaczyłeś.

Znów całuje ją w umięśniony brzuch, a ona wsuwa mu dłoń za głowę, wplata palce we włosy. Pachnie wanilią i płynem do płukania pościeli. Wagner głęboko wdycha ten zapach i się odsuwa.

– Mam jeszcze trochę roboty.

– Analiese, idź do łóżka – mówi Analiese.

– Przyjdę później tam do ciebie.

– E tam, nie przyjdiesz. Tylko mi obiecaj, że rano jeszcze tu będziesz.

– Będę.

– Nie obiecałeś.

Gdy Analiese odchodzi, Wagner rozpościera ramiona i składa dłonie jakby w powolnym klaśnięciu, przywołując z powrotem rozstrzelone elementy morderczej muchy. Puszczą je wokół siebie w powolny ruch orbitalny, wypatruje innych śladów pozostawionych przez konstruktorów, lecz nie potrafi się już skoncentrować. Wszystkimi zmysłami, na pograniczu ich czułości, odbiera zew stada przyzywającego go przez Morze Spokoju.

Do Pawilonu Białego Zająca Ariel Corta ubrała się w reprint kostiumu Diora z

1955 roku w kolorze czekoladowym, oraz bluzkę z bufiastymi rękawkami z koronką z Chantilly, głęboko wyciętą, z falbankami. Do tego toczek z brązową jedwabną różą, rękawiczki do połowy przedramienia, pasująca torebka i buty. Zgrane, ale nie do końca dopasowane. Profesjonalne, ale nie sztywne od krochmalu.

Recepcjonistka prowadzi ją do centrum konferencyjnego. Hotel jest gustowny, a obsługa dyskretna, choć daleko mu do najdroższych i najbardziej ekskluzywnych, jakie ma w ofercie Południk. W windzie, zgodnie z poleceniem, wyłącza Beijaflora. Jest taki poziom życia politycznego i towarzyskiego, na którym ciągle podłączenie do sieci jest obciążeniem. Nagai Rieko wita ją w foyer, gdzie doradcy prowadzą towarzyskie rozmowy przy herbatce i *baozi* ze słodką fasolą. Czternaście osób, licząc też odchodzące. Tyle wspaniałych sukni, tyle gołych ramion. Ariel czuje się tak, jakby wpuszczono ją na tajemną dekadencją orgietkę – trochę nieprzyzwoicie, trochę skandalicznie.

Rieko przedstawia ją po kolei. Jaiyue Sun, dyrektor ds. rozwoju w Taiyangu; Stephany Mayor Robles, specjalistka od dydaktyki z Królowej Południa. Profesor Monique Dujardin z Wydziału Astronomii Uniwersytetu Farside. Daw Suu Hla, z rodziny powiązanej z Asamoah więzami krwi i biznesu, Ataa Afua Asamoah, członkini Kotoko, próbująca ujarzmić nadaktywną surykatkę. Modny szef kuchni Marin Olmstead; Ariel mruga zdziwiona, widząc go tutaj. „Wszyscy to robią”, odpowiada on. Był w Białym Zającu przez cztery lata. Piotr Woroncow z VTO. Marlena Leśnik z Sanafil Health, dużej medycznej firmy ubezpieczeniowej. Szejk Mohammed el-Tayyeb, Wielki Mufti Meczetu Centralnego Królowej Południa, uczony i legalista, słynny z powodu swojej fatwy zwalniającej zaaklimatyzowanych na Księżycu z obowiązku pielgrzymki do Mekki. Kończący kadencję Niles Hanrahan i V.P. Singh, poeta, jego następca. Sześć kobiet, pięciu mężczyzn, jedno neutko. Wszyscy prosperujący, profesjonalni, zamożni.

– Vidhya Rao. – Małe starsze neutko energicznie ściska dłoń Ariel. – Miło mi poznać, *senhora* Corta. Wasza rodzina dawno zasługiwała na miejsce w Białym Zającu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówi Ariel, ale już przepatruje pokój, czujna jak surykatka, rozglądając się za towarzyskimi przewagami.

– Dawno zasługiwaliście – powtarza Vidhya Rao. – Byłem kiedyś doktorem matematyki na Farside, ale od dziesięciu lat jestem w zarządzie Whitacre Goddard.

Uwaga Ariel przeskakuje z powrotem na neutko.

– Forward Rao.

Vidhya Rao klaszcze z radością w dłonie.

– Dziękuję. Jestem zaszczycony.

– Wiem, że jest coś takiego, jak „forward Rao”, ale tak naprawdę go nie rozumiem. Mój brat za to regularnie na nich spekuluje.

– Myślałem, że Lucas Corta jest zbyt rozważny, żeby grać na kontraktach terminowych.

– Bo jest. Mówię o Rafie. Lucas za to nalega, żeby grał tylko swoimi pieniędzmi.

Rafa tyle razy tłumaczył jej forwardy Rao. Zbyt wiele razy. To instrumenty finansowe, rodzaj kontraktu terminowego, wykorzystującego opóźnienie w komunikacji między Ziemią i Księżycem wynoszące 1,26 sekundy – tyle czasu potrzebuje każdy sygnał poruszający się z prędkością światła na przebycie 384 tysięcy kilometrów. Dość czasu, by pomiędzy ziemskimi i księżycowymi rynkami pojawiły się różnice cenowe, które można wykorzystać. Forward Rao to krótkoterminowy kontrakt kupna lub sprzedaży po ustalonej cenie, na księżycowej giełdzie LMX. Jeśli księżycowa cena spadnie, zarabiasz. Jeśli wzrośnie, tracisz. Taka loteria, zgadywanka, całkiem przyzwoita i moderowana żelaznym prawem o nieprzekraczalnej prędkości światła. Na tym kończy się rozumienie Ariel. Dalej jest już tylko voodoo. Dla AI, handlujących z milisekundową rozdzielczością na elektronicznych rynkach, 1,26 sekundy jest jak eon. Między Ziemią i Księżycem przelatują tam i z powrotem miliardy forwardów, tysiące miliardów dolarów. Ariel słyszała, że Woroncowowie rozważają uruchomienie automatycznej platformy handlowej w I punkcie Lagrange’a, w połowie drogi między Księżycem i Ziemią, z opóźnieniem wynoszącym 0,75 sekundy.

– Lucas uważa, że nigdy nie powinno się inwestować w coś, czego się nie rozumie.

– Lucas Corta to mądry człowiek – mówi Vidhya Rao z uśmiechem. Otwierają się drzwi do sali konferencyjnej. W środku – niskie stoliki, przepaściste kanapy obite hodowaną w kadziach skórą, gustowne dzieła sztuki.

– Pozwolisz?

– A nie powinniśmy poczekać na Orła? – pyta Ariel.

– Nie, Orzeł nie jest zaproszony – wyjaśnia Vidhya Rao. – Naszym łącznikiem jest Marin. – Wskazuje brodą kucharza-gwiazdora.

– To jest bardzo nieoficjalne spotkanie – mówi w drzwiach sędzia Rieko. Zostaje na zewnątrz z Nilesem Hanrahanem, a Ariel wchodzi za Vidhyą Rao do środka. Potem obsługa hotelowa zamyka drzwi i rozpoczyna się posiedzenie Pawilonu Białego Zająca.

– Cześć.

Kojo Asamoah leży twarzą do ściany. Wokół uwijają się medyczne boty. Na dźwięk głosu Lucasinho obraca się, siada zdumiony.

– Cześć!

Machnięciem ręki odgania medyczne maszyny. Cyfrowo zaniepokojone gromadzą się rojami w rogach pokoju. Dostęp do ośrodka medycznego tym razem nie był taki prosty – odkąd Lucasinho jest Chłopakiem Bez Sieci. Ale Grigorij Woroncow mu załatwił. Zawsze był najlepszym programistą w ich grupie.

– Co ty masz na sobie?

Lucasinho pręży się w ocieplaczu do skafandra. Rzeczy, które wydrukowała mu Ariel, to same najlepsze marki, i modne, ale przymierzył je raz i schował z powrotem do plecaka. Zdażył już polubić styl ocieplacza. W nim jest smukłym buntownikiem. Zwraca uwagę. Oglądają się za nim, kiedy przechodzi. To dobrze. Może nawet zapoczątkuje modę.

Całuje Kojo w usta, jak dziecko.

– Jak się czujesz?

– Nuda nuda nuda nuda nuda.

– Ale dobrze już?

Kojo odchyła się w tył, z rękoma za głową.

– Kawałki płuc jeszcze wykastuję, ale chociaż leżeć na dupie już mogę. – Unosi lewą stopę. Jest zamknięta w czymś, co przypomina but od elastyka, odchodzą od tego rurki łączące się z podstawą łóżka. – Hodują mi nowy palec. Wydrukowali kość i komórki macierzyste. Za miesiąc powinien być cały.

– Coś ci przyniosłem.

Lucasinho wyjmuje szczelny pojemnik z torby i otwiera go.

Boty medyczne falują z niepokojem, gdy czujniki rejestrują czekoladę, cukier, THC.

Kojo podnosi się na łokciu i bierze podane ciasteczko, wącha je.

– Co ty do tego dałeś?

– Czystą przyjemność.

– No, właśnie słyszałem, że coś takiego sobie organizujesz z Grigorijem.

– A skąd słyszałeś?

– Od Afui.

– Tym razem prawdę mówiła.

Kojo siada w łóżku. Minę ma zdziwioną.

– Co zrobiłeś z Jinjim?

– Nie noszę go.

Nie nosić chowańca to jak nie nosić ubrania. Albo skóry.

– Afua mówiła, że ukrywasz się przed rodziną. I że ojciec cię odciął.

– Tu też mówiła prawdę.

– Wow. – Kojo przypatruje się uważnie Lucasinho, jakby szukał grzechów albo pasożytów. – No... ale przecież oddychasz jak gdyby nigdy nic?

– Tego ojciec by nie zrobił. Babka by mu do końca życia nie wybaczyła. Ona mnie kocha. Z wodą też nie ma problemu, ale zamroził mi węgiel i dane.

– A z kasą jak sobie radzisz?

Lucasinho rozkłada wachlarz banknotów.

– Ciotka była miła.

– Nigdy nie widziałem, pokaż. Mogę powąchać? – Kojo macha banknotami pod nosem. Wzdryga się. – Pomyśleć, przez ile rąk to przeszło.

Lucasinho siada na łóżku.

– Kojo, ile ty tu jeszcze będziesz?

– A bo co?

– Po prostu, skoro nie korzystasz z mieszkania?

– Chcesz u mnie pomieszkać?

– Uratowałem ci życie. – Od razu robi mu się przykro, że wyciągnął tego asa. Jest nie do przebicia. A to słabe.

– To po to przyszedłeś? Żeby się poukrywać u mnie?

– Nie, wcale nie... – wycofuje się Lucasinho. Teraz słowa to za mało. Podsuwa mu ciasteczko. – Zrobiłem je specjalnie dla ciebie. Naprawdę.

– Mam nie brać niczego rekreacyjnego, póki ten paluch mi nie odrośnie – mówi Kojo i bierze ciasteczko. Gryzie. Rozpływa się. – Człowieku, jakie to pyszne. – Kończy ciasteczko. – Naprawdę super ci to wychodzi. – W połowie drugiego mówi: – Masz mieszkanie na pięć dni. Już ustawiłem zamek na twoją tęczówkę.

Lucasinho podciąga nogi na łóżko i zwija się w kłębek u stóp Kojo, jak fretka. Teraz sam się częstuje. Boty medyczne bucza, polatują, rejestrują narastający stopień sfazowania pacjenta. Dwójka nastolatków opycha się ciasteczkami i chichocze przez długie godziny.

Wysokie podwójne drzwi otwierają się, delegaci wstają z kanap i odpływają, zapętłając rozmowy w nowe rozmowy. Pawilon Białego Zająca dobiegł końca.

– No i, *senhora* Corta, co pani myśli o swoim pierwszym kęsie księżycowej polityki? – Bankier Vidhya Rao podkrada się do boku Ariel.

– Zdziwiająco banalny.

– Skupienie na sprawach banalnych utrzymuje nas przy życiu – zauważa Vidhya Rao. Kucharz Marin Olmstead biegnie do foyer z windami, śpiesząc się, by podłączyć się z powrotem chowańca i wysłać meldunek Jonathonowi Kayode. – Ale oczywiście polityka nie musi być aż taka banalna. – Dotyka ramienia Ariel, zapraszając do wtajemniczenia, do spisku. – Rady mają kręgi wewnętrzne i

zewewnętrzne.

– Dopiero co usiadłam przy tym stole – mówi Ariel.

– Twoja nominacja nie była mile widziana przez wszystkich – mówi bankier.

Zaprasza gestem, żeby z nim usiadła.

Od dotyku hodowlanej skóry Ariel robi się gęsia skórka. Nie potrafi zapomnieć o jej ludzkim rodowodzie.

– Byłoby niepolitycznie wymieniać tu nazwiska – sugeruje.

– Oczywiście. Część z nas zawzięcie orędownała na rzecz przyjęcia ciebie. W tym i ja. Z zainteresowaniem śledziłam twoją karierę. Jesteś wyjątkową młodą kobietą i masz przed sobą świetlane perspektywy.

– Jestem o wiele zbyt dumna, żeby się zaczerwienić – mówi Ariel. – Ale ja też mam taką nadzieję.

– Rany, to nie jest tylko zwyczajne chciejstwo – mówi Vidhya Rao. Oczy mu błyszczą. – Zamodelowaliśmy to z bardzo dużą dokładnością. Forward Rao to najmniej ważne z moich osiągnięć. Tak naprawdę każdy bank inwestycyjny pragnie jednego: zajrzeć w przyszłość. Przewidzieć, co wzrośnie, a co spadnie, to by nam dało potężną przewagę.

– „Nam”? – zauważa Ariel.

– Tak powiedziałam? Prawda. Przez ostatnie siedem lat zajmowałam się rozwijaniem algorytmów modelowania rynków. Powstały rynki-cienie, symulowane na kwantowych komputerach – na ich podstawie można stawiać uzasadnione hipotezy co do zachowania prawdziwych rynków. Dokładność jest zadziwiająca, choć okazało się, że to narzędzie jest mniej przydatne, niż myśleliśmy: działając na podstawie tych informacji, odkrywamy karty, że się tak wyrażę, i rynek reaguje przeciwko nam, niszcząc przewagę, jaką mógł mieć przez chwilę Whitacre Goddard.

– Ekonomia voodoo – mówi Ariel. – Czarna magia. – Rozsuwa waporyzator na pełną długość i zatrzaskuje. Zapala, zaciąga się, wypuszcza zwój pary.

– Znaleźliśmy jednak bardziej praktyczne zastosowanie tej techniki – ciągnie Vidhya Rao. Pochyliła się ku niej, domaga się, by spojrzała mu w oczy. – Prorokowanie. To oczywiście jest religijna bzdura. Mam na myśli użyteczne praktycznie prognozy oparte na przesłankach wynikających z bardzo

szczegółowego modelowania komputerowego. Modelowania księżycowej gospodarki i społeczeństwa. Mamy trzy niezależne systemy, na każdym z nich chodzi ten sam model. Taiyang zbudowało trzy duże kwantowe komputery, ja opracowałam algorytmy. Nazywamy je Trzech Dostojnych: Fu Xi, Shennong, Żółty Cesarz. Rzadko się ze sobą zgadzają, trzeba też poszukiwać prawidłowości w tym, co mówią, ale z wysokim stopniem pewności zgodziły się co do jednej osoby. Twojej osoby.

Ariel na zewnątrz jest chłodna i elegancka, po sądowemu, w środku jednak czuje, jak zimna elektryczna iskra przeskakuje jej między sercem a pniem mózgu.

– Nie jestem pewna, czy mi się to podoba, być Wybraną i Jedyną bandy kwantowych komputerów.

– To nie jest nic aż tak tendencyjnego. Zamodelowaliśmy oczywiście wszystkie Pięć Smoków. Jesteście głównymi siłami kształtującymi sytuację ekonomiczną i polityczną. A ty pojawiaasz się jako znacząca postać w rodzinie Corta. Znacząca postać.

– *Bu-hwaejangiem* jest Rafa.

– A Lucas jest zakulisową władzą. Wiesz naturalnie, że planuje przejąć firmę. Zdolni chłopcy, jeden i drugi, ale przewidywalni.

– A wyście przewidzieli moją nieprzewidywalność. – Ariel wypuszcza w powietrze kolejną strużkę pary. Nonszalancja i spokój. W środku jednak jest elektrycznie czujna.

– Trzej Dostojni byli jednomyślni. A oni nigdy nie są jednomyślni. Będę szczery, Ariel. Chcemy zainwestować w twój potencjał. Złożyć ci ofertę.

– Nie mówisz teraz o firmie Whitacre Goddard.

– Mówię o ruchu, duchu, filozofii, różnorodności.

– Jeśli jeszcze dołożysz walkę dobra ze złem, to koniec rozmowy. – Jednakże małemu neutku udało się skupić na sobie jej uwagę. Ciekawość jest w zмовie z próżnością.

– Twoja matka zbudowała Księżyc. – Głos sędzi Reiko. Nie zauważyła, kiedy weszła do foyer. – Ale polityczne dziedzictwo LDC i Pięciu Smoków to praktycznie feudalizm. Rody magnackie i monarchia, rozdzielanie terytoriów i

przywilejów, zmonopolizowanie wody, tlenu, przydziału węglowego. Wasale i chłopcy pańszczyźniani przypisani do sponsorujących ich korporacji. Jak Japonia za szogunatu albo średniowieczna Francja.

Reiko siada obok Vidhyi Rao. Ariel zaczyna czuć się na celowniku.

– Trzej Dostojni zgadzają się, że taki model jest nie do utrzymania – mówi Vidhya Rao. – Pięć Smoków osiągnęło szczyt potęgi – zyski z obrotu instrumentami pochodnymi przez trzy kwartały z rzędu przekraczały zyski Pięciu Smoków. Teraz na krzywej wznoszącej są korporacje finansowe, takie jak Whitacre Goddard.

Ariel patrzy Vidhyi Rao w oczy, aż ten odwraca wzrok. Tak się u Cortów wyraża niechęć.

– Kobieta w Hamburgu, która wtyka kabel samochodu do punktu ładowania na ulicy, dziewczyna w Akrze, która ładuje chip chowańca ze szkolnej ładowarki indukcyjnej, chłopiec w Sajgonie, który gra swój set didżejski, człowiek z Los Angeles, który jedzie HST do San Francisco. Wszyscy oni czerpią z helu rodziny Corta.

– Ładnie powiedziane, *senhora* Corta.

– Po portugalsku umiem jeszcze ładniej.

– Z pewnością. Ale fakt jest faktem. Przyszłość to finanse. Jesteśmy gospodarką ubogą w zasoby i bogatą w energię. To oczywiste, że nasza gospodarcza przyszłość to nic nieważące cyfrowe walory.

– Nic nieważące walory robią się dziwnie ciężkie, kiedy spadają wam na głowę. Chyba że Pięć Krachów niczego was nie nauczyło?

– Trzej Dostojni...

– My reprezentujemy ruch na rzecz niepodległości.

– A jakżeby inaczej – mówi Ariel Corta z kocim uśmiechem i powoli zaciągając się z lśniącego wapera.

– Mamy własny pawilon. Towarzystwo Lunariańskie.

– Znowu tylko gadanie.

– Słowa są lepsze niż noże.

– I chcecie mnie mieć.

– Towarzystwo Lunariańskie pozyskuje ludzi ze wszystkich Pięciu Smoków i

wszystkich warstw społecznych.

– Jest o wiele bardziej demokratyczne niż Biały Zając – wtrąca Vidhya Rao.

– Ja jestem Corta. My nie uznajemy demokracji.

Vidhya Rao nie jest w stanie powstrzymać pełnego niesmaku skrzywienia. Nagai Reiko uśmiecha się.

– Więc chcecie mnie zaprosić do tego swojego towarzystwa – stwierdza Ariel.

Vidhya Rao prostuje się, szczerze zdumiony.

– Szanowna *senhora* Corta. My nie zamierzamy cię zapraszać. My chcemy cię kupić.

Lucasinho ma już łóżko, ma w garści pieniądze, może puścić się w miasto. Chłopak od Cortów nigdy nie ma problemu ze znalezieniem imprezy. Przez znajomych i znajomych znajomych dociera do mieszkania Xiaotinga Suna, na Trzydziestej w Hubie Wodnika.

Reputacja go wyprzedza. Uciekłeś od ojca? Czyli zero sieci, zero węgla, zero bitsów? To gdzie śpisz?

U Kojo Asamoah. Póki mu paluch nie odrośnie. Uratowałem go.

Ale wtedy od razu leci kolejne pytanie: A co ty masz na sobie?

Xiaoting Sun ściągnął do siebie Banyanę Ramilepę, nową narkodidżęjkę. Miesza i drukuje szyte na miarę haje, nastroje i miłości, przygotowuje z nich fluidy do baterii waporyzatorów. Lucasinho dryfuje przez imprezę, piękny w obcisłym różu, zaciąga się empatią, religijnym zachwytem, przyjemnością lepszą niż każdy seks, euforią, błogą melancholią. Przez dwadzieścia minut jest mocno, mocno zakochany w niskiej poważnej Budiño o szerokich biodrach. Jest aniołem, jest boginią, boską miłością, będzie całymi dniami tylko siedział i patrzył na nią, siedział i patrzył. Potem substancje chemiczne rozkładają się, siedzą i patrzą na siebie, a on ładuje do waporyzatora nowy fluid. Pod koniec imprezy chłopak i dziewczyna rysują mu markerami na ocieplaczu halucynacyjne stworzenia.

Do mieszkania Kojo nikt z nim nie wraca.

Następnego wieczoru na imprezę w Kwadrze Oriona przychodzą dwie dziewczyny w ocieplaczach do skafandrów, fluorescencyjnym zielonym i odblaskowym pomarańczowym. Cały czas próbuje dojść, czy to jedna z nich była na imprezie u Suna, gdy pojawia się przed nim krągła biała blondynka i pyta: Pokażesz mi pieniądze?

Wyciąga banknoty i rozkłada je w wachlarz jak uliczny sztukmistrz.

I to jest ile bitsów?

Pięć, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto.

Zebrał się tłumek, banknoty przechodzą z rąk do rąk, badają ich fakturę, sprawdzają, jak się gniołają.

A gdybym ci to zabrał?

A gdybym przedał na pół?

Albo podpalil?

To koniec z tym banknotem, mówi Lucasinho. One nie mają żadnego ubezpieczenia.

Chłopczek bierze banknot pięciobitsowy i maże po nim ołówkiem. Jest z tych *moços*, co wystawiają czubek języka, kiedy się skupiają. Nie jest przyzwyczajony do odręcznego pisania.

A gdyby tak zrobić?

Przerobił „Pięć” na „Pięć milionów”.

To niczego nie zmienia, mówi Lucasinho. Chłopak zostawił mu jeszcze jedną wiadomość, zapisaną wzdłuż krawędzi pismem tak brzydkiem, że ledwo się daje odczytać. Lokalizacja w Kwadrze Antaresa i godzina.

Kwadra Antaresa jest osiem godzin do tyłu, Lucasinho ma więc tylko chwilę, żeby wrzucić ocieplacz do prania, chwilę się zdrzemnąć, wziąć prysznic i zamówić jakieś węglowodany dostępne za gotówkę – i już jest na samej górze Zachodniej 97., w mroku po zachodzie słońca, mijany przez ludzi pędzących na świetlistych rowerach. Wspinaczka jest długa, kiedy windy i schody ruchome nie przyjmują papierowych pieniędzy. Znalazł się na trasie do *downhillu*, miejskiego wyścigu rowerowego, szalonych pięciu kilometrów przez miejską architekturę. Zygzakowanie po pochylniach i schodach. Oszałamiające skoki, przeloty wysoko nad dachami domów, z lądowaniem w wąskich uliczkach, i dalej, zakręty o 180

stopni, przyspieszanie na rampach do skoku i znów w powietrze. I dalej, dalej, w ciemności, dzięki noktowizyjnym soczewkom, świetlistym strzałkom nasprejowanym na ścianach i latarniom ulicy Zachodniej, cały czas dmuchając w gwizdek, żeby ostrzegać przechodniów i nocnych spacerowiczów. Dłoń dziewczyny wciąga Lucasinho do bramy, gdy rozlegają się gwizdki i przelatują dwa rowery, zostawiając mu na siatkówkach świetliste powidoki.

O mój Boże, to ty?

To ja, odpowiada Lucasinho. Zrobił się sławny. Kupuje jej *mejadre*^[4] z jednego ze straganów na szczycie rajdu, nie dlatego, że jest głodna, ale dlatego, że chce zobaczyć, jak działają te pieniądze.

I trzeba to wszystko w głowie liczyć?

To nie takie trudne.

Razem patrzą, jak świetlne smugi ścigają się wśród zaułków, nad dachami, po galeryjkach, to pojawiając się, to znikając w tunelach lub za węglem. Daleko w dole, na prospekcie Budarina, wirują wokół siebie małe świetliste spiralki – to rowery za linią mety. Czasy się nie liczą. Nie liczy się, kto wygra. Nie liczy się nawet sam wyścig. Liczy się teatr, odwaga, poczucie łamania zasad, sprawienie, by w bezpieczne konwencjonalne księżycowe życie spadło z nieba coś wspaniałego.

Dziś na imprezie jest o wiele więcej ocieplaczy. Dwóch gości maluje sobie ciała świecąca farbą używaną do rowerów. Obecność Lucasinho jakimś sposobem uszlachetniła te zjazdy. Dwie dziewczyny przeciskają się ku niemu przez tłum. Są przebrane za europejskich mężczyzn z XIX wieku – fraki, stójki, cylindry i monokle. Loczki przyklejone na czołach, zabójczy makijaż. W urękawiczonych dłoniach mają laseczki. Ich chowańce to małe smoki, jeden zielony, drugi czerwony. Któraś z nich szepcze Lucasinho do ucha czas i miejsce. Czuje, że szarpie zębami za metalowy kolec w jego uchu. Przyjemny, drobny ból. Abena Asamoah na imprezie po Księżycowym Biegu zlizwała jego krew z palców.

Dziewczyna, która go uratowała, z którą dzielił się *mejadra*, nazywa się Pilar. Nie jest z żadnej rodziny, ale wraca z nim do mieszkania Kojo i od razu zasypia w hamaku dla gości. Nadal jest jasno. Lucasinho śpi do lokalnego rana i w ramach prezentu pożegnalnego piecze dla niej muffinki.

Resztę muffinek zabiera na tę nową imprezę. Jest w Kwadrze Antaresa, po porannej stronie miasta, odbywa się w siedmiu pokojach, gdzie mieszka grupa studencka. Witają go dwie dziewczyny z poprzedniego wieczoru, wciąż przebrane za dziewiętnastowiecznych młodych arystokratów.

Och, wypieki, mówi jedna.

Ale to już jest nuda, mówi druga, przesuwając palcem po ocieplaczu Lucasinho, a potem przytrzymując go przez moment pod jego brodą. Ma bardzo pełne i bardzo czerwone usta. Trzeba by coś z tobą zrobić.

Resztę wieczoru poświęcają na metamorfozę Lucasinho Certy. Chichocze, gdy go rozbierają, ale jest na tyle próżny, by mieć z tego przyjemność.

Bo widzisz, to nie chodzi o to, kogo posuwasz.

Bo jesteś taki bi, taki ze spektrum, taki normalny.

Chodzi o to, kim jesteś.

I czym jesteś.

Malują go, smarują kosmetykami, zmieniają fryzurę, natryskują zmywalne tatuaże, bawią się jego kolczykami, ubierają i rozbierają. Stroje ze wszystkich epok i żadnej, wynalazki studentów mody, dla konkretnej płci lub żadnej.

Oto jesteś ty.

Sukienka z lamy z lat osiemdziesiątych XX wieku, pasek w talii, bufiaste rękawy, poduszki w ramionach. Rajstopy, czerwone szpilki.

Stuprocentowy ty.

Tłum kiwa głowami, potakuje, grucha. Lucasinho z początku myślał, że trafił na wyrafinowany bal przebierańców: tiurniury i baletowe spódniczki, wplecione we włosy lusterka i klatki dla ptaków; kapelusze, obcasy, rozdarte pończochy i podarta skóra; wysoko wycięte trykoty, ochraniacze na kolanach. Wszyscy wystylizowani na sto różnych sposobów, a każdy nieskazitelny. Potem dotarło do niego, że to taka subkultura, gdzie każdy jest oddzielną subkulturą.

Jeden z chłopaków ma lusterko w torebce w charakterze rekwizytu – Lucasinho przygląda się swojemu odbiciu. Wygląda fantastycznie. Nie jest dziewczyną, ale też nie jest przebrany. Jest po prostu *moço* w sukience. Grzywkę ma zaczesaną do tyłu i nażelowaną tak, że sterczy jak rafa. Dyskretny makijaż zmienia kości policzkowe w brzytwy, a oczy w mrocznych morderców. Porusza się jak ninja na

szpilkach. Nie dziewczyna, ale niezupełnie chłopak.

Chyba mu się podoba, mówi Cylinder i Monokl.

On chyba wie, kim jest, dodaje Stójka i Laseczka.

Łapie go jedna z dziewczyn. Cześć, jesteś Lucasinho Corta, super ta sukienka, a pokażesz mi papierowe pieniądze? I dodaje: Chcesz przyjść na imprezę?

Dokąd?

Podaje mu lokalizację, a Lucasinho, dopiero wróciwszy do mieszkania Kojo, orientuje się, że to jest w Twé, stolicy Asamoah, i że może tam być Abena. A on tylko tego chce, tylko tego naprawdę chce, tak naprawdę pragnie tylko dziewczyny, która wbiła mu w ucho metalowy kolec.

– Bardzo dziwny ten pokój – mówi muzyk.

Lucas siada na kanapie. Poza nią w pokoju jest tylko krzesło, dokładnie na wprost kanapy.

– Jest akustycznie idealny. Zaprojektowany dla mnie, ale to i tak będzie najlepsza akustyka, jakiej pan w życiu doświadczył.

– Gdzie mam...

Lucas wskazuje krzesło pośrodku pokoju.

– Pana głos – zauważa muzyk.

– Tak – mówi Lucas cicho, bez nacisku, a mimo to jego słowa wypełniają przestrzeń.

Nie sądzi, by na całych dwóch światach był pokój mogący się z tym równać. Ściągał tu inżynierów akustyków ze Szwecji, żeby nadzorowali budowę. Najbardziej mu się podoba dyskrecja tego pomieszczenia – dźwiękowe cuda kryją się w ścianach poprzecinanych mikrorowkami, pod tłumiącą dźwięki czarną podłogą i ponad sufitem o zmiennym kształcie. Ten pokój muzyczny to jego jedyne występek, uważa Lucas. Pohamowuje ekscytację, gdy gitarzysta otwiera futerał. To jest eksperyment. Nigdy dotąd nie próbował tu słuchać muzyki na żywo.

– Gdyby pan mógł to zabrać – wskazuje brodą otwarty futerał na podłodze –

będzie zniekształcał fale.

Gitarzysta zabrał futerał. Nachyla się nad gitarą i gra parę cichych flażoletów. Dźwięki wydają się Lucasowi łagodne i czyste, jak oddychanie.

– Bardzo dobry ten pokój.

– Powinien pan tu usiąść i się przekonać – mówi Lucas. – Tylko kto wtedy grałby na gitarze?

Gitarzysta stroi się, po czym odkłada dłonie na pudło instrumentu.

– Co by pan chciał usłyszeć?

– Na przyjęciu prosiłem o piosenkę. Ulubioną mojej matki.

– *Aguas de Marco*.

– Tak. Proszę mi to zagrać.

Palce płyną nad gryfem, do każdego słowa inny akord. Chłopiec nie ma najmocniejszego czy najbardziej wyrobionego głosu, jaki słyszał Lucas – śpiewa intymnym szeptem, jakby tylko dla siebie. Ten głos pieści piosenkę, zmienia ów dialog w czułe szepty, którymi przerzuca się z gitarą. Głos i struny synkopują wokół rytmu; rytm zanika gdzieś pomiędzy nimi, pozostawiając tylko tę rozmowę – akordy i tekst. Lucas oddycha teraz płytko. Każdy zmysł jest nastrojony równie precyzyjnie jak struny gitary, harmonicznie ożywiony i rezonujący, skupiony na grającym i melodii. Oto esencja *saudade*. Oto jego święta tajemnica. Ten pokój to jego świątynia, jego *terreiro*. Jest wszystkim, co chciał mieć.

Muzyk Jorge kończy piosenkę. Lucas się uspokaja.

– *Eu Vim da Bahia?* – pyta.

Stary utwór João Gilberto, z trudną, opadającą progresją akordów i wzruszającym przejściem. Jorge kiwa głową. *Lua de São Jorge. Nada Sera Como Antes. Cravo e Canela*. Wszystkie stare pieśni, które jego matka przywiozła na Księżyc z zielonej Brazylii. Piosenki z dzieciństwa, piosenki o zatokach, górach, zachodach słońca, których nigdy nie widział i nigdy nie zobaczy. W szarym piekle Księżycyca robiły za załączki, za nasiona piękna. Mocne i smutne. Lucas Corta młodo zdał sobie sprawę, że mieszka w piekle. Jedyne sposob, by odmienić piekło, by je chociaż przeżyć, to nad nim panować. Lucas czuje, że po twarzy spływa mu łza.

Por Toda a Minha Vida kończy się. Lucas siedzi w milczeniu, bez ruchu, czekając, aż uspokoją się emocje.

– Dziękuję – mówi. – Pięknie pan gra. – Myśl wysyła zapłatę chowańcowi Jorge.

– To więcej, niż się umawialiśmy.

– Muzyk się kłóci, że za dużo dostał?

Jorge przynosi futerał i wkłada do niego gitarę. Lucas obserwuje, z jaką czułością i troską się nią opiekuje, wyciera pot ze strun, wydmuchuje kurz spod końca gryfu. Jakby układał niemowlę w kołysce.

– Ten pokój jest dla mnie za dobry.

– Ten pokój jest dla pana stworzony – mówi Lucas. – Proszę przyjść jeszcze raz. Za tydzień. Proszę.

– Za takie pieniądze to przyjdę na każdy gwizdek.

– Proszę mnie nie kusić.

I proszę, jest, w błysku uśmiechu, w wymienionych spojrzeniach.

– Miło poznać kogoś, kto docenia klasykę.

– Miło poznać kogoś, kto ją rozumie – odpowiada Lucas.

Jorge unosi futerał z gitarą. Toquinho otwiera drzwi pokoju muzycznego. Nawet stłumione kroki i poskrzypywanie futerału brzmią doskonale.

Snopy światła padają pomiędzy walczące postacie. Sala Noży jest jak tunel wśród jasnych pylistych kolumn świetlnych. Dwóch mężczyzn, jeden wysoki, drugi mały, atakują i tańczą, markują i napierają, boso na tłumiącej odgłosy podłodze, raz w świetle, raz w cieniu. Wygląda to pięknie jak balet. Rachel Mackenzie patrzy na nich z małego balkoniku przy drzwiach. Robson jest szybki i odważny, ale ma tylko jedenaście lat, a Hadley Mackenzie jest dorosłym mężczyzną.

Na Księżycu nie ma prawa, jest tylko consensus, i consensus zakazuje broni palnej. Kule kłócą się z hermetycznymi ciśnieniowymi konstrukcjami i skomplikowanymi urządzeniami. Noże, pałki, garoty, subtelne maszyny i powolne trucizny, ulubieni przez Asamoah miniaturowi biologiczni asasyni; tym

się zadaje ciosy na Księżycu. Wojny są małe i toczone na wyciągnięcie ręki. Rachel nie cierpi oglądać Robsona w Sali Noży. A jeszcze bardziej nie cierpi, że mały ma do tego wielki talent i uwielbia lekcje z Hadleyem. A jeszcze bardziej – że to jest konieczne. Pięć Smoków śpi niespokojnie na swoich skarbach. Hadley to rodzinny spec od pojedynków. W Tyglu plotkuje się, że to Robert Mackenzie tak zarządził, żeby mieć pod kontrolą ambicje Jade Sun i dopilnować, by dziedzictwo przypadło czystej linii Mackenziem. Nie ma lepszej osoby, która mogłaby nauczyć Robsona władania nożem, Rachel ubolewa jednak, że nie ma innego, lepszego sposobu na bliskość z Hadleyem. Jakiś sport – jak obsesja jego ojca na punkcie piłki ręcznej – byłby zdrowszy, przydatniejszy i spożytkowałby energię Robsona.

Patrzcie na niego, drobny, ale ostry jak ostrze, które ma w prawej dłoni. Spodnie do walk wiszą na szczupłych biodrach. Płaska pierś faluje, lecz oczy pilnują wszystkiego w długiej sali. Okrzyk. Robson kopie, celując w rzepkę, kontynuuje szerokim cięciem, z lewa na prawo, w górę. W oczy, w gardło. Hadley odskakuje unikiem, wchodzi w zasięg ostrza i wykręca mu rękę. Robson krzyczy. Wypuszcza nóż. Hadley łapie go, zanim spadnie na podłogę. Dokręca, robi krok i Robson ląduje płasko na plecach. Hadley, z nożami w obu dłoniach, rzuca się do gardła Robsona.

– Nie!

Ostrza zatrzymują się milimetr od brązowej skóry. Z czoła Hadleya spada kropelka potu, prosto w oczy Robsona. Hadley uśmiecha się szeroko. Krzyku Rachel nawet nie usłyszał. Nie zatrzymała jego ręki. Jest ich tylko dwóch. Nic innego nie istnieje. Przemoc w intymności.

– Robbo, jak brzmi zasada? Jeśli bierzesz nóż...

– Musisz go użyć i zabić.

– Tym razem, i tylko tym razem, pozwolę ci żyć. Czego się nauczyłeś?

– Nie wolno gubić noża.

– Nie wolno odpuszczać. Użyć przeciwko wrogowi jego własnej broni – odzywa się ktoś przy drzwiach.

Rachel nie zauważyła wejścia Duncana. Jej ojciec jest po sześćdziesiątce, ma jednak energię i postawę mężczyzny o dwadzieścia lat młodszego. Jest w

prostym szarym garniturze – konserwatywnym, jednorzędowym, doskonale skrojonym, ale bez fajerwerków. Jego chowaniec, Esperance, to prosta srebrna sfera, jedyną jej ozdobą są przebiegające po powierzchni płynne falki. Nic w jego wystudiowanym minimalizmie i skromności ubioru nie obwieszcza, że jest prezesem Mackenzie Metals. Wszystko w nim samym o tym krzyczy.

– I jak, dobrze mu idzie? – pyta.

– Spokojnie by cię pociął – odpowiada Hadley.

Duncan uśmiecha się kwaśno i krzywo.

– Rachel, przyprowadź go do mnie – mówi. – Chciałbym, żeby kogoś poznał.

– Pięć minut będzie stał pod prysznicem – odpowiada Rachel.

– Przyprowadź go do mnie – powtarza Duncan Mackenzie.

Robson zerka na matkę. Ta kiwa głową. Hadley unosi nóż. Pozdrowienie wojownika.

Wujek Bryce zawsze budził w Rachel odrazę. Już Robert jest okropny, ale Bryce Mackenzie, dyrektor finansowy, to prawdziwy potwór. Jest gigantyczny. Wysoki nawet jak na drugie pokolenie, a księżycowe ciążenie pozwoliło mu nabierać masy. Jest obrzydliwym człowiekiem-górami, opartą na dziwnych małych stopkach. Nie tyle gruby, ile olbrzymi. Porusza się z lekkością i delikatnością często spotykaną u wielkich facetów.

Bryce Mackenzie lustruje Robsona od stóp do głów, jak rzeźbę, jak raport.

– Taki ładny chłopak.

Młody adoptowany przynosi miętową herbatę. Bryce Mackenzie właśnie tak formalizuje swoje związki – znajduje sobie chłopców wchodzących w dojrzałość i adoptuje ich, a potem znajduje dla nich pracę w firmie. Wielu z nich się potem żeni, w rodzinie lub poza, inni zostają ojcami. Bryce ma z nimi dobry kontakt i hojnie ich wspiera. Nigdy nie zdarzył się żaden skandal. Na to Bryce jest zbyt sumienny. Chłopak od herbaty jest jednym z trzech *amorów*, którzy aktualnie go obsługują. Palce stykają się ponad szklanką. Spojrzenie, uśmiech. Rachel wyobraża go sobie nad Bryce'em, człowiekiem-górami, jak go ujeżdża. Wali w

dupę.

– Robson, poznaj swojego męża – mówi Duncan.

Rachel wytrzeszcza oczy.

– To jest Hoang Lam Hung. – Dorosły, dobrze zbudowany mężczyzna. Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści lat.

– Jeden z twoich chłopaczków – mówi Rachel.

Urażony Bryce sznuruje pełne, miękkie wargi.

– Rachel – zwraca jej uwagę Duncan.

Hung zbywa obrazę wzruszeniem ramion, choć w kąciuku ust widać cień żalu.

– Oto *nikah*. – Bryce przesuwa po blacie wydrukowany kontrakt, który w tej samej sekundzie dociera do Cameny.

Uruchamia się prawnicza sub-AI i podsumowuje umowę w punktach.

– Chyba żartujesz – mówi Rachel Mackenzie.

– Standardowy szablon. Nic groźnego, żadnych niespodzianek – mówi Bryce.

– A zapytałeś Robsona o jego preferencje? – indaguje Rachel.

– To decyzja taty – mówi Duncan.

– A ty co myślisz? – pyta Rachel ojca.

Żałuje, że wyobrażała sobie chłopaczka od herbaty ujeżdżającego nagie cielsko Bryce'a. Prowadzi to ją do wyobrażeń tak ohydnych, że aż zakrywa usta dłońmi.

– Jak powiedział Bryce, umowa jest standardowa.

– Potrzebny mi dzień czy dwa.

– A nad czym tu myśleć? – odzywa się Bryce.

Rachel jest bezradna. W Tyglu wola Roberta Mackenziego jest prawem, a ona jest w samym sercu jego władzy. Nie ma do kogo się odwołać. Jade Sun zawsze stanie po stronie męża. Nieważne, czy Hung jest łagodny, czy okrutny, to małżeństwo czyni z Robsona zakładnika Mackenziech.

Duncan zdejmuje nasadkę z pióra. Cameny wyświetla okno podpisu cyfrowego na wirtualnym kontrakcie.

– Nigdy ci tego nie wybaczę, Bryce.

– Przyjąłem, Rachel.

Dwa szybkie, zdecydowane dźgnięcia piórem i wykułaby mu oczy. Mimo to podpisuje, a Cameny nanosi na dokument jej cyfrowe *jin*. I już, po wszystkim.

– Robson, synu, podejdź do swojego nowego męża – mówi Duncan.

Hung stoi z otwartymi ramionami. Rachel klęka i przyciska Robsona do siebie.

– Kocham cię, Robbo. Zawsze będę cię kochać i nigdy nie pozwolę zrobić ci krzywdy. Wierz mi.

Prowadzi chłopca za rękę przez pokój. Trzy kroki i zmienia się świat. Był syn, jest mąż. Rachel staje blisko Hunga i szepcze teatralnie, żeby wszyscy słyszeli.

– Jeśli mu coś zrobisz, jeśli tkniesz go choćby palcem, zabiję cię i wszystkich, których w życiu kochałeś. Zapamiętaj. – Rachel mówi to do Hunga, ale patrzy na Bryce'a.

Bryce znów porusza z niesmakiem wilgotnymi pełnymi ustami.

– Będę się o niego troszczył, pani Mackenzie.

– Już ja tego dopilnuję.

Hung kładzie rękę na ramieniu Robsona. Rachel ma ochotę połamać mu wszystkie palce, jeden po drugim. Strąca dłoń z ramienia syna.

– Ostrzegałam cię.

Ręka na jej ramieniu. Ojciec.

– Pozwól, Rachel.

Otwierają się drzwi gabinetu, wychodzi dwóch ochroniarzy Duncana.

– Tato, myślisz, że co chciałam zrobić, co?

– Pozwól z nami, Rachel.

Rachel całuje jeszcze syna i odwraca się od niego w pośpiechu, żeby nikt nie widział wyrazu jej twarzy. Nigdy, przenigdy nie pozwoli, by wuj, ojciec, dziadek dostrzegli rany po gwoździach, które wbili jej w serce.

– Mamo, co się dzieje? – Drzwi zasuwają się za nią, jednak wciąż słyszy krzyki syna. – Co się stało? Ja się boję! Ja się boję!

Nigdy nie odpuszczaj, tak mówił jej ojciec. Pokonaj ich ich własną bronią.

Śluza jest ogromna, na łaziki i busiki, lecz Marina i tak czuje, jak serce ściska jej klaustrofobia, gdy zamykają się za nią wewnętrzne drzwi. Gdy dehermetyzuje się komora, wszystko obserwuje. Taki ma sposób na radzenie

sobie z lękiem przed ciasnymi pomieszczeniami – obserwację szczegółów. Zatracić się we wrażeniach zmysłowych. Chrupanie pyłu pod butami. Abstrakcyjny, cichnący syk ulatującego powietrza. Obciskanie ciała przez elastyk, kiedy inteligentny materiał przystosowuje się do próżni. Chowańce nad ramionami ludzi z ekipy dziwnie wyglądają. Też powinny mieć na sobie wirtualne elastyki.

Jose, Saadia, Thandeka, Patience. Oleg nie żyje. Zabiła go fizyka. Pomylił ciężar z masą, szybkość z momentem pędu. Typowe dla zieluniaka. Wydało mu się, że da radę jedną ręką zatrzymać poruszającą się paletę z ładunkiem. Moment pędu wbił mu w pierś kości wyciągniętej ręki i przebił serce.

Oleg, Blake na górze Bairro Alto. Przez krótki czas na Księżycu zginęło w życiu Mariny tylu ludzi, co przez wszystkie lata na Ziemi. Śmierć Olega jeszcze pogłębiła przepaść między nią a kolegami z ekipy. Jose już w ogóle się do niej nie odzywa. Marina wie, że ekipa myśli, że to przez nią. Przynosi pecha, przyciąga złą karmę, jest złym fatum. Zaczyna słyszeć nowe księżycowe słowo – *apatoo*, duch niezgody. Księżyc to siedlisko wszelkich czarów i zabobonów.

Marina zaś nie potrafi zapomnieć o Długim Biegu. Nie jest w stanie zrozumieć, gdzie zniknęły te godziny i kilometry. Nie jest w stanie zrozumieć, jak mogła się zatracić w czymś tak irracjonalnym. Przecież to były tylko endorfiny i adrenalina – a tu, leżąc w łóżku, dalej czuje rytm stóp, słyszy puls bębnów. Nie może się doczekać, kiedy tam wróci. Następnym razem wymaluje się cała.

Wirujące czerwone światła. *Śluza zdehermetyzowana*, mówi Hetty. Ona i wszystkie inne chowańce gasną z mignięciem i przekształcają się w nazwiska członków ekipy, unoszące się zielonym tekstem nad każdą głową. Zielony – wszystko prawidłowo. Żółty – alarm: powietrze, woda, baterie, zagrożenie środowiskowe. Czerwony – niebezpieczeństwo. Migający czerwony – poważne niebezpieczeństwo, bezpośrednie zagrożenie życia. Biały – śmierć.

– Próba łączności – odzywa się Carlinhos.

Marina wypowiada swoje imię i krótki łamaniec językowy na dziś, sprawdzający, czy nie jest oszołomiona tlenem.

– Zrozumiałam – dodaje. Tyle tych rzeczy trzeba pamiętać.

– Śluza się otwiera – mówi Carlinhos.

Jego elastyk to patchwork nalepek, logo, ikon, ale pośrodku pleców ma Oguna, świętego Jerzego, jego osobistą *orixę*. Na ścianie obok zewnętrznych drzwi śluzy jest ikona z Panią Luną. Czaszkowa połowa jej twarzy jest cała wytarta od dotyku tysięcy palców w rękawicach. Dotknij na szczęście. Dotknij, żeby oszukać śmierć.

– Oto Pani Luna. Bardziej sucha niż najsuchsza pustynia, gorętsza niż najgorętsza dżungla, zimniejsza niż tysiąc kilometrów antarktycznego lodu. Jest każdym rodzajem piekła, jaki ktokolwiek sobie kiedyś wyobraził. Ma tysiące sposobów, żeby was zabić. Okażcie tylko brak szacunku, a zrobi to od razu. Bez namysłu. I bez litości.

Zieluniacy ustawiają się w kolejce, żeby dotknąć Pani Luny. Pustynia, dżungla, Antarktyda: to nie są rzeczy, które Carlinhos by poznał, myśli Marina. Brzmią jak starożytna mantra. Modlitwa luniarza. Marina przesuwając palcami po ikonie Pani Luny.

Przez podeszwy butów czuje, że zewnętrzne drzwi śluzy unoszą się ze zgrzytem. Szczelina szarości między szarymi drzwiami i szarą podłogą zaczyna ukazywać paskudną maszynię: obozowisko łazików, robotów serwisowych, wież łączności, za nimi zadarte ku górze rogi BALTRAN-u. Maszyny porzucone, maszyny rozwalone, maszyny w naprawie. Ekstraktor, zbyt wysoki nawet dla tej ogromnej śluzy, odgradzony łańcuchami żółtych migających lampek, istna choinka ze światełkami sygnalizacyjnymi i nawigacyjnymi. Szeregi paneli słonecznych powoli podążających za Słońcem. Dalekie wzgórza. Powierzchnia Księżyca to złomowisko.

– Idziemy się przejść – mówi Carlinhos Corta i prowadzi ekipę pochylnią do góry.

Marina wychodzi na powierzchnię. Nie ma żadnego przeskoku, żadnej różnicy między wnętrzem i zewnątrz, nawet goła powierzchnia i gołe niebo nie robią żadnego wrażenia. Bliski horyzont jest wyraźnie zakrzywiony. Carlinhos prowadzi ekipę kilometrowym kręgiem wyznaczonym świecącymi sznurami. Przeszły tędy setki zieluniaków, ślady pokrywają ślady pokrywają ślady. Ślady wszędzie: butów, opon, delikatne tropy skradających się i wspinających robotów.

Regolit to palimpsest wszystkiego, co kiedykolwiek po nim przeszło. Paskudny jest. W dzieciństwie Marina, jak każdy dzieciak, który miał pod ręką lornetkę, celowała nią w King Donga – ogromnego kutasa, długiego na sto kilometrów, wydeptanego buciorami i oponami na *Mare Imbrium* przez robotników od infrastruktury mających za dużo wolnego czasu. Już piętnaście lat temu był rozmazany i poprzecinany krzyżującymi się śladami kolejnych misji. Teraz? Wątpi, czy cokolwiek ocalało z tego przejawu beztroskiego studenckiego humoru.

Marina patrzy w górę. I nagle przestaje zostawiać ślady.

Nad Morzem Żyzności stoi widoczna w połowie Ziemia. Marina nigdy nie widziała czegoś tak niebieskiego i tak prawdziwego. Na widocznej półkuli dominuje Atlantyk. Odróżnia zachodni skraj Afryki, róg Brazylii. Może prześledzić wir oceanicznych sztormów wciąganych w nieckę Karaibów, gdzie kotłują się i urastają do rozmiarów bestii i potworów, a potem wylatują spiralą w łuk Golsztromu, pędząc w stronę niewidocznej Europy. Wschodni terminator zakrywa huragan. Marina z łatwością dostrzega jego spiralną strukturę, z kropką oka pośrodku. Biało-niebieski. Ani śladu zieleni – mimo to nigdy nie widziała czegoś równie żywego. Lecąc cyklerem VTO, patrzyła na Ziemię z bąbla obserwacyjnego i zachwycała się przewijającym się przed oczyma splendorem. Płynące smugi chmur, obracająca się planeta, linia wschodu słońca wzdłuż krawędzi świata. Przez pierwszą połowę lotu obserwowała, jak Ziemia maleje, przez drugą – jak rośnie Księżyc. Ale Ziemi z Księżycem nigdy dotąd nie widziała. Planeta Ziemia przysiadła na niebie, o wiele większa, niż Marina sobie wyobrażała, a jednocześnie tak daleka. Jasna, zamyślona i zakazana, poza zasięgiem. Wiadomości lecą do rodziny przez 1,25 sekundy. To jest dom – a ty jesteś tak daleko od niego – takie przesłanie wyraża Ziemia w pełni.

– Cały dzień będziesz tak stać? – Na prywatnym kanale trzeszczy głos Carlinhosa i Marina uświadamia sobie, zażenowana i spłoszona, że wszyscy wrócili pod drzwi śluzy, a tylko ona stoi jak głupia i gapi się w górę na Ziemię.

To jest kolejna różnica. Z cyklera patrzyła na Ziemię w dół. Na Księżycu Ziemia jest zawsze u góry.

– Długo tak stałam? – pyta Carlinhosa, gdy śluza się hermetyzuje.

– Dziesięć minut – odpowiada. Ostre strumienie powietrza zdmuchują pył ze skafandrów. – Jak pierwszy raz wyszedłem, zrobiłem dokładnie to samo. Stałem i się gapiłem, aż Sao Jorge rzucił ostrzeżenie, że mam mało tlenu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Był ze mną Heitor Pereira. Pierwsze moje słowa: „Kto to tam powiesił?”.

Carlinhos odpina hełm. Jest parę sekund, kiedy rozmowy mogą być prywatne. Marina pyta:

– To co teraz robimy?

– Teraz – mówi Carlinhos Corta – idziemy się napić.

– On cię dotykał?

Mały łazik pędzi przez *Oceanus Procellarum*. Na każdy wybój i kamień wpada z pełną prędkością, wyskakuje w powietrze i ląduje, wzbudzając powolne detonacje pyłu. I znowu przyśpiesza, wyrzucając spod kół wielkie fontanny. Dwójka pasażerów jest poobijana i posiniaczona, ciągle szarpie nimi tam i z powrotem w uprężach. Rachel Mackenzie wyciska z łazika maksymalne dopuszczalne osiągi.

Ściga ją Mackenzie Metals.

– Coś ci zrobił? – pyta ponownie, przekrzykując wycie silników i trzeszczenie zawieszania.

Robson kręci głową.

– Nie. Całkiem miły był. Zrobił kolację, rozmawialiśmy o jego rodzinie. Potem nauczył mnie sztuczek karcianych. Pokażę ci. Naprawdę fajne. – Robson sięga do kieszeni na udzie skafandra.

– Jak dojedziemy – mówi Rachel.

Liczyła, że będzie mieć więcej czasu. Starannie przemyślała fałszywe tropy i przynęty. Kobiety Mackenziech umieją takie rzeczy. Cameny zarezerwowała wagon do Południka. Rachel nawet włamała się do służby, żeby ta zameldowała, że wyszły dwie osoby. Robert Mackenzie już po dwudziestu kilometrach zatrzymał zdalnie ten wagon. W tym samym czasie z Tygła wyruszyły dwa

łaziki, w przeciwnie strony. Pierwszy pojechał narzucającą się trasą, na północny wschód do farmy serwerów Taiyangu, w rowach *Rimae Maestlin*. Logiczna droga ucieczki; Sunowie w księżycowej polityce rodzinnej zawsze uparcie stali na drugim biegunie. Dla rodu Sun gniew Roberta Mackenziego niewiele znaczy.

A Rachel pojechała nielogiczną trasą, która pozornie zmierza na południowy wschód do starej biegunowej linii towarowej. Wzdłuż torów są rozsiane stacje energetyczne i skrytki z zapasami. Zgodnie z odwieczną tradycją – odwieczną jak na Księżyc – Woroncowowie muszą zatrzymać wagon dla każdego, kto błysnie do niego z torów. Co się dzieje potem, to jest negocjowalne, jednak tradycja ratowania i udzielania pomocy wciąż trwa. Duncan Mackenzie zamówi sobie prywatnych ochroniarzy, obstawi wszystkie główne stacje kolejowe – Południk, Królową, Hadley. Ale Rachel wcale tam nie jedzie. Nie jedzie nawet do linii kolejowej.

Łazik jest pozbawiony okien, powietrza, hermetyki, właściwie składa się z silnika i układu napędowego. Ma zablokowany system automatycznego powrotu i zdalną kontrolę. Podobnie jak wysłany w drugą stronę wabik. Rachel zawsze była świetną koderką. Rodzina tego talentu nie ceniła; jak i wszystkich innych jej talentów. Prawdziwym celem podróży jest odosobniona stacja przekaźnikowa BALTRAN-u we Flamsteed. Wyliczyła sobie sekwencję skoków. Jednakże łaziki Mackenzie Metals wyruszyły już ze stacji wydobywczych na południe i wschód od torów. Cameny ma ściszoną do szeptu, nie chce, by rozgłaszała jej pozycję po sieci. Ma nadzieję, że będą próbowali przechwycić ją przy linii kolejowej. Czas jazdy daje się precyzyjnie wyliczyć. Równania są precyzyjne i zimne. Jeśli domyślą się, że chodzi o przekaźnik, złapią ją. Jeśli założą, że o linię kolejową – ucieknie. Musi jednak połączyć się z siecią, tym samym rozgłaszając swoją pozycję na cały Księżyc.

– Niedługo dojedziemy – mówi do syna.

Popatrzcie tylko na niego, w elastyku, przypiętego w wąskim brzuchu łazika, stykającego się z nią kolanami; popatrzcie tylko. Hełm zasłania włosy, maskuje kształt twarzy, a jego szybka skupia całą uwagę na oczach, jego oczach, pięknych zielonych oczach. Nic w świecie – ani tym, szarym świecie, ani tym drugim, wielkim, niebieskim nad nimi – nie jest piękniejsze od tych oczu.

– Muszę z kimś pogadać. Włączam Cameny, ale ty Jokera nie puszczaj. Jeszcze nie.

Gdy Cameny podłącza się do sieci, czuje się tak, jakby się fizycznie otwierała; to tak, jakby odetchnąć pełną piersią.

Chowaniec Ariel Corty moderuje połączenie. Proszę czekać. Potem w soczewce Rachel pojawia się sama Ariel.

– Rachel. Co się stało?

Ma nieskazitelną strój, makijaż, fryzurę. Rachel zawsze miała szwagierkę za zarozumiałą snobkę i karierowiczkę. Ma jednak w sobie dość uczciwości, by rozpoznać zawiść – ci Brazylijczycy to naprawdę mają wszystkie talenty i dary. Ariel wiele razy rozgromiła jej rodzinę w sądzie, ale teraz jest jej potrzebna. Rachel podsumowuje ucieczkę. Cameny przesyła *nikah*.

– Przepraszam na moment. – Ariel na chwilę zastępuje Beijaflor. Wraca. – To standardowy kontrakt małżeński związujący mojego bratanka małżeństwem z Hoangiem Lam Hungiem na okres dziesięciu lat. Dość solidny.

– Wyciągnij go z tego.

– Ten kontrakt jest prawnie wiązający, a zobowiązania precyzyjnie określone. Nie mogę użyć żadnej z klauzul, żeby zwolnić Robsona ze zobowiązania. Mogę co najwyżej unieważnić cały kontrakt.

– Zrób to. On ma jedenaście lat. Podpisałam to pod przymusem.

– Z prawnego punktu widzenia nie mamy minimalnego wieku upoważniającego do czynności prawnych albo zawarcia małżeństwa. I według naszego prawa działanie pod przymusem nie musi być skuteczną obroną. Musiałabym wykazać, że nie pytając Robsona o zgodę przed podpisaniem klauzul o czynnościach seksualnych, naruszyłaś swoją umowę rodzicielską z nim. To by unieważniło *nikah*. Reprezentowałabym Robsona przeciwko tobie. Musiałabym udowodnić, że jesteś złą matką. Złą, kategoria wagowa – Lukrecja Borgia. Jednak podejmując się ucieczki z Robsonem, postępujesz jak dobra matka. Paragraf 22. Ale da się to obejść.

– Możesz mnie przedstawić w dowolnie złym świetle, nie obchodzi mnie to.

Czy naprawdę Ariel Corta, ten chodzący ideał, pozwala sobie na nieznaczną uśmieszek?

– Będzie trzeba prać masę brudów.
– Mackenzie dorobili się na brudach.
– Ja tak samo. Robson musiałby mi wpłacić zaliczkę i podpisać umowę. Ale widzisz, znowu: tylko dobry rodzic poradził mu, żeby mnie zatrudnił. Poza protokołem muszę cię uprzedzić, że skierowanie tego do sądu oznacza jasny i otwarty konflikt między naszymi rodzinami. To będzie wypowiedzenie wojny.
– Wojna będzie i tak wypowiedziana, jeśli Rafa się dowie, że oddałam Robsona bez walki. Rozwali Tygiel gołymi rękami, żeby go wydostać.

Ariel Corta kiwa głową.

– Trudno mi sobie wyobrazić bardziej nierozwiązywalną sytuację. Całkiem jakby twój dziadek specjalnie wybrał najbardziej prowokujące posunięcie.

Łazik szarpie. Uprząż Rachel aż strzela od nagłego hamowania. I znów. Coś uderza w łazika, raz, drugi, trzeci. Czuje, choć nie słyszy, wibrację narzędzi tnących, wiertel. Nagle gwałtownie zwalniają.

– Co się dzieje? – pyta Ariel Corta. Wyraz obawy na jej idealnej masce.

– Cameny, pokaż mi! – krzyczy Rachel.

– Powiadomię Rafę – mówi Ariel.

Cameny nagle błyska widokiem z zewnętrznych kamer. Dron serwisowy uczepił się łazika jak mały zębaty potworek. Manipulatory i noże dziobią kable i przewody hydrauliczne. Łazik znów zwalnia – dron odcina kolejny akumulator. Skąd on się tutaj wziął? Cameny obraca kamerami, widać uniesione do nieba rogi stacji przekaźnikowej BALTRAN-u, otoczone gąszczem paneli słonecznych, niecałe dwieście metrów stąd. Oto odpowiedź: jej rodzina przejęła drona serwisowego z tej stacji.

Zapomnieli jednak, że ten łazik nie jest hermetyczny. Dwieście metrów w próżni to spacerek dla człowieka w skafandrze.

Rachel dotyka kolana Robsona. Ten się wzdryga, oczy ma wytrzeszczone ze strachu.

– Kiedy powiem „już”, wysiadasz za mną. Dalej musimy przejść pieszo.

Łazik z potwornym hukiem przewraca się na bok, ciskając nią w uprzęży. Pojazd znieruchomiał przewrócony pod ostrym kątem. Dron odciął mu koło. Potem niszczy ostatnią kamerę.

– Robson, skarbie, JUŻ!

Odskakuje właz. Pył, wzgórze, płaskie czarne niebo. Rachel chwyta bok włazu i wyskakuje. Zderza się z regolitem, biegnie. Ogląda się przez ramię, widzi Robsona lądującego lekko jak koliber i biegnącego. Dron przysiadł na wraku łożnika. Rachel myśli o Brysie Mackenziem, o nowotworze, jakby nowotwór mógł chodzić i polować.

Teraz bot podnosi się na manipulatorach, schodzi z wraku. Rozkłada narzędzia tnące i długie ostre plastikowe palce. Zjeżdża na powierzchnię, rusza ku niej. Nie jest szybki, ale nieubłagany. A Rachel musi jeszcze zrobić parę rzeczy, zanim z Robsonem katapultuje się w bezpieczne miejsce.

– Robson!

Bot z każdym krokiem zbliża się do chłopca ślizgającego się stopami po regolicie. Nie umie poruszać się w próżni, nie wie, jak to robić, żeby nie wzbijać oślepiających go fontann pyłu. Ojciec zbyt długo trzymał go w miękkim łonie Boa Vista. Trzeba było zabrać go na wycieczkę na Ziemię, kiedy miał pięć lat, zgodnie ze zwyczajem Mackenziech, myśli Rachel. Cza było, cza było.

Właz jest gotowy, mówi Cameny. Śluza osobowa jest w stanie zmieścić tylko jedną osobę. Na Morzach wyrzutnie systemu BALTRAN są prowizoryczne i przygotowane raczej do transportu towarowego.

– Właź! – krzyczy Rachel.

Robson gramoli się do włazu. Straszna niezdara.

– Wlazłem!

Cameny zamyka właz. Teraz kolej Rachel, żeby przepompować się do kapsuły. Długo to trwa. Czemu tak długo? Gdzie ten robot? Nie ma czasu nawet się obejrzeć. Oddycha z sykiem przez zęby, najwyższe skupienie. Cameny przygotowuje sekwencję startową.

Ból w prawej łydce jest tak ostry i precyzyjny, że nawet nie może krzyknąć. Noga już nie utrzymuje jej ciężaru. Coś ma w niej przecięte. Wskaźniki w hełmie błyskają czerwienią; aż sapie, gdy tworzywo skafandra zaciska się wokół uszkodzenia, uszczelnia, uciska ranę.

Przecięte prawe ścięgno podkolanowe, informuje Cameny. *Naruszona szczelność skafandra. Krwawienie. Ten robot tu jest.*

– Wpuść mnie – syczy Rachel.

Wtem przychodzi ból, gorszy niż sobie wyobrażała, że może istnieć we wszechświecie; wrzeszczy. Potworny, przedśmiertny krzyk bólu. Trudno uwierzyć, że coś takiego może się wydobyć z ludzkiego gardła. Ruch, skok, kolejne precyzyjne cięcie. Pada. Bot staje nad nią, cień na tle czarnego nieba. Światła skafandra odbłyскую od trzech wiertel opuszczających się na szybkę hełmu.

– Cameny! Startuj! Zabierz go stąd!

Sekwencja startowa uruchomiona, mówi Cameny. Prawdopodobieństwo twojego przeżycia wynosi zero. Żegnaj, Rachel Mackenzie.

Wiertła zgrzytają o hartowaną szybę. W tej ostatniej chwili Rachel Mackenzie znajduje w sobie tylko furję: furję, że musi zginąć, że musiało to nastąpić na zimnym i brudnym Flamsteed, furję, że w dupę zawsze musisz dostać właśnie od rodziny. Szybka pęka. Gdy z hełmu wylatuje powietrze, czuje drgania gruntu, widzi mignięcie kapsuły BALTRAN-u ponad wylotem wyrzutni.

Poleciał.

Rafa Corta jest jak grzmiący gniew, gdy idzie na czele swojego oddziału ochrony. João de Deus to jego miasto – pracownicy Corta Hélio i personel pomocniczy kojarzą jego twarz, ale nie taką jak ikona furii i radości. Jest Xango Sprawiedliwym, Sao Jeronimo, sędzią i obrońcą. Odwracają od niego wzrok i schodzą mu z drogi.

Chłopak już wyszedł ze śluzu. Stoi samotnie w salce przylotów, wciąż w elastyku i hełmie, umorusany pyłem, z chowańcem nad lewym ramieniem.

– Nauczył mnie takiej sztuczki – mówi Robson. Joker przekazuje jego słowa do świata poza hełmem. – Naprawdę dobrej.

Dłonie w rękawicach wyjmują z kieszeni na udzie talię kart. Robson rozkłada je w wachlarzyk. Głos ma martwy, płaski, obcy. Joker przekazuje każdy niuans jego tonu.

– Wybierz jedną.

Karty wypadają mu z palców. Załamują się kolana, pada naprzód. Rafa już jest przy nim, by go złapać.

– A matka? – Potrząsa rozdygotanym chłopcem. – Gdzie twoja matka?

PIĘĆ

Duncan Mackenzie pędzi przez Tygiel jak burza. Ludzie mu ustępują, maszyny go słuchają. Prezesa Mackenzie Metals nie będą wstrzymywać jakieś tam banalne procedury bezpieczeństwa. Nie, kiedy jest w furii. Gniew Duncana jest szary jak jego garnitur, jego włosy i powierzchnia Księżyca. Esperance też skurczyła się do kuli szarego metalu.

Jade Sun-Mackenzie wychodzi mu naprzeciw pod śluzą prowadzącą do osobistego wagonu Roberta Mackenziego.

– Twój ojciec przechodzi właśnie rutynową filtrację krwi – mówi. – Rozumiesz, że tej procedury nie można zakłócać.

– Chcę się z nim widzieć. – Głos Duncana jest zimny, jak gorący jest metal nad jego głową.

– Mój mąż ma teraz ważny i delikatny zabieg medyczny – powtarza innymi słowami Jade Sun.

Duncan chwyta ją za gardło i wali jej głową w drzwi śluzy. Po białych drzwiach powoli spływa tłusta kropla krwi. *Rozcięta skóra głowy, możliwy uraz*, mówi jej chowaniec, Tong Ren.

– Zaprowadź mnie do niego!

Mam obraz, mówi Esperance. Rzuca Duncanowi na soczewkę obraz widzianego z góry starego dziada na diagnostycznej leżance.

Otoczają go pielęgniarki, żywe i automatyczne. Rurki i przewody pulsują czerwienią.

– To nie jest prawdziwe. Mogłaś to sama podegrać Esperance. Wy,

skurwysyny, jesteście podstępni.

– My. Skurwysyny? – szepcze Jade Sun.

Duncan Mackenzie rozluźnia uchwyt.

– Moja córka nie żyje – mówi Duncan. – Słyszysz? Moja córka nie żyje.

– Duncan, jest mi bardzo przykro. Stało się coś strasznego. Strasznego. Błąd w oprogramowaniu.

– Ekipa ratunkowa znalazła na jej skafandrze precyzyjne nacięcia. Ten bot podciął jej ścięgna. – Duncan aż zakrywa usta dłońmi, sam przerażony. Po chwili dodaje: – A na hełmie znaleźli otwory od wiertel. To musiał być bardzo specyficzny błąd w oprogramowaniu.

– W układach regularnie pojawiają się defekty od promieniowania. Jak wiesz, to nagminny problem.

– Nie obrażaj mnie, kurwa mać! – ryczy Duncan Mackenzie. – Nagminny! Nagminny! Co to, kurwa, za słowo? Moja córka nie żyje. Czy to ojciec tak zarządził?

– Robert w życiu by czegoś takiego nie zrobił. Jak możesz w ogóle sugerować, że twój ojciec, mój *oko*, mój mąż, wydał rozkaz zabicia własnej wnuczki? To absurdalne. Absurdalne i obraźliwe. Widziałam raport. To był straszny wypadek, incydent z robotem. Ciesz się, że chłopiec, jest cały i zdrowy.

– A Cortowie obnoszą się z nim jak ze świeżo zatrudnioną gwiazdą piłki ręcznej. A ten debil Rafa w przerwach przysięga, że poderżnie gardło każdemu Mackenzemu, którego zobaczy. Znaleźliśmy się przez to na krawędzi wojny.

– Robert nigdy nie zaszkodziłby firmie. Nigdy.

– Wkładasz mojemu ojcu w usta strasznie dużo różnych słów. Chciałbym sam je usłyszeć od niego. Puść mnie.

Jade Sun robi krok naprzód. Jedyna droga do służby prowadzi przez nią.

– Co powiedziałaś?

– Dokładnie tak, jak mówisz. Robert nigdy nie zrobiłby krzywdy własnej wnuczce.

– Czy to jest oskarżenie?

– Dlaczego nie pozwalasz mi zobaczyć się z własnym ojcem?

Duncan Mackenzie bierze Jade Sun za ramiona, unosi, ciska nią mocno w

drzwi służy. Osuwa się. On zaś czuje dłonie na ramionach. Silne ręce odrywają go od łapiącej oddech, wstrząśniętej kobiety. Duncan wrywa się, żeby stanąć twarzą w twarz z napastnikami. Czterech facetów w garniturach równie szarych i służbowych jak jego własny. Ogromni zieluniacy, aż ciężcy od ziemskich mięśni.

– Zostawcie nas – rozkazuje.

Czwórka ani drgnie, zerkają tylko na Jade Sun.

– To moje osobiste noże – mówi ona, wciąż blada i roztrzęsiona, na podłodze.

– Od kiedy?! – ryczy Duncan Mackenzie. – I kto ci pozwolił?

– Twój ojciec mi pozwolił. Od kiedy? Odkąd przestałam się czuć bezpieczna w Tyglu. Duncan, zdaje się, że powinienś już iść.

Największy z noży, gigantyczny Maorys ze zwałami mięśni na karku, kładzie mu rękę na ramieniu.

– Spierdalaj z tą łapą – mówi Duncan Mackenzie i strząsa ją z siebie.

Ale ich jest czterech, są wielcy i nie są jego. Unosi ręce – nie będę robić problemów. Ochrona cofa się o krok. Duncan Mackenzie poprawia poły marynarki i mankiety koszuli. Noże Jade Sun stają pomiędzy nim i jego macochą.

– I tak się spotkam z ojcem. I zarządzam własne śledztwo, które ustali, co się tam stało.

Odwraca się i odchodzi, w hańbie i upokorzeniu, pomiędzy snopami światła z metalurgicznych luster, ale ma jeszcze ostatnie słowo, *à l'esprit de l'escalier*.

– Ja jestem prezesem tej firmy. Nie ojciec. I nikt z waszej jebanej rodziny!

– Nasza jebana rodzina jest po tej samej stronie, co wasza jebana rodzina! – krzyczy Jade Sun. – Woroncowowie to barbarzyńcy, Asamoah to wieśniacy, a Cortowie to gangsterzy wyciągnięci prosto z faweli. Ten świat zbudowali Sunowie i Mackenzie. I on należy do Sunów i Mackenziech.

– Ona zdejmuje czasem tę sukienkę?

Helen de Braga i Adriana Corta stoją przy balustradzie balkonu na ósmym

piętrze, pomiędzy kamiennymi policzkami Oguna i Oxossiego. Policzki są suche, wodospady wyłączono. Ogrodnicy, robot i człowiek, wygarniają liście ze stawu i strumienia.

– Gdy tylko się trochę zabrudzi, Elis po prostu drukuje jej taką samą – mówi Adriana Corta.

Luna w ukochanej czerwonej sukience biegnie boso przez kałuże na dnie stawów, ochlapując ogrodnicze roboty i przeskakując z kamienia na kamień, zgodnie z regułami skomplikowanej gry: na tym trzeba stanąć lewą nogą, na tym prawą, na tamtym obiema nogami albo całkiem przeskoczyć.

– Pewnie też miałaś coś ulubionego do ubrania, kiedy byłaś w tym wieku.

– Legginsy – odpowiada Helen. – W czaszki i piszczele. Miałam jedenaście lat i byłam prawdziwym małym piratem. Matka nie mogła ich ze mnie zdjąć, więc kupiła drugie. Nie chciałam ich włożyć, bo to nie były te same, ale szczerze mówiąc, kiedy leżały obok, to nie wiedziałam, które są które.

– A Luna ma masę różnych kryjówek, w każdym kącie Boa Vista – mówi Adriana Corta. Luna znika w kępie bambusów. – Większość znam, a na pewno więcej niż Rafa. Ale nie wszystkie. Nawet nie chcę znać wszystkich. Dziewczynka musi mieć jakieś tajemnice.

– Kiedy im powiesz?

– Zastanawiałam się nad urodzinami, ale to trochę makabryczne by było. Jeszcze zdecyduję. Będę wiedziała kiedy. Najpierw chcę dokończyć z Irmą Loą. Dokończyć spowiedź.

Helen de Braga sznurkuje usta. Wciąż jest gorliwą katoliczką. Co tydzień msza w João de Deus, do tego święci i nowenny. Adriana Corta wie, że nie aprobeje *umbandy*, choć codziennie jest pod okiem pogańskich bogów. Co sobie myśli, wiedząc, że Adriana odbywa świętą spowiedź nie przed księdzem, ale przed kapłanką?

– Uważaj na Rafę – mówi Adriana.

– Nie mów tak.

– Ja będę coraz mniej kompetentna. Już to czuję. A Lucas przymierza się do tronu.

– On zawsze się przymierzał do tronu.

– Wziął Rafę pod obserwację. Wykorzystuje tę próbę zamachu, żeby go zdestabilizować. A po tym, co się stało z Rachel...

Helen de Braga się żegna.

– *Deus entre nós e do mal.*[5]

– Rafa chce niezależnego śledztwa.

– To się nigdy nie zdarzy.

Helen de Braga i Adriana są z tego samego pokolenia, z pionierów. Helen pochodziła z rodziny z pieniędzmi, była księgową, przyjechała z Porto. Adriana wszystko zawdzięczała sobie, była inżynierem i przyjechała z Rio. Adriana musiała zrewidować swe postanowienie, by nie ufać nikomu, kto nie jest z Brazylii. Jednak bardziej niż narodowość, bardziej niż język, liczyło się to, że obie są kobietami. Helen de Braga dyskretnie zarządza finansami Corta Hélio od ponad czterdziestu lat. Jest członkiem rodziny tak samo jak wszystkie dzieci Adriany.

– Robson jest bezpieczny – mówi Helen de Braga. Dzieci Adriany od zawsze traktowała jak własne. Jej własne dzieci i wnuki są rozsiane po całym Księżycu, w dziesiątkach osiedli Corta Hélio.

– Co za parszywa *nikah* – mówi Adriana. – Z Tygla już przyszły żądania odszkodowania.

– Ariel rozedrze je w sądzie na strzępy.

– Dobra dziewczyna z niej. Boję się o nią. Strasznie jest bezbronna. Czy to głupie, że chcę, żeby mieszkała tutaj, z nami, z Heitorem, gdzie od świata dzieli ją pięćdziesięciu *escoltas*? Ale i tak bym nie przestała się przejmować, prawda? Sąd Claviusa czy Pawilon Białego Zająca – tam jej i tak nie ochronią.

– Jak to się w ogóle stało, że jesteśmy dwiema staruszkami, które stoją na balkoniku i zamartwiają się vendettami? – zauważa Helen de Braga.

Adriana Corta kładzie dłoń na dłoni przyjaciółki.

W samym środku bambusowego gaju jest kryjówka, rozszeptane tajemne miejsce. Naturalny proces obumierania roślin odsłonił trochę gleby, a

ciekawskie dłonie i stopy poszerzyły polanę i udeptały ją w magiczny krąg. Tajne miejsce Luny. Nie widzą go kamery, boty są zbyt duże, żeby precyzyjnie się za nią między łodygami, nie wie o nim ojciec; jest przekonana, że nie wie o nim nawet babcia Adriana, która wie wszystko. Luna oznaczyła swoje terytorium kawałkami wstążek na łodygach, drukowanymi z ceramiki figurkami Disneya, guzikami i kokardkami z ulubionych ubrań, płataniną drucików z jakiegoś bota. Kuca w magicznym kręgu. Bambusy falują i szemrzą jej nad głową. Felipe, ogrodnik, tłumaczył jej kiedyś, że Boa Vista jest na tyle duże, by mieć własne wiatry, Luna jednak wcale nie chce, by istniało naukowe wytłumaczenie.

– Luna – szepcze, a chowanka rozkłada skrzydła, wypełniając jej pole widzenia, potem składa je, przybierając kształt matki.

– Luna.

– *Mãe*. Cześć. Kiedy się zobaczymy?

Lousika Asamoah odwraca wzrok od córki.

– To nie takie proste, *anzinho*. – Z córką rozmawia po portugalsku.

– Tu przestało być fajnie.

– Oj, skarbie, wiem, wiem. Ale powiedz mi, powiedz, co ty tam porabiasz?

– No... – Luna Corta unosi palce, żeby odliczyć. – Wczoraj z *madrinhą* Elis przebiebrałyśmy się za zwierzęta. Byłam mrówkojadem. To jest takie zwierzę z drugiego świata. Ma długi nos, który dotyka ziemi. I wielki ogon. – Zgina palec, jedna metamorfoza policzona. – I jeszcze byłam ptakiem z tym wielkim... co to one mają na buzi?

– Dziób. To jest właśnie ich buzia, *coraçãõ*.

– Z dziobem. Wielkim jak moja ręka. Żółto-zielonym.

– To pewnie był tukan.

– Tak. – Kolejna rzecz policzona. – I wielkim kotem w kropki. A Elis była ptakiem, jak chowaniec cioci Ariel.

– Beijafloor – mówi Lousika.

– No właśnie. Ten się jej bardzo podobał. Mnie zapytała, czy chcę być motylem, ale ćma to w sumie prawie jak motyl, więc powiedziałam, że ona może być motylem. To chyba też jej się bardzo podobało.

– Czyli fajnie było.

– Noooo... – przyznaje Luna. – Ale... ciągle tylko ta *madrinha* Elis? Kiedyś jeździłam bawić się z innymi dziećmi do João, ale teraz *papai* mi nie pozwala. Nie pozwala mi się widzieć z nikim, kto nie jest z rodziny.

– Skarbie. To potrwa tylko trochę.

– Tak jak ty obiecałaś, że wyjeżdżasz tylko na trochę.

– Tak.

– Obiecałaś.

– Wrócę. Obiecuję.

– A mogę pojechać do Twé i zobaczyć prawdziwe zwierzęta, a nie przebierane?

– To nie takie proste, skarbie.

– A mrówkojady macie? Strasznie bym chciała zobaczyć mrówkojady.

– Nie, Luno, mrówkojadów nie mamy.

– Moglibyście mi zrobić. Takiego małego jak fretka Verity Mackenzie.

– Raczej nie, Luno. Wiesz, co twoja babcia myśli o zwierzętach w Boa Vista.

– Tata strasznie dużo krzyczy. Słyszę go. Z mojej kryjówki. Krzyczy i jest zły.

– Ale nie na ciebie. Uwierz mi. I tym razem nie na mnie. – Lousika Asamoah uśmiecha się, lecz Luna tego uśmiechu nie rozumie. Teraz uśmiech znika, Lousika przeżuwa kolejne słowa, jakby smakowały obrzydliwie. – Luna, a twoja *tai-oko* Rachel...

– Nie ma jej.

– Nie ma?

– Poszła do nieba. Tylko że nie ma żadnego nieba. Są tylko Zabbalini, którzy cię zabierają, mielą na proszek i dają AKA do karmienia roślin.

– Luna! Straszne rzeczy mówisz.

– Helen de Braga wierzy w niebo, ale ja myślę, że to głupota. Widziałam tych Zabbalinów.

– Luna, Rachel...

– Nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje. Wiem. Dlatego właśnie tata jest zły. Dlatego krzyczy i wszystko rozwala.

– Rozwala?

– Wszystko. Potem drukuje na nowo i znowu rozwala. *Mamãe*, ty dobrze się czujesz?

- Porozmawiam z Rafą... z tatą.
 - Czyli przyjedziesz?
 - Oj, Luna, bardzo bym chciała.
 - To kiedy się zobaczymy?
 - Pod koniec luny są urodziny *vo* Adriany – mówi Lousika.
- Twarz Luny rozjaśnia się jak w południe.
- A, no tak!
 - Wtedy będę, obiecuję. I się zobaczymy. Kocham cię. – Lousika Asamoah posyła jej buziaka.

Luna pochyła się i przytyka usta do wirtualnej twarzy matki.

– Pa, *mamãe*.

Lousika Asamoah znika, Luna rozwija się z powrotem w kształt ćmy i wraca do przypisanego chowańcowi miejsca nad lewym ramieniem Luny Corty. Ta, przeciskając się i prześlizgując krętą ścieżką między bambusami, zauważa nagle jakąś zmianę w powietrzu, jakąś wilgoć i jakiś dźwięk. To ogrodnicy skończyli pracę i na nowo włączyli kaskady. Woda z oczu i ust *orixas* kapie, tryska, spływa, i na koniec ścieka. Całe Boa Vista wypełnia radosny szmer wody.

Piłka skręca. Leci wspaniałym szybkim łukiem z lewa na prawo, z wysokości rzucającej ręki, lotem nurkowym prosto w dolny lewy róg bramki. Bramkarz nawet się nie rusza. Piłka jest w siatce, zanim Rafa opadnie na parkiet.

Elegancja Księżycowej Ligi Piłki Ręcznej i popularność tej gry na Księżycu, choć na Ziemi jest tylko olimpijską ciekawostką, polega na jej kontrowersyjnym związku z grawitacją. Grawitacja pomaga i przeszkadza. Wielkość siatki, wymiary boiska i linii bramkowej ograniczają korzyści z księżycowego ciężenia. Księżycowe ciężenie pozwala natomiast wykonywać takie numery z podcinaniem i podkręcaniem piłki, że umiejętności najlepszych graczy aż zapierają kibicom dech.

– Miałeś łapać. – Rafa Corta się śmieje.

Robson ponuro wybiera piłkę z siatki. Jak ostro może konkurować ojciec z

synem? Jak bardzo się może napawać, kiedy z nim wygra?

– No, dawaj. – Tanecznym krokiem odchodzi w głąb boiska, ledwo muskając parkiet stopami.

Boisko do szczypiorniaka w Boa Vista to ekstrawagancja Ruffy. Powierzchnia idealnie sprężynuje. Nagłośnienie instalował ten sam inżynier, który zbudował pokój odsłuchowy Lucasa, choć akustyka jest tu przystosowana do stymulowania przyspieszających rytmów dopingu, a nie do subtelności staroświeckiej bossy. Są chowane trybuny, na prywatne mecze pomiędzy Rafą i jego rywalami z LHL. Najlepsze boisko na całym Księżycu, ale Robson nie umie rzucać, nie umie biegać, nie umie kozłować, nic nie umie. Rafa przechwytuje piłkę od kozłującego Robsona, chłopak cofa się niezdarnie i po sekundzie znów musi wybierać piłkę z siatki.

– Czego cię nauczyli u tych Mackenziech, co?

Ochrona Cortów prosto z kapsuły BALTRAN-u odstawiła małego do centrum medycznego Boa Vista. Podczas ucieczki z Tygla nie doznał żadnych fizycznych obrażeń, ale psychologiczne AI zauważyły niechęć do odzywania się i kompulsywne pokazywanie sztuczek karcianych każdemu człowiekowi, który się choć odrobinę nim zainteresował. Zaleciły długą terapię pourazową.

Terapia Ruffy Corty jest bardziej namacalna.

– Nie nauczyli cię tego?

Rafa rzuca piłkę ostro i płasko. Trafia Robsona w ramię. Ten krzyczy.

– Nie nauczyli cię, jak robić uniki?

Robson ciska piłką w ojca. Jest w tym złość, ale nie ma techniki. Rafa zręcznie zbiera piłkę z powietrza i odrzuca, podkręcając, w Robsona. Robson próbuje się ruszyć, piłka jednak trafia go z głośnym plaśnięciem w udo.

– Przestań! – mówi Robson.

– No to czego cię nauczyli?

Robson upuszcza piłkę i odwraca się plecami. Rafa zbiera ją i rzuca z bliska, z całej siły. Stroje do piłki ręcznej są cienkie i opięte, trzask trafiającej w tyłek piłki jest jak odgłos łamanej kości. Robson odwraca się, twarz ma wykrzywioną furia. Rafa łapie piłkę po jednym odbiciu. Robson rzuca się, żeby mu ją zabrać, lecz piłki już tam nie ma – Rafa przekozłował, zrobił obrót i znów ją złapał. Ciska nią

z całej siły o podłogę, aż echo niesie się po całej hali. Robson uchyla się przed piłką, która odbiła mu się prosto w twarz.

– Co, boisz się piłki?! – krzyczy Rafa. Piłka znów wraca do jego dłoni.

Robson znowu się rzuca. Rafa obtańcowuje go, kozłując piłką. Robson obraca się, obraca, ale nie nadąża. Kręci głową w jedną stronę, w drugą. Bum! Rzuca się na kozłowaną piłkę, a ta trafia go prosto w brzuch.

– Jak raz zaczniesz się bać piłki, już zawsze będziesz się bał – drwi Rafa.

– Przestań! – wrzeszczy Robson.

Rafa przestaje.

– Wściekły. Dobrze.

Piłka wraca, odbijana z ręki do ręki. BaDAM. BaDAM. BaDAM. Strzał. Robson jęczy trafiony ciężką piłką. Krzyczy i rzuca się na ojca. Rafa jest wielki, ale szybki i zręczny. Bez wysiłku oddala się tanecznym krokiem od syna. Drwiąca łatwość, z jaką go omija, jeszcze podsyca gniew chłopca.

– Złość jest dobra, Robbo.

– Nie mów tak do mnie.

– Czemu nie, Robbo? – Kozłowanie, strzał, ból. Chwytność, odbicie, zawsze o ułamek sekundy wyprzedza palce Robsona.

– Bo oni tak do mnie mówili.

– Wiem. Robbo.

– Zamknij się zamknij!

– Zmusz mnie, Robbo. Zabierz piłkę, a się zamknę.

Robson zgina się po trafieniu z bliska w brzuch.

– Twoja mama nie żyje, Robson. Oni ją zabili. I co chcesz z tym zrobić?

– Idź sobie. Daj mi spokój.

– Nie mogę, Robson. Jesteś Cortą. Twoja *mamãe*. Moja *oko*.

– Nienawidziłeś jej.

– Ale była twoją matką.

– Zamknij się.

– I co chcesz z tym zrobić?

– Chcę, żebyś przestał!

– Przestaną, Robson. Obiecuję. Ale musisz mi powiedzieć, co chcesz zrobić.

Robson staje nieruchomy jak kamień pośrodku boiska. Dłonie trzyma nisko, parę palców od ciała.

– Chcesz, żebym powiedział, że chcę, żeby zginęli.

Piłka trafia go w plecy. Robson chwieje się, ale się nie rusza.

– Chcesz, żebym powiedział, że zemszczę się na nich za *mamãe*, choćby to miało zająć wiele lat.

W brzuch. Robson zgina się, ale nie upada.

– Chcesz, żebym przysiągł im zemstę i vendettę.

Brzuch, udo, bark.

– I ja to zrobię, wtedy oni tak samo, i ja jeszcze bardziej, i oni jeszcze bardziej, i to się nigdy nie kończy.

Brzuch. Brzuch. Twarz. Twarz. Twarz.

– To się nigdy nie kończy, *pai!*

Robson zamierza się pięścią. Trafia małą, zwartą piłkę w bok, wystarczająco mocno, żeby ją odbić. W okamgnieniu piłka jest z powrotem w dłoni Rafe.

– Wiesz, czego uczyli mnie w Tyglu? – mówi Robson. – Czego się nauczyłem od Hadleya?

Rafa nie za dobrze widzi, co robi Robson, a ten szybkim skokiem wchodzi w zasięg jego ramion i przejmuje piłkę.

– Nauczyli mnie, jak zabrać komuś broń i użyć przeciwko niemu.

Ciska piłkę na przeciwną stronę boiska i wychodzi przy akompaniamencie powolnych, cichnących odbić.

BaDAM. BaDAM. BaDAM.

Szpiegowska mucha, uczepiona pazurkami wnętrza prawego oka Oxali, obserwuje salę posiedzeń zarządu Corta Hélio.

W soczewce Lucasa pływa obraz *Mare Serpentis*. Socrates i Yemanja wyświetlają identyczną mapę Rafe i Adrianie Cortom.

– Strefa poszukiwawcza na *Mare Anguis*. – Toquinho powiększa, obrysowuje wymienione obszary. – Dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych morza

regolitu.

Lucas unosi palec i stuka w wyimaginowaną mapę. Na szarości i pyłe wyświetlają się warstwy z danymi z badań selenologicznych. Rafa zerka tylko na tę informację, Lucas widzi za to, że matka mruży oczy w skupieniu.

– Pozwoliłem sobie wykonać analizę kosztów i korzyści. Corta Hélio wychodzi na plus w trzecim kwartale po uzyskaniu koncesji na ten teren. Sprzęt wydobywczy możemy przerzucić z Condorcet. Tam złoża jest w osiemdziesięciu procentach wyczerpane i mamy zakonserwowany park maszynowy. Po dwóch latach roczne wydobycie helu sięgnie pół miliarda dolarów. Żywotność złoża na *Mare Anguis* szacujemy na dziesięć lat.

– Dokładna robota – mówi Rafa.

Gorycz na języku i wargach. Lucas dzięki małej muszce wie o prywatnych napadach furii i rozwalaniu mebli. O ochroniarzu nieodstępującym go na krok, nawet wśród wód Boa Vista. O wahaniu Luny, kiedy ojciec chce ją wziąć na ręce i podrzucić do góry. Żłoty, bezpośredni Rafa osuwa się w mrok, robi się skłonny do nagłych ataków złości na bankietach i przyjęciach. Wymyśla swojemu beznadziejnemu menedżerowi drużyny, beznadziejnej ekipie trenerów, beznadziejnym zawodnikom. Lucas dostrzega też ironię – człowiek, który nie powiedział jednego dobrego słowa o własnej żonie, póki żyła, wścieka się, kiedy zginęła. Kanały informacyjne określiły śmierć Rachel Mackenzie jako wypadek, nagłą przypadkową dehermetyzację. Delikatne kłamstewko. Prasa nie dociska. Dziennikarze, którzy podpadną Pięciu Smokom, ryzykują własną przypadkową dehermetyzację. Mówimy o uśmiechach, o strojach, o romansach i wspaniałych dzieciach, o małżeństwach i zdradach. Ale smoka za ogon nie ciągniemy.

– Ile czasu? – pyta Adriana.

– Dwunasta ZMT w muku.

– Nie za dużo – mówi Rafa.

– Wystarczy – mówi Lucas.

– A ta informacja jest pewna? – dopytuje Adriana.

Lucas widzi, jak przeskakuje wzrokiem po własnej wirtualnej mapie. Godzin na powierzchni ma nastukane więcej niż wszyscy żyjący Cortowie, więcej nawet niż Carlinhos. Może i od dziesięciu lat nie wkładała hełmu, ale luniarzem się

jest do końca życia. Na pewno analizuje teren, osłonę pyłową, logistykę, elektryczne skutki przejścia Księżyca przez ogon ziemskiej magnetosfery, prawdopodobieństwo burzy słonecznej.

– Prosto od Ariel. Dostała cynk od kogoś z Pawilonu Białego Zająca.

– Niezły cynk, cholera – zauważa Rafa.

Lucas słyszy w jego głosie energię, w oczach widzi zainteresowanie. Mięśnie mu tężeją, prostuje się z nietypowego dlań przygarbienia. Pod skórą rozpała się na nowo dawny złoty blask. Będzie mecz. Drużyny już są w tunelu, a kibice szaleją. Wciąż jednak jest trochę podejrzliwy.

– Musimy działać już.

– Rozwaga – mówi Adriana. Składa razem czubki palców, jak sklepienie kościanej katedry. Lucas świetnie zna ten gest. Ona kalkuluje. – Za szybko, a demaskujemy Ariel, a ja do końca życia walczę przed Sądem Claviusa o nielegalne zajęcie działki. Za wolno, a...

Prawo dotyczące stref wydobywania jest prymitywne: gorączka złota i tyczki miernicze, jak na amerykańskim Północnym Zachodzie. Każdy, kto oznaczy tyczkami cztery narożniki świeżo uwolnionej działki, ma 48 godzin na prawne zgłoszenie i opłacenie koncesji w LDC. Jasny i prosty wyścig. Lucas widział go rozwrzeszczanego, ze słowotokiem i rozedrganego na meczach Moços. To jest ten sam dreszcz. On to właśnie uwielbia: ruch. Energię. Działanie.

– Jakie mamy zasoby?

Lucas każe Toquinho podświetlić jednostki wydobywcze wokół docelowego czworokąta. Pomarańczowe symbole znajdują się w różnych odległościach od narożników: północno-zachodniego, północno-wschodniego i południowo-wschodniego. Południowo-zachodni wierzchołek jest ciemny.

– Uruchomiłem już jednostki z północno-wschodniego Crisium. Ale ciężko będzie udawać, że to rutynowa realokacja albo regularna przerwa techniczna.

Lucas jest *jonmu*, nie powinien wydawać takich poleceń. Iskrzy złość, Rafa ją opanowuje. Przeszedł próbę.

– Niepokoją mnie wierzchołki. – Toquinho zoomuje mapę.

– Nie mamy nic, co by tam zdążyło w mniej niż trzydzieści godzin – mówi Rafa, odczytując znaczniki jednostek.

– Nic na powierzchni – podsuwa Lucas.

Rafa podejmuje piłkę.

– Pojadę pogadać z Nikiem Woroncowem – mówi. Skłania głowę przed matką i już jest w trybie aktywności: trzeba podejmować decyzje i działać.

– Jeden telefon zaoszczędzi wiele godzin – mówi Lucas.

– To dlatego ja jestem *hwaejangiem*, bracie. W biznesie najważniejsze są kontakty.

Lucas pochyla głowę. Teraz pora na drobne ustępstwo. Niech matka widzi, że jej synowie są jednością.

– Wygraj to, Rafa – mówi Adriana. Twarz ma pogodną, oczy jasne. Jakby odmłodziła o wiele lat.

Lucas widzi Adrianę Cortę z czasów swego dzieciństwa, twórczynię imperium, założycielkę dynastii; postać w drzwiach *berçário*. Szept *madrinhi* Amalii: „Lucas, powiedz mamie dobranoc”. Zapach jej perfum, gdy pochyla się nad łóżkiem. Dalej używa tych samych. Ludzie są wierni perfumom jak żadnym innym osobistym ozdobom.

– Wygram, *mãezinha*. – Najbardziej czuły ze zwrotów.

Niezauważona przez nikogo szpiegowska mucha wyłania się z jakiegoś zakamarka i polatuje nad Rafą.

Neonowo błękitny piorun trafia Lucasinho prosto w mięśnie brzucha. Niebieski kleks dołącza do czerwonego, fioletowego, zielonego, żółtego. Na jego nagim ciele prawie już nie ma bezbarwnych miejsc. Jest barwnym arlekinem, kolorowym jak obchodzący święto Holi.

– Och – mówi, gdy odpala się halucynogen.

Wiruje, strzela ze swojego pistoletu z farbą, a świat nagle rozsypuje się na miliony motylków. Kręci się, wyszczerzony jak głupek, pośrodku tornada wymyślonych skrzydełek.

Ta gra nazywa się Polowanie i gra się w nią na piętrach agrarium Madina, na golasa, z pistoletami strzelającymi losowymi kleksami kolorowych

halucynogenów.

Motyłki rozkładają skrzydełka, łączą się ze sobą, zrastają. Wraca rzeczywistość. Lucasinho kuca i przemyka pod liśćmi ogromnego płatanu. Bosymi stopami wdeptuje w szlam gnijące listowie. Posuwa się z uniesioną bronią, wciąż odklejony, z rozszerzonymi oczyma po trafieniu niebieskim. Zdążył rozpaść się na rombówce kafelki, wzlecieć wzdłuż ściany nieskończonego wieżowca, patrzeć, jak jego fioletowy palec lewej stopy przez wieczność wysysa ze świata wszelkie kolory, uciekać przed pogonią przez ogromne słupy piegowatego światła, unikać snajperskich strzałów z wysoka, spomiędzy jamów i krzaczastej soczewicy.

Szeleszczą liście – ruch. Z lufą przy policzku Lucasinho nurkuje pomiędzy liście, wychodzi na małą, wilgotną polankę, duszną od żyzności i zgnilizny. Ukryte gniazdo.

Coś dotyka jego karku.

– Chlaps – słyszy kobiecy głos.

Lucasinho czeka na trafienie farbą, na kolejny lot do innego świata. Przyszedł na tę imprezę, bo była w Twé i mógł tu spotkać Abenę Asamoah, choć ona nie lubi zabaw w wojnę. Ale to podniecające, gonić i uciekać, strzelać jako pierwszy i trafiać, polować z wysoka, tak by nie wiedzieli, skąd się ich trafiło. I samemu dostawać. Lufa pistoletu na karku też jest seksowna. Jest na łasce i niełasce tej dziewczyny. Podniecająco bezbronny.

Słyszysz szcęknięcie spustu. Nic.

– Cholera – mówi ona. – Koniec.

Lucasinho robi przewrót i wstaje, celuje.

– Nie, nie, nie, nie! – krzyczy dziewczyna, unosząc ręce. Poddaje się.

Ya Afuom Asamoah, *abusua*-siostra Abeny i Kojo. Lamparcia *abusua*.

Aż głowa boli, gdy się myśli o tych stopniach pokrewieństwa w AKA. Na skórze ma pięć kolorowych kleksów: prawe biodro, lewe kolano, lewa pierś, lewe udo, prawa strona głowy.

Lucasinho pociąga za spust. Nic.

– Koniec – mówi.

Ten sam okrzyk niesie się po całej farmie rurowej, z tarasów na górze i

stanowisk snajperskich między bateriami słonecznymi. Koniec. Koniec. Cichym echem dobiega z tuneli łączących rury agrarium. Koniec. Koniec.

– Masz szczęście – stwierdza Lucasinho.

– Nie mów? – rzuca Ya Afuom. – Miałam cię na kolanach. – Lustruje go od góry do dołu. – Człowieku, cały jesteś w farbie. Musisz się wykąpać. No chodź. To jest najlepsze, wiesz. Nie boisz się chyba ryb, co?

– Bo co?

– Bo w stawach są ryby. I żaby, i kaczki. Niektórzy ludzie świrują na samą myśl, że dotknie ich coś żywego, co nie jest człowiekiem.

– Ta gra jest bez sensu – mówi Lucasinho. – Im więcej cię trafią, tym łatwiej cię potem trafić.

– Bez sensu, jeśli grasz, aby wygrać – odpowiada Ya Afuom.

Na deskowaniu jest urządzony bar. Masa drinków i waporyzatorów, lecz Lucasinho ma w mózgu tyle chemii, że stracił ochotę na więcej. Stawy są już pełne ludzi. Po farmie niosą się głosy i pluskanie. Lucasinho ostrożnie wchodzi do wody. Czy te ryby gryzą albo wysysają krew? Czy mogą wpłynąć do dziurki w twoim fiucie? Łagodnie halucynogenna farba rozpuszcza się w wodzie; aureole czerwieni, żółci, zieleni i błękitu. To jakoś działa na ryby? A na ludzi, którzy potem jedzą te ryby? Nie wyobraża sobie zjedzenia czegokolwiek, co pływało razem z nim w tej samej wodzie. Nie wyobraża sobie jedzenia czegokolwiek z oczami.

– Hej ho! – Ya Afuom wskakuje z pluskiem obok niego.

Dotykają się biodrami, tyłkami. Splątują nogi. Ocierają się brzuchy, wędrują palce.

– Co to, rybka?

Ya Afuom chichocze, a Lucasinho stwierdza, że trzyma w dłoni pierś, a jej palce ściskają go za tyłek. Jego własne nurkują głębiej w ciepłą jak krew wodę, szukając fałdów i sekretów.

– Oj ty, ty! – Ma najlepszy tyłek od czasu Grigorija Woroncowa.

I już mu staje, dotykają się teraz czołami, patrzą sobie w oczy, a ona śmieje się z niego, bo nadzy mężczyźni są śmieszni.

– Zawsze słyszałem, że dziewczyny Asamoah są grzeczne i nieśmiałe –

przekomarza się Lucasinho.

– Kto ci czegoś takiego naopowiadał? – pyta Ya Afuom i przyciąga go bliżej.

Abena. Mignęła mu między liśćmi pomidorów. Idzie z baru w stronę tunelu technicznego.

– Halo! Halo! Abena! Zaczekaj!

Wyskakuje z wody. Abena odwraca się, marszczy czoło.

– Abena! – Idzie ociekający wodą ku niej. Półerekcja kołysze się boleśnie.

Abena unosi brew.

– Cześć, Luca.

– Cześć, Abena.

Ya Afuom podchodzi tuż za nim, obejmuje go ramieniem.

– Od kiedy to? – pyta Abena, a Ya Afuom uśmiecha się i jeszcze bardziej przywiera do niego. – Baw się dobrze, Luca. – I odpływa.

– Abena! – woła jeszcze Lucasinho, ale jej już nie ma. I nie ma Ya Afuom. – Abena! Ya! Co się stało?

Jakaś gra między siostrami-*abusua*. Zrobiło się zimno, półerekcja opadła, cały dygocze od kaca po tych wszystkich halucynogenach, dopada go paranoja, impreza zepsuta. Znajduje ubranie, wyprasza u kogoś bilet powrotny do Południka i zastaje mieszkanie całe wypełnione Kojo i jego nowym palcem u nogi. Przenocować się da, ale tylko jedną noc. Bezdomny, bezdupny, bezabenowy.

Wagner spóźnia się do Południka. Theophilus to małe miasteczko, tysiąc dusz na północnym skraju wielkiego pustkowia *Sinus Asperitatis*, po którym chodzą tylko maszyny. Trzy lata temu zyskało połączenie z siecią kolejową, trzysta kilometrów pojedynczego toru – cztery wagony dziennie do stacji przesiadkowej na Hypatii. Trafienie mikrometeoritem uszkodziło sygnalizację pod Torricellim i uwięziło Wagnera na sześć godzin, chodzącego tam i z powrotem, drapiącego się po skórze, pijącego litrami mrożoną herbatę i wyjącego w duchu – póki boty serwisowe nie wymienią modułu na nowy. Wagon był zatłoczony, tylko miejsca

stojące na godzinę jazdy.

I jak, zmieniam się na waszych oczach? – myślał Wagner. Pachnę inaczej, inaczej niż człowiek? Zawsze sobie to wyobrażał.

Meteoryt w Torricellim pokrzyżował plany podróże na połowie półkuli zachodniej. Kiedy Wagner dociera do stacji Hypatia – stanowiącej niewiele ponad skrzyżowanie czterech gwiazdzistych linii z południowych mórz z Równikową Jedyką – na peronach kłębi się tłum dojeżdżających do pracy i z niej wracających, oraz dziadków odbywających pielgrzymkę po rozległych rodzinach. Całe plemiona dzieci, rozbieganych, rozkrzyczanych albo narzekających na długie czekanie. Wyostrzone zmysły Wagnera aż boją od ich głosów. Chowańcowi udało się kupić mu miejscówkę na Regionalny nr 37, za trzy godziny. Znajduje sobie ciemne i ciche miejsce z dala od wszystkich tych rodzin, porozrzucanych pudełek po makaronach i kubków po napojach. Siada plecami do filaru, podciąga kolana pod brodę i przeprojektowuje swojego chowańca. Adeus, Sombra. Ola, Dr Luz. Filary się trzęsą, cała długa hala dygoce od przejeżdżających nad nią ekspresów. Roboty Zabbalinów węszą wokół niego, szukając recyklowalnych materiałów. Telefony, wiadomości, zdjęcia z Południka. *Gdzie jesteś, bo się zaczyna?* Problemy z pociągami. *Tęsknimy, Wilczku.* Od Analiese nic. Zna reguły. Jest jasna połówka życia i jest ciemna.

Dr Luz nie był w stanie zarezerwować Wagnerowi miejsca przy oknie, więc nie może spędzić podróży na gapieniu się na Ziemię. To dobrze, bo jest masa roboty. Musi opracować sobie strategię. Nie może po prostu umówić się na spotkanie. Jeden szept Cortów i Elisa Stracchi ucieknie. Przywabi ją sutą prowizją, ale cała historia musi być przekonująca i ekscytująca. Ona i tak zrobi analizę przedinwestycyjną. Firmy pod firmami, zagnieżdżone konstrukcje, labiryntowe struktury właścicielskie, typowa księżycowa korporacyjna organizacja. Ale nie nazbyt skomplikowana, bo to także budzi podejrzenia. Będzie potrzebować nowego chowańca, fałszywej przeszłości w mediach społecznościowych, w sieci. AI Corta Hélio mogą to wszystko sfabrykować, ale nawet im zajmie to trochę czasu. Trudno być dokładnym, gdy czuje nad sobą Ziemię, ciągnącą, napierającą, odmieniającą go z każdym kilometrem torów. To jest jak pierwsze dni zakochania, jak mdłości z ekscytacji, jak ta chwila euforii na

pograniczu upojenia, jak imprezowe piguły, jak zawroty głowy – lecz wszystko to nietrafione analogie; żaden z księżycowych języków nie potrafi wysłować, jak to jest, odmieniać się, gdy Ziemia jest w pełni.

Wysiada na dworcu i prawie biegnie. Jest wcześnie rano, gdy dociera do Domu Sfory. Amal czeka.

– Wagner.

Amal przyjętu kulturę dwóch połówek o wiele głębiej niż Wagner i przybrał sobie rodzaj gramatyczny Innego. „Czemu w ogóle zaimki mają być związane z płcią?” – powiedziału. Przyciąga Wagnera do siebie, przygryza mu dolną wargę, ciągnie, na tyle mocno, by zadać ból i podkreślić dominację. Jest przywódcą stada. Potem prawdziwy pocałunek.

– Głodny jesteś, chcesz coś?

Postawa Wagnera mówi o wyczerpaniu dobitniej niż słowa. Całodzienne przesiadki przepalają ludzkie zasoby.

– No to idź, dzieciaku. Jose i Eiji jeszcze nie przyjechali.

W garderobie Wagner zdejmuje ubranie. Bierze prysznic. Idzie na paluszkach do sypialni. Legowisko jest już pełne. Wpełza do niego, na miękką tapicerkę, skórę pieści dotyk sztucznego futra. Ciała stękają, wiercą się i mamroczą przez sen. Wagner wsuwa się pomiędzy nie, wtula, zwija w kłębek jak dziecko. Dotyk skóry ze wszystkich stron. Oddechem dopasowuje się do rytmu. Nad spletanymi ciałami stoją chowańce – anioły stróże niewiniątek. Jedność wilczego stada.

Łazik to szczyt księżycowej utylitarności – otwarta na próżnię klatka ochronna, dwa razy po trzy siedzenia twarzą do siebie, wytwornik powietrza, napęd, zawieszenie i AI, cztery ogromne koła, pomiędzy którymi wisi klatka dla pasażerów. Szybki jak cholera. Marina, wpięta do środka ze swoim Zespołem Pracy na Powierzchni, podskakuje i objija się o ściskające ją prety, gdy pojazd przeskakuje nad dolinkami i krawędziami kraterów. Próbuje obliczyć jego szybkość, lecz bliski horyzont i nieznamość skały księżycowych widoków nie dają jej matematycznym umiejętnościom żadnego punktu zaczepienia. Szybko.

I nudno. Stopniowanie nudy: wysoko błękitne oko Ziemi, nisko szare wzgórki Księżycy, lustrzana szybka hełmu naprzeciwko niej – Paulo Ribeiro, jak mówi znacznik, w który przeobraził się jego chowaniec. Hetty rozwija menu wewnątrzskafandrowej rozrywki. Marina dwanaście razy gra w Marble Mayhem, ogląda *Serca i czaszki* (odcinek raczej rozprawdzający – scenarzyści manewrują w nim intrygą serialu i postaciami, ustawiając je do finału) oraz nowe wideo z domu. Mama macha do niej z wózka inwalidzkiego na ganku. Ręce ma chude i plamiste, włosy jak siwe siano, a jednak się uśmiecha. Kessie i siostrzenice oraz pies Kanaan. Aha, i jeszcze, i jeszcze: tam stoi jej brat Skyler, wrócił z Indonezji, jego żona Nisrina, a także bratanek i bratanica. Stoją na tle szarego deszczu, szarego deszczu z przelewającej się rynny nad gankiem, istnego wodospadu, tak głośnego, że wszyscy muszą krzyczeć, żeby ich usłyszała.

Ukryta za nieprzezroczystą maską hełmu Marina płacze. Hełm połyka jej łzy.

Klepnięcie w ramię. Marina rozjaśnia szybkę: Carlinhos nachyla się z drugiego rzędu siedzeń. Pokazuje coś nad jej barkiem. Uprząż pozwala akurat na tyle, żeby się obrócić i po raz pierwszy zobaczyć sprzęt obozu górniczego. Pajęcze galeryjki ekstraktorów wystają sponad bliskiego horyzontu. Ich zadaniem jest planowa inspekcja obozu wydobywczego Tranquilitatis Wschód Corta Hélio. Chwilę później łaźnik hamuje, wzbijając fontannę pyłu, a uprząże rozpinają się.

– Zostań ze mną – mówi Carlinhos na prywatnym kanale.

Ona zeskakuje na poznaczony oponami regolit. Stoi pomiędzy helowymi kombajnami. Są po księżycowemu brzydkie, rachityczne i czysto utylitarne. Chaotyczne, trudne do zrozumienia na pierwszy rzut oka. Pomiędzy dźwigarami kryją się skomplikowane spirale, przesiewacze i przenośniki taśmowe. Lustra na ruchomych ramionach śledzą Słońce, skupiając światło na solarnych destylarniach, frakcjonujących z regolitu hel-3. Kuliste zbiorniki, każdy z oznaczeniem zawartości. Hel-3 to towar eksportowy, ale proces wydobywczy Cortów destyluje także wodór, tlen i azot – życiodajne paliwa. Szybkoobrotowe ślimaki przyspieszają materiał odpadowy i wyrzucają go kilometrowym łukiem opadającym w kłębach kurzu niczym odwrócone fontanny. Światło Ziemi rozszczepia się na drobnym pyłe i cząstkach szkła,

tworząc tęcze. Marina podchodzi do pierwszego szeregu tancerzy. Dziesięć ekstraktorów obrabia pięciokilometrowy front, posuwając się w żółtym tempie na kołach trzykrotnie wyższych od Mariny. Maszyny na obu końcach szpaleru częściowo chowają się za ciasnym horyzontem. Koła czerpakowe nabierają za jednym zamachem tonę regolitu, poruszając się w idealnej synchronizacji, jak potakujące głowy. Marina wyobraża sobie żółwie z japońskich filmów *kaiju* o potworach, ze średniowiecznymi zamkami na grzbietach. Powinna z nimi walczyć Godzilla. Czuje przez podeszwy butów drgania całej maszynerii, ale nie słyszy nic. Wszystko to milczy. Unosi wzrok, patrzy na baterie luster i strumienie materiału odpadowego wysoko nad głową, potem patrzy w tył, na równoległe kreski torów, i przed siebie, na krawędź Rimy Messiera. To jest jej miejsce pracy. To jest jej świat.

– Marina.

I jej imię. Ktoś wypowiedział jej imię. Łapa Carlinhosa w grubej rękawicy chwyta ją za przedramię, łagodnie odpycha dłoń od zapięcia hełmu. Zapięcia – już je miała rozpiąć. Mało co nie zdjęła hełmu na samym środku Morza Spokoju.

– O rany – mówi zdumiona, z jaką łatwością zabiłaby się z roztargnienia. – Przepraszam. Przepraszam. Ja po prostu...

– Zapomniałam, gdzie jestem? – kończy Carlinhos Corta. – Już w porządku.

Wcale nie jest w porządku. Popełniła niewybaczalny grzech – zapomniała, gdzie jest. Pierwszy raz w terenie i od razu przepadło wszystko, co mówili na szkoleniu. Dyszy, z trudem łapie oddech. Bez paniki. Panika cię zabije.

– Chcesz wrócić do łazika? – pyta Carlinhos.

– Nie – odpowiada. – Nic mi nie będzie.

Szybkę hełmu ma tak blisko twarzy, że aż ją czuje. Siedzi zamknięta pod kłosem. Musi się go pozbyć. Uwolnić się, odetchnąć swobodnie.

– Nie odsyłam cię do łazika tylko dlatego, że powiedziałaś, że nic ci nie będzie. Teraz spokojnie.

Odczytuje jej biologiczne wskazania na swoim HUD-zie: tętno, cukier, skład mieszanki oddechowej, sam oddech.

– Chcę pracować – mówi Marina. – Daj mi coś do roboty. Żebym o tym już nie myślała.

Pusta szybka hełmu Carlinhosa nie porusza się przez dłuższą chwilę. Potem mówi:

– No to idź do roboty.

Księżyc jest dla robotów prawie tak samo brutalny jak dla ludzkiego mięsa. Nieprzefiltrowane promieniowanie wyżera układy AI. Plastik degraduje się od światła. Comiesięczny ogon – przejście Księżyca przez warkocz pola magnetycznego Ziemi – potrafi powodować zwarcie w co słabszych układach elektronicznych i wzniecać efemeryczne, acz niszczycielskie wiry pyłowe. Pył. Główny wróg linii frontu Wschodni Spokój. Pył wszędzie. Pył zawsze. Pokrywa belki, dźwigary, szprychy i powierzchnie jak futro. Marina ostrożnie przesuwając palcem po rozpórce konstrukcji. Pyłowa sierść porusza się jak włoski, tańcząc zgodnie z ładunkiem elektrostatycznym jej skafandra. Wraz z upływem wielu lun pył ściera, zużywa, eroduje, niszczy. Marina pracuje przy remagnetyzacji. Prosta robota, w sam raz dla zieluniaków, a do tego fajnie wygląda. Ustawia timer, po którym nastąpi elektryczne i magnetyczne wyładowanie, po czym odbiega wielkimi księżycowymi krokami na bezpieczną odległość. Pole zmienia znak na odwrotny i odpycha naładowane cząstki pyłu, znieca wzbijając srebrzystą chmurę. Ładne, dramatyczne i kojarzące się z wieloma rzeczami. Marina dostrzega głównie ziemskie, biologiczne analogie – mokry od oceanu pies otrząsający się z wody; leśny grzyb eksplodujący kłębem zarodników. Ekipa od modułów wchodzi, zanim jeszcze pył osiadnie im na skafandrach – wymieniają siłowniki i układy; to praca, która robotom nie wychodzi. Marina obrysowuje palcami graffiti ukryte pod pyłem niczym hieroglify: imiona kochanków, nazwy drużyn piłki ręcznej, złorzeczenia i przekleństwa we wszystkich księżycowych językach i alfabetach.

Buf. Marina wymagnesowuje kolejną powolną eksplozję pyłu. Powinien przecież być jakiś dźwięk. Cisza jest aż niewłaściwa. „Buf”, szepcze do siebie w hełmie. Słyszy śmiech na prywatnym kanale.

– Wszyscy tak robią – mówi Carlinhos.

Pod pyłem są hieroglify. Pokolenia luniarzy zostawiły tu imiona, przekleństwa, miana bogów i kochanków, w dziesiątkach kolorów próżniowych mazaków. „Piotr H. Jebać Księżyc. Moços HC”.

Robi „buf” przy każdym ekstraktorze. Praca na Księżycu wymaga znajomości różnych takich sztuczek. Na zachowanie koncentracji. Powtarzalność terenu, bliskość horyzontu, podobieństwo ekstraktorów, hipnotyzująca plecionka na ich łyżkach wydobywczych – wszystko jakby się zmówiło, żeby uspokajać, usypiać, hipnotyzować. Marina łapie się na tym, że odpływa myślami do biegnącego Carlinhosa, do frędzli, warkoczy i olejku do ciała. Wypędza go z głowy. Druga sztuczka także polega na uwodzeniu. Skafander skafandrowi nierówny. Elastyk to nie skafander nurkowy. Na Księżycu nie ma oporu wody ani powietrza. Rzeczy poruszają się szybko. Olegowi przez dokładnie taki błąd zgmiotło głowę na szkoleniu. Masa, szybkość, bezwładność. Skup się. Koncentracja. Sprawdzaj wskazania skafandra. Woda, temperatura, powietrze, promieniowanie. Ciśnienie, łączność, sieć. Kanały, prognozy pogody. Bo Księżyc ma pogodę – wyłącznie złą. Ogon magnetyczny, aktywność Słońca. Dziesiątki rzeczy, które trzeba sprawdzać co minutę, nie przerywając pracy. Niektórzy z ekipy słuchają jeszcze muzyki. Jak oni to robią? Przy piątym ekstraktorze Marinę bolą wszystkie mięśnie. Skupienie. Koncentracja.

Jest skupiona tak mocno, tak skoncentrowana, że nawet nie zauważa, że na publicznym kanale rozlegają się alarmy, a imię i nazwisko nad głową Paula Ribeiry robi się czerwone, a potem białe.

Rafa przesuwa dłonią po wypolerowanym dźwigarze podwozia.

– Piękny jest, Nik.

Transportowiec VTO *Oriol* stoi skąpany w kilowatowym blasku dwudziestu reflektorów. Jego własne punktowe lampki podświetlają kadłub, dysze silników, kuliste grona zbiorników paliwa, łapy manipulatorów, okna kabiny pilota we wnękach, orła VTO na dziobie.

– Pierdol się, Rafa – mówi Nikołaj Woroncow. – Wcale nie jest piękny. Na Księżycu nic nie jest piękne. Z ciebie to jest, kurwa, wciskacz kitu. – Jego śmiech jest głośny jak huk lawiny.

Nikołaj wygląda dokładnie tak, jak wszyscy wyobrażają sobie Woroncowów –

wielki jak szafa, szerszy niż wyższy. Brodaty, długie włosy splecione w warkocz. Ziemsko-niebieskie oczy i dudniący, tubalny głos. Podkreśla akcent. Ignoruje aktualną modę na retro. Szorty z masą kieszeni, robociarskie buty, koszulka opięta na potężnych mięśniach, trochę już obwisających. Chowaniec, jak u każdego w rodzinie, ma postać dwugłowego orła, z jego własnym heraldycznym symbolem na tarczy. Zawodowy Woroncow.

– Nie chodzi o to, jak wygląda. Chodzi o to, co potrafi.

– Teraz to już naprawdę się odpiardziel – mówi Nik Woroncow.

Oriol to statek księżycowy. Transportowiec do przenoszenia ładunków z punktu A do punktu B na powierzchni Księżyca. Najdroższy i najbardziej rozrzutny środek transportu na Księżycu. Wodór i tlen w kulistych zbiornikach są drogocenne – są paliwem dla życia, nie dla silników raketowych. To taki sam obłąd jak palić ropę, żeby uzyskać prąd, dawno temu, na starej Ziemi. Na Księżycu energia jest tania, a zasoby rzadkie. Ludzie i towary podróżują pociągami, łazikami, powierzchniowymi busikami, coraz mniej BALTRAN-em, holami orbitalnymi, albo siłą własnych mięśni – pieszo, na kołach, na skrzydłach. Nie latają w ładowniach księżycowych statków.

VTO utrzymuje flotę dziesięciu takich transportowców, w lokalizacjach rozproszonych po całym Księżycu, dla sytuacji awaryjnych – służą jako karetki, ekipy ratunkowe, szalupy ratunkowe. Żadne miejsce nie jest dla ich oddalone o więcej niż trzydzieści minut lotu. Nik Woroncow dowodzi tą flotą, bywa też sporadycznym pilotem, inżynierem i kochankiem swoich paskudnych statków. Są dla niego droższe niż wszystkie dzieci razem wzięte.

– Co, przyjechałeś aż z Jana od Boga, żeby całować moje brzydkie dzieci i mówić mi, że są piękne? – pyta Nik Woroncow.

Nazwę miasta wypowiada w globo, bo ciągle powtarza, jak łamie mu się język na portugalskim. Są z Rafą dawnymi kumplami ze studiów. Razem się uczyli, razem chodzili na siłownię – kultura ciała i ciężarów. Nik poszedł Drogą Masy dalej niż Rafa, Rafa dba jednak, żeby orientować się w tym sporcie na tyle, żeby móc z dawnym kumplem z siłowni dyskutować o odżywkach i reżimach treningowych, kiedy spotykają się w Newskim Barze w Południku na wódce.

– Przyjechałem aż z João de Deus, żeby zatrudnić jedno z twoich dzieci.

– Któreś konkretnie?

– *Sokoła* z Luny Osiemnaście. – Znajomość pozycji statków ratunkowych VTO to podstawa dla luniarzy z powierzchni, podobnie jak aktualna polisa ratunkowa.

– Przykro mi. Jest teraz planowo w serwisie – mówi Nik Woroncow.

– A *Pustielga* z Joliot?

– A. *Pustielga*. Czeka na certyfikat dopuszczenia do lotu. LDC strasznie się grzebie.

– Czyli cały sektor Przesileń-Spokoju-Jasności nie ma pokrycia?

– No wiem. Kiepsko to wygląda. Te urzędasy... Ale co ja mogę? Uważajcie tam na siebie.

Rafa poklepuje dźwigar nogi *Oriola*.

– A ten?

– Na kiedy?

– Na czterdzieści osiem godzin z załogą, od teraz.

Nik Woroncow cedzi powietrze przez zęby i Rafa już wie, że *Oriol* nie będzie teraz dostępny, że żaden transportowiec Woroncowów nie będzie dostępny. Tężeją mu mięśnie szczęki i brzucha. Złość rozpala twarz, dłonie. Osobisty kontakt, tak zapewniał Lucasa. W biznesie najważniejsze są kontakty. A wyszło, że przejechał taki kawał drogi w modnych ciuchach, ufryzowany, z wypiełgnowanymi dłońmi, żeby wyjść na głupka przy Woroncowie, który wygląda jak szafa trzydrzwiowa.

– Ile chcesz?

– Rafa, trochę godności.

– Kto to z tobą załatwił?

– Rafa, to nie jest dobry temat.

– Mackenzie. Duncan, a może sam stary dziad zebrał się i to z wami załatwił? Jak rodzina z rodziną. Albo Robert, to na pewno był Robert. Zablokować całą flotę transportową to w jego stylu. Duncan w życiu nie miał żadnego stylu. Co, poprosił cię osobiście czy zadzwonił do starego Walerego, a ten kazał ci fikać?

– Rafa, chyba powinieneś już iść.

W Rafie eksploduje bąbel furii, fala wrzącej krwi. Krzyczy Woroncowowi

prosto w twarz, obryzgując go śliną.

– Chcesz mieć wroga?! Chcesz mieć całą rodzinę wrogów? Mówimy o Cortach. Wyruchamy cię na tyle sposobów, że do końca życia się nie pozbierasz. Za kogo wy się, kurwa, macie? Ród taksówkarzy i szoferów.

Nik Woroncow ociera twarz wierzchem dłoni.

– Rafa...

– Spierdalaj, nie jesteś nam już potrzebny. Dostaniemy ten teren, a potem Cortowie się z wami, kurwa, porachują. – Rafa w złości kopie nogę transportowca.

Nik Woroncow wrzeszczy coś po rosyjsku, a ochroniarze Cortów unieruchamiają Rafie ręce. Pojawili się znikąd, bezgłośni, dobrze ubrani, silni.

– *Senhor*, proszę przestać.

– Puszczaj mnie, kurwa mać! – krzyczy Rafa do swoich ochroniarzy.

– Niestety nie, *senhor* – mówi pierwszy *escolta*, odciągając Rafę od Nika Woroncowa.

– To rozkaz!

– Nie pan nam wydaje rozkazy – mówi Pierwszy *escolta*.

– Lucas Corta przeprosza za obrazę pańskiej rodziny, *senhor* Woroncow – mówi Druga, wysoka kobieta w dobrze skrojonym garniturze.

– Bierzcie waszego szefa i wypierdalać z mojej bazy! – ryczy Nik.

– Już, już, *senhor* – mówi Druga.

Kiedy prowadzą go do drzwi, Rafa pluje. Plwocina w księżycowym ciężeniu leci daleko i precyzyjnie. Nik Woroncow z łatwością robi unik, lecz Rafa nie celował w niego. Celował w jego statek, jego dziecko, jego ukochanego *Orła*.

Klub Menedżerów Piłki Ręcznej jest mały, komfortowy, stuprocentowo dyskretny. Pierwszy objaw tej niesamowitej dyskrecji – *escoltas* zostają pod drzwiami. Potężni, mięśniści ochroniarze postukują się palcami wskazującymi w szyszynkę – „wyłączyć chowańce”. Będą przypominać, póki nie usłuchasz. Samo wnętrze jest sportowe, nie luksusowe – przypomina uczelniane kantyny.

Ma dwudziestu kilku członków. Samych mężczyzn.

Dwudziestu kilku mężczyzn, dwudziestu kilku kumpli, a Rafa nie ma ochoty gadać z żadnym z nich. Z głębi klubu, z czeluści klubowego fotela woła go Jaden Wen Sun. Rafa macha w odpowiedzi i idzie do swojego pokoju. Cały tli się z wściekłości. Trzaska drzwiami, podnosi krzesło i bez wysiłku ciska nim przez pokój. Roztrzaskują się stoliki, padają lampy. Kopie odłamki wysoko w powietrze. Wyrywa ze ściany staromodny ekran, na którym właściciele drużyn oglądają swoich zawodników w zaciszu klubu, wali nim o krawędź toaletki, wali, wali i wali, aż przełamie się na pół. Połówkę ekranu wciska w podajnik wyjściowy drukarki i napiera, aż ją wykrzywi i uszkodzi.

Pukanie do drzwi.

– Panie Corta?

– Won!

Furia wypaliła się na węgielki. Niszczy wszystko. Ten pokój, umowę z Nikiem Woroncowem – to wszystko ta sama furia. Napluł Nikowi na statek. Równie dobrze mógł mu opluć córkę. Kiedy zadzwonił do João de Deus, długie pauzy Lucasa potępiały go bardziej wymownie niż jakiegokolwiek wybuchy gniewu. Zawiódł rodzinę. Ciągle ją zawodzi. Niszczy wszystko, czego się tknie.

W swojej niszczycielskiej pasji uważał na jedno. Barek jest cały i nienaruszony. Siada na łóżku, patrzy przez pobojuwisko na butelki niczym na kochanki. Klub dba o zaopatrzenie go w spersonalizowane dziny i rummy. Fajnie byłoby spędzić z nimi noc. Uchlać się na smutno, a nad ranem po pijaku zadzwonić do Lousiki.

Trochę, kurwa, godności, człowieku.

– Hej?! – znów woła Jaden Sun.

– Wychodzę – odpowiada Rafa.

Zanim wróci, obsługa klubu odrestauruje cały pokój.

Madrinha Flavia patrzy zdziwiona na Lucasinho w swoich drzwiach. Tak samo on się zdziwił, widząc ją w nogach swojego łóżka.

Lucasinho otwiera kartonowe pudełko, które tak ostrożnie wioził z mieszkania Kojo. Zielone litery z masy cukrowej układają się w słowo „Pax”.

– Włoskie. Musiałem sprawdzić, gdzie są te Włochy. I naprawdę leciutkie. Z migdałami. Możesz jeść migdały, prawda? Napisałem „Pax”. To jakby „paz” po katolicku.

Bo chłopak ze swoją *madrinhą* rozmawia oczywiście po portugalsku.

– *Paz na Terra boa vontade a todos os homens*^[6] – mówi Flavia. – Wchodź, no wchodź.

Mieszkanko jest zagracone i ciemne. Jedyne światło dają dziesiątki maleńkich biolamppek poustawianych w każdym zakątku i zakamarku oraz na każdej półeczce. Lucasinho marszczy czoło w zielonym blasku.

– Wow, nieźle tu ciasno. – Pochyliła się, przechodząc przez drzwi, i próbuje znaleźć sobie miejsce do siedzenia pomiędzy dewocjonaliami.

– Dla ciebie miejsce zawsze się znajdzie – mówi Flavia, biorąc w dłoń jego twarz. – *Coração*. Gdy tylko potrzebujesz łóżka, dachu nad głową, ciepłego jedzenia, wody i łazienki, twoja *madrinha* zawsze jest przy tobie.

– Podoba mi się tutaj.

– Wagner za to płaci. I za moje utrzymanie.

– Wagner?

– Co, nie wiedziałeś?

– No... tato nie...

– Nie wspomina o mnie. I matka też nie. Przyzwyczyłam się.

– Dziękuję, że mnie odwiedziłaś. W szpitalu.

– Jak mogłabym nie odwiedzić? To ja cię urodziłam.

Lucasinho się wierci. Siedemnastoletni chłopak nie może spokojnie słuchać, że znajdował się kiedyś wewnątrz starej kobiety. Siada we wskazanym miejscu wersalki i lustruje mieszkanko, a Flavia tymczasem pstryka czajnikiem i przynosi z wnęki kuchennej talerzyki i nóż. Przesuwa ikony i biolampki, żeby zrobić miejsce na niskim stoliku przed kanapą.

– Dużo masz tych... rzeczy.

Ikony, figurki, różańce, amulety, miseczki wotywny, gwiazdeczki, błyskotki. Lucasinho marszczy nos na klóćące się ze sobą wonie waperów z kadzidłem,

mieszanek ziołowych i nieświeżego powietrza.

– Zakon lubi te wszystkie graty.

– Zakon... – Lucasinho gryzie się w język, zanim rozmowa zdegeneruje się do odpowiadania jak papuga pytaniem na każde stwierdzenie *madrinhi*.

– Zakon Panów Chwili.

– *Vovo* coś tam z nimi kręci.

– Twoja babka daje nam pieniądze, wspiera naszą pracę. Irmã Loa odwiedza ją, daje jej porady duchowe.

– A po co *vo* Adrianie jakieś tam porady duchowe?

Gwiżdże czajnik. *Madrinha* Flavia rozgniata liście mięty i zalewa je.

– Nikt ci nie powiedział. – Flavia odsuwa kolejne figurki i wota na brzeg niskiego stolika i siada na podłodze.

– Może ja tam usiądę...

Flavia machnięciem ręki zbywa propozycję.

– No dobra, a teraz to ciasto, które przyniosłeś. – Unosi nóż do oczu i szepcze modlitwę. – Nóż zawsze trzeba pobłogosławić. – Odcina maleńki skrawek ciasta i kładzie go na talerzyku przed figurkami świętych Kosmy i Damiana. – Niewidzialni goście – mruczy, po czym bierze swój kawałek ciasta palcami cienkimi i dokładnymi jak porcelanowe pałeczki. – Luca, to naprawdę bardzo dobre.

Lucasinho rumieni się.

– Fajnie być w czymś dobrym, *madrinha*.

Madrinha Flavia strzepuje okruchy z palców.

– Teraz mów, co cię sprowadza do starej *madrinhi*?

Lucasinho rozkłada się na pachnącej paczulą tapicerce i przewraca oczyma.

W pociągu powrotnym z Twé myślał, że eksploduje mu serce. Serce, płuca, głowa, mózg. Abena go zostawiła. Łapał się na tym, że palce same wędrują do metalowego kolca w uchu. Na jego przyjęciu Abena zlizywała jego krew. A na imprezie u Asamoah tylko spojrzała na niego i poszła. Pięć razy omal nie wyciągnął kolczyka z ucha, żeby odesłać go z powrotem do Twé, gdy tylko pociąg dotrze do Południka. I pięć razy postanawiał, że nie. „Kiedy nie będziesz mieć innej nadziei” – tak powiedziała Abena. „Kiedy będziesz samotny, nagi i

bezbronny, jak mój brat, prześlij ten kolczyk”. Nic takiego się nie zdarzyło. Tylko by go jeszcze bardziej znienawidziła, gdyby tak nadużył tego daru.

– Muszę gdzieś przenocować.

– No jasne.

– I mam jedną kwestię, z którą nie umiem sobie poradzić.

– Nie gwarantuję, że ja sobie poradzę. Ale mów.

– Dobrze. *Madrinha*, czemu dziewczyny robią różne rzeczy?

– On to źle robi.

Barman zamiera. Butelka blue curaçao czeka nad kieliszkiem. Kobieta odwraca się z powolnością granitu i gapi się nań z drugiego końca baru.

– Najpierw się daje skórkę z cytryny.

Rafa Corta przesuwają się na drugi koniec baru do kobiety. Ubranie ma nieskazitelne, torebka od Fendiego na stołku obok to klasyka. Jej Chowaniec to wirująca galaktyka złotych gwiazd. Jest turystką. Dziesiątki błędów w fizycznej koordynacji, niezdarności, źle wyliczonych reakcji i drobnych nieprzystosowań zdradzają ziemskie pochodzenie.

– Proszę wybaczyć... – Rafa unosi kieliszek i wacha. – Chociaż to jest dobrze. Woroncowowie upierają się przy wódce, ale prawdziwy blue moon musi być z dżinem. Siedem ziół minimum. – Unosi szczypcami spiralkę skórki z cytryny i wrzuca do kieliszka. Brodą pokazuje butelkę curaçao. – Daj mi to. – Pstryknięcie palcami. – Łyżeczka. – Odwraca łyżeczkę i ustawia ją dwadzieścia centymetrów nad kieliszkiem. Butelkę trzyma kolejne dwadzieścia centymetrów nad łyżeczką. – Tu chodzi o rzeźbienie za pomocą grawitacji. – Nalewa. Cieniutka nitka niebieskiego likieru spada powoli jak miód na odwrotną stronę łyżeczki. – I pary pewnych rąk. – Curaçao pokrywa łyżeczkę i spływa z jej krawędzi chaotycznymi strużkami i kroplami. Błękit wiję się przypominającymi dym spiralami w przezroczystym dżinie. Wstążeczki rozpraszającego się błękitu spowijają żółtą wstążkę skórki cytrynowej. – Sama dynamika płynów wszystko pomiesza. To jest zastosowanie teorii układów chaotycznych do miksologii.

Podsuwa koktajl kobiecie. Ta upija łyk.

– Dobry.

– Tylko dobry?

– Bardzo dobry. Świetnego blue moona pan robi.

– Nie dziwne. To ja go wymyśliłem.

W loży w rogu grupa czterech klientów w średnim wieku opija jakiś sukces rodzinnego biznesu. Ochroniarze Cortów okupują stolik w dyskretnej odległości od baru. Poza nimi jedynymi gośćmi są Rafa i ta kobieta z Ziemi. Rafa zawędrował do tego baru, bo jest najbliżej klubu, ale podoba mu się tu. Staromodne podświetlenie od dołu zamienia każdego drinka w klejnot, wygładza podbródki, wyostrza kości policzkowe, tajemniczo ocienia oczy. Egzotyczne drewno i kwadratowe klubowe kanapy w hodowlanej skórze. Za barem lustra, muzyka ściszona do szeptu i jeszcze taras wychodzący wysoko na centralny plac Kwadry Wodnika. Ze wszystkich stron galaktyka miejskich światła. Kiedy turystka weszła, był po dwóch caipirinhach. Od razu się zdecydował. Nie ma picia samemu. Otdąd tylko blue moon.

Nazywa się Sohni Sharma. Jest na studiach podyplomowych w Nowym Jorku/Mumbaju i kończy właśnie sześciomiesięczną praktykę w Ośrodku Obserwacji Planet Uniwersytetu Farside. Jutro pętla księżycowa zagarnie ją do cyklera i z powrotem na Ziemię. Dzisiaj musi alkoholem wypłukać Księżyc z myśli i z krwi. Albo nie rozpoznaje jego imienia, albo jej mumbajska wyniosłość jest naprawdę imponująca. Rafa przesuwa się w pustą przestrzeń towarzyską.

– Zostaw je nam – mówi Rafa, dotykając akcesoriów do koktajli. – I kubełek z lodem na dzin. Zawołam cię, jak się nam skończy szkło.

Przesuwa torebkę Fendiego. Zaproszenie, by usiadł.

– Mówisz, że je wymyśliłeś? – pyta po trzecim.

– Zapytaj w barze Sasserides w Królowej Południa. A wiesz, który składnik jest najdroższy?

Sohni kręci głową. Rafa dotyka skórki cytrynowej.

– Tylko tego nie da się wydrukować.

– Bardzo pewne masz ręce – mówi Sohni, gdy Rafa po raz kolejny pokazuje sztuczkę z łyżeczką i curaçao.

A potem aż sapie, gdy Rafa łapie kieliszek, wylewa dzin na podłogę i z hukiem stawia go do góry nóżką na kontuarze. W środku podświetlona brzęcząca mucha. Rafa odwraca się do ochroniarzy, którzy zamilkli przy swoich stolikach.

– Wiecie, co jest w tym kieliszku?

Escoltas zrywają się na nogi.

– Siadać! Siadać! – drze się Rafa. – Powiedzcie mojemu bratu, że od Ku Lua wiem, że jego szpieg brzęczy mi nad głową.

– *Senhor* Corta, my nie...

– Nie pracujecie dla mnie – kończy za nią Rafa. – I co z tego? Dopuszciliście ją do mnie. Blisko. Wylatujecie. Jedno i drugie.

– *Senhor* Corta... – znów zaczyna kobieta.

– Co, myślicie, że Lucas by was za coś takiego nie zwolnił? Zostajecie, póki nie ściągnę zmienników z Boa Vista. Socrates. Dawaj Heitora Pereirę. I brata. – Ogląda się na rodzinę spłoszoną przy swoim stole. – Dokąd się wybieracie?

Mamroczą nazwę knajpy, baru z karaoke.

– To dla was. Trzy tysiące bitsów. Zabawcie się jak nigdy.

Socrates przelewa pieniądze. Wychodzą z baru, gnąc się w ukłonach. Barman z powrotem ustawia butelki, a Rafa idzie na bok, żeby porozmawiać z szefem ochrony, a potem, o wiele mniej spokojnym tonem, z bratem. Sohni opiera podbródek na barze i gapi się na muchę.

– To jest maszyna – zauważa.

– Pół na pół – odpowiada Rafa. – Niedawno coś takiego omal mnie nie zabiło. Przepraszam, że cię wystraszyłem. Nie powinnaś oglądać takich rzeczy. Nie wiem, czy jestem w stanie ci to wynagrodzić. – Gestem zamawia czysty kieliszek i wlewa doń schłodzony w lodzie dzin. Paseczek cytryny. Niteczki rozpuszczającego się curaçao. – Widzisz? Ani drgną. – Przesuwa blue moona po barze do Sohni. – Jedna żona mnie zostawiła, druga nie żyje, córka się mnie boi, a syna zmalretowałem, bo byłem zły na kogoś innego. Własny brat mnie szpieguje, bo ma mnie za idiotę, a matce niewiele brakuje, żeby mu uwierzyła. Właśnie przegrałem kontrakt, wrogowie mnie wyruchali, ktoś próbował mnie zabić za pomocą muchy, a moja drużyna piłki ręcznej jest ostatnia w tabeli. – Unosi swój kieliszek. – Ale blue moona i tak wynalazłem.

– Mogłabym to ja być asasynem – mówi Sohni. – Mogłabym teraz wyciągnąć nóż i rozpruć cię stąd dotąd. – Przesuwa palcem od podbródka do krocza.

Rafa zatrzymuje jej rękę.

– Nie mogłabyś.

– Taki pewien jesteś?

Rafa przechyla głowę i zerka.

– Może ich wywaliłem, ale wcześniej i tak wszystkich tutaj przeskanowali.

– Naruszyłeś moją prywatność.

– Mogę ci to wynagrodzić.

– U was faktycznie wszystko jest kontraktem.

– „U was”?

– U was na Księżycu.

Rafa dalej nie puszcza jej dłoni. Sohni dalej jej nie zabiera.

– Wiem, powinnam czuć się wyróżniona, że mogłam tu pracować, ale nie mogę się już doczekać powrotu – mówi. – Nie podoba mi się ten twój świat, Rafaelu Corto. Nie podoba mi się, jaki jest wredny, ciasny, brzydki, nie podoba mi się, że wszystko tutaj ma cenę. – Unosi palec do oka. – I do tego nie mogę się przyzwyczaić. W życiu bym się nie przyzwyczaiła. Jesteście jak szczury w klatce, jedno nie takie spojrzenie, jedno nie takie słowo i się zagryzacie.

– Ja nie znam niczego poza Księżycem – odpowiada Rafa. – Na Ziemię nie mogę polecieć. Zabiłoby mnie. Nie od razu, ale by zabiło. Nikt z nas nie może tam polecieć. Dla nas to jest dom. Tu się urodziłem i tutaj umrę. A między jednym a drugim są tylko ludzie, od góry do dołu. Ich najgorsze i najlepsze cechy. W sumie tylko siebie nawzajem tu mamy. Ty widzisz kontrakty na wszystko. Ja widzę porozumienie. Tak wypracowujemy sobie, jak żyć razem.

– No dobrze. To mi wynagrodź. – Sohni uwalnia rękę i stuka palcami w butelkę z dżinem.

Rafa chwyta ją za dłoń, tak stanowczo, że ona aż rozchyła usta, lekko zszokowana.

– Nigdy się nade mną nie lituj – mówi i w tej samej sekundzie ją puszcza.

Szczęka jakiś mechanizm – znad baru wysuwa się markiza. Rozwija się nad całą knajpą i gośćmi.

– Będzie deszcz – odzywa się Rafa, unosząc głowę. – Widziałaś kiedyś deszcz na Księżycu?

– A ty nie byłeś na Siatce Farside, prawda?

– Jestem biznesmenem, nie naukowcem. – Lufa dzinu, chlup, skórka cytrynowa, numer z łyżeczką i powolnym curaçao.

– To same tunele, korytarze i klitki. Jakbym przez sześć miesięcy chodziła przygarbiona. Aż dziwne, że potrafię się znów wyprostować. – Sohni odwraca się na stołku barowym i podziwia niesamowity krajobraz. Kwadry Wodnika. – Od sześciu lun nie sięgałam wzrokiem tak daleko.

Nagle bębnienie w markizę. Tam, gdzie nie sięga, deszcz spada niczym szklane ozdoby eksplodujące łagodnie na powierzchni tarasu.

– Ooo! – Sohni z zachwytem unosi dłonie do twarzy.

– Chodź. – Rafa wyciąga rękę.

Sohni ją ujmuje. Wyprowadza ją w deszcz. Tłuste krople wychlapują im blue moony z kieliszków, rozpryskują się wokół stóp. Sohni zadziera twarz ku deszczowi. W parę sekund przemakają na wylot, drogie ubrania lepią im się do ciała, skręcają się. Rafa podprowadza Sohni do balustrady.

– Patrz – rozkazuje.

Centralna oś Wodnika jest mozaiką powoli spadających drżących kropeł, skrzących się w nocnych światłach jak drogie kamienie.

– Zobacz.

Rozjaśnia się sztuczne niebo, przez chwilę ich oślepia. Sohni przysłania oczy ręką. Gdy odzyskuje wzrok, nad przepaścią osi widzi rozpiętą tęczę.

– Zobacz!

W dole, na Prospekcie Tierieszkowej wszystko się zatrzymało. Pasażerowie i piesi stoją bez ruchu z rozpostartymi ramionami. Inni wybiegają ze sklepów, klubów, barów i restauracji, przyłączają się do nich. Na tarasach i balkonach dzieci szaleją i krzyczą w deszczu. Deszcz siecze Kwadrę Wodnika, bębni o każdy dach, markizę, galeryjkę i kładkę.

– Własnych myśli nie słyszę! – krzyczy Sohni.

Niebo ciemnieje do czerni. Deszcz ustaje. Ostatnie krople spadają i rozpryskują się na jej skórze. Cały świat ocieka wodą i łśni. Sohni rozgląda się

oszołomiona i zachwycona.

– Inaczej pachnie – mówi.

– Pachnie czysto – wyjaśnia Rafa. – Pierwszy raz oddychasz powietrzem bez pyłu i kurzu. Deszcz je oczyszcza. Dlatego go puszczamy.

– Stać was na takie marnowanie wody?

– Ona się nie marnuje. Jest odzyskiwana co do kropli.

– Ale koszt? Kto za to płaci?

Teraz Rafa dotyka się palcem pod okiem.

– Pani płaci, ja płacę...

Sohni wytrzeszcza oczy, widząc obciążenie na swoim koncie wodnym.

– Ale to...

– Nic. Masz za złe?

– Nie. Wcale. – Wzdryga się.

– Cała jesteś przemoczona – mówi Rafa. – Chodź, w klubie wydrukuję ci coś nowego.

Mimo dreszczy Sohn i się uśmiecha.

– To jest podryw.

– Dokładnie.

– No to chodźmy.

Socrates daje barmanowi solidny napiwek, a Sohn i Rafa pędzą przez ociekające wodą miasto do klubu PHO.

Mucha szpiegowska została. Dalej brzęczy pod szklanym kloszem kieliszka.

Lucas wraca do pokoju odsłuchowego i siada w akustycznym środku sofy.

– Czy wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku. Poproszę jeszcze raz *Expresso*.

– Po prostu... pan nie toleruje przerywania.

Jorge trzeci raz jest w tym pokoju, ale zwyczaj się już ustalił. Gra przez godzinę bez przerwy, Lucas przez godzinę nieprzerwanie słucha. Jednak dziś, w trzecim takcie *Expresso* zerwał się nagle z kanapy i wybiegł z pokoju. Jorge nie

słyszał, o co chodziło, ale nie było go przez parę minut.

– Poproszę *Expresso*.

Zakłócenie wybiło jednak Jorge z rytmu – chwilę trwa, zanim pozbędzie się napięcia z palców, ciała, gardła. Palce odnajdują akordy, głos odnajduje synkopowanie. Więcej nic im nie przerywa, mimo to przepływ energii między muzykiem a publicznością i z powrotem jest zaburzony. Jorge kończy *Izaurę* tłumioną kadencją i pakuje gitarę.

– Za tydzień o tej samej porze, *senhor* Corta?

– Tak. – Dłoń na ramieniu Jorge, gdy odwraca się, żeby pójść. – Zostań na drinka.

– Dziękuję, *senhor* Corta.

Lucas prowadzi Jorge z gitarą w rękę do salonu i przynosi mu mojito.

– Dobre proporcje?

– Idealne, *senhor* Corta.

– Może spróbuj najpierw.

Próbuje. Są idealne.

Lucas podchodzi ze swoim drinkiem do okna. Za nim przesuwa się João de Deus, sam ruch, światło, piętro za piętre. Niebieskie neony, zielone biolampy, złote latarnie uliczne.

– Przepraszam, że odebrałem ten telefon. Widziałem, że cię to wytrąciło z rytmu.

– Prawdziwy zawodowiec nie daje się wytrącać z rytmu.

– Ja też się dałem. Widocznie jeszcze jestem amatorską publicznością. Jorge, ty masz braci?

– Tylko dwie siostry.

– Powiedziałbym, że masz szczęście, ale z doświadczenia wiem, że siostry mogą być równie trudne jak bracia. Tylko inaczej trudne. Bo z braćmi reguły są już ustalone, kiedy się rodzą. Najstarszy to zawsze najstarszy. Zawsze najważniejszy. Ty jesteś najstarszy, Jorge?

– Środkowy.

– To tak jak ja i Ariel. Carlinhos jest najmłodszy. Najukochańszy. Jak każdy najmłodszy.

– Myślałem, że Cortów jest pięcioro.

– Czwooro Cortów i jeden pretendent – ucina Lucas. – Widzę, że skończyłeś.

Jorge z nerwów wypił całe mojito.

– Masz drugie. Tym razem postaraj się delektować. Ten rum jest naprawdę porządny. – Lucas przynosi drugie mojito i zwabia nim Jorge do okna. – Moja matka była pionierką, przedsiębiorcą, budowała dynastię, ale pod wieloma względami jest bardzo tradycyjna. To żadna sprzeczność. Pierworodny będzie rządzić firmą. Reszta pomaga na miarę swoich zdolności. Ja pomagam. Carlinhos pomaga. Nawet Wagner. A Ariel... Ja jej zazdroszczę. Wybrała własną karierę poza firmą. Mecenas Ariel Corta. Królowa *nikah*. Gwiazda Południka. I jest Białym Zającem.

– Każdy, kto mówi, że jest Białym Zającem...

– Prawie na pewno nie jest. Wiem o tym. Ale jeśli Ariel mówi, że jest, to jest. A co sądzisz, Jorge, o tym rumie?

– Dobry.

– Moja własna, prywatna marka. Jak byłeś mały, miałeś jakieś zwierzęta?

– Tylko mechaniczne.

– My tak samo. Matka nie pozwoliłaby na cokolwiek organicznego w tym miejscu. Nic, co sra i zdycha. Asamoah dali nam rój motyli z okazji Księżycowego Biegu Lucasinho. Matka przez kilka dni nic tylko narzekała, jaki bałagan. Wszędzie te skrzydełka. Maszyny są czystsze. Ale też się kończą. Umierają. Tak je robią, wiesz? Żeby dzieci się nauczyły. A potem ktoś musi je wrzucać do recyklera. I to ja musiałem, wiesz, Jorge?

Lucas upija łyk. Jorge zbliża się do dna drugiego mojito. Lucas ledwie spróbował pierwszego.

– Nasz złoty Chłopak popełnił straszny błąd. Udało mu się podpaść Woroncowom. Dał się ponieść emocjom i naraził na szwank nie tylko nasze plany rozwoju, ale i umowę transportową z VTO. A my jesteśmy uzależnieni od VTO, oni wożą nasze kontenery z helem na Ziemię. I teraz ja muszę ten bajzel posprzątać. Wymyślić rozwiązanie. Zrecykłować ofiary. Naprawić szkody.

– *Senhor* Corta, czy ja powinienem słuchać takich rzeczy?

– Jorge, słuchasz tego, co chcę, żebyś usłyszał. Wiesz, obawiam się o moją

rodzinę. Mój brat jest kretynem. A matka... Matka nie jest już taka jak kiedyś. Coś przede mną ukrywa. Helen de Braga i ten bałwan Heitor Pereira w życiu mi nie powiedzą, choćbym nie wiem jaką presję wywierał. I jeśli ktoś się nie zajmie tym sraniem i umieraniem, cała firma padnie. Jorge, a dzieci masz?

– Nie jestem w tym miejscu spektrum.

– Wiem. – Lucas bierze pustą szklankę od Jorge i wkłada mu w rękę pełną. – Ja mam syna. I niespodziewanie uświadomiłem sobie, że jestem z niego dumny. Uciekł z domu. Mamy tu najbardziej monitorowane i zamknięte społeczeństwo w całej historii, a młodzi ciągle próbują. Oczywiście wszystko mu pablokowałem. Ale nie tak, żeby umarł, nic, co by mu zaszkodziło na zdrowie. Musi się utrzymać, polegając na własnym sprycie. Wygląda na to, że mu go nie brakuje. I wdzięku. Tego po mnie nie ma. Całkiem mu się udaje. Zdobył nawet pewną sławę. Pięć dni sławy, potem wszyscy o nim zapomną. Mogę go ściągnąć do domu w każdej chwili, ale nie chcę. Jeszcze nie. Chcę zobaczyć, co jeszcze w sobie odnajdzie. Ma talenty, których ja nie mam. Wydaje się, że jest sympatyczny i dość honorowy. Niestety, chyba zbyt miły i zbyt honorowy dla firmy. Bardzo się obawiam o przyszłość. A o tym co myślisz? – Dotyka swoją szklanką szklanki Jorge.

– Inne jest. Bardziej dymne jakby. Ostrzejsze.

– Ostrzejsze, tak. To jest moja własna *cachaça*. To powinniśmy pić, kiedy gramy bossę. Ale mnie wydaje się trochę nieokrzesana. No więc będę musiał przejąć władzę. Zamach stanu. Będę musiał walczyć z własną rodziną, żeby ją uratować przed sobą samą. I opowiadam o tym muzykowi od bossa novy. A on myśli sobie: co ja jestem, terapeuta? Spowiednik? Minstrel, błazen, głupek?

– Błaznem i głupkiem nie jestem. – Jorge łapie gitarę.

Lucas zatrzymuje go trzy kroki przed drzwiami.

– W dawnej Europie król tylko błaznowi mógł powierzyć prawdę i tylko błazen mógł mówić prawdę królowi.

– Czy to przeprosiny?

– Tak.

– I tak powinienem już iść. – Jorge patrzy z żalem na szklankę w drugiej dłoni.

– Tak. Oczywiście.

- Za tydzień o tej samej porze, *senhor* Corta?
- Lucas.
- Lucas.
- A dałoby się trochę wcześniej?
- Kiedy?
- Jutro?

- *Mamãe*?

Adriana budzi się z cichym okrzykiem. Jest w łóżku, w jakimś pokoju, ale nie wie gdzie, a jej ciało nie chce reagować, bo jest nieważkie jak we śnie, niematerialne jak przeznaczenie. Nad nią jakaś postać, blisko niczym oddech, robiąca wdech wtedy, gdy ona robi wydech.

- Carlos?

- Wszystko w porządku, mamó.

Gada jej w głowie.

- Kto to?

- Mamó, to ja. Lucas.

To imię, ten głos.

- Aaa. Lucas. A która godzina?

- Późna, *mamãe*. Przepraszam, że przeszkadzam. Dobrze się czujesz?

- Źle spałam.

Światło się wzmaga. Jest we własnym łóżku, w swoim pokoju, w swoim pałacu. Ten wiszący nad nią i dyszący duch to Lucas, ma go na soczewce.

- Mówiłem ci, powinnaś powiedzieć doktor Macaraeg. Coś ci na to da.

- Da mi z powrotem trzydzieści lat?

Lucas się uśmiecha. Adriana żałuje, że nie może go dotknąć.

– Dobrze, to już nie przeszkadzam. Prześpij się jeszcze. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że nie straciliśmy *Mare Anguis*. Mam plan.

- Bardzo bym go nie chciała stracić, Lucas. Bardziej niż czegokolwiek.

- Nie stracisz, mamó. Carlinhos z tymi jego durnymi motorami już tego

dopilnuje.

- Dobry z ciebie chłopak. Daj znać, co wyszło.
- Oczywiście. Śpij, mamó.

Marina jedzie z powrotem z trupem przypiętym obok. Na tyle blisko, że stykają się udami i ramionami, ale to i tak lepiej, niż gdyby siedział naprzeciwko, twarzą do niej. Skafander, pozbawiony twarzy hełm, ograniczająca ruchy uprząż – trudno się tu odróżnia żywego od trupa. Strach kryje się w samej świadomości, że za tą pustą twarzą jest kolejna pusta twarz. Martwa twarz.

Przyczyną śmierci był nagły i katastrofalny wzrost temperatury ciała, który ugotował Paula Ribeiro we własnym skafandrze. Carlinhos miał dane, próbując dojść, co się stało. Jeśli luniarz, który ma nastukane tysiąc godzin na powierzchni, może zginąć w niecałe trzy minuty, to każdy może. Także ona, Marina Calzaghe, przypięta do otwartej, niehermetycznej klatki pędzącej z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę przez wysoką napromieniowaną próżnię, oddzielona od niej tylko delikatnym skafanderkiem i bąbelkiem szybki w hełmie. Już teraz tysiące drobnych usterek mogą się ze sobą zmawiać, rozmnażać, sprzymierzać. Marina Calzaghe przełyka panikę jak żółć. Na Morzu Spokoju omal nie zdjęła z głowy hełmu.

- Dobrze się czujesz? – Carlinhos, na prywatnym kanale.
- Tak. – Kłamstwo. – Trochę w szoku jestem. I tyle.
- Dasz radę kontynuować?
- Tak. A bo co?
- Przekierowują nas.
- Dokąd?
- Ja chyba zrobię z ciebie grę imprezową – mówi Carlinhos. – Za każdym razem, gdy zadajesz pytanie, ja walę lufę. Jedziemy łapać pociąg.

Marina nie zauważa żadnej zmiany w kursie łożnika, jednak po godzinie hamują, zarzucając, tuż przy Równikowej Jedynce. Unoszą się uprząże, ekipa wysiada i wymachuje zdrętwiałymi kończynami. Marina nieufnie stawia stopę

na torach, chcąc wyczuć drgania nadjeżdżającego ekspresu. Oczywiście nic. A zewnętrzne szyny, jak pamięta z odpraw, są zarezerwowane dla ruchomej huty Mackenziech – Tygla. Ekspresy jeżdżą po czterech wewnętrznych, magnetycznych. Widzi obok nich szyny zasilające. Dotknij takiej, a zginiesz czysto i natychmiastowo – a Carlinhosowi na wyświetlaczu urządzi się Święto Diwali.

– Jedzie – mówi Carlinhos.

Na zachodnim horyzoncie zapala się świetlny atom, potem rozrasta się do trzech oślepiających reflektorów. Trzęsie się ziemia. Ekspres na poduszce magnetycznej, przy tak bliskim horyzoncie, dojeżdża do nich, zanim Marina jest w stanie objąć umysłem jego wielkość, szybkość, jasność, groźną masę i całkowite milczenie. Przemykają rozmazane okna, zwalniają. Zatrzymuje się. Dwie trzecie kilometrowej długości to wagony pasażerskie, a wagony towarowe, kryte i otwarte, stanowią ostatnią jedną trzecią. Carlinhos machnięciem przywołuje ekipę do ostatniej platformy. Marina z łatwością wskakuje pomiędzy ułożone na spieczonym regolicie tory i wdrapuje się po burcie otwartego wagonu. Motocykle. Wielkie, na pękatych oponach, najeżone czujnikami i sprzętem łącznościowym, brzydkie i nieopływowe, ale na sto procent motocykle.

– Co... – zaczyna mówić, ale to tylko dałoby Carlinhosowi kolejną wygraną w alkoholowej grze.

– Jedziemy zaklepywać działkę – obwieszcza Carlinhos na kanale ogólnym.

Pomruki aprobaty ze strony starych luniarzy, ekipy i tych, którzy przyjechali z motorami.

– Lucas mówi, że jedziemy na *Mare Anguis*. Jest tam złożo i Mackenzie myślą, że tylko oni o nim wiedzą. Ale my też wiemy i im wykradniemy. Mają w kieszeni flotę księżycową VTO, ale my mamy te sprzęty. – Poklepuje kierownicę pierwszego z motorów. – Eskadra Lunicyklowa Corta zdobędzie ten teren. Ale najpierw jedziemy pociągiem.

Ryk aprobaty. Marina słyszy w nim i własny głos. Pociąg rusza naprzód, bez szarpnięcia, bez skoku. Marina patrzy, jak łazik uruchamia się i zawraca, oddala od Równikowej Jedyнки, wioząc jedyne go, martwego pasażera z powrotem do João de Deus.

Flavia robi jedzenie. Pożywne, stuprocentowo wegetariańskie jak większość księżycowej kuchni, Lucasinho jednak wydaje się mdle niczym muzyka z gitary pozbawionej basowych strun.

– Czosnek i cebula to coś złego? – pyta. – Albo chili?

– Są teologicznie niesłuszne – odpowiada Flavia. – Budzą namiętności i prymitywne instynkty.

Lucasinho grzebie w talerzu.

– *Madrinha*, a dlaczego odeszłaś?

Miał pięć lat, gdy Flavia wyprowadziła się z Boa Vista. Bardziej niż tęsknotę pamięta dezorientację, pustkę szybko wypełnioną ziarnem nowej normalności. Amanda, jego genetyczna matka, zaraz przekazała go Elis, która była wtedy w ciąży z Robsonem.

– Jak to, ojciec nigdy ci nie powiedział?

– Nie.

– Twój ojciec i babka zwolnili mnie i zmusili do opuszczenia i ciebie, i Boa Vista. Nosłam Carlinhosa, nosłam Wagnera, a na koniec ciebie. Wiesz chyba, co robią *madrinhas*?

– To matki zastępcze. Surogatki.

– A dokładniej to sprzedajemy nasze ciało. Sprzedajemy komuś samą esencję naszej kobiecości. To prostytutka. Rozkładamy nogi i przyjmujemy do macicy cudzy embrion. Poczyłaś się w probówce, Luca, a nosiła cię obca kobieta, za pieniądze. Duże pieniądze. Ale mój nie byłeś. Byłeś dzieckiem Lucasa Corty i Amandy Sun. A Carlinhos był dzieckiem Carlosa i Adriany Corty.

– Jeszcze Wagnera nosiłaś – mówi Lucasinho.

– To jest najokrutniejszy z zawodów. Jeszcze gdyby was zabierali po urodzeniu, może byłoby łatwiej. Ale kontrakt mówi, że nie tylko was nosimy i rodzimy, mamy też was wychowywać. Całe życie poświęciłam tobie i Carlinhosowi. I Wagnerowi. Pod każdym względem byłam wam matką. Poza jednym.

– Własnego dziecka nie miałaś. To znaczy takiego, które sama stworzyłaś.
– Nie wyobrażasz sobie, jak to jest: spędzać całe dni z dziećmi, które się urodziło, które są twoje pod każdym względem, oprócz genów, ale nie są twoje i nigdy nie będą.

– Ale mogłaś...

– Nie zrozumiesz, Luca. Nie masz szans. Te kontrakty są na wyłączność. Jedynymi dziećmi, jakie wolno mi było mieć, byli synowie i córki Cortów. Ja cię kocham, Luca. I Carlinhosa. I Wagnera. Kocham was jak własne dzieci.

Lucasinho czuje dudnienie w głowie. Ucisk w czaszce. Ciśnienie za oczyma. To ciężkie sprawy. Sprawy, których nie potrafi rozłożyć na czynniki pierwsze, sprawy, które nie wpinają mu się w żadne wyuczony emocjonalne procesy. Flavia ma rację. Nie zrozumie tego. To są uczucia dla dorosłych.

– „I Wagnera” – zauważa. – Zawsze tak mówisz: „i Wagnera”.

– Jesteś bystrzejszy, Luca, niż twój ojciec ma ochotę przyznać.

– *Pai* zawsze powtarzał, że on nie jest Cortą. *Vovo* nie może na niego patrzeć. A jak skończył osiemnaście lat, wyjechał z Boa Vista.

– Wyjechał czy kazali mu wyjechać?

– To co ty w końcu zrobiłaś?

– Wagner jest w połowie Cortą. Pół Corta, pół Vila Nova.

– To twoje nazwisko.

– Flavia Passos Vila Nova. *Madrinhas* bardzo dobrze zarabiają. Wystarczająco, żeby zapłacić ginekologowi za zapłodnienie i wszczepienie jeszcze jednego zestawu embrionów.

– *Vovo* i *Carlosa*... – Lucasinho nie przechodzą te słowa przez gardło. Jajeczka, nasienie, żenujące to wszystko. A jeszcze bardziej, kiedy chodzi o ciebie i twoją rodzinę.

– *Carlos* nie żył już od dwudziestu lat. Ale próbki nasienia były jeszcze całe setki. Z takiej począł się *Carlinhos*. Potem *Adriana Wspaniała* postanowiła, że chce jeszcze jedno dziecko. Zabaweczkę, ostatnią pamiątkę po zmarłym mężu. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat zachciało jej się kolejnego dziecka. A ja żadnego swojego nie mogłam mieć! Nie zasługiwała na takie dziecko, na chłopczyka-zabaweczkę na starość. Więc decyzja była bardzo prosta.

Święci, *orixas*, *exus* i *guias* wbijają w Lucasinho swój plastikowy wzrok. Czuje się podenerwowany i onieśmielony. A od zielonego bioświatła robi mu się niedobrze. Tak, to na pewno to zielone bioświatło. A nie okropne pytanie, które musi teraz zadać.

– Flavia... a ja?

– Masz kości policzkowe Sunów i oczy Cortów, Luca. Nie do pomylenia. – Flavia widzi jego zaniepokojenie. – Mówiłam, że ty tego nie zrozumiesz.

– Czyli urodziłaś Wagnera...

– Swoje dziecko. Tyle mi wystarczało. Wy, Cortowie, ta duma was zaślepiła. To pierwszy i najcięższy z grzechów – pycha. W życiu nie przyszłoby wam do głowy, że Wagner może być synem Carlosa i Flavii, a nie Carlosa i Adriany. Nigdy. Buta i pycha! – Flavia unosi ręce, jakby potępiała lub błogosławiła. – I w życiu byście się nie dowiedzieli, gdyby Wagner nie zachorował na oskrzela i nie trafił do szpitala. Adriana się obawiała, że to coś wrodzonego, że plemniki Carlosa albo jej jajeczka zepsuły się od długiego przechowywania. Szpital zrobił badania genetyczne. I moje oszustwo od razu się wydało. Złamałam kontrakt, ale gdyby media zwiedziały się, że ostatnie dziecko Adriany Corty nie jest jej, wybuchłaby afery stulecia. Cortowie dali mi pieniądze za milczenie i zagrozili.

– *Vo ci groziła?*

– Sama Adriana nie. Przyszli jej ludzie z darami. Helen de Braga pokazała mi pieniądze. Heitor Pereira pokazał mi nóż. Wagner został w Boa Vista, żeby wychować się na stuprocentowego Cortę. Ale Adriana nie potrafiła go pokochać. Patrzyła na niego i widziała kogoś, kto jest Carlosa, ale nie jej.

– Tak, zawsze była dla niego zimna. Oziębła. Ale to mój ojciec naprawdę go nienawidzi.

– Mądry człowiek, twój ojciec. Wagner jest zagrożeniem dla rodziny. Ja jestem zagrożeniem dla rodziny i fakt, że ci to mówię, też jest zagrożeniem dla rodziny. Serce Lucasinho podskakuje w panice.

– Gdyby wiedział, że ty... coś by ci zrobił?

– Nie zaryzykowałby. Nie chciałby cię stracić na zawsze.

– Akurat by się tym przejął. Jakoś nie widziałem, żeby posłał za mną ochronę, kiedy uciekłem z Boa Vista.

– Twój ojciec dokładnie wie, gdzie byłeś i co robiłeś. I gdzie teraz jesteś też dobrze wie.

– Żałuję, że jestem pierdolonym Cortą. – Gwałtownym machnięciem ręki zmiata ze stołu świętych i wota.

Flavia pieczołowicie ustawia je z powrotem.

– Patrzcie no na bogatego gówniarza. Uciekasz, a przyjaciele robią dla ciebie imprezy, ciotka rzuca ci furę kasy, kochankowie dają dach nad głową i koc na dupę. Nienawidzisz być Cortą? Żałujesz, że nigdy nie musiałeś handlować powietrzem z płuc i szczynami z pęcherza? Żałujesz, że nie musiałeś okradać botów recyklingowych albo dźgać kogoś nożem za worek maniokowych frytek? Zamknij gębę. Bo ci mózg wypadnie. To ciasto, które przyniosłeś? Wtedy mogłabym cię dla niego zabić. Twoja rodzina zawsze brała zieluniaczki na *madrinhas*, bo mają ziemskie kości i ziemskie mięśnie. Sześć miesięcy wcześniej wysiadłam z cyklera, pracowałam w dziale robotyki w Taiyangu, w Królowej Południa. Trafiła się mikrorecesja i wylądowałam na ulicy. Spałam w stropie, czułam, jak promieniowanie siecze mnie jak grad. Kradłam, dźgałam nożem, sprzedawałam wszystko, co miałam, a potem powiedziałam sobie: dosyć. Dosyć. Poszłam do Sióstr, bo wiedziałam, co robią z genami. *Mãe-do-santo* tylko na mnie spojrzała, potem sprawdziła pięć, dziesięć, pięćdziesiąt razy moją historię medyczną. I wysłała mnie do Adriany Corty, a ta wsadziła mi do macicy Carlinhosa i już nigdy nie brakowało mi jedzenia, picia ani powietrza. Żałujesz, że masz to wszystko. Matko Boska, wszyscy święci, kurwa mać, co z ciebie za niewdzięcznik. – Flavia żegna się i całuje w kostki palców.

Lucasinho czuje, że twarz mu płonie ze wstydu i złości. Dość już ma tego, że wszyscy mu mówią, co ma ze sobą zrobić. Wkładaj tę sukienkę. Rób taki makijaż. Nie bądź z tą dziewczyną. Bądź dobrym synem. *Madrinha* Flavia wstaje z podłogi i nastawia wodę we wnęce kuchennej. Stukanie tłuczka w moździerz, potem mały pokoić wypełnia gęsty zielony zapach.

Lucasinho już trzyma dłoń na klamce.

– A dokąd ty idziesz?

– Czy to ważne?

– Nie. Ale nie pójdziesz. Nie przyszedłbyś do mnie, gdybyś miał inne miejsce

do wyboru. A ja nie chcę, żebyś szedł. Proszę. – Flavia wręcza mu szklaneczkę z ziołową *maté*. – Siadaj.

– Wszyscy mi tylko rozkazują. Wszyscy tak dobrze wiedzą kim jestem, czego chcę i kim mam być.

– Proszę.

Lucasinho wacha napar.

– Co to jest?

– Dobrze na sen – mówi Flavia. – Późno jest.

– A skąd ty wiesz?

W mieszkanku nie ma zegarów. Zakon ich nie pochwała – zegary to noże krojące czas, dzielące Wielkie Teraz na coraz drobniejsze plasterki: godziny, minuty, sekundy. A filozofia Sióstr jest za ciągłością, za czasem jednym i niepodzielnym, istniejącym jednocześnie w całej rozciągłości, jako czwarty wymiar, w myśli Oloruna Jedynego.

– Takie mam wrażenie.

– Nie podoba mi się to – mówi Lucasinho, wachając z niesmakiem zawartość szklanki.

– Ktoś mówił, że to dla ciebie?

Lucasinho wypija. Zanim Flavia zmyje naczynia w aneksie kuchennym, już śpi, zwinięty w kłębek na kanapie.

Dwanaście śladów w księżycowym pyle. Dwanaścioro jeźdźców w szyku w kształcie litery V przecina w poprzek krater Eimmart K. Marina Calzaghe jedzie od trzech godzin. Dupę od dawna ma jak z kamienia. Boli ją szyja, palce ma odrętwiałe od drgań, czuje zimno wgrzyzające się od zewnątrz w elastyk, a wzroku nie może oderwać od wskazania O₂ w dolnym prawym rogu HUD-a. Wszystko jest wykalkulowane – powietrza jest na dotarcie do celu plus jedna godzina. Łaziki z *Mare Marginis* powinny zdążyć przywieźć im zaopatrzenie. Trzy godziny już minęły, została jedna, prędkość sto osiemdziesiąt kilometrów

na godzinę – maks to dwieście dwadzieścia, ale bardzo zżera baterie – a gdzieś tam nad nimi, za węglem świata, flota Woronców już pędzi na *Mare Anguis*. Obliczenia mówią, że Ekipa Corta dotrze do najdalszego wierzchołka działki pięć minut przed transportowcami Mackenziech/VTO. Plus minus trzy minuty. Wszystko rozpracowane. Lucas Corta liczy dokładnie.

Pierwsza godzina jazdy na północ z przystanku kolejowego przebiega wyboistym, nierównym górskim terenem: kratery, materiał wyrzucony, zdradzieckie stoki, wymagające skupienia wszystkich zmysłów, naturalnych i cybernetycznych. Ogromne koła napędowe lunicykli przeskakują po drobnych kamieniach bez problemu, ale każda większa skała to decyzja – wjeżdżać na nią czy omijać? Jeden błąd – uszkodzasz koła albo napęd i zostajesz sama między kraterami, patrząc, jak towarzysze oddalają się od ciebie długimi pyłowymi krechami. A ekipa ratunkowa nie przyleci. Wykupili ją Mackenzie. Przy każdej skale i dolince Marina zaciska zęby. Każdy grzbiet to fala bólu w kręgosłupie – plecy ma jak rozpalony pręt bólu. Ręce dygocą od ściskania kierownicy nieruchomo, nieruchomo, gdy lunicykl pędzi podskokami przez niebezpieczny teren. Zesztywniała jej cała szczęka, nie pamięta, kiedy ostatni raz mrugała. Marina Calzaghe czuje, że żyje. Obłądnie żyje.

– Motocykle – powiedziała wtedy.

– Lunicykle – poprawił Carlinhos.

Jedenaście motorów w zagrodzie na płaskiej platformie wagonu. Imponujące, potężne maszyny, z odsłoniętymi żyłami, drutami, kośćmi i trybami; brutalnie funkcjonalne i na swój sposób piękne. Każda inna, ręcznie wykonana, skrojona na miarę jeźdźca, metalowe powierzchnie porzeźbione w czaszki, smoki, *orixas*, facetów z wielkimi fiutami i kobiety z megacyckami, płomienie, wybuchy, miecze, kwiaty. Motocyklowa estetyka jest niezmienna i wieczna. Marina przesunęła dłoń w rękawicy po chromowanej burcie.

– Jeździłaś kiedyś czymś takim? – zapytał Carlinhos.

– A niby kiedy... – zaczęła Marina i przypomniała sobie o grze.

– Myślisz, że dasz radę?

– To nie może być trudne, nie?

– Trudne. Jeśli coś ci się nie uda, zostawiamy cię.

Nie było dla niej motocykla. Jako zieluniaczka miała jechać do Południka w cieple i wygodzie hermetycznego wagonu. Ale teraz, gdy Paulo Ribeiro musi wrócić na sekcję zwłok do João de Deus, ekipie brakuje jednego motocykla, a plan wymaga wszystkich. Mackenzie mogą jeszcze wywinąć jakiś numer. Więcej motocyklistów to większa elastyczność.

– To jak, jedziesz?

Po portugalsku to było zaproszenie, nie pytanie. Pociąg już zwalniał. Plan Lucasa był prosty. Marina zapamiętała go jako ciemnego, poważnego człowieka, który wypowiedział ratujące jej życie słowa: „Od teraz pracujesz dla Corta Hélio”. Zapamiętała szczegół, który umknął nawet Carlinhosowi – oni przyszli na tę imprezę jako lunicykliści. Plan Lucasa: pociągiem przywieźć lunicykle do najbliższego punktu działki, dać w palnik i pędzić na północ, na *Mare Anguis*. W każdym z czterech rogów działki odpalić transponder z GPS-em. Cztery wierzchołki, motorów jedenaście.

– Jadę – powiedziała Marina Calzaghe.

– Proszę, umowa. – Hetty wyświetliła ją na soczewce Mariny. Pobieżne przejrzenie – masa klauzul dotyczących wypadków śmiertelnych – *jin*, i zwrot Carlinhosowi.

– Trzymaj się mnie – powiedział na jej prywatnym kanale.

Jedenaście motorów, cztery narożniki. Czyli to ona i Carlinhos będą się ścigać z Mackenzie Metals i wszystkimi ich statkami do najdalszego, ostatniego punktu działki.

Lunicykliści wsiedli. Maszyna Mariny była potworem z powyginanego aluminium i aż iskrzących mocą akumulatorów. Spomiędzy uchwytów kierownicy patrzyła na nią wytrawiona w chromie Pani Luna, wyszczerzona czaszkową półtwarzą. Hetty spięła się z AI motoru, gdy Marina sadowiła się w siodle. Sprzęt ożył. Sterowanie okazało się proste. Przód, tył, kręceniem regulujesz szybkość.

Carlinhos dodał gazu i zeskoczył z platformy, jeszcze przed tym, jak pociąg na dobre się zatrzymał. Poszybował wysoko i pięknie, błyszcząc w świetle Ziemi, wylądował daleko za ostatnim z torów. Zanim Marina ściągnęła żurawiem swój motor na powierzchnię i nauczyła się, jak powstrzymać maszynę od

przerazających i śmiertelnych akrobacji na jednym kole, on był już za horyzontem.

Ustawiła kurs, odkręciła gaz i posterowała za pyłowymi śladami. Krótki impuls gazu i już wpasowała się w szyk – po lewej stronie Carlinhosa była przeznaczona dla niej przerwa. Wjechała w nią. Carlinhos odwrócił zasłoniętą szybką twarz i kiwnął do niej.

Lunicykle nurkują w płytki krater Eimmart K. Marina skręca, żeby ominąć kawał wyrzuconego materiału wielkości trupa. Leży tu dłużej, niż na Ziemi istnieje życie, myśli. Durna, przeszkadzająca skała. Wyjeżdżają na dno martwego morza.

Carlinhos podnosi rękę, ale chowańce już poinformowały całą ekipę. Trzy lunicykle odklejają się od lewego skrzydła i skręcają na wschodni południowy wschód. Marina obserwuje opadające powoli chmury pyłu za nimi. Celują w południowo-wschodni wierzchołek czworokąta. Zostało dziewięć, pędzą przez ciemną równinę niesymetrycznym skrzydłem. Jazda jest teraz prosta, szybka, monotonna i pełna pułapek – najgorszych, takich, które wychodzą z ciebie samej, wynikają z nudy, rutyny i monotonii. Płasko płasko płasko. Monotonnie monotonnie monotonnie. Żadna frajda. Płasko płasko płasko szybko szybko szybko. Po co komu wymyślać taki sport polegający na jechaniu szybko i prosto. A może właśnie o to chodzi? Ci mężczyźni i ich sporty! Wszystko da się zamienić w bezsensowną rywalizację, nawet szybka jazda po dnie księżycowego morza. Ale musi w tym być coś jeszcze. Jakies umiejętności, jakies akrobacje, numery. Tak Marina rozumie sporty – akrobacje, punkty, albo szybkość.

W wyznaczonym miejscu Carlinhos znów podnosi rękę – końcówka prawego skrzydła odłącza się i tnie łukiem na zachód morza. Południowo-zachodni narożnik działki jest pięćdziesiąt kilometrów od nich. Pięć pozostałych lunicykli pędzi dalej.

– A lubisz brazylijską muzykę? – Aż podskakuje, słysząc głos Carlinhosa. Chwieje się, bierze w garść.

– Nie za bardzo. Taka windowa mi się wydawała. Może jestem za bardzo *norte*, żeby ją zrozumieć.

– Ja też nie rozumiem. *Mamãe* uwielbia. Wychowała się przy niej. To jej

kontakt z domem.

– Z domem – mówi Marina, choć to nie jest pytanie.

– I Lucas też jest wielkim fanem. Kiedyś próbował mi wytłumaczyć, na czym to polega, *saudade*, słodka melancholia i tak dalej, ale ja nie mam do tego ucha. Prosty facet jestem. Lubię muzykę taneczną. Rytm. Coś, co się czuje.

– Tańczyć lubię, ale za dobrze nie umiem.

– Kiedy wrócimy, kiedy to ogarniemy, pójdziemy sobie na tańce.

Marinie aż serce podskakuje, gdy pędzi z prędkością stu dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę przez *Mare Anguis*.

– Co to, randka? – pyta.

– Wszyscy idą, cała ekipa – odpowiada Carlinhos. – Jeszcze nie widziałaś, jak Cortowie imprezują.

– Byłam tam w Boa Vista, nie pamiętasz? – Marina wycofuje się zażenowana. Rumieni się pod skafandrem jak piwonia.

– To nie była impreza Cortów. No to, Marina Calzaghe, jaką muzykę lubisz?

– Ja dorastałam na Północnym Zachodzie, więc nic tylko gitary. Rocka lubię i tyle.

– A. Metal. W ekipie to prawie wszyscy metalu słuchają.

– Nie metal. Rocka.

– A co za różnica?

– Zasadnicza. Ale jak mówi twój brat, trzeba mieć do tego ucho.

Przedni radar wykrywa przeszkodę za horyzontem. Omijanie będzie kosztowało parę drogocennych minut.

– Sporo już o mnie wiesz, Marina. Lubię muzykę do tańca, chodzę na Długi Bieg, kocham matkę, ale nie lubię starszych braci. Kocham za to młodszego brata, a siostry w ogóle nie rozumiem. Nie cierpię garniturów, nie cierpię mieć skały nad głową. Ale o tobie ciągle nie wiem nic. Słuchasz rocka, jesteś *norte*, uratowałaś mi brata, i to w zasadzie tyle.

Przeszkoda okazuje się plamą nierównego górskiego terenu, pozostawioną, kiedy przedwieczny bazalt zalewał basen *Mare Anguis*. Przejście jest nagłe jak na łagodny zerodowany księżycowy krajobraz, lecz Carlinhos bez śladu wahania steruje prosto między skały.

– Tak trochę przypadkiem się tu znalazłam – mówi Marina.

– Na Księżyc nikt nie trafia przypadkiem – stwierdza Carlinhos.

Jego motor trafia w skalny grzbiet i wylatuje w powietrze, leci dziesięć, dwadzieścia metrów, aż ląduje w eksplozji pyłu. Marina naśladuje go. Jest bezradna, bezbronna; serce staje w panice. Równo. Aby równo. Tylne koło trafia w ziemię, z trudem utrzymuje motor prosto. Oba koła. Teraz prosto. Prosto. Aż dech jej zapiera z radości.

– To jak to było? – Głos Carlinhosa na prywatnym kanale.

– Mama mi się rozchorowała. Gruźlicze zapalenie opon.

Carlinhos przywołuje po portugalsku São Jorge.

– Straciła prawą nogę od kolana i władzę w obu. Żyje, mówi, radzi sobie, ale to już nie jest ona. Nie ta matka, którą znałam. To tylko fragmenty, które udało się w szpitalu uratować.

– Czyli pracujesz dla szpitala.

– Pracuję dla Corta Hélio. I dla mamy.

Zostali tylko we dwoje. Carlinhos sprowadza ją ze skał, a przed nimi otwiera się rozległe płaskie Morze Węży.

– Urodziłam się i wychowałam w Port Angeles. W stanie Waszyngton – mówi Marina, bo jest ich teraz tylko dwoje, samych na równinie, która zakrzywia się we wszystkich kierunkach; opowiada o dorastaniu w domu na skraju lasu pełnego ptasich krzyków, wiatrowych dzwoneczków, trzepoczących rękawów i flag.

Matka praktykowała *reiki*, leczenie aniołami, tresurę koni – miała się wszystkich prac, jakie dawało się znaleźć w usługach pod koniec XXI wieku. Ojciec – niezawodny w prezentach na urodziny, święta i zakończenie szkoły. Siostra – Kessie, brat – Skyler. Psy, mgła, ciężarówki z drewnem; pomruk silników wielkich statków na kanale, parada kamperów, motocykli i przyczep jadących w góry i nad wodę; pieniądze, które zawsze się jakoś pojawiały, gdy na trawniku przed domem buksowała kołami desperacja. I świadomość, że cała ta konstrukcja jest o jedną pensję od zawalenia się.

– Miałam takie coś ze statkami – mówi Marina i od razu uświadamia sobie, że Carlinhos może w ogóle nie kojarzyć gigantycznych kontenerowców

przepływających cieśninę San Juan de Fuca. – Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że mają superdługie nogi, jak pająki, dziesiątki takich nóg, i tak naprawdę chodzą na nich po dnie morza.

Tak rodzą się inżynierowie – z chodzących statków i uwielbianej zabawki, edukacyjnej gry dla dziewcząt, gdzie trzeba było ratować uwięzione zwierzęta za pomocą sznurków, bloczków, wind i przekładni.

– Robiłam naprawdę skomplikowane, popisowe konstrukcje – mówi Marina. – Nagrywałam i dawałam do sieci.

Matka była jednocześnie skonsternowana i zachwycona, że najstarsza córka ma smykałkę do inżynierskiego rozwiązywania problemów. Dla rodziny, przyjaciół i licznych zwierząt była to zupełnie obca filozofia: żyło się po partyzancku, chaotycznie, z dnia na dzień. Mimo to Ellen-May Calzaghe zawzięcie popierała córkę, choćby i nie rozumiała, co ona tam na uniwersytecie studiuje. Symulowana informatycznie biologia ewolucyjna w architekturze sterowania procesami brzmiała jak techniczny bełkot, ale przynajmniej kojarzyła się z regularną pensją.

Potem przyszła gruźlica. Przywiał ją ze wschodu, od chorego miasta. Ludzie od lat wyprowadzali się stamtąd, lecz rodzina sądziła, że jest odporna, chroniona. Choroba przebiła się przez amulety, dzwoneczki, astralne zaklęcia, zagnieździła się w płucach Ellen-May, a stamtąd przedostała do opon mózgowych. Antybiotyki zawodziły jeden po drugim. Życie uratowały fagi, lecz infekcja zabrała jej nogi i dwadzieścia procent mózgu. A zostawiła obłądny rachunek. Więcej pieniędzy, niż zarobią wszyscy przez całe życie. Więcej pieniędzy, niż zarabia się gdziekolwiek – z wyjątkiem czarnego sektora finansowego. No i Księżyc.

Marina nigdy nie zamierzała lecieć na Księżyc. Dorastała ze świadomością, że tam są ludzie i że dzięki nim na świecie w dole palą się światła. Jak każde dziecko w jej pokoleniu wypożyczała teleskop, żeby patrzeć z chichotem na King Donga na *Mare Imbrium*, jednak poza tym Księżyc był daleki jak równoległy wszechświat. Nie liczył się jako miejsce, do którego można polecieć. Nie z Port Angeles. Aż nagle Marina odkryła, że nie tylko może, ale wręcz musi, że ten świat domaga się jej umiejętności i talentów, że ją przyjmie i zapłaci jej obłądne

pieniądze.

– A te umiejętności to podawanie blue moonów na imprezie po Księżycowym Biegu Lucasinho, tak? – pyta Carlinhos.

– Znaleźli kogoś tańszego.

– Trzeba było uważniej przeczytać kontrakt.

– Tylko jeden miałam do wyboru.

– Ale to jest Księżyc...

– Wszystko jest negocjowalne, tak, wiem. Teraz wiem.

Wtedy nie wiedziała nic, ogarnęła ją fala wrażeń i przeżyć, na które wszystkie zmysły krzyczały: nowe, przerażające. Szkolenie zawiodło. Była kompletnie nieprzygotowana do wyjścia z kapsuły holu w tłum, kolor, hałas i smród Południka. Zmysły buntowały się. Wsadź tę soczewkę do prawego oka, szybko. Poruszaj się tak, chodź tak, nie przewracaj ludzi. Załóż takie konto, takie, takie i owakie. To jest twój chowaniec. Masz dla niego imię, skórkę? Przeczytałaś to? To podpisz tutaj i tutaj. Co to, ta kobieta fruwa?

– Południowo-wschodnia ekipa coś mówi – przerywa Carlinhos. – Przylecieli Mackenzie.

– A my daleko mamy?

– Gaz w podłogę.

Marina liczyła, że to powie. Czuje, jak silnik wrywa się jej spomiędzy ud. Lunicykl gwałtownie przyśpiesza. Marina pochyła się nisko. Nie ma potrzeby – na Księżycu nie ma oporów powietrza. Ale tak się robi na szybkim motocyklu. Pędzą obok siebie po *Mare Anguis*.

– A u was? Jak to jest? – pyta Marina.

– Rafa uwodzi, Lucas knuje, Ariel gada, a ja walczę.

– A Wagner?

– Wilk.

– No bo wiesz, Lucas go nie znosi. O co chodzi?

– Nasze życie nie jest za proste. U nas się wszystko robi inaczej. – Tymi kilkoma słowami Carlinhos mówi, że wciąż są po różnych stronach kontraktu.

– Mam dwanaście procent O₂ – informuje go Marina.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Carlinhos, hamuje i okręca lunicykl, wzbijając pierścień pyłu.

Marina zawraca szerokim łukiem i zwalnia, zatrzymując się obok niego. Pył łagodnie opada wokół.

– Na miejscu. – Ciemne płaskie dno morza, bezpłciowe jak dno woka.

– Północno-wschodni wierzchołek czworokąta na *Mare Anguis*. – Odpina nadajnik od bagażnika lunicykla.

– Carlinhos – rzuca Marina. – Szeffie...

Horyzont jest tak ciasny, a statek Woroncowów tak szybki, jakby zmaterializował się z ciemnego nieba tuż nad nią niczym anioł. Jest wielki, zasłania pół nieba. Leci nisko, opada, błyskając ciągiem z silników raketowych.

Carlinhos klnie po portugalsku. Nadal rozstawia trójnóg z nadajnikiem.

– W tym ich statku jest automatyczne pozycjonowanie. Jeśli tylko dotknie ziemi...

– Mam pomysł. – Szalony, wariacki pomysł, którego nawet w księżycowym kontrakcie nie pokryje żadna klauzula.

Marina dodaje gazu. Statek Woroncowów obraca się wokół osi, wzbijając słupy pyłu silnikami manewrowymi. Marina przyśpiesza przez pył i hamuje dokładnie pod brzuchem statku. Patrzy w górę. Wokół szybki hełmu błyskają ostrzegawcze światełka. Przecież nie wylądują na pracowniku Corta Hélio. Nie spalą jej i nie zmiażdżą, nie na oczach Corty. Nie zrobią tego. Statek zawisa, potem rozjarzają się silniczki manewrowe, odpływa z miejsca lądowania.

– Nie, kurwa, nie! – Marina znów dodaje gazu i pędzi pod opadający statek.

Spowija ją podmuch silników, grozi wywróceniem. Tym razem niżej. Kamery na brzuchu obracają się, patrzą na nią. O czym oni teraz mówią w tym statku? Tu jest Księżyc. Tu się wszystko robi inaczej. Wszystko jest negocjowalne. Wszystko ma cenę – pył, życie ludzkie. Korporacyjna wojna z Cortami. Transportowiec wisi nad ziemią.

– Carlinhos...

Transportowiec przesuwają się w bok. Nie może zdryfować za daleko od współrzędnych narożnika działki, co neutralizuje jego przewagę szybkości. Marina zawsze jest w stanie za nim nadążyć. Ale jest nisko, rany, jak nisko. Za

nisko. Marina z wrzaskiem zarzuca lunicyklem. Tylne koło traci przyczepność, jeździec i motor przewracają się i suną, suną, suną. Marina łapie się pyłu, usiłując trochę wyhamować. Bez tchu zatrzymuje się pod samą stopą podwozia. Podmuchi silnika oślepia ją pyłem. Stopa podwozia jest jak miażdżąca śmierć nieubłagana opadająca na nią. Już to wykalkulowali.

– Marina! Wyjeżdżaj stamtąd!

Ostatkiem sił Marina wytacza się spod podwozia. Statek Woroncowów siada. Stopa, dźwigar, amortyzatory są dwa metry od jej twarzy.

– Zrobiłem.

Przewraca się na drugi bok – jest Carlinhos: kuca, sięga rękami, żeby ją wyciągnąć. Za nim miga kontrolka nadajnika. Te błyski to życie. Te błyski to zwycięstwo.

– Udało się.

Marina z trudem zbiera się na nogi. Bołą ją żebra, serce trzepocze, wszystkie mięśnie bołą z wysiłku, zaraz się zrzyga do hełmu, na wyświetlaczu błyskają czerwono i żółto dziesiątki alarmów, a palców rąk i nóg nie czuje z zimna. Ale te światełka, te mrugające światełka. Obejmuje Carlinhosa ramieniem i pozwala mu się wyprowadzić spod statku. Transportowiec jest piękny i obcy, niepasujący tutaj, jak dziecięca zabawka porzucona na Morzu Węży. Sylwetki w jasno oświetlonym kokpicie – jedna z nich podnosi rękę na powitanie. Carlinhos odpowiada tym samym. Potem odpalają silniki, oślepiając ich chmurami pyłu. Transportowca już nie ma. Są sami. Marina obwisa w uchwycie Carlinhosa.

– To kiedy tu będzie ten łazik?

Jorge ustawia gitarę w wyćwiczonej, wygodnej pozycji. Lewa noga odrobinę w przód, postawa w równowadze.

– Co mam zagrać, *senhor* Corta?

– Nic.

– Nic.

– Nic. To był pretekst, Jorge, żeby cię tu ściągnąć.

Po próbie z zespołem ciężko mu się zasypiało, w muzycznej wyobraźni wirowały srebrzyście pasaże i progresje akordów, pomysły na rozegranie z perkusistą trudnego synkopowania. Chowaniec Gilberto zaszeptał do ucha: *Lucas Corta*. Trzecia trzydzieści cztery. Jezusie i Maryjo. *Jesteś mi potrzebny*.

– Nie chcę, żebyś śpiewał.

Jorge traci dech.

– Chcę, żebyś się ze mną napił.

– *Senhor Corta*, jestem bardzo zmęczony.

– Ale wiesz, Jorge... ja nie mam nikogo innego.

– Twoja *oko*, *Lucasinho*...

– Nie mam nikogo innego.

Stoją na balkonie. Mojito zmieszane tak, jak lubi Jorge. Prywatny rum Lucasa. Dochodzi czwarta, ale Kwadra Świętego Sebastiana jest pełna gwaru i bieganiny – roboty i robotnicy, technicy, serwisanci. Powietrze – nieruchome, naelektryzowane od zawieszzonego pyłu. Jorge czuje go na języku, w gardle. Założyłby *kuozhao*, żeby chronić swój głos, boi się jednak urazić tym Lucasa.

– Będę się rozwodzić z żoną – mówi Lucas.

Jorge z wysiłkiem szuka stosownej odpowiedzi.

– Nie znam się na *nikah* u Pięciu Smoków, ale podejrzewam, że wykupienie się z takiego kontraktu musi nieźle kosztować.

– Bardzo dużo – mówi Lucas. – Absurdalnie dużo. A Sunowie są przyzwyczajeni do walki w sądzie. Z CPC walczyli przez pięćdziesiąt lat. Ale ja jestem absurdalnie bogaty. A Ariel to moja siostra. – Opiera się o balustradę.

– Jeśli nie kochasz żony...

– Myślisz, że miłość ma z tym cokolwiek wspólnego? To nie masz pojęcia, po co się żenią Smoki. Nie. To było małżeństwo pragmatyczne, polityczne, dynastyczne. Jak wszystkie. Najpierw ślub, potem miłość. Jeśli ci się poszczęści. Rafie się poszczęściło i teraz przeżywa męki. A u mnie, Jorge, to święto.

– Nie rozumiem, *senhor*... Lucas.

– Odniosłem niesamowite zwycięstwo. Miałem świetny pomysł i popisowo go zrealizowałem. Pokonałem wrogów i przyniosłem rodzinie bogactwo i potęgę. Dziś jestem ulubieńcem Czterech Smoków. Dzisiaj to miasto należy do mnie. A

ja widzę tylko człowieka, który się kuli w jaskini, a jego imperium to pył. W tej jaskini się urodziłem, w tej jaskini umrę, a woda, węgiel i powietrze, które pożyczyłem, żeby żyć, będą mi zabrane i spłacą dług. Stanę się częścią miliona żyć. Parszywe zmartwychwstanie. My nigdy nie mieliśmy wyboru. Matka jeszcze miała. Zamieniła Ziemię na bogactwo. Ja tego wyboru nie miałem. Nikt z nas nie ma. Nie możemy wrócić. Nie mamy takiej opcji. Mamy tylko tyle – pył, słońce i ludzi. Księżyc to ludzie. Tak mówią. Ludzie to twój największy wróg i twoja największa nadzieja. Rafa lubi ludzi. Rafa liczy, że będzie tu niebo. Ja wiem, że żyjemy w piekle. Jak szczury w tunelu pozbawione piękna.

– Lucas, mam ci coś zaśpiewać?

– Może i tak. Wszystko już jasne, Jorge. Wiem dokładnie, co trzeba zrobić. Dlatego właśnie musiałem stracić Amandę. Dlatego nie potrafię się cieszyć. Dlatego nie będę umiał cię dzisiaj słuchać. Jorge... – Lucas przesuwając palcem po wierzchu jego dłoni – ...ale zostań.

– Budź się.

Ręce chwytają ją pod ramiona i unoszą. Była o krok od zaśnięcia i osunięcia się pod wodę. Carlinhos kuca przy zbiorniku z wodą. Stuka w kieliszek Mariny, lepki od szafirowych resztek blue moona.

– Słabe połączenie. Utonięcie. Na Księżycu. Głupio by wyglądało na świadectwie zgonu.

– Musimy to uczcić. Należy mi się.

Marina była na ostatnich łykach tlenu, kiedy zza horyzontu wyskoczył łązik z zaopatrzeniem. Dygotała z zimna, a gdy Carlinhos podpinał ją do systemu podtrzymywania życia, była sina z niedotlenienia. Łazik okręcił się na kołach, przyśpieszył do maksymalnej prędkości i wziął kurs na Beikou – farmę serwerów Taiyangu na krawędzi krateru Macrobius. Gdy Carlinhos pakował Marinę do śluzy i dysze ze sprężonym powietrzem oczyszczały ją z pyłu, na zmianę traciła i odzyskiwała przytomność wskutek hipotermii. Palce rozpinające elastyk. Palce ściągające go z niej. Palce w intymnym kontakcie odczepiające rurki i cewniki,

szarpięciem rozrywające zakrzepły żel nawilżający i zaschnięte odchody. Dłonie opuszczające ją do wody, cieplej cieplej wody – co to takiego? Woda ją otacza, penetruje, pieści. Woda przywraca ją do życia.

Co to jest?

– Taki zbiornik. – Głos Carlinhosa. Te dłonie. To jego? – Mało brakowało, żebyś tam umarła.

– Przecież by nie wylądowali na mnie statkiem. – Ledwo była w stanie przecisnąć słowa przez szczękające zęby. Wracała do życia, a to była męka.

– Nie o to mi chodzi.

– Tak było trzeba.

– Uwielbiam, jak ty to mówisz – powiedział Carlinhos. – To takie *norte*, taka święta racja. „Było trzeba” i tyle. – Przesunął palcem po powierzchni zbiornika. – My zapłacimy za wodę.

Beikou jest ciasne i introwertyczne jak klasztor: Sunowie, Asamoah i pomniejsze klany połączone splątanymi więzami skomplikowanych poliamorii. W wąskich wymagających garbienia się tunelach dźwięczą głosy dzieci mówiących w pięciu językach; trzykrotnie przepuszczone przez płuca powietrze śmierdzi ciałami i potem, tym specyficznym kurzem z systemów komputerowych, kwaśnym moczem. Żeby Marina mogła tym oddychać, żeby mogła się taplać w tym jaju z wodą w czeluściach Księżyca, Corta Hélio musiało podpisać kontrakty z Taiyangiem i AKA. Marina odchyła się w tył, jej włosy unoszą się na cieplej wodzie. Może dosięgnąć ręką do dachu ze spiekanego szkła. Patrzy z niego Ao Guang, Smoczy Król Morza Wschodniego, wymalowany w komiksowym stylu *manhua*. Woda chlupie jej wokół piersi. Coś ją rozfalowało.

– Co ty robisz?

Znów się na moment zdrzemnęła, otwiera oczy i widzi, jak Carlinhos strząsa z siebie elastyk.

– Wchodzę.

Opuszcza się do wody. Wyglądasz na zmęczonego, myśli. Jesteś fantastyczny, ale śmiertelnie zmęczony. Poruszasz się jak stary krab. Dziennik aktywności Hetty zarejestrował dwadzieścia osiem godzin na powierzchni. Elastyki są przewidziane na dwadzieścia cztery. Powinniśmy oboje nie żyć. Chłapie

Carlinhosowi w twarz wodą. Jest tak zmęczony, że nawet nie robi uniku.

– Cześć.

– Cześć.

– I udało się?

– Sąd Claviusa uznał nasze roszczenia i wydał koncesję. Już poszły zapytania ofertowe na budowę.

Marina unosi drobną obolałą pięść i wydaje równie drobny i zbolały okrzyk radości.

– Wiesz co, może faktycznie należy się nam impreza – mówi Carlinhos. – Tu pędzą naprawdę dobrą wódkę z ziemniaków.

– A o co chodziło z tym, że utopienie głupio wygląda?

– No... to chyba jeszcze głupsza przyczyna zgonu niż „wylądował na niej statek VTO”?

– Ech, ty... – Znów ochlapuje go wodą.

Nie jest w stanie albo nie chce się uchylić. Ech ty, taki śliczny jesteś, kiedy jesteś zmęczony, śmierdzący, szczeciniasty, obolały, tak bym cię chciała teraz, bo jesteś tuż pod ręką, dotykasz moich kolan, łydek, stóp, jakbym tylko przesunęła rękę tam o parę centymetrów, a ty byś przesunął rękę tu o parę centymetrów, to by się stało, ale nie zrobię tego, bo jestem nieżywa i ty jesteś nieżywy, a poza tym jesteś Smokiem, a ja tych Smoków zawsze się bałam, ale przede wszystkim dlatego, że jesteśmy jak bliźnięta w macicy, zwinięte jedno przy drugim w ciepłej wodzie, a to by było prenatalne kazirodztwo.

Wierci się obok niego. Opierają się o siebie wygodnie, trochę obolali, jak staruszkowie, skóra przy skórze, rozkoszując się ciężarem i obecnością drugiej osoby. Długonogie nastoletnie Sun – Marina nie odróżnia ich płci, widzi tylko chudopajęczność – przechodzi, pochylając się, przez niskie drzwi, żeby im przynieść blue moony. Śmiech, muzyka pop, wrzaski dzieci, burczenie urządzeń, wszystko to niesie się tymi tunelami, jakby to były piszczałki jakiegoś ogromnego instrumentu.

– Corta Hélio. – To toast.

– Morze Węży. A jakbym się kimnęła...

– To będę na ciebie uważać – odpowiada Carlinhos.

– A ja na ciebie.

Seks zawsze zaczyna się tak samo. Jeden kieliszek, schłodzony i zroszony. Jedna miarka zimnego dżinu. Trzy krople błękitnego curaçao ze szklanej pipety. Żadnej muzyki. Muzyka odwraca uwagę Ariel Corty od seksu. Dziś jest ubrana w fantastyczną rozkloszowaną suknię Rappiego, z halkami, płaski kapelusz New Look Dior i rękawiczki. Usta czerwienią się od fire and ice Revlonu, ściągnięte w skupieniu, gdy odmierza jedną po drugiej krople curaçao. Dziś używa dżinu z dziesięcioma ziołami, który dostała od Dilmy Filmus. Gdy uspokaja się falka po ostatniej kropli, Ariel Corta strząsa z siebie sukienkę. W księżycowym ciążeniu nie używa się staników, a reszty bielizny nie uznaje. Rękawiczki, kapelusz, samonośne pończochy z koronką u góry, trzynastocentymetrowe szpilki od Rogera Viviera. Ariel Corta unosi urękawiczoną dłonią kieliszek z martini i upija łyk.

Chłopaki zdobyli działkę. Cynk od Vidhyi Rao był prawdziwy. Krótka, bezpieczna rozmowa Ariel z Lucasem, na prywatnym szyfrowanym kanale, dowiodła trzech rzeczy. Rafie – że ona też ma władzę. Matce – że Cortowie naprawdę są Piątym Smokiem. Lucasowi – że ona też jest Cortą z krwi i kości. „Chcemy cię kupić”, mówiło Vidhya Rao. Nie kupić, opłacić. Wynająć, a nie wziąć na własność. Taka jest różnica między kupcem a konsultantem. Triumfujesz. Ariel Corta wznosi toast na cześć samej siebie, na cześć wszystkich swoich klientów, podwykonawców i całej koterii. Kolejny łyk blue moona. Beijaflor pokazuje Ariel ją samą, widzianą z dyskretnych kamer. Ariel pozuje, by lepiej podziwiać swoje ciało. Jest wspaniała. Wspaniała.

Zanim się rozbierze, waporyzuje kapsułkę Solo. Chemical Sisters, narkoprojektantki obsługujące całą elitę towarzyską, drukują je dla niej na zamówienie, na takie właśnie seanse. Kapelusz na wyściełany stojak, rękawiczki i pończochy cierpliwie zwijane. Ariel wchodzi do pokoju seksu. Jej skóra, sutki, usta, cipka i odbyt aż iskrzą od seksualnego pożądania. Ściany i podłoga są wyściełane miękką białą sztuczną skórą. Czeka już kostium, starannie ułożony,

także uszyty na miarę z białej sztucznej skóry. Najpierw kozaki – wysokie, obcisłe i zasnurowane ciasno, jeszcze ciaśniej, gdy wtyka końce sznurowadeł do środka. Chodzi dookoła po małym pokoiku, pozwalając udom ocierać się o siebie, łaskotać koronką tyłek i cipkę. Klęka, podniecając się wrzynającymi się w skórę oczkami butów i dotykającymi pośladków obcasami. Potem rękawiczki, do ramion, też z koronką i obcisłe. Rozkłada palce, obleczone ciasno białą skórą. Sztwywny, wysoki kołnierz. Aż zapiera jej dech, gdy zaciskają się sznurówki, gdy wyzbywa się ruchomości i swobody. Na sam koniec – gorset. To także jest cały rytuał – te wydechy, te starannie odmierzone zaciągnięcia pasków, aż ledwie jest w stanie oddychać. Małe piersi sterczą dumnie.

W wieku trzynastu lat Ariel Corta przeżyła orgazm po naciągnięciu na siebie elastyka. Odtąd nie miała go na sobie, ale jego obcisłość, to, jak nieustępliwie cię dusi, jak panuje nad ciałem, na zawsze ukształtowało jej seksualną grę. W życiu nikomu nie powiedziała o przygodzie ze skafandrem.

Knebel. Klasyczny, z czerwoną kulką pasującą kolorystycznie do szminki. Zapina go ciasno, jeszcze ciaśniej. To na takie okazje, przy których kiedyś wcisnęła sobie do ust pół prześcieradła, żeby stłumić dźwięki swojej fantastycznej masturbacji. Nie pozwala bąbelkom uciec z szampana. Ariel Corta pod kneblem pojękuje błagalnie. Nie może już sterować głosowo Beijaflowem, ale chowaniec grał w to tyle, tyle razy. Przygotowania zakończone.

Ariel powoli styka razem rękawiczki, włączając interfejs czuciowy; gładzi obie piersi, sycząc w knebel od dotyku gęstego, miękkiego futra. Obrysowuje palcami sutki, obłąkana z rozkoszy. W interfejsie coś przeskakuje, aż Ariel piszczy, dotykając się ostrą szczecina. Rękawiczki wybierają to losowo: Ariel pada na kolana, śliniąc się w ekstazie, gdy dotyka miękkich, wrażliwych fałdów warg sromowych ostrą szczotką, która zmienia się w winylowe guzki, a potem coś szorstkiego i chropowatego. Prawą ręką gładzi się długimi, powolnymi ruchami, lewą zaś bada nagą skórę pomiędzy ciasno zasnurowaną skórzaną garderobą. Prawie eksploduje; krew, kości, mięso i płyny utrzymywane w ryzach przez napiętą sztuczną skórę. Teraz interfejs czuciowy daje inne wrażenia z każdej dłoni. Ariel klęczy, odchyła się w tył, żeby palce miały lepszy dostęp do rozpalonej maleńkiej cipeczki. Ostre obcasy wrzynają się w tyłek, czuje jak

pośladki rozplaszczają się na miękko wyściełanej podłodze. Pod kneblem buzują entuzjastyczne przekleństwa. Beijaflor wyświetla obraz z kamer: ona sama, rozłożone uda, rozedrgane palce, twarz wygięta ku górze, rozszerzone oczy. Po policzkach płynie ślina przeciekająca po obu stronach knebla. Czucie przełącza się na szpileczki – teraz palce po raz pierwszy dobierają się do lechtaczki. Przez knebel przebija się ekstatyczny pisk. Dzięki Solo wszystko jest teraz hiperwrażliwe – lechtaczka, sutki, cipka i pączek odbytu. Każdy dotyk sprawia jednocześnie ból i rozkosz. Ariel mamrocze bezgłośnie. Beijaflor okrąża ją kamerą, zbliżenie na palce, na oczy, na poduszcзки ud ponad obcisłymi cholewkami kozaków.

Gra wstępna zajmuje godzinę. Ariel kilkanaście razy dociera na sam skraj orgazmu. Ale to dopiero gra wstępna. Seks jest zrytualizowany niczym msza. Dźwięczy drukarka, interfejs czuciowy się wyłącza. Roztrzęsiona, mokra od potu i śliny spod knebla Ariel czołga się do drukarki. Coco de Lune to najlepsza projektantka zabawek erotycznych na Księżycu. Póki drukarka nie zagra melodyjki, nigdy nie wiadomo, co jej przyniesie. Pewne jest tylko jedno: będzie zrobione na miarę dla jej ciała i jej gustu, i że trzeba będzie wielu godzin, aby zgłębić wszystkie niuanse zabawki.

Ariel otwiera podajnik drukarki. Dildo i sznureczek błyszczących kulek analnych. Dildo jest długie i opływowe, klasyczna staroświecka rakietka kosmiczna, w komplecie z czterema statecznikami na dole. Każdy statecznik steruje innym polem czuciowym. Srebrna rakietka wydrukowana na wymiar dla jej pochwy. Ale nie penis. Nigdy nie penis. Ariel nigdy nie wpuściła do siebie żadnego penisa.

Jesteś piękna, szepcze do niej Beijaflor jej własnym głosem. Kocham cię kocham kocham.

Ariel jęczy pod kneblem, kładzie się na wznak na białej skórze, rozkłada nogi.

Włóż go sobie, włóż na kilometr, mówi Beijaflor. Zerznij się na śmierć.

Ariel powoli wsuwa samonawilżające się kulki do odbytu. Gorset i kołnierz usztywniają ciało, nie pozwalają dojrzeć, co robi z własnymi otworami. A Beijaflor pokazuje zbliżenia, szepcze do uszu sprośności i wulgaryzmy, jej własnym portugalskim. Wciska kulki jedną po drugiej, głęboko, zaczepia palec o

uchwyt na końcu. Delikatnie ciągnie, czuje, jak ocierają się o nią w środku. Podczas orgazmu wyciągnie je, może powoli, a może wszystkie naraz. Potem wepchnie z powrotem, jedną za drugą.

Unosi dildo do oczu, dysząc z lęku i niepokoju, gdy jej własny głos instruuje ją dokładnie, co ma z nim zrobić, jak głęboko, jak szybko, jak długo, każdą kolejną pozycję i każde pchnięcie. Zajmie to godziny. Wiele godzin. Na koniec Ariel wyczołga się z pokoju seksu, ociekając potem, śliną, śluzem i żelem poślizgowym, i powoli uwolni się z krępujących skór. Żaden kochanek, żadne ciało nie umywa się do doskonałego seksu, jaki potrafi przeżyć sama ze sobą.

Ariel Corta od trzynastego roku życia jest radośnie, entuzjastycznie i monogamicznie autoseksualna.

Facet schodzi nisko, celuje ciężkim kluczem w jej kolana. Marina odskakuje. Własna siła i bezwładność niosą ją wysoko, daleko. Wysoko i daleko, to niebezpieczne. Moment pędu potrafi zabić. Opada na tyle ciężko, że traci dech w płucach, sunie, uderza o belkę. Facet od Mackenziech umie się bić. Idzie ku niej, unosi klucz, by walnąć ją w pierś. Marina kopie. But trafia w kolano. Chrzęst kości i krzyk na moment uciszają cały dok. Mężczyzna pada obezwładniony. Marina podnosi klucz.

– Marina! – Głos Carlinhosa. – Nie.

Mackenzie jest wysoki, sprawny – i jest mężczyzną. Ona jest niską kobietą, ale jest zieluniaczką. Ma siłę trzech księżycowych facetów. Jednym ciosem pięści mogłaby mu zmiażdżyć klatkę piersiową.

Jak się ta bijatyka zaczęła? Jak każda, jak pożar: łatwopalne temperamenty, bliskość, iskra, coś na podtrzymanie płomienia. Kontroler śluzy Beikou kazał ekipie Cortów czekać w przedsionku śluzy na przejście załogi łazików Mackenziech. Ekipa się wściekła: dość tych ciasnych tuneli, śmierdzącego powietrza, stęchłej wody. Chcieli do domu. Cierpliwość była na wyczerpaniu. Załoga Mackenziech – sami mężczyźni, jak zauważyła Marina – wyszli gęsiego ze śluzy, wnosząc ostry zapach księżycowego pyłu. Kiedy ich szef mijał

Carlinhosa, dwa słowa: *Corta* – złodzieje. Cierpliwość się urwała. Carlinhos zarzycał, dał mu z główki i cały przedsięwzięcie eksplodował.

Marina nigdy nie brała udziału w bójce. Widywała je w knajpach, w akademikach, na imprezach, lecz sama nigdy udziału nie brała. A tu jest celem. Ci ludzie chcą jej zrobić krzywdę. Tych ludzi nie obchodzi, czy zginie. Gość od Mackenziech wycofuje się z bójki, coś słabo pomrukuje zszokowany. Marina przysiada – im niżej, tym większa siła – i rozgląda się po pomieszczeniu. Prawdziwa walka nie wygląda jak na filmach. Walczący schodzą do parteru, szarpia się, atakują pazurami i próbują sobie nawzajem rozwalić łby. Carlinhos leży na plecach. Marina łapie napastnika za ramię. Ten wrzeszczy. Wywichnęła mu bark. Podnosi go za kołnierz i pasek skafandra, ciska na drugi koniec doku lekko jak kłęb ubrań, okręca się, szarżuje na pierwszego napotkanego Mackenziego. Wali nim o filar. Staje, dyszy. Ma supermoce. Jest kobietą Hulkiem.

– A policja gdzie?! – krzyczy do Carlinhosa.

– Na Ziemi! – odkrzykuje, podcina napastnikowi nogi. Wbija pięść w twarz. Krew tryska z rozbitego nosa, powoli opada czerwienią.

– Kurwa! – wrzeszczy Marina. – Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa! – Rzuca się w wir walki.

Urok mocy jest straszny i uwodzi z wielką siłą. To zupełnie jak być mężczyzną na Ziemi, mieć świadomość, że zawsze wystarczy ci siły. Kopie, łapie, unieruchamia, łamie, rozwała. I koniec. Krew na spiekany beton. Bulgotanie, siorbanie. Przyszła kontrola śluzy i rozdzieliła walczące strony paralizatorami i nożami, lecz bójki mają okres połowicznego rozpadu i ta już zdegenerowała się do pokazywania palcami, fikania i pokrzykiwania. Kłótnia się skończyła, teraz dotyczy tego kto płaci, kto komu wisi odszkodowanie. Teraz biją się prawnicze AI.

– Cała jesteś? – pyta Carlinhos.

Marina czuje od niego zapach brutalności. Robi się od tego gęsia skórka – walczył beznamiętnie i bez skrupułów, jakby przemoc była jednym z wielu narzędzi w jego biznesie. Tak zresztą powiedział na lunicyklach: „Rafa uwodzi, Lucas knuje, Ariel gada, a ja walczę”. Marina myślała, że to przenośnia. A nie.

On walczy, i to świetnie. Zaczyna się go trochę bać.

Kiwa jednak głową. Przychodzi dygot, schodzi fizyczna i chemiczna fala. Zrobiła ludziom krzywdę. Połamała kości, porozbijała twarze i czuje się teraz tak czysta, euforyczna i żywa, jak wtedy, gdy Carlinhos zabrał ją na Długi Bieg. Radość, intensywność przeżyć: brudna, swędząca, zbrukana – krwawa dziwka. Sama siebie nie poznaje.

– Jest busik. Jedźmy już do domu.

Może to zimno, może delikatna zmiana ciężaru na łóżku, a może drobne, dyskretne odgłosy wzmacniane przez noc – w każdym razie Sohni Sharma, budząc się, wie, że Rafa już wstał. Sam seks był tylko dodatkiem, deserem, dochowaniem należytej staranności. „Chodź ze mną z powrotem do klubu”, powiedział i może trzeba było się w tych słowach dopatrzyć ostrzeżenia. Hałaśliwi faceci, niektórzy z nich pijani, we własnym miejscu i we własnym czasie, lustrujący ją od stóp do głów, mierzący, ważący i taksujący, rzucający Rafie cwane spojrzenia, podniesione brwi i uśmieški. Faceci, którzy posiadają rzeczy. Potem przyszły informacje o koncesji – jakieś prawo do wydobycia czegoś, przejęty jakiś teren – i mrok, którym emanował Rafa, w barze przemienił się w złoty blask. Cały klub należał odtąd do niego. Drinki dla wszystkich, moi przyjaciele, pijcie-pijcie. Krzykliwy, chłopięcy, poklepujący po tyłku. Chamski i triumfujący, a ona była trofeum i obietnicą. Nagrodą dla zdobywcy. Obejmował ją ramieniem przez całą noc, do rana. Klub Właścicieli Drużyn Piłki Ręcznej nie był bezpiecznym miejscem. Mimo to została.

Bołą ją oczy, trzeszczą stawy, jest odwodniona jak powierzchnia Księżyca. Czy to będzie straszne, lecieć księżycową pętlą na kacu?

Godzina? Piąta dwanaście. Panele słoneczne to pas indygo na szczycie świata. Powinna się ruszać, zebrać rzeczy, ubrać się. Gdzie ten Rafa? Nie w sypialni, nie w łazience, nie w gabinecie, nie w sporym salonie, przez który przechodzi na palcach naga. Powietrze wciąż czysto pachnie, wymyte. Siedzi na krześle na wąskim balkonie, na samym brzeżku krzesła. Ma na sobie, wbrew wszystkim

zasadom klubowej etykiety, tylko chowańca. Rozmawia ściszym głosem, odwrócony plecami. To rozmowa, która ma nie być podsłuchana. A więc musi ją podsłuchać.

„Ale Robson jest stuprocentowo bezpieczny. Przysięgam ci. Na Boga i Matkę Boską. Robson jest bezpieczny, Luna jest bezpieczna, w Boa Vista jest bezpiecznie. Nie chcę z tobą walczyć, nie chcę musieć z tobą walczyć. Pomyśl o Lunie. Ona będzie pomiędzy nami. Wróć do mnie. Wróć do Boa Vista, *coração*. Obiecałaś mi, że to potrwa tylko trochę. Wróć do mnie. Nie dla dzieci. Dla mnie...”

Naga, bosa, roztrzęsiona od alkoholu i od zdrady, której się spodziewała, ale i tak boli, Sohni odwraca się, wychodzi, ubiera się, zbiera parę swoich rzeczy i na zawsze opuszcza Księżyc.

Na koniec Adriana wyprasza Paulo z jego własnej kuchni. Jest jej kucharzem, przestudiował całą technikę, to jego drukarki wyprodukowały zbiornik, sitko, pokrywkę i tłoczek. On jednak tego nigdy nie przygotowywał, nie próbował, nawet zapachu nigdy nie czuł. Ale Adriana – tak. Wychodzi niezadowolony. Aromat rozchodzi się po klimatyzacji całego Boa Vista. Co to tak pachnie?

To chyba będzie kawa.

Przed kuchnią Paulo ustawiła się cała służba. Co *senhora* Corta tam robi? Odmierza to coś. Gotuje wodę. Wyłącza wodę. Coś liczy. Leje wodę do tego naczynia, z dużej wysokości. Po co? Natlenianie, wyjaśnia Paulo. Potem jeszcze zamiesza: reakcja utleniania w pełni wydobywa smak. Teraz czeka. Jak to pachnie? Jak coś, czego bym się nie tykał. Co teraz robi? Dalej czeka. Niezły rytuał to parzenie kawy.

Adriana Corta naciska tłoczek. Brązowa *crema* unosi się na wierzchu francuskiej praski. Jedna filiżanka.

Adriana popija swoją ostatnią filiżankę kawy. Odpycha od siebie tę myśl. Jest święto, małe i prywatne, ale prawdziwe, nie ten ekstrawagancki karnawał, przy którym upiera się Lucas urządzający jej urodziny. „Nie tym razem”, szepcze do

Mackenziech i do śmierci. A jednak jej życie zaczyna wypełniać się takimi właśnie ostatnimi rzeczami. Jak wzbierająca woda wypełniająca tunel. Coraz wyżej – a może to jej życie ku niej schodzi?

Kawa nie smakuje tak samo jak pachnie. Za to Adriana jest wdzięczna. Gdyby tak było, ludzie nie robiliby niczego, tylko pili kawę. Węch to zmysł wspomnień. Każda kawa wywołuje niezliczone wspomnienia, bezgraniczne wspomnienia. Kawa – lek na pamięć.

– Dziękuję, Lucas – mówi Adriana Corta i nalewa sobie drugą filiżankę.

Praska jest pusta, zostały tylko wilgotne fusy. Kawa to drogocenna rzecz. „Rzadsza od złota”, szepcze Adriana, przypominając sobie luniarskie czasy. „Od złota, które wyrzucamy”.

Dwie filiżanki bierze do pawilonu São Sebastião. Dwie filiżanki, dwa krzesła. Jedno dla niej, drugie dla siostry Loi. Kolejny łyk kawy. Jak ona mogła lubić ten ziemisty, gorzki, piżmowy napar? Jak ktokolwiek mógł to lubić? Kolejny łyk. To napój wspomnień. Pijąc tę kawę, pije także z innej filiżanki – filiżanki sprzed czterdziestu ośmiu lat. Tamta kawa też była nagrodą. A dzieci okazały się wspaniałe – chłopcy wyrwali *Mare Anguis* z chciwych pazurów Mackenziech. O tym, jak tego dokonali, będą przez parę pokoleń opowiadać legendy... lecz jej kawa zawsze przywodzi na myśl Achi.

SZEŚĆ

Poznałam Achi, bo zrobiło mi się niedobrze od seksu w nieważkości. W czasie szkolenia nie gadało się o niczym innym. Że wszyscy to robią i że już nie chcą inaczej. Że to cię psuje na zawsze. Że po seksie w nieważkości normalny jest paskudny i brzydki. A ci kolesie z Woroncow Space to po prostu seksualni ninja.

Kolesie z Woroncow Space wybierali nas sobie już kiedy płynęliśmy przez służę. Był taki jeden – spojrział, a ja kiwnęłam głową, tak, dobra, już w chwili, kiedy hol zagarniał kapsułę z cyklera, odcinając nasze ostatnie połączenie z Ziemią. Nie jestem jakąś cnotką. Mam bransoletki z plaży Barra z sylwestra. Jestem otwarta na imprezę i na okazję do seksu, który odmienia życie – takiej okazji się nie przepuszcza. Chciałam spróbować z tym gościem. Poleciliśmy do piasty. Wszędzie dryfowały ciała, zderzały się ze sobą. Faceci musieli używać gumek. Nie chciałybyś, żeby to wszędzie latało i cię trafiało. Powiedziałam „bądź miły”, ale zrobiłam coś gorszego niż latająca sperma. Całego go obrzygałam. Rzygałam i rzygałam, i nie mogłam przestać. Seksowne to to nie było. Od nieważkości wszystko przewracało mi się w środku. Ale gość faktycznie okazał się bardzo miły i wszystko pozbiierał odkurzaczem, a ja uciekłam do grawitacji.

W ramieniu wirówki była oprócz mnie tylko jeszcze jedna dziewczyna, o karmelowych oczach, smukłych dłoniach i długich palcach, a jej twarz co parę sekund podświadomie przybierała zmarszczoną minę. Rzadko patrzyła mi w oczy, wydawała się nieśmiała i introwertyczna. Nazywała się Achi Debasso. Z niczym nie mogłam tego nazwiska skojarzyć – w życiu takiego nie słyszałam, a

okazało się, tak jak moje, ukształtowane przez fale historii. Była Syryjką. Syryjską chrześcijanką – to jedno dodatkowe słowo oznaczało całą przepaść różnic. Jej rodzina syryjskich chrześcijan uciekła przed wojną domową. Opuściła Damaszek jako garstka komórek w macicy matki. Urodziła się w Londynie, w Londynie się wychowała, ale nigdy nie pozwolono jej zapomnieć – „jesteś syryjską chrześcijanką”. Urodziła się jako wygnaniec. Teraz trafiła na jeszcze większe wygnanie.

W piaście wirówki pieprzyli się nasi przyszli koledzy z pracy. My w ramieniu wirówki gadałyśmy, a gwiazdy i Księżyc sunęły łukiem za oknem pod naszymi stopami. I za każdym kolejnym obrotem Księżyc był coraz większy, my znałyśmy się coraz lepiej, a pod koniec tygodnia Księżyc wypełniał już całe okno, my zaś rozwinęłyśmy się z rozmówczyń w przyjaciółki.

Cała była pełna cieni ta Achi. Cień braku korzeni. Cień wygnańca z umarłego kraju. Cień uprzywilejowania – tatuś inżynier oprogramowania, mama z bogatej rodziny. Takich uchodźców Londyn chętnie przyjmuje. Cień poczucia winy – że przeżyła, a dziesiątki tysięcy innych zginęły. Ale najmroczniejszym cieniem był cień pokuty. Miejsca urodzenia i klasy nie mogła już zmienić, ale mogła odpokutować, będąc pożyteczna. Ten cień siedział jej na plecach przez całe życie i krzyczał do ucha: bądź pożyteczna, Achi! Studia na UCL, podyplomówka na MIT: Naprawiaj świat! Odkup winy! To ten cień użyteczności kazał jej walczyć z dezertyfikacją, salinizacją, eutrofizacją. Była bojowniczką przeciw - acjom. W końcu zagnało ją to na Księżyc. Nigdzie nie można być bardziej pożytecznym niż tam, gdzie chronisz i karmisz cały kraj.

Jeśli to były jej cienie i upiory, to jej przewodniczką, *orixa*, była Yemanja. Achi była wodną dziewczyną. Rodzice mieszkali przy samym basenie olimpijskim – matka wrzuciła ją do wody parę dni po wyjściu ze szpitala. Najpierw zatonała, potem popłynęła. Pływała, surfowała – długie brytyjskie letnie wieczory na zachodnich plażach. Zimna brytyjska woda. Była mała, drobna, ale nie bała się żadnej fali. Ja dorastałam, słysząc w pokoju szum fal, ale nigdy nie zamoczyłam

w ciepłym Atlantyku niczego więcej niż palce stóp. Moja rodzina to ludzie plaży, a nie ludzie oceanu. A ona na Księżycu strasznie za tym oceanem tęskniła. Ekran w pokoju zawsze tak ustawiała, żeby wyglądało, jakby mieszkała na rafie koralowej. Mnie się od tego trochę niedobrze robiło. I jak tylko się dowiadywała, że zbudowano jakiś nowy zbiornik czy basen, gdzie dało się popływać, już tam była i cięła wodę tam i z powrotem. Tak naturalnie, tak pięknie się w niej poruszała. Patrzyłam, jak skacze, jak odpycha się od wody, i chciałam, żeby została tam na zawsze, z unoszącymi się na wodzie włosami, z nieważkimi w wodzie piersiami, robiąca dłońmi i stopami drobne i przepiękne ruchy, dzięki którym utrzymywała się w miejscu, albo śmigła błyskiem na drugą stronę basenu. Cały czas ją taką widzę – w wodzie.

Zapoznała mnie ze swoimi cieniami, ja pokazałam jej swoje: *Outrinha*: Jane Przeciętniara: Panna Popatrz Na Mnie. Byłyśmy jak Przeciętna Jane i Syrena. Obie bardzo się nawzajem potrzebowały, jeszcze przez wiele dni i przez wiele miesięcy. Księżyc był wtedy szalonym miejscem. Teraz jest już stary, jak ja. Wtedy to było królestwo młodych i ambitnych. Żeby przeżyć, konieczna była agresja. Bo Luna robiła, co mogła, żeby cię zabić – jak nie siłą, to podstępem, jak nie podstępem, to uwodzeniem. Na każdą kobietę przypadało pięciu mężczyzn, a wszyscy byli młodzi, z klasy średniej, wykształceni, ambitni i przerażeni. Dla mężczyzn to nie było bezpieczne miejsce, a co dopiero dla kobiet. Im zagrażał nie tylko Księżyc, ale i ci mężczyźni. A baliśmy się wszyscy, przez cały czas. Baliśmy się, kiedy pętla księżycowa zagarniała kapsułę transferową – bo odtąd kierunek był tylko jeden – naprzód. Potrzebowałyśmy siebie nawzajem i trzymałyśmy się siebie, kleiłyśmy się do siebie, już w skafandrach, przez całą drogę w dół.

A seks w nieważkości? Przereklamowany jak cholera. Wszystko lata nie tak jak powinno. Wszystko ci się usuwa. Trzeba się przypinać i przywiązywać. Bardziej to jak krępowanie się nawzajem sznurami.

Wyszliśmy z doku pętli księżycowej – wtedy był tylko jeden hol transferowy, na

biegunowej orbicie. Stu dwudziestu zieluniaków. To stare wyrażenie, jedno z najstarszych na Księżycu. Zieluniak. Brzmi właśnie tak, jak ktoś zaciekawiony, z wytrzeszczonymi oczyma, niewinny. Dokładnie tak wyglądaliśmy.

Jeszcze przed oficjalnym przyjęciem LDC wszczepiła nam cziby do gałek ocznych. Mieliśmy dziesięć wdechów za darmo, potem zaczynało się płacić. I odtąd już zawsze płaciliśmy. Powietrze, woda, węgiel, dane. Cztery Żywioły. Ty się tu urodziłaś, więc nie pamiętasz czasów, kiedy nie miało się w oku tych cyferki. Ale jedno ci powiem: kiedy pierwszy raz widzisz, jak zmieniają się te cyferki, bo coś się ruszyło na rynku, to oddech więźnie ci w gardle. Nic bardziej ci nie mówi, że nie jesteś na Ziemi, jak to, że robisz wdech po jednym kursie i wydech po innym. Potem zagonili nas na badania lekarskie. Chcieli spojrzeć na moje kości. Człowiek w ogóle nie myśli o kościach. Dla zieluniaków wszystko jest nowe i bardzo wymagające. Uczysz się poruszać – nawet stać musisz się nauczyć. Musisz się nauczyć widzieć i słyszeć. Uczysz się o krwi, o sercu, o pyle, o wszystkim, co ma prawdopodobną szansę cię zabić. Ćwiczysz ewakuację, alarmy dehermetyzacyjne, uczysz się, po której stronie drzwi lepiej być i kiedy można je bezpiecznie otworzyć. Uczysz się, kiedy pomagać ludziom, a kiedy ich zostawić. Uczysz się, jak żyć sobie wzajemnie na głowie, jak oddychać czyimś powietrzem i pić czyjąś wodę. Dowiadujesz się, że kiedy umrzesz, LDC cię sproszkuje i odzyska węgiel, wapń i kompost. Dowiadujesz się, że nawet twoje ciało nie należy do ciebie. Nic nie należy do ciebie. Od chwili gdy wysiadasz z pętli księżycowej, wszystko jest tylko wynajmowane.

Nie zaprzątasz sobie głowy kośćmi, ale one też sobie powolutku znikają, pod skórą, godzina za godziną, dzień za dniem, luna za luną tracą masę i strukturę. I znowu, siostró, ty się tu urodziłaś. To jest twój dom. Nigdy nie będziesz mogła polecieć na Ziemię. Ale ja miałam takie okienko, w którym mogłam wrócić. Miałam dwa lata, po których gęstość kości i napięcie mięśni posypią się na tyle, że ziemskie ciążenie będzie dla mnie zabójcze. Dwa lata. Wszyscy tyle mieli – dwa lata. Dalej to samo obowiązuje każdego zieluniaka, który przyleci do Południka w poszukiwaniu nowych możliwości. Każdy ma swój Księżycowy Dzień – dzień, kiedy trzeba zdecydować: wracam czy zostaję.

Zajrzeli mi w kości. Zajrzeli Achi w kości. Potem zapomnialiśmy o kościach.

Zakwaterowali nas w koszarach. I mnie, i Achi. Koszary dla zieluniaków to był po prostu magazyn podzielony ściankami działowymi. Wspólne łazienki, wspólne jedzenie w stołówce. Zero prywatności – czego nie widzisz, to słyszysz, a jak nie słyszysz, to czujesz. Smród. Prądu, kanalizacji, pyłu i niedomytych ciał. Kobiety oczywiście trzymały się razem – Achi i ja pozamieniałyśmy się z ludźmi na kubiki, żeby mieszkać obok siebie, potem je połączyłyśmy. Wtedy, w nocy, urządziłyśmy sobie drobny rytuał i przysięgłyśmy sobie siostrzeństwo do końca życia, przy dziwnie smakujących koktajlach z chałupniczego spirytusu. Ludzie siedzieli na Księżycu dopiero od pięciu lat, a już pędziło się wodę. Zrobiłyśmy ozdoby z odpadów tekstylnych, hodowałyśmy kwiaty, hydroponicznie. Były imprezy, przyjęcia, a my byłyśmy centrum handlu tamponami. Trochę to wyglądało jak czarny rynek w więzieniu, tylko zamiast papierosów były tampony. Ludzie w naturalny sposób się do nas dwóch garnęli. Kobiety, wiadomo, a potem faceci, którzy mieli już potąd głośnych krzyków i macho-przechwałek: my tu jesteśmy zdobywcami świata, pogromcami Księżyca, weźmiemy tę skałę i wyrzniemy z niej milion bitsów. Wyruchamy ten cały Księżyc. Nigdy nie byłam w wojsku, ale wyobrażam sobie, że na Księżycu w tych pierwszych dniach musiało być trochę podobnie.

Nie byłyśmy bezpieczne. Nikt nie był. Dziesięć procent zieluniaków ginęło w ciągu trzech miesięcy. W moim pierwszym tygodniu śluza zmiażdżyła pracownika wydobywania z Xinjiang. Potem dwadzieścia cztery osoby wyjechały łazikiem z Korou, trzy nie żyły, zanim jeszcze skończyły szkolenie z pracy na powierzchni. W tym gość, który leciał na Księżyc koło mnie. Nie przypomnę sobie, jak się nazywał. Ciała zrecyklowaliśmy i wykorzystaliśmy ponownie, jedliśmy warzywa i owoce, które użyźnili, i nigdy się głębiej nie zastanawialiśmy nad tym, że w glebie jest czyjaś krew. Tylko tak przeżyjesz – trzeba sobie wybrać, czego nie widzisz i czego nie słyszysz.

O księżycowym smrodzie już wspominałam. Ale najgorzej śmierdziało facetami. Testosteronem. Cały czas oddychało się seksualnym napięciem. Każda kobieta, co do jednej, została choć raz napadnięta. Mnie się też to zdarzyło. Raz. Starszy robotnik, luniarz, w służbie, kiedy przebierałam się w ubranie treningowe. Chciał wsadzić rękę, gdzie nie trzeba. Złapałam go za nią i

rzuciłam nim przez całą służbę. Jak przystało na drużynę mistrzowską brazylijskiego jiu-jitsu. Ojciec byłby ze mnie dumny. Już więcej nie miałam problemów, ani z nim, ani z żadnym innym, chociaż ciągle się bałam, że napadną mnie całą bandą. Pobiją, może nawet zabiją. Były kontrakty, były regulaminy zachowania, ale ich przestrzegania pilnowali tylko menedżerowie z firmy. Przemoc seksualna była kwestią dyscyplinarną.

Achi jednak nie znała brazylijskiego jiu-jitsu. Nie znała żadnej sztuki walki, nie miała jak się bronić, kiedy facet usiłował ją zgwałcić. Nie udało mu się, odciągnęła go grupa innych mężczyzn. Miał szczęście. Gdybym ja go złapała, tobym go pocięła. Dobrze, że trafili się tamci. Rozumieli, że musimy sobie wypracować jakiś sposób na życie razem. Księżyc nie może być kolejną Ziemią. Jeśli skoczmy sobie do gardeł, wszyscy zginiemy. Zastanawiałam się jednak, czy gościa nie znaleźć i go nie zabić. Cortowie zabijają nożami. Jak samo nazwisko wskazuje. Szybko, ostro, mocno. Ale na Księżycu jest milion sposobów, żeby kogoś zabić podstępem. Długo i intensywnie nad tym myślałam: czy to ma być zemsta w tajemnicy, czy ma, umierając, oglądać moją twarz? Postanowiłam inaczej. Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem morderczynią.

Użyłam subtelniejszej i wolniejszej broni. Znalazłam jego grupę ćwiczeń powierzchniowych. Pomajstrowałam przy termostacie jego skafandra. Miało to wyglądać idealnie jak drobna usterka. Inżynier jest ze mnie dobry. Gość nie zginął. Bo nie miał zginąć. Do moich trofeów mogę zaliczyć jego odmrożony kciuk i trzy palce u nóg. Wszyscy wiedzieli, że to ja, ale nikt mi nic nie udowodnił. Odpowiadała mi taka legenda. Jeśli dzięki niej faceci patrzą na mnie ze strachem, to tym lepiej. Gość nazywał się Hanif. Jeszcze w łóżku w szpitalu przysiągł, że mnie zgwałci i wypruje mi flaki. Ale zanim wyszedł stamtąd, obie już wyjechałyśmy na kontrakty.

Achi dostała kontrakt u Asamoah, przy projektowaniu ekosystemów dla ich nowego agrarium w kraterze Amundsen. Mnie zaś kontrakt z Mackenzie Metals wyгнаł na otwarte morza. Ona została kopaczem, ja luniarzem. Za dwa dni się rozstaniemy. Trzymałyśmy się baraków I i A, naszych kubików i przyjaciółek. Bałyśmy się. Reszta kobiet wyprawiła nam imprezę; księżycowe

mojito i śpiewy do karaoke z tabletu. Ale zanim pojawiła się muzyka i picie – specjalny prezent dla Achi. Pracując w AKA, będzie cały czas pod powierzchnią, będzie kopać, wybierać skałę i siać. Nigdy nie będzie musiała wychodzić na powierzchnię. Całą karierę zawodową – całe życie – może spędzić w grotach, szybach magmowych i ogromnych agrariach. Nigdy nie będzie musiała oglądać gołego nieba.

Wykorzystałam cały mój wdzięk i reputację, ale wypożyczenie skafandra i tak okazało się astronomicznie kosztowne. Zapłaciłam za trzydzieści minut w skorupowym skafandrze do pracy na powierzchni. Był jak pancerny potwór przy mojej zgrabnej kobiecie-pająku w elastyku. W słuzie, gdy unosiły się wrota, złapałyśmy się za ręce. Poszłyśmy pochylnią w górę, pośród stu tysięcy śladów. Przeszłyśmy parę metrów po powierzchni, cały czas trzymając się za ręce. Tam, za wieżami łączności, liniami przesyłowymi, za stacjami ładowania busów i łazików, za szarą krawędzią krateru, która zakrzywiła się na bliskim horyzoncie, za cieniami, których nigdy nie tknęło słońce – tam, tuż nad brzegiem naszego małego światka, zobaczyłyśmy Ziemię. Pełną, niemożliwą i piękną ponad wszelkie słowa. Była zima i Ziemia nadstawiała nam półkulę południową; oceaniczną połowę planety. Widziałam wielką Afrykę. Widziałam ukochaną Brazylię.

Potem AI skafandra podpowiedziało mi, że umowa wypożyczenia dobiega końca. Odwróciłyśmy się plecami do błękitnej Ziemi i zeszłyśmy z powrotem w głąb Księżyca.

Wieczorem piłyśmy za pracę, za przyjaciół, za miłość i za kości. A z rana się rozstałyśmy.

Kolejny raz widziałam się z nią dopiero po sześciu lunach. Sześć lun spędzonych na Morzu Żyzności, na przesiewaniu pyłu. Stacjonowałam w jednostce Mackenzie Metals w kraterach Messiera. Była stara, ciasna, rozklekotana – wyryte odkrywkowo komory, nad nimi zepchnięte spychaczami wały z regolitu. Sto razy ewakuowali mnie na nowe, głębsze poziomy, bo był

alarm radiacyjny. Za każdym razem, gdy widziałam w soczewce żółte słońeczko alarmu, czułam, że kurczą mi się jajniki. Tunele dniem i nocą dygotały od drgań maszyn wierzących, wgrzyżających się w skałę. Było tam osiemdziesięciu luniarzy.

Jeden był bardzo sympatyczny, nazywał się Chuyu. Projektant wydruków 3D. Miły, dowcipny, wspaniałe rzeczy umiał robić swoim ciałem. Po jakimś miesiącu śmiechu i świetnego seksu poprosił mnie o przyłączenie się do jego *amorium* – on, Chuyu, jego *amor* w Królowej, jego *amor* w Południku i jej *amor* także w Południku. Dogadaliśmy warunki: sześć miesięcy, z kim będę, a z kim nie będę uprawiać seksu, widywanie się z osobami spoza *amorium*, sprowadzanie innych do *amorium*. Już wtedy było to coś jak *nikah*. Wyznał, że przez moją reputację tak długo bał się mnie spytać. Do Messiera też dotarły plotki o tym, co zrobiłam gwałcicielowi Achi. „Amorowi bym tego nie zrobiła”, powiedziałam. „Musiałabym być bardzo sprowokowana”. Potem go pocałowałam. *Amorium* dawało ciepło, dawało seks, ale to nie była Achi. Gadałyśmy przez sieć prawie codziennie, lecz i tak cierpiałam przez tę rozłąkę. Kochankowie to nie przyjaciele.

Dostałam dziesięć dni urlopu. Pierwsza myśl: spędzić go z Achi. Widziałam rozczarowanie w oczach Chuyu, kiedy całowałam go na pożegnanie w śluzie autobusowej w Messierze. Ale to nie była zdrada – w kontrakcie napisałam, że nie będę uprawiać seksu z Achi Debasso. Byłyśmy przyjaciółkami, a nie kochankami. Achi przyjechała na stację kolejki w Hypatii, żeby się ze mną spotkać, i przez całą drogę do Królowej Południa śmiałyśmy się i rozmawiałyśmy. Tyle śmiechu.

Takie atrakcje dla mnie zaplanowała! W Messierze było ciasno i śmierdziało, za to Królowa Południa była głośna, intensywna, kolorowa. W zaledwie sześć lun zmieniła się nie do poznania. Każda ulica była dłuższa, każda komora wyższa, każdy tunel szerszy. Achi powiozła mnie szklaną windą wzdłuż boku świeżo ukończonej Kwadry Thoth, a ja zataczałam się od zawrotów głowy. Na samym dniu kwadry był mały zagajnik karłowatych drzewek – Achi wyjaśniła, że kiedy w pełni urosną, sięgną do stropu. Była też kawiarnia. W tej kawiarni po raz pierwszy spróbowałam miętowej herbaty i od razu ją znienawidziłam.

„Ja to zbudowałam”, mówiła Achi. „To moje drzewa, mój ogród”.

Ja byłam zbyt zajęta rozglądaniem się po tych wszystkich światłach, tej masie światel, unosząc wzrok coraz wyżej.

Co za frajda! Herbata, potem sklepy. Musiałam sobie kupić sukienkę na imprezę. Szłyśmy tamtej nocy na specjalną imprezę. Zamkniętą. Przejrzałam katalogi w pięciu różnych drukarniach, zanim znalazłam coś, co się nadawało, bardzo retro – wtedy obowiązywały lata osiemdziesiąte XX wieku, z poduchami, ściśnięte paskiem – ale ukrywało to, co chciałam mieć w ukryciu. Potem buty.

Impreza była wyłącznie dla ekipy Achi. Chroniona kapsuła kolejki zawiozła nas ciemnym tunelem do przestrzeni tak ogromnej i tak oślepiającej, że o mało co nie zrzygałam się na swoją Balenciagę. Agrarium. Ostatni projekt Achi. Znalazłam się na dnie szybu mającego kilometr wysokości i pięćdziesiąt metrów średnicy. Na powierzchni Księżyca horyzont jest blisko i wszystko się zakrzywia. Pod ziemią obowiązuje inna geometria. Agrarium było najbardziej prostą i równą rzeczą, jaką widziałam od miesięcy. I jasną – pośrodku przez całą wysokość tunelu biegł lustrzany rdzeń, lustra odbijały jedno po drugim ostre światło Słońca, rozprowadzając je po ścianach z tarasowo ustawionymi hydroponicznymi uprawami. U podstawy szybu – mozaika akwariów poprzecinanych kładkami. Powietrze było ciepłe, wilgotne, stęchłe. Aż w głowie się kręciło od CO₂. W takich warunkach rośliny rosły szybko i wysoko – ziemniaki wielkości krzaków, a pnącza pomidorów tak wielkie, że spomiędzy płataniny liści i owoców nie było widać ich szczytów. Uprawa hiperintensywna – agrarium było wielkie jak na jaskinię, ale małe jak na ekosystem. W akwariach pluskały ryby. Czy słyszałam żaby? Czy to kaczki?

Ekipa Achi zbudowała też nowy staw, z wodoodpornych płyt i ram budowlanych. Basen. Basen do pływania. Z nagłośnienia leciał Ghana-pop. Były koktajle. Najmodniejsze – żółte. Pasowały mi do sukienki. Koledzy Achi byli sympatyczni i wylewni. Każdy po kolei komplementował moją suknię. Zdjęłam ją, buty i wszystko inne, żeby wejść do basenu. Zanurzyłam się w wodzie, rozkoszowałam się nią. Nad głową poruszały mi się lustra. Podpłynęła do mnie Achi, razem unosiliśmy się w wodzie, śmiejąc się i chlapiąc. Ekipa od agrarium

wstawiła do basenu masę plastikowych krzesełek, żeby było trochę płycej na jednym końcu. Achi i ja chlupotałyśmy nogami w ciepłej jak krew wodzie i piłyśmy złotą zubrówkę.

Obudziłam się z rana w łóżku obok niej, z głową obolałą od wódki. Pamiętam bełkotliwą, niezdarną miłość. Dygot i szeptanie głupot, przytulanie. Palcówki. Achi leżała zwinięta na prawym boku, twarzą do mnie. W nocy skopała z siebie koc. Z kącika jej ust ściekała na poduszkę cieniutka nitka śliny, drżąc w rytm oddechu. Cały czas ją widzę.

Patrzyłam tak na nią, słuchałam oddechu bulgoczącego w gardle w pijackim śnie. Kochałyśmy się. Uprawiałam seks z moją najlepszą przyjaciółką. Zrobiłam coś dobrego. Zrobiłam coś złego. Zrobiłam coś nieodwracalnego. Potem położyłam się, przycisnęłam do niej, a ona coś wybulgotała, wymamrotała, przywarła do mnie, odnalazła mnie palcami i znów zaczęłyśmy.

Matka zawsze mówiła, że miłość to najłatwiejsza rzecz na świecie. Miłość to to, co widzisz codziennie. Tak właśnie zakochała się w ojcu – codziennie koło niego przechodziła, kiedy spawał.

Po imprezie w Królowej nie widziałam się z Achi przez parę lun. Mackenzie Metals wysłało mnie na prace poszukiwawcze na nowych terenach, na *Mare Vaporum*. A poza tym wyjazdem, i dla mnie, i dla Suna Chuyu stało się oczywiste, że *amorium* już mi nie leży. Nie dotrzymałam kontraktu, ale w tamtych czasach kontrakty nie przewidywały kar finansowych za pozakontraktowy seks. Wszyscy *amorowie* zgodzili się anulować umowę i pozwolić mi wyjść z *amorium*. Żadnych win, żadnych roszczeń. Kończy się prosty, automatyczny kontrakt.

Wzięłam parę tygodni uzbieranego urlopu i pojechałam do Królowej. Dzwoniłam do Achi, ale ona była na nowej budowie w Twé, Asamoah zakładali tam swoją główną siedzibę. Ulżyło mi trochę. Potem poczułam się winna, że mi ulżyło. Seks wszystko zmienił. Piłam, imprezowałam, miałam przygody na jedną noc, długie godziny kosztownego pasma przegadywałam z mamą i tatą w

Barra. Cała rodzina zebrała się przed kamerką, żeby podziękować mi za pieniądze, zwłaszcza najmniejsze dzieci. Powiedziały, że inaczej wyglądam. Że jestem dłuższa. Rozciągnięta. Proszę – na Ziemi wszyscy szczęśliwi i bezpieczni. Moje pieniądze zapewniły im wykształcenie. Zdrowie, śluby, dzieci. A ja tu tkwię na Księżycu. *Outrinha* Adriana, która nigdy nie miała męża, ale się wykształciła, zdobyła dyplom, zdobyła pracę i przysyła kasę z Księżyca.

Mieli rację. Byłam już inna. Już nigdy nie czułam tego samego, patrząc na niebieską perłę Ziemi na niebie. Już nigdy nie wypożyczyłam skafandra, żeby na nią popatrzeć, żeby tylko popatrzeć. A kiedy byłam na powierzchni, nie zwracałam na nią uwagi.

Mackenzie wysłali mnie do strefy wydobywczej Lansberg i tam zobaczyłam coś, co wszystko mi poprzestawiało.

W kraterze Lansberga chodziło pięć ekstraktorów. Widziałaś kiedyś ekstraktor? Oczywiście, że nie, wybacz. Nigdy nie byłaś na powierzchni. Paskudne maszyny, wszystkie bebechy na wierzchu, i wtedy nie były bardziej eleganckie. Mnie jednak wydały się piękne. Wspaniałe kości i mięśnie. Zobaczyłam je pierwszego dnia na regolicie i mało nie padłam, takie objawienie mnie trafiło. I nie chodziło o to, co miały robić – ekstrahować z regolitu metale ziem rzadkich – ale o to, co wyrzucały. O to, co wylatywało parabolicznym łukiem po obu stronach każdej wielkiej, powolnej maszyny.

I to było właśnie coś, co widywałam codziennie. Pewnego dnia patrzysz na chłopca w autobusie i płonie ci serce. Pewnego dnia patrzysz na strugi odpadów przemysłowych i widzisz niezmierzone bogactwo. W mojej głowie natychmiast powstał plan, od razu cały i kompletny. Zanim wróciłam do łazika, był opracowany do ostatniego szczegółu, tak misternego, precyzyjnego i wspaniałego – i wiedziałam, że to od razu zadziała. Ale żeby zadziałał, musiałam odciąć się od wszystkiego, co łączyło mnie z regolitowymi odpadami i pięknymi pyłowymi tęczami. Tak, aby Mackenzie nie mogli mieć do tego żadnych roszczeń. Zwolniłam się od Mackenziech i zostałam królową torów u Woroncowów.

Pojechałam do Południka, żeby wynająć sobie kryptę na dane i wyszukać najnowszą, najświeższą i najbardziej wygłodniałą kancelarię prawną, żeby mi ochroniła to, co zobaczyłam w Lansbergu. I tam znów spotkałam się z Achi. Ściągnęli ją z Twé, żeby rozwiązała problem z mikrobiotą w agrarium Obuasi – zamieniła je w słup śmierdzącej czarnej mazi.

Jedno miasto, dwie przyjaciółki, dwie *amory*. Poszliśmy poimprezować. I okazało się, że nie jesteśmy w stanie. Suknie były przepiękne, koktajle odurzające, towarzystwo wyuzdane, narkotyki oszałamiające, a my i tak w każdym klubie, barze, czy na prywatnej imprezie lądowałyśmy razem w kąciaku i gadałyśmy. Imprezowanie nas nudziło. A rozmowa była wspaniała, bezgraniczna i fascynująca. Oczywiście znowu skończyło się w łóżku. Nie mogłyśmy się go doczekać. Prześliczne i niepraktyczne stroje z lat osiemdziesiątych leżały zgniecione na podłodze, czekając na recykler.

Pamiętam, że Achi zapytała: „A czego ty chcesz?”. Leżała na łóżku i wciągała THC z waporyzatora. Ja nie mogłam tego brać. Od razu paranoi dostawałam. A ona dodała jeszcze: „Marz śmiało i nic się nie bój”.

Więc odpowiedziałam: „Chcę zostać Smokiem”. Achi zaśmiała się i walnęła mnie w udo, lecz ja w życiu nie wygłosiłam prawdziwszych słów.

Przez półtora roku, które spędziłyśmy na Księżycu, nasz mały świat się zmienił. W tamtych czasach wszystko szło bardzo szybko. W parę miesięcy potrafiliśmy zbudować całe miasto. Mieliliśmy energię, mieliśmy surowiec, mieliśmy ludzką ambicję. Cztery firmy wyrosły na ekonomiczne potęgi. Cztery rodziny. Najdłużej tu byli Mackenzie. Dołączyli do nich Asamoah, specjaliści od żywności i przestrzeni do życia. Woroncowowie w końcu całkowicie wyprowadzili się z Ziemi ze swoją działalnością, a mieli cyklery, pętlę księżycową, komunikację autobusową i owijali cały Księżyc torami. Sunowie walczyli z przedstawicielami Republiki Ludowej w zarządzie LDC, aż wreszcie uwolnili się od ziemskiej kontroli. Cztery firmy. Cztery Smoki. A ja będę piątym.

Nie powiedziałam jej, co zobaczyłam w Lansbergu. Nie powiedziałam jej o krypcie na dane i baterii prawniczych AI. Nie powiedziałam o swoim wspaniałym pomysłe. Wiedziała, że coś przed nią trzymam w tajemnicy. W jej sercu pojawił się kolejny cień.

Poszłam do nowej pracy, przy układaniu torów. Dobra była, łatwa, fizyczna i satysfakcjonująca. Na koniec każdej szychty widziało się wśród zdeptanego i rozjeżdżonego pyłu trzy kilometry lśniących torów, a na skraju horyzontu oślepiającą iskrę Tygla, jaśniejszego od wszystkich gwiazd, jadącego już po wczorajszych szynach – i można było powiedzieć: „ja to zrobiłam”. Praca miała swoją miarę: nieubłagany postęp maszyny Mackenzie Metals przez *Mare Insularum*, jaśniejszej od wszystkich gwiazd. Tak jaskrawej, że mogła wypalić dziurę w przesłonie słonecznej hełmu, jeśli była zbyt długo w polu widzenia. Tysiące wklęsłych lusterek skupiających Słońce na wytapiaczach. Za dziesięć lat te tory okrążą Księżyc i Tygiel będzie nieustannie podążał za Słońcem. A ja wtedy będę już Smokiem.

Smażyłam się dziesięć kilometrów przed Tygłem, gdy zadzwoniła do mnie Achi. Ting-czing i wszystko się rozpadło. Jej głos zagłuszył mój muzyczny mikś do pracy, jej twarz nałożyła się na brzydkie szare wzgórza *Rimae Maestlin*. Powiedziała mi, że badanie okresowe dało jej jeszcze cztery tygodnie.

Zabrałam się wagonem serwisowym z powrotem do Tygla. Odczekałam dwie godziny, kryjąc się w cieniu, mając nad głową wiele ton ciekłego metalu i dziesięć tysięcy kelwinów słońca. Był to czas, aby uświadomić sobie paradoks. Ukrywam się przed Mackenziami, wyprzedzając ich; czaję się w najciemniejszym miejscu ich stolicy. Pojechałam powolnym pociągiem towarowym do Południka. Dziesięć godzin uczepona podestu serwisowego ledwo mogłam się obrócić, a co dopiero usiąść. Przesłuchałam całą swoją kolekcję bossa novy. Grałam na wyświetlaczu hełmu w Connecto, aż wszędzie, gdzie spojrzalam, widziałam kręcące się złote gwiazdki. Przejrzałam offline wszystkie wpisy rodziny na mediach społecznościowych. Kiedy dojeżdżałam do Południka, do hipotermii brakowało mi dwóch stopni. Nie mogłam tracić czasu na przepompowywanie się przez kolejne śluzy, żeby pojechać pociągiem, więc poleciałam szybkim i brutalnym BALTRAN-em. Wiedziała, że się zrzygam.

Wytrzymałam do trzeciego, ostatniego skoku. Warto było zobaczyć minę gościa z obsługi, kiedy wysiadałam z kapsuły w Królowej Południa. Tak mi powiedzieli. Sama tego nie widziałam. Ale skoro stać mnie było na kapsułę, stać mnie było też na prysznic, żeby się umyć. A w Królowej Południa są ludzie, którzy za odpowiednią ilość bitsów wyczyszczą ci rzygi ze skafandra. Mówcie o Woroncowach, co chcecie, ale płacą naprawdę godziwie.

Zrobiłam to wszystko, przecierpiałam nieskończone godziny w pociągu jak księżycowy włóczęga, hipotermię i strzelanie z procy puszką, w której siedziałam we własnych rzygach, bo wiedziałam, że jeśli Achi zostały cztery tygodnie, to mnie niewiele więcej.

Spotkałyśmy się w kawiarni na dwunastym poziomie nowej Kwadry Chandra. Objęłyśmy się, wycalowałyśmy, trochę popłakałyśmy. Zapocona już byłam jak nie wiem. Pod nami wierciły i kopały koparki, co dziesięć dni nowy poziom. Trzymałyśmy się na długość ramion i przyglądałyśmy sobie. Potem piłyśmy na tarasie miętową herbatę.

Nie od razu zaczęłyśmy rozmowę o kościach. Nie widziałyśmy się przez osiem lun, więc gadałyśmy, wymieniałyśmy informacje o znajomych, dzieliłyśmy się wszystkim. Rozśmieszałam Achi. Śmiała się jak cichy deszcz. Powiedziałam jej o King Dongu, że luniarze Mackenziech i królowe torów Woroncowów wydeptują go w pył, jak mali chłopcy. Przytknęła dłonie do ust w niegrzecznej radości, a śmiała się oczyma. Takie głupie i niestosowne. Takie śmieszne.

Achi kończył się kontrakt. Im bliżej się jest Księżycowego Dnia, tym krótsze ma się kontrakty, czasem wręcz na parę minut pracy, tu jednak chodziło o coś innego. AKA nie odpowiadały jej pomysły. Rekrutowali sobie ludzi bezpośrednio z Akry i Kumasi. Ghańska firma bierze ludzi z Ghany. Próbowwała LDC sprzedać pomysły na ich nowy port w Południku – kwadry na trzy kilometry w głąb, rzeźbione miasto, mieszkałoby się tam jak w ścianach gigantycznej katedry. LDC było uprzejme, ale o funduszach na projekt rozmawiała z nimi już od dwóch lun. Kończyły jej się oszczędności. Budziła się i patrzyła na tykanie

wskaźników Czterech Żywiołów na soczewce. Zastanawiała się nad przewodzką do mniejszego lokum.

– Mogę cię utrzymywać – powiedziałam. – Mam kupę kasy.

I dopiero potem zaczęliśmy rozmowę o kościach. Achi nie była w stanie zdecydować, póki ja nie miałam wyników. Poczucie winy, cień mówiący, że zrobiło się coś złego. Nie zniosłaby świadomości, że jej decyzja wpłynęła na moją decyzję – zostać na Księżycu czy wrócić na Ziemię? A ja nie chciałam, żeby tak robiła. Nie chciałam tkwić na tym balkonie i pić herbaty, która smakuje jak szczyny. Nie chciałam, żeby Achi zmuszała mnie do pójścia na badania. Nie chciałam, żeby wisiała nade mną decyzja do podjęcia.

A potem – zachwyty. Tak wyraźnie go pamiętam: błysk złota na skraju pola widzenia. Coś wspaniałego. Latająca kobieta. Fruwająca kobieta. Wisiała na niebie z rozpostartymi ramionami, jak krucyfiks. Matka Boska od Latania. Potem ujrzałam, że skrzydła opalizują i połyskują wszystkimi kolorami tęczy, że są przezroczyste i mocne jak u ważki. Na moment zawisła, potem złożyła cieniutkie skrzydełka i spadła. Przekoziolkowała, leciała teraz głową w dół, machnęła nadgarstkami, napięła barki. Błysnęły skrzydła, wyhamowały lot, potem rozłożyła je na pełną rozpiętość i wyszła z lotu nurkowego spiralą prosto w niebo, wysoko ponad Kwadrę Chandra.

– Och – powiedziałam. Wstrzymywałam oddech. Dygotałam z zachwyty.

Skoro można tu latać, czy trzeba czegoś jeszcze? Teraz to spowszedniało, każdy może latać. Ale wtedy, w tamtym miejscu, dotarło do mnie, ile można tu dokonać.

Poszłam do ośrodka medycznego Mackenzie Metals, pielęgniarz wsadził mnie do skanera. Przepuścił przez moje ciało pola magnetyczne, maszyna zrobiła mi badanie gęstości kości. Byłam osiem dni w tyle za Achi. Pięć tygodni i mój pobyt na Księżycu zamieni się w pobyt stały. Obywatelstwo.

Ewentualnie mogę polecieć na Ziemię. Do Brazylii.

Tamtej nocy w moich snach unosiła się złota kobieta. Achi spała przy mnie. Wzięłam pokój w hostelu. Łóżko było duże, powietrze najświeższe, jakie dało się zrobić w Królowej Południa, a od smaku wody nie cierpły zęby.

Och, ta fruwająca złota kobieta, kreśląca pętle wokół moich niepewności!

Królowa Południa nie przeszła na organizację trzymianową, więc nigdy nie robiło się tam zupełnie ciemno. Owinęłam się prześcieradłem Achi i wyszłam na balkon. Oparłam się o poręcz i patrzyłam na ściany światła. Za każdym światłem jakieś życie i jakieś decyzje. Paskudny świat. Świat, w którym wszystko ma swoją cenę. Wymagający od każdego negocjacji. Przy budowie torów zauważyłam wśród luniarzy jedną nową rzecz – medalik albo mały, wetknięty do kieszeni amulecik. Kobieta w szatach Matki Boskiej, pół twarzy to czarny anioł, a pół – naga czaszka. Wtedy pierwszy raz zetknęłam się z Doną Luną. Pół twarzy martwe, pół twarzy żyje. Księżyc nie jest martwym satelitą, jest żywym światem. Ukształtowały go takie dłonie, serca i nadzieje, jak moje. Nie ma tu Matki Natury, nie ma Gai przeciwstawiającej się ludzkiej woli. Wszystko, co tu żyje, żyje dzięki nam. Dona Luna jest surowa i nieubłagana, ale także piękna. Mogłaby być tą kobietą, która fruwa na skrzydłach ważki.

Stałam na tym balkonie, aż dach zaczerwienił się od wschodu słońca. Potem wróciłam do Achi. Znow chciałam się z nią kochać. Z czysto egoistycznych pobudek. Z kochankami pewne rzeczy są łatwiejsze, z przyjaciółmi trudniejsze.

To Achi wpadła na pomysł, żeby zrobić z tego grę. Trzeba schować zaciśniętą pięść za plecami, jak w grze w papier, nożyce, kamień. Policzyć do trzech. Potem otwieramy dłonie i w nich coś jest – jakiś drobny przedmiot, który w oczywisty sposób mówi o naszej decyzji. I nie wolno nic mówić, bo jeśli cokolwiek powiemy, choćby jedno słowo, wpływamy na siebie nawzajem. Tylko w ten sposób była w stanie to znieść – jeśli odbędzie się szybko, klarownie i bez słowa. I w formie gry.

Wróciłyśmy do stolika kawiarni na tarasie, żeby zagrać w grę. Dwie szklanki miętowej herbaty. Pamiętam, że powietrze oprócz standardowej woni elektryczności i ścieków pachniało także skalnym pyłem. Co piąty panel nieba mrugał. Niedoskonały świat.

– Powinnyśmy chyba to szybko zrobić – powiedziała Achi i schowała dłoń za plecy tak błyskawicznie, że aż zaparło mi dech.

Teraz. To już. Wyciągnęłam z torby mój drobiazg, zacisnęłam w pięści, schowałam.

– Raz, dwa, trzy – powiedziała Achi.

Rozwarłyśmy dłonie.

Ona miała nazar, oko proroka, arabski amulet – koncentryczne łezki z niebieskiego, białego i czarnego księżycowego szkła, jak oko.

W mojej dłoni był maleńki obrazek z Doną Luną: czarną i białą, żywą i martwą.

Ostatnie sprawy poszły szybko i sprawnie. Myślę, że wszystkie pożegnania powinny być krótkie. Kupiłam Achi bilet na powrotny cykler. W tamtą stronę nigdy nie było problemu z miejscami. Ona zaprowadziła mnie do centrum medycznego LDC. Błysk światła i czib miałam już na stałe zrośnięty z okiem. Żadnych uścisków dłoni, gratulacji, powitań. Postanowiłam po prostu, że dalej robię to samo co dotąd.

Cyklery okręci się wokół Farside i w trzy dni dotrze do pętli księżycowej. Trzy dni – to pozwalało skoncentrować nasze uczucia, pozwalało nam zbyt wiele nie płakać.

Pojechałam z nią pociągami do Południka. Miałyśmy dla siebie cały rząd siedzeń, zwinęłyśmy się na nich w kłębek jak małe, ryjące sobie norki zwierzaczki.

„Boję się”, powiedziała. Powrót miał być bolesny. Cykler powoli rozpędza cię do ziemskiego przyspieszenia, potem łapie cię samo ziemskie. Możliwe, że wiele miesięcy będzie tkwić na wózku inwalidzkim. Podobno najlepszym substytutem

Księżyc jest dla powracających pływaniem. Woda cię podtrzymuje, kiedy odbudowujesz z powrotem masę mięśniową i kostną. A Achi uwielbiała pływaniem. Potem przyszły wątpliwości. A co, jeśli pomylili jej wyniki z którymiś innymi i ostatni moment już minął? Będą próbować ściągać ją z powrotem na Księżyc? Tego by nie wytrzymała. To by ją zabiło tak samo, jak Ziemia miażdżąca kości i dusząca własnym ciężarem. Zrozumiałam wtedy, że ona nienawidzi Księżyc, że nienawidziła go od zawsze: tego zagrożenia, strachu, ale przede wszystkim ludzi. Że ciągle, do końca życia, będą na ciebie patrzeć te same twarze. Czegoś chcieć. Chcieć, chcieć i chcieć, bez końca. Tak się nie da żyć, powiedziała. To nieludzkie. Tylko dzięki mnie Księżyc był dla niej do zniesienia. Ja zostawałam, a ona wracała.

Więc powiedziałam jej o tym, co dotąd trzymałam w tajemnicy, o tym, co dostrzegłam na Lansbergu, o tym, co uczyni mnie Smokiem. Takie proste to było. Po prostu inaczej spojrzę na coś, co widziałam cały czas. Hel-3. Klucz do gospodarki *post-oil*. Mackenzie Metals codziennie wyrzucało hel-3 do śmieci. A ja myślałam: jak to możliwe, że oni tego nie widzą. Przecież muszą... To niemożliwe, że tylko ja... Jednak rodziny, korporacje, a korporacje rodzinne to już w ogóle, mają swoje osobliwe fiksacje i ślepe punkty. Mackenzie wydobywają metal. Ich specjalność to wydobywanie metalu. Tym się zajmują, niczego innego sobie nie wyobrażają, więc przegapili coś, co mają pod samym nosem. Tak, to mi się może udać. Tak właśnie powiedziałam Achi: że wiem, jak to zrobić. Ale nie z Mackenziem. Oni by mi to od razu zabrali. Gdybym się postawiła, zasypaliby mnie papierami. Albo zabili. Taniej. Sąd Claviusa dopilnuje, żeby rodzina dostała odszkodowanie, ale to będzie koniec moich planów dynastycznych. Bo jeśli mi się uda, to założę dynastię. Zostanę Piątym Smokiem. Mackenzie, Asamoah, Woroncowowie, Sunowie. Cortowie. Podobało mi się, jak to brzmi.

Opowiedziałam jej o tym w pociągu do Południka. Ekran na fotelu przed nami wyświetlał powierzchnię. Na ekranie, gdy się nie ma na głowie hełmu, powierzchnia zawsze wygląda tak samo – jest szara, zerodowana, paskudna i zdeptana przez ślady. A w pociągu siedzieli robotnicy i inżynierowie, partnerzy i partnerki, a nawet dwójka małych dzieci. Były dźwięki, kolory, picie, śmiechy,

przekleństwa i seks. I my, zwinięte w kłębek pod ścianą. I pomyślałam: o, tak właśnie wygląda Księżyc.

Pod wejściem do pętli księżycowej Achi dała mi prezent. Była to ostatnia rzecz, jaką posiadała. Wszystko inne sprzedałyśmy. Pod bramką stało ośmioro pasażerów, żegnanych przez przyjaciół, rodzinę, *amorów*. Nikt nie był sam. Pachniało kokosami, a nie rzygami, potem i niemytymi ciałami, jak na przylotach. Automat sprzedawał miętową herbatę. Nikt jej nie tykał.

Prezent od Achi był zrobioną z bambusu tubą na rysunki. Kazała mi ją otworzyć dopiero, kiedy polecą. Wylot był tak szybki jak egzekucja, jak to mówią. Załoga z VTO kazała wszystkim przypiąć się w fotelach i już zamykała drzwi kapsuły, zanim któraś z nas zdążyła coś powiedzieć. Zobaczyłam, jak składa usta do pożegnania, zobaczyłam, jak macha ręką, potem śluza zamknęła się, a winda powiozła kapsułę na platformę holowniczą.

Próbowałam sobie tę pętlę księżycową wyobrazić – wirującą szprychę z włókna M5, dwadzieścia centymetrów średnicy i dwieście kilometrów długości. Tam, w górze, wózek już jedzie w stronę przeciwwagi, przesuując środek masy i wymuszając zejście całego holu na orbitę styczną z powierzchnią. Biała lina jest widoczna dopiero w ostatnim, najniższym punkcie, jakby opuszczała się pionowo w dół z rozgwieźdzonego nieba. Hak zahacza kapsułę i porywa ją z platformy. A tam wysoko w górze jedna z tych jasnych gwiazd to wózek, który zjeżdża teraz po holu, ponownie przesuując środek masy, aby cały układ wszedł na wyższą orbitę. W najwyższym punkcie pętli hak się zwolni, kapsułę złapie cykler. Sama inżynieria, sama technika. Pozwalała mi, jak amulety, nie dostrzegać przerażającej pustki w sercu. Próbowałam nazywać te gwiazdy: cykler, wózek, przeciwwaga, kapsuła, wioząca moją *amor*, ukochaną, przyjaciółkę.

Pociecha w fizyce. Patrzyłam, póki do bramki nie zjechała kolejna kapsuła. A nad horyzontem już białął następny hol.

A potem poszłam kupić kawę.

Tak, kawę. Cena była absurdalna. Musiałam naruszyć oszczędności. To był autentyk – kawa importowana, a nie ulepiona w organicznej drukarce. Importerka dała mi ją powąchać. Aż łzy mi w oczach stanęły. Sprzedała mi też wszystkie akcesoria – takich rzeczy po prostu na Księżycu nie było.

Zabrałam to wszystko do hotelu. Zmieszałam do wskazanej grubości. Zagotowałam wodę. Dałam jej ostygnąć do odpowiedniej temperatury. Nalałam z wysoka, żeby się odpowiednio napowietrzyła. Zamieszałam. Robiłam ją tak samo jak tę kawę dla ciebie, siostró. Takich rzeczy się nigdy nie zapomina.

A kiedy się parzyła, otworzyłam prezent od Achi. Rozwinęłam rysunki, koncepcyjne szkice habitatu, którego księżycowe uwarunkowania nigdy nie pozwoliłyby jej zbudować. Rura magmowa, powiększona i wyrzeźbiona w twarze. Twarze *orixas*, wysokie na sto metrów, okrągłe, gładkie i spokojne, patrzyły na tarasy z ogrodami i stawami. Z ich oczu i otwartych ust lała się woda. Po dnie wielkiej jaskini były rozsiane pawilony i altany, pionowe ogrody sięgały od dna aż do sztucznego nieba niczym włosy bogów. Balkony – ona uwielbiała balkony – krużganki, arkady, okna. Stawy. Baseny. W tym *orixowym* świecie dałoby się przepłynąć z jednego końca na drugi. A podpisała go: *miejsce zamieszkania dla dynastii*.

Wszędzie wokół siebie masz ten dar od Achi.

Kiedy importerka roztarła mi pod nosem szczyptę zmielonej kawy, zalały mnie wspomnienia z dzieciństwa: morze, uczelnia, koledzy, rodzina, święta, imprezy. Podobno węch to zmysł najściślej związany z pamięcią. Kiedy powąchałam potem kawę, którą sama zaparzyłam, przeżyłam coś nowego. To nie były wspomnienia, to była wizja. Zobaczyłam morze, zobaczyłam Achi, Achi-która-wróciła, na desce pośród morza. Była noc, a ona na niej wiosłowała, przez fale, ponad falami. Wiosłowała przez srebrny ślad Księżyca na morzu.

Wcisnęłam tłoczek, nalałam i zaciągnęłam się aromatem kawy.

Napiłam się jej.

Ciągle nie smakowała tak samo, jak pachnie.

SIEDEM

– Roznieśli nas, kurwa, jak baby. – Dwadzieścia odczytów na fotelu podtrzymującym życie Roberta Mackenziego wchodzi na pomarańczowe pole. – Sami mieli, kurwa, jedną babę w ekipie.

Wieść rozniosła się błyskiem po rdzeniu kręgowym Tygła, od Chowańca do chowańca: *Bob Mackenzie opuszcza Gaj Paproci*. Niebywałe. Niewyobrażalne. Herezja.

Jade Sun nadzorowała delikatną operację przeładowania układu podtrzymywania życia swego męża do mobilnej kapsuły. Mówiła cicho, łagodnie, zachęcająco, tak, że obsługa aż bladła ze strachu. Kapsuła popędziła pod spopielającym spojrzeniem luster do wagonu nr 27, prywatnego apartamentu Duncana Mackenziego.

– Ale to była zieluniaczka – mówi Duncan.

– Czy ty próbujesz to w jakikolwiek sposób usprawiedliwić? – pyta Jade Sun, zawsze o jeden dyskretny krok za prawym ramieniem męża.

– Nie gadaj bzdur.

– Nie chodzi o bójkę, kurwa mać, w dupie mam jakichś pierdolonych luniarzy – mówi Bob Mackenzie. Jego głos to grzechot respiratorów, w płucach po latach wdychania pyłu ma pół Księżycy. – Chodzi o to, że przygięli nas do ziemi i wyruchali jak chcieli. Widziałaś, co się dzieje w sieci? Asamoah, Woroncowowie, nawet Sunowie się z nas śmieją. Nawet, kurwa, jebany Księżycowy Orzeł!

– My nigdy byśmy się nie śmiali z waszego nieszczęścia, kochanie – mówi Jade Sun.

– To durni jesteście. Ja na waszym miejscu bym się śmiał. Paru jebanych Brazylijczyków na pierdziawkach dla dzieci.

– Wyprzedzili nas – mówi Duncan. – To jest pewna niedogodność.

Ohydnie śmierdzisz, uświadamia sobie. Niezdrowa woń odchodów, kwaśny zapach moczu pod cienką maską środków sterylizujących i antybakteryjnych. Śmierdzi mu skóra, śmierdzą włosy. Tłuszcze, zakrzepły pot i wydzieliny. Śmierdzą mu zęby, paskudne zepsute zęby. Duncan nie może patrzeć na te żółte kikuty. O ileż lepiej byłoby raz szybko i porządnie walnąć i je wybić, żeby już nigdy nie musieć na nie patrzeć. Ale staruch by od tego umarł. Pięść przebiłaby się przez kruchą jak karton kość prosto w miękką maź mózgu.

– Niedogodność? Straciliśmy całą północno-zachodnią ćwiartkę. Z naszą produkcją helu będziemy w czarnej dupie przez pięć lat. Adrian miał cynk prosto od Orła. Adrian to mały brudny chujek, ale jak chronić źródła, to wie. Gdzieś musiał być przeciek. Ktoś z naszych. Mamy zdrajcę. A zdrajców nienawidzę najbardziej ze wszystkiego.

– Czytałem raport Eoina Keefe’a. Nasze szyfrowanie jest bezpieczne.

– Eoin Keefe to tchórz, który nigdy nie ryzykował własnych jaj dla rodziny. – Zwinna i groźna postać jeden krok za prawym ramieniem Jade Sun to Hadley Mackenzie.

Duncana denerwuje, że ojciec nachodzi go na prywatnych pokojach, ale on jest siwym patriarchą, jemu wolno. A Hadleya nie cierpi, bo jego obecność oznacza, że wśród zielonych liści Gaju Paproci odbyły się dyskretne rozmowy i zapadły szeptane decyzje, a on nie brał w tym udziału.

– Hadley zastąpił Eoina Keefe’a – mówi łagodnie Jade Sun.

– Nie ty o tym decydujesz. Nie będziesz mi wymieniać szefów.

– Będę ci wymieniać, kogo, kurwa, zechcę, i kiedy, kurwa, zechcę – mówi Robert Mackenzie i do Duncana dociera, jak słabą ma pozycję.

– Tylko decyzją zarządu – szepcze.

– Zarządu! – krzyczy Robert, mobilizując całą ślinę, jaką udało mu się wydzielić. – Rodzina jest w stanie wojny.

– Jesteśmy firmą. Firmy nie prowadzą wojen.

– Ja prowadziłem – odpowiada Robert.

- To już nie jest tamten Księżyc.
- Księżyc się nie zmienia.
- Walka z nimi nie da nam ani grama zysku.
- Mamy swoją dumę – mówi Hadley.

Duncan stoi tuż przy nim, oko w oko, na bliskość oddechu.

– A da się dumą oddychać? Wyjdź sobie tam i powiedz tak Pani Lunie: „Jestem Mackenzie i mam swoją dumę”. Walczymy z nimi tym, czym umiemy najlepiej. Robimy kasę. Mackenzie Metals to nie jest duma, to nie jest rodzina, to jest maszynka do robienia kasy. To jest maszynka do oddawania zysków wszystkim tym kapitalistom, tym funduszom i inwestorom wysokiego ryzyka, którzy zaufali tobie, tato, że weźmiesz ich pieniądze na Księżyc, że będą tutaj dla nich pracować. To oni są Mackenzie Metals. Nie my.

Robert Mackenzie huczy z głębi kamiennych płuc.

– Mój mąż jest bardzo zmęczony – mówi Jade Sun. – Emocje są dla niego wyczerpujące.

Fotel podtrzymujący życie zawraca. Duncan wie, że to wbrew woli starego potwora. Otwiera się śluza kapsuły transportowej. Hadley kiwa głową przyrodniemu bratu i rusza za powoli sunącym orszakiem.

– Nam potrzebny jest pokój z Cortami! – krzyczy za nimi Duncan.

Widzi Wagnera w fotelu i zamiera.

– W tym barze wszyscy są wilkami – mówi Wagner.

Ona się rozgląda. Dwie kobiety przy najbliższym stoliku, grupa ludzi dalej, samotny pijak przy barze, atrakcyjna para w łóży, wszyscy odwracają się i patrzą na nią. Barman kiwa głową na powitanie. Wagner wskazuje miejsce naprzeciwko siebie.

– Proszę. Coś do picia?

Wymienia nazwę jakiegoś nieznanego mu ziołowego koktajlu. Zanim weszłaś tu, byłaś przerażona, myśli. Ale odkąd mnie dostrzegłaś, jesteś zła. Widzę to po rozszerzeniu źrenic, po ustawieniu zuchwy, po zmarszczkach na twojej dłoni na

szklance, po rozszerzeniu nozdrzy; po setce mikrogestów. Czasami wyostrzone zmysły w trybie pełnej jaźni przytłaczają Wagnera powodzią wrażeń, a czasami wnioski z nich są precyzyjne jak nóż do walki. Czuje nosem składniki jej napoju: szprycer z bazylią i estragonem oraz odrobiną cytrusów. Woda to „Peary Lodowa”.

– Dobrze to wszystko zaaranżowałaś – mówi ona.

– Dziękuję. Ciężko pracowałem. Wiedziałem, że zrobisz wywiad. A jak profil w sieciach społecznościowych? Podobał ci się? Mniejszościowy udziałowiec Polar Lunatics. Gdybyś to sprawdzała, to ja naprawdę tam byłem w zespole. Ale sprzedałem udziały, kiedy ludzie mi powiedzieli, że ty stoisz pod drzwiami.

Za dużo gada. To wada jasnej części jaźni. Myśli się o wszystkim naraz, tylko słowa nie nadążają z przecięnięciem się przez wąskie gardło. Normalni są tacy powolni.

– Na uczelni nigdy nie byłeś taki pilny.

– Pilny. Pilny, tak. No, nie. Sporo się od tamtego czasu zmieniłem.

– Tak słyszałam. Zawsze masz takiego chowańca?

– Kiedy Ziemia jest w pełni, wszystko się zmienia – odpowiada Wagner.

– Boję się ciebie – mówi Elisa Stracchi.

– Jasne. Oczywiście. Musiałem się przyłożyć, żebyś nie uciekła. Ale wiesz, Elisa, mnie potrzeba tylko informacji.

– Ale nie wiedziałam, do czego.

Wagner pochyla się ku niej. Elisa Stracchi kurczy się pod jego rozpalonym spojrzeniem.

– Nie. Ja raczej w to nie wierzę. Nie, na pewno nie wierzę. Próba zamachu na mojego brata? Bioprocesory zaprojektowane specjalnie pod system ataku neurotoksynami oparty na muchach?

– A uwierzysz, jak ci powiem, że nie mam pojęcia, kto był klientem?

– W jedno uwierzę: że temu klientowi zrobiłabyś taki sam dokładny wywiad środowiskowy jak mnie. I mogę z tego wywnioskować, że on także ukrywał się za podobnymi strukturami korporacyjnymi jak ja.

– Mówisz, Wagner, jak kompletny fiut – zauważa Elisa. Stopa podryguje jej pod stołem. Nie trzeba wilczych zmysłów, by odczytać ten znak.

– Przepraszam, przepraszam. To komu to dostarczyłaś?

– Wagner, czy ja jestem bezpieczna?

Wagner ubolewa, że nie może przestać czytać z jej twarzy. Każdy podświadomy skurcz mięśnia, każde napięcie odbija się w nim empatycznym niepokojem. Czasem żałuje, że nie może po prostu wyłączyć tego trybu postrzegania. Ale gdyby to potrafił, nie byłby już Wagnerem Cortą.

– My cię ochronimy.

Elisa podaje doktor Luz adres korporacyjnej skrzynki do wrzucania dokumentów. Dr Luz bada ją. Firma-wydmuszka, obecnie zamknięta. Musiała to wiedzieć. Pytanie jest inne: przez ile ślepych skrzynek i firm-słupów przeszedł ten dokument, zanim dotarł do asemblera? Myśli już rozbiegają mu się po dziesięciu różnych ścieżkach. Patrzy na swój mózg podczas pełni jak na kwantowy komputer, eksplorujący potencjalne możliwości w wielu światach równoległych jednocześnie, a potem kolapsujący superpozycję stanów do pojedynczej decyzji. Już wie, co ma teraz zrobić.

– Wagner.

Potrzebuje paru sekund, żeby się ponownie skupić. Z drugiej strony dla normalisa to chwila.

– Wiesz co, odpierdol się. Na zawsze. Do końca życia będziesz jebanym Cortą. Nikt ci w życiu nie powiedział „nie”, prawda? Nawet byś nie zrozumiał tego słowa.

Waha się jednak, tylko sekundę, lecz w sam raz tyle, że odwracając się do wyjścia, stwierdza, że cały bar jest pusty. Wagner nie ma uprawnień, by wynajmować sobie ochronę na rachunek Cortów. A bar może wynająć za własne pieniądze. I obsadzić go kumplami, rodziną, towarzyszami ze stada.

Tej nocy biegnie ze stadem na sam dach miasta. Tam, wysoko, najbliżej ziemskiego światła, jak tylko pozwala architektura, dawne techniczne tunele rozryto w komory i pęcherzyki. Bar, klub i kryjówka. Jakby imprezować wewnątrz płuca. Powietrze jest stęchłe i nieświeże. Bar śmierdzi ciałami, perfumami i taną wódką zalatującą poliwęglanem z wytwornic. Światło jest niebieskie jak blask Ziemi, a muzyka prawdziwa, nie dawkowana każdemu prywatnie przez chowańca – i tak głośna, że aż namacalna.

Do Południka przyjechało stado Magdalena z Królowej Południa. To najstarsze z księżycowych stad i od pionierskich czasów prowadzi je Sasza Wołczonok Ermin. Onu twierdzi, że jest najstarszym wilkiem na Księżycu, pierwszym, które zadarł głowę i zawyłu do Ziemi. Pierwszym, które przywłaszczyło sobie te zaimki i końcówki. Onu jest pierwszakiem, o głowę niższym od reszty jegu stada, ale swoją charyzmą rozświetla bar niczym na Święto Diwali. Wagner czuje się trochę onieśmielony: onu nie uważa go za prawdziwego wilka, a za wydelikaczonego arystokratę. Jegu stada są brutalne, agresywne i uważają się za prawdziwych spadkobierców dwóch natur. Za to imprezy urządzą świetne. W dole już ustawiają się uczestnicy walk, rozebrani do skór i niemogący się doczekać swojej kolejki. Wagner jest od gadania, nie od walki – znajduje sobie legowisko w płataninie tuneli równoodległych od pokrzykiwań kibiców i DJ-a, gdzie prowadzi jednocześnie trzy rozmowy z robotykiem z Taiyang Moongrid, brokerem ograniczonych fizyką instrumentów pochodnych oraz projektantką wewnątrz specjalizującą się w drewnie hodowanym na zamówienie.

Na skraju konwersacji pojawia się dziewczyna ze stada Magdalena. Gdy Ziemia jest okrągła, księżycowe wilki gardzą normalną modą; ma więc na sobie wściekle zielony ocieplacz do skafandra, pobazgrany markerami we frenetyczne zawijasy rodem z rozświetlonej Ziemią wyobraźni.

– Taki mały, taki śliczny i tak ładnie pachnie – szepcze, a Wagner wylawia z powodzi słów każde z nich, co do jednego.

– Niezłe ubranko – odpowiada.

– Kiedyś było w modzie, potem nie, teraz znowu jest – mówi. – Jestem Irina.

Jej chowaniec to rogata czaszka z płomieniami buchającymi z oczu i nosa. Kolejna rzecz, która kiedyś była modna, potem nie, a teraz znowu jest. Wagnera zastanawiało ostatnio, skąd wziął się ten szal na pobazgrane graffiti ocieplacze do skafandrów.

– Jestem...

– Wiem, kim jesteś, Wilczku.

Zaciska zęby na małżowinie jego ucha i szepcze:

– Lubię gryźć.

– A ja lubię, jak mnie gryzą – odpowiada Wagner i zanim zdąży go odepchnąć,

kładzie rękę na jej mostku. Czuje każde uderzenie serca, każdy oddech, każdą falę krwi w tętnicach. Pachnie miodem i paczulą.

– Jutro muszę iść na przyjęcie urodzinowe mojej *mamãe*.

– To okaż jej szacunek i nie pokazuj za dużo ciała.

Po obu stronach Lucasinho pojawiają się dwa garnitury. Nie zna ich, ale wie, czyi są.

Lucas Corta siedzi na kanapie, na której spał Lucasinho. Schludny, precyzyjny, z dłońmi lekko ułożonymi na udach. Flavia klęczy w rogu, pomiędzy świętymi. Oczy ma wielkie ze strachu. Pierś jej faluje, widać, że walczy o każdy oddech. Dłonie trzepoczą przy piersi. Lucasinho nigdy czegoś takiego nie widział, ale każdy, kto się na Księżycu urodził, od razu wie, o co chodzi. Ma odcięty oddech. Dusi się, choć wokół pełno powietrza.

– Oddaj jej powietrze! – wrzeszczy Lucasinho. Kuca obok *madrinhi*, obejmuje ją ramieniem.

– Proszę bardzo – odpowiada Lucas. – Toquinho.

Flavia bierze głęboki, chrapliwy wdech, zaczyna kaszleć i się dławić. Lucasinho przytula ją. Flavia ma w oczach strach.

– Wagner płaci za...

– Złożyłem LDC lepszą ofertę – mówi Lucas. – Wydaje się, że to rozsądny krok. Dla bezpieczeństwa. Jeśli nie oddychasz, to nie mówisz.

– Wal się – warczy Lucasinho.

– Tyle czasu byłeś poza siecią, że pewnie nie wiesz, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Corta Hélio. Twoja rodzina. Przejęliśmy nową działkę pod wydobywanie helu, na *Mare Anguis*. Sąd Claviusa uznał nasze roszczenia. Zabezpieczyłem ci przyszłość, synu. Co ty na to?

– Gratuluję.

– Dziękuję.

Madrinha Flavia oddycha już miarowo, ale wciąż się kuli, jakby każdy oddech miał być ostatnim.

– Aha, jeszcze jedno. Zapomniałem. Włącz Jinjiego. Teraz. Już możesz.
Pomyślnie uruchomiony, mówi Jinji. *Masz z powrotem pełen dostęp do swoich kont.*

– Przyjemnie mieć z powrotem pieniądze, węgiel i sieć, co? – mówi Lucas. – Toquinho.

Ciąg nut nad ramieniem Lucasa zawirrowuje. Brzmią wirtualne dźwięki.
Otrzymałem cesję kontraktu, mówi Jinji. *Na zasilanie konta Czterech Żywiołów Flavii Vili Novy. Akceptujesz?*

– Twoja *madrinha* się tobą opiekowała – stwierdza Lucas. – To chyba zupełnie naturalne, że teraz ty się nią zaopiekujesz.

Akceptujesz? – ponagla Jinji.

– Flavia – mówi Lucasinho. – Chodzi o twoje konto. *Pai* chce, żebym je przejął. Muszę to zrobić. – Potem, do ojca: – Akceptuję. To i tak są twoje pieniądze.

– Tak. Ale pamiętasz, kiedy byłeś mały, nigdy nie chciałem ci kupić żadnego zwierzątka, prawda? – Lucas wstaje, strzepuje ze spodni wyimaginowane pyłki. Skinienie głowy, mięśniaki w garniturach ruszają ku drzwiom. – Jeszcze jedna sprawa. Najważniejsza. Po to przyszedłem. Lubisz imprezować. Wszyscy lubią. Więc ja mam dla ciebie zaproszenie na imprezę. Urodziny twojej babci. Przynieś tort. W tym jesteś mistrzem. Nie obchodzi mnie, czy będziesz go robić w ubraniu, czy na golasa, ale świeczek ma być osiemdziesiąt.

Yemanja budzi Adrianę Cortę muzyką. *Agua de Marco*, jej ulubiony utwór. Cover w wykonaniu Elis i Toma.

Dziękuję, szepcze do chowańca i leży pod lekkim przykryciem, patrząc w sufit, słuchając muzyki i zastanawiając się, czemu akurat dzisiaj zagrał tę piosenkę. Potem przypomina sobie. Urodziny. Kończy dziś osiemdziesiąt lat.

Yemanja wybrał urodzinowe stroje – dla siebie potrójny półksiężyc, a dla Adriany Pierre’a Balmaina, rocznik 1953, żakiet z frakowym kołnierzem i długimi rękawami, obcisłą ołówkową spódnicę z wielką kokardą na lewym biodrze. Rękawiczki. Torebkę. Eleganckie to wszystko. W sam raz dla

osiemdziesięcioletniego ciała. Zanim się ubierze, przez dwadzieścia minut pływa w nieskończonym basenie. Oddaje cześć *orixas* za oknem, kadzidłem i dżinem. Bierze leki, od których, jak codziennie, trochę chce jej się rzygać. Zjada pięć plastrów mango, a Yemanja tymczasem informuje ją o sprawach rodzinno-firmowych. Przemyka tysiąc obaw, ale dziś nie osiada. Nie w urodziny.

Pierwsza wita ją Helen de Braga. Całus, uścisk. Potem życzenia składa Heitor Pereira. Specjalnie dla niej ubrał się w bajkowy mundur, ze sznurami, guzikami, epoletami; wyglądałby idiotycznie, gdyby nie nosił go z tak wielką godnością. Uścisk, całus.

„Dobrze się czujesz?” – pytają.

„Czuję radość”, odpowiada. Podgryza ją śmierć, codziennie ubywa jej kawałek, nie rozstrzygnęła jeszcze kwestii sukcesji, mimo to obudziła się z rana przepelniona radością. Radością z małych rzeczy, z tego, jak osobliwie słoneczna linia oświetla twarz *orixas*, z wody opływającej jej ciało, gdy wchodzi do basenu, ze słodko-kwaśnego aromatu mango, z szelestu eleganckiego ubrania. Rzeczy piękne i banalne. Wciąż są w świecie nowe wrażenia do wchłonięcia.

Teraz przybiegają wnuki. Robson chce jej pokazać nową sztuczkę karcianą. „*Anzinho*, w tramwaju mi pokażesz”. Luna przynosi kwiaty, pasujący do stroju niebieski bukiet. Przyjmuje je, choć skóra jej cierpnie od dotyku czegoś, co żyło, a teraz jest martwe. Mocno pociąga nosem, na co Luna chichocze:

– *Violetas* nie pachną, *vo*.

Teraz *oko*. W Boa Vista została tylko jedna. Amanda Sun obejmuje swoją teściową i całuje ją w oba policzki.

Potem *madrinhas*. Amalia, Ivete, Monica, Elis, która dogląda Robsona, poprawia mu węzeł krawata i kołnierzyk. Rafa, Lucas, Ariel i Carlinhos dawno wyprowadzili się z Boa Vista, lecz ich *madrinhas* zostały. Adriana nigdy by się ich stąd nie pozbyła – Cortowie szanują swoje zobowiązania. Woli mieć je w jednym miejscu, pod własnym niebem, niż rozrzucone po świecie, z głowami pełnymi plotek i tajemnic. Tak jak tamta. Ta niewierna. *Madrinhas* jedna po drugiej podchodzą i wycalowują swoją dobrodziejkę.

Na koniec pracownicy i służba. Trwa to w nieskończoność, ściskanie dłoni i

przyjmowanie życzeń w tym radosnym dniu, jednak Adriana pracuje niestrudzenie – tu słówko, tam uśmiech. Za nią przy wyjściu ze stacji ustawia się ochrona. Tworzą barykadę z ciemnych garniturów pomiędzy Adrianą i jej wnukami, jej najstarszymi służącymi, jej ludźmi. Wszyscy, od dyrektor finansowej po ogrodnika, przystroili chowańce w odświeżone skórki i kolory.

Drzwi od stacji otwierają się nagle. Dłonie wędrują do noży. Heitor Pereira burzył się przeciwko urządzaniu przyjęcia poza Boa Vista, Adriana jednak się uparła. Corta Hélio nie będzie się tchórzliwie kryć w swojej twierdzy. Dłonie wracają na miejsca. To Lucasinho, z tekturowym pudełeczkiem.

– Wszystkiego najlepszego, *vo*. – W pudełku jest tort, zielona kopułka misternie ozdobiona barokową koronką lukru. – To się nazywa „tort szwedzkiej księżniczki”. Nie wiem, co to znaczy „szwedzkiej”.

Całują się i obejmują. Kolczyki Lucasa wrzynają się babci w skórę.

– W ubraniu czy bez? – pyta Adriana. – Mam nadzieję, że bez.

Lucasinho pąsowieje. Ślicznie mu z tym rumieńcem.

– Czy ty masz makijaż?

– Mam, *vo*.

– Ta konturówka świetnie podkreśla złoty odcień w twoich oczach. Może byś tylko bardziej podkreślił kości policzkowe. Mocne strony urody. – Śliczny chłopak z niego.

Goście zabiorą się dwoma tramwajami. W pierwszym towarzystwo, w drugim Adriana, najbliższa rodzina i ochrona. Podczas trzyminutowej jazdy Robson pokazuje *vo* nową sztukę karcianą, opartą na motywie ludzi uciekających z przeciekającego habitatu: tu figury cały czas uciekają z wierzchu talii. Wszyscy mają palce trochę zielone i trochę lepkie od ciasta Lucasinho.

João de Deus to miasto pracujące, Adriana nigdy nie poświęciłaby dziennego zysku, żeby ogłosić ogólne święto, nawet w osiemdziesiąte urodziny, mimo to wielu mieszkańców i zleceniobiorców wzięło sobie parę minut wolnego i przyszło pozdrowić Pierwszą Damę Helu. Patrzą teraz, jak flota *motos* wiezie Cortów Prospektem Kondakowej i podjeżdża pod hotel, gdzie Lucas zorganizował urodzinowy obiad. Klaszcza, niektórzy machają. Adriana odpowiada uniesieniem dłoni w rękawiczce. Sterowce w kształcie zwierzątek z

kreskówkę manewrują na wyciszonych mikrowentylatorach ponad Kwadrą Sebastiana, niczym boski cyrk. Adriana unosi wzrok, gdy pada na nią cień M-Kata Xu. Uśmiecha się.

Ludzie Heitora Pereiry pracowali od wielu dni przy dyskretnym zabezpieczeniu hotelu. Od późnego poranka dyskretnie skanowali gości. Oklaski; odwracające się głowy; Adriana pojawia się pośrodku przyjęcia, wiruje od twarzy do twarzy, od sukni do sukni, od pocałunku do pocałunku. Jej synowie, jej przystojni chłopcy w najlepszych garniturach. Ariel się spóźnia, Ariel zawsze się spóźnia na uroczystości rodzinne. Lucas jest wyraźnie zdenerwowany, ale nie jest stróżem siostry swojej. W tym świecie policja nie istnieje, nawet rodzinna.

Rodzina bliska i daleka – serdeczne uściski od Lousiki Asamoah – ją zawsze najbardziej lubiła ze wszystkich *oko* swoich dzieci. Krewni i powinowaci; rodzina Sore od strony Carlosa, pomniejszych klany, sprzymierzone przez *nikah*. Potem elita towarzyska. Księżycowy Orzeł przysłał przeprosiny – żaden z Orłów nigdy nie pojawił się na urodzinach Adriany. Adriana odtańcowuje eleganckiego walca pomiędzy Asamoah z Twé, nieskazitelnymi Sunami z Pałacu Wiecznego Światła i grandami Woroncowami; rody pomniejszych i niższe, gwiazdki towarzystwa i trendsetterzy, reporterzy i celebrytki, *amores* i *oko*. Są też wszyscy uczestnicy Biegu Księżycowego Lucasinho, onieśmieleni i trzymający się własnej orbity towarzyskiej. Adriana Corta każdemu ma coś do powiedzenia. Kilwater po jej przejściu generuje spiralę setek nowych rozmów i nowych kontaktów.

Na sam koniec – polityka. Biurokraci z LDC, dziekani Uniwersytetu Farside. Gwiazdy seriali, muzycy z list przebojów, artyści, architekci, inżynierowie. Adriana Corta zawsze wypełniała swoje urodziny inżynierami. I media: reporterzy sieci społecznościowych, modowi komentatorzy, ci, co tworzą treści, i ci, co je udostępniają. Religia: kardynał Okogie i wielki mufti el-Tayyeb, opat Sumedho oraz, cała w bieli, siostra Panów Chwili. Irmã Loa dyga przed swoją chlebobawczynią.

U boku matki pojawia się Ariel. Całus, przeprosiny, które Adriana zbywa machnięciem ręki.

„Dziękuję”.

„W życiu byś mi nie wybaczyła, gdybym nie zdążyła na twoją osiemdziesiątkę”.
„Nie za to ci dziękuję”.

Ariel rozsuwa swój waper na pełną długość i daje się porwać przyjęciu.

Adriana unosi głowę w zachwycie, słysząc muzykę. Bossa nova. Goście rozstępują się przed nią, gdy idzie do jej źródła.

„Ten sam zespół, co po Biegu Księżycowym Lucasinho”, mówi. „Jak miło”.

Lucas pojawia się u jej boku. Podczas wszystkich towarzyskich figur i piruetów nie oddalił się od niej dalej niż o dwa kroki.

„Tylko twoje ulubione kawałki, *mamãe*. Same stare melodie”.

Adriana gładzi Lucasa dłonią po policzku.

Dobry z ciebie chłopak, Lucas.

Wagner Corta wkłada się spóźniony do restauracji, cały czas nie czując się komfortowo w świeżo wydrukowanym garniturze. Rozmiar jest dobry, ale źle leży, ciśnie tam, gdzie powinien być luźny, ociera tam, gdzie powinien muskać.

– *Lobinho!* – Rafa wita go z otwartymi ramionami, wylewnie.

Żelazny uścisk, potężne klepnięcia po plecach. Krzywi się. Ludzki oddech. Wagner jest w stanie zidentyfikować składniki wszystkich drinków, które trafiły bratu do gardła.

– Są urodziny *mamãe*, nie mogłeś się chociaż ogolić? – Lustruje go od stóp do głów. – Gdzie ty chowałeś tego chowańca?

Wagner jedną myślą wylacza doktor Luz i przywołuje Sombkę, choć wszyscy, którzy wiedzą o jego dwóch połówkach, potrafią poznać, że dziś jest wilkiem: po tym, jak wierci się we własnej skórze, jak patrzy, jakby słuchał wszystkich rozmów naraz, po obfitej szczecinie na twarzy.

– Nie widziała cię przy powitaniu. – Rafa zgarnia drinka z tacy i wtyka Wagnerowi w dłoń. – Postaraj się dotrzeć do niej, zanim trafisz na Lucasa. Nie jest dziś w pobłażliwym nastroju.

Wagner ledwie zdążył na ekspres – rozkoszował się każdą chwilą z Iriną. Gryzła go. Ssała mu ciało tak mocno, że zostawały siniaki. Szczypała, szarpała,

aż krzyczał. Ciągnęła zębami za skórę, delikatnie i czule. Seks był w tym najmniej istotny, zdawkowy, oczywisty. Budziła w nim całkiem nowe odczucia i uczucia. Zmysły wibrowały mu przez całą noc. Wyjął garnitur z drukarki na stacji, przebrał się w toalecie w pociągu, ostrożnie naciągając koszulę i spodnie na świeże rany i siniaki. A każde najmniejsze ułknięcie bólu było jak ekstaza. Irina usłuchała jego próśb i nie zostawiła żadnego śladu na dłoniach, szyi, twarzy.

– Coś znalazłem – mówi.

– Mów.

– Rozpoznałem jeden z procesorów białkowych. Ty byś tego nie zobaczył, ale dla mnie – jakby ktoś dał swoje nazwisko na neonie.

– Coś strasznie szybko mówisz, Wilczku.

– Przepraszam. Przepraszam. Spotkałem się z projektantką. Studiowaliśmy razem. W jednej grupie. Dała mi adres skrzynki mailowej. Oczywiście niczyj. Ale wrzuciłem to stado do rozpracowania.

– Powoli. Powoli. Co zrobisz?

– Wrzuciłem stado do rozpracowania.

Stado z Południka to agronomowie, luniarze, robotycy, manikiurzyści, barmani, sportowcy, muzycy, masażyci, prawnicy, właściciele klubów, inżynierowie kolejowi, rodziny małe i duże; wielka różnorodność umiejętności i wykształcenia; jednak kiedy się zjednoczą i skupią na jednym zadaniu, dzieje się coś cudownego. Stado jakby współdzieli swoją wiedzę, instynktownie uzupełnia się nawzajem i tworzy idealny zespół, zjednoczony misją, *gestalt* nieomal. Wagner rzadko to widział, tylko raz brał udział, ale nigdy sam tego nie wykorzystał – do dzisiaj. Stado zebrało się, umysły, talenty i charaktery zlały się i stopiły – i po pięciu godzinach miał nazwę pracowni, która zbudowała muchę-mordercę. Nie ma w tym nic nadnaturalnego – Wagner nie wierzy w nadnaturalne rzeczy. To racjonalny cud. To nowy sposób na człowieczeństwo.

– Jednorazowa firma konstruktorska Najmniejsze Ptaki – mówi Wagner. – Siedziba w Królowej Południa. Zarejestrowana na Joachima Lisbergera i Jake’a Tenglonga Suna.

– Jake’a Tenglonga Suna.

– To nic nie znaczy. Firma wyprodukowała jeden produkt, dostarczyła go i się

zlikwidowała.

– A wiemy, komu dostarczyła?

– Próbuję to ustalić. Chociaż bardziej mnie interesuje, kto zamawiał.

– Masz jakieś ślady?

– Pewnie będę musiał osobiście pogadać z Sunem – odpowiada Wagner.

– Dobra robota, Wilczku – mówi Rafa.

Kolejne bolesne klepięcie w plecy. Odzywa się każdy znak po ugryzieniu. Rafa posterował Wagnerem tak, by przeciąć kurs matki przesuwającej się pomiędzy składającymi życzenia.

– Wszystkiego najlepszego, *mamáe*.

Adriana Corta zaciska usta. Potem nachyla się ku niemu, zapraszając do całusa. Dwa całusy.

– Mógłbyś się ogolić, naprawdę – mówi, rozśmieszając swoją świtę. Gdy odpływa w wir przyjęcia, szepcze mu do ucha: – Jeśli chcesz trochę zostać, to twoje dawne mieszkanie w Boa Vista czeka.

Marina nie cierpi tej sukni. Krępuje, drapie, jest za obszerna i niewygodna. Czuje się w niej naga, bezbronna; jeden zbyt gwałtowny ruch i wszystko zjeżdża z ramion pod nogi. A buty to już w ogóle. Ale są modne, stosowne, i choć nikt nie mrugnąłby okiem, gdyby przysłała w spodniemie czy wręcz męskim garniturze, Carlinhos jasno daje do zrozumienia, że Adriana by to odnotowała.

Uwięzła w nudnym towarzystwie i nudnej rozmowie, zdominowanej przez głośnego socjologa z Farside'a i jego teorie o ponarodowej tożsamości wśród drugiej i trzeciej generacji Lunarian.

Taki mądry jesteś, a nie potrafisz wymyślić lepszego słowa na mieszkańców Księżyca niż Lunarianie, myśli Marina. Przerzuca się w głowie określeniami: Księżycowi, luniacy, luniacy mooniacy księża lunatycy. Do dupy wszystkie. Ratunku, błaga *orixę* od imprez.

Dostrzega Carlinhosa przeciskającego się przez tłum ciał, odświętnych chowańców i szklanek z drinkami.

– Matka chce z tobą porozmawiać.

– Ze mną? Co takiego?

– Prosiła.

Już prowadzi ją za rękę pomiędzy gośćmi.

– *Mãe*, to jest Marina Calzaghe.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarła na Marinie, jest nieodwracalnie skażone nożem przy szyi, wygląda jednak, że postarzała się bardziej, niż sugerowałby kalendarz... nie, nie postarzała się, raczej przywiędła, skurczyła się, zrobiła się przezroczysta.

– Sto lat, *senhora* Corta.

Marina jest teraz dumna ze swojego portugalskiego, lecz Adriana i tak przechodzi na globo.

– Coś mi się zdaje, że rodzina znów jest wobec ciebie zobowiązana.

– Zrobiłam po prostu to, co do mnie należało.

– Jeśli powierzę ci kolejne zadanie, czy wykonasz je równie świetnie?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Mam takie zadanie. Chcę, żebyś się kimś opiekowała.

– *Senhora* Corta, niezbyt się nadają do dzieci. Boją się mnie...

– To dziecko się nie przestraszy. Już szybciej ty jego.

Kiwnięcie głowy każe Marinie spojrzeć na drugą stronę sali – na Ariel Cortę, jaskrawy płomień pośrodku ciemno odzianych urzędników sądowych i technokratów z LDC. Śmieje się, odrzuca głowę w tył, zamiata włosami, kreśli ideogramy dymem z wapera.

– *Senhora*, nie rozumiem.

– Chcę, żeby ktoś miał moją córkę na oku. Boję się o nią.

– *Senhora* Corta, jeśli potrzebuje pani ochroniarza, to są wyszkoleni...

– Gdybym chciała ochroniarza, to już bym go miała. Ochroniarzy to ja mam na pęczki. Chcę mieć agentkę. Chcę, żebyś była moimi oczami, uszami, moim głosem. Chcę, żebyś była dla niej przyjaciółką i przyzwoitką. Będzie cię nienawidzić, będzie z tobą walczyć, będzie próbowała się ciebie pozbyć, będzie cię gnębić, pogardzała tobą i obrażała. Ale ty będziesz przy niej trwać. Czy dasz radę?

Marinie brak słów. Nie da się. Nie da się tego zrobić, nie da się odmówić. Stoi przed Adrianą Cortą w uwierającej sukience i jedyne, co jest w stanie pomyśleć, to: ale nie będzie tam Carlinhosa.

Carlinhos poszturchuje ją. Adriana Corta czeka.

– Tak, *senhora* Corta. Dam radę.

– Dziękuję. – Uśmiech jest szczery, a całus w policzek ciepły, mimo to Marina wzdryga się, czując wieczny, czający się chłód.

Prowadzi go przez przyjęcie, tanecznym krokiem w czerwonej sukience. Ogląda się, czy dalej za nią patrzy, czy dalej za nią idzie, trzyma tempo, by zachować dystans. Rafa dopada ją na balkonie. Balonowy bestiariusz rozproszył się wokół restauracji, czeka teraz, podskakując na niebie jak prototypowi bogowie, którzy nigdy nie przeszli castingu do panteonu.

Rafa bez słowa przyciąga ją do siebie. Całują się.

– Jesteś najpiękniejsza na tym świecie – mówi Rafa. – Na obu światach.

Lousika Asamoah uśmiecha się.

– Kto się zajmuje Luną? – pyta.

– *Madrinha* Elis. Tęskni za tobą. Chce, żeby *mamãe* wróciła.

– Pst. – Dotyka karminowym paznokciem jego ust. – Zawsze to samo.

Znów się całują.

– Lousika... nasz kontrakt.

– Nasze małżeństwo kończy się za sześć lun.

– Chcę go odnowić.

– Mimo że mieszkam w Twé, a ty zabrałaś mi córkę i widzujemy się tylko na rodzinnych imprezach?

– Mimo to.

– Rafa, otrzymałam zaproszenie do Kotoko.

Wewnętrzna polityka AKA budzi u Ruffy jednocześnie podziw i dezorientację. Złoty Stolec to rada ośmiu członków rodziny reprezentujących poszczególne *abusua*. Tych ośmiu członków zmienia się rotacyjnie, co rok, na Stolcu, Fotelu,

zwanym też Omahene – zresztą i sam Złoty Mebel fizycznie przemieszcza się wtedy z habitatu do habitatu. Rafie wydaje się to niepotrzebnie skomplikowane i niepotrzebnie demokratyczne. Ciągłość zapewnia Sunsum, chowaniec Omahene, przechowujący wszystkie zapisy i wiedzę wszystkich poprzednich Omahene.

– To znaczy, że nie wrócisz do Boa Vista?

– Drugi raz będę mogła zasiąść na Stolcu dopiero za osiem lat. Luna będzie miała wtedy czternaście. Do tego czasu dużo się może zdarzyć. Nie mogę z tego zrezygnować.

Rafa cofa się o krok i trzyma żonę na długość ramienia, jakby wypatrywał w niej objawów szaleństwa lub boskości.

– Rafa, ja też chcę odnowić ten kontrakt. Ale nie mogę na razie wrócić do Boa Vista.

Rafa przelyka wściekle rozczarowanie. Zmusza się do odczekania chwili, zmilczenia słów, które cisną mu się na usta.

– To wystarczy – mówi w końcu.

Lousika bierze go za kłapy marynarki i przyciąga do siebie. Chowańce zlewają się i mieszają, dwie przenikające się iluzje.

– A może byśmy się gdzieś wymknęli na chwilę, co?

Lucas naciera spiralą ze skraju przyjęcia i wyłuskuje Amandę Sun spomiędzy roześmianego rodzeństwa i krewnych. Dotyka jej łokcia.

– Jedno słówko. Na osobności.

Prowadzi ją za łokieć do jadalni, już zastawionej do urodzinowej uczty, wokół sięgających sufitu lodowych rzeźb ze zrywającymi się do lotu ptakami. Przez wahadłowe drzwi do kuchni.

– Lucas, o co chodzi?

Mijają kuchnie, zlewy, tytanowe blaty robocze, chłodziarki i spiżarki, unoszące się i opadające noże i krajalnice. Do chłodni.

– Lucas, co z tobą? Puszczaj. Boję się.

– Amando. Chcę się z tobą rozwieść.

Amanda się śmieje. Krótki, pobrzmiewający irytacją chichot, oznajmujący, że uważa to za absurd. Za coś nie do pomyślenia. Jakby Księżyc zwał się do Zatoki Hudsona. Potem:

– O rany. Ty mówisz poważnie.

– Czy ja kiedyś mówię niepoważnie?

– Nie można powiedzieć, Lucas, że jesteś niepoważny. A ja nie mogę powiedzieć, że ten pomysł nie wydał mi się pociągający. Ale nie jesteśmy w tych sprawach wolni, prawda? Mój ojciec nie przejdzie do porządku dziennego nad taką obrazą wobec córki.

– To nie ja upierałem się przy klauzuli o monogamii.

– Ale ją podpisałeś. Lucas, o co tak naprawdę chodzi? – Amanda patrzy mu w twarz, jakby wypatrywała choroby lub obłądu. – O Boże. To miłość, tak? Ty naprawdę się w kimś zakochałeś.

– Tak – mówi Lucas. – Chcesz, żebym złamał kontrakt, czy rozwiążemy go za porozumieniem stron?

– Ty się zakochałeś.

– Będę wdzięczny, jeśli do końca luny wyprowadzisz się całkowicie z Boa Vista – woła Lucas zza drzwi chłodni.

Pracownicy restauracji w skupieniu układają, komponują i dekorują wykwintne przekąski.

– Z Lucasinhem nie będzie problemu. Jest pełnoletni. – Lucas wycofuje się przez kuchnię.

Amanda Sun za drzwiami śmieje się, śmieje i śmieje, aż musi, wyczerpana, oprzeć dłonie o kolana. I śmieje się dalej.

– Cześć.

– No cześć.

– Czemu odbijasz moje wiadomości?

Abena Asamoah wierci w podłożu czubkiem satynowej szpilki Rayne, odwraca

wzrok. Pociąga za kolec w uchu Lucasinha.

– Cały czas go masz. I naprawdę ci dobrze z tym makijażem.

Dopał ją przy cocktail-barze, zwabił do cichego kącika. Jakaś część umysłu stwierdza: Luca, to jest narzucanie się.

– Babcia też tak uważa.

Szczerzy zęby i widzi, że jest nic porozumienia – u niej też wywołał minimalny uśmiech.

– Więc gdybym naprawdę był w potrzebie, mógłbym do ciebie pójść – postukuje w kolczyk.

– Oczywiście. Dokładnie tyle to oznacza.

– Tylko że...

– Co?

– Kiedy byłem w Twé na tej basenowej imprezie, nawet nie chciałaś na mnie spojrzeć.

– Kiedy byłeś na tamtej imprezie, kleiłeś się do Ya Afuom, a do tego oboje mieliście Bóg wie czym zryte mózgi.

– Do niczego nie doszło.

– Wiem.

– A czemu to dla ciebie ważne, doszło czy nie doszło?

Abena bierze głęboki wdech, jakby miała tłumaczyć dziecku jakieś trudne pojęcie, jak „próżnia” albo „Cztery żywioły”.

– Po tym, jak uratowałaś Kojo, wszystko bym dla ciebie zrobiła. Szanowałam cię. I to jak. Byłeś odważny i dobry, nadal jesteś. Ale kiedy poszedłeś do szpitala do Kojo, chciałeś tylko dostać się do jego mieszkania. Wykorzystałaś go. A z kolei Grigorijowi Woroncowowi sam dałaś się wykorzystać, jak zabawka do seksu. Luca, ja nie jestem pruderyjna, ale to było obrzydliwe. Potrzebowałaś czegoś i wykorzystywałaś każdego, kto mógł coś dla ciebie zrobić. Przestałaś szanować innych ludzi, przestałaś sam się szanować – i ja przestałam ciebie szanować.

Lucasinho czuje, że twarz mu płonie. Gorączkowo wymyśla usprawiedliwienia, tłumaczenia, obronę: zły byłem na ojca, ojciec mi wszystko pablokował, nie miałem dokąd pójść, nie byłem w sieci, to byli tylko ludzie, do których coś czułem, badałem różne opcje, to był szalony czas, to było przez chwilę, nikomu

nie zrobiłem krzywdy, a przynajmniej poważniejszej. Wszystko to brzmi jak ściema. Prawdy nie zakwestionuje. Nie posunął Ya Asamoah, ale gdyby to zrobił, spędziłby u niej w mieszkaniu kilka nocy; miękkie łóżko, ciepłe ciało i śmiech. Jak z Grigorijem, jak z Kojo. Jak u własnej ciotki. Jest winny. Jedyna nadzieja na naprawę relacji z Abeną to się przyznać.

– Masz rację.

Abena stoi ze splecionymi ramionami, wspaniale władcza.

– Masz rację.

Dalej milczy.

– To prawda. Byłem okropny dla ludzi.

– Ludzi, którzy o ciebie dbali.

– Tak. Ludzi, którzy o mnie dbali.

– Upieczesz mi ciasto – mówi Abena. – Pieczesz ciasta na przeprosiny, tak? To upieczesz mi?

– Upiekę.

– Mają być babeczki. Trzydzieści dwie. Chcę zrobić babeczkowe party dla moich sióstr-*abusua*.

– A jaki smak?

– Wszystkie możliwe.

– Nie ma sprawy. Trzydzieści dwie babeczki. I puszczę ci przez sieć wideo, jak je robię, żebyś była pewna, że robię je jak trzeba.

Abena piszczy z udawanym oburzeniem, ściąga prawy but i wali nim Lucasinho całkiem niedelikatnie w pierś.

– Niegrzeczny chłopak.

– A ty chciałaś pić moją krew.

Alarm bezpieczeństwa, mówi mu Jinji do ucha. *Proszę zachować spokój, ochrona Corta Hélio jest w drodze.* W całej sali dłonie wędrują do uszu, twarze zadają pytania: co, gdzie? Kobieta w sukni od Tiny Leser przeskakuje przez bar, odpycha Abenę i staje pomiędzy Lucasinho a zagrożeniem. W obu dłoniach ma noże.

– Co się dzieje? – pyta Lucasinho.

Po chwili, gdy goście odsuwają się od drzwi restauracji, widzi wszystko. Na

przyjęcie chce się wbić Duncan Mackenzie z sześcioma korporacyjnymi nożami za plecami.

Heitor Pereira wychodzi naprzód, by stawić Duncanowi czoło. Prezes Mackenzie Metals zatrzymuje się o centymetry od wyciągniętej dłoni. Unosi brwi, widząc pstrokaty mundur Cortowego bezpieczniaka. Za oboma mężczyznami stają ich uzbrojeni podwładni, z rękoma na nożach.

Rafa przeciska się przez szereg ochroniarzy. Lucas jest krok za nim, po bokach Carlinhos i Wagner. Lucas rzuca spojrzenie synowi: Lucasinho przeciska się przez swoją ochroniarzkę, by stanąć razem z nimi.

– Co ty tu robisz? – pyta Rafa.

Cała sala zamarła. Nikt nie sięga po drinka ani po szklanekę z herbatą.

– Przyszedłem złożyć życzenia waszej matce – odpowiada Duncan.

– Wykopiemy was stąd tak samo jak z Beikou! – krzyczy ktoś zza szeregu ochroniarzy.

Rafa unosi dłoń – dosyć.

– Chłopcy, chłopcy. – Adriana dotyka biodra Ruffy; ten odpływa na bok. – Miło, że przyszedłeś, Duncan. Ale tylu ludzi?

– Na zaufanie mamy teraz niedobór rynkowy.

Adriana wyciąga rękę. Duncan Mackenzie pochyla się, by ją ucałować.

– Wszystkiego najlepszego. – Potem, szeptem, po portugalsku: – Musimy porozmawiać. Jak rodzina z rodziną.

– Musimy – odpowiada Adriana w tym samym języku. Potem, rozkazująco: – Przygotować przy moim stole jeszcze jedno nakrycie. Obok mnie. I napoje dla ludzi pana Mackenziego.

– *Mamãe?* – odzywa się Lucas.

Adriana mija go, nie patrząc.

– Jeszcze nie jesteś *hwaejangiem*. Żaden z was nie jest.

Jedzenie jest wyśmienite, danie po daniu, potrawa za potrawą, o zharmonizowanych smakach i zróżnicowanych fakturach, płyny, galaretki, różne geometrie i temperatury, Adriana jednak jest w stanie tylko dziobać je swoimi wykrywającymi truciznę pałeczkami. Odrobina smaku, odrobina zapachu, by docenić teorię i umiejętności praktyczne. Natomiast Duncan Mackenzie po jej prawicy je z zapałem, sypiąc pochwałami; przez szacunek dla umiejętności kucharza nie zaczyna rozmowy, póki nie skończy ostatniego dania.

– Gratuluję *Mare Anguis* – odzywa się na koniec. Unosi szklaneczkę z miętową herbatą.

– Nie mówisz szczerze – odpowiada Adriana.

– Oczywiście, że nie. Ale ładnie to zrobiliście, i to mi imponuje. Rozpieprzyliście nam cały plan rozwoju produkcji helu-3. Skąd w ogóle dowiedzieliście się o nowej koncesji?

– Ariel jest w Pawilonie Białego Zająca.

Duncan przeżuwa przez chwilę posmak tego zdania.

– Powinniśmy byli wiedzieć.

– A wy skąd się dowiedzieliście?

– Księżycowy Orzeł strasznie gada przez sen.

– Jeśli widzę jakąś przewagę, to ją wykorzystuję – mówi Adriana.

– Żelazne Prawo – odpowiada Duncan Mackenzie. – I należało nam się. Muszę pomówić z Adrianem. Musi mieć dla Orła jakieś nowe sztuczki.

– Duncan, po co tu przyszedłeś?

Zajął miejsce Lucasa po lewej stronie Adriany, wyganiając go do mniej ważnego stolika, z którego łypie z otwartą nienawiścią. Adriana łapie jego spojrzenie: „To nie twoja sprawa”.

– Urodziny to dobry moment, żeby patrzeć naprzód.

– Nie w moim wieku.

– Zgódź się jednak. Za pięć lat. Gdzie będziemy za pięć lat?

– W tej sali, na kolejnych urodzinach.

– A może na górze w Bairro Alto i będziemy sprzedawać własne szczyzny, bić się o jedzenie i wodę i walczyć o każdy oddech? Księżyc się zmienia. To już nie

jest ten sam Księżyc, o który biłaś się z moim ojcem. Jeśli teraz zaczniemy walczyć, wszyscy przegramy. – Duncan mówi na prywatnym kanale, Esperance do Yemanji, subwokalizując.

Adriana także odpowiada mu takim półgłosem.

– Wcale nie pragnę wojny z powrotem.

– Ale do niej zmierzasz. Bójka w Beikou to był tylko początek. Potem były problemy w Świętej Jekatierinie i Port Imbrium. Ktoś w końcu zginie. Złapaliśmy jedną z twoich luniarek przy sabotażu na łaziku Mackenzie Metals.

– I co z nią zrobiliście?

– Na razie trzymamy. Będzie okup, ale to i tak lepiej. Hadley chciał ją wywalić za służbę.

– Mój wnuk, Robson, jest zadziwiająco zręczny w nożu. Jak myślisz, od kogo się tego nauczył? Od Hadleya. O, tam siedzi. Pokazuje sztuczkę karcianą Jadenowi Wen Sunowi, widzisz? Cały czas to robi, odkąd uciekł z Tygła. Jeśli ktoś go tknął choćby palcem...

– Zapewniam cię, że nikt. Ale ty masz swojego syna. A moja córka nie żyje.

– Nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Bezgłówna mowa nabiera emocji zdradzanych zaciśniętymi zębami, spiętym gardłem, drgającymi wargami. Ariel patrzy na nią z miejsca przy okrągłym stole. Adriana wie, że jej córka umie świetnie czytać z ruchu warg. To się bardzo przydaje w sądzie.

– Kto zyska, jeśli wdamy się w walkę?

– Kiedy walczą Smoki, płonie wszystko – mówi Adriana. – Przysłowie Sunów, stosunkowo świeże, księżycowe.

– Powstrzymam moich ludzi, jeśli ty powstrzymasz swoich.

– Zgoda.

– W tym twoją rodzinę.

Adriana wykrzywia usta ze złości na samą sugestię. Rafa ma temperament po niej, ale ona nad nim panuje, nauczyła się przez dekady korporacyjnych wojen i potyczek na zarządach, gadek z inwestorami i sądowych przepychanek. A on nigdy nie musiał się tego uczyć. Gniew to jeden z jego licznych przywilejów.

– Rafa jest *bu-hwaejangiem*.

– Nie mówię, żeby go zdegradować. Gdzieżbym śmiał. Mówię, że może powinien się podzielić odpowiedzialnością.

– Z kim?

– Z Lucasem.

– Coś za dobrze znasz moją rodzinę – zauważa Adriana.

– To nie my próbowaliśmy zabić Rafę – rzuca Duncan.

– Nie my zabiliśmy Rachel – odpowiada Adriana.

Teraz już odwracają się głowy.

– Wybacz, Duncan. Pogadam z nim. Teraz muszę wygłosić przemówienie. – Postukuje pałeczką w kieliszek, donośny dźwięk ucisza rozgadaną salę. Adriana Corta wstaje.

– Drodzy goście, przyjaciele, koledzy, współpracownicy i rodziny. Kończę dziś osiemdziesiąt lat. Osiemdziesiąt lat temu urodziłam się w Barra de Tijuca w Brazylii, na innym świecie. Jednak przez pięćdziesiąt z tych lat, ponad połowę życia, mieszkałam na tym świecie. Przybyłam tu wśród pierwszych osadników i patrzyłam, jak dorastają dwa kolejne pokolenia, moich dzieci i moich wnuków. Teraz okazuje się, że jestem Matką Założycielką. Księżyc pod wieloma względami mnie odmienił. Zmienił moje ciało, tak że nigdy już nie będę mogła wrócić na mój ojczysty świat. Dla was, z młodszych pokoleń, sama idea jest dziwna. Nie zaznaliście w życiu świata innego niż ten; mogę sobie mówić o zmianach, które zaszły we mnie, ale to i tak jest nic wobec tego, jak wyście się zmienili. Tacy wysocy! Tacy eleganccy! A moje wnuki? Żeby dać wam buziaka, potrzebuję skrzydeł! Księżyc odmienił też moje życie. Dziewczyna z Barra, *Outrinha*, Przeciętniara, jest właścicielką potężnej korporacji. Gdy wchodzę do kopuły obserwacyjnej i patrzę gołym okiem na Ziemię, widzę na niej tę świetlną sieć i myślę: „To świeci się dzięki mnie”. Tak, kolejna rzecz, którą Księżyc zmienia w ludziach – na skromności nic się nie zyskuje. Księżyc zmienia także rodziny: widzę tu przyjaciół, krewnych i współpracowników ze wszystkich Pięciu Smoków, widzę utrzymanków i *madrinhas*; lecz ja nie jestem jak pozostałe

Smoki. Wy przybyliście tutaj z rodzinami, Sunowie, Asamoah, Woroncowowie, Mackenzie i wy, nienależący do wielkich rodów, także. A ja, kiedy zakładałam Corta Hélio, wszystkim członkom mojej rodziny zaproponowałam, żeby przyjechali tu do mnie i ze mną pracowali. Nikt nie miał odwagi, nikt nie miał tyle nadziei, by opuścić Ziemię. Założyłam więc tu własny ród; dzięki drogiemu Carlosowi i jego rodzinie, ale także drogim przyjaciołom, którzy są mi bliscy jak rodzina – Helenie i Heitorowi. Dziękuję wam za lata pracy, oddania i miłości. Księżyc odmienił także moje serce. Przybyłam jako Brazylijka, stoję tu jako kobieta z Księżyca. Porzuciłam jedną tożsamość, aby wytworzyć sobie drugą. Wydaje mi się, że to jest udziałem nas wszystkich tutaj – trzymamy się swojego języka i zwyczajów, kultury, nazwisk, jednak jesteśmy już z Księżyca. Ale najbardziej Księżyc zmienił siebie samego. Na moich oczach przeobraził się z bazy naukowej przez garstkę przemysłowych habitatów do pełnoprawnej cywilizacji. Pięćdziesiąt lat to długi okres w życiu człowieka, a jeszcze dłuższy w życiu nowego narodu. Nie jesteśmy już surowym satelitą, jesteśmy teraz nowym światem. Na Ziemi mówią, że go zgwałciliśmy, zniszczyliśmy jego naturalne piękno swoimi śladami, torami, ekstraktorami, bateriami słonecznymi, farmami serwerów, że zdeptaliśmy go miliardami śladów stóp, które zostaną tu na wieki. Oślepiają ich nasze lustra, są urażeni King Dongiem. Tyle że Księżyc zawsze był brzydki. Nie, nie brzydki. Pospolity. Bezpłciowy. Aby dostrzec jego piękno, trzeba zejść pod powierzchnię. Trzeba się dokopać do miast, do kwadr, do habitatów i agrariów. Trzeba spojrzeć na ludzi. Miałam swoją rolę w budowie tego wspaniałego świata. Z tego osiągnięcia jestem dumna najbardziej, bardziej niż ze swojej firmy, bardziej nawet niż ze swojej rodziny. W wieku osiemdziesięciu lat pora cieszyć się ze swoich osiągnięć. Świat jest w dobrym stanie, rodzina dumna i szanowana, firma z każdym dniem rośnie w siłę: nie omieszkam wspomnieć o naszym najnowszym skutecznym przejęciu pól wydobywczych na *Mare Anguis*. Dla Adriany Corty przyszedł zatem czas odpoczynku. Ustępuję ze stanowiska *hwaejanga* Corta Hélio. Rafael będzie nowym *hwaejangiem*, a Lucas *bu-hwaejangiem*. Nie zauważycie tej zmiany – moi synowie od dziesięciu lat praktycznie prowadzą firmę. Ja zaś będę się cieszyć odpoczynkiem oraz towarzystwem rodziny i przyjaciół. Dziękuję wszystkim za

moc serdecznych życzeń urodzinowych. Sprawily mi przyjemność na wiele dni. Dziękuję.

Adriana siada pośród konsternacji. Wszędzie wokół rozdziawione ze zdumienia usta. Wszystkie oprócz ust Duncana Mackenziego, który nachyla się do niej i szepcze:

– Widzę, że naprawdę wbiłem się na właściwe przyjęcie.

Adriana odpowiada krótkim śmiechem, perlistym, srebrzystym, dziewczęcym niemal. Śmiechem beztroskim. Ariel pochyła się nad stołem, Rafa zrywa się na równe nogi, Carlinhos, Wagner; wszyscy jednocześnie zadają pytania, aż przecina je głośne, miarowe klaskanie. To wstał Lucas. Uniósł dłonie i klaszcze. Ktoś odpowiada mu z drugiego końca sali. Potem dwie osoby, trzy, cztery, aż wstaje cała sala – urządza Adrianie Corcie rzesistą owację na stojąco. Adriana wstaje, uśmiecha się, kłania.

Lucas przestaje klaskać ostatni.

Po pierwszym szoku – pytania.

Helen de Braga zdąża z pierwszym, szeptem, uprzedzając Ariel.

– Mówiłaś chyba, że to zbyt smutny temat na urodziny?

– Powiedziałam tylko, że odchodzę na emeryturę. – Ściska dłoń starej przyjaciółki. – Później.

Ariel wyczuwa matkę.

– Przez jedną straszną chwilę myślałam, że i mnie dasz pracę.

– Oj, skarbie – mówi Adriana, potem przechodzi na ton rozkazujący i zwraca się do świty: – Bardzo zmęczona jestem. Ciężki dzień. Chciałabym już pójść do domu.

Heitor Pereira przywołuje ochronę. Odgradzają Adrianę od pytań gości.

– Gratulacje, *senhora*, z okazji przejścia na emeryturę – mówi Heitor – ale jeśli

chodzi o moje stanowisko... to żadna tajemnica, że Lucas chce się mnie pozbyć.

– Heitor, ja dbam o swoich ludzi.

Ochroniarze rozstępują się dla Ruffy. Za nim idzie Lousika Asamoah. Rafa obejmuje *mãe*.

– Dziękuję – mówi. – Nie zawiedziesz się na mnie.

– Bardzo długo i bardzo głęboko zastanawiałam się nad sukcesją. – Adriana gładzi go po policzku.

– Sukcesją? – pyta Rafa, lecz Adrianę już sztywno obejmuje Lucas.

– *Mamãe*, co cię opętało?

– Zawsze ciągnęło mnie do teatru.

– Na oczach tego Mackenziego.

– I tak by się dowiedział. Plotki w sekundę oblatują pół świata.

– Prezesa Mackenzie Metals. To oni próbowali zabić Rafę.

– A ja dałam mu słowo, że nie wrócimy do korporacyjnych wojen.

– *Mãe*, nie jesteś już *hwaejangiem*.

– Nie dawałam mu słowa jako *hwaejang*.

– I tak je złamię. Duncan może dać słowo, ale jego ojciec nie wybacza. Mackenzie odpłacają po trzykroć.

– Lucas, ja mu wierzę.

Lucas splata palce, pochyla głowę, Adriana wie jednak, że nie jest w stanie się zgodzić. Za nim przychodzą Carlinhos, Wagner, *madrinhas* i dzieci; Adriana idzie przez alejkę wśród oklasków i uśmiechów. Przy drzwiach, pod ozdobnymi drzewami zauważa jakąś postać.

– Proszę mnie przepuścić.

Irmã Loa unosi krucyfiks spomiędzy paciorków. Adriana Corta pochyla się, by go ucałować.

– To kiedy im powiesz? – szepcze Irmã Loa.

– Kiedy sukcesja będzie ustalona – mówi Adriana.

Chowańce słuchają, umieją słyszeć szepty, ale prywatnego kodu nie złamię. Irmã Loa wyciąga buteleczkę i skrapia Adrianę święconą wodą.

– Niech cię błogosławi Jezus Chrystus i Maryja, Hieronim i Matka Boska Niepokalanie Poczęta, Święty Jerzy i Sebastian, Święci Kosma i Damian oraz

Pan Cmentarzy, Święte Barbara i Anna niech błogosławią tobie, twojej rodzinie i wszystkim twoim przedsięwzięciom.

Do lobby wpływają *motos*, bezgłośnie i precyzyjne.

Obcasy Ariel są piękne i niepraktyczne, ale przydają jej elegancji, gdy pędzi do wyjścia. Jednak Marina jest sprawna jak na powierzchnię, jest Długobiegaczką i łapie Ariel za łokieć.

– Mnie też się to nie podoba, ale twoja matka kazała mi...

Dłoń, chwyt, skręt i Marina musi iść jedyną ścieżką, która nie kończy się zwichniętymi stawami ani złamanymi kośćmi. Impreza zawirowuje i dziewczyna już leży na plecach, bez tchu, na wywoskowanym parkiecie.

– Jak będziesz w stanie mnie tak zrobić, to może wtedy będę potrzebowała ochroniarki – mówi Ariel i wsiada do *moto*, które otworzyło się przed nią jak dłoń.

– Nikt mnie z tego nie zwolnił – mruczy Marina, gdy ochrona Cortów podnosi ją i stawia na nogi.

Ale *moto* już jest w połowie Prospektu Kondakowej, pstrokate od reklam i ścigane przez balonowy bestiariusz.

– Cześć.

– Cześć.

Abena dotyka ramienia Lucasinha.

– Jakież plany?

– Bo?

– A nic. Idziemy w parę osób do klubu.

Mogła mu wysłać wiadomość przez Jinjiego, ale przyszła osobiście, żeby go dotknąć.

– Kto?

– Ja, moje *siostry-abusua*, Nadia i Ksenia Woroncow.

Patrzą na niego, ubrane elegancko, w kolorowych butach, on zaś bardzo, bardzo chciałby z nimi pójść, być z Abeną i wypatrywać okazji; zrehabilitować się, zaimponować jej. Lecz w głowie uporczywie kołaczą mu dwa obrazy: dwaj goryle ojca po obu jego bokach. Flavia skulona wśród swoich świętych, walcząca o oddech.

– Nie mogę. Muszę pobyć trochę z moją *madrinhą*.

Imprezy mają okres połowicznego rozpadu. Rozmowy tracą rozpęd. Wyczerpują się tematy. Robią się męczące. Zaliczony każdy, kto miał być zaliczony. Kontakty się skontaktowały, albo spełzły na niczym. Nikt już nie słucha muzyki. Obsługa zaczyna sprzątać. Za godzinę restauracja otwiera się dla gości na wieczór.

Lucas ociąga się z wyjściem, świadomy, że przeszkadza, że ledwo go tolerują, chce jednak temu podziękować, tamtemu uścisnąć dłoń, innemu dać napiwek czy premię. Zawsze doceniał dobrą robotę, zawsze uważał, że powinna być nagradzana.

– *Mãe* była zachwycona – mówi do restauratora. – Jestem bardzo z was zadowolony.

Zespół zwija instrumenty. Wydają się zadowoleni z występu. Lucas dziękuje im po kolei, Toquinho hojnie rozdaje napiwki. Szeptem do Jorge:

– Momencik, jeśli możesz.

Jedno spojrzenie Lucasa i balkon się opróżnia.

– Znowu balkon – zauważa Jorge.

Lucas opiera się o szklaną ścianę z widokiem na Kwadrę Świętego Sebastiana. Urodzinowe sterowce opadły na poziom gruntu, maleńkie ludziki próbują okiełznać latających bogów sznurami, kotwicami i spuścić z nich powietrze.

– Dziękuję, Jorge – mówi Lucas tonem, który gasi wszelką żartobliwość i wesołość Jorge. Głos ma zdławiony, udręczony.

– Dziękuję, *senhor* Corta.

– *Senhor*... – zaczyna Lucas. – Sprawileś mojej matce wielką radość w dniu...

Nie. Nie to chciałem powiedzieć. Jestem *bu-hwaejangiem* Corta Hélio, mówię o strategii na zarządzie, zarabiam na życie gadaniem, a nie potrafię się wysłowić. Miałem cały wstęp, Jorge. Miałem powiedzieć o wszystkich moich powodach, o przemyśleniach. O wszystkim.

– Kiedy marzną mi palce, kiedy nie wychodzi mi melodia, kiedy czuję, że coś jest nie tak z muzyką, którą pamiętam, zawsze sobie powtarzam, że znalazłem się tutaj, bo potrafię coś, czego nie umie nikt inny na tej sali – mówi Jorge. – Nie jestem taki jak oni. Jestem wyjątkowy. I wolno mi czuć dumę, że taki jestem. Ty, Lucas, masz pełne prawo, żeby powiedzieć, co chcesz, co myślisz.

Lucas wzdryga się, jakby ktoś wbił mu gwóźdź pomiędzy oczy. Ścisną szklaną poręcz.

– Tak. Po prostu. – Patrzy na Jorge. – Jorge, wyjdiesz za mnie?

Tym razem Duncana Mackenziego wzywają do cieplarni. *Przyjechała kapsuła*, obwieszcza Esperance. Duncan poprawia klapy marynarki, mankiety spodni, mankiety koszuli. Sprawdza swój wygląd jeszcze raz przy pomocy Esperance. Świsną oddechu przez zęby, wsiada do kapsuły.

Ojciec czeka wśród paproci. Powietrze pachnie wilgocią i zgnilizną. Duncan już nie jest w stanie odczytać z twarzy ojca żadnych emocji. Została tylko starość, głębokie wyrzeźbione przez Księżyc zmarszczki. Jak łatwo byłoby tu wyrwać wtyczkę, tam wyszarpnąć rurkę, gdzie indziej kabelek i patrzeć, jak ojciec dławi się i bulgoce, osuwając się w śmierć na podłodze swego ukochanego Gaju Paproci. Kompost do kompostu. Na pokarm dla roślin. Ale to na nic, lekarze znów by go ożywili. Robili to już trzy razy, łapali to światełko w jego oczach, zanim zgasło, i podsycali nim gasnący płomek wraku ciała. Takie są moje nadzieje. Na jedno tylko czekam.

Za Robertem Mackenzieem stoi Jade Sun.

– Te urodziny. Co, śpiewałaś Adrianie „Sto lat”?

– Z nią nie rozmawiam. – Duncan zerka na Jade Sun.

– Wszystko, co mówisz do Roberta, mówisz do mnie – mówi Jade Sun. – Przez

chowańca czy nie.

– Właśnie – odzywa się Robert. – Myślałem, że już jesteśmy pośmiewiskiem. A jeszcze ty, gówniarzu, polazłeś na jej urodziny.

– Rozmawiałem z nią jak Smok ze Smokiem.

– Rozmawiałeś z nią jak cipa z cipą. Powstrzymasz naszych ludzi? Naszych ludzi? Co to ma, kurwa, być? Tylko cipa zgodziłaby się na coś takiego. Chcesz związać nam ręce i pozwolić, żeby ci złodzieje zostawili nas z gołą dupą w próżni? Za moich czasów wiedzieliśmy, jak się postępuje z wrogami.

– To było czterdzieści lat temu. Czterdzieści lat temu, tato. Teraz mamy inny Księżyc. Nowy Księżyc. Nów.

– Księżyc się nie zmienia.

– Adriana Corta odchodzi.

– Rafael jest *hwaejangiem*. Pieprzony bałwan. Rządzić będzie Lucas. Ten chuj jest pozbierany. W życiu by nie poszedł na żadną dżentelmeńską umowę.

– Ariel jest w Białym Zającu – mówi Duncan.

Staruch, wściekając się, pluje śliną. W księżycowym ciężeniu leci długimi, eleganckimi, jadowitymi łukami.

– Wiem, kurwa. Od wielu tygodni wiem. Adrian mi powiedział.

– Nie powiedziałaś mi.

– I dobrze. Tylko byś uciekł i się schował. Ariel Corta jest kimś o wiele ważniejszym niż członek Białego Zająca.

– Przyjęli ją do Towarzystwa Lunariańskiego – mówi Jade Sun.

– Do czego? – Duncan Mackenzie kręci głową z dezorientacją i frustracją. Nie ma czego się trzymać w tej walce, nie ma za co ojca zahaczyć.

– Taka grupa wpływowych talentów przemysłowych, naukowych i prawnych – wyjaśnia Jade Sun. – Dążą do niepodległości Księżyca. Vidhya Rao ją zrekrutowało. Darren Mackenzie też do tego należy.

– I wyście to przede mną zataili?

– Poglądy polityczne twojego ojca różnią się od naszych. Sunowie zawsze byli mocno za niepodległością, odkąd zrzucili jarzmo Republiki Ludowej. My uważamy, że to Towarzystwo Lunariańskie zorganizowało przeciek informacji o uwolnionej działce dla Ariel Corty.

– My?

– Trzej Dostojni Mędracy – odpowiada Jade Sun.

– Przecież oni nie istnieją.

To jedna z księżycowych legend, zrodzona, gdy tylko Taiyang zaczął wplatać swoje AI we wszystkie elementy księżycowej społeczności i infrastruktury; komputery tak potężne i z tak wyrafinowanymi algorytmami, że potrafią przewidywać przyszłość.

– Zapewniam cię, istnieją. Whitacre Goddard już prawie od roku ma działający na nich system algorytmów kwantowo-stochastycznych, który dla nich napisaliśmy. I naprawdę myślisz, że pozwolilibyśmy im działać na naszym sprzęcie, nie instalując w nim tylnego wejścia?

– No tak, no tak – mówi Robert Mackenzie. – Kwantowe mambo-dzambo. Biały Zając, Lunarianie. Tak naprawdę liczy się jedno, my musimy mieć swobodę ruchu. Robić biznes po naszemu. A ty, chłopcze, zaszkodziłeś naszemu modelowi biznesowemu. Gorzej: przyniosłeś wstyd rodzinie. Jesteś zwolniony.

Słowa są cichutkie, piskliwe jak ptasie gwizdy w terrarium, słyszalne, lecz stłumione, jakby bardzo odległe.

– To największa bzdura, jaką w życiu słyszałem.

– Teraz ja jestem prezesem.

– Nie możesz tego zrobić. Zarząd...

– Nie wyjeżdżaj mi znowu z zarządem.

– Zarząd nie będzie mógł tego zrobić, bo ja z niego odejdę.

– Wiesz co, zawsze był z ciebie kapryśny mały gówniarz. Dlatego zrobiłem to pięć minut temu. Wszystkie twoje uprawnienia zarządowe są cofnięte. Tylko ja mam kody.

Przyjechała kapsuła, mówi Esperance.

– Wróciłem, synu – mówi Robert Mackenzie i Duncan dostrzega teraz emocje tam, gdzie dotąd widział furję i bezradność. Ciało wciąż bulgoce i posykuje, zapach wciąż jest niezdrowy, lecz światło, które jest życiem Roberta Mackenziego płonie jasno i gorąco. Napięte mięśnie szczęki, stanowczość w ustach.

Duncan Mackenzie został pokonany. Czuje mdłości ze wstydu. Ponizenie jest

bezwzględne, ale jeszcze niecałkowite. Całkowite przychodzi, kiedy musi się odwrócić i odejść pomiędzy wilgotnymi, szeleszczącymi paprociami do śluzy.

– Czy mam zawołać Hadleya? – pyta Jade Sun.

Duncan Mackenzie przelyka mdląco-żółciowy gniew. Nigdy nie przestanie słyszeć stukotu swoich przegranych obcasów o deski.

– To ty to zrobiłaś! – krzyczy ze śluzy na Jade Sun. – Ty i twoja cholerna rodzina. Zapłacisz mi za to. My jesteśmy, kurwa, Mackenzie, a nie wasze pierdolone marionetki!

OSIEM

Marina biegnie.

Południk jest świetny do biegania, pod drzewami, w górę pochylniami na tyle stromymi, by wysilić mięśnie ud, schodami, gdy potrzeba ostrzejszego wysiłku, przez smukłe mosty z fantastycznymi panoramami po obu stronach; przez miękką trawę. Nigdy nie miała lepszego miejsca do biegania niż Kwadra Wodnika, a teraz już nie chciałaby tam biegać. Za pierwszym razem przystroiła się w farbę i koraliki Oguna wokół ramion i ud. Biegała godzinami, nasłuchując śpiewów Długiego Biegu, poszukując wspaniałej, rozedrganej fali ciał. Inni biegacze, których spotykała, uśmiechali się do niej; niektórzy szeptali do siebie lub chichotali. Była nietutejsza, ewidentnie prowincjonalna. Tu nie ma Długiego Biegu, tu nie zjednoczysz się w jeden oddech, jeden miesiąc, jeden ruch, w jedno ciało biegnącego boga.

Kupiła sobie mniej skąpe szorty i przyzwoitszy top. Kolorowe koraliki Sao Jorge dała do skrytki w próżniowej przechowalni.

Tu bieganie to było po prostu bieganie. Fitness. Trening.

Nienawidzę Południka. Nienawidziłam go za pierwszym razem, a teraz nienawidzę chyba jeszcze bardziej, choć już stać mnie tu na oddychanie i nie muszę sprzedawać własnych sików.

Jeśli się tak przesunę... widzicie to, co ja? To jest właśnie widok z mojego

mieszkania. Zachodnia Pięćdziesiąta Trzecia, Plac Wodnika. Wieża Hunta w Kwadrze Wodnika. Chodźcie ze mną. Popatrzcie. Wydzielony kącik jadalny. Widzicie? Nie trzeba składać łóżka. A prysznic nie liczy czasu. No jasne, w porównaniu z waszym domem to jest nora, ale na księżycowe standardy to prawie pałac. Więc czemu właściwie tego nienawidzę?

Tak naprawdę nie chodzi o Południk. Chodzi o Ariel Cortę. Zarozumiała próżna baba, w głowie tylko stroje, głowa wypchana poglądami na każdy temat i wcale nie jest aż tak dobra, jak uważa. A otoczyła się taką świtą ludzi, którzy nic, tylko powtarzają jej, jaka jest błyskotliwa, jaka fantastyczna, jak super wygląda na niej ta suknia, jaka jest zdolna, bystra i elokwentna. A ja widzę przez to wszystko i mówię: wcale taka nie jesteś. Jesteś tylko jedyną, kochaną córeczką mamy Corty i rozpuszczona jesteś jak dziadowski bicz. Prawdziwa Księżycowa Księżniczka; och, och, księżniczki Ariel nie może spotkać nic złego! A jeszcze ten waper? Chętnie bym jej go wyrwała i wetknęła w dupę.

No tak, dostaję masę kasy. O wiele więcej niż kiedykolwiek na powierzchni z Carlinhosem. Ale żałuję, że już tam nie robię. Chciałabym być z powrotem w Boa Vista. Tam przynajmniej wiedziałam, na czym stoję. No i tak, Carlinhos... Ale Mamuśka Prezes miała dla mnie specjalne zadanie, a Adrianie Corcie się nie odmawia. Tylko że ta pieprzona Ariel...

Dobrze, że chociaż to jest z wzajemnością. Ona też mnie nie cierpi. Czy raczej mną pogardza. Niechęci. Można tak powiedzieć, że „niechęci” mnie? Bo tak właśnie jest. Jakbym w ogóle nie była żywym człowiekiem. Nawet bot jest bardziej przydatny. Jestem tanim i byle jakim luniarzem z João de Deus, bez klasy i bez gustu, którego wciśnięto jej wbrew woli i nie można się go pozbyć. Jestem jak pryszcz na dupie.

Pieniądze dotrą za parę dni. Obiecuję. Jest jakaś przepychanka między waszymi i naszymi bankami. Tutaj zrobili coś, co ich uniezależnia od ziemskiej gospodarki, i ziemskim bankom się to nie spodobało. Ale kasa to kasa. W końcu się jakoś dogadają.

No to jak się wam podoba mieszkanie?

– No nie, to się po prostu nie nadaje – mówi Ariel i obstukuje Marinę końcem wapera w ramionach, w talii, w udach. Stuk puk-puk stuk.

Marina myśli, że mogłaby jej wbić twarz w potylicę. Fala krwi zalewa przodomózgowie. I ustępuje.

– Coś nie tak z moim ubraniem?

– Ubierasz się jak ewangeliczka. To jest Sąd Claviusa, a moi klienci to najlepsze osoby... no, najbogatsze. Mają oczekiwania. I ja mam oczekiwania. Mój zaszczytnik się lepiej ubiera. Więc nie, nie, nie. – Ariel darowuje sobie obstukiwanie. Widzi lawę w oczach Mariny.

„Za-kto?” – chciałaby zapytać Marina, lecz drukarka już buczy.

– O jedenastej mam sąd, o dwunastej przesłuchanie dłużnika, o trzynastej obiad z kolegami ze studiów – wymienia Ariel. – Spotkania z klientami, piętnasta do osiemnastej, ustalenia przedsądowe z Akindele o dwudziestej. Około dwudziestej pierwszej muszę pojawić się na przyjęciu weselnym u Chawli, o dwudziestej drugiej Bal Debiutantek Izby Prawnej. Teraz mamy dziesiątą, więc po prostu to wkładaj i postaraj się nie spaść z obcasów. – Marszczy czoło.

– Co teraz?

– Twój chowaniec.

– Hetty zostaw w spokoju.

– Hetty. I co to niby jest?

– Orka.

– Zwierzę jakieś? Ryba?

– Moje zwierzę totemiczne. – Kłamstwo, ale Ariel się nie domyśli.

Hetty to o jedną drwinę za dużo. Hetty jest nie do ruszenia – związek pomiędzy kobietą i jej chowańcem nie może podlegać kaprysom czy modzie.

– Rozumiem. Religia. Zakładam, że do tego nie masz jakichś religijnych zastrzeżeń? – Wręcza Marinie zwój tkaniny, miękki i pachnący praniem, prosto z drukarki. – Co się tak rozglądasz?

– Patrzą, gdzie się można przebrać.

Mieszkanie Ariel jest mniejsze i bardziej puste, niż Marina sobie wyobrażała.

Biel. Duże powierzchnie. Czy to ma być minimalistyczna ucieczka od niekończącego się potoku głosów, kolorów, hałasów, ludzi, ludzi, ludzi? Jediną ozdobą jest rozbielone, zajmujące całą ścianę zdjęcie twarzy, która pewnie jest ikoną w jakiejś nieznannej Marinie hagiografii. Zamknięte oczy i rozchylone usta trochę Marinę bulwersują. Klimat narkotyczny, orgazmiczny.

Kładzie dłoń na kłamce.

– Tam nie – mówi Ariel tak szybko, że Marina postanawia później zbadać tę kwestię. – Tutaj.

Marina wbija się w sukienkę. Masa falban i koronek jest aż dusząca. Gorset – absurdalny. Jak ludzie się w czymś takim ruszają, jak oddychają? Gdzie schować broń? Paralizator w dekolcie, nóż po wewnętrznej stronie uda. Żeby nie psuć linii.

– Nogi.

– Co nogi?

– Masz ogolić. Kiedyś ci się zrobi permanentną depilację.

– A w życiu.

Ariel podnosi parę prześwitujących pończoch.

– Nie ma sprawy.

Otwierając drzwi do łazienki, Marina widzi, że Ariel wtyka jej stare ubranie do recyklera.

– Ej!

– Codziennie nowy wydruk. Co najmniej. Mój brat to dzikus. Potrafi przez pół luny nosić ten sam ocieplacz do skafandra.

Marina naciąga pończochy na nowe, gładkie nogi. Wkłada buty. Nawet w księżycowym ciężeniu nie ustoi na nich dłużej niż przez godzinę. Są jak broń, nie obuwie.

Ariel lustruje ją od stóp do głów.

– Obrót.

Marinie udaje się piruet. Podbicia stóp już ją bołą.

– Wyglądasz swobodnie jak zakonnica na imprezie masturbacyjnej. Ale ujdzie. Proszę. – Ariel unosi parę miękkich balerinek. – Pierwsze bankietowe wtajemniczenie. Nosisz je w torebce i przy każdej okazji wkładasz. Tylko żeby

nikt cię w nich nie widział. No to do roboty.

Uśmiecha się naprawdę, nie tylko w wyobraźni Mariny.

– Są takie rzeczy?

– Jakie?

– Imprezy masturbacyjne?

– *Coração*, jesteś teraz w Kwadrze Wodnika.

Siedzę w sądzie od trzech dni i dalej tego księżycowego prawa nie rozumiem. Zasadę rozumiem, wszyscy rozumieją. Nie ma prawa karnego, jest tylko cywilne. Sama zawierałam dziesiątki – setki – kontraktów: Hetty większość obsługuje w ogóle bez mojej wiedzy. Przez powietrze i skałę i ludzi przelatują ich miliardy na sekundę. Tutaj to jest Piąty Żywioł – kontrakt. A Sąd Claviusa wygląda, jakby służył do unikania prawa. Bo najbardziej ich przeraża konieczność wprowadzenia jakiegoś nowego prawa – to by wszystkich zablokowało i odebrało wolność negocjacji. Jak najwięcej prawników, a prawa jak najmniej. Procesy sądowe to po prostu takie dłuższe negocjacje. Obie strony się targują, którzy sędziowie będą orzekać i ile trzeba będzie za to zapłacić. W ogóle bardziej przypominają producentów filmowych niż adwokatów. Na pierwszych posiedzeniach gada się tylko o tendencyjności i jej kompensowaniu – nie ma założenia, że sędziowie są bezstronni, więc sprawy sądowe i kontrakty muszą to uwzględniać. Czasami sędziowie muszą zapłacić, żeby orzekać w danej sprawie. Wszystko jest negocjowane. Mam swoją teorię, że to dlatego Księżyc jest tak otwarty pod względem seksualnym: tu nie ma etykietek typu homo, hetero, bi, poli, A. Tu decydujesz, kim jesteś i co masz ochotę robić. Seks to też kontrakt, między różnym i rżniętym.

Sąd Claviusa, brzmi szumnie, prawda? Marmury, styl rzymski. No więc niestety. Ten sąd to labirynt tuneli, sal do spotkań i sal rozpraw, wszystko w najstarszej części Południka. Stęchłe powietrze, śmierdzi pyłem księżycowym i pleśnią. Ale najpierw trafia cię ten jazgot: setki adwokatów, sędziów, pozwanych i powodów, a wszyscy krzykiem zachwalają swoje towary i polują na zlecenia. Jak

na giełdzie ze starych filmów – faceci w krawatach przepychają się i wykrzykują oferty kupna i sprzedaży. Prawnicze targowisko. Zatem: wynajęłaś sobie adwokatów, sędziów, salę rozpraw. Potem decydujesz, jak chcesz być sądzony – do kupienia są nie tylko adwokaci i sędziowie, ale i systemy prawne. A, i właśnie: wreszcie się dowiedziałam, kto to jest zaszczytnik. Zaszcztytnik to duży i silny facet, przeważnie zieluniak, bo my jesteśmy silniejsi fizycznie. Rozstrzygnięcie spraw przez pojedynek jest tutaj najzupełniej legalne, a jak nie chcesz sam walczyć, to kogoś bierzesz. I to właśnie jest zaszczytnik. Podobno Ariel wywołała ogromną sądową aferę, bo zawniosowała o pojedynek sądowy i rozebrała się do sportowych gatek przed całym sądem. Ciężko to sobie wyobrazić. Ale z drugiej strony ona się specjalizuje w małżeństwach i rozwodach, więc może to nie jest aż takie dziwne.

No więc siedzę w sądzie z Ariel. Ona przez większość czasu siedzi w sali i gada z innymi prawnikami i sędziami, a ja siedzę pod salą i gram z Hetty w różne gry. Albo piszę do was. Albo próbuję ogarnąć to księżycowe prawo tak, żeby mi się mózg nie zagotował. Można pomyśleć, że w tych kontraktach wszystko jest dopięte na ostatni guzik, ale taki kontrakt kłóciłby się z księżycową zasadą, że wszystko jest do negocjacji, że wszystko jest indywidualne. Dlatego zawsze musi być jakaś luka, bo każdy kontrakt musi zostawiać jakieś pole manewru. Księżycowe prawo nie wierzy w winę i niewinność, w bezwzględną rację czy brak racji. Pytam, czy to nie jest oskarżanie ofiary? Nie, mówi Ariel, w księżycowym prawie chodzi o osobistą odpowiedzialność. Sama nie wiem. Mnie to wygląda jak kompletna anarchia, a jednak udaje się coś załatwić. Sprawy się rozwiązują. Decyzje zapadają, ludzie się do nich stosują. Wydają się o wiele bardziej zadowoleni niż my z naszego prawa. Nikt tu nie wnosi apelacji, to by oznaczało, że w negocjacjach popełniono jakiś katastrofalny błąd – a to byłby prawdziwy szok kulturowy. Dlatego procesy ciągną się i ciągną, w kółko się tylko gada, ale im to chyba pasuje. Jedno jest wspólne z ziemską praktyką – większość spraw trzeba oprzeć o bufet.

Przepraszam. Kimnęłam się. Jest druga w nocy, jestem na jakimś przyjęciu – chyba przyjęciu, chociaż może to jest inauguracja czegoś – a Ariel cały czas rozmawia. Nie wiem, jak ona to robi – tak jest codziennie. Nie ma nic bardziej męczącego od gadania. I nie ma ucieczki. Ja jestem wykończona. Nawet już nie jestem w stanie biegać.

Słyszę, mamó, co mówisz. Mówisz: czyżby Marina nabrała trochę szacunku dla tej Ariel Corty? No... jako prawniczki to może i tak. Jako człowieka... wiecie co, powiem wam: wygląda, że ona w życiu nie miała żadnego partnera ani nawet kochanka na szybki numer. Ani jednego. Nigdy. Spokojnie jestem w stanie w to uwierzyć.

– To cię wyniesie dwadzieścia milionów – mówi Ariel.

– Strasznie dużo jak na Sunów – stwierdza Lucas.

Siostra się wściekła, że ściągnął ją do Boa Vista, on jednak nie zamierza narażać swojej godności wśród prawniczo-adwokacko-klienckiego motłochu w Sądzie Claviusa. Sprawy Cortów załatwia się z dala od komentariatu, w dyskretnych łóżach, przy drinku.

– Wyszli od pięćdziesięciu.

Toquinho wyświetla Lucasowi kontrakt do przejrzenia. Ten przepatruje główne punkty.

– Ma mieć kontakt z Lucasinhem.

– Sprzedałam to jako ustępstwo. Zawsze tak było i zawsze tak będzie, że to wola Lucasinha decyduje, czy będzie ten kontrakt, czy nie.

– Dwadzieścia baniek.

– Dwadzieścia baniek.

Lucas gestem myśli podpisuje kontrakt rozwodowy. Kolejnym poleca Toquinho przelać dwadzieścia milionów bitsów ze swojego konta na rachunek finansowych AI Taiyangu, w Pałacu Wiecznego Światła. Zawsze podziwiał przyciężkową godność tej nazwy, choć był tam tylko raz, zaraz po ślubie, kiedy Amanda urządziła mu wycieczkę po skomplikowanej warstwowej architekturze

swojej rodziny. Stolica Sunów była najstarsza na Księżycu, wryta w krawędzi krateru Shackletona, parę kilometrów od bieguna południowego, skąpana w niemal stałym blasku Słońca, ponad równie wiecznym mrokiem wnętrza krateru. Tam, w dole, leżały zamrożone na wieki gazy i substancje organiczne, od których zaczęła się ludzka obecność na Księżycu. Lucasowi potwornie się tam nie podobało. Zbyt ostre kontrasty. Zero subtelności. Góra i dół. Ciemność i światło. Zimno i ciemno. Amanda zabrała go na obowiązkową wycieczkę do Pawilonu Wiecznego Światła – wieży zbudowanej na szczycie góry Malaperta. Wieczne światło płonęło w latarni na czubku kilometrowej budowli. Wjeżdżając windą z Amanda, zgrzytał zębami, wyobrażając sobie zamieć promieniowania zacinającą przez metalowe ściany, przewiercającą go na wylot, rozpruwającą chemiczne wiązania w ceramice, plastikach i ludzkim DNA. „Naciesz się nim”, powiedziała Amanda, gdy wyszli z windy w wieczny blask zalewający szklaną latarnię. „To jedyne miejsce na obu światach, gdzie Słońce nigdy nie zachodzi”. Każda powierzchnia, każdy napis, każdy przedmiot był wyblakły od światła. Lucas sam czuł się przeświecony, przezroczysty, własna skóra wydawała mu się blada i niezdrowa. Wręcz czuł zapach przepalanego światłem powietrza, luna za luną, rok za rokiem. Bezlitosne światło. „Chodź, popatrz”, mówiła Amanda, on jednak nie chciał podejść za nią do szyby, żeby podziwiać panoramę południowego bieguna Księżyca. Myślał tylko o rażącym świetle, o brutalnym ultrafiolecie ryjącym w cząsteczkach szkła, foton za fotonem. Wyobrażał sobie, jak się rozpryskuje niczym upuszczony kieliszek. „Chodź, popatrz na światło”. Ludzie nie są stworzeni do wiecznego światła. Potrzebują mieć swoją ciemność.

– Załatwione – mówi Lucas, gdy Toquinho przesyła Beijaflorowi kopię kontraktu. – Goły i wesoly.

– Nie gadaj bzdur – odpowiada Ariel. – Nikt z nas nigdy nie będzie goły.

Jorge kończy *Manhã de Carnaval* akordem G dur 9, ogląda się na perkusistę. Cichutki szelest miotełek. Ostatni numer na zakończenie.

Lucas oklaskuje ich w swojej łozy po przeciwnej stronie klubu, skąpanej w

błękitnym bioświetle. G dur 9 to typowy dla bossa novy akord, klasyk, kwintesencja *saudade*, melancholii ze słonecznego Rio. Nie do końca rozwiązany, więc satysfakcjonujący. Jego aplauz niesie się po sali. Tylko on klaszcze, nikt poza nim. Klub w ogóle nie był pełny, a *escoltas* Lucasa podczas występu dyskretnie opróżniali salę – tu położyli rękę na ramieniu, tam szepnęli słówko czy sugestię. Jorge wpatruje się w światła.

Lucas podchodzi do sceny.

– Mogę?

Zespół zerka na niego. Jorge kiwa głową. Okay.

W łóży już czeka mojito, dokładnie takie, jak lubi.

– Dobry występ. Ale solo lepiej grasz. Zespół cię krępuje. Bez nich fruniesz pod niebo. To dlatego wyjeżdżasz do Królowej Południa?

– Od wielu lun czekam na okazję, żeby grać solo. Jest na to rynek. Nie za duży, ale wystarczy. Bossa szyta na miarę.

– I słusznie.

– W sumie to ty mnie do tego natchnąłeś.

– Cieszę się. Wolałbym nie myśleć, że to ode mnie uciekasz. – Lucas dotyka dłoni Jorge na szklance, delikatnie, płochliwie niemal. – W porządku, skoro nie oddzwoniłeś, wiem, jaka jest twoja odpowiedź.

– Przepraszam. Źle zrobiłem. Zaskoczyłeś mnie trochę i się przestraszyłem. Nie wiedziałem, co zrobić. Musiałem mieć czas, pomyśleć trochę.

– Jorge, ja jestem już wolny. Uwolniłem się od tej strasznej *nikah*. Kosztowało mnie to dwadzieścia baniek, a Sunowie będą się procesować o kolejne dwadzieścia za szkodę na reputacji.

– Lucas, proszę, nie mów mi takich rzeczy.

– Myślisz, że ja to zrobiłem dla ciebie? Nie. Za kogo ty się uważasz? Nie. Zrobiłem to dla siebie. Wiedz jednak, że cię kocham. Myślę o tobie i cały płonę w środku. Chciałbym cię mieć w moim życiu. Chciałbym być obecny w twoim.

Jorge pochyla się ku Lucasowi. Dotykają się głowami, splatają dłonie.

– Nie mogę. Twoje życie mnie przerasta. Twoja rodzina... jesteście Cortami, ja nie będę w stanie do niej należeć. Nie będę w stanie siedzieć przy głównym stole, na przykład na urodzinach twojej matki, obok ciebie, słuchać, jak wszyscy

plotkują, i mieć świadomość, że się na mnie gapią. W ogóle nie chcę, żeby na mnie tak patrzyli. Żeby ludzie mówili, kiedy gram: „O, to jest oko Lucasa Corty. No jasne, to dlatego go wzięli”. Wyjdę za ciebie, Lucas, i jestem skończony.

Lucas składa dziesiątki odpowiedzi, lecz wszystkie są złośliwe i okrutne.

– Ale ja naprawdę cię kocham. Pokochałem cię, jak tylko cię zobaczyłem w Boa Vista.

– Przestań, proszę. Muszę wyjechać do Królowej. Pozwól mi wyjechać, daj mi żyć. Nie szukaj mnie. Wiem, że zrobisz, co zechcesz, ale odpuść sobie.

– A czy ty w ogóle...

– Co?

– Kochasz mnie?

– Czy kocham? Lucas. Za pierwszym razem, kiedy do ciebie przyszedłem, ledwo nastroiłem gitarę, tak mi się ręce trzęsły. Nie wiem, jak w ogóle wydobyłem z siebie głos. A kiedy poprosiłeś, żebym został, wtedy, jak staliśmy na balkonie, myślałem, że serce mi pęknie. W kółko myślałem, a co będzie, jeśli on chce mnie zerznąć? Ja też chcę. A w domu, jak waliłem konia, kazałem Gilberto wyostrzyć jakieś twoje zdjęcie, zsyntetyzować głos. Straszne, co? Czy ja cię kocham? Byłeś moim tlenem. Dzięki tobie się paliłem.

– Dziękuję. Zaraz, to nie tak. „Dziękuję” to za mało. Nie da się tego wyrazić słowami.

– Lucas. Nie mogę za ciebie wyjść.

– Wiem. – Lucas wstaje, poprawia ubranie. – Przepraszam za tę publiczność. To ja ich wszystkich zmusiłem do wyjścia. Za bardzo się przyzwyczailem stawiać na swoim. Obiecuję, że kiedy pojedziesz do Królowej Południa, nie będę cię tam śledził.

– Lucas.

Jorge przyciąga go do siebie. Całują się.

– Ale będę nasłuchiwał, co tam porabiasz – mówi Lucas. – Dałeś mi tyle radości.

Przed klubem odprawia ochroniarzy i samotnie idzie do Kwadry Sao Sebastião. Na dziesiątym poziomie ponad Prospektem Ellen Ochoa przez mostek przebiega Długi Bieg. Bębny, sagaty, śpiewy. Lucas ma w nawyku drwić z

Carlinhosa za jego poświęcenie dla Długiego Biegu, lecz dzisiaj te barwy, ten rytm, te piękne ciała i w nim poruszają jakąś czułą strunę serca. Umieć tak zatracić się w czasie i przestrzeni, stać czymś, co nie jest tylko własną jaźnią, tym pancernym kościanym hełmem zamkniętym w kamiennym więzieniu. Słyszał, że niektórzy z Długobiegaczy wierzą teraz, że to oni napędzają obieg Księżyca wokół Ziemi. Taki kosmiczny kierat. Ileż pociechy musi nieść taka wiara.

Mieszkanie wita go i przygotowuje mu martini z prywatnego dzinu. Idzie do muzycznego pokoju. Te nuty, te słowa, oddechy, pauzy i flazolety, uwięzione w ścianach i podłodze. Na Księżycu nie ma duchów, ale gdyby były, to byłyby właśnie takie: uwięzione słowa, szepty, pamięć kamienia. Tylko w takie duchy byłby w stanie uwierzyć.

Nie mogąc wysłowić tęsknoty, Lucas ciska kieliszkiem o ścianę. Pokój idealnie odbija dźwięk tłuczonego szkła.

Kody jeszcze działają. Winda reaguje na jego polecenia. Czeka w mało używanej poczekalni przy głównym wejściu do Boa Vista. Zostawia ślady butów w wieloletniej warstwie kurzu na podłodze; wyobraża sobie, jak skrzypią mechanizmy uruchomione po latach bezczynności. Kopała jest ustawiona na nieprzezroczystą, ma szary kolor kurzu, on wie jednak, że jest już na powierzchni. Pod dotykiem chowańca ozywają kolejne systemy. Przesuwa palcami po kanapach z hodowlanej skóry, rysując w kurzu smugi; obudzone fotele obracają się ku niemu. Czuje w starym kurzu ludzki trop, iskrzenie elektryczności, słabiutki, zaparzony zapach powierzchni przez lata sieczonych blaskiem Słońca.

Wagner powoli, bardzo uroczyście, zdejmuje ubranie. Staje nagi na środku kopuły, delikatnie balansuje na palcach, w postawie do walki. Ciało ma w strasznym stanie, całe fioletowe, pełne strupów i siniaków. Wilcza miłość jest ostra. Oddycha głęboko i miarowo.

– Rozjaśnij szkło.

Kopuła robi się przezroczysta. Wagner stoi nagi na powierzchni Morza Żyzności – kurz pod stopami zlewa się z pyłem na regolicie upstrzonym wiecznotrwałymi śladami butów i opon. Głazy, które stały tak samo, zanim na Ziemi powstało życie. Daleka krawędź Messiera A.

Nie po to tu przychodził. Rozrzuca ręce szeroko i zadziera głowę. Z góry świeci nań pełna Ziemia.

Od zawsze wiedział, kiedy Ziemia stoi w pełni. Jako siedmio-, ośmio-, dziewięciolatek skryty głęboko między ścianami Boa Vista leżał w łóżku i gapił się w sufit, nie mogąc usnąć, bo blask Ziemi jarzył mu się w głowie. Dziesięć, jedenaście, dwanaście lat – hiperaktywny, krnąbrny, skłonny do oszałamiających fantazji, gdy Ziemia stała w pełni. Lekarze przepisali mu leki na ADHD. *Madrinha* Flavia cisnęła je z powrotem do recyklera. Dziecko jest tknięte Ziemią i tyle. Żaden lek nie zgasi tego wielkiego światła na niebie. Trzydzieści lat. Ziemską pełnia wyciągnęła go z łóżka i zaprowadziła przez śpiące Boa Vista do tej windy, do tej kopuły obserwacyjnej. Zamknął drzwi, rozebrał się. To był wiek, kiedy wszystko się zmieniało, kiedy ciało wydłużało się i wypełniało. Czuł się obcy we własnej skórze. Stanął nagi w blasku Ziemi, poczuł, jak go szarpie, rwie, rozdziera na dwóch Wagnerów. Odchylił głowę w tył i zawył. Otworzyła się śluza. Zaalarmował dziesiątki systemów bezpieczeństwa. Heitor Pereira znalazł go nagiego, zwiniętego w kłębek, dygocącego i pojękującego.

Nigdy nikomu nie zająknął się słowem o tym, co widział w kopule.

Wagner kąpie się w blasku Błękitnej Planety. Czuje, jak goi mu rany, łagodzi siniaki, uzdrawia go.

Nad Oceanem Spokojnym wiją się fraktalne zwoje białych chmur. Błękit ziemskich oceanów niezawodnie łamie mu serce. Nie ma nic bardziej błękitnego. Niestety, nigdy nie będzie mógł tam pojechać. Jego Bóg jest daleki i nie można go dotknąć. Wilki to wygnańcy z nieba.

Dolny rąbek Ziemi już tknęła noc, cienka jak włos linia ciemności. Za parę dni się podniesie i przesłoni jej twarz. Nadchodzi ciemna połówka osobowości Wagnera. Wyjedzie stąd, stado się rozproszy, on zamieni się w ją i jego. Odkryje na nowo umiejętność koncentracji i skupiania się, analizy i dedukcji –

wróci do Analiese, która zobaczy gojące się rany na jego skórze i wprawdzie nie zada żadnych pytań, ale będą wisiały w powietrzu.

Wagner zamyka oczy i syci się światłem dalekiej Ziemi.

Carlinhos od trzydziestu sześciu godzin ściga sabotażystów przez *Mare Crisium*. Najpierw zaatakowali pod Swiftem – trzy ekstraktory zniszczone, pięć unieruchomionych. Wzór eksplozji ładunków kumulacyjnych jest oczywisty. Już kiedy pędził z eskadrą motorów ich śladami, uderzyli na Cleomedesa F, trzysta kilometrów dalej na północ. Zniszczona mobilna baza zaopatrzeniowo-serwisowa. Dwie ofiary. Carlinhos i jego myśliwi, *caçadores* – najlepsi luniarze i lunicykliści, przyjechali i zastali ciągnik i habitat podziurawione jak sito. Pasujące otwory wlotowe i wylotowe. Pięć milimetrów średnicy. Pociski.

Dwa ataki trzysta kilometrów od siebie, w niecałą godzinę. Na Księżycu duchów nie ma, ale uszczelnioną i zahermetyzowaną z powrotem mobilną bazę mogą nawiedzać inne rzeczy – przesady, zabobony, potwory. Mackenzie się teleportują, mają swoją tajną australijską magię albo prywatny statek.

– Żaden tam prywatny statek – mówi Carlinhos, wertując obrazy satelitarne. – Transportowiec VTO *Sokol*. – Z orbity ślady dysz w pyle są oczywiste. Carlinhos kupuje sobie czas kamer na pętli księżycowej i przy drugim przejściu Wózka nr 2 São Jorge dostrzega jakąś nieregularność cieni w kraterze Cleomedes H. Powiększenie ujawnia sylwetkę księżycowego statku, nie do pomylenia z niczym. – Mackenzie przerzucają ich górą.

Jeźdźcy Carlinhosa wskakują na siodła i wyruszają. São Jorge przewidział, że najbardziej prawdopodobnym celem jest front wydobywczy pod Eckertem, flotylla sześciu głównych ekstraktorów przesuwających się ku południowo-zachodniemu krańcowi *Mare Anguis*. *Caçadores* cisną lunicykle, ile fabryka dała, póki nie zobaczą nad horyzontem światełek pozycyjnych na wysięgnikach. Carlinhos wjeżdża z ekipą w cienie powoli poruszających się ekstraktorów. Orbitalne oczy São Jorge informują, że tuż za południowo-wschodnim horyzontem stoi księżycowy transportowiec. Carlinhos uśmiecha się pod

hełmem i odpina zatrzaski na pochwach obu noży na udach.

Trzy łaziki. Osiemnastu napastników.

– Czekać, aż zejda z łazików – rozkazuje. – Nene, twój oddział niszczy łaziki.

– Utkną tutaj – protestuje Gilmar. Weteran lunicykla, to on wytyczał pierwsze szlaki wzdłuż grzbietu Dorsa Mawson. Pozostawienie kogoś to naruszenie wszelkich zasad moralnych i zwyczajów. Dona Luna jest wrogiem wszystkich ludzi. Ratuj, a i ty będziesz uratowany.

– Mają przecież statek, nie?

Znacznik łazika rozpada się na mniejsze znaczniki. Sabotażyści ruszają do akcji.

– Zaraz – mówi Carlinhos przyczajony pod osłoną ekstraktora nr 3. – Zaraz.

Znaczniki rozchodzą się. Masa celów. Dużo miejsca.

– Teraz! Brać ich!

Uruchamia się sześć motorów, koła wzbijają pył. Carlinhos objeżdża koparkę i rzuca się na najbliższy znacznik. Postać w elastyku zamiera w szoku. Carlinhos wyciąga nóż.

– *Gamahusz* – mówi Lousika Asamoah.

– Isz – poprawia Rafa Corta. – *Gamaisz*. To jest po francusku.

– Po francusku.

– No, tak się nazywa. *Gamahuche*.

– Widocznie źle przeczytałam. Lepiej się uczę przez praktykę. *Usz?* – Unosi się nad Rafa, z cichym stęknieniem wtyka mu nogi pod ramiona, wciska jego twarz pomiędzy uda.

– *Isz* – mówi Rafa, a ona siada mu na języku.

Rafie zawsze się bardzo podobało w Twé. Zgiełk, anarchia, kompletnie bezsensowny układ – chaotyczny labirynt habitatów i agrariów, w którym ciasne tunele otwierają się znienacka na ogromne przestrzenie farm rurowych, a niskie mieszkanka sąsiadują z rzędami krzewów owocowych, w migotliwym świetle śledzących Słońce luster. Bulgocze woda, na ścianach skrapla się rosa,

powietrze mocno pachnie zgnilizną, substancjami odżywczymi, fermentacją – i trochę gównem. Łatwo się tu zgubić. Fajnie się tu zgubić. Dziesięcioletni Rafa, pierwszy raz w Twé, zgubił się popisowo. Raz skręcił w bok od tłumu wysokich ludzi i znalazł się w miejscu, gdzie żyją tylko liście i światło. Ochroniarze Cortów i Asamoah ganiłi tunelami, wołając go, boty biegały po suficie i kanałami zbyt ciasnymi dla dorosłych, ale kuszącymi dla dzieci. W końcu znalazło go oprogramowanie – leżał na brzuchu i próbował policzyć tilapie w stawie. Nigdy dotąd nie widział żywych stworzeń. Wiele lat później zrozumiał, że to była dynastyczna wycieczka – Adriana próbowała wysondować możliwość pozenia Corta Hélio ze Złotym Stolcem. A Rafa widział w tym tylko ryby. Ryby od góry do dołu.

– Tutaj – powiedziała wcześniej Lousika.

– Tutaj?

Ona już zablokowała drzwi swoim nowym protokołem Złotego Stolca i zrzuciła sukienkę.

Pretekstem był mecz: João de Deus Moços kontra żeńska drużyna Black Stars. Robson od urodzenia kibicował João de Deus, teraz pora wkręcić w grę i Lunę. A do tego mecz jest w Twé – zobaczysz się z *tiq* Lousiką, Rob; a ty z *mamãe, anzinho*. Super, nie? Lousika wyszła po nich na dworzec. Luna puściła się pędem przez cały peron. Robson pokazał jej świetną sztuczkę karcianą. Rafa chwycił ją w ramiona i ścisnął tak mocno, że aż sapnęła i lzy stanęły jej w oczach. W przerwie meczu na Arenie AKA dzieci poszły z ochroną po słodycze, a Rafa wsunął ciepłą dłoń między uda żony i powiedział:

– Zerznę cię tak, że będziesz błagać o śmierć.

– No to już – odparła.

I oto Lousika Asamoah, na ciepłym wilgotnym mchu siada Rafie okrakiem na twarzy, a on ją wylizuje. *Gamahuche*. Obwodzi czubkiem języka jej lechtaczkę, wywabia ją do zabawy długimi pociągnięciami. Pieści ją. Męczy. Lousika przywiera cipką do jego twarzy. Rafa prychnie i śmieje się. Łaskocze, eksploruje, penetruje i ucieka. Raz szybko, raz powoli. Lousika tańczy pod jego językiem, dopasowuje się do jego rytmu, odkrywa rytmy pochodne i dysonanse rozdygotanej rozkoszy. Trwa to – wydaje się – godzinami. Szczytuje cztery razy.

On nawet nie upiera się przy lodziku w rewanżu. Sam ten czas spędzony razem jest jak dar.

– Jak mi tego brakowało. – Lousika schodzi z Rify i kładzie się na wznak w przefiltrowanym przez liście świetle. Tłuste krople ciepłej rosy spływają łagodnie rowkami pośrodku liści, zwisają na końcach niczym perły i powoli opadają na jej ciało. – Ćwiczyłeś czy jak? – Łapie krople rosy w dłoń i pryska nimi Rafie w twarz.

Rafa śmieje się. Dobry był. *Nikah* nigdy nie miała klauzuli o wierności. Są jednak zasady. O kochankach się nie mówi. Co najlepsze zachowujemy dla siebie nawzajem. Wyczerpany jest po tych wyczynach. Bolą go mięśnie szczęki. Chciałby się opłukać i splunąć, ale to byłoby niewybaczalne. Potrzebuje przerwy między kolejnymi daniami. Antraktu. Wysoko nad nimi lustra powoli śledzą niskie Słońce, rzucając Rafie cienie na twarz.

– Elis wróci z dziećmi dopiero za godzinę, a w sumie to mógłbym do niej zadzwonić i powiedzieć, żeby zajęła się nimi jeszcze przez godzinę czy dwie. Jakbym tylko miał jakiś powód, co nie?

Obraca się na plecy i mruga od oślepiających go luster. Lousika wsuwa się na niego.

– To co tam jeszcze ćwiczyłeś?

Carlinhos trzyma nóż płasko w wyciągniętej dłoni. Sabotażysta Mackenziech podnosi ręce w geście poddania. Carlinhos Corta wie, jak się dba o nóż – jego ostrze było tak zadbane i naostrzone, że gładko odcięło tamtemu prawą rękę tuż poniżej łokcia. Nie do przeżycia.

Wciska pedał i robi bączka, namierzając kolejny cel. Sao Jorge zalewa mu HUD fizjologicznymi odczytami – oddech, ciśnienie krwi, adrenalina, tętno, aktywność nerwowa, ostrość widzenia, sole, cukry, natlenowanie krwi. Carlinhos w ogóle tego wszystkiego nie potrzebuje. Aż płonie życiem.

Lunicyklowa kawaleria skończyła pierwszą szarżę. Pięciu Mackenziech padło, reszta w odwrocie. Podjeżdżają łaziki, żeby ich ewakuować. Zarządzili odwrót.

Carlinhos wiruje nożem w powietrzu. „Zawrotka i jeszcze raz na nich”.

– Zostaw ich! – krzyczy Gilmar na wspólnym. – Uciekają.

Łaziki się rozpraszają, sabotażyści Mackenziech porzucają sprzęt, pakują się na siedzenia i przypinają. Lunicykle dogonią ich bez problemu. Sao Jorge rzuca na HUD piktogram podnoszącego się zza horyzontu statku Woroncowów, przybywającego na ratunek. Dobra, dobra, niech przyleci. O statek księżycowy to warto powalczyć.

Dwa łaziki przyspieszają w fontannach pyłu; jeden z napastników klęka obok trzeciego, celując z czegoś długiego i metalowego. Podskakuje – odrzut. Głowa Fabioli Mangabeiry eksploduje, ciało spada z lunicykla; maszyna pędzi dalej, trup kobiety koziółkuje, sypiąc szkłem i włóknami, odłamkami kości i momentalnie zamarznąętą krwią. Nazwisko na HUD-zie Carlinhosa bieleje.

– Mają, kurwa, jakiś karabin! – krzyczy Gilmar.

Strzelec namierza kolejny cel. Bezgłośny odrzut. HUD Carlinhosa rejestruje wyrzuconą, rozżarzoną do czerwoności łuskę. Pocisk trafia Thiago Endresa w bark. Draśnięcie, nie w głowę, ale i tak śmiertelne. Elastyki potrafią się zasklepić, ale nie po takim uszkodzeniu i nie tak szybko. Thiago spazmuje na regolicie, miota się, tryskając w próżnię krwią, natychmiast krzepnącą w gęsty, połyskujący lód. Kolejne nazwisko robi się białe.

Lufa przeskakuje na Carlinhosa. Ten zarzuca lunicyklem, sunie bokiem przez pył. Po chwili widzi, jak Gilmar najeżdża na Strzelca. Uderza go centralnie, całą siłą. Strzelec leci pod koła, wymachując rękoma i nogami, lunicykl mocno podskakuje, Gilmar osadza go z powrotem. Ostre klocki bieżnika rozpruwają elastyk, skórę, ciało, żebra. Karabin upada.

Carlinhos dogania swój lunicykl. Jeszcze się nie zatrzymał.

– Za nimi, dawać za nimi!

Trzeci łazik zamyka się i przyspiesza. Carlinhos staje w łagodnie osiadającym pyłe, z nożami w obu dłoniach, wrzeszczy.

– Zostaw ich, kurwa! – krzyczy Gilmar.

Carlinhos podchodzi do trupa Strzelca. Tkanina, kość, flaki. Duma nad nim przez wiele uderzeń serca; kontempluje kruchość tej mazi i krwi, totalność zadanego zniszczenia. Na Księżycu każda rana jest śmiertelna. Zgaduje, że to

kobieta. Często się zdarza, że strzelają najlepiej. Potem unosi buciór, by zmiażdżyć hełm i czaszkę. Gilmar łapie go za rękę i odciąga. Carlinhos rzuca się ku niemu, z nożami w pogotowiu.

– Carlo, Carlo, daj spokój. Koniec. Schowaj te noże.

Nie widzi. Kto to jest? Wskaźniki wszystkie poza skalą, cała szybka hełmu czerwona. Co oni tam mówią? Coś o nożach.

– Dobrze, już, już. – Uspokaja się.

Pył opadł. Reszta grupy czeka na niego w odległości oznaczającej coś pomiędzy szacunkiem i strachem. Ktoś przyprowadził jego motor. Ziemia się trzęsie – zza horyzontu wylania się statek, stoi na rombie raketowego ciągu, błyska światłami, trzy łaziki uczone brzucha. Carlinhos wymachuje nożami; drze się, bezradny – choć trzyma broń w obu rękach – wobec światełka na niebie. Zawraca. Znika.

– Dobrze, już. Nic mi nie jest. – Chowa noże, najpierw jeden, potem drugi.

Carlinhos wcześniej pokochał noże. Jego ochroniarze mieli zabawę, która polegała na dźganiu się czubkiem noża pomiędzy palcami rozłożonej płasko dłoni. Ośmioletni chłopak od razu zrozumiał ryzyko i powab tej gry. Dostrzegł drobne niebezpieczeństwo, prostą precyzję, zauważył, że noże nie mają w sobie nic skomplikowanego ani niepotrzebnego.

Podobnie jak wszyscy bracia i siostry musiał brać lekcje brazylijskiego jiu-jitsu. „Nie przykłada się”, skarżył się Heitor Adrianie. „Wyglupia się, żartuje i nie bierze tego na serio”. A Carlinhos nie brał tego na serio, bo nie był w stanie tego serio potraktować. Zbyt bliskie zwanie, brak godności; nienawidził też dyscypliny mistrz-uczeń. Pragnął broni szybkiej i niebezpiecznej. Pragnął elegancji i brutalności, chciał mieć przedłużenie własnego ciała i własnego charakteru.

Kiedy *madrinha* Flavia nakryła go na drukowaniu sztyletów, Heitor Pereira posłał Carlinhosa do Szkoły Siedmiu Dzwonów Mariano Gabriela Demarii w Królowej Południa. Uczyli tam wszystkich czarnych sztuk – kradzieży, skradania

się i zabijania znieczeka, podstępów, oszustw i trucizn, tortur i dręczenia, walki dwoma nożami. Carlinhos wrósł w kontraktowych ochroniarzy jak w nową, prawdziwą rodzinę. Nauczył się walczyć jedną ręką i dwiema, nauczył się ataku, obrony, fint i uników; jak zwyciężyć i jak zabić. Wyrósł na mężczyznę szybkiego i smukłego, muskularnego, poruszającego się jak tancerz. „Corta znaczy po hiszpańsku »tnie«”, powiedział Mariano Gabriel Demaria. „Teraz pora spróbować Drogi Dzwonów”.

W sercu Szkoły Siedmiu Dzwonów znajdował się labirynt dawnych tuneli serwisowych. W środku, w ciemności, czekało siedem dzwonów, od których szkoła wzięła swoją nazwę. Przejdiesz przez labirynt tak, aby nie zadzwonił żaden dzwon, a ukończyłeś szkołę. Carlinhos potrafił trzeci z nich. Wściekał się przez trzy dni, po czym Mariano Gabriel Demaria wziął go i powiedział: „Nigdy nie będziesz wielki. Jesteś młodszym bratem. Nigdy nie będziesz rządzić firmami ani budżetami. Posłuchaj, chłopcze: wypełnia cię gniew. Rozdyma cię jak wrzód. Kretyn powiedziałby ci, żebyś ten gniew wykorzystał, ale w Szkole Siedmiu Dzwonów kretyni giną. Nie jesteś najsilniejszy, nie jesteś najbystrzejszy, ale jesteś tym, który będzie dla rodziny zabijał. Pogódź się z tym. Nikt inny tego nie potrafi”.

Cztery razy jeszcze Carlinhos Corta przechodził Drogę Dzwonów. Za piątym przeszedł ją czysto i bezgłośnie. Demaria dał mu w nagrodę parę identycznych, ręcznie robionych noży z księżycowej stali; wyważonych, pięknych i naostrzonych tak, że przecięłyby nawet sen.

Dopiero po pięciu latach zrozumiał prawdę Mariano Gabriela Demarii. Ten gniew nigdy nie zniknie. I nigdy nie uda mu się go pokonać. To tylko takie terapeutyczne gadanie. Trzeba się z nim pogodzić. Po prostu.

W naprawionej bazie Carlinhos bawi się bez końca swoimi nożami – kręci nimi na palcach, wiruje, podrzuca i łapie, podczas gdy na zewnątrz wiszą na wieszakach pakowane próżniowo trupy – ich węgiel i woda są teraz własnością LDC. I nadal jest bardzo, bardzo wściekły.

Zakonnice rozczarowują Lucasa Cortę. Toquinho przyprowadził go do przemysłowego budynku na Wschodniej 83. Kwadry Armstronga w Hadleyu. Szkło i spieki, panoramiczne okna, standardowe ścianki działowe, funkcjonalna armatura, ekspresowo drukowane meble z katalogu, seryjna AI w recepcji. Łagodna biel, dyskretne oświetlenie o pełnym widmie. Rozpylane zapachy cyprysu i grejpfruta. Równie dobrze mógłby to być tani gabinet kosmetyczny albo firma programistyczna do wynajęcia na godziny. Hadley zawsze był takim miejscem, takim zadupiem budżetowych firemek. Toquinho upiera się jednak, że tu jest Dom Zakonny Sióstr Panów Chwili; ich *terreiro*.

I każą mu czekać.

– Jestem *Mãe-do-Santo* Odunlade Abosedede Adekola. – Kobieta jest niska, pękata, z Jorubów, cała w zakonnej bieli, z szyją obwieszoną dziesiątkami sznurów koralu i srebrnych amuletów. Palce pełne pierścieni. Wyciąga do Lucasa dłoni.

Nie całuje jej.

– Siostry Maria Padilha i Maria Navalha.

Kobiety po obu jej stronach dygają. Są wyższe i młodsze niż Matka Wielebna. Jedna jest Brazylijką, druga z Afryki Zachodniej. Na głowach mają czerwone chusty. *Filhos-de-Santo Exus* z Ulicy i Pomby Giry, przypomina sobie Lucas z nauk *madrinhy* Amalii.

– Jesteśmy społecznością wolną od chowańców – mówi siostra Maria Navalha.

– Oczywiście. – Lucas wygania Toquinho.

– Jesteśmy zaszczyceni, *senhor* Corta – mówi matka Odunlade. – Pańska matka jest wielkim mecenasem naszego dzieła. Rozumiem, że to dlatego się pan u nas pojawia.

– Mówi siostra prosto z mostu – stwierdza Lucas.

– Skromność jest dla dzieci Abrahama. Ubolewam, że tak okrutnie potraktował pan siostrę Flavię. Nieszczęsna do końca życia będzie się bać o swój oddech...

– Teraz to już poza mną.

– Tak, rozumiem. Proszę.

Siostry Maria Padilha i Maria Navalha zapraszają Lucasa do sąsiedniego pomieszczenia. Kanapy, kolejne tanio drukowane meble, łagodna biel. Lucas w

ciemnoszarym garniturze jest wyzywająco bichromatyczny. Nie wątpi, że gdzieś za tymi mdłymi ścianami kryje się także sanktuarium, którego nigdy nie zobaczy żaden niewierny, a i mało który wierny.

Metalowy kubek z ziołowym naparem.

– *Maté?*

Lucas węża, odstawia ją na bok. Matka Odunlade z godnością popija przez srebrną rurkę.

– Łagodnie stymuluje i pomaga w koncentracji – mówi. – Nasz zakon opracowuje i eksportuje na Ziemię pomagające w rozwoju duchowym napary i *maté*, a dokładniej pliki do drukarek. Wszystko, od łagodnych środków euforycznych aż po halucynogeny, przy których *ayahuasca* to lemoniada. Piracą je, gdy tylko trafią do sieci, ale my uważamy, że to nasz obowiązek, dawać światu nowe religijne przeżycia.

– Moja matka przez ostatnie pięć lat przekazała waszej organizacji osiemnaście milionów bitsów.

– I jesteśmy za to bardzo wdzięczne, *senhor* Corta. Instytucje religijne stoją na Księżycu przed niespotykanymi wyzwaniem i perspektywami. Wiara musi czymś oddychać. Do naszych fundatorów należą Ya Dede Asamoah, Księżycowy Orzeł, a na Ziemi União do Vegetal, Zielonoświątkowy Kościół Ifa z Lagos oraz Fundacja Długiej Chwili.

– Wiem.

– Ona mówi, że jesteś bardzo pracowity i skrupulatny.

– Dość tej protekcyjności.

Siostry prostują się urażone.

– Proszę wybaczyć, *senhor* Corta.

– Czy jest sens prosić, aby dalsza rozmowa odbywała się tylko w cztery oczy?

– Nie ma, *senhor*.

– Niemniej, tak, jestem pracowity. Skrupulatny. To ja jestem tym synem, który nie pozwoli matce wyrzucać pieniędzy na oszustów i naciągaczy.

– Ale to jej własne pieniądze.

– I co z nimi robicie, matko Odunlade?

– Zakon Panów Chwili to synkretyczny luno-afro-brazylijski zakon oddający

część *orixas*, pomagający ubogim, praktykujący dyscyplinę duchową, jałmużnę i medytację. Prowadzimy także badania genealogiczne i eksperymenty społeczne. To właśnie te ostatnie zainteresowały pana matkę.

– Proszę mi opowiedzieć.

– Zakon bierze udział w doświadczeniu mającym na celu wypracowanie struktury społecznej, która przetrwa dziesięć tysięcy lat. Obejmuje to genealogię, inżynierię społeczną i manipulowanie pokrewieństwem. Europejczycy widzą na Księżycu ludzką twarz, Aztecy – królika. Chińczycy – zająca. Wy widzicie biznes i zysk, uczeni z Farside – okno na wszechświat, a my – pudełkowe ludzkie społeczeństwa. Księżyc to idealne społeczne laboratorium: małe, ograniczone przestrzennie, samowystarczalne. Doskonałe, by eksperymentować z typami społeczeństw.

– Ale dziesięć tysięcy lat?

– Tyle czasu, ile zajmie ludzkości uniezależnienie się od Układu Słonecznego i wyewoluowanie w prawdziwie międzygwiazdny gatunek.

– Dość długoterminowy projekt.

– Religie działają w skali wieczności. Współpracujemy z innymi grupami – religijnymi, filozoficznymi, politycznymi – ale łączy nas jeden cel: ludzkie społeczeństwo silne i jednocześnie tak elastyczne, że będzie w stanie zaprowadzić nas do gwiazd. Prowadzimy jednocześnie pięć dużych eksperymentów nad ewolucją społeczeństw.

– Pięć.

– Dokładnie tyle, *senhor* Corta.

– Członkowie mojej rodziny nie są waszymi królikami doświadczalnymi.

– Z całym szacunkiem, *senhor* Corta: są.

– Moja matka nigdy nie pozwoliłaby tak poniżyć swoich dzieci...

– Pana matka była kluczowa dla tego eksperymentu.

– Nie jesteśmy żadnym eksperymentem.

– Lucas. Wszyscy jesteśmy eksperymentem. Każdy człowiek jest eksperymentem. Twoja matka jest nie tylko wybitnym inżynierem i przemysłowcem, jest także społeczną wizjonerką. Widziała, ile szkód narobiły na Ziemi państwa narodowe, dążenia imperialne i plemienne tożsamości.

Księżyc dawał możliwość przetestowania czegoś nowego. Ludzie nigdy dotąd nie mieszkali w tak niebezpiecznym i wymagającym środowisku. A jednak – oto jesteśmy – półtora miliona mieszkańców w miastach i habitatach. Przetrwaliśmy. Rozwinęliśmy się. I to właśnie ograniczenia naszego środowiska zmusiły nas do przystosowania się, do zmiany. Ziemia jest wyjątkowo uprzywilejowanym środowiskiem. Reszta wszechświata będzie wyglądać jak tutaj. Wy jesteście eksperymentem, Asamoah są eksperymentem, Sunowie, Mackenzie są eksperymentem. A ekstremum są Woroncowowie – co dzieje się z ludzkimi ciałami i społeczeństwami po dziesięcioleciach w zero g? Wy sami eksperymentujecie, konkurujecie ze sobą, przypomina to chyba trochę darwinizm.

Lucas jeży się na tę sugestię. On jest manipulującym, a nie manipulowanym. Nie może jednak zaprzeczyć, że każdy z Pięciu Smoków wypracował sobie zupełnie inne rozwiązanie kwestii przeżycia i rozwoju na Księżycu. A znajomi Woroncowowie nigdy ani nie potwierdzili, ani nie zaprzeczyli, że Walerij Michajłowicz, dawny spec od rakiet z Bajkonuru, przez dziesięciolecia nieważkości na pokładzie *Świętych Piotra i Pawła* zmienił się w coś bardzo dziwnego i nieludzkiego.

– A po co jedna z waszych sióstr przychodzi do mojej matki?

– Na jej prośbę.

– Ale po co?

– Brata szpiegujesz, a matki nie?

– Przez szacunek dla niej.

Siostry patrzą po sobie.

– Twoja matka się spowiada – mówi matka Odunlade.

– Nie rozumiem.

– Twoja matka umiera.

Moto zamyka się wokół Ariel Corty. Unosi rękę – kabina uchyla się o milimetr, żeby dało się coś usłyszeć.

– Słucham?

– Mało mi nie ucięłaś palca! – *Moto* zamknęło jej się gwałtownie tuż przed nosem.

– Dostałabyś odszkodowanie. Kochana, już o tym rozmawialiśmy. Nie możesz ze mną pojechać.

– Muszę z tobą pojechać – odpowiada Marina.

Z rana drukarka wypluła do podajnika męski garnitur w stylu flamenco. Spodnie bardzo Marinie przypasowały, nie może się jednak powstrzymać od obciążania krótkiej marynarki, żeby zakryła biodra i tyłek. Ostatnio zajmowała się przeprogramowywaniem butów. Ale nie tych durnych szpilek. Z nimi nie da się nic zrobić. Prawdziwych butów – w jednym miejscu dopisana linijka kodu dla wygody, w innym – żeby lepiej pasowały, podeszwy o zmienionej przyczepności, żeby lepsze było przyśpieszenie. Czółenka dla pracownika fizycznego.

– Rozkazuję ci.

– Ja nie melduję się tobie. Melduję się twojej matce.

– To się jej zamelduj. – Ariel zatrzaskuje *moto*.

Zanim zdążyła minąć pierwszą przecnicę, Hetty zawołała kolejną taksówkę i ustawiła, żeby jechała za Ariel.

Gdy *moto* Mariny się otwiera, Ariel teatralnie pali. Stary kontener, ulica Zachodnia 65. w Orionie, dość blisko centralnego placu, ale wyblakły i nierzucający się w oczy. Celowo, myśli Marina. *Towarzystwo Lunariańskie*, informuje ją Hetty.

– To jest prywatny klub – mówi Ariel.

– Kluby wpuszczają ochronę.

– Ten nie.

– Wejdę za tobą.

Ariel odwraca się, sycząc z furii.

– Na miłość boską, raz zrobisz, o co cię proszę? Tylko raz?

Marina przetyka satysfakcją. Trafiony-zatopiony.

– Dobrze. Dobrze. Ale jeszcze coś ci powiem.

– Co znowu? – pluje Ariel.

– Oczko ci poszło na lewej łydce.

Ariel przez moment wygląda, jakby miała eksplodować, oczy wychodzą jej na wierzch jak przy nagłej dehermetyzacji. Potem wybucha bezradnym śmiechem.

– Bądź tak dobra i przeleć się do drukarki po nowe – rozkazuje. – Beijaflor już tam posłał plik.

– A nie mogłabyś... – zaczyna Marina. I nie kończy.

Hetty prowadzi ją do najbliższej drukarki, piętro niżej. Ariel dokładnie ogląda pończochy, potem rozpakowuje je i naciąga.

– Nie można było znaleźć jakiegoś mniej publicznego miejsca? – sugeruje Marina. Widzi rzeczy, których nie powinien widzieć żaden pracownik.

– Rany boskie, przestałabyś już być taka ziemską! – Ariel poprawia sukienkę z nieobecny spojrzeniem kobiety, która patrzy na siebie przez publiczne kamery. – Będę za godzinę.

Vidhya Rao czeka na Ariel w foyer. Ariel z niesmakiem rozgląda się po siedzibie Towarzystwa Lunariańskiego. Dywan mają. Nie cierpi dywanów. Ten jest w kolorze rzygowej zieleni, poplamiony i wytarty od dziesięcioleci używania i zaniedbania. Do kompletu połatane kanapy z hodowlanej skóry, o kształcie tak starożytnym, że odsłużył swoje jako nowy, potem jako retro, aż wreszcie osunął się w nieodwracalną śmierć techniczną. Niskie lampy. Klimat studencki, konformistyczny, przypominający staroświecką salę zajęć z jakiegoś zapleśniałego przedmiotu. Pełno zakamarków, w których – podejrzewa Ariel – powietrze od wielu lat krąży w kółko, jak dzinn.

– Proszę. – Vidhya Rao wskazuje gromadkę kanap wokół niskiego stolika. – Coś do picia?

– Krwawą Mary – mówi Ariel i wyciąga waper. Bot przynosi jej drinka, a dla bankiera wodę. – Ktoś jeszcze będzie?

– Niestety, tylko ja – mówi Vidhya Rao. Kładzie dłonie na kolanach, palce wygięte, pełne ożywienia.

Ariel popija Krwawą Mary.

– Jak słyszę, skok na działkę się wam udał. – Vidhya Rao unosi szklanekę. Ariel

odpowiada tym samym. – To osiągnięcie. Przyznam. A matka? Dobrze się czuje?

– Trudno cokolwiek powiedzieć. Oznajmiła, że zmienia strukturę firmy.

– Wiem.

– Wasi Trzej Dostojni to także przepowiedzieli?

– Nie. Jestem wielkim fanem serwisów plotkarskich.

– Ser Rao. Po co ja tu przyszłam?

– Pamiętasz, jak się poprzednio spotkaliśmy, powiedziała, że chcemy cię kupić?

– Podaj cenę.

– Towarzystwo Lunariańskie przygotowuje publikację. Robimy to regularnie i poświęcamy je różnym argumentom na rzecz księżycowej samorządności – ekonomicznym, społecznym, politycznym, kulturowym, ekologicznym. Chcielibyśmy mieć słowo poparcia.

– Pod czym konkretnie miałabym się podpisać?

– Tym razem publikacja jest polityczna, a autorzy to ja, Maya Yeap, Roberto Gutierrez i Jurij Antonienko. Proponujemy trzy alternatywne struktury władzy po likwidacji LDC i uzyskaniu samorządności. Spektrum jest od pełnej demokracji uczestniczącej po mikrokapitalistyczny anarchizm.

Ariel dopija Krwawą Mary. Najlepsze śniadanie na świecie.

– Zdaje się, że jak się ostatnio spotkaliśmy, mówiłam, że jestem Cortą i że my nie uznajemy demokracji.

– Dokładnie tak powiedziałaś. To tylko papier. Nie prosimy cię, żebyś własną krwią podpisywała deklarację niepodległości.

– Nie ma sprawy, o ile nie będę musiała niczego czytać – odpowiada Ariel i oddaje szklankę robociemu kelnerowi.

Przyjechał tramwaj z Lucasem, informuje Yemanja.

– Zostawcie mnie – mówi Adriana do Heitora Pereiry i Helen de Bragi.

Helen na pożegnanie kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Nic się nie stanie – dodaje Adriana.

Lucas nie będzie się wściekał jak Rafa, nie będzie krzyków, ataków furii i obrażania się. Choć oczywiście będzie wściekły.

Czeka na niego w pawilonie Nossa Senhora da Rocha, pod obliczem Oxuma. Dwa całusy, pieczołowite jak zawsze.

– Dlaczego mi nie zaufałaś? – Prosto z mostu jak zawsze. Wist z osobistego poczucia zdrady. Mocna karta. Oddany syn, okłamany.

– Musiałabym powiedzieć także innym. Nie mogłabym zataić tego przed Rafą.

– Zawsze byłem dyskretny.

– To prawda, Lucas. Nikt nie był bardziej dyskretny ani bardziej godny zaufania.

– I nikt więcej dla firmy nie zrobił.

Adriana wie, jaką drugą figurę ma w zanadrzu, jednak jest jeszcze za wcześnie na zagranie waletem Poczucia Winy.

– Kiedy zamierzałaś nam powiedzieć? Na następnej rodzinnej imprezie? Na urodzinach Luny?

– Lucas, wystarczy.

– Kiedy, *mamãe*?

– Lucas, pogódź się z tym i tyle. Nie mogę znieść takiej rozmowy.

Lucas przetyka złość, pochyla głowę.

– Kiedy?

– Za parę tygodni.

– Tygodni?!

– Miałam zamiar powiedzieć wam, zanim...

– Zostawić tylko tyle czasu, żeby zdążyć się pożegnać. Aha. Dziękuję. I jak myślałaś, co byśmy zrobili, dowiedziawszy się?

– Wszystko by się zmieniło. Widzę, jak teraz na mnie patrzysz, a ile godzin temu się dowiedziałeś? Pięć? Już nie jestem dla ciebie matką. Nie jestem Adrianą Cortą. Jestem chodzącym trupem.

Od patrzenia jak na trupa gorsze było patrzenie z litością. Adriana nie znosiła litości, łzawej troski, tego cierpliwego uśmiechu pokrywającego buzującą urazę. Nie będziesz się nade mną litował. Śmierć należy tylko do mnie. Nie będą jej mącić żadne troski i żadne urazy. Dzieci chciałyby mi tę śmierć odebrać,

opanować ją, zarządzić nią, aż sprowadzi się tylko do truchła starej kobiety w fotelu.

– Nikomu więcej nie powiedziałem.

– Dziękuję.

– Musiałem się o tym dowiedzieć od sióstr Panów Chwili.

– Nie wolno ci było grozić im odebraniem dotacji.

Gdy pociąg z Lucasem wyjechał z Dworca Centralnego w Hadley, *Mãe* Odunlade od razu skontaktowała się z Adrianą. Lucas zna powód wizyt Irmy Loi. Lucas wycisnął to z niej, grożąc wstrzymaniem dotacji po śmierci matki. Adriana jest wściekła, że tak postąpił. Zawsze był tym, który zastrasza w białych rękawiczkach. Nieważne, jak sama postąpiła, ma prawo być za to na niego wściekła.

– Nie wolno ci było bawić się w dynastię własną rodziną.

– Lucas. To zawsze są dynastie. Tylko o to w tym wszystkim chodzi. Ja chcę dla was jak najlepiej. Dla was wszystkich. Dla rodziny.

To musi jej przyznać. On zawsze patrzył tylko na rodzinę. Teraz zagra tą swoją kartą. Adriana go do tego zmusiła.

– To dla rodziny zdecydowałaś, że Ariel będzie dziedziczką Corta Hélio?

– Tak.

– Nie Rafa. I nie...

– Nie ty?

– Rafa by rozłożył firmę. Dobrze wiesz. A Ariel ma swoje życie i karierę. Myślisz, że będzie chciała zostać *hwaejangiem* Corta Hélio?

– Pewnie nie, ale ja już podjęłam taką decyzję. Po mojej śmierci Ariel stanie na czele firmy. Jednak nie będzie *hwaejangiem*. Wymyśliłam dla niej nowy tytuł i nowy zakres władzy. I ty, i Rafa zachowacie swoje stanowiska i zakres odpowiedzialności. Będziecie wszyscy pracować razem.

– To Zakon ci coś takiego podpowiedział?

– Lucas, to niegodne ciebie.

– To co będzie z nami?

– Z nami? Z tobą i Rafą?

– Z nami: ze mną i tobą, *mamãe*.

– Lucas, Lucas. Dlatego właśnie chciałam, żeby zaczekać z tym wszystkim, póki nie będę bezpiecznie martwa.

– Należy mi się wyjaśnienie.

– Tu jest Księżyc. Nic ci się nie należy. Ariel będzie *choego* Corta Hélio.

– Jak mówię, nikomu więcej nie powiedziałem. Na razie.

Adrian wiedziała, że on to na koniec zrobi, lecz i tak aż traci dech, słysząc tę manipulację, tę zawoalowaną groźbę.

– Właśnie dlatego, Lucas, postarałam się, żebyś znalazł się jak najdalej od tronu.

To jest ten nóż. To jest rana, która się nigdy nie zagoi. Lucasowi drgają kąciuki ust.

– Lucas, nie ja jestem twoim wrogiem.

– Jeśli działasz wbrew interesom Corta Hélio, to tak, jesteś. Nawet ty, *mamãe*. Zraniłaś mnie. Chyba nie dałoby się bardziej. Nigdy ci tego nie wybaczę. – Wstaje, splata palce, kłania się matce.

Żadnych całusów na pożegnanie. W powietrzu wibruje tęcza rozpięta między rozpylonymi nad wodą kropelkami.

– Lucas.

Jest już w połowie drogi na stację.

– Lucas!

– Mogę wejść?

„Lucas, proszę, daj spokój. Nie przekonasz mnie”.

„Nie chcę cię przekonywać”.

Stoi przed kamerą domofonu Jorge i czuje się cały potrzaskany jak subregolit – tylko siłą woli trzyma się jeszcze w kupie.

„Wejdz. Wejdz, proszę”.

Nic nie mówi, ani słowem nie zdradza, jakim jest wrakiem – mimo to Jorge przyciąga go do siebie, obejmuje, całuje. Przytrzymuje. Trzyma go długo, w ciasnym, zatęchłym pokoiku, na wąskim łóżku.

Po wszystkim Lucas opiera głowę na brzuchu Jorge. Jest wysportowany jak na muzyka, nastrojony i napięty jak struny.

Mieszkanie jest nędzne, mieści się wysoko pomiędzy krokwiami Kwadry Świętej Barbary, pokoiki maleńkie i zagracone, powietrze wielokrotnie przeoddychane. Łóżko zajmuje całą sypialnię. Gitara wisi na ścianie i patrzy, niczym ikona lub jeszcze jeden kochanek. Lucas czuje się przez nią nieswojo; otwór rezonansowy kojarzy mu się z okiem cyklopa lub otwartymi z przerażenia ustami.

– Twoja matka jeszcze żyje?

– Nie, zginęła w trzęsieniu w Arystarchu.

Lucas czuje łagodny rytm jego słów, oddechu i serca.

– Pracowała u was. Selenologia. Kamienie i pył.

Łagodne trzęsienia zdarzają się na Księżycu regularnie, wynikają z napięć pływowych, naprężeń po uderzeniach meteorytów, z rozszerzania cieplnego, gdy zimna skorupa nagrzewa się po wschodzie Słońca; delikatne wstrząsy, długie, powolne, przypominające ludziom pełzającym w norach pod jego skórą, że Księżyc nie jest tylko martwą kamienną czaszką na niebie. Grzechoczą, wzbijają pył. Raz na parę lun zdarza się poważniejszy wstrząs, sięgający na dwadzieścia, trzydzieści kilometrów w głąb, sprawiający, że ludzie w podziemnych miastach przerywają pracę, że pękają ściany i uszczelnienia, linie energetyczne i szyny. Od tamtego wstrząsu zawaliła się baza badawczo-techniczna Corta Hélio w Arystarchu, grzebiąc dwieście osób. Była zbudowana w pośpiechu i tanio. Niektóre wnioski o odszkodowania jeszcze miały się w Sądzie Claviusa.

Lucas odwraca głowę, by spojrzeć na Jorge.

– Przykro mi.

– Ty masz szczęście – mówi Jorge. – Masz szczęście, że ją jeszcze masz.

– Wiem. Będę się nią opiekować, będę jej bronić, to ja będę przy niej siedział i trzymał ją za rękę.

– A kochasz ją?

Lucas siada prosto. W oczach błyska złość, Jorge przez chwilę się boi.

– Zawsze ją kochałem.

– Niepotrzebnie zapytałem.

– Potrzebnie. Nikt nigdy mnie o to nie pytał. Co tydzień widzę się z *mamãe*, a nikomu nie przyszło do głowy zapytać mnie, czy robię to z obowiązku, czy dlatego, że ją kocham. To Rafa jest od kochania. Lucas Corta? Ciemna strona. Ten, co knuje. Ale mój syn Lucasinho jest dla mnie wszystkim. Cudowny chłopak. Mój skarb. Tylko że kiedy z nim rozmawiam, nie jestem w stanie mu tego powiedzieć. Wychodzi jakoś nie tak. Źle. Za ostro. Czemu wszystkim Rafom na świecie przychodzi to tak łatwo?

Lucas siada na brzegu łóżka. Pokój jest tak ciasny, że jego bose stopy wystają do salonu.

– Pozwól chociaż, żebyś załatwił ci porządne mieszkanie w tej Królowej.

– Dobrze.

– Coś za szybko się zgodziłeś.

– Ja jestem muzykiem. Jeśli ktoś proponuje darmowy nocleg, to się nie odmawia.

– Chciałbym przyjść i cię posłuchać. Kiedyś.

– Kiedyś tak. Ale na razie nie. Jeśli możesz.

– Dobrze.

Jorge przyciąga Lucasa do siebie, ten zwija się wokół niego, przyciska brzuchem do pleców, jajami do tyłka, przez parę chwil czuje się wolny od przeszłości, od przyszłości, od historii i odpowiedzialności.

– Zaśpiewaj mi coś – szepcze. – *Aguas de Marco*.

Sławny kucharz Marin Olmstead jest chory. Sławny kucharz Marin Olmstead nie jest chory. Szefowie kuchni – to najbardziej szkodliwy z zawodów. Niezdrowe godziny pracy, miejsce pracy ciasne, nieprzyjemne, pełne wyziewów i oparów. Seryjnie znęcają się nad własnymi ciałami. Ale wolnego nigdy nie biorą. Nigdy nie chorują. Kiedy więc Marin Olmstead prosi Ariel, by zastąpiła go w kwestii poinformowania Orlego Gniazda o przemyśleniach Pawilonu Białego Zająca, bo jest chory, Ariel wie, że to owinięte w boczek kłamstwo. To Jonathon

Kayode chce z nią pogadać.

Ochrona jest dyskretna i zaczyna działać już w chwili, gdy Beijaflor przywołuje *moto*, które zawiezie ją do Orlego Gniazda. Ariel i Marina są dokładnie przeskanowane i sprawdzone, kiedy *moto* dokuje w windzie i wjeżdża po południowo-zachodniej ścianie Placu Antaresa. Elegancki kamerdyner w bolerku i cylindrze zaprasza Ariel, by szła za nim, w górę przez tarasowe ogrody.

Księżycowy Orzeł pije herbatę w Pomarańczowym Pawilonie. Jego Orle Gniazdo to ciąg budek i altan ze spiekanego szkła, rozstawionych w piętrowych ogrodach, a każda urządzona na inny kolor. Pawilon Pomarańczowy stoi na skraju plantacji eleganckich cytrusowych drzewek – pomarańcze, kumkwaty, bergamotki, wszystkie przykrojone do ludzkiego wzrostu przez genetyków AKA. Widok jest oszołamiający – Gniazdo jest w połowie centralnej rotundy, do której schodzą się drogi ze wszystkich habitatów Kwadry Antaresa, na tyle wysoko, by mieć panoramę, na tyle nisko, by pozostać arystokratyczne. Widok aż zapiera jej dech. Jakby stanąć na samej krawędzi wieczności. Kwadra Antaresa jest opóźniona o osiem godzin względem Kwadry Wodnika i panele świetlne dopiero się budzą, rzucając złote światło z końców zbiegających się w dole pięciu Prospektów. Świt rozjaśnia się, pylisty jak gwiazdy. To jest przedsmak Orła i sam Orzeł.

– Pani doradca. – Jonathon Kayode zrywa z drzewa bergamotkę. Wbija paznokcie w zieloną skórkę, tryskają aromatyczne olejki. – Proszę powąchać.

– Nie do opisania.

– Nie da się, prawda? Wrażenia i emocje... nie da się ich wyrazić, chyba że nimi samymi. – Odrzuca owoc. Ariel nie widzi, gdzie upadł. Może za krawędź. – Pozwolisz?

Orzeł wskazuje mały kopulasty pawilonik na samym skraju okrągłego ogrodu, mieszczący tylko niski stolik i dwie ławy. Ariel sadowi się na ławie, w warstwach koronkowych halek. Dziś – suknia krojona z koła, od Diora, ściśnięta w talii; jej ostentacyjna kobiecość jest celowym wybiegiem. Kamerdyner przynosi miętową herbatę dla Orła, a dla Ariel martini tak wytrawne, że aż warczy. Zawsze w którejś z kwadr jest odpowiednia pora na drinka. Ariel wyciąga i rozkłada waper.

– Mogę?

– Proszę bardzo.

Na niebie już jest ruch; nad kanionem bujają się wagoniki kolejek linowych, po galeryjkach mkną rowery i skutery; wysoko w górze, w biednej dzielnicy, Ariel widzi sylwetki pieszych na linowych mostkach. Drony i skrzydlaci ludzie błyskają w złotym blasku.

– Najmocniej przepraszam, że nie mogłem być obecny na urodzinach twojej matki. Świat będzie ubolewał, że nie stoi już na czele Corta Hélio.

– Matka trzymała dystans wobec świata, więc nie sądzę, żeby sieci plotkarskie mocno po niej płakały.

– Nie to, co ty – zauważa Jonathon Kayode.

Ariel po raz pierwszy czuje jego fizyczną masę, ciężar, urodzony na Ziemi. Górę mięśni. Trochę ją zastrasza.

– Więc mów, czego chcesz. Czego naprawdę chcesz.

Uśmiech Jonathona Kayode'a mógłby oszołamiać całe światy. Odstawia szklankę z herbatą i radośnie klaszcze w dłonie.

– Prosto z mostu! Chcę ślubu.

– Wszyscy lubią śluby.

– Chcę ślubu pomiędzy Cortami i Mackenzie.

– Dopiero co unieważniłam *nikah* pomiędzy Hoangiem Lamem Hungiem Mackenzie a Robsonem Cortą, ze względu na brak uwzględnienia przez rodziców jego praw seksualnych, a Luna ma dopiero pięć lat.

– Mam na myśli Lucasinho. Z Dennym Mackenzie.

– A, kolejną z tych Bryce'owych sierotek.

– Tak.

– Mam ci powiedzieć, co odpowie Lucas?

– Odpowie, że zgoda, po tym, jak mu wytłumaczysz, że jeśli odmówi, każe LDC skontrolować wydanie koncesji na *Mare Anguis*, bo jest podejrzenie nieprawidłowości.

– Corta Hélio ma głębokie kieszenie.

– Ale bez dna nie są. Na ile starczy wasz skarbiec, jeśli wprowadzimy tymczasowe embargo na eksport waszego helu-3, póki nie zakończy się dochodzenie?

– A ile czasu pomieszkaż w tym pięknym pałacu, kiedy na Ziemi zrobi się ciemno?

Jonathon Kayode nachyla się ku niej i bierze ją za rękę. Skórę ma miękką i bardzo ciepłą.

– Ariel. Nic takiego nie musi się przecież wydarzyć. Lucasinho wychodzi za Denny'ego Mackenziego. Może nawet ty spisujesz *nikah*. I mamy pokój pomiędzy Cortami i Mackenziami. Dynastyczne małżeństwo. Ariel, mnie zależy na pokoju. Żeby Księżyc był spokojny. Wiem, coście z Mackenziami robili na *Mare Anguis*. Nie pozwolę na korporacyjną wojnę na moim świecie. To będzie unia dwóch rodów. Po prostu. Parka przepięknych księżąt. Ja nawet zapewnię im apartament tutaj, w Rotundzie Antaresa, żeby żadna strona nie mogła ich sobie zawłaszczyć.

– Dwóch przepięknych zakładników.

– Ariel, jak możesz. Ile *nikah* sama sporządziłaś?

Ariel pociąga z wapera. Jej martini stoi nietknięte na niskim stoliku.

– Czy Mackenzie Metals też zagroziłeś podobnymi sankcjami?

Jest już pełny poranek, kolejny słoneczny dzień w Kwadrze Antaresa.

– Czasami zapominam, jakim nowicjuszem w *realpolitik* jest twoja rodzina.

Ariel powoli wypuszcza spiralę błękitnej pary. Rozpływa się nad oszłamiającą przepaścią, nad poziomami i tarasami, przyporami i filarami, nad rozświetloną Han Ying Plaza.

– Spierdalaj, Jonathon.

– Chcę, żebyś przekazała, co mówiłem, swojej matce.

– Nie jestem kablem mojej matki.

– Naprawdę? A ja myślę, że jesteś podstępny małym pajakiem.

– Jeśli widzę gdzieś okazję dla rodziny, to ją wykorzystuję.

– Oczywiście. Zadziałałaś etycznie. Ja jednak wiem, że cynk o *Mare Anguis* nie wyszedł z Pawilonu Białego Zająca.

Ariel spokojnie upija pierwszy łyk martini. Chciałaby, aby zrestartowało jej skamieniałe serce. On wie. Trzeba się przyznać do winy. Negocjować. Dłonie w rękawiczkach odstawiają kieliszek. Płyn nawet nie zafalował.

– Żadne prawo nie zabrania działać Stowarzyszeniu Lunariańskiemu. I nie daj

Boże, aby kiedykolwiek pojawiło się takie prawo. Za dużo praw to kiepska sprawiedliwość. Nie jest to nawet konflikt interesów.

– Ale wchodzi w konflikt z moimi interesami – interesami LDC. Wy nie jesteście obywatelami, jesteście klientami. Nie zapominajcie o tym. Ta praca, na której pojawiło się twoje nazwisko – fascynująca. Bardzo fascynująca. I o zerowym znaczeniu praktycznym. Politologia teoretyczna. My tu na Księżycu jesteśmy pragmatykami. Klasa plotkarska, owszem, przeczyta. Ale gdyby wasze nazwisko zaczęło pojawiać się w kontekście spraw, które naprawdę ludzi interesują, na przykład Czterech Żywiołów? No cóż, wybuchłyby niepokoje, może nawet panika. LDC nie może tego przeoczyć. Twoją ambicją jest zostać sędzią. Nie zaprzeczaj, Ariel. Ambicja owszem, godna podziwu, ale nie zapominaj, że nominacje do Sądu Claviusa nadaje Lunar Development Corporation.

– Jonathon, po raz drugi ci mówię...

– Mam spierdalać. Tak. Porozmawiaj z matką. Przekonaj brata. Zaproś mnie na wesele. Niech będzie wielkie i wystawne. Uwielbiam takie wesela.

Pojawia się kamerdyner. Audiencja dobiegła końca. Jonathon Kayode zrywa z drzewa drugą bergamotkę i wręcza ją Ariel delikatnie, jakby podarował niemowlę lub własne serce.

– Weź to, proszę. Umieść w samym sercu swojego domu, a zapach wypełni wszystkie pokoje.

Może to jest przyjęcie Modiego, albo spotkanie po latach studentów rocznika 79, ale to już dziesiąta impreza w ciągu pięciu dni, jest wpół do drugiej i Marina pragnie tylko wrócić do domu, do łóżka, tak bardzo, że ma ochotę się rozplakać. Siedzi w sukni od Jacques'a Fatha przy barze, ze szklanką herbaty, śledzi Ariel przechodzącą od grupki do grupki, od rozmowy do rozmowy. Ciągłe te same twarze i takie same rozmowy. Ich banał aż przytłacza. Marina podejrzewa, że właśnie na tym polega trudność – w tych gadkach nie chodzi o to, co się mówi, lecz kto to mówi i do kogo. Usiłuje znaleźć milimetr luzu w swoich czerwonych

operowych szpilkach. Ściąga je ze stóp. Przyjemność jest tak wielka i tak natychmiastowa, że aż boli. Stopy ma całe opuchnięte, obolałe, mięśnie uwolnione z wymuszonej baletowej pozycji rozluźniają się. Prawie krzyczy. Krzywi się, naciągając na stopy miękkie balerinki bez pięt.

Ariel przemyka pomiędzy swoją świtą.

Marina unosi wzrok znad balerinek i widzi nóż. Samą sugestię noża, ruch dłoni, odgarnięcie poły ubrania, błysk metalu – u kogoś ze świty. Nóż. Wyciągany.

Mięśnie zieluniaka. Marina zrywa się z krzesła. Sam ten ruch przenosi ją o ćwierć długości sali. Rzuca się na napastnika, gdy ten celuje w serce Ariel Corty, potrąca go tak, że atak się nie udaje. Nóż trafia przez warstwy koronek Givenchy i gorset w plecy Ariel. Krew. Na Księżycu krew tryska wysoko i powoli. Ariel pada. Napastnik chwieje się, zbiera i zamierza do kolejnego ciosu. Urodził się na Księżycu, jest wysoki, lekki, szybki – szybszy niż Marina. Przesuwa nóż w dłoni. Broń Mariny uwięzła pod jej kretyńskim strojem. Szuka czegoś pod ręką, znajduje. Z całą siłą wbija mu pod podbródek waporyzator. Do końca. Pięści odbijają się od szczeciny na podbródku. Zamachowiec spazmuje. Marina trzyma waper, trzyma go mocno, trzyma w pionie nadzianego na pal napastnika i patrzy mu w oczy, póki nie będzie przekonana, że nie ma w nich już życia. Puszcza swoją dzidę. Ciało osuwa się na bok. Krew ściekła po tytanowym waporyzatorze na jej dłonie. Krew z rany Ariel trysnęła na twarz i sukienkę. Ariel leży w ciemnej kałuży, dyszy, drży. Świta stoi jak zawsze w kręgu, spuszcza wzrok. Jesteśmy zszokowani. Jesteśmy przerażeni. Nie wiemy, co robić.

– Lekarza! – wrzeszczy Marina. Klęka obok Ariel. Gdzie ucisnąć, gdzie przytrzymać, żeby zatamować krew? Tyle krwi. Luźne płaty skóry i ciała. – Lekarza!

DZIEWIĘĆ

On był tu przez cały czas, siedział i czekał, aż go zawołam, słuchał tych wszystkich opowieści, tych dygresji i uśmiechał się, bo to ja jestem inżynierem, to ja podobno mam być konkretna do bólu i zwięzła. A on był do bólu cierpliwy. Carlos. Jeszcze trochę będziesz musiał poczekać. Ale już niedługo.

Achi wyjechała i nigdy już się z nią nie widziałam ani nie rozmawiałam. Pracowałam. Miałam masę roboty. Nie było czasu, żeby za kimsś tęsknić! Popatrzcie, ile dokonałam! W ogóle za nią nie tęskniłam. Właściwie dobrze, że wyjechała, miłość tylko by mnie rozpraszała. A ja musiałam budować firmę.

Byłam taka zajęta, że przegapiłam własny Księżycowy Dzień.

To nieprawda. I nieprawda, że nie tęskniłam za Achi. Tęskniłam tak strasznie, że czułam fizyczny ból. Czułam pustkę. Brakowało mi jej uroczej powagi; drobnych gestów dobroci, jak herbata przy łóżku co rano, jak eleganckie poskładanie mojego skafandra; ta jej schludność tam, gdzie ja byłam fleją, jej dbałość o szczegóły, to, jak wszystko równo układała i ustawiała, kiedy byliśmy w hotelu czy w kapsule – wszystko równoległe do ścian pokoju. To, jak nie rozumiała moich żartów i nie mogła opanować portugalskiej wymowy. Tyle tych rzeczy! Wszystkie upchnęłam na dno pamięci i nie myślałam o nich, bo od razu zaczynałam myśleć o wszystkim, co na zawsze tracę, zostając na Księżycu. Darmowe oddychanie. Słońce na odsłoniętej twarzy. Spojrzenie w jasne niebo. Daleki horyzont; Księżyc na skraju świata, rysujący na oceanie srebrzystą drogę. Oceany wody, nie pyłu. Wiatr. Posłuchaj go tylko!

Pracowałam jak opętana, modelowałam, projektowałam, planowałam. Na

pewno się uda. To proste. Ale praca ma swoje granice – za dużo, a zezre ci i żołądek, i duszę. Zrobiłam sobie przerwę. W stylu Adriany Corty. Moi kumple ze studiów górniczych na DEMIN byłiby ze mnie dumni. Poszłam w trasę po dwunastu barach Kwadry Oriona. W dziewiątym wpadłam przez drzwi. W dziesiątym przyjmowałam zakłady, jak wysoką wieżę zbuduję z kieliszków po wódce. Piętnaście. W jedenastym siedziałam w łoży z prześlicznym wielkookim chłopaczkiem z Santos i bełkotałam mu o swoich planach i ambicjach, a on otwierał szeroko piękne oczy i udawał zainteresowanie. Do baru numer dwanaście w ogóle nie dotarłam. Byłam w łóżku z wielkookim chłopaczkiem z Santos. Seks był do niczego. Całą noc przeplakałam. Był na tyle miły, że płakał razem ze mną.

Po Księżycowym Dniu przez długi czas nie dzwoniłam do rodziny. Bałam się, że dojdę do wniosku, że podjęłam beznadziejną decyzję, ale nic już nie da się odkręcić. Potem pomyślałam: w sumie w historii ludzkości migracja przeważnie była biletem tylko w jedną stronę. Stare portugalskie rodziny urządzały pogrzeby dzieciom, które jechały do nowego życia w Brazylii. Ta cała sprawczość to tylko uspokajająca bajka. Życie to szereg drzwi, które otwierają się tylko z jednej strony. Nigdy nie da się wrócić. Tak wygląda ten świat i trzeba w nim żyć jak najlepiej umiemy. Słuchałam jednak dużo muzyki ze starego świata, muzyki, którą kochała matka, piosenek, które śpiewała w domu, i to było jakby muzyka wzleciała z tej błękitnej planety w dole i osiadła wśród nowego krajobrazu – ale nie chodzi o szare wzgórza, skarpy, wąwozy i całe to paskudztwo, lecz o ludzi. Na Księżycu oprócz ludzi nie ma nic pięknego.

Byłam zatem kobietą księżycową. Oddaną nowemu światu i nowemu życiu. Miałam pomysł, miałam pieniądze – jeśli zostajesz, oddają ci za bilet powrotny, potrącając wszystkie zaległości i nieuniknione opłaty. Kupiłam obligacje zamienne LDC. Bezpieczne, pewne, wysokie odsetki. Miałam już flotę inżynierskich i prawniczych AI, miałam model – nie mogłam się już doczekać, żeby przetestować go w prawdziwym świecie. Jednej rzeczy nie miałam: pojęcia

nie miałam. Konkretnie nie miałam pojęcia, jak zrobić z tego biznes. Takiego planu nie miałam. Na takiej inżynierii się dotąd nie wyznawałam – jak zbudować firmę i co potrzeba, żeby zadziałała.

Wtedy poznałam Helen. Rozpuściłam po ciemnej sieci wici, że szukam dyrektora finansowego – w mojej rodzinie nikt nie miał ręki do pieniędzy i ja nie byłam wyjątkiem. Wszystko to odbywało się w fantastycznej konspiracji, przez zaszyfrowane wiadomości – jeszcze nie dorobiliśmy się wtedy chowańców – i tajemne spotkania w herbaciarniach, w ostatniej chwili zmienianych na inne. Nie mogłam ryzykować, że Mackenzie Metals odkryje mój plan. Myślisz, że teraz żyjemy w szalonym świecie; teraz to jest nic, wtedy to były pionierskie czasy. Ale oto znalazła się jedna babka z Porto, znała się na wszystkim, wiedziała, jakie pytania zadać, a jakich nie zadawać, ale wiesz co? Naprawdę zdecydowało to, że mówiła po portugalsku. Jasne, nauczyłam się angielskiego, uczyłam się globo, które powoli robiło się wspólnym językiem, szczególnie że maszyny rozumiały ten akcent – ale niektóre sprawy da się wyjaśnić tylko we własnym języku. A my mogliśmy w nim rozmawiać.

Po dziś dzień codziennie z nią pracuję. Jest moją najstarszą i najlepszą przyjaciółką. Nigdy mnie nie zawiedzie, choć wiem, że sama zawiodłam ją wiele razy. Powiedziała: masz nigdy nie dyskutować o kasie. Nigdy. Nie płacisz ani grosza, póki ja ci nie powiem. Nigdy. I jeszcze potrzebujesz inżyniera projektu. Tak się składa, że znam jednego, chłopak z Brazylii, *Paulistano*, od trzech miesięcy na górze.

I to był właśnie Carlos.

Jezus, jaki to był zarozumiały typ. Wysoki, przystojny, dowcipny i zdający sobie z tego wszystkiego sprawę. Miał to paulistańskie poczucie wyższości: lepsze wykształcenie, lepsze żarcie, lepsza muzyka, lepsze podejście do pracy. *Cariocas* mieszkają na plaży, nic nie robią, piją całą noc. Nie tykają się pracy nawet przez chwilę. Spotkaliśmy się w knajpie, zjedliśmy makaron shirataki. Dziwisz się, że to pamiętam? Pamiętam wszystko z tego spotkania. Była moda na luz z lat

osiemdziesiątych. Gość przyszedł w chinosach i hawajskiej koszuli. Na wszystko, co powiedziałam, reagował tak, jakby to była największa bzdura, jaką w życiu słyszał. Był bezczelny, wkurzający, seksistowski i potwornie mnie denerwował. Wręcz go trochę znienawidziłam.

Powiedziałam:

– Masz problem ze słuchaniem wszystkich kobiet czy tylko tej jednej?

A on wtedy zaczął przez godzinę wyłuszczać mi plan biznesowy, który stał się później fundamentami Corta Hélio.

Och, jaka to była frajda, cały ten rok, kiedy uganiał się po Księżycu za naszymi pomysłami. Bóg jeden wie, jak nam się udawało pamiętać o oddychaniu. Zwrot kasy za bilet to znaczna kwota, ale ulatnia się jak dym, nawet jeśli twój dyrektor finansowy i inżynier projektowy biorą tylko na Cztery Żywioty i śpią u kumpli na podłodze. Spotkania, oferty, propozycje, obietnice. Odmowy – i świadomość, że szybkie „nie” jest lepsze niż rozwleczone „być może”. Dreszczyk, kiedy w końcu dopadliśmy prawdziwą inwestorkę z krwi i kości i posmakowaliśmy jej bitsów. Ja postawiłam sprawę jasno: żadnych inwestorów i funduszy z Ziemi. Nie chcę znaleźć się w takiej sytuacji jak Sunowie, w ciągłych przepychankach o władzę z Pekinem. Chcę być jak Mackenzie. To była prawdziwa księżycowa korporacja. Bob Mackenzie zlikwidował wszystko, co miał na Ziemi, przelał kasę na Księżyc i powiedział reszcie rodziny: od teraz Mackenzie mieszkają na Księżycu. Wszyscy na górę albo won. Ja też przywiązałam się do Księżycy; nie mogłam wrócić na Ziemię, nie chciałam, żeby Ziemia przylatywała do mnie. Będą klientami, nie właścicielami. Corta Hélio będzie moim dzieckiem. Helen de Braga jest moją najlepszą przyjaciółką, jest w zarządzie, ale właścicielką nie będzie nigdy.

My z Helen pracowałyśmy nad finansami, a Carlos tymczasem budował prototyp i biznes. Ówczesny Księżyc to było małe miasto, nie dałoby się zbudować i przetestować ekstraktora, żeby nie rozniosło się to jak stąd do Farside i z powrotem, zanim nasadzimy hełmy na głowy. Dlatego pojechaliśmy do Farside i wynajęliśmy parę pomieszczeń od uniwersytetu. Właściwie to nie był jeszcze uniwersytet, a niewiele ponad obserwatorium i laboratorium badań nad patogenami. Umieszczone najdalej od Ziemi jak się dało, żeby w razie

jakiejś katastrofy wszystko zostawić, rozhermetyzować i napromieniować. Tunele były o wiele za płytko – co noc wyobrażałam sobie, jak promieniowanie siecze mi jajniki. Wszyscy cały czas kaszleli. Może od pyłu – ja jednak podejrzewałam, że to była pamiątka po laboratorium patogenów.

Carlos budował prototypowy ekstraktor. Mówię „budował”, ale tak naprawdę to wynajmował podwykonawców, boty, zespoły kontroli jakości.

Pokazywał mi, a ja mówiłam: nie, nie, to nie zadziała, tamto jest za mało wytrzymałe, ten proces jest nieoptymalny, gdzie jest dostęp serwisowy? Kłóciliśmy się jak potłuczoni. Jak małżeństwo. Nadal go nie kochałam. Mówiłam o tym Helen. Pewnie doprowadzałam ją do szału tym ciągłym powtarzaniem, jaki jest durny, zarozumiały i uparty – a ona ani razu nie powiedziała mi, żebym się zamknęła i po prostu się z nim przespała. Bo wariuję na jego punkcie. Chyba nie mógłby się bardziej różnić od Achi. Ona awansowała z przyjaciółki na kochankę. On mógłby być kochankiem, ale przyjacielem nigdy. To było zupełnie inne przyciąganie, kompletnie niewłaściwe, ale bardzo, bardzo prawdziwe. Myślałam o nim, leżąc w łóżku. Wyobrażałam go sobie nagiego, wyobrażałam sobie, że robi coś głupiego, niepodobnego do niego, romantycznego – na przykład, że pochyła się nad rysunkami, żeby zobaczyć, o czym znowu gada ta durna baba – i znienacka mnie całuje. Wyobrażałam go sobie, kiedy robiłam sobie dobrze. Musiał słyszeć. Jak to w ogóle działa, takie pożądanie?

Powiem ci, gdzie pierwszy raz pocałowaliśmy się z Carlosem – w małej kopułce na *Mare Fecunditatis*, którą dla mnie zbudował.

To nawet za bardzo nie była kopuła, tylko parę kabin od łazików połączonych i przysypanych warstwą regolitu, z których zrobiliśmy bazę do testów terenowych. Prototyp rozebraliśmy na części i powysyłaliśmy je z Farside BALTRAN-em, programując dla każdej kapsuły losową sekwencję skoków, po której lądowały tam, gdzie miały wylądować. Potem zwieźliśmy wszystko łazikami do naszej małej bazy, ekipa poskładała sprzęt do kupy, na kompletnym zadupiu, gdzie nikt nigdy nie patrzy.

Przepalaliśmy wtedy kasę jak tlen. Zostało nam na jedną próbę terenową, jedną regulację, i naszych VIP-ów. Musiało zadziałać od razu. Cisnęliśmy się obok siebie w kapsule i patrzyliśmy, jak ekstraktor telepie się po morzu. Odpaliłam głowicę ekstrakcyjną, potem ślimaki separatorów. Na koniec wcisnęłam przycisk separatora, lustra zakręciły się, złapały Słońce – i zalałam się łzami. To była najlepsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Pierwszy odczyt dostaliśmy po godzinie. Nie wiem, czy przez te sześćdziesiąt minut w ogóle oddychałam. Wyniki ze spektrometru gazowego: wodór. Woda. Hel-4. Tlenek węgla. Dwutlenek węgla. Metan. Azot, argon, neon, radon. Gazy, które można było sprzedać AKA i Woroncowom. Ale nie o to nam chodziło, wypatrywaliśmy jeszcze mniejszej szpilki na wykresie, o wiele mniejszej od pozostałych. Powiększyłam osie. Stłoczyliśmy się wokół ekranu. Jest. Jest! Hel-3. Dokładnie tam, gdzie miał być, w takich proporcjach, jak się spodziewaliśmy. Kochana malutka szpileczka na spektrogramie. Siedzimy na helu. Rozdarłam się, zaczęłam skakać, tańczyć. Helen pocałowała mnie i też wybuchnęła płaczem. Potem ja pocałowałam Carlosa. I jeszcze raz. I jeszcze, i już nigdy nie przestałam.

Opiliśmy się razem tanią wodą z VTO, wszyscy stłoczeni w maleńkiej kapsule, nawaliliśmy się groźnie i niebezpiecznie, a potem zaciągnęłam Carlosa do swojej koi i zaczęliśmy się kochać – po cichu, wśród tłumionych chichotów, zapamiętałe, a wszyscy wokół chrapali.

W tej koi poczęliśmy nasze miasto. Te dwie kapsuły i ich osłona z regolitu stały się przez lata i dziesięciolecia miastem João de Deus.

Nie od razu za niego wyszłam. Chciałam mieć porządną *nikah*, a poza tym po *Mare Fecunditatis* była masa roboty. Obdzwoniłam VIP-ów i zarezerwowałam dla nich bilety. W obie strony, Ziemia-Księżyc, sześć osób. Dwie z EDF/Areva, dwie z PFC India, dwie z Kansai Fusion. Obrabiałam ich od miesięcy, telekonferencje, prezentacje, reklamy. Wiedziałam, że szukają alternatywy dla amerykańsko-rosyjskiego duopolu na ziemski hel-3, przez który energia

termojądrowa jest droga i słabo się rozwija. Jakby to była kolejna epoka ropy.

Ten etap był najbardziej ryzykowny. Dyrektorzy z trzech pomniejszych ziemskich firm energetycznych jednocześnie przylatują na Księżyc? Nawet Mackenzie dojdą, o co tu chodzi. Pytanie nie brzmiało: „czy zrobią ruch?”, ale: „kiedy?”. Jedyne nasze przewaga: na razie nie wiedzą, gdzie nas szukać. Jeszcze. Niemniej, jeśli uda nam się zakończyć demonstrację, wynegocjować umowę i podpisać ją, zanim Bob Mackenzie napuści na nas swoje noże, będziemy w stanie obronić tę umowę przed Sądem Claviusa.

Ulokowaliśmy ich w najlepszym hotelu w Południku. Zadbaliśmy o ich Cztery Żywioty. Francuskiemu wysłannikowi kupiliśmy wino, indyjskiemu whiskey, japońskiemu też whiskey. Tak jak mówiłam, przepalaliśmy kasę jak tlen.

W noc przed wyjazdem z VIP-ami na *Mare Fecunditatis* Mackenzie Metals nas znalazło. Dostałam wiadomość z bazy na *Fecunditatis*. Luniarze z logo Mackenzie wysadzili prototyp ekstraktora. Niszczyli zbiorniki na lotne gazy. Atakowali bazę. Weszli do bazy... więcej wiadomości nie było.

Pamiętam, że siedziałam w pokoju i nie wiedziałam, co mam robić. Siedziałam w pokoju i nie wiedziałam, co mam czuć. Cała odrętwiała byłam. Czułam, że spadam. Jak wtedy w nieważkości. Rzygać mi się chciało. Przepadł ekstraktor, cała nasza praca, ale co gorsza – dużo, dużo gorsza – zginęli ludzie. Ludzie, z którymi się śmiałam, piłam, pracowałam; ludzie, którzy byli dla mnie bliższą rodziną niż prawdziwa rodzina. Zginęli, bo mi zaufali. To ja ich zabiłam. Uświadomiłam sobie, że jesteśmy jak dzieci. Bawimy się w biznes. A Mackenzie są dorośli i się nie bawią. Byliśmy jak dziecięca krucjata, która nie ma o niczym pojęcia. Siedziałam w pokoju i wyobrażałam sobie, jak noże Mackenziech wchodzą do windy, stają pod drzwiami i za oknem.

Carlos mnie uratował. Sprowadził na ziemię. Był moją grawitacją. „Wygrywamy z nimi. Dopinamy te umowy i wygrywamy”, powiedział. „Wygrywamy, zakładając Corta Hélio”.

Wtedy pierwszy raz w życiu usłyszałam tę nazwę.

Carlos za własne pieniądze zatrudnił ochronę dla naszych ludzi i sprzętu. Ja za własne pieniądze kupiłam VIP-om bilety na pętlę księżycową i poinformowałam ich o zmianie planów. Obwozimy ich na holu naokoło Księżyca, przerzucamy do

Farside, gdzie mamy drugi prototyp ekstraktora helu.

Carlos bowiem pierwszego dnia, kiedy zarządzał projektem, postanowił sobie: nigdy nie budować tylko jednego prototypu.

Wsadziliśmy VIP-ów do kapsuły, okrążyliśmy Księżyc, wylądowaliśmy na drugiej stronie i pokazaliśmy im, co potrafi nasz ekstraktor. Potem wzięliśmy wydobyty hel-3 i odpaliliśmy na nim Farside'owy reaktor LDX.

Za resztę pieniędzy wynajęliśmy prawnicze AI, żeby sporządziły wstępną wersję umów na dostawy helu, i tego samego wieczoru je podpisaaliśmy.

To nie były zupełnie wszystkie pieniądze. Za resztę reszty wzięliśmy AI i kazaliśmy jej przygotować umowę małżeńską. Za resztę reszty reszty urządziliśmy ślub.

Tani był i rozkoszny, że hej. Helen była moją druhną, poza nią był jeszcze tylko świadek z LDC. Potem poszliśmy i daliśmy do zamrożenia jajeczka i plemniki. Nie było czasu na romantyzm i na rodzinę. Mieliśmy do zbudowania imperium. Mimo to pragnęliśmy dzieci, chcieliśmy założyć dynastię, zabezpieczyć przyszłość, gdy już stworzymy dla nich bezpieczną przyszłość. A to mogło nastąpić za wiele lat, za dziesiątki lat.

Stworzenie Corta Hélio to było nic w porównaniu z budowaniem Corta Hélio. Całymi lunami nie widywałam się z Carlosem. Spałam, jadłam, ćwiczyłam, kochałam się z nim, kiedy tylko się dało, czyli bardzo rzadko. Musimy mieć sojuszników, powiedział Carlos. Próbowałam nawiązać jakieś relacje. Cztery Smoki dowiedziały się już, co to takiego Corta Hélio. Sunowie byli wyniośli, zaprzątnięci własnymi przedsięwzięciami i polityką. Woroncowowie mieli wzrok wbity w kosmos, choć udało mi się załatwić u nich dobre stawki na korzystanie z pętli księżycowej. Mackenzie byli moimi wrogami. Za to Asamoah – może dlatego, że nasz biznes z nimi nie konkurował, a może dlatego, że podobnie jak my zaczęli na Księżycu od zera i coś osiągnęli, może identyfikowali się ze słabszym – zaprzyjaźnili się z nami. Dalej są moimi przyjaciółmi.

Mając zapewnione stałe i bezpieczne dostawy taniego paliwa, moi ziemscy

klienci szybko osiągnęli pozycję, która zmusiła ich konkurentów, aby zaczęli z nami negocjować, bo inaczej by zbankrutowali. Zaraz potem padł rynek amerykańskiego i rosyjskiego helu-3. Pobiłam Amerykę i Rosję! Jednocześnie! W dwa lata Corta Hélio zyskało pozycję monopolisty.

Widzisz? Nie ma nic nudniejszego niż gadanie o kasie i biznesie. Zbudowaliśmy Corta Hélio. Z małej budy, gdzie się kochaliśmy, powstało miasto. To były dobre czasy. Najlepsze czasy. Aż dech traciliśmy z ekscytacji. Nadszedł moment, kiedy sukces sam się pomnażał. Wystarczyło być, żeby zarabiać. Ekstraktory zgarniały pył, pętla księżycowa słała butle z helem na Ziemię. Staliśmy na powierzchni, dotykając się szybkami hełmów, i patrzyliśmy na światła planety Ziemi. Jakie to się okazało proste. Każdy mógł na to wpaść. Ale wpadłam ja.

Widzisz, jak to cię znieczula? Cała ta gorączka, ekscytacja, praca, praca, praca... zapominasz o ludziach, którzy zginęli na Morzu Żyzności, o moich ludziach, tych, co się dla mnie poświęcili, a nie doczekali sukcesu i jego owoców. Ludzie mówią, że Księżyc jest surowy. Nie. To ludzie są surowi. Zawsze ludzie.

Ciągle słałam kasę rodzinie. Wzbogacili się na mnie, stali się sławni. Pisali o nich w piśmie „Veja” – siostra i brat Matki Boskiej Helowej. Żelaznej Ręki, kobiety, co oświeciła świat! Mieli wspaniałe domy, wielkie auta, baseny, prywatnych nauczycieli, ochroniarzy i co nie tylko, aż któregoś dnia powiedziałam „dość”. Ciągle tylko bierzecie i bierzecie, żrecie, imprezujecie i tyjecie za moje pieniądze, i ani słowa wdzięczności, ani słowa pochwały za to, czego tu dokonałam, ani krzty wdzięczności, ani słowa podziękowania. Wasze dzieci, moi siostrzeńcy i siostrzenice nawet nie poznają mojej twarzy. Nazywacie mnie „Żelazną Ręką”, proszę, oto żelazny wyrok. Ostatni dar Księżycy. Przelalam na celowy rachunek pieniądze na bilet na Księżyc. W jedną stronę. Chcecie kasy Corta Hélio, to pracujcie dla Corta Hélio. Z Corta Hélio. Albo się zaangażujecie, albo już nigdy nie dostaniecie ode mnie ani jednej decimy.

Przyjedźcie na Księżyc. Przyjedźcie i przyłączcie się do mnie. Przyjedźcie i zbudujcie nowy świat i nową dynastię Cortów.

Nikt z mojej rodziny nie skorzystał z propozycji.

Zerwałam z nimi wszystkie kontakty.

Nie rozmawiałam z nimi od czterdziestu lat.

Moja rodzina jest tutaj. Dynastia Cortów.

Myślisz, że byłam zbyt ostra? Pieniądze nieważne, i tak nikt z nich nigdy już nie będzie biedny. Ale myślisz, że nie powinnam zrywać z nimi kontaktu bez słowa? Czy choćby bez namysłu? Mogłabym ci zaserwować wszystkie odwieczne tłumaczenia – wszystko jest negocjowalne, kto nie pracuje, ten nie oddycha, na Księżycu trzeba być surowym. Tak, to prawda, Księżyc zmienia ludzi. I mnie zmienił: gdybym kiedykolwiek wróciła na Ziemię, płuca by mi się zapadły, nogi załamały, kości popękałyby na drzazgi. Te trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów się liczy. Gdy rozmawiasz z domem i słyszysz dwuipółsekundową zwłokę, zanim nadejdzie odpowiedź – czujesz, jak się oddalasz. Tej przepaści już nigdy nie zasypiesz. Jest wbudowana w samą konstrukcję wszechświata. To fizyka jest taka surowa.

Od czterdziestu lat o nich nie myślałam. Ale teraz myślę. Dużo patrzę w przeszłość, różne rzeczy wyłażą z niej nieproszone. Powtarzam sobie, że niczego nie żałuję, ale czy to prawda?

Mimo woli myślę, że to właśnie te lata stawiania firmy na nogi, więcej czasu w elastyku niż w normalnym ubraniu, wsiadania i wysiadania z łazików, włożenia i złożenia z ekstraktorów, tulenia się z Carlosem w tej kapsule, ciągłego prześwietlania promieniowaniem...

Stadium jest bardziej zaawansowane, niż ci powiedziałam. Wie tylko jedna osoba, doktor Macaraeg. Wiem, że Lucas był u waszej matki; zna mój stan, ale nie ze wszystkimi szczegółami. Co ja mówię – widzisz? Eufemizmy. „Zaawansowany”. „Szczegóły”. Siostró, ja już czuję śmierć. Widzę jej czarne oczka. Siostró, choćby Lucas nie wiadomo co wam mówił, nie wiadomo czym

groził, nie mówcie mu tego. On będzie chciał coś zrobić, a tu nic się nie da zrobić. On zawsze musi sobie coś udowodnić. A ja go uraziłam. Strasznie go uraziłam. Tyle muszę naprawić. A światło już gaśnie.

Ale ja ci nawet jeszcze nie opowiedziałam o walce na noże z Robertem Mackenzie!

To jest legenda. Ja jestem legendą. Może słyszałaś? Czasem zapominam, że po mnie przyszło już tyle pokoleń. No, nie... nie zapominam, jak mogłabym zapomnieć o własnych wnukach? Raczej po prostu trudno mi uwierzyć, że minęło tyle czasu, że ludzie mogli zapomnieć. A to były czasy!

Mackenzie przerwali ataki na nasz sprzęt, gdy tylko się okazało, że mamy dość kasy, żeby mieć własną ochronę. Znaleźliśmy takiego byłego oficera brazylijskiej marynarki wojennej. Zwolnili go, kiedy Brazylia stwierdziła, że już jej nie stać na flotę. Służył na okrętach podwodnych i miał taką teorię, że wojna na Księżycu to wyłącznie walka okrętów podwodnych. Wszystkie pojazdy hermetyczne, we wrogim środowisku. Zatrudniłam go. Nadal jest moim szefem ochrony. Zdecydowaliśmy, że jeden śmiały cios zakończy całą wojnę. Zorganizowaliśmy atak na Tygiel. Mackenzie i VTO właśnie domknęli Równikową Jedynekę – odtąd Tygiel mógł bez przerw rafinować metale ziem rzadkich. Było to – wciąż jest – niebywałe osiągnięcie. Zapominam, że i sama odegrałam w nim pewną rolę, kiedy zwolniłam się z Mackenzie Metals i zostałam królową torów u Woroncowów, obmyślając drogę do Corta Hélio. Carlos wymyślił plan: „Wysadzamy Równikową Jedynekę i paralizujemy Tygiel”. Pamiętam miny wokół stołu: szok, zdumienie, lęk. Heitor powiedział, że nie da rady. Carlos odparł: „Da radę. A ty masz powiedzieć, jak”.

Dokonałiśmy tego sześcioma łażnikami. Dwa oddziały po trzy. Wybraliśmy moment, kiedy Mackenzie Metals akurat miało pierwszą dostawę metali w ramach nowego, strategicznego kontraktu z Xiaomi. Carlos pojechał z pierwszą grupą, ja z drugą! Jakie to było emocjonujące! Dwa łażniki pełne wielkich muskularnych *escoltas*, w trzecim ekipa pirotechników. Plan był naprawdę

bardzo prosty. Atakujemy Tygiel na wschodnim *Procellarum*. *Escoltas* zabezpieczyli teren, pirotechnicy podłożyli ładunki pod torami jednocześnie trzy kilometry przed Tygłem i trzy kilometry za nim. Patrzyłam, jak eksplodują. Szyny poleciały tak wysoko, że myślałam, że wejdą na orbitę. Obserwowałam, jak koziółkują, błyszcząc w Słońcu: był to najbliższy odpowiednik fajerwerków, na jaki stać Księżyc. Wszyscy krzyczeli i wiwatowali, a ja nie mogłam, bo przykro było mi widzieć, jak w okamgnieniu zostaje zniszczony kawał dobrej inżynierskiej roboty. Może nawet sama kładłam te tory. Przykro mi było, że jak tylko zbudujemy coś, z czego możemy być dumni, zaraz to niszczymy.

Podstęp polegał na czymś innym: kiedy już uciekaliśmy, mając na ogonie łażiki Mackenzie Metals, kolejne grupy wysadziły tory w odległości dwudziestu kilometrów po obu stronach Tygła. Ekipy naprawcze VTO musiały najpierw załatać tamte dziury, żeby odbudować te bliższe Tygłowi. Nawet jeśli dotrą na miejsce w godzinę, Tygiel będzie stał po ciemku przez tydzień. I nie uda im się dostarczyć towaru w terminie.

Zgubiliśmy ichnich *escoltas* w chaotycznym terenie Eddingtona.

Po bitwie na wschodnim *Procellarum* Mackenzie Metals przeniosło się z atakami do Sądu Claviusa.

Chyba już wolałam walczyć na noże i bomby.

Taktykę ciągle zmieniali, ale strategię mieli jasną i prostą – wykrwawić Corta Hélio kosztami sądowymi. Pozywali nas o naruszenie kontraktu, naruszenie prawa autorskiego, uszczerbek na zdrowiu, szkodę na rzecz firmy, plagiat, odszkodowania dla całej, co do ostatniej osoby, załogi Tygła w dniu ataku. Pozew na pozwie. Nasze AI większość od razu roznosiły na strzepy, ale na każdy odrzucony wniosek od ich AI przychodziło dziesięć kolejnych. AI są płodne, są tanie, ale za darmo nie są. Sędziowie, na których się umówiliśmy, w końcu zdecydowali, że nie będą rozpatrywać kolejnych niepoważnych papierów. Mackenzie mają złożyć jeden porządny pozew, należycie uzasadniony, z realną szansą na sukces.

I zrobili to. Oskarżyli Adrianę Marię do Céu Mão de Ferro Arena de Corta o czterdzieści przypadków naruszenia patentu Mackenzie Metals przez konstrukcję mojego ekstraktora.

AI, adwokaci, sędziowie nastawili się na długi proces.

A ja nie.

Wiedziałam, że to się będzie ciągnęło bez końca, że Mackenzie Metals będzie wносиło o zablokowanie każdej transzy naszego eksportu, a po odrzuceniu wniosku zaraz będą składać kolejny. Chcieli zniszczyć nasze dobre imię. Moje nazwisko i reputację. Chcieli, by nasi ziemscy klienci stracili do nas zaufanie na tyle, by zaczęli rozważać możliwość zainwestowania drobnej kwoty w wydobycie helu-3 przez renomowaną, pewną firmę, która wywiąże się z umowy – Mackenzie Fusion.

Musiałam to przeciąć ostro i natychmiast.

Wyzwałam Roberta Mackenziego, po nazwisku, osobiście, na pojedynek sądowy.

Nie powiedziałam żadnemu z moich prawników. Nie powiedziałam Helen. Nie powiedziałam Heitorowi, choć on mógł się domyślić – poprosiłam, żeby pouczył mnie trochę walki nożem. Carlosowi też nie powiedziałam.

Jest gniew, potem jest furia, a potem jeszcze głębsza, potężniejsza wściekłość, na którą nie mamy słów. Jest jasna, bardzo czysta i bardzo zimna. Podejrzewam, że coś takiego czuje chrześcijański Pan Bóg, gdy widzi grzech. A ja dostrzegłam to u Carlosa, kiedy się dowiedział, co zamierzam zrobić.

„To zakończy sprawę”, powiedziałam. „Raz na zawsze”.

„A jeśli coś ci zrobią?” – pytał Carlos. „Jeśli zginiesz?”.

„Jeśli zginie Corta Hélio, to ja też nie żyję” – odparłam. „Myślisz, że pozwolą nam spokojnie odejść? Mackenzie odpłacają po trzykroć”.

Na sądową arenę przyszło pół Księżyca – przynajmniej mnie się tak wydawało. Wysłałam na środek i widziałam tylko twarze, twarze i twarze, ze wszystkich stron, jedne ponad drugimi. Wszystkie te twarze i ja, w szortach do biegania i skąpym topie, z pożyczonym od którejś *escolta* nożem w dłoni.

Nie bałam się. Nic a nic.

Sędziowie wezwali Roberta Mackenziego. Jeszcze raz wezwali Roberta Mackenziego. Poprosili jego prawników, żeby do nich podeszli. Stałam pośrodku areny z nożem innej kobiety w ręce i rozglądałam się po tych twarzach. Chciałam ich wszystkich zapytać: „Po co tu przyszliście? Co chcieliście zobaczyć?”

Zwycięstwo czy krew?”.

– Wyzywam cię, Robercie Mackenzie! – krzyknęłam. – Broń się!

W okamgnieniu na arenie zapadła absolutna cisza.

Raz jeszcze wezwałam Roberta Mackenziego.

I po raz trzeci:

– Wzywam cię, Robercie Mackenzie, broń siebie, swojego imienia i swojej korporacji!

Zawołałam go trzy razy i cały czas stałam sama na tej arenie. Nagle sąd eksplodował. Sędziowie coś krzyczeli, lecz nie byli w stanie przekrzyczeć tłumu. Unieśli mnie w powietrze, wynieśli z Sądu Claviusa, a ja zaśmiewałam się do rozpuku, wciąż ściskając w dłoni ten nóż. Wypuściłam go dopiero w hotelu, gdzie zakwaterowała się Grupa Corta.

Carlos nie wiedział: śmiać się czy wściekać. Więc się rozplakał.

„Ty wiedziałaś”, powiedział na koniec.

„Od samego początku”, odparłam.

Dziesięć dni później Sąd Claviusa podjął uchwałę, w której dopuścił zastępstwo w pojedynku sądowym. Mackenzie Metals próbowało wnieść nową sprawę. Żaden sędzia na Księżycu nie chciał się jej tknąć. Corta Hélio wygrało. Wygrałam. Wyzwałam Roberta Mackenziego na walkę na noże i wygrałam.

A teraz nikt o tym nie pamięta. Ale legenda była.

Śmierć i seks chodzą w parze, prawda? Po pogrzebach ludzie się kochają. A czasami i w trakcie. Życie się dopomina. Więcej dzieci, więcej życia! Życie to jedyna recepta na śmierć.

Zwyciężyłam Roberta Mackenziego na sądowej arenie. Nie była to śmierć – nie wtedy – ale to zwycięstwo wspaniale uporządkowało mi myśli. Corta Hélio jest już bezpieczne. Pora budować dynastię. Jedno ci powiem: nie ma większego afrodyzjaku, niż kiedy wynoszą cię z sądu na rękach, z nożem w dłoni. Od Carlosa nie mogłam się opędzić. Był jak opętany. Był jak maszyna z wielkim futem. Wiem, starej kobiecie nie wypada mówić takich rzeczy. Ale tak to było.

Terminator-jebator. Był bezlitosny. I niespożyty. To były najwspanialsze dni mojego życia, jedyne, kiedy mogłam się w spokoju położyć i myśleć, że jestem bezpieczna. Więc oczywiście powiedziałam: „Zróbmy sobie dziecko”.

Natychmiast zaczęliśmy rozmowy z kandydatkami na *madrinhas*.

Miałam czterdzieści lat. Opiłam się sporo próżni, wchłonęłam masę promieniowania, wciągnęłam nosem całe morze pyłu. Bóg jeden wie, czy coś tam jeszcze działało, nie mówiąc już o zdolności donoszenia normalnej, zdrowej ciąży. Zbyt wiele tych ryzyk. Mnie potrzebne było inżynierskie rozwiązanie. Carlos zgodził się ze mną. Płatna matka zastępcza. Surogatka, ktoś o wiele ważniejszy niż tylko macica do wynajęcia. Chcieliśmy, żeby stała się członkiem rodziny, żeby zajęła się tymi aspektami opieki nad dzieckiem, na które nie mieliśmy czasu, ani, szczerze mówiąc, ochoty. Małe dzieci są męczące. Stają się ludźmi dopiero z piątym rokiem życia.

Zanim znaleźliśmy Ivete, gadaliśmy chyba z trzydziestoma młodymi, zdrowymi, płodnymi Brazylijkami. Stąd właśnie moje kontakty z waszym zakonem. Brazylijczycy od razu powiedzieli: „Porozmawiajcie z Mãe Odunlade. Ona ma drzewa genealogiczne i historię medyczną każdego *Brasileiro* i *Brasileiry*, którzy trafiają na Księżyc, a także całkiem sporo Argentyńczyków, Peruwiańczyków, Urugwajczyków, Ghańczyków, Iworyjczyków i Nigeryjczyków. Ona wam znajdzie”. Znalazła, wynagrodziliśmy ją za to i cóż... resztę tej historii już znasz.

Sporządziliśmy kontrakt, jej systemy prawnicze przepatrzyły go, Mãe Odunlade dała jej swoją aprobatę, dogadaliśmy się. Mieliśmy już parę embrionów, wybraliśmy jeden i zapytaliśmy Ivete, jak chce to zrobić. Czy chce pójść do przychodni na implantację, czy wołałaby seks ze mną, z Carlosem czy z nami obojgiem? Żeby wszystko było bardziej osobiste, z uczuciem, z jakąś więzią.

Spędziliśmy dwie noce w hotelu w Królowej Południa, a potem wszczepiliśmy jej embrion. Od razu się przyjął. Mãe Odunlade dobrze wybierała swoje *madrinhas*. Ivete przyjechała z nami do João de Deus, zapewniliśmy jej mieszkanie i pełną opiekę medyczną. Dziewięć miesięcy później urodził się Rafa. W serwisach plotkarskich pełno było zdjęć i aż huczało – prawa do tych

zdjęć były elementem wynagrodzenia Ivete – ale przychylne to te okrzyki nie były. Czuło się dezaprobatę. Matka-surogatka, wynajęta macica. Urządzili sobie weekendowy seans szalonego seksu w hotelu w Królowej. Rozumiecie, trójkącik.

Rafa ledwo co był odstawiony od piersi, kiedy zaczęłam planować kolejne dziecko. Zabraliśmy się do szukania nowej *madrinhi*. Jednocześnie zaczynałam wyobrażać sobie to miejsce. João de Deus nie nadawało się do zakładania rodziny. Teraz są tam dzieci, ale wtedy to była osada górnicza, miasto na pograniczu, surowe, partyzanckie i czerwone od krwi. Przypomniałam sobie o pożegnalnym prezencie od Achi. Bez problemu znalazłam tę bambusową tubę – dziesięć lat po jej wyjeździe. Jak to szybko minęło! Wodospady i kamienne twarze; ogród wyryty w sercu Księżyca. Zupełnie jakby umiała widzieć przyszłość albo zajrzeć mi do serca. Zatrudniłam selenologów, znaleźli mi to miejsce, od miliardów lat ukryte w skale jak geoda. Pałac, dziecko, kolejne w drodze, w ośrodku medycznym w Południku. Firma i nazwisko. Wreszcie stałam się Żelazną Ręką.

I wtedy zabili Carlosa.

Słyszałaś, co mówię? Carlos nie zginął. Zabili go. To było celowe działanie. Był plan, była zła wola. Nikt nigdy nikomu nic nie udowodnił, ale ja wiem, że to było zabójstwo. Morderstwo. I wiem, kto to zrobił.

Przepraszam. Za bardzo się nakręcłam. To było tak dawno, pół życia przeżyłam bez niego, ale widzę go tak wyraźnie! Przychodzi i staje obok mnie, bardzo blisko – tak, że widzę fakturę jego skóry. Cerę miał straszną. Czuję jego zapach, bardzo specyficzny. Pachniał jak cukier. Słodko pachnący słodziak. I jego dzieci mają tak samo, też słodko pachną. Słyszę go, słyszę ten cichutki świst, gdy odycha przez nos. Widzę uszczerbiony ząb. Wszystko to widzę w takich szczegółach, a i tak nie wydaje mi się realne. Nierealne jak Rio. Ja naprawdę kiedyś tam mieszkałam? Poruszałam palcami stóp w wodzie oceanu? Tak krótko byliśmy razem. Przeżyłam trzy życia: przed Księżycem, z Carlosem i po Carlosem. Trzy życia tak odmienne, że wydają się cudze.

Ciągle ciężko mi o tym mówić. Nie wybaczyłam. Nie rozumiem samej idei wybaczenia – dlaczego miałabym przestać czuć coś, co naprawdę czuję, dlaczego miałabym godzić się z niesprawiedliwością? Dlaczego miałabym przełykać całą krzywdę, którą mu wyrządzili, i mówić: „Carlos, to już nieważne. Przebaczyłam im”. Świętoszkowata bzdura. Przebaczenie jest dla chrześcijan, a ja chrześcijanką nie jestem.

Pojechał na pięć dni na inspekcję nowych pól na *Mare Imbrium*. Kiedy jechał przez *Montes Caucasus*, w łaziku zaszła niekontrolowana dehermetyzacja. „Niekontrolowana dehermetyzacja” – w ogóle rozumiesz, co to znaczy? Wybuch. To było czterdzieści lat temu, maszyny mieliśmy gorsze niż teraz, ale łaziki już wtedy były odporne i pancerne. Nie zdarzały się im „niekontrolowane dehermetyzacje”. To był sabotaż. Małe urządzonek, resztę załatwiło ciśnienie w kabinie. Poleciałam tam statkiem ratunkowym Woronców. Części łazika rozrzuciło na pięć kilometrów. Nie było nawet z czego węgla recyklować. Ty słyszysz mój głos? Słyszysz, że staram się, żeby był spokojny, skoncentrowany, widzisz, jak dobieram słowa jak narzędzia, dokładne i praktyczne? Wciąż tylko w ten sposób potrafię opowiadać o Carlosie. Postawiłam tam znak. Słup z ciętego laserowo tytanu. Nigdy nie skoroduje, nigdy się nie odbarwi, nigdy nie będzie stary i zakurzony. Będzie tam stać przez eony. Tak być powinno, myślę sobie. Tyle czasu wystarczy.

Robercie Mackenzie. Zabiłeś Carlosa Matheusa de Madeiras Castro. Oskarżam cię. Czekaleś cierpliwie i długo myślałeś o tym, jak najbardziej mnie zranić. Zniszczyłeś to, co kochałam najbardziej na świecie. Odplaciłeś mi po trzykroć.

Trzy miesiące później urodził się Lucas. Nigdy nie pokochałam go tak jak Rafę. Nie byłam w stanie. Straciłam Carlosa, dostałam Lucasa. Nierówna wymiana. Tak nie można, to niesprawiedliwe, ale ludzkie serca mało kiedy są sprawiedliwe. Ale to Rafa słyszał szeptane nad swoim łóżeczkiem imię zabójcy ojca; to on dorastał w tym cieniu, z sercem pełnym nienawiści. Cortowie tną. Nasze życie zaczyna się od cięcia i na nim kończy.

Rafael, Lucas, Ariel, Carlinhos – mały Carlos. Wagner. Dla niego nie umiałam być dobra. Wbijamy sobie różne rzeczy do głowy, potem oglądamy się, minęło całe życie, a one rozrosły się w dogmaty. I Ariel... czemu ja właściwie... Zresztą. Nie ma sensu. Inżynierem się jest do końca życia. I całe życie mi zajęło, zanim uświadomiłam sobie, że ludzkie życia to nie są problemy do rozwiązania. Moje dzieci są osiągnięciem, z którego jestem najbardziej dumna. Pieniądze – na co tu można je wydawać? Na szybszą drukarkę, większą jaskinię? Imperium? Tu nie ma nic poza pyłem. Sukces? Ma najkrótszy okres połowicznego rozpadu ze wszystkich znanych substancji. Za to dzieci – myślisz, że skonstruowałam je na tyle mocne, żeby wytrzymały dziesięć tysięcy lat?

Yemanja wytyczył dla mnie na oceanie srebrną drogę. Szłam nią, aż doszłam na Księżyc. To jest właśnie to, co mi odpowiada w *orixas*, ta ich osobliwa mądrość, to, że nie oferują za wiele. Żadnej świętości, żadnego nieba. Dają ci jedną okazję. Raz przegapisz i nigdy więcej się nie powtórzy. Skorzystasz, a będziesz mogła polecieć do gwiazd. I to mi się podoba. Moja *mamãe* też to rozumiała.

Moja opowieść dobiegła końca. Wszystko inne to już historia. Ale widzisz, co się okazało? Nie byłam Przeciętniarą. Nie byłam Jane-outsiderką. Byłam nadzwyczajna.

Siostró, muszę przeprosić. Yemanja ma pilną rozmowę.

DZIESIĘĆ

Pierwszą linię zabezpieczeń mijasz dwadzieścia kilometrów od João de Deus. Możesz być w pociągu, busiku, łaziku, możesz spadać do wyrzutni Fecunditatis 27 w kapsule BALTRAN-u, ale twój pojazd, twój rejestr pasażerów i ty sam będziecie już zwywiadowani przez AI ochrony Cortów. Ta pierwsza linia jest tak subtelna, że nawet jej nie dostrzegasz. Chyba że się na niej potkniesz.

Druga linia zabezpieczeń to nie linia, lecz poziom, pole pokrywające wszystkie prospekty i piętra, wszystkie chodniki i windy, kanały, tunele i szyby João de Deus. To boty, pełzające, wspinające się i latające, od potężnych maszyn do drażenia tuneli i spiekaczy po drony inspekcyjne wielkości owadów. Oczy, uszy i zmysły właściwe tylko botom, zwrócone na zewnątrz, czujne i skupione.

Trzeci krąg to żywa ochrona, kobiety i mężczyźni w garniturach o kantach ostrych jak brzytwy, z jeszcze ostrzejszymi nożami i inną bronią o większym zasięgu, potrafiącą rozprawić się z asasynem, biologicznym czy mechanicznym, zanim zbliży się wystarczająco, by zadać cios. Trucizny, drony, paralizatory, mechaniczne owady. Heitor Pereira gest miał hojny i szeroki. Jego arsenał jest najlepszy na Księżycu.

Pośrodku wszystkich tych pierścieni bezpieczeństwa leży Ariel Corta, w śpiączce farmakologicznej, na oddziale intensywnej opieki medycznej centrum Nossa Senhora Aparecida.

Cortowie zjechali się z czterech kwadr księżyca. Lekarze stanowczo odmawiają im wstępu na OIOM. Nie ma tam czego oglądać. Atrakcyjna kobieta na leżance podtrzymującej życie, zaintubowana i okablowana, z czujnikami i skanerami

botów wirującymi nad jej ciałem jak mudry w hinduskim tańcu. Nad jej głową unosi się Beijaflor. Adriana przeniosła się z całym swoim dworem do João de Deus. Corta Hélio zarekwirowało pokoje mieszczące się piętro nad OIOM-em. Lokatorów sownie wynagrodzono; w razie potrzeby przeniesiono do innych ośrodków medycznych najlepszym możliwym transportem na koszt rodziny Corta. Personel Boa Vista drukuje meble, tkaniny, rozsyła zapytania ofertowe na dostawy posiłków. Przed ośrodkiem medycznym biwakują serwisy plotkarskie i prasa. Heitor Pereira już złapał trzydzieści szpiegujących dronów.

Chowańce przekazały wszystkim szczegóły ataku i obrażeń, lecz Cortowie znajdują pociechę w powtarzaniu, obgadywaniu, omawianiu. Litanie zarzutów wobec asasyna.

– Nóż z kości – mówi Adriana Corta.

– Przeniósł go przez wszystkie skanery na przyjęciu – mówi Rafa. Przyjechał prosto z Twé, trzy skoki BALTRAN-em. Nic mu to nie zrobiło, jest gładki, świetnie ubrany, świetne buty, nawet fryzurę ma nieskazitelną mimo niedogodności balistycznego środka transportu. – W ogóle go nie zauważyli.

– Projekt jest wszędzie w sieci – mówi Carlinhos. Jechał dwanaście godzin łązikiem, wracając z małej wojenki na Morzu Przesilen, skóra go swędzi pod nową koszulą i garniturem. Próbuje poluzować krępujący kołnierzyk. – Połowa mojej ekipy takie miała. Były modne parę lat temu. Jako szablonu używało się własnego DNA.

– Niby jakiś przegrany z sądu, co się mści – stwierdza Adriana.

– Nie taki rzadki towar – dodaje Lucas.

– Dla mnie bzdura – syczy Adriana. – Jak dostałeś po krzyżu nieudany rozwodem, nie odgrywasz się na prawniku, tylko na byłym partnerze.

– Ale historia się klei – mówi Lucas. – Barosso kontra Rohani. Sąd Claviusa ma akta. Gość przerwał negocjacje i zwrócił się do sądu. Ariel rozgniotła go na miazgę.

– Mimo to był zaproszony? – zauważa Adriana. – Co za absurd. Absurd.

Nikt jeszcze nie wypowiedział oczywistego. To się nie zdarzy, póki Ariel nie będzie bezpieczna. Reszta Księżyca może się nakręcać plotkami, niepokojami, sieciowym oburzeniem. To też dobrze służy Cortom, ale jeszcze lepiej im służy

umiejętność zachowania godności w takich sytuacjach.

– A Wagner gdzie?

– W Królowej – odpowiada Carlinhos. – Coś znalazł.

– Jeśli chce być jednym z nas, powinien być tutaj.

– Dobrze, *mamãe*, spróbuję go znowu wydzwonić.

Lucas jednak unosi brew i zerka na brata spojrzeniem, które mówi: „jeszcze o tym pogadamy”.

Jest doktor Macaraeg, obwieszczają chowańce wszystkich obecnych.

Lekarka Ariel waha się w otwartych drzwiach, onieśmielona stojącą naprzeciwko falangą Cortów. Siada na samym końcu stołu konferencyjnego. Rodzina gromadzi się naprzeciwko.

– Nie jest dobrze – mówi doktor. – Ustabilizowaliśmy ją, ale straciła bardzo dużo krwi. Bardzo dużo. Ma uszkodzone nerwy. Nóż przeciął część rdzenia kręgowego. Utraciła niektóre funkcje.

– Utraciła funkcje? – wypala Rafa. – Co to ma być? To nie chodzi o jakiegoś bota. Matka musi się dowiedzieć dokładnie, co się stało Ariel.

Doktor Macaraeg przeciera oczy. Jest wyczerpana i nie potrzebuje jeszcze do tego wszystkiego bezsensownych krzyków Rafaela Corty.

– Nóż spowodował obrażenia kategorii B rdzenia kręgowego w obrębie kręgu L5. Przy obrażeniach kategorii B występuje utrata funkcji motorycznych. Funkcje sensoryczne są zachowane. Region L5 wiąże się z motoryką stóp, nóg i bioder. Te funkcje zostały utracone. A także kontrola nad zwieraczem i pęcherzem.

– Jak to kontrola nad zwieraczem i pęcherzem? – pyta Rafa.

– Oznacza to nietrzymanie moczu i stolca. Zainstalowaliśmy system do kolostomii.

– Nie może chodzić – mówi Carlinhos.

– To jest paraplegia. Państwa siostra jest praktycznie sparaliżowana od bioder w dół. Obawiamy się także o potencjalne uszkodzenie mózgu wywołane poważną utratą krwi.

Carlinhos mruczy *umbandową* modlitwę.

– Dziękuję, pani doktor – mówi Adriana Corta.

– Co się da zrobić?

– Gdy tylko jej stan się ustabilizuje, zaczniemy leczenie komórkami macierzystymi. Ta terapia ma duży procent wyleczeń.

– Nie rozumiem. Jak to duży procent wyleczeń? Kojo Asamoah po dwóch miesiącach miał nowy palec u nogi – dziwi się Lucas.

– Jest wielka różnica między wyhodowaniem nowego palca a odbudową nerwów rdzeniowych. Ten proces jest bardzo delikatny.

– Jak długo? – pyta Adriana.

– Może to zająć do roku.

– Do roku! – wykrzykuje Rafa.

– Jeśli przeszczepy się przyjmą za pierwszym razem, być może osiem miesięcy. A potem rehabilitacja, uczenie się od zera motoryki, wdrukowywanie nowych ścieżek nerwowych. Pośpiech jest w tym niewskazany. To praca wymagająca dokładności. Każdy błąd jest nieodwracalny.

– Czyli w sumie rok – mówi Rafa.

– Dostanie pani wszystko, czego potrzeba. Wszystko – odzywa się Adriana. – Sprzęt, nową technologię z Ziemi. Wszystko. Ariel ma to mieć.

– Dziękuję, ale wiecie państwo, nasza technika medyczna jest bardziej zaawansowana niż cokolwiek na Ziemi. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, *senhora* Corta. Wszystko.

– Oczywiście. Dziękuję, pani doktor. – Drugie „dziękuję” oznacza odprawienie. Adriana odwraca się do swoich synów. – Rafa, Carlinhos... jeśli pozwolicie? Potrzebuję zamienić słowo z Lucasem.

– Byłbym głupcem i kłamcą, gdybym twierdził, że to mi nie jest na rękę – mówi Lucas, gdy apartament pustoszeje.

– I myślisz, że mnie się to będzie podobało?

– Nie. To jest naganne, ale korzystne dla firmy. Ale w tej chwili nie jest to dla mnie najważniejsza sprawa. Ślub, *mamãe*. Jeśli Ariel nie wynegocjuje *nikah*, Mackenzie zeżrą Lucasinha żywcem.

Lucas widzi, jak matka usiłuje zmienić perspektywę, niczym machina wydobywcza, która wymaga całego krajobrazu, żeby wykonać zwrot, jak pociąg, który musi zacząć hamować jeszcze za horyzontem. Kiedyś robiła ten obrót jak tancerka. Szybka myśl, szybka ocena sytuacji. To dynastyczne małżeństwo nie

może być wieloletnią pułapką, jak ta, w której uwięził z Amandą Sun. Ariel wszystko wynegocjuje. Najlepszy kontrakt małżeński w jej karierze. Lucas jeszcze synowi nie powiedział. Nie zamierzał tego robić, póki kontrakt nie będzie gotowy. Teraz chłopak jedzie tutaj z Południka, a Lucas już się boi czekającej go rozmowy.

– Co można zrobić? – pyta Adriana.

Lucas słyszy wyczerpanie i niezdecydowanie w jej głosie.

– Grać na zwłokę.

– Mackenzie na to nie pozwoli.

– Zobaczę, kogo da się znaleźć. Beijaflor zarządza kontaktami Ariel.

– Tak – mówi Adriana, Lucas widzi jednak, że myślami jest w sali piętro niżej.

– Zrobimy dla Lucasinha, co się da.

– *Mamãe*, mnie naprawdę jest szkoda Ariel, naprawdę, ale firma...

– Ty się zajmij firmą, Lucas. Ja się zajmę Ariel.

– Hej.

– Cześć.

Carlinhos błąka się tam i z powrotem korytarzami, próbując znaleźć jedzenie, herbatę, cokolwiek, żeby zabić czas oczekiwania, którym tak hojnie szafują ośrodki medyczne. Ona chwiejnie wychodzi z pomieszczenia, gdzie przesłuchiwał ją Heitor Pereira; pytania za pytaniami i kolejne pytanie, trzy godziny pytań. Szczegóły. Opowiedz mi to jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze. Każdy drobiazg, peryferyjny niuans może pomóc znaleźć sprawcę. Czuje zmęczenie i mdłości.

Napastnik już dawno, dawno nie żył, kiedy dotarła reszta ochrony. Ktoś rozgiął jej palce i wyjął waper. Ktoś odciągnął ją od kałuży krwi. Pierwsze pojawiły się boty – przebiegły po suficie, przyleciały na śmigielkach. Zbadały Ariel Cortę, już siną od utraty krwi, wbiły jej w ramiona rurki i przewody, ułożyły w pozycji ustalonej i zawołały żywych sanitariuszy. Grupa awaryjnie zakontraktowanych przez Beijaflora ochroniarzy-wolnych strzelców pozbyła się gości z przyjęcia.

Corta Hélio rzuciło do walki wszystkie swoje zasoby. Pod służą Kwadry Wodnika już parkował statek księżycowy Woronców. Mieli zabrać Ariel do João de Deus. Żadnych pytań. Najemna ochrona odprowadziła nosze i lekarzy do ładowni statku. Marina dryfowała na ich orbicie, niczym krwawy satelita. Nigdy wcześniej nie leciała statkiem księżycowym. Głośno było. Wszystko się trzęsło. Czuła się o wiele mniej bezpieczna niż na lunicyklach Carlinhosa. Przez cały dwudziestominutowy lot było jej niedobrze, potem, kiedy zwymiotowała dyskretnie w rogu windy zjeżdżającej na plac Nossa Senhora da Gloria, zrozumiała, że to od smrodu krwi z jej własnej sukienki.

Heitor Pereira przechwycił ją przy bramie i odciągnął od ekipy ratunkowej. Obejrzawszy się przez ramię, dostrzegła pomiędzy kłębiącymi się ludźmi matkę Ariel i braci.

„Opowiedz mi wszystko”.

Kamery już się roily.

„Musimy wiedzieć wszystko”.

„Kurwa mać, ja uratowałam jej życie”.

– Twoja... ten... sukienka.

Wciąż ma na sobie suknię od Jacques’a Fatha. Jest sztywna od zakrzepłej krwi, cuchnie żelazem i śmiercią.

– Nie dali mi... – Teraz, kiedy przestała się ruszać, napór zdarzeń, głosów i twarzy grozi, że ją przewróci. Kręci jej się w głowie ze zmęczenia i szoku.

– Chodź, coś ci skombinujemy.

Duże drukarki są zajęte sprzętem medycznym i meblami dla Corta Hélio, za herbaciarnią szpitala jest jednak małe publiczne urządzenie. Klienci gapią się na krew, na Cortę.

– Co się gapiacie?! – krzyczy Marina. – Co się, kurwa, gapiacie?!

Recykler odmawia przyjęcia sukienki. Materiał zanieczyszczony, informuje ją Hetty. Proszę wezwać Zabballinów do zrecyklowania.

– Proszę. – Carlinhos przynosi jej herbatę, gdy czeka na wydrukowanie. Klasyczne casualowe ciuchy: bluza z kapturem i legginsy. Balerinki.

– Mógłbyś? – Marina zsuwa ramiączka sukni.

– Już cię oglądałem – żartuje Carlinhos.

– Ale mógłbyś, na chwilę? – Sytuacja nie pozwala na żarty, na nic wesołego.

Suknia przykleiła się do skóry. Marina zwilża ją stygnącą herbatą, żeby rozpuścić zaschniętą krew. Całą bieliznę ma tak samo przesiąkniętą. Zdiera ją z siebie w kabinie za herbaciarnią; wszystko won. Czuje, jak śmierdzi. Dławi się. Jeśli się teraz porzyga, to nie będzie w stanie przestać. Legginsy i bluza prosto z drukarki są aż religijnie czyste w dotyku.

– No chodź.

Carlinhos bierze ją pod rękę. Pozwala mu się zaprowadzić do cichego pokoju na dziewiątym piętrze. Kanapy, dywany ze sztucznego futra, przestrzeń, żeby się położyć, zwinąć w kłębek.

– Drinka?

Wyciąga dłonie, w obu ma blue moony.

– Jak ty możesz... – płacze Marina. – OK. Przepraszam. Przepraszam.

Carlinhos siada obok niej, rozciąga się na sofie. Marina kuli się, owija kolana rękoma.

– Zrobiłaś, co trzeba.

– Po prostu zrobiłam. Tyle. Nie zastanawiałam się. Nie było co myśleć. Trzeba było działać.

– W takich sytuacjach coś przejmuje kontrolę. To nie ciało i nie dusza, to coś jeszcze. Może instynkt, ale my się z nim nie rodzimy. Coś szybkiego i czystego. Czyste działanie.

– To nie jest czyste, Carlinhos – mówi Marina. – Nie nazywaj tego tak. Carlinhos, ja go widzę. Gość był taki zaskoczony. Jakby w życiu się tego nie spodziewał. Potem zły. Sfrustrowany, że zginie i nie zobaczy, czy plan się udał. Cały czas go widzę.

– Zrobiłaś, co należało.

– Cicho bądź.

– Robisz to, co trzeba zrobić. O to mi właśnie chodziło, kiedy mówiłem, że to jest „czyste”. Bo to była konieczność.

– Carlinhos, ja nie chcę o tym rozmawiać.

– Dobrze zrobiłaś.

– Zabiłam człowieka.

– Uratowałaś Ariel. On by ją zabił.
– Carlinhos, nie teraz!
– Marina, ja wiem, jak się czujesz.
– Gówno wiesz – mówi Marina i nagle traci dech, bo widzi tę prawdę w jego oczach, mięśniach, nawet w zapachu potu; nieświadomioną, odczytywaną odruchową prawdę. – O. No tak. Wiesz. Idź sobie. Idź sobie. Won. Śmierdzisz krwią.

Odpycha Carlinhosa. Mięśnie zieluniaczki ciskają nim mocno o ścianę, wystarczająco mocno, żeby miał siniaki.

– Marina...

– Ja nie jestem taka! – wrzeszczy. – Nie jestem taka jak ty. – I ucieka.

Wilk nie poluje sam. Ale Wagner Corta tak. Uświadomił sobie pewną prawdę dotyczącą własnej natury, której nie znają jeszcze towarzysze ze stada, mimo ciągłej gadki o tożsamości i dyskusji o doborze zaimków osobowych – on nie zmienia się ze zwykłego wilka i z powrotem. Prawda, jest dwóch Wagnerów Cortów, jasny i ciemny, każdy z nich ma własną i odrębną jaźń, inne cechy charakteru, umiejętności i talenty. Tyle że zwykły Wagner Corta umarł dwanaście lat temu w kopule obserwacyjnej Boa Vista. Przeżył go wilk oraz ciemna osobowość.

Wtapia się w tłum kibiców po meczu cisnący się na 73. ulicy Kwadry Jastrzębia. Jego chowaniec podobnie wtapia się w sieć bezpieczeństwa Królowej Południa. Wiele godzin siedział i programował *hack*, który pozwala mu śledzić Jake'a Suna. Całe dni obserwował tego człowieka, jego rytuały i nawyki, prawidłowości i przewidywalne kroki. Rafa wydzwaniał do niego w kółko – Ariel; Ariel jest w stanie krytycznym po ataku nożem. Przyjeżdżaj do João de Deus. Natychmiast. Musi to odsunąć od siebie, skoncentrować się. Skupić się na polowaniu.

Jake Sun idzie jedną przecznicę przed nim i piętro niżej, wraca z meczu na Arenie Taiyang. Tygrysy-Moços 34:17. Znów łomot. Beznadziejny wynik chłopaków Ruffy. Rafa musi sobie pewne rzeczy przemyśleć. Kibice są w

doskonałym nastroju. Jake Sun żartuje z kumplami, jest zadowolony, rozluźniony, niczego nie podejrzewa. Wagner załatwi go bez problemu. Kumple proponują drinki, kolację. Jake odmówi. Jest umówiony z Zoe Martinez, swoją *amor* z Królowej Południa. Teraz zjedzie windą na 33. ulicę. Wagner wsiada do równoległej windy, trzyma się o poziom wyżej. Mieszkanie Zoe Martinez jest w bocznej uliczce odchodzącej od 33., zacisznej i dyskretnej. Wagner przyśpiesza kroku i zbliża się do ofiary. Ofiara skręca w zaciszny zaułek.

– Jake Tenglong Sun.

Jake odwraca się i widzi nóż w dłoni Wagnera. Błysk, ból, jakiego Wagner w życiu nie zaznał. Pada zeszywniały na ziemię. Jakieś dłonie wbiły mu się w ciało i poszarpały na strzępy wszystkie mięśnie. Obraca się na plecy i widzi pierścien wycelowanych w siebie noży. Ochrona Sunów.

– Wilczku, jesteś o wiele zbyt przewidywalny. – Paralizator iskrzy mu w dłoniach. – Trzej Dostojni tydzień temu przepowiedzieli, że przyjdiesz. Przepraszam cię za to, ale zbyt blisko udało ci się podejść.

Wąski zaułek eksploduje wyciem. Sunowi zabójcy przez chwilę są zdezorientowani. Chwila wystarcza. Postacie zeskakują z balkonów, wypadają zza drzwi, wyskakują zza poręczy, z poziomu niżej. Ciało padają, buty opadają im na głowy. Wagner przetacza się, robiąc unik przed nożem dźgającym go w oko. Czubek wbija się w miękką nawierzchnię ulicy. W ułamku sekundy, którego ochroniarz potrzebuje na wyciągnięcie go, kobieta w sportowym stroju podcina mu gardło. Dłonie chwytają Wagnera za nadgarstki, stawiają go na nogi. Dwoje asasynów Sunów padło, reszta, widząc przewagę, osłania odwrót Jake'a.

– Cały jesteś?

Wagner jest obolały od elektrycznego mrowienia, ale może skupić wzrok i potrafi mówić. Irina, ta, co lubi gryźć. Sasza Ermin. Stado Magdalena.

– No, lecimy, lecimy. – Sasza Ermin.

Jego stado prowadzi Wagnera ulicą. Jest cały bezwładny, wszystko go swędzi, złał się w spodnie.

– Szczeniaki. Musicie się jeszcze dużo nauczyć, żeby być stadem – mówi Irina.

– Za bardzo się przyzwyczailście, że cały czas macie Ziemię nad głową. Kiedy

ona zachodzi, wcale nie przestajecie być wilkami.

A jednak sama wygląda inaczej, pachnie inaczej, ma inną fryzurę, jest ubrana w normalne sportowe ciuchy; tysiąc różnic świadczących o tym, że wcale nie jest wilkiem.

– Dowiedzieliśmy się, że wyszły zapytania ofertowe na zabicie ciebie – mówi wysoki, muskularny facet w obcisłym sportowym stroju i butach do biegania.

Wagner widział, jak na jednej ręce przeskakuje nad poręczą i powala płatną zabójczynię kopniakiem w nery.

– Dziękuję – mówi. Słabe, ale nie ma bardziej prawdziwego słowa.

– Musimy się lepiej zorganizować; nie może być tak, że każdy przez cały czas działa w pojedynkę – mówi Sasza. – Chodź z nami do Domu Stada, poskładamy cię do kupy.

– Muszę jechać do João de Deus – protestuje Wagner. – Zobaczyć się z rodziną.

– Teraz my jesteśmy twoją rodziną – mówi Irina. Podaje mu upuszczony nóż.

Marina przynosi sobie herbatę z saloniku, żeby siedzieć i patrzeć, jak on śpi. Po seksie zawsze w nagrodę dostawała bezsenność. Mężczyźni od razu chrapali, mruzcili czy mamrotali, i tak przez całą noc, a ona musiała wydobyć rękę spod brzucha, przesunąć nogę, wysmyknąć się spod barku, i nie spać do rana.

Pije herbatę. W ciemnym pokoju, oświetlonym jedynie odrobiną światła z łazienki i z ulicy, skóra Carlinhosa wygląda jak aksamit. Skórę ma najpiękniejszą na świecie. Jak wszyscy luniarze, zgolił wszystkie włosy na ciele. Bo to wyjątkowo nieprzyjemne, ściągać z siebie elastyk razem z włosami z pleców. Dotyka nieśmiało jego skóry, bojąc się go obudzić, podniecić; ale wystarczająco mocno, by poczuć tę drzemkę, dotyk żywej elektryczności. Światło rzuca delikatne cienie na krajobraz jego pleców, niczym niskie Słońce wydobywające z pamięci dawne kraterzy i doliny. Bok, biodro, rzeźbiona krągłość pośladka, wszystko pokryte siateczką cienkich linii. Blizny.

Ten od uwodzenia, ten od knucia, ta od gadania. Ten od walki.

Oddycha jak niemowlę.

Jak dobrze mieć blisko siebie muskularnego mężczyznę. Wysokiego i umięśnionego, po księżycowemu wysokiego; na tyle dużego, by mógł ją podnieść, ścisnąć, unieruchomić. Uwielbia to. Wielki chłop, w sam raz, by przewrócić go na plecy i dosiąść. Inni faceci – to wszystko były studenciaki, komputerowcy, inżynierowie, maniacy planszówek, czasami biegacze; deskorolkarze, snowboardziści. Deskarze. Kiedyś jeden sportowiec. Pływak. Ten to miał kondycję. Ziemską. A to jest luniarz. Marina widziała Carlinhosa nagiego, odświeżającego się po Długim Biegu, wkładającego lub zdejmującego elastyk, albo w tym drogocennym basenie w Beikou, pod okiem i w szponach Ao Jung, lecz nigdy dotąd nie widziała w nim człowieka z Księżyca – dopiero teraz, gdy leży na brzuchu, z odwróconą na bok głową, w jej łóżku. Człowiek z Księżyca jest tak odmienny. Wyższy od niej o półtorej głowy, choć tutaj, w drugim pokoleniu wcale nie uchodzi za wysokiego, a wśród smukłych drzewek trzeciego pokolenia jest poniżej średniej. Skóra opina zupełnie inne mięśnie, inny krajobraz, jak wszystkie krajobrazy ukształtowany przez grawitację. Palce stóp długie i giętkie – tu się chwyta palcami różne rzeczy. Łydki wypukłe i napięte – Marinę mięśnie łydek bolały przez całą lunę, póki nie nauczyła się księżycowego kroku. Mięśnie ud – wyrzeźbione i długie, od biegania, ale jak na ziemskie standardy niedorozwinięte. Mięśnie ud są za mocne na Księżyc – potrafią cię wyrzucić na ścianę, cisnąć na ludzi, podrzucić pod sufit, żebyś rozwalila sobie głowę. Tyłek za to – wspaniały. Miałaby ochotę się w niego wgryźć. Tu łydki i tyłek służą do poruszania się, to one dają ci ten zamaszysty krok z Prospektu Gagarina. Dlatego właśnie w tym sezonie jest taki szal na lata pięćdziesiąte XX wieku – te spódnice i halki, te pudełkowe żakiety falują ulicami jak ucieleśniona pokusa.

Brzucha nie widać, wie jednak, że jest mocny i napakowany. Kręgosłup chowa się w głębokiej dolinie mięśni. Górna część ciała, dla kontrastu, rozrośnięta. Potężne ramiona, mięśnie piersiowe, baloniaste bicepsy i tricepsy. Cięższy u góry. Na Księżycu silna góra przydaje się bardziej niż dół. Leży rozciągnięty na łóżku jak pokonany superbohater z kreskówki. Oddycha ustami.

Dziwny mężczyzna. I wspaniały. Przystosowany do tego świata, jego piękno właśnie w tym przystosowaniu. Ale ja jestem równie silna jak ty, w szpitalu,

kiedy mnie przestraszyłeś, pchnęłam cię na ścianę. Albo wtedy, kiedy się na mnie rzuciłeś, a ja cię przewróciłam, roześmiałeś się, bo nie zrobiła tego dotąd żadna *amor*, a wtedy ja z kolei rzuciłam się na ciebie.

Herbata zrobiła się letnia.

Biegła, korytarz za korytarzem, nie mogąc uciec ze szpitala, z miasta, z Księżycy, póki nie wcisnęła się w jakiś ciasny zakamarek; zwinęła się w kłębek, owinęła kolana rękoma, czując, jak z góry napiera na nią kamienne niebo; miliardy ton nieba. On ją tam znalazł. Usiadł w korytarzu naprzeciwko niej, nie odzywał się, nie dotykał, nic nie robił, po prostu był. Kiedyś, na górze, w Bairro Alto, w niebie rozpaczy, człowiek z nożem ukradł jej skraplacz i na jej oczach wypił jej wodę. Nóż wygrał, nóż zawsze wygrywa. Był dla niej jak niemy wyrzut, póki napędzana strachem, furią i adrenaliną nie zmierzyła się z innym nożem, póki nie wbiła człowiekowi w mózg tytanowego pręta, aż wyszedł mu przez czaszkę.

– Carlinhos – powiedziała. – Boję się.

Boję się?

– Jestem taka jak ty.

W pokoju, pod tym samym kamiennym niebem przywiera policzkiem do kręgosłupa Carlinhosa. Czuje falowanie jego oddechu, rytm serca i krwi. Niesamowitą fakturę jego skóry. W ogóle nie czuje blizn.

– O rany, i co teraz?

– Ile on ma lat? – pyta Lucasinho.

– Dwadzieścia osiem – odpowiada Lucas.

– Dwadzieścia osiem!

W wieku Lucasinha to jest zgrzybiała starość. Lucas pamięta swoje siedemnaście. Nienawidził tego wieku. Czuł na sobie długi cień Rify, nieliczni kumple powyprowadzali się, stracił z nimi kontakt, a czuł się zbyt niezręczny i niepewny, żeby poznać nowych. Wszystko dookoła było jakieś nie takie: przyjaciele, partnerzy i partnerki, ubrania, śmiechy i to, co siedemnastolatek

postrzega jako miłość. Na Rafę spadało jak deszcz, nasiąkało wdziękiem, oczyszczało. A on był samotny wtedy i jest samotny teraz.

Zazdrości synowi jego bezproblemowej seksualności, jego wdzięku, tego, jak dobrze czuje się we własnym ciele. Znaczka z Doną Luną w kłapie.

Wyszedł po niego na stację. Dzieciak założył wszystkie swoje kolczyki – specjalna okazja – a w rękach miał pudełko na ciastka. Lucas omal nie uśmiechnął się na ten widok. Gdzie on się nauczył być tak miły? *Escoltas* utorowali im drogę wśród łowców gwiazd. Na Księżycu nic tak nie wzbudza plotek jak próba zamachu. Lucasinho tulił do siebie pudełko ciastek jak niemowlę, a nad głową śmigły mu drony.

Przez dziesięć minut stali razem przy okienku i zaglądali na oddział. Chowańce mogłyby pokazać im Ariel ze wszystkimi szczegółami, nałożyć schematy i medyczne objaśnienia, lecz to byłby tylko obraz. A przez szkło – autentyk. Ariel leżała w śpiączce, Beijaflor wykonywał powolne topologiczne zawijasy. Potem Lucas zabrał Lucasinha do jego pokoju. Jinji podesał schematy do szpitalnych drukarek; służba Boa Vista zbudowała przekonującą replikę jego studenckiego lokum w Południku. Tam powiedział mu o ślubie. Wszystko to było starannie zaplanowane – własny pokój Lucasa byłby w tej sytuacji nieprzyzwoity, a biurowy gabinet zbyt oficjalny i zbyt przytłaczający.

– Twoja matka miała dwadzieścia dziewięć lat, kiedy brałem z nią ślub. Ja dwadzieścia.

– No i patrz, co wyszło.

– Ty wyszedłeś.

– Nie zmuszaj mnie do tego.

– Luca, w tych sprawach nie jesteśmy wolni. – Ta bliskość, jaką daje zdrobnienie od zdrobnienia; ćwiczył wypowiedanie go przez całą drogę na stację, próbując się przyzwyczaić do dyskomfortu w gardle. Bał się, że się na nim zająknie, a tymczasem słowo wypadło jak gdyby nigdy nic. – Księżycowy Orzeł nam to narzucił.

– Księżycowy Orzeł, księżycowy szczur. Sam tak mówisz.

– On ma nas na widelcu, synu. Może zniszczyć naszą firmę.

– Firmę.

– Rodzinę. Ja też nie chciałem brać ślubu z Amandą Sun. Nigdy jej nie kochałem. Miłości nie było w kontrakcie.

– Ale się z tego wykupiłeś. To wykup mnie z tego.

– Luca, nie mogę. Chciałbym. Zrobiłbym wszystko, gdyby to było możliwe. Ale to polityka.

W pudełku są makaroniki, błyszczące, idealne w kształcie, ułożone w kolory widma. I teraz, przez nie, Lucas jak nigdy czuje się zdrajcą. Są niewinne, dobre, delikatne i zdradzone.

– Mam pierwszą wersję *nikah* – mówi Lucas.

– Przecież Ariel jest na OIOM-ie?

– Kto inny ją zrobił – odpowiada Lucas.

Lucasinhowi drga mięsień policzka.

– Co takiego?

– To pierwsza wersja, robocza. Luca. Mógłbym ci rozkazać. Dla dobra rodziny. I tyle. Ale ja cię proszę: weźmiesz ślub z Dennym Mackenziem?

– *Paizinho...*

Teraz to Lucas jest poruszony, drobny wstrząs sejsmiczny; nie przypomina sobie, by kiedykolwiek Lucasinho użył tego zdrobnienia. „Tatusiu”.

– Dla rodziny, tak?

– A co mamy poza rodziną?

– Dawno tu siedzisz?

Głos budzi Marinę z ciepłej, dezynfekującej drzemki. Oddziały intensywnej opieki aż zapraszają do snu. To ciepło, mruczenie i hipnotyzujący taniec maszyn, delikatny ziołowy zapach kojarzący się z lasem, z górami, z domem.

– A ty dawno jesteś przytomna?

– Od stu lat – mówi Ariel Corta.

Beijaflor podnosi górną część szpitalnego łóżka. Włosy zwisają jej luźno wokół twarzy, w nieładzie, przetłuszczzone. Skórę ma matową, woskową, szarą, oczy zapadnięte. Od nadgarstków odchodzą rurki i kaniule, kończące się gładkimi

białymi ramionami medycznych urzędów.

– Chyba nie powinnaś...

– Pierdolę co „powinnam” – warczy Ariel.

Po wybudzeniu jej ze śpiączki farmakologicznej wokół kłębiła się rodzina. Nie było godziny, żeby ktoś z rodziny, jedna osoba lub więcej, przy niej nie siedział, nie trzymał jej za rękę, nie uśmiechał się, nawet kiedy pogrążała się w długim, zdrowotnym śnie zaprogramowanym przez lekarskie konsylium. Minęły godziny i dni, potrzeby firmy odciągnęły ich stąd. Czuwanie zamieniło się w odwiedzanie. Tłum mediów pod drzwiami odleciał, świta odpłynęła. Na koniec na OIOM-ie wysiadywała tylko Marina. Bała się samotności, bała się, że nie będzie w stanie uciec od twarzy nadzianego na waporizator człowieka, odkryła jednak, że ta warta jest spokojna i uspokajająca. Z dala od ludzi i ich potrzeb. Mogła spokojnie się godzić z tym, co zrobiła człowiekowi, który usiłował zabić Ariel. Trochę czasu, a może uda się w ogóle to usprawiedliwić.

– Wiesz co, wyglądasz jak kupa – mówi Ariel. – I co ty w ogóle masz na sobie?

– Czyste rzeczy. Wygodne. Podobają mi się. A ty możesz mówić.

Ariel śmieje się, sucho, warkliwie.

– O tak, mogę. Bądź kochana i skombinuj mi jakieś kosmetyki, co? Nie mogę się tak pokazać Księżycowi.

– Już to przewidziałam. – Marina wyciąga kosmetyczkę spod krzesła i stawia ją na łóżku.

To tylko podróżny zestaw Rimmel Luna, jedno oczko wyżej od budżetowego, mimo to Ariel otwiera go niecierpliwie, z ekscytacją, jak gwiazdkowy prezent.

– Prawdziwy skarb z ciebie. – Spojrzenie Ariel łagodnieje, gdy patrzy Beijaforem na swoją twarz i ocenia efekty odbudowy.

Wylewne podziękowania za kosmetyki, za uratowanie życia – ani słowa, myśli Marina.

– A gdzie to moja kochająca rodzina?

– Planuje ślub.

Ariel podskakuje, prostuje się, potem zgina się z powrotem w bólu.

– Dobrze się czujesz?

Z palców Ariel wypada szminka.

– Nie, kurwa, dobrze to nie jest. Chyba coś sobie naderwałam. Gdzie ten lekarz? Żywy ma być. Chcę coś na ból.

– Już.

Pędem przybiega pielęgniarka i odgania Marinę od łóżka. Ta dostrzega jeszcze sfrustrowaną twarz Ariel, gdy łóżko łąduje z powrotem na płask, sprawdzane są czujniki, podawana odpowiednia dawka. Kosmetyki są pakowane i parkowane na stoliku poza jej zasięgiem.

– Dawaj je z powrotem – rozkazuje Ariel po wyjściu pielęgniarki.

Nakłada podkład, cień, kredkę; tusz do rzęs długimi, dokładnymi pociągnięciami. Ta przemiana twarzy to rytuał odzyskania władzy nad sobą, panowania nad otoczeniem, mimo niesłuchającego poleceń ciała. Na koniec usta. Ariel kręci głową, by pod każdym kątem ocenić odbudowaną twarz.

– Czyli siostrzeniec. A kto załatwia *nikah*?

– Lucas.

– Lucas! Dzieciak ma przejebane. Dawać go tutaj. I to już. Coś już podpisał? Boże broń przed swatami-amatorami.

– Lekarze mówią, że jesteś jeszcze bardzo osłabiona.

– To zaraz ich wywalę na zbitą mordę i wezmę takich, co mają trochę szacunku. Co ja mam tu, kurwa robić, leżeć, gapić się w sufit i puszczać sobie Beijaforem muzykę dla ciężarnych? Nogi mam zepsute, nie mózg. To jest dla mnie terapia. Beijaflor, dawaj mi Lucasa.

Zewnętrzna łączność jest ograniczona ze wskazań medycznych, oznajmia Beijaflor na wspólnym kanale. Ariel aż piszczy ze zdenerwowania. Wraca pielęgniarka i ucieka z sali spłoszona, goniona wrzaskiem Ariel. Marina odwraca się, żeby ukryć rozradowanie.

– Marina, *coração*, dasz mi Lucasa?

– Już to zrobiłam, *senhora* Corta.

– Ile razy mam ci powtarzać? Ariel.

Marinę budzi okrzyk. Jest w korytarzu i biegnie, a Hetty wciąż informuje ją o

alarmie w pokoju Ariel Corty. Przeniesiono ją z OIOM-u do jednoosobowego pokoju piętro wyżej, gdzie wcześniej mieszkali Cortowie. Piętro jest przestronne, spokojne i bezpieczne. Boty chodzą, fruują, węższą za wynikami Ariel, dryfują dalej. Pęd Mariny wrzuca ją do pokoju i zderza ze ścianą obok łóżka. Medyczne boty wyglądają z wnek w ścianach, żeby ją zbadać. Powierzchowne zasinienia, brak poważnych urazów.

– Nic ci nie jest?

– Nic.

– Bo słyszałam... Hetty mnie poderwała.

– Nic a nic!

Łóżko znów unosi Ariel do pozycji siedzącej. Hetty wyświetla diagnostykę, Marina widzi jednak strach w jej wielkich oczach, w płytkim oddechu, widzi też niechęć w skrzywieniu ust, niechęć, że zastała ją w takim stanie: to niedopuszczalne.

– Nie, nie. Zostanę.

– Nic takiego. Po prostu go zobaczyłam.

– Barosso... – zaczyna Marina.

Ariel podnosi rękę.

– Nic nie mów. – Wzdycha z udręką, zaciska pięści. – Cały czas go widzę. Tylko coś się ruszy, jakiś bot, ktoś w korytarzu, albo ty – od razu myślę, że to on.

– To wymaga czasu. Przeżyłaś traumę, bardzo poważną, musisz uzdrowić swoje wspomnienia...

– Daj spokój z tymi terapeutycznymi pierdołami.

Marina przetyka kolejne słowa. Wychowała się wśród takich słów, o równowadze, regulacji, odrodzeniu. Kręciły się kryształ, jarzyły się czakramy. Urazy szkodziły, traumy raniły, złe słowa okaleczały. Dociera do niej, że nigdy nie pochyliła się nad głębszymi fundamentami tych poglądów. To wszystko tylko analogie. Być może jednak uzdrawianie, gojenie się ran, dotyczy tylko ciała, nie emocji. Może w przypadku emocji zachodzi jakiś inny proces – o ile w ogóle mogą być „ranione”, o ile „rana” nie jest po prostu kolejną przenośnią próbującą opisać coś, na co nie mamy nazw ani słów, coś, co potrafimy wyłącznie przeżywać. A może w ogóle nie ma takiego procesu, jest tylko czas i psucie się

pamięci.

– Przepraszam.

– Pierdzielenie. Autoterapia – burczy Ariel. – Czego ja potrzebuję: muszę móc chodzić. Muszę móc się wysrać i odlać, żeby nie robiło mi się ciepło od jakiegoś woreczka na biodrze. Muszę wyleźć z łóżka. Muszę się napić martini.

„Zła jesteś”, chce powiedzieć Marina. Nie.

– Mój szwagier, Skyler, był w wojsku.

– Naprawdę? – Ariel podnosi się na łokciach. Łóżko podąża za jej ruchem. Ludzka historia. Ludzie, którzy coś robią; to ją interesuje.

– Pracował na Sahelu. To było w czasach, kiedy na każdy kryzys rzucało się wojsko – obojętne, jakaś lekooporna epidemia, uchodźcy, głód czy susza.

– Ludzie, co się tam u was na dole dzieje... ja ani słowa z tego nie rozumiem.

Marinę przeszywa iskra wściekłości. Wyniosła, bogata prawnicza menda. Bogata prawnicza menda z Księżycyca. Dostała nożem i jest sparaliżowana. Opanuj te emocje. Uspokój się. Ulecz się.

– Był we wsparciu informatycznym. Każdy kryzys wymaga wsparcia informatycznego. Ale i tak się naoglądał. Dzieci. Najgorzej oglądać dzieci. Tylko tyle mówił. Nic więcej nie chciał gadać. Oni nigdy o tym nie gadają. Zdiagnozowali u niego PTSD. „Nie”, mówił. „Nie jestem ofiarą. Nie róbcie ze mnie ofiary. Bo tylko tyle będą we mnie widzieć ludzie. Zostanę tylko ofiarą”.

– Ja nie jestem ofiarą – mówi Ariel. – Ale chcę przestać go widzieć.

– Ja też – odpowiada Marina.

– Jak to nie robisz tego z innymi ludźmi?

Druga w nocy. Marina i Ariel znów cierpią na bezsenność w pokoju ośrodka medycznego. Przegadały ludzi i politykę, prawo, ambicję; przerobiły własne opowieści i historie, aż skrzyły na seks.

– Inni ludzie nie pociągają mnie seksualnie – odpowiada Ariel.

Pólsiedzi w łóżku i ciągnie z waporyzatora. Doktor Macaraeg przestała już ją napominać i ostrzegać. „Kochana, jak myślisz, kto płaci za twoje oddychanie?”.

Waper jest nowy, dłuższy i jeszcze bardziej śmiercionośny niż ten, na który Marina nadziała Edouarda Barroso. Hipnotyzuje ją jego falujący czubek.

– Nie chce mi się z nimi męczyć. Ciągłe czegoś chcą, kleją się, szukają uwagi i trzeba o nich myśleć, kiedy myślą o tobie. Ciągłe trzeba seks negocjować, kiedy zacząć, kiedy skończyć, no i jeszcze ta miłość. Oszczędźcie mi tego. O wiele lepiej bawić się w seks z kimś, kto jest zawsze dostępny, wie, czego chcesz, i kocha cię bardziej niż ktokolwiek na świecie. Ze sobą samym.

– To... tego... wow – mówi Marina.

Jako świeżo wyciągnięta z drukarki zieluniaczka badała seksualną różnorodność Księżyca, ale w tym ekosystemie – który jest jak seksualna dżungla – są nisze, których sobie nawet nie wyobrażała.

– Strasznie ziemską jesteś – mówi Ariel, pstrykając waperem. – Seks z innymi ludźmi to zawsze kompromis. Ciągłe napierają, przepychają się, wszystko chcą ci wcisnąć, kto ma dość pierwszy, kto co lubi, a czego nie lubi, a jeszcze nie lubią tego, co ty lubisz. Zawsze trzeba się z czymś kryć, z jakąś tajemną rzeczą, którą tylko ty uwielbiasz, chcesz spróbować, z tym, co sprawia, że się zatracisz i będziesz krzyczeć do upojenia – a nie możesz tego powiedzieć, bo ktoś na ciebie spojrzy i powie: „chcesz spróbować CZEGO?” i nagle zobaczy nie ukochaną, ale jakieś monstrum. Nigdzie nie ma takich brudów, jak w zakamarkach twojej głowy. Kiedy jesteś sama ze sobą, kiedy tulisz myszkę, turlasz kuleczkę, mierzysz trójkącik, wyciskasz morelkę, nie przejmujesz się nikim innym, przed nikim się nie hamujesz. Nikt cię nie ocenia, nikt cię z nikim nie porównuje, nikt nie wyobraża sobie nikogo, o kim ci w życiu nie powie. Ja-seks to jedyny szczery seks.

– Ja-seks? – dziwi się Marina.

– „Samoseks” brzmi głupio, autoseks to pieprzenie się z botami, a wszystko ze słowem „erotyzm” jest z definicji mało erotyczne.

– Ale co ty...

– Co robię? Wszystko, kochana, wszystko.

– Ten pokój, do którego mnie nie wpuściłaś, w twoim mieszkaniu...

– Właśnie tam chodzę się pieprzyć. Czego ja tam nie mam. Co ja tam przeżyłam.

– Czy to jest odpowiednia rozmowa jak na pracodawcę i pracownika?
– Przecież w kółko mi przypominasz: nie jesteś moim pracownikiem.
– Rany boskie – mówi Marina; babcine wyrażenie, ale nie przychodzi jej do głowy nic innego, co by adekwatnie ilustrowało jej zdumienie i szok. Całkiem jakby otworzyła te zamknięte drzwi w małym ascetycznym mieszkanku i zobaczyła w środku niekończącą się krainę cudów: łąki, tęcze, naoliwioną skórę, miękkie ciało i orgazmiczne chóry.

– I o kim myślisz? – pyta Ariel.

– Nie myślę...

Ariel przerywa jej w połowie.

– Oczywiście, że myślisz. Jak komuś powiem, że jestem „a-”, to on od razu zaczyna porównywać swój najlepszy seks solo z najlepszym seksem z obecnym partnerem. Zawsze-zawsze. To o kogo chodzi?

Jest ciemno, późno, wokół cyka i pomrukuje księżycowa maszyneria, zawsze obecna, ale w tym pokoju i na tym piętrze jakby bardziej; właśnie to poczucie, że na całym świecie istnieją tylko one dwie, daje Marinie odwagę odpowiedzieć:

– O twojego brata.

Po twarzy Ariel rozlewają się uśmiech i zachwyty.

– Noo, ambitna z ciebie laska. Ktoś z rodziny. Właśnie dlatego tak bardzo cię lubię. Carlinhos? No tak, pewnie, że Carlinhos. Śliczny jest. I naprawdę dba o siebie. I za dużo nie gada. Gdybym była z tych, co pieprzą się z ludźmi, sama bym chciała go zerznąć.

Waper Ariel zamiera w połowie drogi do ust. Wytrzeszcza oczy. Prostuje się i chwyta Marinę za rękę. Gest jest zaskakujący; skórę ma wciąż suchą i gorącą od leków.

– Oj, *mi coração* – mówi Ariel. – To się zadziało, co? Tak? Nie mów mi tylko, że go kochasz. Oj, głupia kobieto. Matka ci nie powiedziała najważniejszej rzeczy o naszej rodzinie? Nie zbliżaj się do nas za blisko, niech ci nie zacznie na kimś z nas zależeć. A już w ogóle nigdy się w nas nie zakochuj.

Ariel Corta sapie, zagryza dolną wargę z bólu i zsuwa się na krawędź łóżka. Marina patrzy w udręce.

– Mogę?

– Nie, kurwa, nie możesz – warczy Ariel. Zsuwa się na sam brzeg, opuszcza nogi, podciąga po uda halki i poły długiej sukni. – Nogi, dawać.

W kącie pokoju nogi warczą i podrygują. Robotycy Corta Hélio zaprojektowali je i zbudowali w niecały dzień. Imperatyw „Ariel Corta ma chodzić” zawiesił wszystkie inne projekty. Idą do łóżka, krokiem naturalnym, swobodnym, ludzkim, a dla Mariny przerażającym. Są jak kości, z których zsiadło ciało. Przywierają do zwisających nóg Ariel, rozwierają się jak potrzaski i zamykają, od stopy po udo.

– Teraz mi trochę pomóż.

Marina obejmuje ją ręką w talii, podpira barkiem pod pachą i przytrzymuje, kiedy łącza neuronalne pełzną po kręgosłupie w poszukiwaniu gniazdka, które wstawili tam chirurdzy. Jest tak lekka, jak myślała: same kości i powietrze, choć Marina czuje jej żylastą siłę. Pajęczki drobią po skórze pod zwiniętymi warstwami tkanin i wbijają złącza do gniazdek. Ariel syczy z bólu. Dwie kropelki krwi.

– No dobra, próbujemy.

Marina cofa się. Ariel opuszcza stopy na podłogę. Mechaniczne nogi uginają się, przez moment wygląda na to, że Ariel się przewróci, po czym żyroskopy i siłowniki spinają się z jej motoryką i wyrównują ciało.

– Przytrzymaj sukienkę.

Robi krok naprzód. Ani śladu wahania, chwiejności. Robi obchód pokoju, Marina niesie za nią tren sukni jak dworka.

– I jak się czujesz?

– Jakbym miała siedem lat i próbowała chodzić w szpilkach *mamãe*. No dobra. Doprowadź mnie do porządku.

Marina pozwala sukni opaść, wygładza fałdy wszystkich warstw. W ogóle nie widać, że pod spodem są protezy. Ariel ogląda się Beijaflorem.

– Na razie ujdzie. – Przeszczepy już w pewnym stopniu przywróciły jej kontrolę nad pęcherzem i okrężnicą, lecz obfita suknia i tak skrywa woreczek do

kolostomii. – Nie zamierzam do końca życia nosić sukni do ziemi. Chyba że rozpocznę nowy trend. Trzymaj się z tyłu. Chcę mieć wejście.

Lucas klaszcze pierwszy, gdy Ariel przewalcowuje przez drzwi do pokoju spotkań, Marina dostrzega jednak błysk goryczy na jego twarzy. Całusy. Potem córkę obejmuje Adriana, cofa się o krok, żeby podziwiać dokonania inżynierów Cortów.

– Oj, skarbie.

– To tylko na chwilę – drwiąco rzuca Ariel. – Kosmetyka.

Trzecim członkiem rodziny, który przyszedł do ośrodka, jest Wagner.

Dla Mariny najbardziej intrygujący z Cortów. Od czasu pierwszej imprezy w Boa Vista widziała go tylko raz, na urodzinach. Tak jak Carlinhos, służy rodzinie z dala od sali posiedzeń zarządu, ale Marina wyczuwa, że to przez politykę, nie przez temperament. Ciemnooki, śniady, długorzęsy, o ostrych kościach policzkowych; jego chowaniec to kolczasta kula z oleistej, czarnej gumy. I pojawia się, kiedy nie ma Rafy i Carlinhosa.

Ariel siada, krzyżuje nogi, rozkłada waper. Marina stoi za nią i podziwia spektakl.

– Lucas. Proszę. Oto porządna *nikah*. – Chowańce błyskają, przesyłając dane. – Teraz chłopak będzie bezpieczny i zadowolony. Nie czytaj, podpisz tylko i więcej nie grzeb w rzeczach, których nie rozumiesz.

– A Mackenzie się zgodzili?

– Się zgodzą. Albo będą przez wiele lat renegocjować każdą klauzulę, a Jonathon Kayode już nie może się doczekać wesela na bogato.

Lucas pochyła głowę, lecz Marina i teraz widzi niechęć.

– Wagner ma nam coś do powiedzenia – mówi Adriana.

– Ariel, twoja ochrona – zauważa Lucas.

– Marina zostaje – mówi Ariel. – Powierzam jej swoje życie. Mam pełne zaufanie.

Lucas patrzy na matkę.

– Dwojgu z moich dzieci uratowała życie – stwierdza Adriana.

– Ja wiem, że nie jestem w centrum tej rodziny – odzywa się Wagner. – Ale po ataku na imprezie po Biegu Księżycowym dogadałem się z Rafą.

Przeprowadziłem małe dochodzenie. Moje szczególne... usposobienie... oznacza, że widzę rzeczy, których nikt z was nie widzi.

Ariel zauważa uniesione brwi Mariny.

Jest wilkiem, szepcze Beijaflor na prywatnym kanale.

Co takiego? – odszeptuje Hetty.

Marina przypomina sobie, jak ją przepytował w Boa Vista.

Carlinhos zapytał, czy ma jakieś doświadczenie na powierzchni. Wagner za to pytał o specjalności inżynierskie. Widzi w nim tę mroczną inteligencję i cień czegoś samotnego, dzikiego, wrażliwego. Wilka.

– W jednym z procesorów białkowych poczułem trop czegoś znajomego i wyśledziłem projektantkę. Doprowadziła mnie do ludzi, od których dostała zamówienie. Jednorazowa spółeczka-wydmuszka, ale jednym z założycieli był Jake Tenglong Sun. Więc poszedłem do Jake'a Suna, w Królowej Południa. Spodziewał się mnie. Próbował mnie zabić. Stado Magdalena mnie uratowało.

Stado Magdalena? – szepcze Hetty do Beijaflora, lecz Ariel ma inne pytanie.

– Spodziewał się ciebie?

– Powiedział: „Wilczku, jesteś o wiele zbyt przewidywalny. Trzej Dostojni tydzień temu przepowiedzieli, że przyjdiesz”.

– Bogowie – mówi Ariel.

– Ariel – odzywa się Adriana.

– Jestem członkinią Pawilonu Białego Zająca. Należę też do Towarzystwa Lunariańskiego.

– Czemu ja nic o tym nie wiem? – pyta Lucas.

– Bo nie jesteś moim stróżem – odwarkuje Ariel. Zaciąga się mocno i głęboko z waporyzatora. – Vidhya Rao też do tego należy.

– Z Whitacre Goddard – mówi Lucas.

– Powiedziało mi o systemie analitycznych AI, który zrobił dla nich Taiyang. Trzy duże kwantowe komputery generujące bardzo dokładne predykcje na podstawie szczegółowego modelu rzeczywistości. Nazwało to „proroctwami”. Fu Xi, Shennong i Żółty Cesarz. Trzej Dostojni.

– Sunowie to nasi sojusznicy – mówi Adriana.

– Z całym szacunkiem, *mamãe*, ale Sunowie to sojusznicy siebie samych i

nikogo więcej.

– Ale po co by im było zlecać wyprodukowanie urządzenia do zabicia mojego syna? – pyta Adriana.

– Żebyśmy znaleźli się dokładnie w takiej sytuacji, jak teraz – odpowiada Lucas. – Na skraju wojny z Mackenziami.

Lucas budzi się na ułamek sekundy przed tym, jak dzwoni Toquinho. Teraźniejszość to złudzenie. Czytał o tym jako dziecko. Ludzka świadomość ma pół sekundy opóźnienia względem każdego wrażenia zmysłowego i każdej decyzji. Palec porusza się podświadomie, mózg tylko zatwierdza działanie, choć wydaje mu się, że je zainicjował.

Helen de Braga, mówi Toquinho. *Esperança Maria*, jej chowaniec, pojawia się przed nim w ciemności.

– Lucas, matka prosiła, żebym do ciebie zadzwoniła.

Czyli to już ten czas. Lucas nie czuje strachu, lęku, niepokoju. Przygotowywał się na tę chwilę, ćwiczył te emocje wiele razy.

– Czy możesz przyjechać do Boa Vista?

– Już jadę.

Helen de Braga wychodzi po Lucasa na peron. Całują się oficjalnie.

– Kiedy się dowiedziałaś?

– Od razu, jak doktor Macaraeg mi powiedziała, zadzwoniłam do ciebie.

Lucas nigdy nie żywił zbyt wielkiego szacunku dla doktor Macaraeg. Zbędny jest ten jej zawód. Maszyny zajmują się medycyną o wiele lepiej. Precyzyjnie, bezosobowo.

– Stan pana matki się pogorszył – mówi doktor.

Lucas kieruje na nią pełną moc swego lodowatego spojrzenia. Aż się kurczy. Jeszcze jedna rzecz, która maszynom lepiej wychodzi: prawda.

– Kiedy?

– Jeszcze przed urodzinami. *Senhora* Corta kazała nam...

– Doktor Macaraeg, czy pani ma jakieś ambicje?

Doktor jest zbita z tropu i skonfundowana.

– To żaden wstyd, tak, mam ambicje dalej rozwijać swoją prywatną praktykę.

– Świetnie. Skromność jest bardzo przereklamowana. Mam nadzieję, że się pani uda wszystko to osiągnąć. Matka na pewno musiała mówić pani o swoim stanie, lecz pani to przede mną zataiła. Jak pani myśli, jak powinienem na to zareagować?

– Jestem prywatnym lekarzem *senhory* Corty.

– Tak, oczywiście, że tak. Czy są jakieś przeciwwskazania medyczne, żebym zobaczył się z matką?

– Jest bardzo słaba. Jej stan jest...

– Świetnie. A gdzie jest?

– Jest w obserwatorium na powierzchni – odpowiada doktor Macaraeg i usuwa się z zasięgu uwagi Lucasa.

Na wypielegnowanych trawnikach zgromadziła się cała służba z Boa Vista pod wodzą Nilsona Nunesa. Lucas nie potrafi odpowiedzieć na ich pytania, jest jednak Cortą, czyli władzą. Każdemu kiwa głową. Porządni, zaufani ludzie. Potem *madrinhas*, z każdą zamienić słowo.

– Ile czasu jej naprawdę zostało? – pyta Helen de Bragę.

– W najlepszym razie dni. A może tylko godziny.

Lucas opiera się na moment o polerowaną kamienną ścianę hallu windowego.

– Nie mogę winić jej doktor, że słuchała poleceń.

– Prosiła, żeby zawołać ciebie i tylko ciebie, Lucas – mówi Helen de Braga.

– Ej, ty! – krzyczy Lucas. Jego uwagę zwróciło mignięcie czegoś białego. Irmã Loa, którą przewiało jak papier pomiędzy filarami hallu. – Won z mojego domu!

– Jestem powierniczką duchową twojej matki. – Irmã Loa staje oko w oko z Lucasem Cortą.

– Jesteś oszustką i naciągaczką.

Helen de Braga dotyka ramienia Lucasa.

– Zakon przyniósł jej wielką pociechę – mówi Irmã Loa.

- Wezwałem ochronę. Nie mają polecenia być łagodni.
- *Mãe* Odunlade ostrzegła mnie przed twoim zachowaniem.
Przyjeżdża Heitor Pereira z ochroniarzem w eleganckim garniturze.
Loa odtrąca chwytające ją dłonie.
- Już wychodzę.
- Ta kobieta nie ma wstępu do Boa Vista – mówi Lucas.
- Nie jesteśmy twoimi wrogami, Lucas! – woła Irmã Loa.
- A my nie jesteśmy waszym projektem – odpowiada Lucas i wsiada do windy, zanim Helen de Braga zdąży zapytać, o co mu chodziło.

Ostatnia kwadra Ziemi stoi nad Morzem Żyzności. Adriana ustawiła fotel tak, by patrzeć prosto na nią. Ślady kółek w kurzu sugerują obecność ukrytych w ścianach dyskretnych medycznych botów. Jednak teraz Adrianie towarzyszy tylko mały stolik z filiżanką kawy.

- Lucas.
- *Mamãe*.
- Ktoś tu niedawno był – dodaje Adriana. Głos ma wątły i cichy, cień dawnej woli. Lucas słyszy w nim prawdę: choroba jest o wiele bardziej zaawansowana, niż podejrzewa on czy nawet doktor Macaraeg.
- Wagner – mówi Lucas. – Ochrona go widziała.
- Co robił?
- To samo co ty. Patrzył na Ziemię.
Przez profil Adriany przemyka nieznaczny uśmiech.
- Za surowa dla niego byłam. Nic a nic go nie rozumiem, ale nawet się nie starałam zrozumieć. Po prostu denerwował mnie sam jego widok. Nawet nie to, że coś robił, po prostu, że był. Sama jego obecność mówiła mi: „Głupia jesteś, Adriano Corta”. Źle zrobiłam. Postaraj się przywrócić go do rodziny.
- *Mamãe*, ale on nie...
- On tak.
- *Mamãe*, lekarka mi powiedziała...

– No tak, tak, znowu coś trzymałam w tajemnicy. Bo co byś zrobił? Poderwał całą rodzinę? Ściągnął wszystkich Cortów ze wszystkich kwadr? To ostatnia rzecz, jaka jest mi potrzebna: stado Cortów, które stoi poważne i uroczyste i patrzy na mnie wielkimi oczyskami. Fuj. Fuj.

– To przynajmniej Rafa...

– Nie, Lucas. – Adriana wciąż potrafi sięgnąć po rozkazujący ton. – Weź mnie za rękę, na litość boską.

Lucas ściska dłońmi wątył żagielek skóry i zdumiewa się jego suchością i żarem. Ta kobieta umiera. Adriana zamyka oczy.

– Jeszcze parę ostatnich spraw. Helen de Braga odejdzie na emeryturę. Dość już uczyniła dla tej firmy. I chcę, żeby była daleko od nas, dla jej własnego bezpieczeństwa. Ona nie jest tu graczem. Bo o nas się boję, Lucas. Okropny czas, żeby umierać. Nie wiem, co będzie.

– *Mamãe*, ja się zatroszczę o firmę.

– Wszyscy się zatroszczycie. Takie decyzje podjęłam. Nie próbuj ich odkręcać, Lucas. Bo to ja tak wybrałam.

Zaciska pięść wewnątrz dłoni Lucasa. Lucas rozwiera dłoń.

– O ciebie się boję – mówi Adriana. – Proszę, Lucas. Tajemnica tylko dla ciebie. Będiesz wiedział, kiedy z niej skorzystać. W naszych początkach, kiedy wyglądało, że Mackenzie zetrą nas z powierzchni Księżyca, Carlos zamówił broń odwetową. Umieścił trojana w systemach sterowania wytapiaczami Tygła. I on cały czas tam jest, to bardzo cwany kawałek kodu, ukrywa się, maskuje, adaptuje. Jest bardzo prosty i elegancki. Potrafi przestawić lustra energetyczne Tygła. Obrócić je przeciwko niemu samemu.

– Boże drogi.

– Tak. Proszę, Lucas.

Krótką iskierka danych pomiędzy Yemanją i Toquinho.

– Dziękuję, *mamãe*.

– Nie dziękuj. Bo skorzystasz z tego dopiero, kiedy wszystko przepadnie, a rodzina będzie zniszczona.

– Czyli nigdy.

Adriana ze zdumiewającą siłą ściska jego rękę.

– A może chcesz kawy? Esmeralda Geisha Special, z Panamy. Taki kraj w Ameryce Środkowej. Kazałam ją sobie ściągnąć. Na co mam wydawać pieniądze?

– Nigdy nie gustowałam w kawie.

– To szkoda. Teraz się chyba już nie nauczysz. Oj, Lucas, nie widzisz, co ja kombinuję? Siądź ze mną. Puść mi jakąś muzykę. Taki dobry masz gust. Ten chłopak, za którego chciałeś wyjść... świetnie byłoby mieć muzyka w rodzinie.

– Dla niego taka rodzina to było za dużo.

Adriana gładzi Lucasa po wierzchu dłoni.

– Ale dobrze zrobiłeś, że się rozwiodłeś z Amandą Sun. Nigdy mi się nie podobało, że się kręci po Boa Vista. W ogóle mi się nie podobała.

– Ale *nikah* zatwierdziłaś.

Lucas czuje, że jej dłoń podskakuje.

– Zgodziłam się, tak. Sądziłam, że to jest konieczne dla dobra rodziny. A jedyne, co jest konieczne dla rodziny, to sama rodzina.

Lucas nie wie, co powiedzieć, więc każe Toquinho puścić muzykę.

– To jest ten...?

– Jorge. Tak.

Oczy Adriany łagodnieją od łez.

– To chodzi właśnie o takie drobiazgi, wiesz. Kawa. Muzyka. Ukochana sukienka Luny. To, że Rafa mówi mi o wynikach tej swojej drużyny, obojętne, złych czy dobrych. Dźwięk wody za oknem mojej sypialni. Ziemia w pełni. Wagner ma rację, patrząc na nią, można się zatracić. To bardzo niebezpieczne; boisz się patrzeć, bo porwie twój wzrok i przypomni ci o wszystkim, z czego zrezygnowałeś. To jest okropne miejsce, wiesz, Lucas?

Lucas skrywa przed matką wzdrygnięcie urazy. I ponownie chwyta ją za dłoń.

– Ja się boję, Lucas. Boję się śmierci. Ona jest jak zwierzę, brudne, podstępne zwierzę, które ściga mnie przez całe życie. Piękna ta muzyka.

– Puszczę ci jego *Aguas de Marco*.

– Tak, puść.

Adriana otwiera oczy. Odplynęła. Czuje zimny zawrót głowy. To mógł być ten ostatni sen, a tyle jeszcze zostało do powiedzenia. Zimny dygot w sercu już nie ustaje. Lucas siedzi koło niej. Po twarzy domyśla się, że pracuje – Toquinho to wir plików, kontaktów i wiadomości. Muzyka się skończyła. Bardzo dobra była. Umie śpiewać ten chłopak. Poprosiłaby Lucasa, żeby puścił to jeszcze raz, ale nie chce psuć tej chwili – jest przytomna, a on jeszcze nie zauważył.

Przenosi wzrok na Ziemię. Zdrajczyni. Yemanja pokazała jej świetlistą drogę wytyczoną na morzu, z tamtego świata na Księżyc. Poszła nią. To była pułapka. Nie da się wrócić. Tutaj, na suchym morzu, nie ma żadnej świetlistej linii.

– Lucas.

Odrywa się od pracy. Wspaniale uśmiecha. Drobiazgi.

– Przepraszam.

– Za co?

– Że cię tu sprowadziłam.

– Nie sprowadziłaś mnie tu.

– Nie bądź taki dosłowny. Czemu ty zawsze jesteś na „nie”?

– Tam na górze to nie jest mój świat. Tu jest mój świat.

– Świat. Nie dom.

– *Mamãe*, nie masz za co przepraszać.

Adriana sięga po kawę na stoliku, lecz filiżanka jest zimna.

– Każę zrobić nową – mówi Lucas.

– Poproszę.

Terminator na półksiężycowatej Ziemi leci przez Atlantyk; zwój tropikalnego cyklonu pokrywa północ, północny-zachód, prążkowane pasma chmur w tropikalnej strefie konwergencji roztapiają się bezgłośnie w mroku. Zza horyzontu wylania się skrawek zieleni, północno-wschodni czubek Brazylii. Nocna strona planety ma koronkowy wzór ze światła. Ich skupiska i spirale przypominają formacje meteorologiczne. Ci ludzie tam na dole.

– Czy ty wiesz, co się z nimi stało?

– Z kim, Lucas?

– Wiem, że jak tak patrzysz na Ziemię, to myślisz o nich.

– Przegrali, jak wszystko tam na dole. Bo co mogli zrobić?
– Nasz świat nie jest łatwy – mówi Lucas.
– Ich świat też nie. Myślałam o mojej *mãe*. W mieszkaniu, jak śpiewa. A *pai* w swoim salonie samochodowym, pucuje auta. Tak ładnie błyszcząły w słońcu. Widzę Caio. I nikogo innego. Nawet Achi już wyraźnie nie widzę.
– Miałaś odwagę – mówi Lucas. – Żelazna Ręka jest tylko jedna.
– Co za durne przezwisko! – mówi Adriana. – To klątwa, nie imię. Puść mi to jeszcze raz.

Adriana opada w fotel. Otacza ją cichy jak szept głos Jorge i jego zwinna gitara. Lucas patrzy, jak matka wśród słów i akordów odpływa w płytki sen. Wciąż oddycha. *Jest kawa*, mówi Toquinho. Lucas bierze filiżankę od pokojówki, lecz stawiając ją na stoliku, widzi, że matka przestała oddychać.

Bierze ją za rękę.

Toquinho wyświetla parametry życiowe.

Umarła.

Lucas czuje, że oddech więźnie mu w piersi, lecz nie jest to tak straszne, jak sobie wyobrażał; w ogóle nie jest straszne. Yemanja powoli blednie do bieli i zwija się. Półksiężyc Ziemi wisi niezachwianie nad wschodnim horyzontem.

Luna w czerwonej sukience ugania się na bosaka po głazach i osuszonych stawach Boa Vista. Strumienie wyschły, woda nie spływa z oczu i ust dziesięciu *orixas*. Rafa nie potrafi wyjaśnić, dlaczego zakręcił wodę, jednak nie protestował nikt poza Luną. Tylko w ten sposób potrafił wyrazić, że i samo Boa Vista pragnie coś powiedzieć.

Pogrzeb był improwizowany i rozczarowujący. Mowy gości nie były w stanie przyćmić przemówień rodziny; Cortowie nie mają jednak tradycji oratorskiej, więc ich hołdy były może szczerze, lecz mało płynne i z kiepską dramaturgią; Zakon zaś, który jak mało kto zna się na religijnym teatrze, nie miał na pogrzeb wstępu. Wypowiedziano różne słowa, garstka kompostu, czyli tyle węgla, ile LDC było w stanie odżalować dla prywatnej ceremonii, została rozrzucana,

przedstawiciele wysokich rodów udali się z powrotem do tramwaju. Przez całą krótką uroczystość Luna wędrowała sobie beztroska jak woda, zwiedzając nowy, dziwny, suchy świat.

– *Papai!*

– Zostaw go, *oheneba* – mówi Lousika Asamoah. Podobnie jak córka, ma na sobie czerwoną suknię, u Asamoah to kolor żałoby. – Musi dojść do siebie.

Rafa przechodzi po kamieniach ponad suchą rzeką, wchodzi pomiędzy bambusy. Zadziiera głowę, patrzy na otwarte usta, wytrzeszczone oczy *orixas*. Małe stopki wydeptały pomiędzy łodygami ścieżkę. Luna. Zna to miejsce i jego tajemnice lepiej niż on. Lecz teraz to on jest *senhor* Boa Vista. Pomiedzy mieszkańcem jakiegoś miejsca a jego właścicielem jest przepaść jak wszechświat. Rafa przesuwając palcami po długich bambusowych liściach o szorstkich krawędziach. Myślał, że będzie płakał. Myślał, że będzie niepokieszony, że będzie szlochał jak dziecko. Wie, jak łatwo w nim wzbudzić emocje, jak prędko jest do złości, radości czy przyjemności. Twoja matka nie żyje. A jednak czuł coś innego: szok, tak; ten bezsensowny przymus robienia stu rzeczy, ze świadomością, że żadna z nich nie odwróci śmierci. Złość – może trochę; złość, że to się stało tak nagle, że Adriana była chora od dawna, umierająca od czasu przyjęcia z okazji Biegu. Poczucie winy, że wir zdarzeń po próbie zamachu zagłuszył wszelkie sygnały, jakimi być może informowała o swoim stanie. Uraza, że to Lucas był z nią przez ostatnie godziny. Nie jest niepokieszony; nie jest przybity; żadnych łez.

Zatrzymuje się na chwilę w Pawilonie Świętego Sebastiana, którego strumienie są teraz suche; osady zasychają i pękają w sześciokąty. To był jej ulubiony pawilon w Boa Vista. Miała oddzielny do picia herbaty, oddzielny do przyjmowania gości prywatnych, dla gości biznesowych, do przyjmowania krewnych, do czytania, pawilon na wieczór i pawilon na rano, ale ten, na samym wschodnim krańcu głównej komory Boa Vista, służył jej do pracy. Rafie nigdy się te altany nie podobały. Wydają mu się pretensjonalne i głupie. Adriana zbudowała Boa Vista dla siebie, miało być pałacem z jej własnych snów. Teraz należy do Rafe, ale nigdy nie będzie jego własne. Adriana emanuje z wyschniętych stawów i strumyków, z bambusa, z kopuł pawilonów, z twarzy

orixas. Nie jest w stanie tu zmienić choćby kamyczka, choćby listka.

– Woda – szepcze Rafa i słyszy, jak Boa Vista drga, jak woda porusza się w rurach i pompach, tu bulgot, tam ciurkanie, jak leje się z wylotów i zaworów; strumyki łączą się w strumienie, wypełniają się kanały, woda szemrze wokół kamyków, tworzy fale, pianę, wyciąga uschnięte liście; woda zbiera się w oczach i ustach *orixas*; najpierw powoli wzbiera i kapie wielkimi łzami, drgającymi od napięcia powierzchniowego, potem wypada powolnymi wodospadami; strugami i strużkami, wreszcie kaskadami. Póki sam ich nie uciszył, nie uświadamiał sobie, jak ów chlupot i szmer płynącej wody wypełnia to miejsce.

– *Papai!* – wykrzykuje Luna, z podkasaną sukienką, stojąc po łydki w wodzie. – Zimna!

Boa Vista należy teraz do Rafa, lecz Lousika i tak nie chce go z nim dzielić.

– Myślisz, że sprowadzisz się z powrotem? – pyta Rafa.

Lucas kręci głową.

– Za ciasno. Ja lubię mieć dystans. I akustyka jest tu straszna. – Dotknięcie rękawa marynarki od Brioniego. – Na słówko.

Rafa właśnie się zastanawiał, czemu Lucas odszukał go tu na skraju ogrodu, pomiędzy kamieniami do przechodzenia przez strumyki, pomiędzy stawami, ryzykując zamoczenie nogawek od spodni i plamy na butach.

– No dawaj.

– W ostatnich godzinach *mamãe* dużo ze mną rozmawiała.

Szyja i szczęka Rafa tężeją. On jest najstarszy, złoty, jest *hwaejangiem*. To do niego powinny należeć te ostatnie słowa.

– Miała plan dla firmy – mówi Lucas. Szum spadającej wody tłumi jego słowa. – Testament. Stworzyła nowe stanowisko: *choego*. Chciała, żeby objęła je Ariel.

– Ariel.

– Rozmawiałem z nią, ale była nieugięta. Ariel będzie *choego*. Głównym. Głową Corta Hélio. Nade mną i tobą, *irmão*. Nie dyskutuj, niczego nie proponuj. Ja wszystko już zaplanowałem. Z testamentem nic się nie da zrobić. Jest odlany w betonie i zastygnięty.

– Można by powalczyć...

– Mówiłem: nie dyskutuj, nie proponuj. Walka w sądzie to strata czasu i

pieniędzy. Ariel zna sądy na wylot, zwiąże nas na wieki. Nie. Trzeba to zrobić statutowo. Siostra odniosła ciężkie obrażenia wskutek ataku nożem. Ma praktycznie sparaliżowane kończyny dolne. Rekonwalescencja będzie długa, a skutek w żadnym razie nie jest gwarantowany. Statut Corta Hélio zawiera klauzulę o pełni władz fizycznych i umysłowych. Ta klauzula pozwala odsunąć od stanowiska członka zarządu w przypadku choroby lub urazu, który nie pozwala im w pełni wypełniać obowiązków.

– Ty sugerujesz...

– Tak, dokładnie. Dla dobra firmy, Rafa. Ariel jest nadzwyczajnie kompetentną prawniczką, ale o wydobyciu helu nie ma zielonego pojęcia. To nie byłby przewrót w zarządzie. Po prostu tymczasowe zawieszenie jej prerogatyw zarządczych.

– Tymczasowe do kiedy?

– Dopóki nie zdołamy zrestrukturyzować firmy zgodnie z tym, czego wymaga, a nie z kaprysami naszej matki. Rafa, ona była już bardzo chora.

– Lucas, zamknij się, kurwa.

Lucas cofa się, unosi dłonie przepaszająco.

– Oczywiście. Przepraszam. Ale jedno ci powiem: nasza matka też by nie spełniła własnej klauzuli o pełni władz fizycznych i umysłowych.

– Nie, Lucas. Daj, kurwa, spokój.

– Potrzebne nam tylko dwa zaświadczenia lekarskie. Już je mam. Jedno z ośrodka medycznego w João de Deus, drugie od naszej własnej doktor Macaraeg, która bardzo się ucieszyła, słysząc, że dalej będzie naszym lekarzem rodzinnym. Dwa zaświadczenia i większość głosów. – Lucas woła ponad kroplami wody. – Się zastanów i daj znać!

Luna przebiega przez strumień, rozchlapując wodę, wzbijając w powietrze srebrzyste, powoli opadające strugi. Łapią światło paneli i rozszczepiają je – dziecko w tęczowych koronach.

Drzwi tramwaju zamykają się, otwierają. Wychyła się Ariel.

– To jak, jedziesz?

Poza Mariną na peronie nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, ona jednak i tak marszczy się i bezgłośnie rusza ustami:

– Ja?

– No ty, kto niby?

– Formalnie mój kontrakt się skończył...

– Tak, tak: nie pracowałaś dla mnie, pracowałaś dla mojej matki. No to teraz pracuj dla mnie.

Hetty gra melodyjkę. Nowa poczta. Kontrakt.

– No chodź. Spierdałamy z tego mauzoleum. Jest ślub do urzędu.

JEDENAŚCIE

Południk uwielbia śluby, a żaden ślub nie będzie bardziej wystawny niż ślub Lucasinha Corty i Denny'ego Mackenziego. Księżycowy Orzeł udostępnił na imprezę swoje ogrody: drzewka przystrojono kokardkami, biolampkami, mrugającymi gwiazdkami. Bergamotki, kumkwaty, karłowate pomarańcze pomalowano na srebrno. Pomiedzy gałęziami powieszono papierowe lampiony. Ścieżkę wysypie się płatkami róż. AKA przywiozło sto białych gołębi, żeby je spektakularnie, z łopotem, wypuścić. Są zaprogramowane, by żyć do dwudziestu czterech godzin. Prawa dotyczące szkodników są bardzo surowe.

Kontrakty będą podpisywane w Pomarańczowym Pawilonie. Za szczęśliwą dwójką nowo zaślubionych chłopców wysoko na niebie Placu Antaresa zatańczy skrzydlaty balet fruwaczy, kreślący ideogramy przyczepionymi do kostek serpentynami. Mieszkańcy Placu Antaresa mogą zgłaszać się do Orła po drobne dofinansowanie na przystrojenie budynków. Z balkonów zwisają proporce, nad kładkami zwieszają się girlandy serpentyn, mostki ociekają sznurami świateł, jak na Święto Diwali. W przestrzeni powietrznej placu poruszają się balony w kształcie nietoperzy z komiksów *manhua*, motyli i kaczek. Cena miejsca na balkonach z najlepszym widokiem dochodzi do sześciuset bitsów. Najlepsze punkty na galeryjkach i kładkach dawno zarezerwowano. Wyłączne prawa do zdjęć dostał po zacieklej licytacji Gupshup, ale warunki kontraktu są bardzo ostre. Drony mają zachowywać przyzwoity dystans, nie dopuszcza się też bezpośrednich wywiadów z oboma *oko*.

Czterystu gości obsługiwać będzie dwadzieścia osób personelu cateringowego

i osiemdziesiąt kelnerskiego. Uwzględnione zostaną wszystkie diety kulturowe, religijne i wszelkie możliwe nietolerancje. Będzie podawane mięso. Krąży żart, że Lucasinho sam zrobił weselny tort, w swoim niepowtarzalnym stylu. To nieprawda: najdłuższą tradycję w tortach dla *oko* i w ogóle księżycowych tortach ma cukiernia Ker Wa. Kent Narasimha z baru Pełnia w południkowym Holiday Inn stworzył na tę okazję specjalny koktajl. Nazwał go Chłopięcy Pąs. Składa się z designerskiego, specjalnie wydestylowanego dżinu, pianek, kostek galaretki, które się rozpuszczają, uwalniając spirale koloru i smaku, oraz płatków złota. Bezalkoholowe koktajle i ziołowe wody dla tych, co nie piją alkoholu.

Prześwietlanie wszystkiego przez ochronę zaczęło się tydzień temu. Działy bezpieczeństwa Cortów i Mackenziech współpracują na bezprecedensową skalę. Ogrody Jonathona Kayode'a przeskanowano co do pyłku kurzu i płatka złuszczonego naskórka.

Trzy dni do ślubu roku! W co ubiorą się chłopcy? Oto rozkładówki z ostatnimi strojami Lucasinha. Bogaty student. Tweed i brązowe spodnie na biegowej imprezie. Dwa tygodnie w roli ikony mody, kiedy wszyscy ubierali się w ocieplacze do skafandrów i mazali po nich mazakami. Osiemdziesiąte urodziny babki; jej pogrzeb, jakże smutny i jakże szybko. Powrót na scenę mody – kto mu robi makijaż? Ma ogromny wpływ na ten sezon. Uważajcie, chłopaki! Wszyscy będziecie tak się malować. Denny Mackenzie – a kogo to obchodzi? Jakiś Mackenzie miał kiedyś styl? No ale kto będzie projektował garnitury? Tego nie można zostawić chowańcom. Wszyscy uwielbiamy te projektanckie AI – Loyale, San Damiano, Boy de la Boy, Bruce and Bragg, Cenerentola. Kto zgarnie kontrakt? A na kosmetyki...

Dwa dni do ślubu roku! Wiecie, co sprawia, że Smoki są o tyle lepsze od nas wszystkich? Klasa. Cortowie w czasie przygotowań do ślubu pokazali klasę, że szok. Niecały miesiąc od potwornego zamachu na Ariel Cortę, a ona nie tylko chodzi na mechanicznych nogach, ale jeszcze w szpitalnym łóżku przygotowywała *nikah*! W dodatku zaledwie dwa tygodnie temu całym Księżycem wstrząsnęła i zalała go smutkiem wieść o śmierci Adriany Corty. Ale czy można lepiej niż oni pokazać niezłomność? Wystroić się w garnitur, w suknię, upiększyć – ślub roku! Po tym widać klasę.

Do ślubu roku został jeden dzień. Teraz o twojej pozycji społecznej mówi jedno: jesteś na liście gości czy nie jesteś. Nikt oczywiście nie chce powiedzieć, ale Gupship przywołał parę przysług, tu i ówdzie zagroził, jeszcze gdzie indziej nacisnął, rozdał tonami buziaki i kotki-miniaturki i – proszę państwa, tylko my wam powiemy, kto jest na liście gości, a kto nie jest! Przygotujcie się na szok!

Dzień ślubu roku. Zaczyna się od drobnej przepychanki. Tropiciele gwiazd, którzy porezerwowali sobie najlepsze punkty obserwacyjne, kontra dmuchane nietoperze, motyle i dobre wróżby. O umówionej porze mieszkańcy placu Antaresa jednocześnie spuszczaają proporce z balustrad swoich balkonów i dają im powoli opaść, tworząc jeden nieprzerwany arras pełen symboli szczęścia i najlepszych życzeń. Ochrona zajmuje pozycje, gdy windami nadciągają pierwsi goście. Skanowane są zaproszenia, goście kierowani są do recepcji, gdzie witają ich specjalnie skomponowane przez bar Pełnia drinki Chłopięcy Pąs. Jonathon Kayode i Adrian Mackenzie wspaniale robią za wodzirejów. Latające kamery roją się i kłębią w przepisowej odległości, walczą o zbliżenia sław. Pół godziny przed podpisaniem kontraktu goście zostaną wprowadzeni do Pomarańczowego Pawilonu. Choreografia jest subtelna, acz precyzyjna, a przypisanie miejsc rygorystycznie przestrzegane. Asysta rzuca w powietrze fontanny różanych płatków Dwadzieścia minut. Przybywają rodziny: Duncan Mackenzie, jego *oko* Anastazja i Apollonaire Woroncowa. Córka Tara, jej *oko*, ich niesforni synowie i córki. Bryce Mackenzie, człapiący z determinacją o dwóch kulach, w towarzystwie tuzina adoptowanych. Hadley Mackenzie, wyprostowany i bardzo przystojny. Robert Mackenzie nie jest w stanie opuścić Tygła, ale przesyła przeprosiny i życzenia dla młodej pary, z nadzieją na pokojowy sojusz pomiędzy dwoma wielkimi domami. Reprezentuje go Jade Sun-Mackenzie.

Cortowie: Rafa i Lousika, Robson i Luna. Lucas – sam. Ariel i ta jej nowa *escolta*, która zajmuje miejsce wśród rodziny, od czego pomiędzy gośćmi przechodzi szmer. Carlinhos, na którym pięknie leży garnitur. Wagner i jego *oko* Analiese Mackenzie, jakby podenerwowany; jego towarzysze ze stada – trzydziestu, w ciemnych barwach, sami jak orszak ślubny, groźni, jak przyprawa zaostrzająca smak przesłodzonego srebrnokokardkowego ogrodu.

Zajmują miejsca, mały zespół gra *Blooming Flowers and Full Moon Night*.

Teraz do ślubu roku potrzebni są już tylko dwaj panowie młodzi.

Lucasinho słyszał, że mężczyzna powinien się rozbierać od dołu, a zatem ubieranie powinno mieć odwrotną kolejność. Koszula, świeżo z drukarki. Srebrne spinki. Złoto jest chamskie. Krawat – gołębioszary, w falki, zawiązany na misterny węzeł Eldredge’a o pięciu zwojach. Jinji mu go pokazał, codziennie przez godzinę ćwiczył wiązanie. Bielizna – pajęczny jedwab. Czemu nie robią z tego wszystkich ubrań? Bo ludzie nic by nie robili, tylko zachwycali się dotykiem. Skarpety tak samo, do pół łydki. Nie może być widać kostki, to śmiertelny grzech. Teraz spodnie. Lucasinho deliberował nad nimi całymi dniami, w końcu decydując się na Boy de la Boy. Odrzucił pięć innych projektów. Materiał jest szary, o ton ciemniejszy od krawata, z ledwie widocznym kwiatowym adamaszkowym wzorem. Krój – bez mankietów, ostre kanty, dwie zaszewki. Dwie zaszewki to jest teraz nowy trend. W ogóle wszystkiego po dwa, to jest trend – w marynarce dwa guziki z przodu, dwa guziki na rękawach, podcięcie z przodu. Czterocentymetrowe klapy zaczynające się u samej góry. Małeńka butonierka. Poszetka złożona tak, by wystawały dwa trójkątne rogi. Złożona w kwadrat już lunę temu była niemodna. Fedora z wąskim rondem, dwucentymetrową jedwabną wstążką i kokardą – będzie trzymać ją w ręku, nie na głowie. Nie chce, żeby psuła mu fryzurę.

– Pokaż.

Jinji pokazuje mu siebie samego, widzianego z hotelowych kamer. Odwraca się, pręży, wydyma usta.

– Jaki ja jestem zajebisty.

Przed fryzurą makijaż. Lucasinho zakrywa kołnierz ręcznikiem, siada przy stoliku, każe Jinjiemu zrobić zbliżenie na twarz. Neseser z kosmetykami też jest na zamówienie, z Coterie. Rozkoszuje się rytmem tego rytuału, nakładaniem kolejnych warstw, doskonaleniem, cieniowaniem, retuszem i niuanssem. Mruga obrysowanymi blendą oczyma.

– O, tak. Tak.

Teraz, przy tym samym stole, włosy. Lucasinho starannie stawia je do góry, wzmacnia zaczesywaniem do tyłu oraz nanosząc w strategicznych miejscach lakier, piankę, żel, cement do włosów. Potrząsa głową. Fryzura porusza się jak żywa istota.

– Sam bym za siebie wyszedł.

Ostatnia rzecz. Po kolei zakłada wszystkie kolczyki. Ostatnie spojrzenie przez Jinjiego. Lucasinho Corta bierze głęboki wdech i wychodzi z Home Inn przy placu Antaresa.

Czekające *moto* otwiera się, by go przyjąć. Na polecenie Jinjiego wbija się w ruch na Hang Yin Plaza. Hotel jest w samym centrum, od Orlego Gniazda dzieli go tylko jazda windą. Nic nie pozostawiono przypadkowi. Ludzie na placu oglądają się, wytrzeszczają oczy, rozpoznają go. Niektórzy kiwają głową lub machają rękami. Lucasinho poprawia krawat i zadziera głowę. Przestrzeń nad placem to istna kaskada kolorowych proporców, balony *manhua* falują i poszturchują się nawzajem. Na kładkach aż kłębi się od ludzi, słyszy, jak ich głosy niosą się echem w dół placu Antaresa.

Bo tam na górze odbywa się ślub roku. Po drugiej stronie placu, naprzeciwko drzwi Home Inn jest sklep AKA, ekskluzywny przybytek dla rekreacyjnych kucharzy. Lucasinho wysiada i idzie ku niemu. Ruch opływa go samoorganizującymi się falami rozchodzącymi się od placu gwiazdziście w pięć prospektów. W witrynie tace z jaskrawymi warzywami, wyeksponowana lodówka z mięsem, w niej glazurowane kaczkę i drobiowe wędliny; ryby i żaby na lodzie; w głębi zamrażarki pojemniki z fasolami i soczewicami, bukiety sałat pod odświeżającą wodną mgiełką. Za ladą siedzą dwie kobiety w średnim wieku, kołyszają się we współdzielonej wesołości. Obie mają typowych dla Asamoah *adinkrowych* chowańców: gęś Sankary, gwiazdka Ananse Ntontan.

Ich śmiech cichnie, gdy do sklepu wchodzi Lucasinho.

– Jestem Lucas Corta junior – przedstawia się.

Wiedzą to. Towarzyskie kanały od tygodnia mało co pokazują poza jego twarzą.

Robią wystraszone miny. Lucasinho kładzie kapelusz na kontuarze. Wyciąga z lewego ucha metalowy kolec, kładzie obok kapelusza.

– Proszę to przekazać Abenie Maanu Asamoah. Będzie wiedzieć, co to znaczy. Proszę Złoty Stolec o azyl.

Jesteśmy jak Ziemia i Księżyc, myśli Lucas Corta. Bryce Mackenzie to ciężka planeta, a ja – mały, zwinny satelita. Porównanie sprawia mu przyjemność. Kolejna drobna przyjemność – to ten sam hotel, z którego uciekł Lucasinho. Dwa drobne uśmiechy. I to będzie cała przyjemność z tego spotkania.

Bryce Mackenzie człapie ku sofie, kula, stopa, druga kula, druga stopa, jak jakaś starożytna, czworonożna machina górnicza. Lucas ledwie może na to patrzeć. Jak on w ogóle może na siebie patrzeć? Jak mogą patrzeć na niego liczni *amors* i adoptowañcy?

– Drinka?

Bryce Mackenzie opada ze stęknieniem na sofę.

– Rozumiem, że nie. Pozwolisz, że ja się napiję? Obsługa Holiday Inn ma płacone za godziny, a znasz mnie. Lubię z każdej sytuacji wydobyć maksimum wartości. A te Chłopięce Pąsy robią całkiem niezłe.

– Twoja wesołość jest nie na miejscu – mówi Bryce Mackenzie. – Gdzie chłopak?

– Lucasinho powinien właśnie docierać do Twé.

Goście, rodziny, wreszcie sam celebrans. Jego rola sprowadza się do świadka przy podpisywaniu *nikah*, Jonathon Kayode jednak postanowił odegrać ją z całym majestatem Księżycowego Orła. Gdy Ariel zaproponowała, żeby to on przewodniczył, udał zaskoczenie, wręcz kokieteryjnie. „Nie, ależ, nie powinienem, ale, no... cóż, no dobrze”.

Przystroił się w galową *agbadę*, zdobioną złotymi insygniami, specjalnie zamówionymi na tę okazję.

– On ma koturny? – szepnął Rafa do Lucasa.

Raz zauważone przesłoniły wszystko. Bez butów na gigantycznych

platformach Orzeł byłby o głowę niższy od pary, której udziela ślubu. Rafa ugotował się własnym żartem. Zamknął oczy, zacisnął usta, lecz i tak trząsł się od tłumionego śmiechu.

– Przestań – syknął Lucas. – Zaraz muszę tam pójść i przekazać mu młodego. – To jednak zaraźliwe. Nie można się oprzeć. Lucas stłumił cichy chichot i dyskretnie otarł łzy z oczu.

Orkiestra uderzyła w *The Blooming of Rainy Night Flowers*. Bryce Mackenzie wstał i zajął pozycję przy Pomarańczowym Pawilonie. Odwróciły się wszystkie głowy. Denny Mackenzie przeszedł usłaną płatkami róż ścieżką. Szedł niezdarne, nieśmiało, niepewnie. Nie wiedział, co ma zrobić z rękami. Bryce Mackenzie promieniał. Jonathon Kayode wzniósł ręce jak kapłan.

– Czas start – szepnął Rafa do brata.

Wtem chowaniec każdego z Cortów jednocześnie szepnął: *Dzwoni Lucasinho*.

Po trzydziestu sekundach serwis plotkarski Gupshup rozesłał wieść po całym Księżycu. „Lucasinho Corta, zbiegły pan młody”.

– Byłeś w kontakcie ze swoim synem? – pyta Bryce Mackenzie.

– Nie miałem z nim kontaktu.

– Cieszę się niezmiernie. Miałem wrażenie, że działaliście w zмовie.

– Nie gadaj bzdur.

Bryce Mackenzie kręci głową na boki w tiku zdradzającym irytację.

– Pytanie brzmi: jak będzie wyglądać rekompensata za szkody?

– To są jakieś szkody?

Kolejny tik: rozszerzenie nozdrzy, słyszalne sapnięcie.

– Straty wizerunkowe mojej rodziny, szkoda dla reputacji Mackenzie Metals, pokrycie kosztów procesu, który wytoczy nam Gupshup.

– No i napoje też chyba niemało wyniosły – mówi Lucas.

Spotykał się z Brycem dwa razy, za każdym razem na towarzyskim gruncie, nigdy w biznesie, ale jego trick, jego *malandragem* ma już rozpracowaną. To onieśmielanie posturą, nie mięśniami, ale samą masą. Bryce Mackenzie dominuje nad każdą salą, jak źródło grawitacji; jedno potknięcie i przegrywasz. Wiem, na czym polega twój numer, myśli Lucas. Ale ty jesteś Ziemią, a ja Księżycem. Aż w głowie mu się kręci od własnego potencjału. Wszystko jest już

jasne, jasne jak nigdy.

– Niepoważne – mówi Bryce. Poci się. Wielki spocony facet.

– Grożenia sądem nie przestraszy się ani twoja, ani moja rodzina. Co proponujesz?

– Drugi termin ślubu. Dzielimy się kosztami. Możesz dać mi gwarancję, że twój syn tym razem się pojawi?

– Żadnej gwarancji nie daję – mówi Lucas. – Nie mogę się wypowiadać w imieniu syna.

– Jesteś jego ojcem czy nie jesteś?

– Jak powiedziałem, nie mogę się wypowiadać w imieniu Lucasinha. Ale całym sercem popieram jego decyzję – mówi Lucas. – A od siebie jeszcze dodam: pierdol się, Bryce.

Trzeci tik: zagryzienie górnej wargi. Tamte to było rozdrażnienie. Teraz to furia.

– Świetnie.

Noże Bryce'a wchodzą z foyer i pomagają mu wstać z kanapy, stawiają go na kulach i zadziwiająco zgrabnych stopach. Przechodzi, stuk-puk, obok Lucasa. Jest i trzecia przyjemność, uświadamia sobie, drobna, wredna, ale rozkoszna: narazić Bryce'a Mackenziego na niedogodności.

W drzwiach Bryce odwraca się jeszcze, unosi palec, z przegubu dynda zawieszona na pętli kula.

– A, zaraz. Jeszcze jedna sprawa. – Robi krok naprzód i policzkuje Lucasa.

Nie ma w tym zbyt wiele siły, Lucas zatacza się zszokowany, widząc bezczelność, patrząc na implikacje.

– Podaj sekundantów i zaszczytnika, jeśli chcesz mieć zastępstwo. O miejscu i czasie zdecyduje sąd. Mackenzie żądają zapłaty krwią.

Wokół Abeny Maanu Asamoah jeden po drugim ukazują się chowańce Kotoko. Zapiera jej dech. Nie spodziewała się aż takiego wrażenia. *Adinkry* jarzą się na soczewce, co sekundę pojawia się kolejny. Otacza ją pierścień świetlistych

aforyzmów. Abena z szacunkiem przygotowała swój pokój. Członkowie rady mogą być ludźmi, których spotyka się w tunelach, w farmach rurowych, na ulicach, na osiedlach, lecz Kotoko to coś więcej niż jego elementy. To ciągłość i zmiana, rodzina i różnorodność, *abusua* i korporacja. Każdy może się poradzić Kotoko, w domyśle zawsze jest jednak pytanie: dlaczego tego potrzebujesz? Pochowała nieliczne szpargały, poskładała meble, poustawiała biolampki, czarną, czerwoną i białą w trójkąt na podłodze, żeby stanąć pośrodku niego. Wykąpała się.

Ostatni pojawia się Sunsum, chowaniec Omahene. Abena wzdyga się. Wywołała potężne siły.

– Abena – mówi Adofo Mensa Asamoah. Chowańce mówią głosami swoich klientów. – Co słysząc? Pozdrowienia ze Złotego Stolca.

– Yaa Doku Nana – odpowiada Abena.

– Ooo, posprzątałaś, jak ładnie – mówi Akosua Dedei z Farside.

– Ładny klimat dają te lampki – dodaje Kofi Anto z Twé.

– No dobrze, to o co potrzebujesz nas pytać i dlaczego? – dopowiada Kwamina Manu z Mampongu. Niejawne pytanie.

– Złożyłam obietnicę – mówi Abena, palcami machinalnie skręcając naszyjnik z Gye Nyame. – I teraz muszę jej dotrzymać, choć nie wiem, czy miałam w ogóle prawo cokolwiek obiecać.

– Chodzi o Lucasinha Cortę – mówi chowaniec, którego Abena kojarzy z Lousiką Asamoah.

– Tak. Wiem, że jesteśmy dłużnikami Cortów za Kojo na Biegu Księżycowym, ale co, jeśli Mackenzie zwróci się przeciwko nam, tak jak przeciwko Cortom?

– Poprosił o azyl – odzywa się Abła Kande z agrarium Cyrillus.

– Ale czy mogłam mu go zaoferować?

– Co by sobie Księżyc o nas pomyślał, gdyby się okazało, że nie dotrzymujemy obietnic? – mówi Adofo Mensa.

Głosy pierścienia chowańców wokół szepczą chórem: *Fawodhodie ene obre na enam*. Niezależność to odpowiedzialność.

– Ale Mackenzie... no wiecie, nie jesteśmy największą z rodzin, ani najbogatszą, ani najpotężniejszą.

– Pozwól, że coś ci opowiem. – Omahene Adofu. – To prawda. AKA nie jest ani najbogatszym, ani najstarszym z Pięciu Smoków. Niczego nie eksportujemy, nie zapalamy świateł na Ziemi jak Cortowie, nie żyjemy ziemskiego przemysłu jak Mackenzie. Nie jesteśmy przemysłowcami ani gigantami informatyki. Kiedy przylatywaliśmy na Księżyc, nie mieliśmy politycznego poparcia jak Sunowie, majątku jak Mackenzie ani dostępu do transportu jak Woroncowowie. Nie byliśmy z Azji, nie byliśmy z Zachodu. Byliśmy z Ghany. Ghańczycy lecą na Księżyc! Co za absurd! Księżyc jest dla białych i Chińczyków. Ale Efua Mensah miała wizję, dostrzegła możliwości, pracowała, walczyła i wyklócała się – i jesteśmy. A wiesz, co zobaczyła w tej wizji?

– Być może wzbogacisz się, kopiąc ziemię łopata. Na pewno się wzbogacisz, sprzedając łopaty – odpowiada Abena.

Każde dziecko uczy się przysłówia, gdy tylko dostanie gniazdko, soczewkę i chowańca. Zawsze uważała to za nudne i pocziwe przysłowie, mądrość ludowa starych ludzi. Sklepiarze i ogrodnicy, nie gwiazdorzy jak Cortowie, nie Mackenzie z ich przystojnymi luniarzami, nie Woroncowowie, co mają świetne zabawki.

– Drogo zapłaciliśmy za naszą niezależność – mówi Adofu. Jej chowańca tworzą Syjamskie Krokodyle i Ese Ne Tekrema, *adinkry* jedności i współzależności. – Nie oddamy jej. Nie damy się zastraszyć Mackenzie.

– Czy komukolwiek – dodaje Kwamina Manu.

– Czy jesteś zadowolona z odpowiedzi? – pyta Omahene Adofu.

Abena pochyla głowę i łączy palce w przyjętym na Księżycu geście.

Chowańce Kotoko jeden po drugim mrugają i gasną. Ostatnia zostaje Lousika Kande Asamoah-Corta.

– Nie jesteś, prawda?

– Co nie jestem?

– Zadowolona z odpowiedzi.

– Jestem, tylko że...

– Co? Nie pocieszyła cię odpowiedź?

– Boję się, że naraziłam rodzinę na niebezpieczeństwo.

– Ile ludzi mieszka na Księżycu?

- Co? Półtora miliona mniej więcej.
- Milion siedemset. Wygląda, że to dużo, ale nie na tyle dużo, żeby się nie obawiać o pulę genową.
- Chów wsobny, akumulacja mutacji, dryf genetyczny. I silne promieniowanie tła. Przerabiałam to w szkole.
- I każdy z nas ma inny mechanizm, żeby sobie z tym radzić. My dopracowaliśmy system *abusua* i wszystkie te zasady, z kim możesz uprawiać seks, a z kim nie. Ty jesteś co?
- *Bretuo. Aseni, Oyoko* i oczywiście moją własną *abusua*.
- Sunowie żenią się z kim popadnie, połowa Księżyca ma geny Sunów. Cortowie mają swój dziwny system *madrinhi*, ale to wszystko są sposoby, żeby pula genowa była otwarta i czysta. Ale Mackenzie to co innego. Zamykają rodzinę, trzymają w garści, boją się rozcieńczenia linii genetycznej, zatracenia tożsamości. Żenią się między sobą i krzyżują. Jak myślisz, skąd mają tyle piegów? Ale to jest ryzykowne, bardzo ryzykowne, więc muszą pilnować, żeby dzieci rodziły się zdrowe. A do inżynierii genetycznej biorą nas. Od trzydziestu lat. To nasza tajemnica, ale to dzięki temu Mackenzie nam nie zagrażają. Boją się dwugłowego dziecka.
- Abena szepcze modlitwę do Jezusa.
- Asamoah dzierżą sekrety wszystkich rodów. Ale Lucasinha pilnuj, wiesz. Mackenzie nas nie ważą się tknąć, ale noże mają długie i urazy długo pamiętają.

Zabbalini ostrożnie podnoszą i zbierają zdechłe gołębie zaśmiecające ogród Jonathona Kayode'a. Moment wypuszczenia był sterowany zegarem: klatki otworzyły się wszystkie jednocześnie, gołębie wyfrunęły, łopocząc ponad głowami rozchodzących się gości. Ariel ostrożnie, pomrukując silniczkami, stąpa pomiędzy gnijącymi płatkami róż. Nie dowierza swoim mechanicznym nogom na tym śliskim szlamie. Tak jak matka, brzydzi się materii organicznej. Wszystko co organiczne tak szybko parszywieje.

Jonathon Kayode przyjmuje ją w swoim mieszkaniu z widokiem na ogród.

Drzewka cytrusowe wciąż przystrajają wstążki i posrebrzone owoce, na trawnikach wciąż walają się resztki jedzenia. Boty są pracowite, ale czterystu gości sporo potrafi po sobie zostawić.

– No tak, straszny bałagan – mówi Jonathon Kayode, witając się z Ariel.

– My wynajmujemy ludzi, żeby po nas sprząkali – mówi Ariel.

– Nie miałem okazji wspomnieć o tym podczas „wydarzenia”, ale cieszę się bardzo, widząc cię na chodzie. I bardzo ci pasuje ta dłuższa spódnica. Byłem już w paru miejscach. Ślub roku się nie udał, ale ciotka pana młodego wylansowała nową modę. A jak tam chłopak?

– Asamoah udzielili mu azylu.

– Zawsze byliście tak blisko z nimi. Cortowie i Asamoah.

– Jonathon, chcę, żebyś do tego nie dopuścił.

Kręci głową, dotyka palcem czoła.

– Ariel, wiesz równie dobrze jak ja, że...

– Jeśli LDC chce, żeby coś się wydarzyło, albo nie wydarzyło, LDC ma swoje sposoby.

Siadają po przeciwnych stronach niskiego stolika. Bot przynosi dwa Chłopięce Pąsy.

– Wiesz, naprawdę w nich zasmakowałem – mówi Orzeł.

Ariel nie ma teraz na nic smaku. Orzeł próbuje drinka. Siorbie hałaśliwie.

– W Sądzie Claviusa od dwóch lat nie było sprawy, która rozstrzygałaby się w pojedynku – mówi Ariel.

– Niezupełnie. – Kayode odstawia szklankę. – Alayoum kontra Filmus.

– Nigdy nie doszłoby do walki. Dobrze o tym wiedziałam. *Malandragem*. Mój sposób na wygrywanie. Te dwie sprawy są zupełnie inne. Tam, to był rozwód, a tu, jak w średniowieczu, wyzwanie, satysfakcja, honor.

– No, Bryce Mackenzie trochę twojemu bratu przywalił.

– Jonathon, możesz to jeszcze odwołać – mówi Ariel.

– Na pewno niczego się nie napijesz? – pyta Księżycowy Orzeł, unosząc szklankę. Nad jej brzegiem zagląda Ariel w oczy. Przeskakuje wzrokiem na koniec salonu, raz, drugi, trzeci.

Ariel wytrzeszcza oczy.

– Oj, dla mnie to jest jeszcze za wcześnie. – W środowisku prawniczym chodził dyżurny żart, że Adrian Mackenzie wiąże Księżycowego Orła jak baleron w stylu *shibari*. Poważnie.

„Chcą krwi”, mówi Jonathon samymi ustami.

– Kto reprezentuje Lucasa?

– Carlinhos.

Rozdziawia usta wstrząśnięty. Twój oko nie powiedział ci, że żądają krwi z serca?

– Oni mianowali zaszczytnikiem Hadleya Mackenziego. Musieliśmy dać kogoś o podobnym statusie.

Nie daje Orłu odwrócić wzroku. Możesz to przerwać, uratować dwóch młodych ludzi.

– Jonathon?

– Ariel, ja nie mogę ci pomóc. Ja nie stanowią prawa.

– Wygląda na to, że tworzy się nowa rodzinna tradycja: pierdol się, Jonathon. – Ariel każe nogom wstać. Unosi torebkę. Podnosi głos do sądowego poziomu, by dotarł do przeciwległej ściany salonu. – I ty, Adrian, też się pierdol. Mam nadzieję, że mój brat pokroi twojego na plasterki.

Wrócił na czas walki do Boa Vista. Ja bym nie była w stanie, myśli Ariel. Nawet w najgorszych chwilach, kiedy czuła się, jakby ktoś ją rozpruł, sięgnął do środka i zbezczescił, kiedy bała się, że jej zgrabne nogi już nigdy jej nie uniosą, kiedy przy każdym zamknięciu oczu widziała nóż, nie pozwalała matce, by przeniosła ją do Boa Vista. Ty też widzisz ten nóż, Carlinhos. Wiem. Cały czas. U mnie był z tyłu, u ciebie jest przed tobą. Mnie by paraliżował strach.

Leży na brzuchu w Pawilonie Nossa Senhora da Rocha. Piana z kaskady Oxuma zbiera się na krawędzi kopuły i skapuje z niej. Masażysta obrabia mu ciało, wbija palce głęboko we włókna mięśni. Carlinhos stęka, odgłosy, jakie wydaje, przypominają seksualne jęki. Ariel czuje obrzydzenie na samą myśl, że inna osoba może tak intymnie dotykać czyjegoś ciała. Jej ciała też ktoś dotknął,

jeszcze intymniej niż w masażu czy seksie.

Carlinhos odwraca głowę, uśmiecha się szeroko do siostry.

– *Ola.*

– Tym razem, Carlo, nie okazałam się złotousta.

Twarz Carlinhosa błyskawicznie smutnieje. Krzywi się przy kolejnej energicznej akcji masażysty. Piękny jesteś, myśli Ariel, tak, że ogarnia mnie zimne przerażenie na samą myśl o nożach przecinających to idealne ciało.

– Przykro mi.

– Nie ma za co, to nie twoja wina – odpowiada Carlinhos.

– Mogę jeszcze spróbować... nie, już nic nie mogę. Słowami nic się nie załatwi. Będą mieli swój pojedynek.

– Wiem.

Ariel całuje brata w kark.

– Zabij go, Carlo. Zabij go powoli, żeby bardzo cierpiał. Na oczach ich wszystkich, tak, żeby zobaczyli, jak się wykrwawia i razem z nim ginie wszystko, co chcieli nam zrobić. Zabij go dla mnie.

– A ja mogę pójść? Mogę?

– Nie! – grzmi Rafa.

Robson płacze mu się pod nogami.

– Chcę kibicować Carlinhosowi.

– Nie – powtarza Rafa.

– Dlaczego? Ty idziesz. Wszyscy idą.

– To nie jest piłka ręczna. To nie jest gra. Tu się nie kibicuje. Idziemy, żeby Carlinhos nie walczył samotnie. Wcale nie chcę iść. I nie chcę, żeby on siedł. Ale muszę. A ty nie musisz. I nie pójdziesz.

Robson przestępuje z nogi na nogę. Marszczy czoło.

– No to chcę się z nim teraz zobaczyć.

Rafa wzdycha z rezygnacją.

– No dobra.

Sala gimnastyczna jest najmniej używaną komorą Boa Vista. Boty oczyściły ją z wieloletniego kurzu, podgrzały, bo oziębła się do temperatury skały macierzystej. Carlinhos zawiesił na wstążkach ceramiczne dzwonki. Siedem dzwonów. W spodenkach do walki zadaje pozorowane ciosy, robi uniki, tnie i wiruje w piruetach.

– *Irmão*.

Carlinhos podchodzi, dysząc, do balustrady. Odkłada na nią nóż, podbródek opiera na złożonych rękach.

– Cześć, Robson.

– *Tio!*

– I co, zadzwonił ci któryś? – Rafa pokazuje brodą dzwonki.

– Mnie nigdy żaden nie dzwoni – odpowiada Carlinhos.

Ruch, tak szybki i niespodziewany, że nie reaguje. Robson przyciska czubek noża do miękkiej skóry pod jego prawym uchem.

– Robson...

– Hadley Mackenzie mnie nauczył. Jeśli bierzesz czyjś nóż, musisz go użyć przeciwko niemu. Nigdy nie wypuszczaj noża.

Carlinhos jednym płynnym jak woda ruchem jednocześnie usuwa się spod noża i wykręca Robsonowi nadgarstek, na tyle mocno, żeby zapamiętał ból. Podnosi upuszczony nóż.

– Dziękuję, Robson. Będę na to uważał.

Wszystkie dzwonki delikatnie podzwaniają. Kolejne drobne trzęsienie.

Carlinhos wychodzi z łazienki, wytrzeszczając oczy.

– Jacuzzi. Nawet w Boa Vista nie miałem jacuzzi.

– Chociaż tyle mogę zrobić, Carlo.

Przygotowania Kwatery Carlinhosa sprawiły Lucasowi nieoczekiwaną trudność. Niedoszły ślub wciąż psuje klimat. Gdyby wyciekły informacje o pojedynku dwóch wrogich Smoków, sieci plotkarskich nie powstrzymałoby nawet zagrożenie sądem przez Cortów i Mackenziech. Walczą przystojni chłopcy,

prawie rozebrani. To jeszcze lepiej niż ślub dwóch przystojnych chłopaków. Ekskluzywny apartament przy placu Orionu wynajęła kaskada spółek-wydmuszek, wydruki zamówiły kolejne, a masażyści, fizjoterapeuci, psychologowie, kucharze, dietetycy, wytwórcy noży, dyskretna ochrona zostali wynajęci anonimowo przez agencyjne AI. Zbudowano salę do ćwiczeń, a z Królowej Południa ściągnięto potajemnie Mariano Gabriela Demarię i ulokowano w sąsiednim mieszkaniu. A na koniec z João de Deus przywieziono do *dojo* Carlinhosowe noże do walki z księżycowej stali.

– To jest sypialnia.

– Łóżko takie, że można po nim łązić.

Carlinhos zwała się na łóżko i zakłada ręce za głowę. Aż promienieje radością. Lucas zaciska usta.

– Przepraszam.

– Co takiego?

– Przepraszam. Za to. Nie powinienem był cię prosić...

– Nie prosiłeś. Sam zaproponowałem.

– Ale gdybym przymusił Lucasinha...

– Ariel odwiedziła mnie w Boa Vista. I wiesz, co powiedziała? Przepraszała, że nie udało jej się tego zatrzymać. A ty przepraszasz, bo myślisz, że to wszystko przez ciebie. Luca, ja od zawsze wiedziałem, że to się kiedyś zdarzy. Jak drukowałem mój pierwszy nóż, to popatrzyłem na niego i widziałem coś takiego. Nie konkretnie Hadleya, ale że walczę i że losy rodziny zależą ode mnie.

To przebaczenie.

– Hadley Mackenzie jest sprawny i bardzo szybki.

– Ja jestem sprawniejszy.

– Carlinhos...

Lucas patrzy na brata rozwalonego na łóżku, uszczęśliwionego prawdziwą bawełną. Za dwadzieścia cztery godziny możesz nie żyć. Jak ty wytrzymujesz z tą myślą? Jak możesz się pogodzić z marnowaniem choćby chwili na banalne sprawy? A może to właśnie jest mądrość wojownika? Banały, namacalny dotyk gęstej, importowanej bawełny – liczy się właśnie to, co się da poczuć?

– Co?

– Szybszy jesteś.

Wagner unosi noże, odruchowo znajdując środek ciężkości. Patrzy na te przedmioty w dłoniach. Dopiero co wyszedł z pełni ciemnej fazy, więc skupia się i koncentruje najintensywniej na świecie. Mógłby godzinami obsesyjnie analizować linię ostrza czy metalurgię.

– Coś zbyt dobrze się z nimi czujesz – zauważa Carlinhos.

– Straszne są. – Wagner odkłada je z powrotem do walizki. – Przyjdę. Nie chcę tam być, ale przyjdę.

– Ja też nie chcę.

Bracia obejmują się. Carlinhos zaproponował Wagnerowi pokój w mieszkaniu, wilk jednak poszedł do stada. Kiedy Ziemia jest ciemna, Dom Stada też jest ciemny i zimny. W poprzednią noc, po przyjeździe z Theophilusa, spał niespokojnie w stadnym barłogu, maleńki, rozłożony jak najszerzej, ale wciąż jeden; dręczyły go uporczywe sny, w których stał nagi pośrodku Oceanu Burz. Analiese nie wierzy, gdy mówi, że musi jechać do Południka w sprawach rodzinnych, ale nie znajduje żadnego oczywistego kłamstwa, do którego mogłaby się przyczepić.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – pyta Wagner. Śmiech Carlinhosa peszy go.

– Cała reszta tylko mnie przepraszała, mówiła, że czuje się winna. Nikt – nikt! – nie zapytał, czy może coś dla mnie zrobić.

– A mogę coś?

– Straszną mam ochotę na mięso – mówi Carlinhos. – To możesz zrobić.

– Mięso.

– Ty możesz jeść mięso?

– W tym aspekcie przeważnie nie, ale dla ciebie, *irmão*...

Sombra znajduje *churrascarię*, nieprzyzwoicie drogą. Pyszni się wieprzowiną rzadkich ras oraz masowaną i nacieraną dżinem, uspokajaną muzyką wołowiną z karłowatej rasy Kuroge Washu. W szklanych gablotach wiszą tuszki, małe, jakby należały do domowych zwierzątek. Ceny są obłądne. Carlinhos i Wagner

zajmują łożę, gadają, maczają płatki pierwszorzędnego mięsa w sosach, przez większość czasu jednak przyjacielsko milczą, jak to mężczyźni, którzy są ze sobą blisko i już wszystko sobie powiedzieli.

„Pobiegnij ze mną”, powiedział.

Marina i Carlinhos wskakują na tył Długiego Biegu. Po pięciu oddechach dopasowują się do obrzędowego rytmu. Tym razem Marina nie boi się śpiewać. Jest tylko jeden Długi Bieg. Nie ustał, ani na dzień, ani na noc, odkąd ostatnim razem z niego wyszła. Po chwili jej serce, krew, mięśnie dostrajają się do jedności.

„Tak, oczywiście”, odpowiedziała. Przyszła na jego wezwanie, licząc na seks, licząc na coś innego. Na coś, co wyprowadzi ich z tego mieszkania cuchnącego bliską obecnością śmierci. Carlinhos chciał pojechać do domu i pobiegać. Do João de Deus była tylko godzina jazdy szybkim pociągiem. Oboje pojechali już ubrani na Długi Bieg. Przyciągali pełne podziwu spojrzenia, wywoływali uśmiechy. „Ładna para”. „Wiesz, kto to jest”. „Ooo, naprawdę?”. Marina ubrała się bardziej skąpo i obcisło niż kiedykolwiek, ciało pomalowała jeszcze bardziej agresywnie. Bo i ja jestem bardziej napięta i agresywna, myślała. Nawet wyciągnęła z próżniowego magazynka zielone frędzle Oguna i z dumą je założyła.

Marina przyśpiesza i przeciska się na czoło biegu. Carlinhos parska śmiechem i idzie za nią. *O, bezlitosne ostrze. O, nożu Oguna, co przeszywasz odzienie. O, bezlitosne ostrze. O, nożu Oguna, co tniesz i zabijasz.* Po czym znika czas, znika jaźń, znika świadomość.

Wsiadają do powrotnego pociągu, zachwyceni i spoceni, opadają na siedzenia, gdy wagon przyśpiesza na Równikowej Jedyńce, kleją się do siebie. Marina przywiera do Carlinhosa. Jest tak fantastyczny, że wywabia z niej ukryte kocie cechy. Lubi tę inność u mężczyzn – są nieodgadnieni jak zwierzęta. Uwielbia ich, jako stworzenia odmienne i o wiele piękniejsze od siebie.

– A przyjdiesz? – mruczy Carlinhos.

Spodziewała się tego pytania, bała się go, ma więc przygotowaną odpowiedź.

– Przyjdę, tak. Ale...

– Nie będziesz patrzeć.

– Carlinhos, przepraszam. Nie będę mogła patrzeć, jak robią ci krzywdę.

– Nie zginę.

Za dziesięć minut Południk.

– Carlo. – Marina po raz pierwszy nazywa go najbardziej intymnym z imion; imieniem dla rodziny i *amors*. – Będę wyjeżdżać z Księżyca.

– Rozumiem – mówi, lecz Marina czuje, że jego ciało się spina.

– Mam pieniądze, z mamą wszystko dobrze, twoja rodzina była dla mnie bardzo dobra, ale nie mogę zostać. Cały czas się boję. Każdego dnia. Każdej godziny. Ciągle. Tak się nie da żyć. Carlinhos, muszę wyjechać.

Pasażerowie już wstają, zbierają dzieci, bagaże, przyjaciół, czekając na stację końcową. Po atmosferycznej stronie peronu Marina i Carlinhos całują się. Ona staje na palcach. Pasażerowie uśmiechają się.

– Przyjdę – mówi Marina.

Rozchodzą się do swoich mieszkań. Z rana Carlinhos wychodzi na walkę.

Boty kończą odkurzanie areny sądowej na moment przed przybyciem przeciwników. Od dziesięciu lat nikt jej nie używał. Powietrze jest przefiltrowane, ani śladu – prawdziwego czy wyimaginowanego – starej krwi. Wydaje się, że jest tu zimno, choć arenę doprowadzono do temperatury ludzkiej skóry. Jej sercem jest ring, pięciometrowy krąg sprężynującego parkietu, idealnego do tańca lub do walki. Ławy dla świadków i sędziów to wąskie galerie tuż przy ringu. I przeciwnicy, i sędziowie mają siedzieć w zasięgu krwi tryskającej z tętnic. Na tym polega moralność pojedynku sądowego – brutalność dotyka wszystkich.

W ławach Mackenziech: Duncan i Bryce Mackenzie. Ten ledwie się mieści w wąskiej galerii. W zastępstwie Roberta Mackenziego i tym razem Jade Sun-Mackenzie, matka zaszczytnika. W ławach Cortów – Rafa, Lucas, Wagner i

Ariel. Z Ariel jej *escolta*, Marina Calzaghe. Ariel zbiła wnioszek drugiej strony z ostatniej chwili, by zmusić do stawiennictwa Lucasinha, Robsona i Lunę. Sądzą sędziowie Remy, El-Ashmawi i Mishra – żaden z nich nie pracował dotąd z Ariel Cortą.

Sędzia Remy przywołuje salę do porządku. Sędzia El-Ashmawi odczytuje pozew. Sędzia Mishra pyta, czy będzie zawarta ugoda lub zostaną wystosowane przeprosiny. Ani jedno, ani drugie, odpowiada Lucas.

Formalności uspokajają, nadają porządek, przydają dystansu do tego, co stanie się w tym drewnianym ringu.

Wchodzą sekundanci. Ze strony Mackenziech Denny Mackenzie i Constant Duffus, zastępca szefa ich ochrony. Ze strony Cortów Heitor Pereira i Mariano Gabriel Demaria. Każda ze stron przedstawia swoje noże sędziom. Ci przyglądają się im bardzo dokładnie, choć żaden nie ma zielonego pojęcia o nożach i aprobują po jednym z każdej skrzynki. Mariano Gabriel Demaria, zanim odłoży nóż na miejsce, całuje jego rękojeść.

Przeciwnicy wychodzą ze swoich boksów pod areną. Wchodząc na środek, obaj patrzą najpierw w górę, potem rozglądają się naokoło, analizując miejsce i jego ograniczenia. Mniejsze niż myśleli. Będzie blisko, szybko i brutalnie. Carlinhos ma kremowe spodenki, Hadley szare. Oba kolory kontrastują ze skórą. Są cyfrowo nadzy, pozbawieni chowańców. Biżuteria to słabość, Carlinhos nosi jednak na prawej kostce pojedynczy zielony sznureczek, amulet Sao Jorge. Otaczają go sekundanci.

Marina chowa twarz w dłoniach. Nie może na niego patrzeć, musi na niego patrzeć. To chłopak, wielki, uśmiechnięty chłopak, który wędrował sobie z pokoju do pokoju, nie wiedząc, że każde drzwi zamykają się za nim, a każdy kolejny pokój jest mniejszy, aż w końcu wyląduje tutaj, na arenie do zabijania. Robi jej się niedobrze; mdłości czuje we wszystkich kościach i ścięgnach. Carlinhos klęka, Heitor i Mariano pochylają się nad nim. Coś szepcze. Hadley Mackenzie po drugiej stronie ringu podskakuje, odbija się, pociąga nosem, rozgląda, istny wir energii i celowości. Zarznie Carlinhosa, myśli Marina. Nigdy dotąd nie zaznała takiego strachu, ani kiedy mamę zdiagnozowano, ani kiedy Transfer toczył się na wyrzutnię w Białych Piaskach.

Sąd przywołuje walczących do siebie. Carlinhos, dwa metry dziesięć, jest wyższy od Hadleya, ale cięższy. Mackenzie to same żyły i stal. Sędzia Remy zwraca się do nich:

– Sąd pragnie was poinformować, że choć niniejsza walka jest całkowicie zgodna z prawem, Sąd Claviusa potępia taką praktykę. Jest ona barbarzyńska i niegodna waszych rodzin i korporacji. Możecie kontynuować.

Mariano Gabriel Demaria wręcza Carlinhosowi nóż. Waży go w dłoni, bada chwyt, ocenia wyważenie i szybkości. Wypróbowuje ciężar i zamach, celując czubkiem kolejno w dziewięć kierunków. Chwyt mocny, ale elastyczny. Siłowo, niesiłowo. Markowanie, wypady, piruety – niesiłowo. Cała siła na cięcia. Nóż jest ostatecznym przedłużeniem wszystkich zmysłów, wyostrzonych, wypatrujących w ciemnym labiryncie niewidocznych dzwonek.

– Sekundanci wyjść.

Heitor i Mariano wracają na ławkę przy ringu, pod galerią dla świadków. Nie ma tu żadnych rund, nie ma czasu na pozbieranie się, na słuchanie dobrych rad w rogu areny. Walczy się, póki nie ma zwycięzcy.

Carlinhos pochyła głowę przed rodziną. Po policzkach Mariny Calzaghe toczą się wielkie, powolne, grube łzy.

– Podejść.

Carlinhos i Hadley spotykają się pośrodku ringu, unoszą noże na powitanie.

– Walka.

Walczący przybierają postawę, balansują, ręce uniesione. Rzucają się na siebie. Carlinhos okręca się, próbuje pociągnąć za sobą Hadleya, wybić go z fazy, Mackenzie jest jednak szybki i ostry, tak szybki, że Carlinhos na moment traci tempo. Wycofuje się. Marina nigdy nie widziała walki na noże. Jest paskudna, brutalna i ostra. Nie ma w niej nic pięknego, nie ma zręcznych cięć i pchnięć, parowań i ripost, wykorzystania ostrza do obrony i ataku zarazem, jak w szermierce. W sztuce noża pierwszy kontakt jest ostatnim. Każde trafienie – śmiertelnym. Tnij, rozbrój, dźgnij, obezwładnij. Szybkość jest oszłamiająca. Szybciej niż myśl. Hadley jest wyszczerzony jak czaszka, całkowicie skoncentrowany. I jest też szybszy, lżejszy, zwinniejszy. Finta, piruet, powrót. Zerka na pozostałych Cortów. Rafa ma zamknięte oczy. Ariel – dłonie przy

ustach. Wagner jest jak maska stuprocentowego skupienia. Lucas – jak czaszka. Po stronie Mackenziech takie same miny.

Nie może patrzeć. Nie może odwrócić wzroku.

Tego morderczego tempa nikt nie wytrzyma. Widzi, że Carlinhos ma coś nie tak z równowagą. Jego reakcje są minimalnie spowolnione. Na skórze lśni pot. Oczy skupione, twarz zacięta. To jest jak taniec, jak morderczy two-step. Blisko, szybko, ledwie dostrzegalne cięcia i pchnięcia: w rękę trzymającą nóż, w ścięgna nogi. Wysoko, nisko. Carlinhos markuje, Hadley blokuje ostrzem, tnie Carlinhosa w biceps, łukowatym cięciem skręcającym ku mięśniom brzucha. Carlinhos już odtańcowuje spod ostrza, na brzuchu zostaje krwawa kreska. Nie zauważa. Płonie adrenaliną, nie czuje bólu, nie czuje niczego poza jednością walki. Jednak rana na bicepsie jest głęboka. Traci krew. Traci kontrolę. Przegrywa pojedynek. Carlinhos odskakuje, zyskując dystans. Hadley przeskakuje, by go skrócić, ale Carlinhos w tej sekundzie przekłada nóż do lewej ręki. Zaskoczenie działa tylko przez chwilę, ale wystarcza, by zmusić Hadleya do odwrotu. Hadley potrząsa głową, jakby miał skurcz w szyi, i też przerzuca nóż z prawej do lewej.

Bose stopy ślizgają się w kałuży ciepłej, słodkiej krwi Carlinhosa.

Carlinhos widzi wszystkie możliwości następnego ataku, jakie ma Hadley Mackenzie, wszystkie jednocześnie, i w każdej nóż rozcina mu ścięgna ramienia, rozbija go, przecina ścięgna w nodze, przewraca na ziemię i patroszy.

I tu ginie.

Aż nagle widzi drugą stronę, coś zupełnie spoza sztuki noża. Sztuka *malandragem*. Kto przychodzi z brazylijskim jiu-jitsu na walkę na noże? Carlinhos odrzuca nóż, ten wbija się w drewnianą bandę areny, drga. Wzrok Hadleya przeskakuje na nóż – w tym samym ułamku sekundy Carlinhos wchodzi mu w gardło, blokuje dłońmi zamach i łamie mu rękę w stawie łokciowym.

Trzask niesie się echem wokół areny. Nóż upada.

Carlinhos wykręca Hadleyowi złamaną rękę za plecy. Są teraz blisko jak kochankowie. Podnosi upuszczony nóż i tym samym płynnym ruchem wbija mu go w gardło, przebijając tętnicę.

Cała sala zrywa się na nogi.

Na twarzy Hadleya maluje się łagodne zaskoczenie, potem rozczarowanie. Z paskudnej rany tryska krew, dłonie miotają się bezradnie. Carlinhos kładzie go, dławiącego się i rzucającego, na podłogę, w kałuży krwi.

Carlinhos ryczy. Odrzuca ramiona w tył, zaciska pięści, ryczy. Kopie deski galerii, raz za razem, wali pięściami w ścianę. Ryczy. Staje na wprost rodziny, wytrząsa pot z włosów i wrzaskiem obwieszcza zwycięstwo.

Marina chowa twarz w dłoniach. Nie jest w stanie znieść tego widoku. To jest Carlinhos. Taki zawsze był Carlinhos.

Hadley już znieruchomiał; teraz na sali rozlega się drugi głos, wysokie zawodzące wycie, tak niesamowite i nieludzkie, że aż trudno dojść jego źródła, póki Jade Sun nie rzuci się ku barierce. Duncan Mackenzie łapie ją, przytrzymuje. Ona lamentuje dalej, nieartykułowanie, nieprzytomna z rozpacz. Sekundanci Mackenziech zakrywają trupa.

– Sprawa jest rozstrzygnięta. – Sędzia Mishra przekrzykuje wrzaski i lamenty.
– Posiedzenie Sądu zakończone.

Heitor Pereira i Mariano Gabriel Demaria próbują sprowadzić Carlinhosa pod arenę. Strząsa ich z siebie i przechodzi przez parkiet, żeby dalej krzyczeć przed Mackenzieami. Całe ciało splywa mu potem pomieszanym z krwią. Oskarżycielsko dźga palcem Jade Sun, Bryce’a Mackenziego.

Marina mało nie dostaje zawału.

– Sekundanci, proszę powstrzymać waszego zaszczytnika! – krzyczy sędzia El-Ashmawi.

Heitor i Mariano chwytają Carlinhosa pod ręce i ciągną do wyjścia. Jade Sun pluje. Na Księżycu ślina leci daleko. Pecyna śliny trafia Carlinhosa w bark. Odwraca się, wierzga nogą, przyskajac na nią krwią z podłogi. Krew obryzguje jej twarz, opada plamkami na innych Mackenziech.

– Zabierzcie go! – wrzeszczy Rafa.

Marina już uciekła z widowni. Przyciska czoło do ściany, licząc, że jej solidność i chłód powstrzymają pulsowanie mdłości. Biegną *escoltas*, żeby odprowadzić Cortów do czekającego transportowca; szklana ściana oddziela Cortową połówkę korytarza od połówki Mackenziech. Ich noże otaczają rodzinę, mimo to Marina

widzi, jak Duncan Mackenzie ściera krew z twarzy swojej macochy.

– Oj, Carlinhos – szepcze Marina. – A mogłam cię pokochać.

Pierwszy ekstraktor Corta Hélio staje w niecałe dziesięć minut od zwycięstwa Carlinhosa w Sądzie Claviusa. Trzydzieści sekund później z sieci znika drugi. W trzy minuty łączność traci cała linia frontu z północnego Imbrium.

W kapsule pasażerskiej statku VTO *Pustielga*, rozświetlają się chowańce Lucasa, Carlinhosa i Heitora Pereiry. W pociągu do Stacji Hypatia, Sombra alarmuje Wagnera Cortę. W Południku, w *moto* jadącym do mieszkania, Beijaflor i Hetty powiadamiają swoje klientki.

Atak na Corta Hélio.

Stawki za wynajęcie statku księżycowego VTO są wysokie nawet dla Smoków, Rafa wiedział jednak, że niezależnie od tego, kto kogo zabije w Sądzie Claviusa, najważniejsze będzie szybkie wywiezienie rodziny w bezpieczne miejsce. Zanim statek zdąży opaść na lądowisko w João de Deus, padają Wschodnie i Zachodnie Morze Deszczów oraz Środkowy Spokój.

– Właśnie straciliśmy Zachodni Spokój – mówi Heitor Pereira, gdy statek opuszcza kapsułę naciąg. – Mam łączność z Południowym Spokojem. Przełączam was.

Na soczewkach wszystkich obecnych pokazuje się widok z helmu – zniszczona linia frontu. Kamera przesuwają się po wrakach i złomie, odłamkach plastiku i metalu rozsianych szeroko po regolicie; zniszczonych pięć ekstraktorów, łazik rozbity jak czaszka przez spadające belki.

– Widzicie to?! – krzyczy jakaś kobieta. Znacznik chowańca podpisuje ją jako Kiné Mbaye, Morze Spokoju. – Mordują nas!

Za nią błysk na niebie, świetlny rozbłysk. W stronę kamery leci, wirując, wielki kawał konstrukcyjnej kratownicy. Kobieta klnie po francusku. Obraz znika. Znacznik robi się biały.

– Carlinhos! – Rafa potrząsa bratem.

Po furii i szale z areny zapadł w katatonię. Sekundanci zawlekli go do boksów

dla zaszczytników, gdzie medyczny bot połatał mięśnie brzucha, biceps, i wpakował mu końską dawkę środka uspokajającego. Sekundanci zmyli z niego krew, wbili go w normalne ubranie, wyprowadzili do *Pustielgi*.

– Co się dzieje?

Carlinhos usiłuje zogniskować wzrok na twarzy brata.

– Straciliśmy cały front na Południowym Spokoju – mówi Heitor Pereira. Twarz ma szarą. Śluzy spinają się, wyrównują ciśnienie, pasażerowie wychodzą do hallu. – Trzydzieści osób.

– Carlinhos! Ty tu jesteś luniarzem.

– Pokażcie – odzywa się Carlinhos. Zanim przyjedzie winda, przegląda wideo Kiné Mbaye trzy razy. – Zatrzymać wszystkie fronty.

– Co się... – zaczyna Rafa, ale przerywa mu Lucas.

– Już wydałem rozkaz.

– Na długo ich nie zatrzyma. Przeliczą trajektorie na nowo i tyle. – Carlinhos popatruje po twarzach pozostałych pasażerów windy, jakby sprawdzał, czy ktoś oprócz niego do tego doszedł. – Strzelają do nas kapsułami BALTRAN-u. Widać na nagraniu z Południowego Spokoju, jak się puści w zwolnionym tempie, chwilę przed wybuchem. Ten błysk to nie jest błysk, to jest trafienie kapsułą BALTRAN-u.

– Nie mamy gdzie się ukryć – stwierdza Rafa.

– To nie jest coś, co się załatwia na pstryk – mówi Lucas. – Trzeba ustalić współrzędne wszystkich naszych ekstraktorów, co do jednego, porzerwować kapsuły, powyliczać trajektorie. Mieli to zaplanowane od dawna.

– Kto? – pyta Heitor Pereira.

Lucas rzuca się na niego.

– A jak myślisz, durny dziadu?

Prospekt Kondakowej, Kwadra São Sebastiao, mówi winda.

– Co można zrobić?

– Przelicytować ich – mówi Lucas. – Generała Kasy nikt nie pokona. – Wydaje Toquinho polecenia. Pauza. Nigdy dotąd nie było takiej pauzy.

Rachunki Corta Hélio są chwilowo niedostępne, mówi Toquinho.

Drzwi windy otwierają się.

– Dlaczego? – pyta Lucas.

Nasze systemy bankowe są przeciążone atakiem i odmawiają usług, wyjaśnia Toquinho.

Hall windy się trzęsie. Wszystkie żywe dusze na Prospekcie Kondakowej zadzierają głowy – odruch ludzi, którzy mieszkają w jaskiniach.

– Jeszcze tego nam brakowało – mówi Rafa. – Trzęsienie.

– Żadne trzęsienie – prostuje Carlinhos. – Ładunki kumulacyjne.

Jedna kobieta i jeden mężczyzna, elegancko i bardzo modnie ubrani, wysiadają z ekspresu nr 28 i przepompowują się przez śluzy Stacji Twé. Sprawnie i energicznie przemykają wśród pasażerów, wydaje się, że mają ustalony cel gdzieś w słynnych ze skomplikowania labiryntach Twé. Ktoś ich prowadzi. Z publicznej drukarki wydają dwa zamówione wcześniej plastikowe noże, ząbkowane, ostre, gotowe, by ranić. To asasyni, wynajęci, żeby namierzyć Lucasinho Cortę i zabić go. Ich chowańce orientują się na Jinjiego. Chłopak jest widoczny publicznie i bezbronny. Idą za nim przez tunele i agraria, przez kładki ponad głębokimi przepaściami agrariów, przez pochylnie, wijące się spiralnie wśród osiedli mieszkalnych, z każdym krokiem skracając dystans.

Lucasinho cały ranek spędził w pokoju, czekając na wieści z Sądu Claviusa, dręczony poczuciem winy. Ojciec co rusz powtarzał mu, że to nie chodzi o ślub. Chodzi o policzek. Wykalkulowaną obrazę, wyzwanie na pojedynek. Że to jest pomiędzy nim i Bryce'em Mackenziem. Ślub był tylko pretekstem.

„Przyjadę”, powiedział Lucasinho.

„Nie przyjedziesz”, rozkazał Lucas.

„Chcę to zobaczyć”.

„Nikt nie chce tego zobaczyć”, odparł Lucas. „Zostań w Twé. W Twé jesteś bezpieczny. Wszystko ci powiem”.

Próbował siedzieć, próbował chodzić, próbował grać w gry, przeglądać serwisy społecznościowe, próbował coś piec. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Nie mógł się skupić. Ze strachu robiło mu się niedobrze. Potem Jinji zaświecił się

wiadomością od Lucasa. *Carlinhos wygrał*. Nic więcej.

Carlinhos wygrał. Lucasinho czuje się lekki. Uwolniony. Radosny. Musi komuś powiedzieć, musi się z kimś zobaczyć. Wiadomość przez chowańca to za mało. *Abena, spotkaj się ze mną*. Prawie biegnie tunelami Twé. Dwójka asasynów przerzuca informacje pomiędzy chowańcami. Cel się rusza. To o wiele prościej niż włamywać się do systemów bezpieczeństwa w mieszkaniu. Przetną mu drogę na Skwerze Nkrumah i tam go załatwią, w miejscu publicznym. Wydaje im się, że ich kanały łączności są bezpieczne. Już. Dłonie opadają na ukryte noże. Idą tak, by zająć Lucasinha z dwóch stron.

Zagrożenie, mówi Jinji. *Zagrożenie!* Lucasinho zamiera, okręca się na samym środku Rawlings Plaza, próbuje zobaczyć, kto z tych setek ludzi chce go zabić. Widzi idącego ku niemu mężczyznę z ręką na nożu. Jest blisko. Kobiety za nim jeszcze nie widzi.

Widzi ją jednak robot na dachu. AI AKA skorelowały sobie przybycie tej dwójki pasażerów, uruchomienie drukarki na Kuffuor oraz zdarzenia na powierzchni. Kazały botowi zabezpieczającemu, bystremu pająkowi przemykającemu niepostrzeżenie po zagraconych sufitach ciasnych tuneli Twé, śledzić asasynów śledzących Lucasinha Cortę. Bot namierza cele i atakuje. Wskakuje kobiecie na kark i wbija weń igłę z neurotoksyną. Jej płuca się blokują, a bot odskakuje od niej, koziołkuje nad barkiem Lucasinho i przywiera mężczyźnie do twarzy. Ten nawet nie zdąża podnieść do niego ręk, uchylić się czy zasłonić. Toksyna AKA BTX jest szybka i pewna. Po obu stronach Lucasinha Corty padają ciała, a pająk ucieka gdzieś pomiędzy niską architekturę Rawlings Plaza. AKA nie lubi mieszać się do polityki innych Smoków, ale musi, gdy Złoty Stolec nakazuje działać szybko i zdecydowanie.

Już nic ci nie grozi, mówi Jinji. *Niedługo przybędzie pomoc*.

Wagner bardzo polubił odludny filar na końcu peronu na Stacji Hypatia. To miejsce pomiędzy światami – światem pełni i światem ciemności, a teraz także pomiędzy czasami – przeszłym i przyszłym. Każdy Smok, choćby pół-Smok jak

on, żyje w cieniu przemocy, lecz sam nigdy nie widział, jak jeden człowiek zabija drugiego. Wciąż czuje zapach krwi. Będzie go czuł do końca życia. Wyobraża sobie, że śmierdzi tą krwią, że czują to wszyscy pasażerowie pociągu. Wagner wie, że ma w sobie wilka, jednak na sądowej arenie zobaczył wewnątrz Carlinhosa coś o wiele gorszego od wilka – coś, czego nie zna, czego się boi; coś, co zawsze w nim mieszkało, a on tego nie widział. Coś, co zadaje kłam wszystkim spędzonym razem chwilom, wszystkim wspólnym braterskim przeżyciom.

Kiedy walczą Smoki, gdzie jest miejsce dla wilka?

Rozświeć się Sombra, telefon od Analiese.

– Wagner, gdzie jesteś?

– Na Hypatii.

– Wagner. Wracaj do Południka.

– Co się stało?

– Wracaj do Południka. Nie idź tutaj. Nie idź do domu.

Ten powstrzymywany pośpiech w jej głosie, ściszony ton, syczące spółgłoski, wszystko to burzy jego koncentrację i jeży włosy na rękach i karku.

– Ana, co się dzieje?

Ścisza głos do szeptu.

– Są tutaj. Czekają na ciebie. O Boże, zmusili mnie, żebym obiecała...

– Ana, kto...

– Mackenzie. Zmusili mnie, powiedzieli, że albo jestem rodziną, albo nie jestem. Nie wracaj. Chcą zabić wszystkich Cortów.

– Ana...

– Ja jestem rodziną. Nic mi nie jest. Nic mi nie jest, Wagner.

Słyszysz zalekniony, stłumiony szloch.

– Uciekaj!

Połączenie przerwane, mówi Sombra.

– Oddzwoń.

Nie mogę, Wagner.

Na peronach kłębią się rodziny. Dziecięce głosy odbijają się echem, echo zachęca je do głośniejszych krzyków. Pudełka po makaronach podskakują w

prądach osobliwych wiatrów, uciekając botom sprzątającym. Tam na górze walczą Cortowie i Mackenzie. Na dole, na stacji, ludzie przesiadają się, jadąc do pracy, rodziny, przyjaciół, po miłość, po rozrywkę. Gdyby zobaczyli człowieka skulonego pod filarem, z kolanami pod brodą, czy przyszloby im do głowy, że on walczy o własne życie?

Analiese została tam. Nie ma pojęcia, co się z nią stało.

„Uciekaj”, mówiła.

Wagner wstaje spod filaru i przechodzi na drugą stronę peronu. Przeciwny kierunek. Czyli wygnanie, z wilkami do towarzystwa.

Prospekt Kondakowej znów się trzęsie. Pył strząśnięty z wysokiego dachu opada migotliwymi chmurami, delikatnymi jak mgła. Ruch uliczny zamiera. Ludzie najpierw patrzą w górę, potem po sobie nawzajem.

Wtargnięcie uzbrojonych sił przez służby Święta Barbara i São Jorge, przekazuje każdemu jego chowaniec. Bezpieczeństwo wind naruszone.

– Wchodzą przez dach – stwierdza Rafa.

Uzbrojone wrogie siły na głównej stacji.

– Pokaż – rozkazuje Carlinhos.

São Jorge pokazuje mu ludzi w kamizelkach przeciwko broni białej, przepompowujących się przez służby z pociągów i ustawiających w szyk na peronach. Mają po dwa skrzyżowane noże i paralizatory w kaburach. Regularna inwazja, jak wojsko. Pasażerowie podnoszą brwi zdezorientowani: co to, kręcą tu odcinek *Serc i Czaszek*? Pasażerowie pociągów i cywile nie są legalnymi celami.

– Ilu?

Pięćdziesięciu. Dziesięciu w służbie Święta Barbara i São Jorge. Po pięciu w windach São Sebastião. Kwadrą Świętego Sebastiana wstrząsa kolejny wybuch. Służba awaryjna straciła hermetyczność. Kamery uszkodzone.

Panele nieba migocą. One nigdy nie migocą. W górę i dół ulicy niesie się okropny jęk strachu. Najgorszy lęk: lęk przed uwięzieniem w ciemności, z której

ucieka powietrze. Wrogie siły w kwadrze *São Sebastião*. Wrogie siły idą Prospektami Kondakowej i Tierieszkowej.

– Wszystkich nas tu zarzną – mówi Carlinhos. – Heitor, daj Rafie i Lucasowi po dwóch *escoltas*. Rafa...

– Ja muszę iść do moich dzieci. Chyba są w Boa Vista...

– Z tej strony kwadry nie ma wejścia na stację. Musisz pójść obwodowym tunelem i wyjść na Zachodnią 12. Wejście jest z Prospektu Sierowej. Lucas.

– Ogłaszam alarm. Powszechna ewakuacja.

– Dobry z ciebie człowiek. Ale ty też musisz się ratować.

– Zostaję z rodziną.

– Luca, ty nie jesteś od walki. Pokroją cię na plasterki.

– Carlo, próbowali zabić Lucasinha. Próbowali zabić mojego syna.

– Teraz ty jesteś Corta Hélio. Przykro mi, Rafa. Ratuj firmę. Masz jakiś plan?

– Zawsze mam plan.

– No to dawaj, dawaj.

Panele nieba mrugają. Siedem krótkich błysków, jeden długi. Powszechna ewakuacja. Coś, czego najbardziej się boisz, właśnie się wydarzyło. Promieniowanie, pożar nie do opanowania, dehermetyzacja, zawalenie dachu, atak. Inwazja. Ratować się, zejść do schronów, uciekać. Alarm powtarza tysiąc chowańców na Prospekcie Kondakowej, na wszystkich poziomach, prospektach, we wszystkich kwadrach João de Deus. Kwadra na moment nieruchomieje w szoku, po czym eksploduje ruchem. *Motos* lawirują w tłumie, odwożąc pasażerów na najbliższe miejsce zbiórki. Przechodnie puszczają się biegiem; fruwacze opadają we wskazane przez chowańce punkty zbiórek. Pustoszeją sklepy, kawiarnie, bary, kluby. Spanikowani pijacy gapią się w niebo, jakby miało na nich runąć. Nauczyciele zbierają zapłakanych uczniów i zaganiają ich pędem do schronów. Gdzie *mãe*, gdzie *pai*? Rodzice nawołują dzieci, zgubione maluchy płaczą w panice, boty lokalizują zabłąkanych i zapędzają w bezpieczne miejsce. Rodziny połączą się później, jeśli będzie jakieś „później”. W kwadrach nocnej i wieczornej gwałtownie budzą się śpiący, wstają ranne ptaszki, zrywają się odsypiający nocne zmiany. Strach, ogień, lęk przed zawaleniem. Opróżniają się biura i mieszkania, stopy tupią po galeriach i kładkach. Tłum ludzi zbiega

schodami, zeskakuje z niższych pięter niskograwitacyjnymi skokami.

Sylwetki w bojowych pancerzach posuwają się Prospektem Kondakowej, nie zwracając uwagi na uciekających ludzi. Za ich plecami wybuchają biura Corta Hélio, jedno po drugim, sypią plastikiem, tanim drewnem, odłamkami mebli.

– São Jorge, wydrukuj mi zbroję.

Będzie dostępna w publicznej drukarce na Wschodniej 15. za trzy minuty.

– Heitor, daj moje noże.

Heitor otwiera ceremonialną skrzynkę. Światło z paneli nieba odbłyśkuje od ostrzy z księżycowej stali. Pojawia się oddział ochrony Corta Hélio. Zdyszany, nieuzbrojony, dezorientowany, zbyt nieliczny.

– Ty i ty, z Rafał i Lucasem. Heitor, weź pięciu i się cofnij. – Carlinhos nie może sobie pozwolić na piątkę. Widział jednak trupy wśród gruzów wysadzanych biur. Mackenzie niszczy materię i duszę Corta Hélio. – Nadaj ogólne wezwanie: każdy pracownik Corta Hélio ma się zgłosić do ciebie. Prowadzisz ich do schronu pod Wschodnim Sebastião. Tam ich Mackenzie nie ruszą.

– Myślisz?

– Schrony to świętość. Nawet oni nie wysadzą schronu. Idź już.

Heitor Pereira woła ludzi do siebie. Biegają Prospektem Kondakowej, z rękoma na rękojeściach noży. Odwaga i beznadzieja. João de Deus jest za wielkie, zbyt różnorodne, rozciągnięte po zbyt wielu strefach czasowych, a Mackenzie już weszli w nie zbyt głęboko. João de Deus przepadło.

– Rafa!

Lucas jest już piętro wyżej, wchodzi po stromych drabinkach z dwoma ochroniarzami, pod prąd strumienia uciekających. Jak na kogoś, kto jest od knucia, całkiem sprawnie się rusza.

– Uciekaj stąd!

– Carlo!

Lucas woła z wysokości dwóch pięter. Ulice i prospekty już pustoszeją, pod śluzami schronów walają się porzucone *motos*, nieużyteczne boty biegają bez ładu i składu.

– Ja mogę ich spalić. Mackenziech. Roberta, Jade, Duncana, Bryce'a. Wszystkich. Mogę ich wszystkich spalić.

– Luca, my nie jesteśmy tacy jak oni.

Lucas kiwa głową i już wspina się dalej po drabinie. Rafa zerka po raz ostatni i nurkuje w poprzeczną uliczkę. Carlinhos wkłada pancerz kuloodporny. Wsuwa noże do magnetycznych pochew.

– Gramy na czas – mówi swojej ekipie Carlinhos.

Ośmiu *escoltas*. Noże Mackenziech idą szeregiem dwudziestką, wymiatając Prospekt Kondakowej.

– Czas na ucieczkę dla innych. Drogo sprzedajmy ten czas. Dobra, za mną.

Puszcza się biegiem. Żołnierze tworzą klin. Carlinhos wydaje bojowy okrzyk, a jego głos odbija się od ścian pustej Kwadry Świętego Sebastiana.

Rafa biegnie. Łopocą poły marynarki i krawat. Buty ma w strasznym stanie. Awaryjne światła pulsują i rotują na żółto. Podłoga obwodowego tunelu jest zasłana porzuconymi butelkami po wodzie, bębenkami i frędzlami w barwach *orixas*. Długi Bieg ostatecznie dobiegł końca.

Przed wyjściem z mieszkania Ariel wypycha torebkę gotówką. Swoją i Mariny.

– Lucas mówił, że konta są zablokowane – mówi. – A to działa wszędzie.

– W pociągu też?

– Dziesięć minut temu zarezerwowałam bilety.

Corta Hélio się wali. João de Deus jest atakowane. Carlinhos walczy. Rafa próbuje się przedostać do Boa Vista. Nikt nie wie, gdzie jest Lucas. Wagner jest w Południku, Lucasinho w Twé. Ariel i Marina chcą do niego dotrzeć i poprosić o azyl. Marina nie może uwierzyć, jak szybko to wszystko się rozsypało.

Do Stacji Południk jest dwadzieścia poziomów. Kilometr. Może tam czekać na nich sto śmierci. *Moto? Motos* są szybkie, ale da się do nich włamać. W windach i na schodach ruchomych może się kryć dziesiątka noży. Każdy człowiek z setki ludzi na ulicy może być wynajętym asasynem. Może już w tej sekundzie drony

namierzają to mieszkanie, a kanałami pełzną mordercze boty i owady z neurotoksyną.

– Bierz nogi – mówi Marina. – Idziemy na piechotę.

Ariel zamiera w połowie drogi do *ladeiry*.

– No! – krzyczy Marina.

– Nie mogę. Nogi mi nie działają.

Marina przewidziała wszystkie zagrożenia i wszystkie hackerskie numery poza tym najbardziej osobistym i upokarzającym.

– Zdejmuj je. – Kolejne polecenie może im rozkazać, żeby wprowadziły Ariel prosto pod noże.

– Nie dam rady rozłączyć. – Ariel syczy z wysiłku i strachu. Marina wyciąga nóż.

– Przepraszam, ale...

Pierwsze cięcie, spódnica ląduje na ziemi. Drugie i trzecie odcina elastyczne przewody zasilania. Siłowniki pozbawione energii, nogi uginają się. Ariel macha rękami, pada, Marina ją łapie.

– Zdejmij to ze mnie, zdejmij, zdejmij! – krzyczy Ariel, szarpiąc się z unieruchomionymi protezami.

– Zaraz, bo jeszcze cię skaleczę. – Marina ostrożnie, szybko manipuluje czubkiem noża, podważając plastikowe zatrzaski i zaciski. Wściekłe skupienie. – Nie ruszaj się!

Zostały dwie złączki. Mieszkanie Ariel jest w dyskretnej bocznej uliczce, ale to kwestia minut, zanim ten, co włamał się do sterownika nóg, przyjdzie sprawdzić, czemu jego plan się nie powiódł. A uliczka jest ślepa.

– Mam. – Otwiera ostatnie zaciski.

Ariel wysuwa się z protez.

– Dasz radę po drabinie? – pyta Marina.

– Mogę spróbować. A bo?

Marina pokazuje brodą drabinkę techniczną z tyłu uliczki.

– No, nie wiem, czy dam radę na sam dół.

– Nie idziemy na dół. Dookoła stacji co metr będzie stał Mackenzie. Idziemy na górę.

Do dzielnic biedoty, na najwyższe piętra, do Bairro Alto. Miasta ludzi, których się nie widzi. Tam, gdzie najwybitniejsza księżycowa prawniczka matrymonialna i jej ochroniarka mogą rozplątać się na dachu świata.

– Pomogę ci. Ale najpierw... – Marina dotyka się palcem wskazującym między oczami. Wyłączyć chowańce. Beijaflor znika chwilę po Hetty. – Ty pierwsza.

– Pomóż mi – rozkazuje Ariel, szamocąc się z zakietem.

Marina pomaga jej go zdjąć. Ariel rozbiera się do legginsów do pół łydki i sportowego stanika – to strój do walki.

– Dawaj torebkę – mówi Ariel.

Marina odkopuje ją na bok, poza jej zasięg.

– Jak poniesiesz? W zębach?

– Kasa może się przydać.

– Bardziej niż całe gardło?

Ariel podciąga się po drabinie o dwa, trzy, cztery szczeble.

– Za daleko to nie ujdę.

– Mówiłam: pomogę ci. – Marina kuca przy drabinie pod zwisającą z niej Ariel. Zarzuca sobie sparaliżowane nogi na ramiona. – Pochyl się i oprzyj na moich barkach. Musimy to zrobić razem. Lewe ręce. Prawe ręce. Moja prawa stopa, potem moja lewa.

Razem, na barana, wspinają się po drabinie. Mięśnie zieluniaczki i księżycowe ciążenie zmniejszają ciężar Ariel, ale nie do zera. Marina szacuje go na jakieś dziesięć kilogramów. Jak wysoko da radę wejść z takim obciążeniem na ramionach? Jedno piętro i już ją wszystko boli.

Dwa poziomy. Trzy. Do dachu świata pozostało sześćdziesiąt. A co Marina tam zrobi? Sama nie wie. Czy Cortowie zginą, czy przetrwają, czy ich imperium upadnie, czy przetrwa, tego nie wie. Czy znajdzie sobie jakieś miejsce w Bairro Alto, czy przeżyje, czy będą na nią czekać Mackenzie, tego nie wie. Wie tylko tyle: lewe ręce, prawe ręce, lewa stopa, prawa stopa. Lewe ręce, prawe ręce, lewa stopa, prawa stopa, szczebel po szczeblu, piętro za piętrem, Marina i Ariel wspinają się na wygnanie.

Pokój muzyczny płonie. Fale płomieni liżą ściany i przeskakują po nich, po doskonałym akustycznie parkiecie. Idealne mechanizmy za ścianami strzelają i trzaskają. Dym wiruje, powiewy z wentylacji układają go w upiory i diabły, podszyte ogniem. Kłęb oparów i dymu bucha płomieniem jak ognista kula. Włącza się system przeciwpożarowy, hermetyzuje pomieszczenie i zlewa je halonem.

Pierwszy paralizator trafia Carlinhosa w plecy. Od razu cały sztywnieje, wszystkie mięśnie w spazmach. Krzyczy z wysiłku, usiłując utrzymać noże w dłoniach. Macha nimi, dygocze, odcina druciki łączące strzałki z paralizatorami. Okręca się, robi zamach. Mordercy odступują. Jest teraz sam. Cały jego oddział to powyginane konwulsyjnie trupy w kałużach krwi na Prospekcie Kondakowej. Noże Mackenziech tańczą wokół niego, lecz Carlinhos Corta walczy dalej. Zbroję ma pociętą i popękana, najeżoną strzałkami w miejscach, gdzie paralizatory trafiły w kevlar, nie w ciało. Zabił już pięciu Mackenziech, lecz z każdą sekundą pojawiają się kolejni.

Walczył krok za krokiem, jeden Mackenzie po drugim, aż pod służę wschodniego schronu. Heitor Pereira nie żyje, jego *escoltas* padli razem z nim, schron jest jednak pełen ludzi, zamknięty i bezpieczny.

Noże tłoczą się wokół niego, szydzą i dźgają nożami. Już się nie wydostanie. Już nie. Drugi strzał z paralizatora powala go na kolana. Trzeci rozbija. Czwarty zamienia w drgającą marionetkę z mięsa, całą usianą iskrzącymi strzałkami. Przepadła cała siła, zręczność, przepadły noże. Umrze na kolanach w jaskini pod powierzchnią Księżyca. Przetrwiała tylko furia. Jeden z noży podchodzi i ściąga hełm. Denny Mackenzie. Podnosi nóż Carlinhosa i zachwyca się kształtem i linią ostrza.

– Ładny, nie powiem.

Odchyła Carlinhosowi głowę w tył i przecina mu gardło aż po tchawicę.

Kiedy ciało się wykrwawi, noże rozbierają je do naga. Ciągną do kładki na

Zachodniej 7. i zwieszają za pięty z mostu.

Pięć minut później wychodzą pierwsze kontrakty. Dla wszystkich pracowników, podwykonawców i agentów Corta Hélio, którzy przeżyli. Warunki i stawki wynagrodzenia w zamian za przejście do Mackenzie Metals. Pieniądze są więcej niż godziwe. Mackenzie odplacają po trzykroć.

Łazik pędzi na północ przez Morze Żyzności.

Głupi jest, kto ma tylko jeden plan ucieczki.

Lucas po raz pierwszy opracował sobie strategię ucieczki, kiedy został członkiem zarządu Corta Hélio. Co roku je przegląda i koryguje, z myślą właśnie o takim dniu jak ten. Wszystkie opierają się na tym samym jednym przemyśleniu: na Księżycu nie ma gdzie się ukryć. Uświadomił to sobie, zasiadłszy za stołem w sali posiedzeń zarządu – dotknął dłońmi polerowanego drewna i poczuł jego kruchość, kruchość obrotowego fotela, na którym siedział, ciężar skał nad głową, mróz skał pod stopami. Nie ma gdzie się ukryć, ale jest droga ucieczki. Ostatnie polecenie, jakie wydał Toquinho, zanim go wyłączył: wyznacz mi trasę do terminalu pętli księżycowej na Środkowym Morzu Żyzności.

Dziesięć milionów w złocie, zdeponowane w Mirabaud Bank w Zurychu, Ziemia, pięć lat temu. Woroncowowie kochają złoto. Zaufanie do niego zostaje, kiedy nie można już ufać maszynom, statkom, siostrom i braciom.

„Ratujcie siebie”, rozkazał *escoltas* pod śluzą. „Wyrzucicie noże, pancerze, odłączcie się od sieci. Dalej sam dam sobie radę”.

Nie chciał, by poznali jego prawdziwy plan ucieczki. Ma nadzieję, że przeżyją. Lucas zawsze doceniał oddanie w służbie. Podobnie Mackenzie – zatem nie będą bezmyślnie marnować dobrych pracowników, ponad niezbędne upuszczenie krwi. Sam by tak zrobił. Lucas musi się teraz poruszać szybko i cicho, żeby Mackenzie go nie wykryli. João de Deus już na pewno upadło. Carlinhos już na pewno nie żyje. Można tylko mieć nadzieję, że Rafa zdążył do Boa Vista, że *madrinhas* zdążyły umieścić dzieci w bezpiecznym miejscu.

Mackenzie będą chcieli zlikwidować całą rodzinę, od gałęzi po korzenie. Sam by tak zrobił. Wagner uciekł. Ariel. Nie ma pojęcia, co z nią. Lucasinho jest bezpieczny. Asamoah udowodnili swoją niezależność, zabijając dwójkę asasynów Mackenziech. To pociesza Lucasa w jego plastikowym hermetycznym bąbelku uczeptionym brzucha łazika Corta Hélio. Chociaż jego syn jest bezpieczny.

Pięć minut do Terminalu Środkowe Morze Żyzności, mówi łazik.

– Przygotować kapsułę – rozkazuje Lucas.

Wygięty ekran pokazuje mu terminal, wysoką na kilometr kratownicową wieżę i długi rząd kapsuł transferowych. Rampy załadownicze i wyładownicze, farma słoneczna, bocznica kolejowa odchodząca od niedalekiej Równikowej Jedyńki – terminal Środkowe Fecunditatis to duża stacja przeładunkowa, wywozi się stąd zbiorniki z helem-3 Cortów oraz palety z metalami ziem rzadkich Mackenziech. Dzisiaj wyjedzie stąd inny ładunek.

– Rozpocząć sekwencję dokowania – mówi Lucas.

Zwinny łazik podjeżdża do pierścienia migających niebieskich świateł – to zewnętrzna śluza. I staje jak wryty.

– Łazik, rozpocząć dokowanie z terminalem.

Łazik stoi na Morzu Żyzności pięć metrów od błyskającej śluzy i ani drgnie.

– Łazik...

– Wiesz co, to się nie uda – dobiega głos z modułu łączności. Na ekranie pokazuje się twarz. Amanda Sun.

– To nie jest aby trochę przesada jak na porozwodową zemstę? Nie wystarczyłoby pociąć mi parę marynarek?

Amanda Sun śmieje się głośno i szczerze.

– Muszę ci przyznać, Lucas, naprawdę jesteś zawodowcem. Ale wiesz co, marynarki? Recykler? Nie, nie, to, co się tu stanie, nie ma żadnego związku z naszym rozwodem. I dobrze o tym wiesz. Ja cię tu zabiję. Tym razem mi się uda. Chyba że masz tam gdzieś schowaną pomysłową i odważną kelnerkę, co? Nie wydaje mi się.

– A my ciągle zachodziliśmy w głowę, jak się ta mucha przedostała przez kontrolę.

Amanda Sun postukuje się w ucho.

– Bizuteria, kochany. Twój przyrodni brat w końcu by do tego doszedł. Dokładny jest. Was, Cortów, niesamowicie łatwo zmanipulować. Przez to brazylijskie *machismo*. Mackenziech nawet specjalnie nie trzeba było szturchać. Ale kiedy możesz dokładnie przewidzieć następny ruch wroga, jest aż za łatwo. Stąd właśnie wiedziałam, że będziesz próbował uciec z Księżycy. I stąd tu jestem, w twoim oprogramowaniu. Ale dobra, tracimy czas. Muszę cię zabić. Mam kilka opcji. Mogłabym cię wysadzić, ale trochę za blisko terminalu jesteś. Mogę rozhermetyzować łazik. To by było szybkie. Ale myślę, że po prostu każę mu jechać i jechać, póki nie skończy ci się powietrze.

Rozhermetyzować łazik. Ludzka skóra to całkiem przyzwoita powłoka ciśnieniowa. Ludzkie ciało potrafi przez piętnaście sekund funkcjonować w próżni. Bieg Księżycowy. Trzeba dać jej gadać, a tymczasem rozejrzeć się po kabinie, czego potrzeba, żeby wyjść z tego żywym. Próżność – to zawsze był jej grzech główny.

– Mam pytanie.

– Proszę bardzo. Dobry zwyczaj nakazuje spełnić ostatnie życzenie. O co chodzi, kochanie?

– Dlaczego?

– Eee. Takie pytanie? Żadna atrakcja. Złoczyńca ma wyjawić cały swój wielki plan? Eee. Wiesz co, ale jedną odpowiedz ci dam. Bystry gość z ciebie. Do reszty sam dojdiesz. Będziesz miał zajęcie, zamiast gapić się tępo we wskaźnik powietrza. Od pierwszego dnia moja rodzina skupowała opcje na działki sąsiadujące z Równikową Jedyką. Dwie luny temu zaczęliśmy korzystać z tych praw. Proszę. Już. To ci da trochę do myślenia.

– O niczym innym nie będę myślał – odpowiada Lucas i przeskakuje na drugi koniec kapsuły.

Wali pięścią w przycisk awaryjnego otwierania włazu. Właz odskakuje. Lucas krzyczy, czując wbijające się w bębenki igły. Zatoki wypełnia mu wrzący ołów. Krzyk jest pożyteczny. Dzięki temu płuca mu nie pękają. Krzyk cichnie, gdy prąd uciekającego powietrza wyrzuca Lucasa, w marynarce, spodniach na kant, w krawacie, na Morze Żyzności. Pada na regolit, wzniecając chmurę pyłu, i toczy

się. Oczy. Nie zamykać oczu. Zamkniesz je, to zamarzną. Ślepotą to dezorientacja. Dezorientacja to śmierć. Gramoli się na nogi. Kątem oka widzi, jak łazik rusza. Jedzie. Ona chce go rozjechać. Kroki, raz, dwa. Tylko tyle trzeba. Raz, dwa. Wszystko już w nim umiera. Rozpada się od środka. Rzuca się naprzód, wielkimi susami w dwukolorowych zamszowych mokasynach, wali w panel śluzy. Migające kontrolki zapalają się niebieskim ciągłym światłem. Śluza otwiera się. Lucas pakuje się do środka. Zamyka, uszczelnia. Płuca, oczy, uszy omal mu nie pękną. Nagle słyszy wycie zalewającego śluzę powietrza. Zaczyna słyszeć własny głos. Ani na moment nie przestał krzyczeć. Łomot, śluza się trzęsie. Amanda walnęła w nią łazikiem. Woroncowowie budują solidnie, ale projekt nie przewiduje ataku opętanym księżycowym łazikiem. Lucas łapie powietrze i czołga się do wewnętrznych drzwi śluzy. Otwierają się, wpada do środka. Zamykają się. Terminal znów się trzęsie. Lucas przywiera policzkiem do zimnej, solidnej, cudownej siatki na podłodze. Na ścianie w zasięgu wzroku ma ikonę z Doną Luną. Wyciąga rękę, by przesunąć palcem po kościanej stronie jej twarzy.

Jeszcze żyje. Jeszcze nie koniec.

– Corcovado, Dorolice, Desafinado – chrypi kod.

Lucas Corta. Witamy, mówi terminal. Kapsuła jest już gotowa. Kontakt z pętlą księżycową i transfer na orbitę za sześćdziesiąt sekund.

Ostatkiem sił Lucas gramoli się do kapsuły.

Informujemy, że chwilowe przyspieszenie może osiągnąć sześciokrotność księżycowego ciężenia, mówi kapsuła, opuszczając mu na pierś belki zabezpieczające i ściskając w talii wyściełanymi ramionami. Śluza uszczelnia się. Wjazd na terminal. Inne szarpnięcie potrząsa Lucasem w kapsule, a on omal nie szłocha z ulgi – kapsuła wydokowała ze śluzy i wjeżdża po wieży terminalu na platformę na szczycie. Terminal. Pętla księżycowa za dwadzieścia sekund.

Wyobraża sobie, jak pętla księżycowa pędzi ku niemu wzdłuż równika, jak przeciwwagi wędrują po niej tam i z powrotem, aby jeszcze obniżyć jej lot, by mogła zahaczyć się o kapsułę z żywą przesyłką. Kiedy hol się zaczepia, Lucas Corta krzyczy. Kapsuła ze skulonym w środku rozwrzeszczanym Lucasem ulatuje w niebo, oddala się od Księżyca w kosmiczny mrok.

Peron stacji tramwajowej w Boa Vista jest zasłany trupami jak śmieciami. Padł tu cały oddział noży Mackenziech. Wieżyczki wyrzutni strzałek okręcają się i mierzą w Rafę z szybkością i precyzją, od której oddech więźnie mu w gardle. Wahają się. Gdyby Mackenzie udało się włamać do systemów ochrony, Rafa już by nie żył. Nie doszedłby nawet do bramy. Odwracają się. Błyskawicznie. Swój. Przechodź.

Sokrates próbuje wywołać Robsona i Lunę, lecz w Boa Vista padła sieć.

Rafa wychodzi ze stacji, spodziewając się okropności. Podłużna dolina jest opuszczona. Woda przelewa się pomiędzy obojętnymi twarzami *orixas*, szemrze w strumieniach, bulgoce w stawach i wodospadach. Bambus faluje, delikatny wietrzyk porusza liśćmi. Linia słoneczna ustawiona na wczesne popołudnie.

– *Ola* Boa Vista!

Jego głos powraca dziesiątkiem ech.

Może im się udało. A może leżą martwi, w kałuży krwi, pomiędzy kolumnami, w komorach.

– *Ola!*

Puste pomieszczenia, jedno za drugim. Boa Vista nigdy mniej nie przypominało pałacu. Mieszkanie matki, przestronne, wychodzące na ogród pokoje. Salony gościnne, sala zarządu. Mieszkania służby. Apartament, który zajmowali kiedyś z Lousiką, kanał, do którego wczołgiwała się Luna, żeby się chować i ich podsłuchiwać. Myślała, że nikt o tym nie wie. Wszystko puste. Przechodzi przez drzwi do pomieszczenia technicznego. Jakaś ręka łapie go, wali nim o ścianę i przewraca na ziemię. Stoi nad nim *madrinha* Elis, z czubkiem noża o centymetr od jego lewej gałki ocznej. Cofa nóż.

– Przepraszam, *senhor* Rafa.

– Gdzie oni są?

– W schronie.

Boa Vista się trzęsie. Z sufitu sypie się pył. Basowy huk ładunków burzących jest nie do pomylenia.

– Chodź ze mną.

Madrinha Elis bierze Rafę za rękę. Pomieszczenie za pomieszczeniem, labirynt ciągle rozrastających się korytarzy Boa Vista. Schron to wielki zbiornik ze stali, aluminium i hartowanego szkła, pomalowany w czarno-żółte pasy w uniwersalnym kodzie oznaczającym niebezpieczeństwo. *Madrinhas* i służba Boa Vista kulą się nerwowo na ławeczkach; Robson i Luna podbiegają do okna, przyciskają dłonie do szyby. Chowańce mogą się teraz połączyć siecią lokalną; Rafa opada na kolana i przyciska twarz do okna.

– Dzięki bogom, o, dzięki bogom, jak się o was bałem.

– *Papai*, ty tu przyjdiesz? – pyta Luna.

– Za minutkę. Muszę tylko sprawdzić, czy nie został ktoś jeszcze.

Boa Vista znów się trzęsie. Schron kołysze się na sprężynowych amortyzatorach. Jest tak zaprojektowany, by zapewnić bezpieczeństwo i powietrze dwudziestu osobom, choćby Księżyc zaatakował ich najgorszym, co ma.

– Ja mogę to zrobić, *senhor* Rafa – mówi *madrinha* Elis.

– Już i tak dużo zrobiłaś. Wchodź do środka. No już.

Otwiera się zewnętrzna śluza. *Madrinha* Elis rzuca Rafie ostatnie pytające spojrzenie. On kręci głową.

– Wróć zanim się zorientujecie – mówi Rafa do Luny. Dotykają się dłońmi przez szkło.

Zdażył sprawdzić całe południowe skrzydło, oprócz biur firmy i pomocniczych pomieszczeń po północnej stronie ogrodów.

– *Ola!*

Kolejny wstrząs. Trzeba się pośpieszyć. Uzdatniacze powietrza, recykling wody, energia, ogrzewanie. Wszystko jest. Nowa eksplozja, potężniejsza niż kiedykolwiek, strząsa liście z drzew. Z pawilonu São Sebastião sypie się tynk. Po twarzy Oxossiego Łowcy przebiega pęknięcie.

Jasne.

Wszystko jasne. Głupio zrobił, że tu przyszedł. Luna i Robson nie potrzebowali, żeby ich ratował. Zajęły się nimi *madrinhas*, spokojnie i skutecznie. To on stanowi obciążenie i zagrożenie. Jeśli wejdzie do schronu,

Mackenzie rozprują go, żeby się do niego dostać. To po niego idą, do niego wysadzają sobie drogę. Boa Vista to pułapka. Kolejny wybuch, najsilniejszy jak dotąd. Pęknięcie na twarzy Oxossiego poszerza się do szczeliny. Kopuła pawilonu São Sebastião zwała się do wody. Rafa biegnie.

Tramwaj chwilowo nie kursuje, mówi AI służę. Tunel jest zablokowany. Zawalenie stropu na trzecim kilometrze.

Rafa gapi się tępo na służę, jakby osobiście go obraziła. Skończyły mu się pomysły. Służa ewakuacyjna. Może uciec tak samo jak kiedyś Lucasinho, w skorupowym skafandrze awaryjnym. João de Deus już stracone, ale w Ruryku jest magazyn, o dwie godziny biegu skafandrem na pełnej szybkości. Weźmie się łazika, pojedzie się do Twé. Przegrupuje się, wycofa. Zbierze się rodzinę i zorganizuje kontratak.

Biegnie do windy prowadzącej do służę. Najsilniejsza jak dotąd detonacja przewraca go; jakby unosiła Boa Vista i ciskała nim o ziemię, jak wojownik przetrącający wrogowi kręgosłup. Ściana hallu wind rozsypuje się w drobny mak. Ogłuszony, oszołomiony falą uderzeniową Rafa rozumie, co oznaczają te latające śmieci. Wysadzili służę. Boa Vista jest otwarte na próżnię.

Fala ciśnienia odwraca kierunek. Z Boa Vista ucieka atmosfera. Ogrody eksplodują. Fala obdziera drzewa ze wszystkich liści, wszystkie luźne przedmioty ciągnie w stronę szybu służę i rozsypuje fontanną śmiecia, liści, mebli ogrodowych, szklanek do herbaty, płatków kwiatów, ściętej trawy, zgubionej biżuterii, gruzu z wybuchów. Drzwi i okna wyginają się i pękają. Boa Vista jest jak tornado szklanych i metalowych odłamków. Wyją alarmy dehermetyzacyjne, coraz ciszej, w miarę jak spada ciśnienie. Rafa przywiera do filaru pawilonu São Sebastião. Siecze go morderczy wiatr. Latające odłamki szkła tną ubranie, przecinają skórę. Płuca mu płoną, mózg się gotuje, oczy zalewa krew, gdy uchodzą z krwiobiegu ostatnie resztki tlenu. Bierze ostatni, płytki, bezpowietrzny oddech. Umrze tutaj, ale się nie puści. W oczach mu ciemnieje, siły się kończą. Już się nie utrzyma. Nie ma sensu. Nie ma nadziei. Z ostatnim bezgłośnym krzykiem puszcza się i unosi go wir.

Kapsuła pętli księżycowej przelatuje nad odwrotną stroną Księżyca. Gdyby były w niej kamery lub okna, Lucas Corta mógłby gapić się w zachwycie na połówkę drugiej strony wypełniającą mu niebo, jasną jak diament. Nie ma jednak okien, nie ma kamer, w ogóle skąpo jest z łącznością, rozrywką, oświetleniem nawet. Toquinho jest rozłączony, trzeba było poświęcić wszystko, żeby Lucas mógł dalej oddychać. Energii nie wystarcza nawet, żeby zadzwonić do Lucasinha, by chłopak wiedział, że Lucas wciąż żyje. Obliczenia mają mały margines, ale są dokładne. Nie wymagają wiary. To obliczenia.

Krawat Lucasa uwolnił się spod marynarki i unosi się w nieważkości.

Plan Taiyangu jest tak prosty, że aż dziecinny. Lucas ma w kapsule czas, aby go przemyśleć, a wywnioskował go w jednej chwili z wyznania Amandy. Nigdy się nikomu nie zwierzał. To błąd, za który odpłaci po trzykroć. Nigdy go nie ceniła. Sunowie zawsze uważali Cortów za niższą klasę brudasów. Prymitywnych *gauchos*. Dorobkiewiczów z faweli. Mackenzie Metals niszczy Corta Hélio. Planeta Ziemia patrzy i boi się o swoje elektrownie na fuzji helowej. Mackenzie Metals ma zapasy helu-3 z czasów, kiedy walczyli z Corta Hélio o ten rynek, ale prawdziwa długa perspektywa to opcje Taiyangu na zakup terenów w pasie równikowym. Wyłożyć księżycowy równik panelami słonecznymi wypalonymi z regolitu, pasem szerokim na sześćdziesiąt kilometrów po obu stronach Równikowej Jedyńki, i przesyłać prąd mikrofalami na Ziemię. Taiyang od zawsze opierał się na informacji i energii. Księżyc jako stała orbitalna elektrownia, na odnawialnych źródłach energii. To najkosztowniejszy i największy program rozwoju infrastruktury, jaki zna ludzkość, ale w tym klimacie paranoi po upadku Corta Hélio i skurczeniu się dostaw helu-3 z Księżyca, inwestorzy będą zarzynać się nawzajem, żeby tylko rzucić kasę Taiyangowi na stół. To będzie ostateczne zwycięstwo Sunów w długiej wojnie z Chińską Republiką Ludową. Wspaniały plan. Lucas otwarcie go podziwia.

Jego piękno polega na prostocie. Uruchomić parę prostych motywacji, a ludzka pycha załatwi resztę. Patent z morderczą muchą był znakomity; prosta zmyłka, która wbiła klin pomiędzy Cortów i Asamoah, ale wskazywała na Mackenziech. Lucas nie wątpi, że i awaria oprogramowania, przez którą zginęła Rachel

Mackenzie, wzięła się z serwera Taiyangu; i że atak nożem, który okaleczył Ariel, wyszedł z Pałacu Wiecznego Światła. Delikatne pchnięcia. Pętle sprzężeń zwrotnych. Cykl przemocy. Spiskuj za twoich wrogów, żeby wyniszczyli się nawzajem. Od dawna Sunowie to knuli? Działają w skali dziesięcioleci, planują na stulecia.

„Wszystko jest aż za łatwe, kiedy da się przewidzieć następny ruch wroga”, powiedziała wtedy Amanda. Wagner wspominał, a Ariel potwierdzała, że Taiyang zbudował dla Whitacre Goddard kwantowy system komputerowy. Trzech Dostojnych. Superdokładne prognozy na podstawie szczegółowego modelowania rzeczywistości. Sprawdza się w Whitacre Goddard, Sunom też się będzie sprawdzał. Jeszcze bardziej.

Ale nie przewidział, że Lucas przeżyje.

Uruchamia się Toquinho, jako szczątkowy interfejs, w marnej rozdzielczości, tyle, by Lucas mógł wpiąć się do czujników i systemów sterowania kapsuły. Kapsuła odezwała się, cel odpowiedział. Daleko w przestrzeni cykler VTO *Piotr i Paweł*, prawie na przeciwnym krańcu swojej pętli, okrążającej drugą stronę Księżyca i powracającej ku Ziemi, namierzył kapsułę i przejął sterowanie. Krawat Lucasa opada, gdy mikroprzyśpieszenia szarpią kapsułą; silniki główne unoszą ją na orbitę kontaktową. Teraz cykler jest już w zasięgu kamer kapsuły – Toquinho pokazuje mu zapierający dech widok na podświetlony słońcem statek: pięć pierścieni habitatów ułożonych wokół osi zawierającej napęd i systemy podtrzymywania życia, ukoronowanych panelami słonecznymi.

Za dziesięć milionów w zuryskim złocie Lucas znajdzie tam azyl na tak długo, jak będzie trzeba, by wykalkulować swój powrót i zemstę.

Silniki bekają i pykają, ramiona dokujące wyciągają się, żeby chwycić kapsułę i wpuścić Lucasa Cortę do środka.

Transportowiec na niewielkiej wysokości nadlatuje nad rumowisko. Materiał wyrzucony z Boa Vista opadł na powierzchnię, tworząc nierówny pięciokilometrowy krąg posortowany według wielkości i ciężaru. Lżejszy

materiał – liście, źdźbła trawy – tworzą zewnętrzne pierścienie; potem idą odłamki szkła, metalu, kamienia i spieków. Większe i cięższe przedmioty, najmniej uszkodzone, leżą bliżej ruin śluzy. Pilot opuszcza statek na ręcznym sterowaniu, wypatrując bezpiecznego miejsca do lądowania. Gra na silniczkach manewrowych niczym na instrumencie. Tańczy statkiem.

Lucasinho Corta, Abena, Lousika Asamoah ubierają się w skafandry w kapsule operacji zewnętrznych, razem z ekipą ratunkową VTO i ochroną z AKA. Od dwóch godzin w Boa Vista nie ma śladów aktywności, oprócz pulsowania sygnału schronu. Schrony są odporne, ale zniszczenia Boa Vista wykraczają poza wszelkie parametry projektowe. Zielone światło. Statek usiadł. Kapsuła się rozhermetyzowuje. Lucasinho i Abena stukają się hełmami na znak przyjaźni i wspólnoty strachu. Chowańce zwijają się do identyfikatorów z nazwiskiem na lewym ramieniu.

VTO protestowało, że nadkładanie drogi do Twé po Lousikę Asamoah opóźni misję ratunkową o drogocenne minuty.

„Tam jest moja córka”.

VTO wciąż się sprzeciwiało.

„AKA pokryje koszty paliwa, czasu i powietrza”.

To rozstrzygnęło.

„Będzie nas troje”.

Kapsuła rozhermetyzowana, mówi Jinji. Drzwi otwierają się.

Abena ściska dłoń Lucasinho.

On nigdy nie leciał księżycowym statkiem. Spodziewał się czegoś ekscytującego: pędu nad powierzchnią, szybszego niż kiedykolwiek, z napędem raketowym, lotu na ratunek. A naprawdę? Ławeczka w pozbawionej okien kapsule, ciąg nieprzewidywalnych szarpnięć, podskoków i przyspieszeń, które miotają nim w uprzęży; i masa czasu, żeby wyobrazić sobie, co tam na miejscu zastanie.

Ekipa ratunkowa VTO pędzi przez rumowisko do śluzy. Rozstawiają trójnogi z wyciągami i reflektorami. Lousika, pilnowana przez Abenę i Lucasinho, schodzi pochylnią na powierzchnię. Światła statku wydobywają długie, powoli poruszające się cienie z powyginanych mebli ogrodowych, pogiętych belek,

wbitych w regolit odłamków zbrojonego szkła, roztrzaskanych urządzeń. Lucasinho i Abena lawirują wśród gruzów.

– *Nana?*

Ochroniarze Louisiki coś znaleźli. Światła ich hełmów wydobywają z mroku tweed, wygięcie barku, kosmyk włosów.

– Lucasinho, zostań.

– Chcę go zobaczyć – mówi Lucasinho.

– Zostań!

Dwaj ochroniarze chwytają go i odwracają. Próbuje im się wyrwać, ale to zieluniacy, sześć miesięcy temu przylecieli na górę z Akry i chłopak z trzeciego księżycowego nie ma co się z nimi siłować. Abena zastępuje mu drogę.

– Popatrz na mnie.

– Chcę go zobaczyć!

– Popatrz na mnie!

Lucasinho odwraca głowę. Zerka na klęczącą na regolicie Lousikę. Kołysze się, przyciskając dłonie do szybki hełmu. Widzi coś roztrzaskanego, powykręcane, rozprute i zliofilizowanego na wyprawioną skórę. Abena po chwili chwytą go oburącz za hełm i przekręca jego głowę ku sobie. Lucasinho powtarza ten gest. Przyciąga hełm Abeny, przytyka go do swojego w pocałunku luniarza.

– Nigdy nie wybaczę temu, kto to zrobił – przysięga na prywatnym kanale. – Robert Mackenzie, Duncan Mackenzie, Bryce Mackenzie, ja was oskarżam. Biorę was na siebie. Jesteście moi.

– Lucasinho. Nie mów tak.

– Nie możesz mi zabronić. To moja sprawa, Abeno. Ty nie masz tu nic do gadania.

– Lucasinho...

– To moja sprawa.

– Pani Asamoah-Corta?

Lousika wzdryga się, słysząc to wezwanie na wspólnym kanale – od ekipy ratunkowej VTO.

– Jesteśmy gotowi.

Kładzie dłoń na jego ramieniu. Elementy dotykowe skafandra przekazują

rzeźbę terenu, dotknięcie ręki.

– Luca, to cię zabije.

Nie pozwolili mu dostrzec tego, co widziała Lousika; tylko mu mignęło. Jego wuj, a jej *oko*; lecz tego, co zdołał dojrzeć, nie zapomni nigdy.

– *Nana*, czekają na nas – mówi jeden z ochroniarzy.

Ona uważnie kieruje Lucasinhem, tak, aby przez cały czas był tyłem do trupa. Księżyc zabija paskudnie.

Ekipa Woroncowów podpina do wyciągów najpierw Lousikę, potem Lucasinho, i na końcu Abenę. Lucasinho zawisa nad czarną gardzielą szybu służu. Zerka w dół, snopy światła z czołówek przeskakują po ścianach przepaści. Potężny podmuch dehermetyzacji Boa Vista oczyścił szyb ze wszystkiego, co mogłoby zahaczyć o skafander i go rozedrzeć, lecz i tak jest to zjazd w mrok i grozę. Kapsuła nieustannie nadaje, ale mogła się przemieścić, zakleszczyć, pęknąć, uszkodzić.

– Opuuszczamy.

Kiedy Adriana pierwszy raz zjeżdżała w studnię z lawy, którą później rozrzeźbiła w swój pałac, musiało to wyglądać bardzo podobnie. Światło na skale wyczuwalne przez linę drgania wyciągu. Tędy wyszedłeś, kiedy uciekałeś z domu, myśli Lucasinho i czuje chwilowe ukłucie wstydu. Jakże inaczej wygląda twój powrót.

Potem popiskują czujniki zbliżeniowe, a stopy lądują na gruncie. Pod podeszwami chrupie gruz. Odpina uprząż i wchodzi do Boa Vista. Ekipa Woroncowów rozstawiła tu reflektory, które jednak więcej sugerują, niż ukazują; ciemne cienie w oczodołach Xango. Altany poprzewracane i porozrzucane jak domki z kart. Bezlistne drzewa, przemrożone na wylot, podświetlone eterycznie od dołu. Pełne, zmysłowe wargi Iansy. Iskierki sugerujące lód, zamarzniete łyzy *orixas*, czołówki Lucasinha wydobywają błyski z martwych, sztywnych od szronu trawników i soczewek czarnego lodu w suchych stawach i strumykach. Woda, której nie wywiało podczas dehermetyzacji, błyskawicznie zamarzła.

Wpada na jakiś przedmiot, który sunie, kopnięty, po wykafelkowanym chodniku. Celuje weń czołówkami – segment stołu z sali zarządu Corta Hélio, połamany, bez jednej nogi. Stawia go. Stół natychmiast się przewraca.

Przechodzi przez wyłamane futryny, mija roztrzaskane krzesła i drzewa spowite w podartą pościel. Pod butami chrupią zamrożone gałązki i odłamki szkła. Nie ostała się żadna altana. Omiata czołówkami twarze *orixas*. Oxala, Pan Światła. Yemanja Stworzycielka. Xango Sprawiedliwy. Oxum Kochanek. Ogun Wojownik. Oxossi Łowca. Ibeji Bliźnięta. Omolu, Pan Zarazy. Iansa, Królowa Zmiany. Nana Źródło Wszystkiego.

Nigdy nie wierzył w żadną z nich.

– Odbuduję to wszystko – szepcze po portugalsku. – To jest moje.

Zapala się druga para czołówek, zatapiając go w kałuży światła, potem trzecia – zjechały Lousika i Abena. On jednak idzie przed nimi, idzie korytem martwej rzeki pomiędzy *orixas*, aż do miejsca, gdzie czekają ratownicy.

SŁOWNICZEK

Na Księżycu mówi się wieloma językami i beztrąsko używa zapożyczeń z chińskiego, portugalskiego, rosyjskiego, joruba, hiszpańskiego, arabskiego czy akan.

Abusua – grupa ludzi mających wspólnego przodka w linii żeńskiej; na ewidencji linii żeńskiej opierają się zakazy małżeńskie AKA, wynikające z dbałości o różnorodność genetyczną

Adinkra – symbole wizualne w języku akan, przedstawiające pojęcia abstrakcyjne lub aforyzmy

Agbada – oficjalny strój Jorubów

Amor – kochanek/kochanka, partner/partnerka

Anzinho – aniołek

Apatoo – duch niezgody

Bania – rosyjska łaźnia parowa

Berçário – przedszkole

Bu-hwaejang – koreańska nazwa stanowiska, wiceprezes; patrz: *hwaejang*, *jonmu*

Caçador – myśliwy, łowca

Czib – wirtualny wskaźnik w interaktywnej soczewce kontaktowej, pokazujący stan konta Czterech Żywiołów

Choego – koreańska nazwa stanowiska, „główny”

Churrasco – brazylijsko-argentyńska odmiana grilla; restauracja z takim grillem to *churrascaria*

Coração – serduszko, czuły zwrot

CPD – brazylijski osobisty numer identyfikacyjny, niezbędny do licznych transakcji

społecznych i finansowych

Craque – gwiazda sportu

Cztery żywioły – powietrze, woda, węgiel, dane; cztery podstawy księżycowej egzystencji, za które płaci się codziennie przez system czibów

Elastyk – skafander do wyjść na powierzchnię, równoważący ciśnienie wewnętrzne ludzkiego ciała obciskającą konstrukcją

Escolta – ochroniarz

Gye Nyame – symbol adinkra oznaczający „Oprócz Boga [niczego się nie lękam]”

Globo – uproszczony angielski, ze znormalizowaną wymową zrozumiałą dla maszyn

Gupshup – główny kanał plotkarski w księżycowej sieci społecznościowej

Hwaejang – koreańska nazwa stanowiska, prezes

Irmã/Irmão – siostra/brat

Jin – cyfrowy podpis

Jonmu – koreańska nazwa stanowiska, dyrektor zarządzający

Keji-oko – druga małżonka

Kotoko – rada AKA, w której członkostwo jest rotacyjne

Kuozhao – maska przeciwpyłowa

Ladeiro – schody pomiędzy piętrami kwadry

Madrinha – matka zastępcza, dosłownie „matka chrzestna”

Malandragem – sztuka oszustwa, podstęp, cecha „twardzieli”

Mamãe/Mãe, Papai/Pai – Matka/mama, ojciec/tato

Manhua – chińska manga

Miudo – dziecko

Moto – automatyczny trójkołowy pojazd

Nana – akański sposób zwracania się do starszej osoby

Nikah – z arabskiego; umowa małżeńska

Norte – człowiek z Ameryki Północnej

Oheneba – „księżniczka”; czuły zwrot

Oko – małżonek lub małżonka

Omahene – prezes AKA, o ośmioletniej kadencji

Onyame – jedno z określeń Najwyższej Istoty w tradycyjnej religii Akanów

Orixas – bogowie i święci w synkretnicznej afrobrazylijskiej religii *umbanda*

Patrão – ojciec chrzestny

Saudade – melancholia; tkliwa melancholia jest niezbędnym, przydającym wyrafinowania składnikiem muzyki bossa nova

Shibari – japońska sztuka krępowania sznurami

Ser – forma zwracania się do neutka

Terreiro – świątynia *umbandy*

Tia/Tio – ciotka/wuj

Vovo – babcia

Zabbalini – wolni strzelcy zajmujący się odzyskiwaniem substancji organicznych, sprzedający je później LDC, która jest ich jedyną właścicielką

Zaszczynnik – wojownik wynajęty do pojedynku sądowego – dosłownie „obrońca”

Zieluniak – człowiek świeżo przybyły na Księżyc

KALENDARZ HAWAJSKI

Księżycowe społeczeństwo przyjęło hawajski system określania każdego dnia księżycowego miesiąca odrębną nazwą powiązaną z fazą Księżyca. Dlatego luna (miesiąc księżycowy) ma 30 dni i nie dzieli się na tygodnie.

- 1 – Hilo
- 2 – Hoaka
- 3 – Ku Kahi
- 4 – Ku Lua
- 5 – Ku Kolu
- 6 – Ku Pau
- 7 – Ole Ku Kahi
- 8 – Ole Ku Lua
- 9 – Ole Ku Kolu
- 10 – Ole Ku Pau
- 11 – Huna
- 12 – Mohalu
- 13 – Hua
- 14 – Akua
- 15 – Hoku
- 16 – Mahealani
- 17 – Kulua
- 18 – Lā'au Kū Kahi
- 19 – Lā'au Kuū Lua
- 20 – Lā'au Pau
- 21 – 'Ole Kū Kahi
- 22 – 'Ole Kū Lua
- 23 – 'Ole Pau
- 24 – Kāloa Kū Kahi
- 25 – Kāloa Kū Lua

26 – Kāloa Pau

27 – Kāne

28 – Lono

29 – Maui

30 – Muku

[1] MPB, *Música popular brasileira*, brazylijska muzyka pop – nurt post bossa nova, który pojawił się pod koniec lat 90. XX w. i łączy typowe brazylijskie style z jazzem i rockiem, przeważnie w stylu akustycznym i „studenckim” (przyp. tłum.).

[2] Do widzenia, kocham cię, niedługo znów się odezwę (port.) (przyp. tłum.).

[3] Śłuża nie jest całkowicie zdehermetyzowana. / Za chwilę wyjście na powierzchnię Księżyca. / Masz fatalny akcent. / Carlinhos Corta za drzwiami. / Pan Corta korzysta z twojej drukarki (port.) (przyp. tłum.).

[4] *Mejadra* – arabska potrawa ze smażoną panierowaną cebulą i soczewicą (przyp. tłum.).

[5] Boże, zbaw nas ode złego (port.) (przyp. tłum.).

[6] A na Ziemi pokój ludziom dobrej woli (port.) (przyp. tłum.).